

Biblioteka Sejmu Śląskiego

4620

1844 11

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

4767/18

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POSWIECONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1844.

TOM PIERWSZY.



WARSZAWA

W DRUKARNI POD FIR. JULIANA KACZANOWSKIEGO
przy ulicy Długiej Nr. 543.

1844.

4620.1844.1

II

X-14111
4620, II

1844

1.



30,000,

WASHINGTON

Od Redakcyi

Rozpoczynając czwarty rok istnienia Biblioteki Warszawskiej, Redakcyja czuje potrzebę skreślić obraz usiłowań swoich w roku upłynionym, przedstawić zamiary i widoki swoje na rok następny. Szukając na tej drodze porozumienia się z ogółem publiczności, Redakcyja nie ma obawy, aby ten jej krok wzięto bądź za usprawiedliwienie, bądź za obietnicę. Pierwsze za zbyteczne poczytujemy, nie dlatego aby pismo nasze czyniło zadosyć słusznym, nawet wymaganiom czytelników, lub stanęło na stopniu na jakim postawić je pragniemy, ale dlatego, że za wszystkie jego niedostatki Redakcyja o tyle odpowiedzialną by się czuła, o ile by w zakresie służących sobie środków, zaniedbała cośkolwiek do ulepszenia go przedsięwziąć.

Tym co nam wyrzucają: „*Małoście zrobili.*” Śmiało odrzec możemy: „Patrzcie na stan nauk i literatury w kraju; mało w nim zrobiono, lecz z tego co się zrobić dało, może nie najmniejsza część na nas przypada.

I obietnicą również nie jest niniejsze sprawozdanie. Nie idzie tu o dobre chęci, ale o środki ich zjiszezenia. Te środki nie wszystkie są w naszej mocy: odzywając się raz jeszcze do współpracowników naszych, do wszystkich którym dobro literatury nie jest obojętne, którzy w niej nie próżną zabawkę, ale potrzebę społeczeństwa widzieć i cenić umieją, chcemy wskazać jak najskuteczniej pomoc nam przynieść mogą, w jaką stronę życzylibyśmy widzieć skierowane ich usiłowania, aby połączone z naszymi, wydały pożyteczne dla ogółu owoce.

Zaufanie którem nas obdarza publiczność, wkłada na nas obowiązki. Czujemy całą ich ważność, lecz razem całą ich ciężar. Wywiązać się z nich było naszym usiłowaniem. O ileśmy tego dopięli sąd innym pozostawiamy.

Kilka tylko zamieściliśmy artykułów filozoficznej treści. Nauka filozofii będąca najwyższem, najściślejszém, lecz przez to samo uogólnionem wyrażeniem myśli czasu, nie może zakwitnąć tam gdzie myśl zaledwie przebudzona, słabe tylko na świat otaczający rzuca spojrzenia, niepoznała jeszcze jego zjawisk, a tym mniej niepoznała samęj siebie. Na jakimkolwiek przecież stopniu rozwinięcia myśl zostaje, nigdy ona zupełnie praw swoich nie traci. Wnaturze zaś jęj leży poznanie samęj siebie. Temu

zadaniu odpowiada filozofia; dlatego nigdy ona nie przychodzi przedwcześnie; wzrastająca jej potrzeba, będzie zawsze miarą wzmocnienia się literatury, a ile razy pojawi się silnie i samoistnie pomysły artykuły, Redakcyja nie odmówi mu zamieszczenia w swem piśmie.

W oddziale dziejów Redakcyja przestała zamieszczać materiały historyczne. Pomniki przeszłości, coraz skrzętniejszych i gorliwszych starań stają się celem. Wychodzą znaczne ich zbiory, inne są zapowiedziane, jest nadzieja, że nic co się dotąd przechowało, nadal straconem nie będzie. W takich okolicznościach, Redakcyja uważała, że Biblioteka, mogłaby być tylko témczasowem składem ale nigdy przybytkiem w którymby odpowiednie pomieszczenie pomniki ubiegłych czasów znalazły, że wśród gwaru i zgiełku terażniejszego życia któremu pismo czasowe służy za organ, zleby się wydała przeszłość, z poważnem i milczącym obliczem. To wyłączenie jednak materiałów historycznych nie jest bezwzględne. Jeżeli w ręku badaczyw posłużą one do rozjaśnienia jakiego okresu dziejów, jeżeli iść będzie oto, aby ocalić od zagłady, co inaczej straconemby zostało, Redakcyja chętnie zrobi wyjątek od przyjętego prawidła.

Kilka życiorysów w upłynionym roku zamieszczonych, nieobojętnym staną się przyczynkiem do historii literatury.

Ze znacznej liczby podróżujących ziomków, niewielu chciało przyjść w pomoc Bibliotece, udzieleniem jej wypadków swoich postrzeżeń. Redakcyja

stał się jeszcze przydatnym materiałem dla przyszłych bibliografów.

O innem jeszcze ulepszeniu pisma swojego, winna Redakcyja nadmienić. W drugim półroczu upłynionego roku otwarty został: „*Przegląd Dzienników Zagranicznych*”. Każdy początek jest trudny. Dotychczas szczyła tylko liczba Dzienników, była przedmiotem rozbioru i sprawozdania w Bibliotece, co nietylko brakowi źródeł, jak raczej niedostatkowi sprawozdawców przypisać należy. Praca tego rodzaju nie wymaga przecież szczególnego talentu, może się nią z pożytkiem zająć każdy, komu nie obcy jest stan którejkolwiek gałęzi nauk. Gdyby wszyscy czytający dzienniki naukowe, robili z więcej zajmujących artykułów wyciągi, i takowe Redakcyji nadsyłałi, miałyby ona pod ręką masę faktów i wiadomości, z którychby korzystny dla pisma swego czynić wybór mogła, a nie jeden z nadsyłających znalazłby może w tém zachętę do dalszego pracowania w naukowym zawodzie. Praca sił połączonych zbliżyłaby Bibliotekę do jednego z głównych w wydawaniu pisma tego zamierzonych celów, pośredniczenia między krajem i zagraniczną literaturą.

W tymże samym celu przedsięwziętą została publikacyja „*Biblioteki Zagranicznej*”. Pięć jej tomów znajduje się w ręku publiczności, szósty wkrótce prasę opuści. Redakcyja przekonała się, że sposób dotychczasowy wydawania Biblioteki Zagranicznej nie był z amiarowi odpowiedni: że przedsięwzięcie z przedmiotu swojego nie jednorodne, nie peryodyczne, nie może być opartem na prenumeracie. Dla tego z ukończeniem oddziału pierwszego, Biblioteka zagraniczna w dzisiaj-

szym kształcie wychodzić przestanie. Natomiast Redakcja wydawać będzie pojedyncze wyborowe dzieła zagranicznych i krajowych pisarzy, tak jednak iżby wydania te pewną całość stanowiły.

Taki jest obraz stanu Biblioteki za rok 1843, takie dzieje wewnętrzne tego pisma. Równie dalej od chępliwości jak od zniechęcenia, wiedzeni jedynie zamiłowaniem dobra kraju, wśród trudów i przeciwności, raz obranym torem stale iść zamierzamy, w przekonaniu, że jeśli wytrwałość niekiedy nie osiąga nagrody, zasługa zawsze jej towarzyszy.

Warszawa dnia 1 Stycznia 1844 roku.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.





W Głównym Giermanii są pierwsze,
pewność w sobie mające, ślady dziejów
Polski i Litwy,

przez

Wacława Aleksandra Maciejowskiego.



Kiedy Rzymianie zagarnęli pod swą władzę okrąg ziemski a panowali okrutnie, rzesze ludów i państwa królów rządzone żelaznym berłem zuchwałych republikanów, wlekąc nędzne życie i przeklinając nie-szczęsne swe losy, zdawały się próżno wołać do bogów o zemstę, za złupienie i spalenie świata. Lecz w ukryciu wychowywał się i dorastał mściciel, który z woli niebios miał niezabawem upokorzyć a następnie ujarzmić wilcze Romula plemię. Odległa pół-

noc chowała go w ogromnych kniejach, ukrywszy za głębokimi rzekami i lasami gęstymi, przed ostrym wężem i wzrokiem ludu, tudzież sokolim Rzymskiego senatu i łupiących pod jego hasłem Prokonsulów. Tam dorastał i do bojów z 'pogromcą świata' sposobił się ród Tuiskona, tam czciciel Peruna Litwin, i Słowianin sąsiad jego, wywijał dzidą i trząsał maczugą, ażeby czasem mężnie walczyć w wspólnej północnym ludom sprawie. Pokolenia te, które rodzimem nazwiskiem *Thiutysków* i *Serbów*, (jakoby spokrewnione między sobą rzesze) nazywały się, skoro się bliżej dały poznać Rzymianom, nazwę Giermanów uzyskały. Tacyt, który znał dobrze te ludy, bo u sąsiadów ich, u Belgów (1), dochodami cesarza Wespazjana w znaczeniu Prokuratora zawiadywał, powiada w dziełku swém przez nas pod uwagę wziętem „że nazwisko to nowém i świeżo ludom zarenkim nadane“ czyli, jak my sądzimy, z rodzimój nazwy żywcem na Rzymski język przetłómaczone zostało. Bo jak p. Szafarzyk (2) uważa, wyrazy *thiutisk*, *serb*, *germanus* jednoznaczące są. Jakoż przez Serbów, Siabrów w długie czasy krewnych u Słowian i zesłowiańszczonych Litwinów rozumiano (3), gdy nazwa Litów, którą następnie drudzy zwali się, powszechnie jeszcze się nie uogólniła.

Powiada Tacyt że od północy i wschodu niepewne ma granice Germania: w kilkadziesiąt lat po nim żyjący Ptolomeusz, rzekami Suevus (nazwa dol-

(1) Porównać życie Tacyta opisane na czele dzieł jego, wydania Oberlina, w Lipsku 1801, w czterech tomach.

(2) Słowanskie starozitności I. str. 152.

(3) Słownik Lindego pod wyrazem *sizbr*.

nej Odry) i Wisłą ogranicza ją od tej strony świata. W wielkim tym przestworze ziemi mieszkające ludy Giermańskimi od Rzymian i Greków nazywane, własnymi a rozlicznymi, od różnych okoliczności wziętymi, siebie i narody swęj uległe władzy mianowały nazwiskami. My dla krótkości wyrażenia, Giermanami nazywać ich będziemy, biorąc je z Tacytem za rzeszę ludów różnej religii, języka, oświaty, obyczajów. Dzisiejsi badacze na trzy dzielą Giermanów gromady: na Suewów, Ingiewonów i Istewonów. Z tych pierwsi liczyli do swego związku ludy obcego języka, a mianowicie Gotynów i Osów (którym dla tej przyczyny Rzymski historyk pochodzenia z Giermańskiego rodu zaprzecza), tudzież Estyów mających mowę do Bretońskiej podobną. Liczyli też siedmnarodków (Reudigni, Aviones, Angli, Varini, Eudoses, Suardones, Nuithones) czią Herty, czyli ziemi matki, połączonych z sobą. Liczyli nakoniec pięć narodków innych (Arii, Helvecones, Manimi, Elysii, Naharvali) które powszechném nazwiskiem mianowano Ligiami.

Gdy sam Tacyt płacze się w wykładzie rzeczy, licząc do Giermanów ludy, które podług własnego zeznania jego, nie mówiąc tymże co oni językiem nie mogły (co też sam wyznaje) pochodzić z ich rodu, przeto dzisiejsi badacze Giermańskich dziejów podzielili się na dwa jakoby stronnictwa. Jedni uważają Suewów i Ligiów za ludy Słowiańskiego pochodzenia: (1) drudzy mają wszystkie ludy w Tacytowej Giermanii wy-

(1) David Popp, Abhandlung ueber einige alte Grabhügel, In-golstadt 1821. Th. Schetz, waren germanische oder slavische Völker Ureinwohner der beiden Lausitzen? Görlitz 1742, str. 37. 73.

mienione za istotnie pochodzące z Giermańskiego rodu (1). Do ich zdania przychylają się ci którzy utrzymują że dopiero po Tacycie i Ptolomeuszu, wdarli się Słowianie w siedziby Giermanów, cywilizacją ich przejęli, i zgoła sami bez przyłożenia się do tego czyjegoś, zgiermanizowali się, (2) a więc że nie znając ich, nie mógł wspomnieć o nich Rzymianin. Lecz najnowszy Słowiańsko-Niemieckich ludów dziejopisarz Ludwik Giesenbrecht, (3) uważa, że ani zaprzeczyć temu, ani potwierdzić tego nie można, czy wespół z Niemcami, bądź jako im równi, bądź jako podwładni im, mieszkali w Giermanii Słowianie za Tacytowych i Ptolomeuszowych czasów (4).

Gdy Polacy ponad Wisłą, a Litwini przy ujściu Wiśły mieszkali już w czasach przedhistorycznych, i siedziby ich zastali tu Tacyt i Ptolomeusz, w pierwszym i drugim po Chrystusie wieku dzieje i ziemie Giermanów opisujący, jest przeto rzeczą wielkiej wagi wykazać, czy istotnie zajmowały w owym czasie naznaczone im przez nas siedliska. Na rzeczywiste poznaki w świadectwie księcia Rzymskich historyków zawarte, całą teraz uwagę zwracając (w osobnych rozprawkach w Bibliotece Warszawskiej umieścić się mających), otworzę zdanie moje o pismach dzisiejszych

(1) Kaspar Zeuff, die Deutschen und die Nachbarstaemme, München 1837.

(2) Baltische Studien, Stettin 1833 — 1842, tomów XVII, Jahrbücher und Jahresbericht des Vereins für mecklenburgische Geschichte und Alterthumskunde von Lisch und Bartsch, Schwerin 1836 — 1842 (tomów VII, każdy we dwóch częściach), von Haxthausen, Ueber den Ursprung und die Grundlagen der Verfassung in den ehemals slavischen Ländern Deutschlands, Berlin 1842.

(3) Wendische Geschichten, Berlin 1803, w trzech tomach.

(4) tamże I. str. 4.

badaczy Niemieckich, w których wyczytujemy że Słowianie, wdartszy się w kraje Giermanii i jej oświatę sobie przyswoiwszy, nowém, pełném ducha i siły żywiołem, pokrzepiły swe Indyjsko-Scytycko-Sarmackie bezduszne i wątpliwe życie.

Rozważywszy wszystko co o Suewach podali starożytni pisarze (świadczenia ich skrzętnie pozbiierał Zeuff), nie można o tem wątpić, ażeby rodowitemi Giermanami być nie mieli. To wszakże pewno jest, że pod wielu względami różnili się od spółbraci. Język ich miał wyrazy podobne do Słowiańskich, co spowodowało Dawida Popp do poczytania ich za Słowian (1). Sposób życia i uprawy roli uderzył Rzymian, gdy po raz pierwszy ujrzeli Suewów: (2) nie folwarkami bowiem jak reszta Giermanów, lecz wsiami uprawiali grunta. Kraj ich dzielił się na powiaty, w powiatach były sioła, a w siołach gospodarze, rodów i pokrewieństw naczelnicy, mający przez starszyznę ziemską wyznaczone sobie do uprawy role. Lecz tym sposobem mieli też urządzone wiejskie gospodarstwo Słowianie i Litwini gdy żyli w gminowładztwie, z tą różnicą, że wydzielonej sobie ziemi nie posiadali na rok jeden, jak to było u włóczęgów Suewów, lecz stale i z dziedzicznym prawem na wydzielonej sobie własności siedzieli, mając prawo spółności co do reszty własności gminy, jakoto lasów, pastwisk, wód i t. p. Nazywano to *sortes*, i liczne są o takowych własnościach zmianki w aktach urzędowych Polskich. Wspomina o nich co do Prusaków (Litwinów), Gallus

(1) W dziełku swém str. 70 następn.

(2) Caesar, de bello gall. IV. I.

za czasów Bolesława Krzywoustego (1). Sąto właśnie owe Polsko-kmiecie dziedzictwa, nader trudne do odgadnienia. Autor rozprawy *Posiadłości kmiecie dwojakięj natury dziedzictwo i wola* (2), powiada (3) „że dziedzictwem takim nadawał pan kmiecia pod warunkiem czynienia z niego służby dla dominium, że raz nadawszy niem, nie mógł tego dziedzictwa niszczyć lub sobie przywłaszczać, lecz, gdy osierociało i bez dziedzica było, pan winien był rolę oddawać w dziedzictwo innemu kmieciami, bądź gminnego stanu człeku, bądź nawet szlachcicowi, gdyż i szlachta dziedzictwa takie, jak je nazywano niewolne, posiadała.“ Lecz dziedzictwami, w ten sposób jak autor mówi, nadawano u nas dopiero od czasu nastania do Polski emfiteuzów, z prawa Niemieckiego początek swój wywodzących: my zaś mamy świadectwa o istnieniu dziedzictw takich już w XI wieku (4), zabieraniu ich, za wynagrodzeniem i oddawaniu na własność nie innym kmieciami, lecz duchowieństwu (5). Powiedzmy więc że to raczej były dziedzictwa nie przez panów kmieciami nadawane, jako emfiteuzy

(1) Str. 302 wyd. J. W. Bandtk:

(2) Tyg. L. z roku 1841.

(3) Str. 37, tamże:

(4) Na wzór aktów w XI i początku XII, jest utworzony ów akt w początkowym prawodawstwie Polskim str. 16, gdzie czytamy: *Tuchow heredes Medweh, Izeeh, Mich, Woian*. Z roku 1173 pochodzi ów gdzie (tamże na str. 171) stoi, *dum proprii homines si interficiuntur in suis hereditatibus*.

(5) R. 1235 *Heredibus autem qui ibi fuerint alias pro istis sortibus nomine Sinochowiei desimu hereditates*, u Raczyńskiego Codex diplomaticus majoris Poloniae, str. 15.

z Niemieckiego wynikające prawa, lecz raczej owe *sortes* wydzielane w czasach przedmonarchicznych, i tłuące się jako starodawny zabytek po aktach urzędowych Polskich aż do XIII wieku. Bo zczasem wymarli takowych właściciele, grunta ich puścizny prawem zabrała szlachta, a niezabawem, w XIV wieku (1), resztę ich ruszyła z roli, i sama na siebie grunta ich uprawiała. Odtąd nie było dziedzictw Polsko-kmiecych, wyjąwszy kupowane przez kmieci, aż wreszcie i te ustały, gdy roku 1496 zakazano gminowi nabywać własności ziemskiej (2).

Owi właściciele, których prawem następnie pomiatano, (3) byli niegdyś rzeczywistemi dziedzicami, dopóki trwały Starostwoniańskie gminy ze swemi urzędnikami (setnika wspomniono w akcie dopiero co powołanym); dopóki wsiami a nie folwarkami uprawiano grunta, jak to było w odległej starożytności wszędzie gdzie Słowiańscy rolnicy trudnili się wiejskiem gospodarstwem. Ślady takowej uprawy roli u Trewirów pozostały dotąd. (4) Cezar (5) doniósł o nich z podziwieniem. Wspomnienie o pobycie Słowian wpośród Trewirów, mamy z wieku V, (6) a późniejsze czasy dostar-

(1) W wyżej powołanej rozprawie *Posiadłości kmiece* str. 45

(2) Tamże, str. 64.

(3) *Proprii homines si interficiuntur in suis hereditatibus*, w akcie wyżej przywiedzionym: darowano kościołowi *Semowo cum centurione et cum hominibus et sortibus eorum circumquaque adjacentibus, Wancsech cum hominibus et omnibus sortibus* r. 1242. u Raczyńsk. tamże str. 22, 23.

(4) Haxthausen, w dziełku swem str. 25.

(5) *De bell. gall.* VIII. 25.

(6) *Windogast, Windogagin*, w chron. moissnac, u Pertz I. str. 283.

czają wiele dowodów na to, że w okolicy Menu, a więc niedaleko Trewiru, mieszkali Słowiańscy rolnicy. (1) Mieli się tu dostać oni jako wojenni jeńcy, lub osadnicy do uprawy roli wynajęci: lecz czyż i owi Trewirscy Słowianie tym sposobem zawitali w te strony?

Folwarkami uprawiać rolę było u reszty Niemców również dawnym zwyczajem. Ten tylko sposób rolnictwa Giermańskiego zna Tacyt. Pańska była rola, a uprawiał ją osadzony na niej rolnik, dzieląc się z panem zebrany z ziemi plonem. (2) I tak, osadzeni na cudzym gruncie rolnicy tworzyli wprawdzie sioła, lecz sioła te nie były Słowiańskimi wsiami, nie składały bowiem gromady rolników właścicieli, lecz rotę uprawiaczy ziemi bądź wynajętych do pracy, bądź osadzonych na gruncie jako jeńce wojenni. Taki rolnik tyle miał udziału w ziemi, w pastwisku, w lesie, ile mu pan wyznaczył. Wspólnej z gromadą własności nie miał. To nazywało się u Niemców *uprawiać rolę folwarkiem*, (3) a u nas *siedzieć na woli* czyli *na prawie*, z warunkiem wytrzymania kontraktu dzierżawy aż do umówionego czasu: lub *siedzieć na roli bez woli*, jak osadzony jeńiec, lub poddany do ziemi przywiązany. Ten rodzaj gospodarowania upowszechnił się w Polsce, (4) a z *wolą* złąły się zczasem dziedzictwa kmiece.

Właśnie z dwoistego sposobu tego uprawy roli, biorąc dowód badacze Giermańskich dziejów, że je-

(1) U Zeuffi str. 646, następ.

(2) German. 25.

(3) *Hofsverfassung*, wsiami uprawiać nazywało się *Dorfsverfassung*.

(4) Obszernie mówi o nim autor rozprawy *Posiadłości kmiece*.

dnego szczepu naród nigdy nie zamieszkiwał Giermanii, lecz że społeczeństwa ludzi dwa pierwiastki rządów od stworzenia świata niby istniejące, a rzeczpospolitą i monarchią przedstawiające, zajmowały ją przed przybyciem tu Giermanów: którzy zastawszy je zachowali, podzieliwszy się przez to na dwie części, i w takowym podziale aż po dziś dzień przetrwawszy. Zaprowadzenie dwóch tych żywiołów Celtom i Finom przypisuje Haxthausen, (1) utrzymując, że od pierwszych Suewowie, a od nich dopiero Słowianie przejęli go. gdy się wdarli do Giermanii. Wszakże sam zbija się przez to, że twierdzi, iż pierwszy ślad tego rodzaju rolnictwa i wypływającego ztąd pomysłu o własności prywatnej znajdujemy u Scytów. (2) Pięknie zaś i gruntownie wywiódł to p. Szafarzyk z dziejów, że Słowiańskie ludy, zanim samodzielne utworzyły sobie rządy, ulegały władzy Scytów, Celtów, Sarmatów i Giermanów.

Słowiańskie ludy te, które pod bezpośrednią Suewów zostawały władzą, włączając się ustawicznie po świecie za swemi panami, przepadły razem z niemi. Te, które pod pośrednią, bo pod Ligiami do Swewskiej należącemi rzeszy zostawały, doczekały się lepszego losu, ujrzawszy zczasem najprzód wolności jutrzenkę a następnie w potężne uformowawszy się państwo. Rozumiem przez to Polan, przodków naszych, których z pomroki nocy na jaśnie tym wyprowadzam sposobem.

(1) Tamże str. 10—29.

(2) Tamże str. 24.

Idąc od rzeki Laby (Elba), która w Czechach wypływa, na wschód aż ku Dnieprowi, znajdujemy po dziś urodzajne ziemie pełne łągów i pól, czyli łąk i okiem niezmiernych równin. Mieszkające na tym przestworze ziemi liczne Słowiańskie narody, Ługanami t. j. Łęczycanami najprzód a następnie Polanami nazywano. Pierwsza nazwa u Tacyta i Ptolomeusza, druga u samego tylko Ptolomeusza znachodzi się. Kiedy Swewowie zajęli aż po Wisłę kraje te, nazywano ich ogólnie od ziemi którą ujarzmili, a w szczególności nadawano im własne (wyżej od nas przywiedzione) nazwiska. Tacyt mianuje ich Lygii, Ptolomeusz Luggii, co na jedno wychodzi. Bo u starożytnych zamieniano *y* na *u*, czego liczne przykłady Szafarzyk (1) wskazał. Po ustąpieniu zład Swewo-Lygiów, którzy poszli burzyć państwo Rzymskie, oswobodzeni z jarzma tutejsi Słowianie, pozostali przy dawniej nazwie. Jeszcze Mieczysława I. Polskiego króla, monarchą Ligijczyków czyli (wykoślawiono) Licikawików nazywa Witykind kronikarz IX wieku (2). Następnie mieszkańcy pojedynczych tylko i łąkowatych miejsc, które od Łaby aż do Dniepru idąc rozciągają się, Ługanami czyli Łucznanami, lub jak dziś mówimy Łęczycanami zwali się. (3) Nakoniec zupełnie ustała ta nazwa

(1) Starožitn. I. str. 334.

(2) Mylnie dorozumiewano się, że w tym wyrazie nazwa *Lachów* ukrywa się, dlatego też dzieje Polskie opisujący tak rodacy jako też i cudzoziemcy, np. Lelewel i Roepell nie mogą się w nim znaleźć, i z niego wywieść nazwiska *Lachów* nie umieją.

(3) Łuczanie Czescy u Kosmasy, Łużycanie czyli nadłabańscy Łuczanie u geografów Bawarskiego, Łuczanie naddnieprscy u Konstantego Porfirogenity, Polscy Łuczanie, czyli okolice Lucie, jak Gallus str. 212, wyraża się, zamieszkujący, to jest później tak nazywani Łęczycanie.

w Czechach i nad Dnieprem, w Polsce istnieje dotąd, Łęczycycki obwód oznaczając. Toż samo było z nazwą Polan. Mówi Ptolomeusz, że przy Wiśle rzęce mieszkają Bulanes. Nazwisko to powtarzają pomniki języka Giermańskiego i kronikarze od IX wieku począwszy, dają go Polanom czyli Polakom, (1) to jest właśnie temu samemu ludowi, który imieniem Bulanes nazwał Ptolomeusz. Zkąd wypada ten wniosek, że wymienieni u Greckiego ziemiopisca Bulanes, a w pomnikach IX i następnych wieków Polanie, jednym byli narodem. Zamiast dziś kręskowanego *o*, używano niegdyś *u*, a *p* wymawiano jak *b*. Ztąd Bulane za Pulane nazwani są. Aż dotąd mieszkańcy kraju, w którym powstało gniazdo Polskiej potęgi, Wielko-pulanami, czyli Wielkopolanami mianują się sami. Gdziekolwiek Łuczanie, tam i Polanie mieszkali. A tak nie tylko byli, że się tak wyrażę, Gnieźnieńscy Polanie (owi Bulanes Ptolomeuszowi), lecz istnieli i Polanie naddnieprscy od Nestora obszernie opisani, tudzież Polanie nadłabańscy, już zgermanizowani gdy pierwszą o nich uczyniono wzmiankę. W dzisiejszych północnych Niemczech, słyngli niegdyś spólnie z Giermanami mieszkający Lachowie. Nie było naród, lecz stan obywatelstwo reprezentujący, jednym słowem szlachta, znana wszędzie gdzie Polanie mieszkali, kraje naddnieprskie, gdzie nie było ani Lachów ani szlachty, wyjąwszy. Jak w Polsce tak i w Giermanii mieszkającym Polanom, Lachowie przewodzili. Gdy zczasem za powodem Saksonów wzniosła się i ustaliła w Giermanii La-

(1) Szafarzyka starozitn.. I. str. 755.

chów władza, i gdy ciż Saksonowie zajęli między innymi kraj tamecznych Polan, nazwali się nowi ci Germaniſkich Polan władcy od imienia zwyciężonego ludu, tym bardziej gdy własnego a ogólnego nie mieli. (1) Złąd powstałi Ostfali, Westfali, niby wschodni i zachodni Polanie, (2) przez wytlómaczenie Słowiańskiego wyrazu *poljan*, na wyraz Germaniſki *Falah*, który oznacza pole. (3)

Z wywodu tego pokazuje się, że pierwsze ślady dziejów Polskiego narodu są w Tacytowej Germanii, które Juliusz Cezar i Ptolomeusz znakomicie objaśniają, że od miejscowości nosił swą nazwę ten naród, i że Ługanami, Polanami czyli, jak później mówiono, Łęczanami, Polakami musiał nazywać się pierwotnie, gdy najdawniejsze po Rzymianach i Grekach istniejące dziejów zabytki mówią, że Polski naród właśnie te kraje zajmował, które Tacytowi Ługanie a Ptolomeuszowi Polanie zamieszkiwali, i gdy wykazaliśmy to dostatecznie, że nazwy te od łąk i pól swój początek biorą. Z wywodu tego pokazuje się także i to, że Germanowie podbiwszy Ługanów, ich nazwiskiem lub od obcych mianowani byli, lub niem mianowali się sami. Bo są na to dowody w historyi, że Germanowie i później zwykli byli toż samo czynić, to jest przyjmować od obcych nadane sobie imię, nazwę zwyciężonego narodu przybierać, pod nią podciągać własną a przez to udawać się za naród, którym nie byli rze-

(1) Nazwisko Sasów, Saksonów późniejsze jest; jakby się przed tem mianowali, tego z pewnością nie wiemy.

(2) Tak i nad Dnieprem byli wschodni, a nad Wisłą zachodni Polanie.

(3) Rozwiódł się nad tem Zeuss, str. 390, do którego odsyłam.

czywiście, i t. p. Tym sposobem Giermanami nazwali się, tym sposobem i Alamanów przywłaszczyli sobie nazwisko, (1) tym nakoniec trybem nazwa dzisiejszych Prus powstała, i jest tkanką różnorodnych imion służących niegdyś za właściwe samym tylko Litwinom. Krzyżacy zawojowawszy ich i nazwisko ich przyjąwszy, złączyli je wraz z władzą na Brandenburczyków, z kąd powstała następnie nazwa Pruskiego królestwa i służy ludom różnoszczepowym pod jego żyjącym rządami.

Od Polaków i Litwinów przyjęli Suewowie obyczaj gospodarstwa wiejskiego, z samemi zaś Litwinami zetknęli się sposobem czci bogów, i odróżnili się przez to od południowych Giermanów, którzy jako przylegli Rzymianom, a więc bliżsi ogłędzonej cywilizacji starożytnego będąc świata, mieli cześć bogów czystsza, a przynajmniej nietyle co Swewowie okrutną. Cześć ta polegała na krwawych ofiarach czynionych z ludzi. Wszystkie starożytnego świata narody, używały niegdyś tych ofiar. Gdy postępowały w oświacie, czyniły je jedne rzadko, a drugie w dawnych pograżone zabobonach, miłowały je i ludzi na cześć bogom zabijały. Litwini, jako lud w oświacie Europejskiej najmłodszy i do chrześcijaństwa nie rychło nawrócony, palił na ofiarę bogom wojennych jeńców-jeszcze w XIV wieku. (2) Za czasów Tacyta, Giermanowie południowi kiedy niekiedy, Suewowie rok ro-

(1) Mówi o tém Pertz na str. 3 wstępu do drugiego tomu wydanych przez siebie kronik, lecz zaprzecza mu Zeuss. str. 303, następ.

(2) Strykowskiego kronika, wydanie pierwsze, str. 391.

cznie ofiary z ludzi przynosili bogom. Toż samo czynili Normanowie w X jeszcze wieku, nietylko sami lecz wspólnie z ludami temi, którym panowali. (1) Tacytowi Estyowie, czciciele matki bogów, nie czynili człeczko-krwawych ofiar, przynajmniej Rzymski dziejopis nie wspominał o tém, (2) ale siedm owych Litewskich narodków mieszkających za Suewami, mających za twierdze lasy i rzeki, a czczących wspólnie bóstwo Nerthus, to jest ziemię matkę, używało ludzkich ofiar; bo gładziło śmiercią niewolników, których po odbyciu świętej przejażdżki matki ziemi (szeroce opisał ją Tacyt), używali ich kapłani do obmycia w morzu posągu bogini. Kwawe te ofiary łączyły w religijnym względzie Litwinów owych z Suewami. Mam owych siedm narodków za Litwinów pomieszanych ze Słowianami i Germanami, do czego mnie różne przywodzą powody, a najprzód cześć religijna, której dotknąłem wyżej.

Zastanawia nazwa nadawana bogini. Wszystkie rękopisy Tacyta (3) dają jej nazwisko *Nerthus*: wszakże wydawcy podsunęli w miejsce jego wyraz *Herthus*, z kądem znowu, celem wydobywania z tego nazwiska jakowegoś sensu, spili je z wyrazem *Herta*, a ten, podług mniemania ich, ma oznaczać boginię ziemi (die Erde). Postępowanie to, nazwę językowi których on wcale nie zna swawolnie poddające, gani Grimm, i

(1) Ditmar u Pertz V. str. 739, Historia prawodawstw Słowiańsk. I. str. 195.

(2) Germania 45.

(3) Mówi Grimm, Deutsche Mythologie, Göttingen 1835 str. 140: nast. tamże str. 109.

uwagę czyni, że w Gotyckim i górno-niemieckim narzeczu, są wprawdzie wyrazy *Nairthus*, *Nerdu* podobne do *Nerthus*, a oznaczające ziemię, lecz ani źródłosłowu ich odgadnąć ani pogodzić ich z nazwą *Nerthus* nie jest w stanie (1): mimo to wszakże powinowactwo między wyrazami *Nerthus*, *Erda* (Erde) przypuszcza, i wnioski dla badań swych czyni (2), wpadając w błąd który wytyka innym.

Języki Litewski i Słowiański, mają wyrazy odpowiednie i zdolne wytlómaczyć pochodzenie i znaczenie Tacytowego *Nerthus*. U Litwinów *ner*, u Słowian *nur*, ziemię i wszelkie znajdujące się w niej wklęsłości, jakoto rzeki, rozpadliny i t. p. oznaczają. Dotąd istnieje *Nerunga*, *Nerzeia*, klin ziemi oblany morzem Bałtyckim i zatoką *Haffem* (3), i jest wyrazem właściwym ziemi którą niegdyś zamieszkiwali Litwini (4). Rzeka *Wilia* nazywa się po Litewsku *Neris* (5) i t. p. Toż samo co *ner*, oznaczają w Słowiańskich narzeczach wyrazy *nur*, *nor*, *nura*, *nora*, na co pełno dowodów postawić można (6).

Jednegoż bóstwa cześć była u siedm owych narodków i u Estów (lubo w drugich, podług Tacyta, nie krwawa), co mówi za pochodzeniem jednem obu dwóch. Jeszcze insza cześć bóstwa łączyła Estów z drugimi ludami z Litewskiego także szczepu pocho-

(1) An eine Enträthselung des Namens wage ich mich nicht, tamże str. 141.

(2) Tamże str: 152 następu. str. 368

(3) Lindego słownik pod tym wyrazem.

(4) Voigt przywiedziony od *Zcassa* str. 660.

(5) Szafarzyka starozit: 1. str. 168.

(6) Szafarzyk tamże str. 167. Linde tamże.

dzącemi, jakimi np. byli Wilto - Lutyce. Powiada Tacyt że wyobrażenia dzika były u Estów znakami świętość oznaczającemi: toż samo o Lutykach poświadcza Dytmar (1). Mówi bowiem że dzik z kłębem białym był u nich czczony jako bóstwo, pokój lub nadcho- dzącą wojnę zwiastujące.

Drugą oznaką że siedm owych narodków z Lite- wskiego pochodziło rodu, jest Ignienie ich do wszy- stkiego co Litwinowi miłem było. Zastanawia bowiem że gdy Herulowie, lud szczepu Giermańskiego z Li- twinami odwiecznie spółkujący, poniósłszy klęskę od Longobardów około r. 506, tu szukali schronienia, mi- le przyjęci byli, i pomoc uzyskali w dostaniu się do spółbraci nad morzem Bałtyckim (2). Zastanawia że gdy się narodki owe w jedną zlały nazwę i siłę swą rozwinęły, Litewską narodowość upowszechniły tu zna- komicie, a język, obyczaje i t. p. też same miały co i odległej od nich mieszkający Litwini. Przywiódłem wyżej siedm nazw które im Tacyt nadaje. Źródłostów ich tłómacząc Grimm (3), uwagę przy nazwisku *Edo- ses* czyni, że ona toż samo co *luthusii*, *ludusii* oznacza. My wykażemy na inném miejscu że właśnie była to nazwa Litwinom właściwa, i spodziewamy się spełnić przez to życzenie Szafarzyka (4) pragnącego ażeby zczasem wykazał ktoś raczył, czy między narodo- wem imieniem Litwy a staroniemieckimi nazwami *litus*, *letus*, zachodzi lub nie jakie pokrewieństwo? I dru-

(1) Str. 151. wydania Wagnera.

(2) Prokop. de bello goth: II. 15.

(3) Deutsche Mythol: str. 152.

(4) Słowanske starozitn: 1. str. 375.

gi narodek tojest *Varini*, ma pewne z Litwinami powinowactwo. Chcąc to wykazać, daleko bo aż do Bretonów sięgnąć musimy, lecz podróż się opłaci, bo nowe na Tacytową Giermanią spadnie ztąd światło. Rokiem wprzód od Grimma, J. S. Meyer (1) uważał, że Angli i Varini Słowianami są, którzy około r. 449 wraz z Saksonami przesiedlili się do Brytanii. Lubo dowodów na pochodzenie Słowiańskie tych ludów nie przywiódł, ważnem przecież uczynił tę wzmiankę przez to, że rzucił światło na stosunek jaki między Bretonami a Anglami i Warynami, tudzież Litwinami, zachodzić musiał istotnie, gdy uciśnieni przez Piktów i Skotów właśnie do nich, jako dobrze sobie znanych, i do panujących im Saksonów udali się o pomoc. Znali pewno Bretonowie Litwinów, i ocierać musieli się jedni o drugich, gdy Estów (Litwinów) język ogłosił Tacyt za podobny do Bretońskiego, i gdy w niepamiętnych czasach mieli swe osady w gniaździe Bretonów, czyli w dzisiejszej Anglii (2). Cito Varini byli snadź najznakomitszym zpomędzy siedmiu onych narodków, gdy skoro się w jedno połączyły one przyjęły nazwę Warnów a ogólne siedmiu połączonych rzeczpospolit nazwisko. Badacze Niemieccy utrzymują że ci Warnowie nie sąto owi Tacytowi Varini, i że nie masz między obydwoma żadnego w dziejach związku, i że podobieństwo nazwy ich li tylko przypadkowi przypisać należy (3). Lecz i owszem, litewszczyzna którąśmy wykazali, była za Tacyta owym związkiem je-

(1) *Moje Pamiętniki o dziejach Słowian*, II, str. 297. 298.

(2) *Szafarzyka Starozitn.* I, str. 874.

(3) *Jahrbücher*, VI, I, str. 49.

dności rzeczonych ludów, którą wygluzować powinien kto chce rozerwać splątany od nas węzeł. Jest też sama litewszczyzna i po Tacycie jednością ową która Varinów czyli Warnów z resztą Litwy spaja. Pomi- jam że państwo Warnów, składające się niegdyś z dzi- siejszej Rugii, Meklemburga i przyległych im kraików, ma postać do ziemi którą lubili zamieszkiwać i dotąd zamieszkują Litwini, jest pełna jezior i bagien (dziś je osuszono) i t. p. lecz zastanawiam nad nazwiska- mi miejsc i osób Litewskimi, które w dawnych urzę- dowych aktach tutejszych z XII i następnych wieków pochodzących znajdujemy, nad zabytkami języka w pier- wszęj połowie XVI wieku zebranemi, tudzież nad szczątkami jego dziś jeszcze między tamecznym wie- śniactwem tułającemi się, które bądź czysto Litewską, bądź z Niemiecką i Słowiańską (Polską), pomieszaną przedstawiają mowę (1).

Tameczni uczeni w XV żyjący wieku, uważali ją za też samą mowę, która przed zmiemczeniem Rugii, Pomorza i Prus obudwóch, wschodnich i zachodnich, była w użyciu. Rzecz jest dla dzisiejszych Niemiec- kich badaczy dziwna, że gdy w północnych Niemczech lud mówi różnomieszanem narzeczem Giermańskiem, potomkowie dawnych Warnów używają jednego spo- sobu mówienia (2), co przecież łatwo jest odgadnąć, gdy pomnimy na to, że są oni jednego, że tak po- wiem, szczepu potomstwem, które się na jedenże zgiermanizowało sposób, nie zaś mieszaniną z ca- łych Niemiec pozbięraną i tu osiedloną drużyny. Po-

(1) Jahrbücher, VI, I, str. 53, 64.

(2) Jahrbücher, VI, I, str. 34.

mijam na litewszczyznę wskazujące pamiątki] znajdo-
wane dotąd w leżących tu pogańskich grobach, ja-
kiemi są kadzidło, naczynia z bursztynu i kruszcu wy-
rabiane, z rytymi na nich węzami, smokami i t. p. do
czci pogańskiej religii na Litwie używanymi niegdyś (1),
a zwracam pilną bacznąć na obyczaj noszenia broni,
który tenże sam był u Litwinów Prusaków w X, co
u Litwinów Pomorzan w XII, a nakoniec u Litwi-
nów Warnów w XVI jeszcze wieku. U Germanów i Sło-
wian broń sieczna zdobita suknię męża, bez której
kroku nie uczynił z domu. Litwin nosił w ręku dzi-
dę, a obyczaj ten zapisali kronikarze śmierć ś. Woj-
ciecha opisujący (2): wyraźniej wspomniał o nim żywo-
topisiec ś. Ottona z pierwszej połowy XII wieku (3),
a najwyraźniej Kanców Pomorski kronikarz XV wie-
ku poświadczył o tém, że chłopi na wyspie Rugii, na-
wet do kościoła chodząc, brali z sobą dzidy. (4)

Ptolomeusz wspomniał pierwszy o Polanach czyli
Polakach, a poprzednik jego Tacyt dzielnie wsparł
dane o nas świadectwo przez ojca ziemiopisarzy. Na
ile, nie lat ale wieków, przed tem wspomnieniem sie-
dział na swych łąkach i polach nasz naród, tego od-
gadnąć trudno, ale że dawno a dawno tam siedział,
i jest bardzo starożytnym obywatelem północnej Eu-
ropy, to widać jak na dłoni z pierwszego nawet kro-
nikarza Polskiego, z Mateusza herbu Cholewa. Z po-
wiastek jego na tle historycznym opartych, ale nieli-

(1) Jahrbücher, II, 2. str. 70, 72.

(2) U Pertz VI. str. 595.

(3) III. 8 lanceam, quam uti mos omnibus erat, manū ge-
stabat.

(4) Jahrbücher, VI, 1 str. 42.

tościwie pokaleczonych, mamy wiadomość powagą dziejów wierzytelnych wspartą, że najprzód Scytom, następnie Sarmatom i Celtom, a nakoniec Giermanom ulegaliśmy, sięgając początkiem najodleglejszej starożytności wieków. Żeśmy tak staremi będąc, nie zgrzybieli w poważnej sędziwości i nie zgnuśniali podobnie jak dziś niebieskie w Azyi cesarstwo, winniśmy to ruchawości wynikłej z przyczyny różnorodnego u nas rządu wschodnich i zachodnich ludów. Opuszczając nas każdy, zostawiał w darze co miał najlepszego, czem nie mało pokrzepił nasze siły omdlałe pod żelaznem berłem srogiego zwycięzcy. Scyta zostawił pomysły o gospodarstwie rolnem i łączących się z niem prawach własności, Sarmata do konia przykuty podał myśl o konnem rycerstwie którem następnie wiele dokazując, Sarmatów nazwę uzyskaliśmy od obcych; Celtowie i Giermanowie na rozwinięcie się władz umysłowych wpłynęli, i w zabytkach pogaństwa naszego, dowód swego niegdyś między nami pobytu zostawili mocny. Ostatni dali się szczególniej we znaki. Ci polityki i oręża Rzymskiego najbliżsi dziedzice, umieli podbijać i w poddaństwie utrzymywać Słowian. Celowali w tém Saksonowie którzy wszędzie, gdzie groźnym dosięgli orężem, na folwarki poobracali dziedziczne wsie Słowiańskie, tak iż u Niemców nawet weszło w zwyczaj folwarkowe gospodarstwo Saskiem, a przeciwnie wsiami sprawowane Szwabskiem czyli Swewskiem nazywać. Przeczą temu dziejów Niemieckich badacze, utrzymując: „że i owszem Słowianie wdarłszy się w dziedzictwo Giermańskich ludów, obrócili je na poddanych: i że mu-

sieli się w nią wdrzeć niezawodnie, gdyż dawną Giermanię rzeką Wisłą od Sarmatów, a więc od Słowian odgraniczył Ptolomeusz, i na równinach między Olbrzymiami i Czeskimi górami a Wisłą rozciągającymi się Lugiów umieścić, od staroniemieckiego wyrazu *luger* który szpiega oznacza, nazwawszy ich stósonie, albowiem naród ten stał na czatach broniąc przez rzekę przeprawy Słowiańskim ludom. (1) Tych to Lugiów reszta ma, jak mówią Niemcy, dotąd istnieć w Polsce, szlachtę składając. Chłopi zaś Polscy mają to być Słowianie, którzy po wielu politycznych przemianach, smutnemu ulegli losowi. Zawojowani bowiem przez Lachów (obcy, nie Słowiańskiego pochodzenia lud) w poddaństwo obróceniu zostali. Mają dotąd istnieć tego ślady na twarzach jednych i drugich: o ile chłopskie brzydkie, o tyle szlacheckie piękne i urodziwe są, co tym pewniejszą ma być rzeczą, że i p. Bułharyn przybyszem Polską szlachtę nazwał, która wdartszy się ponad Wisłę, tubylców zawojowała. (2) Tak mówią Niemcy, z którymi o to rozprawimy się później. Teraz tyle tylko przeciwko szpiegowskiemu pochodzeniu Lugiów nadmienię, że dziwną jest nader rzeczą, dlaczego rostopni i na wszystko ogłędni Giermanowie, ra-

(1) Tak mówi przywiedziony od Szafarzyka, 1, str. 334, Barth.

(2) Mir drängte sich, als ich jene Stelle Bulgarins las, der Gedanke auf, dass der polnische Adel der sich in Körper, Gesichtsbildung, von den Leibeigenen so auffallend unterscheidet, und im Durchschnitte schön zu nennen ist, während die stumpfe Physiognomie des gemeinen Polen meistens einen hässlichen Anblick darbietet, vielleicht eben so nur die slavisirte Nachkommenschaft der lygischen Herren darstelle... Jahrbücher VI, 1, str. 40, 50. Haxthausen tanze, str. 72.

częj od strony spokojnych rolników, jak od granic bitnych Rzymian szpiegów postawili na straży, a dziwniejszą, że Słowianie którzy po nich nastąpić mieli, chętnie nadali sobie tę nazwę, zwłaszcza gdy na podoręczu był wyraz *tug*, łęgę oznaczający (1), i nim ludzie łęgowate miejsca zajmujący, mogli się nazwać stósownie, tym bardziej gdy i insi Słowianie od miejsc nazwiska swe brali.

(1) Starostwoiańskie *tug*, *tugi*; Polskie najprzód *tug* (*serucolung*, *palus*) w akcie urzędowym z roku 1174. U Lisch meklemburgische Urkunden str. 9, za *szeroki tug* (później *żuk*), u Galla Lucie (Łęczycy), a następnie *żek*, *żak*.



☉ ŚWIETLE

Mowa prof. Ludwika Moser, miana na posiedzeniu Towarzystwa fizyczno-ekonomicznego w Królewcu d. 7 kwietnia 1843 r. (1)

Wiadomości o świetle ograniczały się aż do najnowszych czasów na tém, iż słońce i gwiazdy stałe światłem są obdarzone, że takowe z nich się rozchodzi, oraz że na ziemi otrzymać je można jużto przez podwyższenie temperatury, już téż przez pewne

(1) Odkrycie Dagiera (Daguerre) zwróciło uwagę wszystkich społecznych fizyków, w celu zbadania natury i działania światła dotąd nieznanego. Większa część usiłowań skierowaną jednakże została do praktycznej strony odkrycia tego, to jest do otrzymywania dokładnych, wyrazistych, a mianowicie krótkiego czasu potrzebujących rysunków. Z drugiej strony uczeni starali się zbadać wpływ odkrycia Dagiera na naukę. Między nimi Moser, professor fizyki w uniwersytecie Królewieckim znakomite zajmuje miejsce; robiąc stosowne doświadczenia, poczynił on nowe odkrycia i wnioski w nauce o świetle, może w tych czasach najważniejsze a stanowiące bez wątpienia jedną z głównych epok w fizyce. Odkrycia swe, spostrzeżenia i wnioski wyłożył Moser sposobem popularnym w Towarzystwie fizyczno-ekonomiczném w Królewcu, a następnie mowę swą ogłosił drukiem przed kilku-miesiącami. Czy wnioski czynione przez Mosera są prawdziwe i stosowne, i jakiego w przyszłości, losu doznają, sądzić dziś nie jesteśmy w stanie; to jednakże pewna iż pomimo najzaciętszą polemikę w tym względzie prowadzoną, jemu należy się cześć pierwszego doświadczenia i następnych spostrzeżeń.

(Przyp. Redakcyi).

fizyczne i chemiczne sposoby. Światło istniało dlatego tylko, ażeby było widzianem; uważano je za własność której działanie, w oku człowieka i zwierząt dopiero się pojawia. W skutek tego, musiano twierdzić, iż ten tylko promień słońca przeznaczenie swe wypełnił, który w swój drodze na oko ludzkie natrafił; wszystkie zaś gdzieindziej rzucone promienie, celu swego chybiły.

Promienie słoneczne mają mniej więcej zawsze tę własność, iż zmieniają kolor ciał, jużto jak częściej bywa na jaśniejszy, już też na ciemniejszy np. w solach srebra. Proces ten jednakże aż do dzisiejszego dnia nie zwrócił wielkiej uwagi i nie wywarł żadnego wpływu na znaczenie światła w całej naturze.

Fizycy cały dowcip i prace zwrócili w inną stronę. Promienie słońca w ogólności nim trafią do oka, znajdują się już poprzednio w styczności z innemi ciałami; ich droga, szybkość i inne własności zostają przez to zmienione, a dochodząc wreszcie do oka obznajmiamy nas z otaczającym nas światłem. Promienie słońca udzielają zatem oku naszemu wiadomość o styczności w jakiej były z ciałami, o kierunku w jakim te się znajdują, nakoniec o przeszkodach jakie w drodze swój napotkały. Otoczeni jesteśmy w rozmaitych odległościach ciałami odmiennego kształtu, różnorodnych własności, a o 20 milionów mil leży przyczyna, która nam w sposób najbardziej przystępny wszystko to rozpoznać pozwala! Dziwne zjawisko! Lecz nie zatrzymując się dłużej, obaczmy raczej jakie stanowisko fizycy w swych badaniach obrali. Ażeby za pomocą światła, ciała oku naszemu

widocznymi stać się mogły, koniecznym jest iżby też ciała na promienie światła wpływ wywierały. Tak też się dzieje; ciała promienie światła przez odbicie napowrót odsyłają; zmieniając ich kierunek przepuszczają przez siebie, nakoniec pewną część absorbują. W szczególnych razach odbicie to, łamanie i absorbowanie bardzo jest zawikłanem, i cała praca fizyków prawie wyłącznie temu przedmiotowi poświęconą została. Na tém polu odnieśli uczeni wiele tryumfów, i prawa *ruchu* światła ze znakomitą dokładnością odkryć się im udało. Lecz światło nie tylko ruchowi jest podległym, a poddając uczonym spostrzeżeniom działanie ciał na światło, zupełnie zaniedbali zbadać wpływu jaki światło na ciała wywiera.

Takim był stan rzeczy aż do odkrycia *Dagiera*, który zmusił światło do okazania swego działania w sposób bardziej oznaczony, niezależny od oka. Zadanie, za pomocą takiego światła otrzymać obraz na tafli srebrnej, uwieńczył, jak wiadomo, pomyślny skutek. Zapominając o wszystkich szczegółach przy powyższem postępowaniu w ogólności, obraz *Dagiera* uczy nas, iż jakkolwiek przedmiot, np. dom od którego promienie światła się odbijają, w pewnym i oznaczonym znajduje się stosunku do tafli srebrnej stosownie ustawionej, tafla bowiem ta ulega wyraźnemu wpływowi promieni światła przez dom odbitych.

Ważne odkrycie *Dagiera* miało w sobie zarody zdolne wyrzeć znakomity wpływ na naukę, większy aniżeli odwieczne działanie światła na kolory. Nieoznaczone bowiem działania, jak np. powolna zmiana kolorów, zwykle mniej silnie zajmują nasz umysł i nie pobudzają do głębszego badania. Potrzeba było

właśnie dokładności prawie cudownej dagierotypu do przypomnienia iż czas jest zbadać naturę światła w inny jak dotąd sposób. Lecz znalazła się przeszkoda swobodnemu badaniu: *teorya*. Mówiono: jeżeli światło sole srebra czerni, innym ciałom kolor odbiera, i t. d. jestto tylko działanie *chemiczne*. Dagier używa mieszaniny srebra z jodem; przypuszczano zatem bez żadnej zasady, że pod wpływem światła jod znikną, a pozostające srebro czarnem się wydaje. Że zaś nie zdawało się prawdopodobnem ażeby światło mogło sprawić rozdział ciał chemicznie połączonych, wynaleziono zatem nowy zupełnie rodzaj promieni, którym powyższe działanie przypisano. Promienie te słońce wspólnie z promieniami światła i ciepła ma wysyłać; prawa ruchu są te same, działanie zaś ich okazuje się w zmianie kolorów oraz w rysunkach na tafli srebrnej. Nazwano je promieniami *chemicznemi*; a światło, dzięki powyższej bezzasadnej hipotezie, odzyskało dawny przywilej istnienia jedynie dla świata zwierzęcego, i tak powrócono szczęśliwie do mniemania, iż każdy promień światła który do oka nie doszedł, przeznaczonemu swemu nie odpowiedział.

W rozwiązaniu mego zadania, a zarazem dla uwolnienia się od tych ciasnych i ograniczonych pojęć o naturze światła, muszę zwrócić bliższą uwagę panów na odkrycie Dagiera, jako ścieszkę, po której postępować musimy, ażeby dojść do prawdziwego pojęcia i żadną dotychczasową teorią nie związanego zdania o świetle. Przepis Dagiera do otrzymywania obrazów jest następujący: Czystą tafelę srebrną należy wystawić na działanie pary jodu, póki srebro z jodem się nie połączy i nie nabierze koloru żółtawego. Nastę-

pnie, tak przygotowaną taflę. poddaje się za pomocą soczewki przez pewien czas na działanie promieni światła, przez przedmiot żądany odbitych, lecz nie nazbyt długo, ażeby jodek srebra nie zczerniał. Tafla przed zczernieniem oddalona, nie okaże żadnego śladu działania światła, lecz działanie to miało miejsce; bo jeżeli tafla powyższa przeniesioną potem zostanie pod parę merkuryuszu, powstanie najdokładniejszy rysunek żadanego przedmiotu. Para merkuryuszu skropi się w miejscach przez promienie światła oświetlonych i które wtedy nabiorą koloru białego. Ostatnią część postępowania, to jest skraplanie się i osiadanie pary merkuryuszu, uważam za jedno z najpiękniejszych odkryć tego wieku. Jeżeli jodek srebra w jakimkolwiek punkcie działaniu światła był poddany, punkt ten tak się zmienił, iż zmusza parę do porzucenia stanu lotnego i osiadania na nim w kształcie płynu. Usiłowania Dagiera okazały skutek daleko większy i zupełnie inny jak wszystko, co sądząc po dotąd znanych faktach, po świetle spodziewać się było można; skutek ten tak jest szczególny, iż głębsze jego rozpoznanie nie tak prędko nastąpić może. Dlatego też nie chcę mierzyć sił moich z tak ogromnem przedsięwzięciem, i wracam do rzeczy.

Podziwiając ważne odkrycie Dagiera, wpada natychmiast pod oczy jego ograniczoność w pytaniu: czy szczególne działanie światła jedynie na jodek srebra wpływ swój wywiera? Czynione przezemnie doświadczenia dały mi na pytanie powyższe zaspokajającą odpowiedź, i przekonały, iż wszystkie doświadczeń użyte ciała, takiemu samemu wpływowi światła podlegają, zmuszając parę merkuryuszu do

osiadania. Używany przez Dagiera jodek srebra, odznacza się tylko większą czułością, i prędszej lecz nie inaczej działanie światła przejmuje, jak inne ciała. Nasuwa się przytém dalsze pytanie: czy tylko para merkuryusza zdolną jest do skraplania się w miejscach działaniem światła do tego przygotowanych? Doświadczenia w tym celu przedsięwzięte okazały i tu, iż każda para posiada powyższą własność, jeżeli działanie światła przez należyty przeciąg czasu miało miejsce.

Na mocy tak pomnożonych faktów, może teraz i światło wejść w szereg ogólnych sił natury i znakomite w nim zająć miejsce. W całym świecie fizycznym najważniejszą jest może zmiana stanu ciał. Do tąd cieplik był za jedyną tej zmiany zasadę uważany; podwyższenie lub niżenie temperatury było przyczyną czy się woda jako lód, para lub płyn pojawiała. Przemiana płynu na parę lub pary na płyn zależała jedynie od cieplika, który też za jedną z najważniejszych sił natury był uważanym.

Zdanie to jednakże dziś już nie jest zupełnie prawdziwym, bo światło również jest w stanie zmieniać stan normalny ciał. I tak, np. tafli srebrna jodowana (pokryta jodkiem srebra) wyjęta z ciemni optycznej, nosi już na sobie obraz żądanego przedmiotu, chociaż jeszcze na niej nic nie widać. Wystawiwszy ją na działanie pary merkuryusza, para ta w pewnych miejscach na tafli osiędzie, nie mogąc dłużej stanąć lotnego zachować, a obraz stanie się widzialnym. Tak tedy jedynie przez działanie światła stan normalny pary został zmienionym, niezależnie od wpływu ciepła. Powiedziałem wyżej, iż nietylko para merkuryusza

osiada w miejscach oświeconych, ale że też sama własność każdej pary jest udziałem przy stosownych okolicznościach. Co więcej, nawet zmiana ciał płynnych na stałe, za pomocą działania światła, miejsce mieć może, chociaż dotąd mało czyniono w tym względzie doświadczeń.

Zważając zatem wszystko co dotąd powiedziałem, okazuje się, iż światło na ziemi nie tylko do widzenia służy, ale że ma także inne cele, i że promień słońca przeznaczenia swego jeszcze nie chybił, chociaż w swęj drodze na oko ludzkie nie natrafił.

Wracając jednakże do oka, miałożby światło dwójakie działanie wywierać: jedno na wszystkie ciała, drugie tylko na oko? Newton powiedział, że w fizyce tyle tylko, a nie więcej przyczyn przyjmować należy, ile same zjawiska natury wymagają; bo w naturze, dodaje w objaśnieniu, nie ma zbytku przyczyn. Miałożby być zbytek skutków? Oko składa się z cząstek przezroczystych kształtu kulistego, które promienie światła łamią tak jak soczewki szklane. Promienie które z jakiegokolwiek punktu zewnętrznego do oka się rozchodzą, zbiera organ widzenia w jedno ognisko, a postępując tak z każdym punktem zewnętrznego przedmiotu, powstaje obraz w głębi oka. Z drugiej strony nerw wychodzący z mózgu, rozpościera się po całym oku, przyjmuje obraz i przeprowadza wrażenie z oka do mózgu. Dwie umiejętności dzieliły się dotąd badaniem powyższego procesu widzenia: fizyka i fizjologia. Fizyce przypadła naturalnie część przezroczysta organu, jako podobna w następczących się zagadnieniach do zwyczajnych soczewek szklanych. Uważano oko za aparat optyczny, i doskona-

łość jego dowieść się starano. Bo i jakże miało być inaczej! Rzniemy soczewki, składamy narzędziu, ażeby otrzymać jak najwyraźniejsze i najczystsze obrazy, i cel ten mniej lub więcej osiągamy. W oku natomiast natura sama utworzyła aparat optyczny, który zatem musi posiadać doskonałość, o jaką napróżno się staramy i tylko przybliżonym sposobem otrzymać możemy. Badania fizyków po większej części w tę stronę były skierowane i żadnego prawie nie przyniosły skutku. Oko bowiem oceniając dobroć jego, jak dokładność lunety lub ciemni optycznej, nie jest doskonałym narzędziem; nie jest nawet achromatycznym. Co więcej, doskonałość tego rodzaju nie miałaby żadnej zalety, bo przeznaczeniem oka nie jest odbijać z najściślejszą dokładnością żądane obrazy, ale raczej pojmować je, to jest za pomocą nerwów przeprowadzać wrażenie do mózgu. Nerwy te mogą być subtelne, cienkie, jak najciensze, ale nie *nieskończenie* cienkie; nieskończonej zaś cienkości byłoby potrzeba, gdybyśmy wszystkie pojedyncze, matematyczne punkta obrazu przyjmować mieli. Dlatego też badania fizyków w sposób dotąd czyniony, coraz mniejszą mają wartość. Obaczmy jak fizjologia zadaniu swemu odpowiedziała.

Upowszechnionem było mniemanie, iż gdzie tylko nerwy pod uwagę przychodzą, zwykły sposób badania nie jest ani stosownym, ani dostatecznym; substancja bowiem nerwowa posiada sobie właściwy, szczególny charakter: żywotność organiczną. Przypuszczano iż kiedy obraz jakiego przedmiotu za pośrednictwem oka do rozgałęzionych po niem nerwów dochodzi, dalszy proces, to jest przeniesienie obrazu do mózgu

i pojęcie dostrzeżonego przedmiotu, działaniu siły żywotnej w nerwach zawartej podlega, i żadnej nie ma analogii ze sferą ciał nieorganicznych. W oku bardziej aniżeli w jakimkolwiek innym organie zmysłów, zdawał się okazywać swobodny ruch siły organicznej, gdyż w widziadłach różnych zwykle, niezbyt wielka panuje ścisłość z zewnętrznymi zjawiskami. Zdarzają się nawet częstokroć złudzenia subiekcyjne, widziadła przedmiotów w naturze wcale nie istniejących. W zdrowym nawet stanie zmienia oko istniejące kolory, spostrzega nowe żadną zewnętrzną nie uzasadnione przyczyną, lub też kolejno rozmaite przechodzi. Malarze i poeci Leonardo da Vinci i Göthe, z zamiłowaniem badali przedmiot wolny, podług ich mniemania, od ścisłych prawideł nieżywotnej natury. W takim stanie rzeczy, pozostało tylko dla fizjologii spostrzeganie powyższych zjawisk, a gdzie objaśnienia wymagano, działanie siły żywotnej ogólnem było tłómaczeniem, jako wygodna pomoc która zadania nie rozwiązuje, lecz tylko oddala. Szczęściem, znamienici fizjologowie naszych czasów, pomoc tę już sobie przykrzyli, i ścierają się bliżej z organizmem, nie szukając objaśnienia w nieoznaczonych pojęciach siły żywotnej i jej działaniu. W miejsce dawniej, przybędzie nowa pomoc: prawdziwe zrozumienie i pojęcie oka; okaże się bowiem iż światło nieinaczéj na nerwy działa, jak na wszystkie ciała, że zatém substancja nerwowa ogólnym prawom każdej materji podległa, i że nawet zjawiska, które napozór ze swobodnego działania twórczej siły organicznej powstawać się zdają, nie różnią się bynajmniej od działania światła na inne substancye np. na taflę srebrną jodowaną.

Podobieństwo i jednorodność dwóch wyżej wymienionych procesów: widzenia i odbijania rysunków na tafli srebrnej, tak są ważne, iż zdaniem mojem nie będzie zbyt późnóm dłużej przy nich zabawić.

Jeżeli powiedziałem że światło na wszystkie ciała działanie swe wywiera, rozumieć to tylko tak należy, że działanie to na zewnętrzną jedynie powierzchnią do nieskończenia małej głębokości się rozciąga. Trzeba to dobrze przy niniejszych spostrzeżeniach w myśli zachować, ażeby przypadkiem substancji nerwowej nie przypisać zbyt głębokiej zmiany. Warstwa np. jodku srebra której do dagierotypów używamy, ma grubości zaledwie milionową część linii, a jednak nawet najmocniejsze i najdłużej trwające światło słoneczne, działanie swe jedynie na zewnętrzną powierzchnią tej warstwy wywiera, lecz jej zupełnie nie przejmuje. Pod czernioną bowiem powierzchnią, znajduje się jeszcze niezmienny, na światło czuły jodek srebra. Zwyczajny zatem wpływ światła, ogranicza się na powierzchni ciał, a zmiana ich substancji przezeń sprawiona, nie rozciąga się głęboko.

Jakim sposobem światło powierzchnią ciał zmienia, jak już wyżej rzekłem, dotąd nie wiemy, i może nigdy wiedzieć nie będziemy. Dość na tém że zmiana ta się pojawia, jeżeli ciało następnie na działanie pary wystawimy, a nawet są jeszcze inne sposoby dostrzeżenia tej zmiany, chociaż dziś się niemi nie będziemy zajmować. Gdyby chciano przeczyć że substancja nerwowa tej samej zmianie podlega, do czego żadne znane dotąd zjawisko, nie upoważnia, proces widzenia możnaby wtedy tylko tak wytłómaczyć, iż oko liczy owe biliony wahań, które światło podług

uzasadnionych w fizyce dowodów, w jednej sekundzie czyni. Między takimi dwiema teoryami, czucia materialnej zmiany nerwu i liczenia bilionów wahań, nietrudny zdaniem mojem wybór.

Oprócz tego zachodzi przy widzeniu pewna okoliczność, która sama jedna już dostatecznie wyborem tym kierować może. Delikatne bowiem doświadczenia dowiodły, że nie w tej samej chwili spostrzegamy, w której promienie światła do oka naszego dochodzą, lecz że na to potrzeba pewnego, chociaż nader krótkiego czasu. Również raz dostrzeżone przedmioty, nie znikają jednocześnie z ich usunięciem. Oko zachowuje zawsze obrazy widzianych a znikłych przedmiotów, choć na sekund kilka. Trwanie tego widzenia, jeżeli natężenie światła było mocne i wpatrywanie się ciągłe, liczyć można na minuty, godziny, a przy stosownych okolicznościach nawet i dłużej. W takim bowiem razie substancja nerwowa znacznie zmieniona, potrzebuje długiego czasu dla powrócenia do stanu normalnego zwykłej wrażliwości. W tem leży przyczyna dlaczego tak trudno patrzeć bez przestanku na jeden i tenże sam przedmiot; trudniej, aniżeli się zwykle zdaje. Silne muskuły które oku ruch nadają, są po większej części naszej woli podległe a jednakże pomimo najsilniejszej woli, nie jesteśmy w stanie oko przez minutę lub więcej w niezmienionem zachować położeniu. Ciągły ruch jest stanem normalnym oka.

Zjawiska powyższe trudnoby wytłómaczyć za pomocą dostrzegania i liczenia wahań, lecz w zupełności zgadzają się one z tem, co po teorii przezemnie wyłożonej wymagać można. Zmiany materialne przez ciągłe działanie stają się coraz silniejszymi; oko zaś

przez ciągły ruch stara się od nich uwolnić. W naturze *czas* wywiera przy każdej zmianie materialnej ważny wpływ; widzenie także nie jest wolnym od jego działania, jak to już wyżej okazaliśmy. Wprawdzie na substancją nerwową oka w przyszłym czasie działanie światła wpływ swój wywiera, aniżeli na inne substancje, z którymi doświadczenia dotąd były czynione, lecz przyznać to śmiało można, nie lękając się ażeby przeciw naszej teorii różnicę gatunkową przywiedziono. Z czułością i wrażliwością dostatecznie jesteśmy w fizyce obznajomieni, i większej do nich jak należy wagi nie przywiązujemy. Nie wychodząc nawet z obrębu nauki światła, widzimy iż czyste srebro tak jak każde inne ciało czułym jest na jego działanie, ale nierównie mniej od jodku srebra używanego przez Dagiera. Zaledwie Dagier podał swe odkrycie do wiadomości powszechnej, a wkrótce chęć otrzymywania obrazów żywych, ruchomych przedmiotów, naprowadziła na myśl powiększenia czułości jodku srebra przez dodanie chromu i bromu, tak że dziś sekundy tam wystarczają, gdzie Dagier minut potrzebował, a gdzie przy czystym srebrze dni zaledwieby coś skutkować mogły. Gdzież jest przyczyna, dla którejby dalej postąpić nie można? wszak całe odkrycie nie jest jeszcze zbyt odległym. Nie potrzeba nawet zbyt wiele, a wkrótce dobrze przyrządzone tafle srebrne nieznacznie ustąpią w czułości substancji nerwowej. Wreszcie dla wyrażenia istotnego stosunku, można śmiało powiedzieć, iż dziś już mylnym byłoby twierdzenie, jakoby tafle srebrne mniejszą posiadały wrażliwość jak błona nerwowa. Porównujemy zwykle czas potrzebny oku do dostrze-

żenia przedmiotu, z czasem którego tafla srebrna jodowana potrzebuje dla wydania dagierotypu. Czyż porównanie to jest słusznem i dozwolonem? Zdaniem mojem mierzymy różną miarą, z widoczną krzywdą tafli jodowanej. Żądamy od tafli ażeby para merkuryusza na niej się skraplała i to w znacznej ilości, gdyż chcemy otrzymać wyraźny i czysty rysunek. Lecz rysunek ten był już na tafli, nim pierwszy atom pary merkuryusza na niej osiadł. Można by nawet dowieść iż w 50 razy krótszym czasie od tego który zwykle za potrzebny uznajemy, rysunek odbił się z całą dokładnością na jodku srebra, lecz jeszcze niedostatecznie dla działania pary merkuryusza. Dla oka natomiast światło zaraz z początku jest już tak silnem, iż nawet od dalszego jego działania oko wszelkiemi siłami uwolnić się stara. Potrzeba zatem porównać w obudwu razach jednakowe stopnie działania, a okaże się że substancya nerwowa niewiele jest czulszą od jodku srebra.

Lecz czas już wrócić do właściwej fizyki, którą na chwilę opuścić było potrzeba dla postawienia substancyi nerwowej w jednym i tymże samym co wszystkie inne rzedzie, i dla wyrzeczenia ogólnego twierdzenia: iż *światło na wszystkie ciała działanie swe wywiera, i na wszystkie jednakowo*. Twierdzenie to jest pełnem treści, gdyż wymaga opuszczenia na zawsze dawniej teoryi światła. Światło było dotąd czynnikiem działającym na oko; dziś przybrać musi nazwę czynnika wywierającego na wszystkie ciała działanie przezemnie powyżej opisane, a które np. przez skraplanie się pary, dostrzegalnem się staje. Dotychczasowy zaś przywilej oka, od dnia dzisiejszego zniesionym być musi.

Przeszło dwa wieki upłynęło, jak podobny przywilej w nauce o ciepłiku usunięty został. Pewne oznaczone wrażenie nazywało się dawniej ciepłem, inne zimnem; aż póki nie odkryto siły ogólnej wywierającej swe działanie na wszystkie ciała, a wtedy to ogólne działanie musiano przyjąć za określenie działającej siły; przywilej zaś organizmowi służący ustał. Termometr zajął jego miejsce, tak jak, zdaniem mojem, niewątpliwie tafla srebrna jodowana odtąd miejsce oka zastąpi. Nauczono się stopniowo poznać ciepłik, którego wcale czuć nie można, poznano ciepłik utajony, gatunkowy i t. d. Gdyby wtedy nie oddzielono nauki o ciepłe od wpływu wrażenia i uczucia które w nas obudza, czyżby odkrycia te nastąpić mogły?

Usiłowania do wzniesienia sił przyrodzonych nad sferę organizmu, nie są i nie mogą być próżne; nie zasadzają się bowiem na nieoznaczonych wyobrażeniach o zawikłanych sposobach jakimi siły te w organizmie działają. Nie od rzeczy będzie bliżej się nad tem zastanowić dla usprawiedliwienia zamierzania fizyki w powierzaniu miary i szacunku sił natury ciałom nieorganicznym. Wrażenia i uczucia nasze podlegają pewnym prawom stojącym na przeszkodzie dokładności wszelkich doświadczeń, i spostrzeżeń fizycznych. I tak, nie czujemy nigdy bezwzględnego stopnia działania świata zewnętrznego na zmysły, lecz jedynie wpływ względny, zwykle zastósowany do równoczesnych lub poprzednich wrażeń zmysłowych tegoż rodzaju. Światło np. świecy, mniej daleko na nas działa, jeżeli opuszczamy miejsce bardziej oświetlone; w dzień zaś zaledwie jest dostrze-

galn \acute{e} m, chocia \acute{z} wieczorem wywiera na nas mocne wra \acute{z} enie. R $\acute{o$ wnie \acute{z} wielko \acute{s} ć przedmiot \acute{o} w, a nawet ich kolor, ulegaj \acute{a} do pewnego stopnia powy $\acute{z$ szemu prawu. Pi \acute{e} kni \acute{e} m t \acute{e} ż jest przeznaczenie tego prawa ku z \acute{a} godzeniu i stopniowaniu cz \acute{e} stokro \acute{c} zbyt silnych i dra $\acute{z$ liwych wra \acute{z} en \acute{i} \acute{s} wiata zewn \acute{e} trznego skierowane. Lecz od narz \acute{e} dzi fizycznych musimy wi \acute{e} cej \acute{z} ada \acute{c} , musimy wymaga \acute{c} a \acute{z} eby si \acute{e} zawsze bezwzgl \acute{e} dnie wyrazi \acute{a} ły. S \acute{f} awny Bouguer podr $\acute{o$ żuj \acute{a} c w przesz \acute{y} ym wieku w strefie gor \acute{a} c \acute{e} j, opisuje zimno, jakiego pewnego razu dozna \acute{l} . Przed niewielu laty kapitan Parry opowiada w swoich podr $\acute{o$ żach o gor \acute{a} cach jakie w strefie p $\acute{o$ lnocnej na woln \acute{e} m powietrzu znosi \acute{c} musia \acute{l} , tak \acute{z} e by \acute{l} zmuszonym rzuci \acute{c} cz \acute{e} ść sw \acute{e} j odzie \acute{y} . Gdyby Bouguer w strefie gor \acute{a} c \acute{e} j zimna, a Parry w okolicach biegunowych ciep \acute{a} ta nie czuli, zapewne nikt nie chcia \acute{l} by odby \acute{c} tak dalekich podr $\acute{o$ ży. Jaka \acute{z} by \acute{l} aby dok \acute{a} dn \acute{o} ść wiadomo \acute{s} ci fizycznych o st \acute{o} sunkach ciep \acute{a} ta na ziemi, gdyby termometr nie towarzyszy \acute{l} owym w \acute{e} drowcom? Jedynie tak nieprzedajemu \acute{s} wiadcowi mo \acute{z} na da \acute{c} wiar \acute{e} , i \acute{z} Bouguer marz \acute{n} \acute{a} ł na 17 $^{\circ}$ ciep \acute{a} ta pod \acute{t} ug Reomiura, i \acute{z} e Parry na 10 $^{\circ}$ zimna suknie z siebie zdejmowa \acute{l} !

Potrzebujemy r $\acute{o$ wnie pewnej miary dla \acute{s} wiat \acute{l} a, jak \acute{a} jest termometr dla ciep \acute{a} ta od lat tyłu. Do \acute{s} wiadczenia przezemnie czynione okaza \acute{y} mi z wszelk \acute{a} pewno \acute{s} ci \acute{a} i \acute{z} istnieje *\acute{s} wiat \acute{l} o niewidzialne* (*unsichtbares Licht*), i \acute{z} e tam gdzie jest dla oka zup \acute{e} łna ciemno \acute{s} ć, promienie \acute{s} wiat \acute{l} a silnie dzia \acute{l} uj \acute{a} . Do spostrze \acute{z} en \acute{i} zat \acute{e} m naszych, oko zup \acute{e} łnie wchodzi \acute{c} nie powinno, gdy \acute{z} mo \acute{z} na powiedzie \acute{c} i \acute{z} przez jego podania w \acute{l} asnie, stan ciemno \acute{s} ci w naturze w \acute{c} ale nie-

istniejący wymyślonym został. Na twierdzenie to, które z należytą dokładnością będę się starał objaśnić, chciałbym zwrócić szczególną panów uwagę.

Powiedziałem już wyżej iż światło ma tę własność, że skrapla parę w miejscach które oświetla. Żadna dotąd znana nam siła w naturze własności tej nie posiada, a przynajmniej żadna z równym skutkiem. Wszystkie bowiem inne siły, jeżeli w jednym miejscu na jakie ciało działają, rozszerzają się bezpośrednio we wszystkich kierunkach po całym ciele, a przynajmniej po jego powierzchni. Światło natomiast *nie okazuje ani śladu rozszerzania się po ciałach*, nawet przy najdłuższem działaniu i najsilniejszym nateżeniu. Jakżeby inaczej drobiazgową dokładność dagierotypów wytłómaczyć można? Działanie zatem światła nigdy nas w wątpliwości o sobie nie pozostawia, dla tej prostej przyczyny, iż żadna inna siła natury tak oznaczonego wpływu wyrzeć nie może. Światło słońca składa się z 7 kolorów tęczy; każdy kolor jednakowo na ciała oświetcone działa, z tą tylko różnicą, iż każdy z nich innego potrzebuje czasu do nadania swemu działaniu pewnego stopnia oznaczoneści. Zresztą wpływ ich jest równy i dlatego też wszystkie te różne odcienia światła, w jeden i tenże sam pojawiają się sposób.

To przypuściwszy, postawmy jakiegokolwiek ciało w bliskości powierzchni gładkiej, najlepiej metalowej, trzymajmy ją przez pewien czas nie zmieniając położenia w miejscu gdzie światło widzialne wcale nie dochodzi. Odsunięta tafla nic na sobie nie okaże, lecz następnie wystawiona na działanie pary, *nosić będzie na sobie obraz ciała, które obok niej się znajdowało.*

Ciało zatem to działało zupełnie tak, jak gdyby promienie światła z niego się rozchodziły; tak też jest rzeczywiście, gdyż światło tylko wpływ powyższy wyrzucić mogło. Światło zaś to jedynie ciało temu mogło być właściwem, bo światło pożyczane, za pośrednictwem którego widzimy, zupełnie było usuniętem i w miejscu w którym doświadczenie było czynione, wcale się nie znajdowało. Doświadczenia powyższe robiłem w ciemnych pokojach w nocy, tak że żadne inne światło na ciała nie padało i ich odbicia skutkować nie mogło. Następnie poznałem własności, czyli że tak rzekę, kolor tego niewidzialnego światła (kolor w znaczeniu jakie do niego w fizyce przywiązujemy uważany), i znalazłem iż światło niewidzialne odróżnia się od widzialnego, tak jak kolor fioletowy od czerwonego. *Odróżnia się*, a ztąd wypada wniosek, iż gdyby nawet pomimo wszelkich starań zwyczajne światło do miejsca, w którym doświadczenia czyniłem, doszło, światło to jednak odbicia się ciał na tafli metalowej wytlómaczyłoby nie mogło.

Powyższe zasadnicze doświadczenie, potrzebuje niektórych objaśnień.

Co się tycze powierzchni na której obraz ma się okazać, rozumie się samo przez się, iż powierzchnia ta musi być zupełnie czystą i o ile można wypolerowaną; zresztą wybór nie jest ograniczony. I tak, zupełnie jest obojętną rzeczą jakiego metalu użyjemy. Wprawdzie na innych substancjach nie są zwykle tak dokładne i wyraźne, gdyż nie tak łatwo je należy wygładzić, lecz działanie jest zawsze jednakowe. Otrzymywałem częstokroć żądane rysunki w ciemno-

ści na szkłe, porcelanie, miedzi, żywicy, a nawet na płynnym merkuryuszu. Nikt zatem wątpić nie będzie iż powierzchnia wszelkiej substancji do powyższych doświadczeń jest zdatną.

Co do przedmiotów których rysunki otrzymać chcemy, używałem do tego najrozmaitszych ciał, nigdy bezskutecznie. Czy ciała przy świetle dzienném ten lub ów kolor mają, czy są białe lub czarne, do doświadczeń w ciemności czynionych nie ma żadnej różnicy. Najciemniejsze ciało, jak np. czarny aksamit, rozpromienia właściwe światło i odbija się za jego pośrednictwem, równie jak i najjaśniejsze: częstokroć nawet jak sam doświadczyłem, daleko lepiej.

Z jednej zatem strony wszystkie ciała rozpromieniają właściwe sobie światło, z drugiej nie ma substancji, któraby nie była czułą na jego działanie. Na mocy tych zasad można wyrzec prawidło, iż w naturze *każde ciało odbija swój obraz na każdym innym*, rozumię się z dostateczną dokładnością i wyrazistością wtedy tylko, gdy do niego należycie zbliżonóm zostanie, tak że promienie działające swe wywrzeć mogą. Widzenie zatem t. j. strona jego *przedmiotowa*, ogólném jest w naturze prawem, każdemu ciału wspólném. Widzenie to indywidualizuje się tylko w istocie *żyjącej*, tak iż za pomocą aparatu łamiącego światło, dokładne odbicie się przedmiotu nawet bardzo oddalonego podobném się staje. Natomiast wszelka istota żyjąca, a przynajmniej z pewnością powiedzieć możemy, człowiek, nie może rozpoznać ani dostrzedz właściwego światła ciał, i ciała te obdarzone istotném światłem, tylko przy obcém oświeceniu poznaje.

Życzeniem będzie panów niewątpliwie poznać przyczyny, jakie nauka na wytłómaczenie tego dziwnego stósunku oka do właściwego każdemu ciału światła podać jest w możności. Co do tego, wyjawić tylko panom mogę moje zdanie, gdyż doświadczenia potrzebne do uzasadnienia naukowych wniosków, musiałyby być na samémże oku czynione, doświadczenia zaś te są niepodobne. Zdanie zaś moje o ile jest prawdopodobnem, sami panowie osądzicie. Promienie światła niewidzialnego, nie wywierają na błonę naczyniową oka żadnego wrażenia, *dlatego, że do niej wcale nie dochodzą, bo są wstrzymywane przez substancye przed nią leżące.* Substancye te są dla zwyczajnego światła przezroczyste, tak jak białe szkło lub czysta mika. Lecz szkło i mika również nie przepuszczają przez siebie niewidzialnego światła ciał. Dlaczegożby przezroczyste części oka nie posiadały tej samej własności, dla czegożby nie miały przeszkadzać niewidzialnym promieniom dojścia do błony naczyniowej? Objasniając bliżej zdanie moje dodam nawet, iż z pomiędzy substancyj przezroczystych oka, zapewne błona rogowa czynność tę wypełnia. Należy ona bowiem do ciał stałych; nie znam zaś dotąd żadnego ciała stałego któreby przez siebie światło niewidzialne przepuszczało, chyba gdyby temperatura znacznie podwyższoną została. Natomiast światło niewidzialne z łatwością przechodzi przez ciała płynne, wodę, oleje i t. d.

Podług zatem tego co wyżej powiedziałem, indywidualny charakter organu widzenia, co się jego *przedmiotowej* tycze strony, nie leży bynajmniej w substancji nerwowej, lecz w częściach oka łamiących świa-

tło. Oneto, jak z jednej strony przedmiot nawet bardzo oddalony, *wyraźnym* i *widzialnym* czynią, tak z drugiej stają na przeszkodzie że nawet ciało w bliskości będące, za pośrednictwem właściwego sobie światła dostrzeżonem być nie może.

Przy tej okoliczności muszę dodać dla uniknienia nieporozumień, iż gdybyśmy mogli ciała w ich własnym widzieć świetle, inaczejby się one oczom naszym przedstawiły, jakieśmy do tego przyzwyczajeni. Cień, tak ważny w osądzeniu istotnej postaci ciał, nie miałby wcale miejsca, jako ściśle z tem związany iż ciała przez światło słoneczne zewnątrz są oświetlone. Również znikłyby różnice kolorów, a przynajmniej inny byłby ich stósunek, gdyż kolor zależy zupełnie od tego, iż ciało obce światło, które na nie pada, w pewny i oznaczony sposób zmienia i napowrót odsyła.

Wracam do doświadczenia, o którym jeszcze kilka słów dodać muszę. Skoro powierzchnia tafli obraz jakiego ciała na sobie w ciemności odbiła, potrzeba jeszcze działania pary dla okazania tego wpływu, tak jak tafła Dagiera dopiero po przeniesieniu jej pod parę merkuryusza obrazy żądanych przedmiotów przedstawia.

Jużem wyżej przywiódł, iż Dagier do swych obrazów, używa pierwszych stopni działania światła, nie dozwalając nigdy ażeby światło jodek srebra zczerniło. W tem pierwiastkowym działaniu, obraz jedynie przez działanie pary merkuryusza, dostrzegalnym się staje; ta tylko para jest dotąd w tym względzie skuteczną. Ponieważ zaś niewiadome są szczególne własności tej pary, które ją w tem użyciu od wszelkich

innych odróżniają, przeto para merkuryuszu długo jeszcze jedyną będzie przy otrzymywaniu dagierotypów. Wprawdzie czynione przezemnie doświadczenia okazały mi, iż zupełnie inny gaz, wodoród, prawie z równym skutkiem do dagierotypów użytym być może; przy stósownych nawet okolicznościach, z równą wyrazistością obrazy odbija. Lecz trudno jest otrzymać wodoród tak czysty, jak tego subtelność doświadczeń powyższych wymaga; z téj przyczyny nie mogłem jeszcze dostatecznie poznać własności wodorodu w tém zastosowaniu, i nie mogę panom udzielić dokładniejszej wiadomości. Dość na tém, iż dotąd jedynie dwie substancye są znane: para merkuryuszu i wodoród, które działanie światła zwyczajnego na jodek srebra okazują.

Jeżeli natomiast otrzymujemy rysunki za pomocą światła niewidzialnego, w wyborze pary do ich okazania nie jesteśmy wcale ograniczeni. Okoliczność ta do czynienia doświadczeń jest nader korzystną, jak zawsze gdy obfite źródła pomoc stanowią. Między innymi, para wodna równy skutek wywiera. Potrzeba zatem taflę, poprzednio wpływowi promieni niewidzialnych podległą, wystawić tylko na działanie pary wodnej dla otrzymania obrazu; nawet chuchnięcie jest już dostatecznem. Gdy para wodna na tafli dłużej zatrzymać się nie mogła i nie tak prędko znikła, para ta byłaby najużyteczniejszą ze wszystkich, lecz nie pozostając długo na tafli, przemijające jedynie rysunki okazać może, i z téj przyczyny potrzeba używać pary, jak chloru lub merkuryuszu dla otrzymania trwałych rysunków. Nie mam tu zamiaru opisywać własności rozmaitych par i gazów, gdyż opisanie to

wielkiej wymagałoby obszerności. Ograniczę się tylko na doniesieniu panom, iż udało mi się postrzedz szczególny rodzaj światła parom właściwy, który tylko przy swém zgęstnieniu lub wtedy okazują, gdy z ciałami np. taflami metalowemi się stykają. Światło to do pewnego rodzaju ciepłika podobne, chociaż w innym względzie od niego różne, nazwałem *światłem utajoném* (gebundenes Licht). Światło utajone w każdym rodzaju pary jest innego koloru i okazuje całą ważność pary w nauce o świetle, gdyż z powodu różnicy kolorów nie zawsze każdej z nich do otrzymania obrazu użyć można. Światło utajone pary merkuryusza jest np. żółte, pary wodnej niebieskie lub fioletowe. Dlatego też do dagierotypów można użyć pary merkuryalnej, lecz nie wodnej; rysunki bowiem nie byłyby widoczne, a nawet gdyby para wodna długo i silnie działała, zupełnie byłyby zniszczone.

Pary są, podług dzisiejszych postrzeżeń, odczynnikiem wszelkiego światła; ich użycie w pojedynczym przypadku zależy od koloru ich światła utajonego. Z tej przyczyny nie wiele można powiedzieć o czasie potrzebnym dwóm ciałom do wzajemnego odbicia się w ciemności. Ściśle biorąc, odbiły się one istotnie w najkrótszym czasie, lecz ażeby ta lub owa para obraz już istniejący, lecz jeszcze niewidoczny okazała, potrzeba zawsze dłuższego czasu. W najlepszym razie, gdy ciało taflki dotykało lub do niej bardzo było zbliżoném, otrzymywałem rysunek w pół minuty, częstokroć nawet w 15 sekund, używając następnie pary wodnej. Przeciwnie para jodu, a tym bardziej pary kwasu siarkowego, gazu wodorodno-siarkowego, kwasu fluspatowego, i t. d. w tak krótkim czasie żadne-

goby nie okazały rysunku, para zaś merkuryusza bardzo niedokładny. I tak, jeżeli chcemy za działaniem pary merkuryusza, wyraźny i czysty otrzymać rysunek, potrzeba ażeby niewidzialne światło kilkanaście godzin, a nawet kilka dni na taflę działało, mianowicie gdy przedmiot od niej nieco był oddalonym. Te są warunki ściśle ze światłem utajonem związane i tym ważniejsze dla fizyka, iż wyjaśniają szczególny rodzaj światła pary.

Przeciw mniemaniu, iż każde ciało posiada własne światło i takowe rozpromienia, że zatem światło do jego istoty równie jak ciepło należy, uczyniono kilka zarzutów o których tu wspomnieć muszę. Powiedziano: światłem jest to co można widzieć; niewidzialne zatem światło przestaje być światłem. Nie jest to, panowie, postępowanie w badaniach natury dozwolone, byłoby ono raczej zabronieniem postąpienia naprzód w poznaniu natury. Byłoby to tylko kwasem, co kwaśnym jest obdarzone smakiem? Cóżby na to chemicy powiedzieli? Nazywamyż tylko to ciepłem co nas grzeje? Cóżby nam ten odpowiedział, który pierwszy powietrze na szali zważył, gdybyśmy mu zarzucili iż powietrze nie jest ciężkiem, bo parcia jego ani ciężaru nie czujemy? Pytań tych tak jest wiele iż dosyć jest rodzaj ich rozważyć, ażeby być od odpowiedzi uwolnionym.

Powiedziano dalej, iż wzajemne odbijanie się dwóch ciał w ciemności pochodzi od ciepłika, który każde ciało posiada i rozpromienia. Zdaniem mojem, nie wolno mieszać rzeczy znanych, i nie pomnieć na pojęcia dowiedzione, dla objaśnienia rzeczy nowych i nieznanych, nawet gdyby pomoc ciepłika objaśnie-

niem nazwać było można. Istotą bowiem ciepłika jest rozszerzanie się po całym ciele, a mianowicie po metalach. Lecz ani widzialne, ani niewidzialne światło najmniejszego śladu rozszerzania się nie okazuje; za pomocą obudwu można otrzymywać rysunki zupełnie wyraźne. Jeżeli ciepłik na jakie ciało działał, ciało to następnie tenże sam ciepłik z siebie wydaje. Ciepłik, jak mówi Rumford, jest nieśmiertelnym; w tym znaczeniu możnaby dodać, iż światło jest bardzo śmiertelnym, gdyż kona równocześnie z końcem swego działania. Żadne ciało nie wydaje z siebie światła, którym poprzednio było oświetlone. Ciało ogrzane, pod względem ciepłika jednoczy się z ciałem ogrzewającym; natomiast stan ciała świecącego nie ma wspólnego z oświetlonym. Większej różnicy w wewnętrznej istocie dwóch sił, dla okazania ich różnorodności wymagać nie można. Ci zaś, którzy pomimo tego obie za jednakowe uważają, w żaden sposób nie mogą działania światła widzialnego, jako skutek ciepła wytłómaczyć. Znajduje się bowiem światło widzialne księżycy, w którym najdelikatniejsze doświadczenia żadnego ciepła wynaleść nie mogły. Światło to działa bardzo skutecznie na tafle jodowane; za jego pomocą można otrzymać dokładny obraz księżycy, a w tym przecież razie ciepłik obrazu nie uskutecznił.

Wiadomo jest powszechnie, iż większa część ciał a może i wszystkie, przez podwyższenie temperatury rozpalone być mogą do tego stopnia, iż właściwe sobie, wtedy widoczne światło rozpromieniają. Już niższe stopnie ciepła powiększają masę rozchodzącego się światła i zbliżają jego własność w pewnym wzglę-

dzie do światła widzialnego. Doświadczenia przezemnie czynione, dokładnie mnie o tem przekonały, i rezultat ten nie ma w sobie nic zadziwiającego, gdyż wszelka siła w naturze wpływowi ciepłika ulega i zwykle pod jego wpływem działalność swoją zwiększa. Lecz nietylko ciepłik pomnaża właściwe ciepłom światło; elektryczność i magnetyzm podobnie działają. Za ichto pomocą możemy w doświadczeniach fizycznych drót platynowy do czerwoności rozpałić, to jest możemy go zmusić do rozpromieniania światła które nawet okiem dostrzedz się daje. Wychodząc z pojedynczych zjawisk tego rodzaju, niezmierną do nich wagę przywiązując, o innych zaś równie ważnych, a może i ważniejszych zapominając, łatwo można jakiegokolwiek różnorodne siły za jednokowe ogłosić. Historia nauk przyrodzonych może nam wskazać jaki powyższe sposoby owoc przyniosły.

Zresztą, słuszną a nawet potrzebną jest rzeczą, nowe nieprzewidziane odkrycia, jakie w tym czasie w dziedzinie światła zrobiono, krytycznie rozbierać; lecz również słusznem będzie gdy wyznam iż nic dotąd nie przywiedziono, coby mogło wzruszać lub zbić wnioski przezemnie z odkryć powyższych poczynione.

Żyjąc w świecie cudownych zjawisk natury, tępieje zmysł przyrodzony ku ich poznaniu, kiedy niekiedy tylko, przy wzbudzonej ciekawości, staje się ten lub ów codzienny fenomen, przedmiotem głębszego namysłu. Sztychy odbijają się na szkle, pod którem są umieszczone; części składowe zegarka, na wewnętrznej jego pokrywie. Rzeczy te często uważać musiano, pomimo że nauka niemi nigdy się nie zatrudniała. Lecz, skoro poznano istotę światła niewi-

działnego, wystąpił Breguet w akademii umiejętności w Paryżu z doniesieniem, iż uważał bardzo często swe imie odbite na wewnętrznej pokrywie zegarków. Pytani przezemnie miejscowi robotnicy, podobnież spostrzeżenia czynili, które i sam sprawdzałem. Bardziejuderzające zjawisko tego rodzaju, doniesiono nam z Berlina. Professor Rauch i baron Humboldt spostrzegali wyraźny rysunek na szkle, które przez 14 lat rycinę przedstawiającą kopię z Rafaela, przykrywało. Osoby zajmujące się wprawianiem i wyjmowaniem z ram rycin, odbicia powyższe nader często spostrzegały i tak się do nich przyzwyczyały iż nawet na nie nie zwracały uwagi. Rysunki te jednakże pod jednym względem różnią się w swej wewnętrznej istocie od rysunków, które panom poprzednio, jako działaniem światła niewidzialnego sprawione, opisałem. Rysunki te, są na pierwszy rzut oka widoczne bez użycia pary. Gdy bowiem w jednych miejscach szkło lub metal, zwyczajny kolor zatrzymują, w innych natomiast daje się widzieć pewien rodzaj warstwy białawej, nader łatwo zetrzeć się dającej. Przez tę różnicę miejsc czystych od białawych powstają obrazy, które będę się starał objaśnić.

Wiemy już że dwa ciała w bliskości się znajdujące wzajemnie się odbijają; pozostaje zatem tylko odpowiedzieć na pytanie, czém jest owa warstwa biaława tworząca się w miejscach, na które padły promienie światła niewidzialnego. Czynione w tym celu doświadczenia nauczyły mnie, iż warstwa ta na wszystkich ciałach tworzyć się może, i nie potrzebuje tak długiego czasu, przez jaki zwykle szkła ryciny przy-

krywają. Przy stosownych okolicznościach, odbijają się nawet dwa ciała wzajemnie w kilku dniach, za pomocą tej warstwy białawej.

Wpływ tak ogólny, musi mieć również ogólną i wszędzie się pojawiającą przyczynę. Przyczyną tą jest para wodna w powietrzu zawarta, która w pewnych miejscach na powierzchni się skrapla, a tworząc warstwę białawą, czyni obraz widocznym.

Para wodna chuchnięciem sprawiona, większą posiada siłę parcia, aniżeli para wodna w powietrzu zawarta, gdyż pierwsza powstaje we wnętrzu ciała, gdzie temperatura jest wyższą. Dlatego też za chuchnięciem otrzymujemy natychmiast obraz, para bowiem wodna osiada w miejscach przez promienie światła do tego przygotowanych. Nie osiada ona wprawdzie stale, ale znowu wraca do stanu lotnego i opuszcza taflę. Lecz gdy światło niewidzialne przez dłuższy przeciąg czasu np. kilkodniowy działa, wtedy miejsca przez nie oświetlone, nabierają dostatecznej siły do skraplania pary wodnej w powietrzu zawartej; co więcej, nie pozwalają jej powtórnie się ulotnić. Takim sposobem odbija się maszynerya zegarkowa, powstają na szkle rysunki sztychów, i w ogólności wszelkie tego rodzaju obrazy na rozmaitych powierzchniach. Znajduje się w mowie wyrażenie na podobne skraplanie pary wodnej: jeżeli bowiem obraz w sposób wyżej opisany na ciele jakim się okazuje, mówimy, iż ciało to pokrywa się rosą (*der Körper bethaue*). (1)

Tłómaczenie to zjawiska, które łatwoby przewidzieć było można, jest proste i naturalne. Wnioski

(1) Obrazy te nazywa Moser: *Thaubilder*.

jednakże do jakich na tej drodze dojść można, są tego rodzaju, iż w dotychczasowych granicach nauki trudno dziwniejsze znaleźć! Jako ogólny obudzających interes, nie mogę ich pominąć. Za działaniem więc światła niewidzialnego, ciała pokrywają się rosą czyli, pod wpływem światła niewidzialnego temu samemu ulegają procesowi, jak rośliny i inne ciała podczas pogodnej nocy. A przecież światło niewidzialne jest równie światłem jak i widzialne, tylko w innym okazałoby się kolorze, gdybyśmy je dostrzedz mogli. Tęcza zawiera w sobie grupę kolorów, które na wzrok nasz wpływ wyrzucić mogą, a której jedynym krańcem jest kolor czerwony, drugim fioletowy. Między nimi leżą wszystkie inne, które oko dostrzedz może. Kolory są to wrażenia gatunkowe, których głębszej natury nie znamy, i które nie mogłyby się stać przedmiotem naukowych rozumowań, gdyby Newton nie był ich w liczebne ujął więzy. Od czasu tego wielkiego odkrycia, ulegają kolory pewnemu rachunkowi, w którym ostatecznie otrzymana liczba, kolor reprezentuje. Metoda Newtona jednakże nie jest dostateczną przy świetle niewidzialnym, właśnie gdzieby nam najbardziej życzyć wypadało oswobodzenia się od wszelkich gatunkowych wrażeń na nerwy. Znalazłem przecież inną metodę, za pomocą której można kolory światła wprawdzie już nie przez liczby, lecz przez ich fizyczny stosunek rozróżniać: metoda zaś ta ma przy każdym świetle zastosowanie. Dlatego też mogę twierdzić iż światło niewidzialne ma rozmaite kolory, i że ich grupa od koloru fioletowego się zaczyna, jako krańca kolorów widzialnych. Gdyby więc słońce rzuciło promienie takie, jak je

ciała w ich naturalnym wydają stanie, i gdyby powtóre oko nasze promienie te dostrzedz mogło, wtedybyśmy je, w dotąd nieznanym kolorze, na zewnątrz koloru fioletowego w tęczy ujrzeli. Lecz jak nie jesteśmy w stanie promieni tych dostrzedz, tak również i pierwsze przypuszczenie utrzymać się nie może, bo słońce wyżej opisanych promieni wcale z siebie nie wydaje, gdyż ich nie posiada, i dlatego też one w świetle dzienném lub księżycy, wcale się nie znajdują. Jeżeli zatem mówimy iż promienie te leżą na zewnątrz koloru fioletowego, potrzeba to tak rozumieć, iż ich natura i własności fizyczne miejsce to im przeznaczają.

Prawo zaś, któremu wszystkie różnokolorowe promienie, widzialne i niewidzialne ulegają, możemy tak wyrazić, iż wszystkie równe działanie na ciała wywierają, i że się tylko różnią czasem potrzebnym do wykonania pewnego oznaczonego wpływu. Jeżeli więc światło niewidzialne swem działaniem, pewnym rodzajem rosy ciała pokrywa, musi i światło widzialne tę samą posiadać własność, jeżeli tylko należycie i dosyć długo działa.

Rosę uważają dotąd jedynie jako skutek ciepła, i teorya ta za jedną z najbardziej uzasadnionych w fizyce uchodzi. Ciała, mówiono, które w dzień od promieni słońca się ogrzały, ziębną w nocy przez ulotnienie się ciepłika, bardziej aniżeli otaczające powietrze, a w skutek tego skrapla się na nich para wodna, jako na zimniejszych przedmiotach. Podług tego niepodobnymby się zdawało iż ciało ciepłe rosą pokrywać się może. A jednakże dziś zdanie to, byłoby fałszywem lub przynajmniej jednostronném. Światło bowiem również rosę wywołać może, zkad wy-

nika, iż ciało rośną się pokryje, chociaż jest cieplejszém od otaczającego je powietrza, przypuszczając wszakże, iż promienie światła przygotowały je do skroplenia na swęj powierzchni pary wodnej. Słowem, możemy wyrzec, iż każde ciało musi posiadać możność pokrywania się rosą przy świetle słoneczném. Wystawiałem w tym celu rozmaite tafle, jakoto szklane, metalowe, przez czas kilkogodzinny na działanie słońca pod parasolami w niektórych miejscach powycinanemi, i w rzeczy samej para wodna skraplając się w miejscach otwartych, utworzyła ową warstwę białawą, o której poprzednio mówiłem. Przytém tafle znacznie zostały ogrzane; a jednak ciepło to nie przeszkodziło rosie osiadać w miejscach przez światło do tego przygotowanych.

Ze słońca rozchodzą się dwie siły: światło i ciepło, które, jak panowie widzicie, co się tyczy pary wodnej w szczególnym do siebie zostają stosunku. Ciepło wysusza ciała, zmuszając wszelki płyn, a mianowicie wodę w nich zawartą, do ulotnienia się w kształcie pary i pomieszania się z powietrzem. Światło wprost przeciwne wywiera działanie. Ciała bowiem pod jego wpływem, przyciągają napowrót parę wodną z powietrza i skraplają ją na swęj powierzchni. Obie siły działają zatem w odwrotnym kierunku, a chociaż zwykle ciepło przeważa, światło nie przestaje jednakże działać, i wilgotność ciał nie zawisła od samego tylko ciepła, gdyż tafle które tak często na promienie słońca wystawiałem, nie pokrywałyby się pod jego wpływem rosą. Nie umiem panom wskazać zastosowania powyższego działania światła na rośliny. Ci którzy je pod względem osiadania rosy

uważali, znaleźli zwykle to czego szukali, proces zmianą temperatury wywołany. Zważywszy jednakże fizyczną naturę roślin, trudno uwierzyć ażeby wpływ światła tak był mało znaczącym w świecie roślinnym.

Na tém kończę opisanie wpływu światła na ciała w ogólności; zakończyłbym również cały wykład dzisiejszy, gdyby mi nie wypadało przedstawić panom choć w niewielu wyrazach, przeciwne pod pewnym względem zjawisko. Gdy wszędzie w naturze, gdzie się tylko jakie ciało znajduje i światło istnieje, gdy światło to działa na wszystkie ciała, nie byłoby sposobu uwalniać te ciała od powyższego wpływu, i zastaniać od działania światła? Działanie to nie jest mało znaczącem, już nawet podczas czynienia doświadczeń zmienia ono własności ciał. A cóż są te doświadczenia najwięcej kilkodniowe w porównaniu z ciągłym i silnym działaniem słońca? Nie ma bezwątpienia w naturze żadnej siły, któraby nieograniczenie działać mogła; każda z nich ma swe granice. I tak, w magnetyzmie są bieguny: północny i południowy. Bez nich żelazo, które zawsze siłę magnetyczną posiada, na naszej półkuli ciągleby się ku północy kierowało. Polaryzacja jest tu granicą przyciągania magnetycznego ziemi. Ciała ogrzewają się w słońcu, w nocy ziębną. Stan ich pod względem ciepłota jest zawsze pośredni, a różnice nigdy zbyt wielkie. Granicą zatem działania ciepła, jest własność wspólna wszystkim ciałom wydawania napowrót raz przyjętego ciepłota. Cóżby się bez tej granicy ze wszystkimi ciałami, a nawet z samą ziemią stało?

Światło natomiast nie posiada własności ciepłota, i wraz z końcem działania, gaśnie. Jeżeli zatem dzia-

łanie światła ma jakąkolwiek granicę, innego musi ona być rodzaju jak w ciepliku. I tak też jest w istocie, jak mnie nowsze doświadczenia przekonały. Granice te stanowi wpływ kwasorodu zawartego w powietrzu. Jeżeli światło słoneczne powierzchnią jakiego ciała stopniowo przywiodło do stanu, który panom wyżej opisałem, a który się przez większe lub mniejsze skraplanie jakiegobądź pary pojawia, wtedy kwasoród również stopniami stan ten zmienia, i powierzchnią ciał do jej pierwotnej zwraca postaci. Tak działa wszędzie znajdujący się i tak trudny do wyłączenia kwasoród, nawet podczas samych doświadczeń, które częstokroć w szczególny wikła sposób. Przy każdym dagierotypie wywiera on swe wsteczne działanie, i z tej przyczyny potrzebujemy 4 lub 5 razy dłuższego czasu ażeby się obraz udał, dlatego tylko iż działania kwasorodu wstrzymać nie możemy. Gdyby zaś w większej się w powietrzu znajdował ilości, możebyśmy nawet o działaniu światła słonecznego na ciała nic nie wiedzieli.

Pozwólcie mi jeszcze, panowie, zwrócić uwagę na dziwną jedność środków, których natura do swych celów używa. Ten sam kwasoród który w tak znacznej części warunek życia roślin i zwierząt stanowi, na ciała nieorganiczne wpływu tego nie wywiera, jako życiem nie obdarzone; lecz za to utrzymuje je w nienaruszonym od działania światła stanie.

n.



Z POEMATU ORYGINALNEGO

BOHDAN

J. Paszkowskiego,

SCENA PRZEDWSTĘPNA.



Poranek wiosenny. Skalista okolica. Opodal zwaliska klasztoru. Jawory, jodły i buki.

PORTA (na skale)

Mózg mi wiruje, głowa moja pała
Tysięcznobarwnym ogniem wyobraźni,
Zbudzony pomysł łechce mię i drażni,
Na całe jestestwo działa.

Skalisty szkarpie, porfirowy łomie,
Co świecisz jasno wśród jodeł ciemnicy,
Jak w gęstym mroku biała pierś dziewicy,
Do twego łona, co wystrzela stromie,
Skroń mą przykładam, pragnąc twoim chłodem
Orzeźwić umysł, jak świat rosą ranną,
I spędzić z oczu ducha nieustanną
Mgłę, co je ciśnie sinym korowodem,
I nie pozwala rozeznąć widomie
Tych wszystkich kształtów co się tłumnie roją
Przed duszą moją.

Kraj fantazyi jest istn^{em} bezdrożem,
Gdy nie zjaśniony rozwagi pochodnią;
Za t^{ej} dopiero mistrzyni przewodnią,
Bezpiecznym krokiem postępować możem.

Niech więc j^{ej} światło przenika
Obszar manowca ciemnego,
Jak promień lampy Dawego
Ciemną pracownią górnika.

Zstąpmy z nią, wolni od zdarzeń,
W kopalnie ducha, w kraj marzeń,
A ty naturo, w oprawie pochmurnej,
Którą świt błędny blado opromienia,
Zleń na mnie balsam z tajemniczej urny,
Bądź mi świątynią natchnienia.

(zamyśla się)

Natchnienie? To dziecko chwili,
Płód jednodniowy, motyli.
Zrodzi je czasem blask chwały,
Lub blask pięknego spojrzenia,
Lub radości wdzięk niestały,
Lub przelotny jęk cierpienia.
Jeszcze gdy zmierza do czynu,
Godne jest wjenców z wawrzynu;
Lecz częściej w słowa się zbierze,
I od razu skrzydła zwichnie,
Mignie w lutni lub papierze,
Zatrzepocze i ucichnie.

Któż jest ciągle natchniony, ach! na tym tu świecie?
Ktoby nim był, ten byłby Bogiem lub Aniołem;
A jednak tej trwałości potrzeba poecie,
Kiedy z rozległej pracy ma walczyć mokołem.
Jakiż więc jest warunek, to rozstrzygnąć muszę.
Tak jest, on musi kochać lub nienawiść chować,
Lub oba te uczucia w sobie rozkrzyżować,
I w kącie tych promieni umieścić swą duszę.

*(zamyśla się znowu Po
niejakim czasie)*

Widzę was, mroczne postacie,
Jak krążycie, jak pływacie
Wśród wyobraźni potopu.
Podobnej do tych przyrody,
Którym widział w kropli wody,
Na soczewce mikroskopu.
Jedna w drugą się przeleje,
Owa drobna staje wielką,
A ta wielka znów drobnieje.
Myśl ludzka istną kropelką,

Oderwaną od przestworza
Jakiegoś wielkiego morza.
Tuła się, wiatrem niesiona,
To ssana słońca promieniem,
To z rosą, lub z dżdżu str umieniem
Wracając do ziemi łona:
I często spłynie w kałużę.
Szczęsna gdy padnie na różę,
Lub ścieknie w kielich kościelny!
A w jakikolwiek zakątek
Obróci swój byt śmiertelny,
Niesie w łonie karłowatém,
Roje walczących żyjątek,
Dla których ona jest światem.

Przecież, kiedy ją wola stęży i skryształi,
Brylantowemi barwy strzeli słońcu w oczy,
Walka wtedy ustanie, hart części zjednoczy,
I może być klejnotem błędny odprysk fali.

(po niejakićj pauzie, obrócony do wschodzącego słońca)

Witaj piękny wschodzie słońca!
I w głębi mojego ducha
Wschodzi jutrzienka, otucha,
Służąca dziełu za gońca.
Pomysł mój krzepi się, wzмага,
Całość porządnie dojrzewa,
W szaty się życia odziewa,
Zrazu wåtpliwa i naga.
Jam ją w piersi mej wylulał,
Z nią się troszczył, z nią rozczulał.
Czuję rozkosz rodzicielską!
Jak jest błogo, jak anielsko
Być twórcą, być dawcą życia!
Bo tworę pełności serca,
Gdy wyjdzie z swego powicia,
Czas nie tak łatwo uśmierza.
On żyje, a chociaż w gminie,
Niepoznany marnie zginie,
Znajdzie jednak w czyjejs duszy
Chętne struny które wzruszy.

Ale już król promieni w całym majestacie
Przestąpił olbrzymiego krawędź widnokręga,

I złoci gród klasztoru, kędy lat potęga
Osiedliła pustkowie i na gruzu szmacie
Pisze runy zniszczenia, z kąd o téjże chwili
Słyszeć się dawał niegdyś dźwięk rannego dzwonka
Wzywający chór braci do modłów przysionka;
Dziś tam pobożnym hymnem nikt się nie rozkwili,
I chyba sowa nocne zawodząc gonitwy,
Rozbudzi wrzaskiem dawny przybytek modlitwy.
Z potoków mglisty tuman zapada w doliny,
I naszyjniki pereł po ziołach zawiesza!
Trzoda dąży na paszę, ptak na żer pośpiesza;
Z chat prostopadłym smugiem wystrzela dym siny.
Ruch i barwa gra życiem, i do życia budzi;
Do tego życia dążeń ślepych lecz szczęśliwych.
Mrok tylko jest sposobny do marzeń tęskliwych,
Koniec marzeniom, idę działać między ludzi.
(zstępuje ze skały)

PROLOG.

Komnata sypialna porządna, nie wykwinтна; zimowy wieczór; na kominku drewna się palą, a ciemna lampa na stole rzuci niepewne półświatło w stronę zastłoniętą parawanem od ognia, gdzie stoi łożo. Na niem spoczywa matka. Ojciec siedzi przy kolebce dziecięcia niedawno narodzonego, i kotyszac je nuci.

OJCIEC

Szczęśny, kto w Panu nadzieje położył!
Przetrwa bez trwogi żywota koleje,
Czemże są ciosy które los nasrożył,
Temu co w Panu położył nadzieje?
Tomasz niewierny, na sercu słabiej,
Piotr stawia kościół ufnością nie chorą.
Temu co w Panu położył nadzieje,
Pianka opoką, latorośl podporą.
Czystości serca, tyś drogą do nieba!
Szydzą światowcy, a ja się z nich śmieję,
I wołam: dawco powszedniego chleba,
Szczęśny, kto w Tobie położył nadzieję!

Zasnęło!., dźwięk mej pieśni i ruchy kołyski
Uśpiły je, choć jeszcze główką nie uchwycą
Ni znaczenia piosenki, ni starań rodzica.
Oby kiedyś pojeło! oddało uściski
Tym co mu dali życie, a pokłon dziękczynny
Temu, co nam dał odżyć w tej duszy niewinnej.
Amelio! prosz Boga, by w nim żył nasz synek.

MATKA

Proszę go, zresztą owoc pada blisko drzewa.
Lecz już późno, i tobie potrzebny spoczynek.

OJCIEC

Nie, jeszcze pogadajmy. Na dworze ulewa;
Świszczy wicher jesienny i bije o szyby.
Z północnej strony szybko obraca się młynek.
Jak miło w takiej porze wśród własnej siedziby,
Kędy połowa duszy, i ciepły kominiek,
Wspominać o przeszłości i przyszłość układać!
W czyjém sumieniu wspomnień nie lęga się chwasty,
Kto przebył lata znojów zwłaszcza rok dwunasty,
Temu błogo pod strzechą spocząć i pogadać!

MATKA

O czemże mówić będziem?

OJCIEC

O naszym dzieciątku.

Amelio, wiesz dobrze, żem z ojców mych proga
Nie wyniósł ani nauk, ani też majątku,
Nic krom prawego serca, i bojaźni Boga.
Wszystko, co z łaski Boskiej posiadam w tej dobie,
Błaha jest, lecz tém drogie, zem je winien sobie.
Ciężkie były me ścieżki, w nich się przekonałem,
Ze ukształcenie ważną jest do szczęścia drogą,
Jest z wszystkich rzeczy ziemskich, najcenniejszym działem,
Jaki rodzice dzieciom pozostawić mogą.
Nauk ogień nie zniszczy, woda nie zabierze,

Mówi stare przysłowie; więc ile da możność,
Chcę synaczka naszego opatrzeć w tej mierze
Po książęcu, a chłopską wpoić mu pobożność.
Nie będę szczenił pracy, wszystką mą intratę
Włożę w wyborne księgi, w mądrych preceptorów;
Będzieto spadek lepszy od napchanych worów,
Kapitał, przynoszący procenta bogate.
Tak, choćby do wrót jego zapukała bieda,
Od obcej go pomocy uwolni ta scheda.

MATKA

Oby twoim zamiarom Bóg pobłogosławił!

OJCIEC

Obym mógł widzieć jeszcze starań moich plony!
Obym mógł słyszeć głosy brzmiące z każdej strony:
Winszujemy ci! Twój syn na mównicy prawił
Jak Berryer: syn pański mocą swej wymowy,
Ocalił dziś od nędzy starca i dwie wdowy,
Syn wasz napisał dzieło głośne w całym świecie.
Rozstrzygnął zwady, dzięki od pani odbierał.
To mi adwokat! to mi autor! to gienerał!
Co za chluba mieć takie gienialne dziecię!
A mnie rość będzie serce, łzy się w oczach zwiją.
I złożę dzięki panu, że sługę nawiedził,
I wskazując na tego co wszystkich wyprzedził,
Rzeknę z cicha: to nasze dziecię, Amelio!

MATKA

Błogito sen! Lecz lepiej niech będzie mniej błogi!
Zakładajmy nie tyle, większą znajdziem radość,
Gdy skutek niespodzianie uczyni nam zadość;
Doswiadczenie nam daje w tej mierze przestrogi.
Duma nasza przeznaczeń nie potrafi zgwałcić.
Wiesz co, jabym wołała serce mu ukształcić,
Niż umysł, w którym często próżność u was gości.
Pragnę go tylko widzieć tak jak ty, cnotliwym.

OJCIEC

To będzie zostawione twym staraniom tkliwym;
Drugie będzie mą pieczą, reszta Opatrzności!

Zanim przyjdzie do mojej, wprzód będzie w twój szkole.
Zresztą, w szkole natury.

MATKA

Nie będzie rzecz zdroźna
Obrać mu wcześniej zawód: boć żądać nie można,
Aby był wszystkiem razem:

OJCIEC

Zostawim mu pole
W tej mierze do wyboru. Niech gdzie chce się skłania;
Niech idzie za własnego popędu podniętą.
Jakiegobądź się zechce chwycić powołania,
Będę kontent, byleby nie chciał być poetą,
To się na nic nie zdało.

MATKA

A jakimże mianem,
Ochrzczimy nasze dziecię?

OJCIEC

Nazwiem je Bogdanem,
Boć je mamy od Boga. To imie oddali
Nieszczęście od naszego małego aniołka.
Jak tylko wydobrejesz, nie będziem zwlekali
Do parafialnego udać się kościołka,
By dopełnić winnego chrześcian obrządku,
I zapewnić zbawienie naszemu synkowi.
Potem do dawniejszego wróciwszy porządku,
Weźmiemy się do pracy, spokojni i zdrowi;
Da się przecie coś zebrać, i ma się dla kogo.
Ty koło gospodarki, ja przemysłu drogą.
Przedsięwzięcia nie mogą mię omylić, *tamen*
Wszystko to, wszystko leży w ręku Boskiem!

MATKA

Amen!

OJCIEC

A teraz, na dobranoc zanuć raz jeszcze:

(*nuci*)

Szczęśny, kto w Panu nadzieje położył!
Przetrwa bez trwogi żywota koleje.
Czemże są ciosy które los nasrożył,
Temu, co w Panu położył nadzieję?
(*słychać do drzwi kołatanie*).

MATKA

Któs puka, mężu!

OJCIEC

Kto tam?

MATKA

Czy zamknąłeś wrota?

OJCIEC

Zamknąłem je. Rzecz dziwna!

(*bierze lampę i wyziera zewnątrz.*
Wraca i stawia lampę).

To jest jakaś psota;
Nie widać żywej duszy.

MATKA

To hasło złowieszcze.

Stanie się nam coś złego. Słyszałam od matki,
Ze podobne dziwnego zrządzenia wypadki,
Są przepowiednią nieszczęść, przestrogi z nieba.

OJCIEC

Gusła! Niech w nie gmin wierzy, nam wierzyć nie trzeba.
Wszystko na ziemi, z ziemskich powodów się rodzi.

MATKA

Lecz jest i coś co ziemskie pojęcie przechodzi.
Dziad mój świętej pamięci, często opowiadał,
Ze raz, gdy jeszcze chłopcem był w szkołach w Zbarażu,
I późno w noc nad książką w stancyi dosiadał,

Coś do drzwi zapukało. W sieniach, w korytarzu
Zamknięte były wniścicia. Spali już koledzy.
Kto więc tam mógł zapukać, trudna tajemnica;
W parę dni wieść go doszła o śmierci rodzica.
Wierz mi, mężu; są rzeczy ukryte dla wiedzy,
Które wiara potępia, rozum próżno bada;
Tylko przeczucie widzi. Któż to wie, jeżeli
To kołatanie cośmy przed chwilą słyszeli,
Czego niefortunnego nam nie przepowiada
Względem dziecka naszego?

OJCIEC

Bóg z tobą, kobieto,
Nie kuś mię do złych myśli. Kościół nasz nie mówi
O tym podobnych rzeczach. Przypuszczać je przeto
Jest grzechem, ubliżeniem przeciw kościołowi;
Uspokój się i zaśnij.
*(dzwunasta bije na zegarze, lampa przygasa i dziecko
zaczyna kwilić w kolebce).*

MATKA

Dzwunasta uderza.
Lampa miga pół-światłem, i nasz synek kwili.
Jeszcze nie odmówiła zwykłego pacierza.
Tak mi coś tęskno, ciężko na sercu w tej chwili.
Mężu, podaj mi dziecię, nakarmię je nieco,
I każ staręj Urszuli, niech przyjdzie ze świecą.
*(ojciec przynosi jej małego. Służąca wchodzi ze
światłem).*

OJCIEC

Zła sprawa z niewiastami. Mdły duch, słabe nerwy,
Lada co je poruszy, lada co rozdrażni,
I jeszcze drugich wicherzą.

MATKA

(oddając dziecię po nakarmieniu).
Już mi teraz raźniej,
Bogdaj ten stan pokoju mógł potrwać bez przerwy!

Wpływto tych ust niewinnych. Wszelka troska kona
W duszy matki, gdy dziecię potrzyma u łona.
Sen klei me powieki w rozmarzeniu błogiem,
Zasypiam. Dobra noc ci mój mężu.

MATKA

(kładąc się do łoża)

Śpij z Bogiem.

(w chwili gdy umilka w komnacie, daje się słyszeć)

ŚPIEW DOBRYCH DUCHÓW.

Dażym z nieba, z rajy bramy,
Na ten padoł w mrocznej chwili,
A gdzie małe dziecię kwili,
Tam zlatamy, tam spływamy.

Balsamiczne tchnienia zioniem,
Opiatyczne trzęsiem ziołka:
Czy aniołek, czy aniołka,
Ulatujem mu nad skroniem.

Bo gdy ześle ręka Boża
Świeżą duszę na tę ziemię,
Dobrych duchów wierne plemię
Straż odbywa u jęj łoża.

I sny lubie dniem i nocą,
Z syła cięgiem na tę duszkę,
I osłania swoje druszkę
Przed zawistnych sił przemocą.

I w matczynych gra pieśczotach,
I w ojcowskiej pieśni szepce,
Póki dziecię śpi w kolebce,
My snujemy się przy wrotach.

Lecz czas dzikie gna popędy;
Wielka dusza musi błądzić,
Jak umiemy wielkość zrządzić,
Tak umiemy zjaśnić błędy.

Choć w naturze wrą zawieje,
Wznijdzie słońce z za chmur mnóstwa,

Żyje w duszy iskra Bóstwa,
Co wśród mroku znów zatleje. 3

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW.

(za oknem).

Mokniemy, drętwiemy na dworze,
W noc ciemną przybyłe rozdrożem;
Tak ciepło, tak wabno w komorze,
A dostać się do niej nie możemy.

Przeklęte te wiązki i wianki
Kwietniową święconę niedziela,
Przeklęte te godła, pisanki,
Co owdzie na wrotach się bielą.

Zamknięta przez okno dróżyna,
Tam broni rosiczka i ruta,
A droga od strony komina,
Różgami szakłaku zasuta.

Hej panie! hej mości szlachcicu,
Takażto Polacza gościnność?
Lecz mamy nadzieję w dziedzicu,
On gościom wyświadczy powinność.

Wy chcecie na mędrca go kształcić;
Cny mędrzec wyrznie to śmiecie,
Którego niewolno pogwałcić,
Zadnemu duchowi na świecie.

I my tu będziemy i my tu:
Wprzód gośćmi a później panami,
Kto wyższej tknie wiedzy i bytu,
Ten często zapozna się z nami.

Do czasu, do czasu, mój panie,
Ojcowie są głupcy wierutni,
Zabraknie tu ziółek na ścianie,
I drewek święconych w drewni.

I przyjdziem tu znowu we słotę,
Lecz wtedy już wlecim obcesem;

Bo pewna, kto rzuci prostotę,
Chcąc, nie chcąc, pokrewnia się z biesem:

Tyś szczęśny w prostaczęj twęj sferze,
A syna chcesz wyrwać z tej doli.
Bóg zapłać! dziękujem ci szczerze,
Bies lepszej nie przyjąłby roli.
Rój sobie lodowate zamki,
Nas w słotę odsyłaj do lasu;
Szanujem dziś świętość twęj klamki,
Lecz tylko: do czasu, do czasu!

(*odlatują*).

SPIEW DOBRYCH DUCHÓW.

Choć w naturze wrą zawieje,
Wznijdzie słońce z za chmur mnóstwa;
Żyje w duszy iskra Bóstwa,
Co po burzy znów zatleje.

OJCIEC (*przez sen nuci*)

Szczęśny, kto w Panu nadzieje położył!
Przetrwa bez trwogi żywota koleje.
Czemże są ciosy które los nasrożył,
Temu, co w Panu położył nadzieje?

ODDZIAŁ I.

SCENA I.

Mała, ciasna izba. Noc. Na stole pokrytym książkami, zwitkami i papierami, świeca gore. Książec w pełni, wiera przez otwarte okno.

BOGDAN

(*Sam przy stole, oparty nad książkami*).

Wszystko rozumnie, bystro i głęboko,
W ile się węzłów ludzka myśl ośnuła,
Ile w zastępach skrytych przejść wykula,
Wszystko tu pilne napotyka oko.
Lata skupiły materiałów stosy,
Trudy zlepiły budynków kolosy,

I ot gmach stanął, ten labirynt ducha!
Olbrzymi, wielki, jednakże bez szczytu,
Kędy jednostka nakształt pasorzytu,
Pnie się bezsilna, a widmo, otucha,
Ciągle ją drażni, do postępu kusi;
Bo kto raz wstąpił w tę bezdróż, ten musi
Ciągle iść naprzód, ten już nie wycofa
Kroków swych w przeszłości, w której krajach gości
Bóstwo prostoty, anioł szczęśliwości.
Troska jest działem śledzcy, filozofa.
Przecież nie mędrca. Jam mądrości żądał,
I w niej zbawienia na ziemi wyglądał;
Mądrości, która nad ludzi się wznosi,
By kochać ludzi, i duszę nam rosi
Balsamem raju, spokoju nektarem,
Wewnątrz nas samych Boga nam objawia,
I własną wiarę w sercu nam uprawia.
Jam za nią gonił cudzych pól obszarem,
I cudzych myśli, ja szukałem prawdy
W uczonych księgach, owej prawdy która
Z łona nam szepce, w nas spoczywa zawdy,
Której tłómaczem przecucie, natura.
Dzisiaj wiem wszystko, i o niczem nie wiem.
Wznoszę się nad świat i świat mię nie nęci.
Jestem jak ów dym, co się z wiatrem kręci
Nad zpopielonem żywota żarzewiem.

(po chwili zadumania)

Termina w formie, hipotezy w treści:
Oto jest wszystko co nauka mieści.
Podziwiasz w ciągu pasma i wiązadła,
Lecz spojrz na pierwsze założenia głoski,
Lub ściśle zrównaj z założeniem wnioski,
A zaraz znikną wspaniałe widziadła,
Które cię w ciągu łudziły.
Fakta i fakta! Byłyby czemś dzieje,
Gdyby znać źródło i własność tej siły,
Co je popchnęła w te lub te koleje.
Tak, nie nauczą niczego.
I piosnki, gadki, co wśród gminu biega,
Więcej nauczą niż czcionki i krotki,
Bo one grają na żywotną nutę,

One przedziwo z pamiątek wysnute,
W nieśmiertelną nitkę splotły.
Natura w książkach jak martwa, jak głucha!
Same wymiary, rozbiory, formułki!
Znam w kwiatach pyłki, pręciki, szypułki,
Lecz ożywnego czyliż znam w nich ducha?
Albo tę barwę, którą jedno słońce
Rozlewa po nich na odmian tysiące?
Botanik ziło kraje zimną dłonią,
Astronom niebo porze tępym wzrokiem,
Tamten nie myśli napoić się wonią,
Ten harmonii tajemnej urokiem;
I obu prawdy nie nastroczą tropu,
Ni gwiazdy, ni cedr, ni trawka hizopu.
A ci przekłęci doktorzy!
Utriusque juris, nec non medicinae;
Co który z takich ludzkości przysporzy?
Znają-li oni skutek przez przyczynę?
Znają odwieczne natury warunki,
Odwieczne prawa człowieka?
Lub zagmatwane od wieka,
Duszy z swem ciałem stosunki?
Jeden zna tylko aryngi i roty,
A drugi pewne, dane antydoty,
Które mu wskazał przypadek,
A częściej jeszcze bezrozumne zwierze:
Co instynkt podał, to więc rozum bierze?
Cóż więc jest wyższem, instynkt czy przypadek,
Czy rozum, który uznaje się w sobie?
Ten sęk jest z rzędu wzbronionych zagadek,
Których znaczenia dowiemy się — w grobie.

„Grzeszy zaiste kto przypuszcza trafy,
Błuzni kto cząstkę upośledza bóstwa.“
Pisane o tém stoją paragrafy,
Wtórzą języki szkolniczego mnóstwa,
Szczęściem, że duma głosi to i kręśli,
A duma cząstką bóstwa być nie może.
Gdy mię więc wikła pojawów bezdroże,
Sprzeczność zdań miesza samoistność myśli;
I wtedy miecąc płonne sofizmata,
Co miasto pociech, troską w duszy wiercą,

Wyznaję nicość przed Twórcą wszechświata,
Jestem grzesznikiem, ach jestem bluźniercą?

(spoziera w książkę).

Cóż ten znów prawi? „W świecie nie masz złego,
Samego przez się.“ Więc nie ma i zbrodni,
I kary za nią? Złoczyńcy wyrodni
Są więc narzędziem ręki Przedwiecznego,
Ku jakimś celom, co się zwą dobremi?
Ha, mości księżu, głębiąc się zaciekle,
Czy zapomniałeś o niebie i piekle?
O tych pojęciach, co na całej ziemi,
Gdy była młoda i przystępna cudom,
Jednako wszystkim jawiły się ludom?
O tych naukach, któreś dawniej kazał?
Lecz taki koniec rozkiełznanych badań,
Duch się obłąka, nie rozwiąże zadań,
I czystość chęci zakał fałszu zmasał.

(odtrąca książkę).

Precz więc odemnie, precz marne złudzenia
Egipskich pustyń, lub gorsze od złudzeń
Zródła solanki, nie rzeźwiące strudzeń,
Owszem drażniące gorączką pragnienia.
Nękania ciągle wytchnienia potrzebą,
Wolę popatrzeć na gwiazdziste niebo,
Nie przez teleskop szklany lecz duchowy,
Nie jak astronom, raczej jak astrolog,
Jak wieszcz, którego ponocny monolog
Wienczą anieli.

(zbliżając się do okna).

O witaj mi płowy,
Smętny wędrowcze! ze wszystkich żyjątek
Nieba najmilszy! Czuję, że mój wątek
Najbliższy treści naszego jestestwa.
Bo kiedy dusza czująca, cierpiąca,
Szuka pociechy, gdy ją smutek strąca;
Nic tak nie krzepi, nie wznosi z nicestwa,
Jak blade światło nowego miesiąca.
Gdybym się nie bał zasłużyć u świata
Na scholastyczne miano panteisty,
Albo na starą nazwę renegata,

Lub rozbił szczątek wiary mej ojczystej,
Gotówbym uznać w twej tarczy przejrzystej
Objawę bóstwa, a może podzielić
Mity Indyan o Bogu człowieku,
Z którego piersi miało czucie strzelić,
A księżyc powstać z uczucia rozcieku.
Byćżeby mogło, aby ta tęsknota,
Która tak lubo duszą moją miota,
I tak nęcąco piers wzdryra ku tobie,
Jak krawędź morza, która w noc pogodną,
Wznosi, jak mówią, swoją przestrzeń wodną,
Jakby jej było za ciasno na globie,
By ta tęsknota, była grą urojeń,
I gdzieś rzetelnych nie znalazła spojeń?

O świecie duchów! przyjmij mię w swe objęcia
Niedocieczone! Jam godzien przyjęcia,
Bo cię zgaduję pod powłoką ciemnic.

Jako na dawnem Eleuzy święcie
Do uroczystych wciągano tajemnic
Wiernych Eoptów, tak mnie daj przyjęcie!
Bym błędną cząstkę z siebie mógł wyłonić,
Skróń przed widomym Hirofantem skłonić.

Natura moja tak jest twojej bliska,
Tak równo-istna treścią, jakby w tobie
Było jej własne, rodzime siedlisko.

O świecie duchów, czyliż twe kolisko
Oczom śmiertelnym jawi się aż w grobie?

Tyś krajem cieni, ja jużem pobratan,
Wcześniej pobratan z mieszkańcami twemi,
Bo czyliż cieniem nie jestem na ziemi?

I w mém jestestwie dobroduch i szatan
Goszczą na poły, tak samo jak w tobie.

O czemuż wrócić nie mogę w te lata
Dawnych magików, gdy o nocnej dobie
Rozmawiał człowiek z wielkim duchem świata,
I wzrok zawodził przez wielki świat duchów.
Z cyfer i głosek składał talizmany,
I przyszłość wieszczyl z kierunku i z ruchów
Prorocznych planet. Klucz ten zapomniany,
Wzgardzony dzisiaj, leży w starych księgach;
Lecz gdzież są zdolne dźwignąć go ramiona?

Choćbym posiadał pierścień Salomona,
Czyż on mnie powie o wyższych potęgach?
Chociażby nawet do ręki mi dano
Ów pręt wieszczbiarski, z widły dwurożnemi,
Którym wskazywał kruszce w głębi ziemi
Ów niepojęty młodzieniec z Gargnano,
Czyż ten pręt cuda w dłoni mojej zdziała?
Sprzęt odziedziczny po ojcu wyrostek,
Sztuka jest działem epok i jednostek,
Jestto Sybilla z wiekiem zaniemiała;
Próżno jej wzywasz. Wieczność, jak dziewica,
Nie odstąpi ci kwefionego lica,
Kiedy nie umiesz zjednać jej miłostek.
Bo nie dość *wiedzieć*, trzeba nadto *umieć*;
Nie dość zacieków iść trybem zawitym;
Trzeba naturze umieć stać się miłym,
I ziemną cząstkę na ziemi przytłumić.
Więc, jeśli posty, jeśli chłosty ciała,
Jeśli wszelakich gminnych żądź wyrzucie,
Rzewna tęsknota, i tęskne uczucie,
Wiara niezłomna i woła wciąż stała,
Mogą co wskórać, godnemi są śluby,
O świecie duchów, jam gotów na próby!
Mów co mam czynić! Co bądź głos twój powie,
Wypełnię wszystko, za część twego wiana
Objawy, którą Chrześcianin zowie
Apokalipsą, Indjanin *nirvana*.
O mów! chociażbym żywotem przypłacił,
Żywot nicością, cóżbym więc utracił?

(*milczenie*).

Głucho! Dźwięk duszy w powietrzu przepada,
Nie doleciawszy do górnych wybrzeży;
Milczą żywioły, ziemia trupem leży,
Nic mię nie słuca, nic nie odpowiada.
Wzgardzony jestem od sił niewidzialnych,
Jak od okrutnej piękności kochanek.
Czczo mi i nudno. Już świta zaranek,
A jeszcze powiek nie zmrużył zapalnych.
Jestem więc znowu z półbożka człowiekiem,
Z ducha szkieletem, nędzarzem z bogacza,
Znikomych przygód otoczony stekiem!

Nerwy me słabną, wyobraźnia stygnie,
Mglista powłoka oczy me obsacza,
Senże to, czy śmierć, czy odmęt w malignie?

(zasypia na krawędzi okna).

OJCIEC *(w szlafmycy wchodzi)*

Widziałem światło przez klucza szczelinę,
Rzekomo jeszcze w tak późną godzinę
Dulczy nad książką.

Zgadłem. Świeczka nocna
Kona w lichtarzu i po ksiąg ustroju
Rozlewa strumień stopionego łożu.
Te nowe umy, to drań bezowocna.
Nie dają chleba i marnie chleb jedzą,
Widzą gdzieś cości, a gdzie trzeba ślepe.
On o tem nie wie z całą swoją wiedzą,
Ze mała iskra *excitavit saepe*
Magnum incendium.

Lecz gdzież jest u djaska?

(spostrzegając w oknie śpiącego).

Nowe dziwactwo! Biedażto mieć dzieci!
Dostanie jeszcze chrypki lub wyleci,
I głowę sobie na bruku roztrzaska.

(budzi syna).

Bogdanie! Bogdanie! Cóżto za myśl dzika,
Otwarte okno obierać za łożę?
Łatwo nieszczęście zdarzyć ci się może;
Bo wiem że nie masz daru lunatyka,
Coto po gzymsach drapie się bez szwanku.
Spadłbyś. Co za szal spać w oknie otwartem!

BOGDAN *(przeciera oczy).*

Byłto sen nie śpik:

OJCIEC

Bogdanku! Bogdanku!
Ty serce ojca zakrwawiasz nie żartem.
Kłopot mi sprawiasz.

BOGDAN.

Więc bogdajbym nie żył!
Na kłopot drugich i na kłopot własny!
Przebacz! Czytaniem późnom w noc zabieżył,
Znęcił mię potem ten miesięczek jasny;
Patrząc się w niego zasnąłem. Sen krótki
Był ale boski! dotąd mię nasycą.
Zdawało mi się, że wolny, leciutki,
Płynął na srebrnym promieniu księżycy,
W górne etery, w niedościgłe szlaki.
I doznawałem tak rozkosznej doli,
Jakię doznają chyba lotne ptaki,
Lub więzień, gdy go wypuszczą z niewoli.
Ja duch, widziałem roje duchów świata,
Drobnych, powiewnych, w nierozdzielnej pletni,
Krażących wkoło przybyłego brata,
Jak oćma muszek w śliczny wieczór letni,
I mknąłem dalej, dalej, coraz dalej,
Gdzieś w nieskończoność. I w powietrznej fali
Migały gwiazdy, cudnych sfer szeregi,
Jak przed żeglarzem ubarwione brzegi.
O gdybyś wiedział, gdybyś mógł pojmować,
Jako jest błogo z prochem zrobić przedział,
Mieć skrzydła, duchem po morzu żeglować,
Nieskończoności! Gdybyś, ojcze, wiedział
Ile piękności mieszczą tamte kraje,
Piękności wyższych nad wszelkie rodzaje
Ziemskich piękności i ziemskich półbogiń,
Ojcze, zaprawdę nie byłbyś mię zbudził!

OJCIEC

Więc przeto iżeś na ziemi się znudził,
Na jej padole chcesz zapuścić ogień,
Dom puścić z dymem? Czy widzisz tę strugę
Łoju co płynie po twoich papierach?
Podczas, gdyś sobie odbywał żeglugę
Po jakichś cudnych, napowietrznych sferach,
Bóg strzegł, że płomień w izbie nie żeglował.
Pozwól, nie na tom książki ci kupował,
Abyś je palił.

BOGDAN

Jest słuszość w odwecie:
Oncę spaliły mego życia kwiecie,
Lecz tegom nie chciał. Obaśmy zbłądzili,
Lecz mimochętnie; ty, ojczy, sprawiając
Materyał palny, a ja narażając
Go na spalenie. Nie mógłem w tej chwili
Pragnąć zniszczenia twego, ojczy, daru.
Alexandryńska minęła epoka.
Do spopielenia stugłownego smoka,
Zamało dzisiaj jednego pożaru.

OJCIEC

Kto cię zrozumie, dam mu konia z rżędem.
Ja, widzę, prostak, nie sprostim z mądrymi.
Jeśli u ciebie jest jakowym wzgłędem
Prośba ojcovska, błagam, chodź po ziemi!
Wszak tylu innych w uczoności grzebie,
A jednak żaden nie popada w szały;
Po ludzku mówią i czynią. U ciebie
Mowa i czyny w gzygzak się zmieszały,
Jakbyś uciekać chciał przed krokodylem.

BOGDAN

Ach! jabym uciec chciał przed samym sobą,
Uciec, z poczwarki stawszy się motylem;
Boć życie nasze jest liszki chudobą.
My sami sobie jesteśmy postrachem,
Gdy postrach innych trwogi w nas nie budzi,
Tak i weselem, gdy wesołość ludzi
Dla duszy naszej natrętnym jest gachem.
Sami kolebką, sami sobie grobem,
A może także kiedyś i wskrześciami
Z własnego grobu!..

OJCIEC

I durzym się sami.
Trudno mi takim stylem i sposobem
Rozmawiać z tobą. Spij zdrów.

BOGDAN

Jeszcze słowo,

Kochany ojcze! My jesteśmy zera,
Lecz świat ten cuda i dziwy zawiera
Ukryte przed ludzką głową,
To moja wiara, cud czy traf, dodaje
Czasem jednostkę do zera. Gdy z tyłu,
Błaho znaczący ułomek powstaje.
Lecz jeśli z przodu, zero wstaje z pyłu,
I jest już czemsiś. To się do nas ściąga.
My dzisiaj zera, lecz jest cudów wątek.

OJCIEC

A ja ci mówię, że ten twój dziesiątek,
Na dobrą sprawę, nie wart i szeląga.
I że kto nakształt mózgownicy twojej
O jakichś cudach, dziwotworach roi,
Łatwo w cudaka albo dziwoląga
Może się przebrać. To jest moja wiara,
I na dobranoc *ultimatum* moje.

(*odchodzi*).

BOGDAN (*sam*)

Szanowna głowa rodzicielska stara!
Szczęśliwy umysł, co ma pewne kroje,
Stałe, skończone! Bo stawać się ciągle,
Jestto wciąż walczyć z fatalną potrzebą...
Kropla sperłona wygląda okrągłe,
Opar mknie w górę i zachmurza niebo.



ZEMSTA PANA BOLESŁAWA

POWIEŚĆ.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pan Bolesław.

Pan Bolesław był w rozpacz!.... Już dziesięć tygodni długich przebiegał sam z sobą i z myślami, po pokoiku mającym sześć łokci długości, a pięć szerokości, który przez cały ten czas był jego przymuszonym pomieszkaniem. Pokoik p. Bolesława był otwarty, okna wyglądały na dosyć ożywioną uliczkę nędznego miasteczka, ale sługa miejski stał na straży tego pokoiku. Pan Bolesław mógł się przechodzić po tym miasteczku i do woli przypatrywać codzien jednakowym scenom lichęj mieściny, ale strażnik chodził za nim. A co gorzej, pan Bolesław był w więzieniu olbrzymiem jak całe przyrodzenie, szerokiem jak świat cały, bo pan Bolesław był więźniem własnych okoliczności, bo pan Bolesław był goły w całym zwyczajnym tego słowa znaczeniu, ogołocony ze wszystkiego co rzeczywistość ludziom daje, a bogaty we wszystko co tylko naigrawająca wyobraźnia dać może najświetniejszych wyobrażeń, żądz najobszerniejszych. Pan Bolesław miał w sobie cierpienie moralne, z którym dzień i noc walczyła dusza jego, a mózg

rozegrzany gorączką, tą nieodstępną towarzyszką wszystkich cierpień, snuł bez ustanku pasmo myśli dziwacznemi zygzaki wijące się wokoło jednego przedmiotu, który jak pająk olbrzymi, w środku tej tkaniny własnego utworu, ciężył na głowie bolem nieustannym. Pan Bolesław był wydziedziczony ze wszystkiego co świat daje swym mieszkańcom w użyciu, był przykuty ołowianemi łańcuchami konieczności i nędzy do każdego miejsca w którym się znajdował. Pan Bolesław był natomiast panem całej krainy marzeń, dziezicem bezgranicznych stepów po których wyobraźnia, jeszcze młoda, zasycana mnogimi książkami, tą trucizną dziewiętnastego wieku, stawiała naprzemian cudowne obrazy gmachów niebotycznych, gajów nęcących świeżością barw, widoków tak rozlicznych, jak wszystkie podróże które przeczytał, scen tak wabiących swoją nowością i czarującym urokiem, jak wszystkie powieści które przebiegł przez ciąg życia swego, a w głębi duszy wyhodowanej samotnością, rozpamiętywaniem i długimi cierpieniami, wyrosł utwór polipowy, którego każde ze setnych ramion rozciągało brudne swe palce po wszystkich jego żyłach, po wszystkich najdrobniejszych nerwach serca i mózgu, grając po nich szatańską bólu symfonią, a miano tego potworu było *rozpacz*; i za jego skinieniem samowładnem pękały tęczowe bańki marzeń, nikły i zacieraly się barwy nęcące wyobraźni.

Ale kóżto pan Bolesław?—Był on jednym z nieskąpych odłamków cierpiącej ludzkości. Zdarzyło mi się czytać fantazyą jakąś żartobliwą o przystawicach Polskich, a w niej ustęp o licznej u nas familii Zabłockich; podobno pan Bolesław należał do tej sta-



wnej z przedsięwzięciw swoich rodziny, która na szczególny talent złe na wszystkim wychodzić, od której wszystko dobre zda się uciekać jak księżniczki w zaczarowanych zamkach, a wszystko złe przylegać jakimś pociągami, którego magnetycznego stosunku do pewnych ludzi ani pan Mesmer nie wynalazł, ani żadna z jasnowidzących nie dociekała.

Pan Bolesław miał nawet rozum; ślicznie rozprawił, muóstwo czytał, ładnie pisał, ale ten rozum jemu samemu pomagał tylko do tworzenia ciągłych zawikłań w położeniu jego. Pan Bolesław miał rozsądek, przedmiot jakikolwiek przez niego rozebrany, zadziwiał wszystkich jasnością swoich dowodów, czystością wyobrażeń, ale ten rozsądek nie był dla niego. Wszyscy mu oddawali sprawiedliwość, a przecież jemu samemu służył tylko do najjaśniejszego zrozumienia, że wszystkie usiłowania by byt swój polepszyć, były nadaremne, a co gorzej szkodliwe. Bo pan Bolesław był poetą: miał niezawodnie w sobie tę świętą iskrę, to przekleństwo Kaima. Pan Bolesław był poetą, chociaż sam własną ręką popalił stósy wierszów swoich, znalazłszy je niegodnymi druku, a powieści które pisał i w których nie jedna myśl szczytna zwrócićby mogła na siebie uwagę ludzi myślących, nie uszły fatalizmowi Zabłockich rodu; spoczywały nie mogąc się wydobyć z pyłu kilkoletniego, który je pokrywał, by wylecieć w świat; poczwarki manuskryptowe z braku ożywiających złotych promieni, nie mogły się przeistoczyć w różnobarwnych okładek drukowane motyle, by wolno przelatywać świat od końca do końca, pan Bolesław był poetą całą duszą, to były grzechy jego żywota.

Czy kto się zastanowił należycie i długo nad tem co to za dar okropny tą święta, ta wielka iskra o której tyle bajemy? Jestto szata Dejaniry która przepala w popiół tego którego obleka, i od której płomienia każdy ucieka. Poeta właśnie dlatego że jest poetą, sterczy odosobniony od drugich, od jednych niepojęty, od drugich zazdroszczony, od wszystkich unikany, bo żadnemu swemi uczuciami nie wskakuje w karby zwyczajne, po których toczą się odwieczne koła pojęć ludzkich; bo inne, boskie, czując w sobie powołanie, nie jest w stanie bratać się z drugimi ludźmi, z którymi, by żyć z niemi na równi i w zgodzie, trzeba koniecznie zdybywać się w codziennych zwyczajnych drobiazgowych uczuciach, przesądach i zwyczajach, które stoją od potopu świata jak wielkie, w niezmiennie kształty swoich piszczałek ulane, organy, na których od rana do wieczora cały ogół ludzkości przegrywa wiecznie jedną symfonią. A jakichżeto szczęśliwych trzeba okoliczności, jakich żyłami Herkulesa obdarzonych piersi, i jakiego nareszcie gieniuszu, by się dać poznać, przepchać przez motłoch, przekrzywić ten organ nieznośnie wyjący, i zaświecić nakoniec ogniem wiecznotrwałym! Odejm końcowi wieku ośmnastego, głupstwo Kalonna (Catburu), wymowę Miraba (Mirabeau), hienowatość Robespiera (Robespierre) kobiece intrygi Józefiny, a Napoleon byłby może, przebywszy mnogie bezskuteczne wyprawy do różnych Indyów, osiadł w końcu żywota swego w Martynice, błogie kolonisty zamożnego prowadząc życie, z czerwona wstążeczką na guziku.

Proszę tego porównania nie brać w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo mój pan Bolesław nie był gie-

niuszem; daleki od tego. Ale przecię był poetą; w jego duszy było natchnienie które ciągnąc go w górne strefy, kazało mu pogardzać poziomem, a zatem i być od niego pogardzonym; w jego głowie mieszkało marzenie, które mu nie pozwalało tak sądzić rzeczy jak motłoch sądzi, a w jego sercu było czucie wyskakujące co chwila za obręby uświęconych zwyczajów, czucie kapryśne, przesadziste, bezgraniczne, nieznośne dla ludzi, bo celu nie mające, do którego koniecznie wszyscy biegnąć muszą, a w jego żyłach biła krew ognista, krew tropiku, otoczona lodami Norwegii, krew poety wrząca, a w jego piersiach koniecznością ściśnione, jak wiatry w jaskiniach zamknięte, drżały namiętności olbrzymie, którym było za mało miejsca, a za wiele praw.

Pan Bolestaw był niczem, i wąpię by już czem został. Ledwie znany, od niewielu osób uważany za coś lepszego, od ogółu miany za niebezpiecznego towarzystwu przez przesadzone i zapamiętałe swe uczucia, czasem tylko, gdy wpadłszy między mniej światłością zepsute umysły, pomiędzy ludzi nijakiej barwy, którzy nic jeszcze nie widzieli, a widzieć ciekawi, w których wszystko śpi, rozochocony chwilą weselną, podniecony myślą przypadkiem rzuconą, lub czuciem przeczuwającym blisko siebie cień jaki współczucia, lub namiętnością gwałtem wypierającą się na jaw rozegrzany, gdy przemówił, wówczas latały z jego oczów łyskawice natchnienia, z jego ust latały łyskawice myśli, cieniowane różnemi barwami wymowy pięknej, szczytnej, wówczas słuchacze zdumieni, olśnieni, przejęci a co dziwniejsza nie śpiący przez długą chwilę między zdjęciem halsztucha, a zaciągnięciem szlafmy-

cy mówili do siebie: Szkoda pana Bolesława! Co to za rozum, żeby statek! O półgłówki, mógłby wam pan Bolesław między poduszkę, a ucho krzyknąć: co to za statek, żeby rozum.

Pan Bolesław wątpię czy byłby kiedykolwiek mógł zostać Byronem lub autorem Grażyny, i dlaczegoby nim nie mógł zostać, albo raczej dlaczego nim nie został, to należy do dziejów jego pierwszej młodości, do jego pierwiastkowego wychowania.

Pan Bolesław był poeta, i dlatego nieszczęśliwy; nie będąc niczem innem tylko poeta, nie był właśnie zdatnym do niczego, bo nawet nie mógł się nauczyć pisać kaligraficznie, by być krajopisem w jakiej kancelaryi.

Pan Bolesław żył nieraz w najokropniejszej nędzy, ciekawy byłbyto epizod co natchnienie działa na zimno i głód, i odwrotnie. A nędza! to niedosyc że zawiera w sobie żołądek głodny, palce skostniałe od zimna, surdut o którego barwę słońca i deszczu pytać, bóty w jakich po latach kilkunastu wielkiego Napoleona wygrzebano; nędza jestto rdza która najczystsza stal przetrawi: jestto brud, który niedosyc że ciało obsmaruje, ale przylega częstokroć do duszy. Nędza najprzód tego, którego za przedmiot swojej miłości obierze, poniża przed ogółem, dla prostej matematycznej przyczyny, że nędzny jest. O! na to żeby był jakąś w rzeczywistości stanowiącą cyfrą, trzeba dodać przynajmniej $+ 0$ i $+ 1$, a zatem trzeba dać. Ludzie nie cierpią dawać, jestto rzecz dowiedziona, żadnych nowych nie potrzebująca dowodów, a zatem widok nawet takiej istoty staje się nudnym, obrzydłym, w końcu dżumowy skutek, to jest unikanie sprawia na

ludziach. A co gorzej, nędza naznaczywszy już palcem swoim taką nieszczęśliwą istotę, namaszczywszy ją olejem męczennika, odosobniwszy od ludzi drugich, od wszystkich uczuć, których nawet okazywanie świat zowie śmiesznością, jeżeli nie zbrodnią, bo nieszczęśliwy jestto Parya towarzyski; obdarłszy go z tego przez coby mógł się powierzchownie podobać czulszej części rodzaju ludzkiego, to jest zdjąwszy z niego suknie w którychby ich sukno przypominało znany sklep, a krój znanego krawca; przerzadzi jego włosy, a resztę ręką rozpaczy w bezładne pogmatwa kołtuny; porze twarz jego zmarszczkami sobie właściwemi... Bo proszę uważać, nie wiem co o tem pan Lawater pisze, oto są dwie twarze dwóch ludzi, których wiek się już ma ku starości, na obydwóch fale zdarzeń przeżytych marszczą się jednakowo: ale na tej po prawicy są zmarszczki miękkie, zaokrąglone, ciągnące się w lekkich zarysach ku ustom, które wydęte na wierzch, pełne lub nieco wdół zwieszane zdają się uśmiechem tworzyć tu jakieś zagięcia twarzowe, tam po lewicy widzisz ostrokątne, długie, przeciągłe, głębokie zmarszczki, ku oczom w płaczu, dalej po czole ku niebu w modłach rozciągnięte, tak mocno i dobitnie, że się aż usta ścisnęły w środek, jak gdyby chciały zdławić jęk lub przekleństwo; zrazu rozpoznaję tego, co w użyciu postarzał, od tego, którego nędza naznaczyła. Brzydsza twarz nędzarza; miłsza bogacza, chociaż nie powiem że szlachetniejsza, bo przebiegłszy dzieje tych zmarszczek, znajdziesz może na tej szlachetność cierpienia, a na tamtej podłość rozpusty. I nieraz twarz żebrzącego starca przypomni ci, jeżeliś czuć jeszcze zdolny, twarz Sokratesa nad puhaem cykuty; a twarz dyplomaty chyba Sardanapala przesyconego użyciem...

Ale nędza krwi nie zdoła ugasić zupełnie, namiętności przytłumić na wieki nie potrafi: te wyrwać się pragną; im więcej ściśnięte, tym więcej na wolność dążą. A wyobraźnia wystawia czarowne obrazy z całym urokiem pamiętek czytanych, widzianych, przeczutych, i drży krew namiętności, piersi rozprzeć grożą a użycia tysiączne sposoby, jak nimfy tęczowemi barwami strojne, wijące się w czarujących splotach tańcu, coraz żywszego, dzikszego, szaleńszego, łyskawicą oka mrugając, ustami pocałunku żądnemi uśmiechając, żałobnemi ruchami nęcą, podsuwając prawie pod usta puchar z którego trunek zaczarowany wytryskuje dyamentowemi kroplami rozkoszy i użycia. I wyciąga drżące od żądz, wyschłe od nędzy usta, i kielicha dosięgnąć nie zdoła. Bo między ustami a kielichem występki wyszczerza się okropnie, i co dzień, co godzina, co chwila, szalone powtarza się zjawienie. Jeżeli w przeklętej chwili zapomnienia i rozpaczys dosięgły nareszcie usta nęcącego pucharu, i pijąc już z niego zapomnienie, świat nieomylnie swoich wyroków wykrzyknie...

Nie dlatego to powiadam, by pan Bolesław miał na sumieniu jaką zbrodnię. On daleki od tego, ale nieraz zmęczony przymuszoną wstrzemięźliwością, a namiętnościami i krwią pobudzony, jeżeli niezgrabnie potrafił kogo w szalonym pędzie za pucharem rozkoszy, ile przekleństwa! ile gniewu! na się zwrócić.

W miłości osobliwie grzeszył wiele, bo jego miłość każda była gwałtowna, pierwsza niebios i piekieł sięgająca, niczem niewstrzymana, burzliwa, pełna kapryśnych epizodów poety, jego każda miłość

była powieścią odrębną, uczuciową, której najczęściej ofiarą była ta nieszczęśliwa, która porwana pociągami magnetycznym natury, silniejszej i poetycznej, nie zdołając nawet rozumieć tej natury wyższej usposobieniem i czuciem od siebie, nie będąc oczewiście w stanie zadosyć czynić wszystkim kapryśnym żądaniom takiego uczucia, ulegała najczęściej, tą poezią która ją otaczała, jakby snem czarującym i cudownym ujęta; błędząc z marzenia w marzenie, przebiegała, skrzydłami wyobraźni swego kochanka utulona, w nieznane sobie krainy cudów i uroku, aż się nareszcie obudziła, znudzona, zmęczona, zniszczona, przesycona, za mocnem dla siebie uczuciem, albo co gorzej opuszczona z zapłakanemi oczyma, śledząc nadaremnie kochanka, którego inna namiętność gdzieindziej porwała.

Pan Bolesław był zatem niestały! Proszę wierzyć tej smutnej prawdzie, że poeta który tak pięknie, tak szczytnie miłość opiewa, stałość w najświetniejszych barwach maluje, jest niestały zawsze, i musi być niestały. Jego miłości wszystkie, sąto powieści siłą jego duszy natchnione, w rzeczywistość przeistoczone, i jak w rzeczywistości kończące się nakoniec. Świąćcie w to wierzę, że żaden poeta nie może być stałym kochankiem; mąż zaś z niego zwykle najokropniejszy. I dlatego, piękne czytelniczki moje, radzę wam, wybierajcie sobie za przedmiot miłości waszjej równego sobie w usposobieniu; będziecie uboższe w cudowne marzenia, w urocze zjawienia, w płomieniste uczucia, ale zato bogatsze w rzeczywistość. Szczęście raju będzie wam nieznane, ale za

to mieć będziecie szczęście, jakie ziemia dać jest w stanie!

Pan Bolesław, jeżeli zakrwawiał nie jedno czule do siebie przywiązane serce, nie robił tego z celu jakiego, bo przedewszystkiem cel jaki pewny i pan Bolesław, byłyto dwa pojęcia niełącznie z sobą. Pan Bolesław żył bez celu, kochał bo kochać umiał, bo kochać pragnął, bo jego wszystkie siły żywotne, siły natchnienia i poezyi, szukały bez ustanku walki, sposobu i miejsca, gdzieby się mogły wyszaleć, wyteńczyć, naigrać do woli. Rzeczywistość ograniczając działalność pana Bolesława, trzymając go na uwięzi, jednego kraju, jednego miejsca, zostawiła mu jedno uczucie wolne, to jest miłość. Pan Bolesław, jako poeta, szukał w ograniczonym świecie w którym żyć musiał, tego ideału, którego obraz spoczywał w duszy jego. Ideał natchniony poezją, cudowny, jest to fenix bajeczny, i niestety nigdy podobno znalezionym być nie może. Ileż razy biedny pan Bolesław, złudzony uczuciem, które poetyczne jego obrazy żywymi słowy malowane zbudziły w pięknym oku ziemianki, uwierzył łzie która zabłysła jak gwiazda na niebios błękiecie, albo na zaciemnionym tle chmur i mniemał widzieć gwiazdę zaranną poprzedniczkę zorzy szczęścia. I wysypał u nóg tej nowej niebianki źródło skarbów w głębi swjej duszy zamknięty. Pigmalion ożywił Galatę natchnieniem poety i przywiązał się do swego dzieła, i usnuł dla nięj szatę z najlżejszych i najprzejrzystszych marzeń swoich, cudownymi, nieznanymi ziemianom kwiatami uczuć ją obsypał, ustroił w myśli swoich błyszczące klejnoty, w perły też swoich, i muzykę swych pieśni. I widział przed

sobą cudne, ludzi oczom niewidzialne zjawienie; odbicie się własnych natchnień, myśli i uczuć, tęczę odstrzeloną w kropelce łzy. Lecz jakże prędko znikło to zjawienie, jak każde optyczne złudzenie! Przystała bańka tęczowa! a miejsce bogini zastąpiła kobieta z całą prozą swojego wychowania, swoich potrzeb, zwyczajów, stósuników codziennych, koniecznych. O! darujcie panie, biednemu panu Bolesławowi! Często on był oszukany i oszukiwał nawzajem, jeżeli odczarowanie okropne poety może się nazwać oszukaństwem. Świat krzyczał za nim, trzoda krewnych, przyjaciółek, odsadzonych kochanków ryczała przekleństwem za nim; i nikt mu w serce nie zajrzał, jaki mu tam żal głęboko wkorzeniony został, żal za złudzeniem, które tak krótko trwało, i żal za tą którejby chętnie krew swą oddał, by wynadgrodzić miłość, której czuć już nie mógł.

Kto wie coby się stało, gdyby pan Bolesław był zdybał jakim przypadkiem kobietę usposobienia równego sobie. Rzeczby była ciekawa, dla zimnego psychologa, uważać zjawienia miłości takich dwóch istot. Ja jestem pewien prawie iżby pan Bolesław był w tej nowej walce upadł na wieki, i z marzenia tej nowej olbrzymiej zapewne miłości obudził się niewolnikiem wiecznym takiej kobiety, igraszką jej kapryśnej woli; bo..... Tu muszę państwu powiedzieć jeszcze jedną właściwość pana Bolesława, dla zrozumienia mojego domniemywania.

Pan Bolesław był otyły!.. Widzę uśmiech na twarzach czytających dosyć przykry, dla mnie ironiczny; ale proszę o cierpliwość, w istocie pan Bolesław był otyły, nic to nie mówi przeciw jego prawom do wyż-

szości nad drugimi, albowiem Alexander Wielki, Bolesław Chrobry, Gibon i wielu innych wielkich ludzi, byli otyłymi. Wprawdzie nie zdarzyło mi się słyszeć o poecie otyłym; ale cóż robić, prawda przed wszystkim. Pan Bolesław był otyły, i pan Bolesław był poeta! Z tej-jemu może tylko właściwej przyczyny, dałoby się wyprowadzić wiele nieszczęść pana Bolesława. Dusza jego i ciało były w ciągłej walce, ale dwie siły przez naturę, w takich stosunkach były rozmierzone, iż żadna z nich drugiej zwyciężyć nie zdołała, a że te dwie siły są sobie zupełnie przeciwne, całe życie pana Bolesława najjaśniejszym tego dowodem. Nieraz pan Bolesław uniesiony natchnieniem duszy, która zaczynała po nerwach mózgu jego, jak mistrz jaki po strunach, przegrywać cudowne akorda, zwiastujące jakieś nowe, niesłyszane arcy-dzieło, i już pan Bolesław pełen myśli nowych i łyskającymi oczyma, porywał się by chwycić pióro i przenieść na papier, co tam wrzało w środku, kiedy ciężkie ciało spoczywając gnuśnie na łożku, z długim cybuchem w ustach, mimo wszelkich napięć duszy, nie pozwoliło mu się podnieść; i całe natchnienie pana Bolesława znikło marzeniem w kłębach dymu.

I dlatego ileżto razy w dziennym poobiednym pół-snie pół-jawie, lub w nocnym przedsennym marzeniu cudowne powieści, całe formą, całe w szczegółach, przesunęły się przez myśl pana Bolesława, pieszczone długo przez niego. Obrabiane nawet, ale nigdy napisane. Nieraz pan Bolesław leżąc czy chodząc, siedząc czy jadąc, roił sobie z własnego życia wzięte zamki nadpowietrzne cudownych kształtów, pełne dzikich okolic, niezwyuczajnych zdarzeń, i po ró-

żnych koniecznych, dziennym zatrudnieniom poświęconych przestankach, porywał napowrót tę samą myśl, obrabiał ją, w nowo ustrajał szaty, zdarzenia w logiczny ścisłał związek, naokoło artystycznie ułożonego kościotrupa je oklejał póty, póki nie stworzył całości; ze wszystkimi odmianami, ze wszystkimi arteryami, po których krew przyczyn i skutków, sok rozumowań przelewał się aż miło. Ale ciało leniwe i ciężkie, nie lubiło zgięcia nad stolikiem, ręki do ruchu pisania puścić nie chciało, i znajdowało narreszcie, że przerabianie myśli na słowa i peryody, sprawia ból głowy. Ztąd ponikło mnóstwo powieści pomiędzy ścianami niegodnymi takich gości, uleciało po gajach leśnych, po krzewach ogrodowych. A co najgorzej, że pan Bolesław rzeczywistem życiem zmęczony, polubił takie chwile samotne, poświęcone tworzeniom, które jego samego świeżością swych barw i pięknocią kształtów bawiły, czas tego wielkiego ciała nieprzyjaciela zabijały, słodziły niejedną gorzką życia chwilę Letejskiej wody, usługę mu czyniły; a co najwięcej, były niejako sposobem jakim się dusza zmęczona tą ciążą przekorą odwetowywała męcząc je w ten sposób, i prawie odosobniając się od niego. I dlatego pan Bolesław nie został wielkim człowiekiem; dlatego pan Bolesław był w całym tego słowa znaczeniu do niczego, bo nigdy ciało leniwe, nie dało mu się wziąć do ciągłej, trudniejszej pracy. Z wiekiem to lenistwo ciała stało się złem nie do wyleczenia.

Rzeczywistość zaś nie przestawała coraz więcej ścieśniać działalność pana Bolesława, nowemi trudnościami zawałając ścieżki, które marząca natura

pana Bolestawa sobie wybierała; ścieżki po których można zapewne zdobywać cudowne dzikością swoją okolice, pyszne skałami i lasami niebotycznymi widoki, ale domy gościnne, publiczne ogrody z całym ształem ciągle nowych zabaw, ale pałace zbytków i używania, bitego trzymały się gościńca, po którym wśród cisnącego się tłumy, dawno go rzesza jego rowienników wyprzedziła. On zmęczony przeciwnościami, z początku sam uciekał w swoje lube kraje marzeń, bo w nich piękniejsze zdybywał ogrody, bo tam kolumnady jego pałaców w kopule nieba niknące, były świadkami nie takich zwyczajnych zdarzeń, walk olbrzymich i jak w kalejdoskopie, w ciągłych zmianach coraz go świetniejszemi, świeżych barw rysunkami nęciły. A później wzwyczajony do tego życia marzeń i poezji, czyż mu tak łatwo było od nich się oderwać. Miał on jedną myśl, która jakby łyskawica przebijała czasem mgły marzeń, które wkoło niego osiadły; była to myśl dawna, ciężka, bolesna, była to myśl zła: i biada jemu, jeżeli z tej łyskawicy wyleci kiedy piorun, z tej myśli wystrzeli czyn, biada wtenczas jemu i miejscu, które w swym przelocie piorun natrafi. Czyto myślą wzbudzony, czy kapryśnego błędzenia przypadkowem zrzędzeniem, czy najczęściej potrzeby gnany ostrogą, dostawał on się nieraz na bity gościniec. O jakże śmiesznie wydawał się on w tłumie, w swęj zaniedbanej, podartej od cierniów odzieży, z mgłą na czole, z marzeniem w duszy: czasem zdybywał którego z rowienników swoich, który przywitał się dlatego, aby z uśmiechem pogardy zmierzywszy pana Bolestawa, wskoczył w mięk-

kie własnego powozu poduszki i pogonić za nowemi towarzyszami i przegonić się, gdyby nawet przyszło stratować rękę przyjaciela ku przywitaniu wyciągnięną. Bo tym gościńcem jeno wzdłuż jego spoglądniej dziwnym ruchem w bezładnym tłumie miliony ludzi bieży, jedzie, a nawet czołga się naprzód. Dziwne postacie tych tłumów, różnorodne są stroje; jakby maski Weneckie, jakby pielgrzymy z całego świata, w jedno miejsce dążące. I przez Boga! maski to są za życia, a celem pielgrzymka, do grobu! A tu i owdzie po bokach gościńca, jakby znaki milowe różnego wieku i różnego kształtu mogiły, kryją one całe pokolenia wędrowców tych dziwacznych, którzy na bok drogi przemocą, wiekiem lub własną chęcią zepchnięci, usnęli na wieki, z ustami przyciśniętymi do kielicha, do ust niewieścich, do pełnej szkatuły, do księgi nigdy nieprzeczytanej, lub otwartemi do żebrackiej pieśni! I pan Bolesław, popychany jakby falami morza, temi bałwanami ludzkiemi, stał ciągle prawie na jednym miejscu, jeżeli nie odbywał żółwia a co gorzej, czasem raka podróży. Sam nie mając celu pewnego przed sobą, darmo pytał przechodniów, darmo szukał twarzy przyjaznej, darmo! twarze zimne i obojętne tej wielkiej maskarady co najlepszego dla niego zdziałać mogły, to chyba wprowadzając go w nowe marzenia, w nowe ustępy, z bitego gościńca. Jednym słowem pan Bolesław coraz więcej stawał się niezdatnym do życia w świecie, w którym żyć musiał, do ludzi między którymi srogi go los postawił. On szukał tam ziszczenia swych marzeń; cóż dziwnego że i ludzie i zdarzenia które go zdybywały, musiały mu się wydać tak różnemi, tak niższemi, ruchy i działania jego

istot wymarzonych, i tyle różne od ruchów i działań ludzkich, logika jego dumań samotnych od logiki ludzkiej. Niezdatny dla ludzi, niezdatny dla siebie; tem podwójnem piętnem naznaczony, nasz pan Bolesław najszcześniejszym czuł się, gdy na chwilę znowu zamarzył, i jak w własnym domu znalazł się w obszernym obrębie swoich marzeń.

W tej ciągłej walce, między duszą a ciałem były oczwiscie chwile, kiedy ciało zmęczone tą ciągłą lecz celną wędrówką, za złudzeniem głośniejsze jeszcze przemawiać zaczynało; dusza wówczas marzyć przedstawiała, a za pomocą tajemnego organizmu, który łączy te dwie siły, podsuwały się przed oko duszy obrazu zupełnie cielesne, materialne, tysiącznych potrzeb. Były znowu chwile równowagi między dwiema siłami, chwile okropnych dla pana Bolesława rozpamiętywań, wówczas organem duszy przemawiała ta myśl dawna, ciemna, organem ciała potrzeby życia ciągle wzmagające się. I znowu nierównym chodem szedł naprzód. A wkoło niego tysiączne śmieją się doń ciała, rozkosze, tysiączne sposoby używania, patrząc nań oczami wszystkich zbytkowych przedmiotów, wszystkich coraz zmieniających się ludzkich wynalazków.

Biedny pan Bolesław! cóż dziwnego że zdybawszy po drodze jakiegokolwiek uczucie, tak się z niem pieści, tak sam siebie łudzi, strojąc je w szaty marzeń swoich. A ciało leniwe, wówczas spokojniejsze, samo mu pomaga do złudzenia, usypiając umysł burzliwy używaniem.

I dlatego pewien jestem, że mocne uczucie kobiety równej jemu swym usposobieniem, zdołałoby go zupełnie zwyciężyć; bo do katastrof jego życia któ-

rychby się można jeszcze spodziewać, należy albo zwalczenie ciała przez duszę, albo przeciwnie duszy przez ciało.

W chwilach rozpamiętywania, oddawał się rozpaczy pan Bolesław, bo nie miał tyle energii, by się tego położenia wyrwać, i czy instynktem rozpaczy wiedziony, czy rozumiejąc złe swego usposobienia organicznego, starał on się kilka razy przyprowadzić ciało do poddaństwa, zwalczyć tę zbuntowaną część siebie samego, niszcząc jego siły. Pan Bolesław pił ocet aż do zbrzydzenia, aż same zęby ścisnęły się przed zapachem tego trawiącego napoju; bo mu się zdawało nieraz w chwilach samotnemu dumaniu poświęconych, że wówczas dopiero, kiedy ciało niknąć zacznie, duch jego uwolniony z więzów ciała, sam wolno bujać będzie po niezmiarzonej marzeń przestrzeni, i utworzy cudowne natchnienia, któremi on gasnąc powoli, jak pieniem łabędzia żegnać będzie świat, który go tak długo zapoznawał. Jedno z najmiłszych jego marzeń było, umierać na długie, powolne suchoty, i wówczas rzucać na papier natchnienia godnej siebie zemsty, nad ludźmi, którzy nim pogardzili. Ale czy brak energii nie pozwolił mu dotrwać w przedsięwzięciu swoim, czy ciała zanadto silne zdrowie odrzucało zarody zepsucia, czy może ta myśl jedna, w dziecku jeszcze rozwinięta, drzymała w głębi duszy jego, wzbudzona czasem jakim słowem przypadkiem usłyszczanym, dodawała mu chwilowej niezgodnej z jego usposobieniem wytrwałości, i popychała go ku jakiemuś czynowi, którego zarysy niewyraźne i nieodznaczone wisały przed nim w dalekiej przyszłości, ciemne, dzikie, fantastyczne. jak członki wi-

dziadła jakiego, zgoła że zdrowiu pan Bolesław nie wiele zaszkodził, tylko się nieco na twarzy podsta- rzał, włosów niemało postradał, a resztę pobielił, i zawsze więcej marzył niż pisał, więcej dumał niż działał, pragnął użycia pełnego, którego mu skąpą ręką udzielało przeznaczenie, i nakoniec musiał w nie wierzyć pan Bolesław, bo dziwnym łańcuchem nie- powodzeń, wiążących się między sobą, ciągnęło się pasmo zdarzeń jego życia. Uwierzył nakoniec że fa- talność wisi nad nim, widząc własnych swoich naj- lepszych chęci najgorsze skutki, płacząc nieraz nie tylko nad własną niedolą, ale i nad cudzą, której sam przed sobą przyznać musiał, był sam przyczy- ną. A co najwięcej nadawało panu Bolesławowi nie- zaprzeczone prawo do wyższości, czyli raczej do nad- zwyczajności różniącej go od ogółu, i dla czego po- zwoliłem go sobie umieścić w odrębnym rodzaju poetów, jest to, że w trzydziestym piątym roku, mimo burzliwe życie swoje, mimo mnogie walki z losem i sobą, zachował tę młodość i gwałtowność uczuć, która w tym wieku nie może być, tylko udziałem od- rębneho, wyjątkowego usposobienia. Bądź jak bądź, takim był pan Bolesław!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Noc czerwcową.

Po zachodzie słońca, które cały dzień promieńmi z Włoch zdaje się przeniesionemi, niepospolicie do- kuczają, miły był wieczór czerwcowy, z tym chłó- dem, który tym jest przyjemniejszy, że po nieznośnym następuje upale. Woń wiosny, rozchodziła się doko-

ła, woń z tysiącznych unoszących się pierwiastków, woń która prawdziwie stanowi oddech wiosny, świeży i upajający razem.

W taki wieczór pogodny, na wystawie przed skromnym domkiem wiejskim, siedziało trzy osób, na których twarzach było rozlane głębokie jakieś marzenie, różnie jednakże cieniując się na nich. Siedziało dwie kobiety i mężczyzna. Twarze kobiet, chociaż wiele różniąc się od siebie, miały jednakże to podobieństwo rodzinne, które czasem łączy jakimś tajemniczym, niewidocznym rysem podobieństwa, twarze zresztą zupełnie nie podobne. Byłyto siostry: jedna blondynka, z niebieskimi oczyma, z jasną twarzą; na jej młodych jeszcze rysach, widać jak cień rozchodzący się po nich zmęczenie życia, widać że te rysy przeciągnięte już nieraz były do smutku, do tych drobniejszych życia cierpień, które ludzkości są udziałem.

Nie widać na niej tych głęboko wcisniętych zarysów, które świadczą o wielkich walkach, o nieszczęściach głównych, ale natomiast te drobne żyłki, tak widoczne na jasnej twarzy, ściągające się ku oczom, zdają się świadczyć, iż przeznaczenie nie poszczędziło tej kobiecie, tych szpilkowych cierpień, których siedliskiem jest domowe pożycie, a ofiarą najczęściej kobieta, żona. Naprzeciw niej siedząca, jej siostra, jest napoły blondynka, napoły brunetka; włosy jej zdają się być przejściem tych dwóch rodzajów, a oczy są tej barwy niepewnej, której wewnętrzne uczucia, dodają złotego blasku słońca, i cieniują je aż do ciemnego czarnych oczów światła. I na twarzy widać łączące się te dwa rodzaje, w jedną tym

piękniejsza całość, im odrębniejszy jest rodzaj takiej piękności. Długie rzęsy brunetki pomagają do kameleonowej odmienności oczów, owalne zaokrąglenie twarzy brunetkom właściwe przy płeć jasnej przezroczystej blondynki, nos ściągły, więcej twarzom południowym właściwy, wdzięcznie unoszący się nad ustami których wycięcie małe, kształtne, dołkami uśmiechu ustrojone, zdradza pochodzenie północne, tworzą razem czarującą całość. Nie tyle młodość rozlana na całej postawie, kraszająca twarz urokiem niewinności, ile gładkość lic aksamitna, podobna do barwy brzoskwini, czystość czoła wzniosłego, dowodzą iż lat dziewiczych nie przeszła jeszcze. A jeżeli w tej chwili przejścia dnia w noc, rozchodzi się jakiś cień lekki po twarzy i czole, nie jestto jeszcze odcień życia, ale raczej odcień uczuć wewnętrznych, które może po raz pierwszy wzbudzone, kołyszają jej piersi pełne do westchnienia, oczy mocniejszym cieniują blaskiem, usta do uśmiechu swawoli wzwyczajone, uroczystym otwierają ruchem, jakby do modlitwy, lub pierwszego wyznania. Na czole marmurowej białości, tak gładkiem, tak czystem, jak gdyby świeżo mistrza ręką utoczone było, jeszcze ani razu nie osiadła głębsza myśl życia; ból cierpienia nie wycisnął rysów swoich. Gdy spojrzy tylko, podniósłszy z pod długich rzęsów oczy mgłą zamyślenia przyćmione, na mężczyznę, który siedzi koło niej, i którego twarz chociaż ledwie średni wiek okazuje, ale mnogimi zagięciami, rysami głęboko wciśniętymi, wydaje się być pobojowiskiem niejednej walki wytrzymałej z życiem, namiętnościami i własnymi uczuciami; w tém spojrzeniu przeciągłym, migotnym, powłoczystym, psycho-

logiczny badacz odkryłby pierwszy odbrzask uczuć, zorze wschodzącego życia dla niej. Jej wydaje się być zorzą szczęścia, a w mężczyzny myślach, w mężczyzny duszy jakie zbudza uczucie, któż pozna z twarzy, która dawno nauczyła się tać wewnętrzne uczucia.

W tej chwili głębokie zamyślenie odznaczało tylko twarz jego, a jeżeli podniósł oczy jasno błękitne na obok niego siedzącą; wzrok którym z nich wystrzelił, tak krótko spoczywał na niej, i chociaż zaostrzał go wewnętrznem uczuciem, ale tak krótko i przelotnie, iż tylko poznać po nim można, że te oczy wymowniej przemawiać potrafią, niż tego dowodzić się zdaje twarz pełna, nieruchoma.

Zszedł tymczasem księżyc pełny, i z pomiędzy wysokich topól, rzucił kilka promieni niepewnych na tych troje osób, które długi czas w głębszem niż zwyczajne milczeniu pogrążeni, by może sami przed sobą ukryć mogli to zadumanie z przymuszonym uśmiechem, czasem aż do pół-szczerości posuniętym, poglądali na pięcioletniego chłopczyka jasno-włosego, błękitno - okiego swawolnika, który jeden z pomiędzy nich, życia używał w pełnem znaczeniu. Uwijał się bez ustanku, po piaskiemusypanej ulicy, która się przed domem po zielonym wiła trawniku, to za psem szukającym spokojnego miejsca, to za nią ulatującą, to za własnej swawoli kapryśnemi utworami, tą pierwszą iskrą nieświadomej siebie wyobraźni. W czasie tego ogólnego milczenia, które oczywiście matkę najwięcej zajmowały, głowy dziewczycy i mężczyzny zdawały się czy przypadkiem, czy umyślnie zbliżać do siebie, i dzwonekowy głosik chłopczyka zagłuszał cichy szmer ledwie po ruchu ich ust dostrzeżony, szeptlito był, czy

westchnienie. Te, ledwie dojrzone ruchy, nie zdawały się jednakże uchodzić uwagi starszej kobiety, kilka razy bowiem kończąc ustąpieniem małą utarczkę z synem, rzucała na parę przed nią siedzącą spojrzenie, w którym wyraźnie malowało się zamyślenie i smutek.

Był to jeden z wieczorów, których długi szereg podobnież im przeszedł, w tem samym miejscu i z podobnemi usposobieniami. A przecież było coś nadzwyczajnego w posiedzeniu dzisiejszego wieczora, chociaż ani dzień który upłynął, ani poprzednie nie dały powodu do zmiany jakiegokolwiek, między temi trzema osobami, przecież ta cisza miała coś posepniejszego; jeżeli porównać można, byłato cisza zwiastunka burzy. Nie było powodu do smutku szczególnego, a przecież starszej siostry serce było ściśnione; różne przykre myśli tłumnie się do jęj głowy tłoczyły, księżyc, który już przenosił swemi promieniami topól szczyty, odbił się w zwilżonem jęj oku. To drobne usposobienie tego wieczora odbijało się na mężczyźnie w jakiejś niespokojności wewnętrznej; wstawał kilka razy, jakby się przejść chciał i znowu siadał, oglądnąwszy się na stronę jakby czekał kogo. A przecież nikt nie był spodziewany i dzień równie drugim, miał skończyć się na wieczorze wspólnej pogadance przepędzonym, na nocy spokojnie przespanej.

A wieczór był tak czarownym, jakiego tylko w czerwcu, tym najpoetyczniejszym miesiącu, doznać było można. Wszystko dokoła ucichło, zdaleka dolatywał czasem głos jakiś urwany wieśniaczej piszczałki, żałośny, przeciągły, niknący, dalsze szczekanie psów, jeszcze dalsze żab grzegotanie. A w powietrzu tak ci-

cho i spokojnie, że się żaden listek nawet nie ruszył. Dwie tylko władze wolne i bez przerwy, zdawały się panować nad całym uciszonym światem: światło księżycy i woń wiosny. Tamte do marzeń, a ta do rozkoszy wzywa, dwie władze odpowiednie dwom władzom człowieka: księżyc przemawia do duszy, woń do ciała. O cudowne wieczory! ileż ja was już przeżyłem w marzeniach, w rozkoszy, w samotnej ogrodu ścieszcze i w ludzi tłumie, z myślą w głowie, a żądzą w duszy, z mgłą na czole i uczuciem w sercu, wśród uśmiechu i westchnienia; i dotąd, po tylu lat upływie, ja marzę do księżycy bez celu, ja żądam, wonią wiosny upojony, bez końca i darmo!

Tak cicho i tak spokojnie w całej naturze, i tak cicho pod wystawą, iż zdaje się, że równy spokój powinien być rozlany w duszach tych trzech osób, które się już oddawna znają, i nie jeden wieczór podobny między sobą przepędziły. O nie! tam cichość natury! a tu cichość sztuki, a pod nią grają namiętności. Wieczór podobny do drugich, ale pod wystawą odgrywa się pierwsza scena długiego dramatu, którego końca nie przewidzieć.

— Późno już być musi, odezwała się z mimowolnem westchnieniem starsza siostra. Ty, Amelko, już senna, a Bolesław lubi długo czytać: i krzepiąc się ze wzruszenia, któremu rozsądnej dać nie mogła przyczyny, dodała: Może jutro weselsze przyniesie nam usposobienie. Dobra noc!..

Odpowiedziały dwa „dobra noc“ wymówione tonem drżącym, urywanym.

A wieczór czerwcowy był tak cichy, tak spokojny, jak gdyby wszystko wokoło usnęło na wieki. Prze-

ciągłe dwa spojrzenia, spoczywały długo na zamkniętych drzwiach, któremi weszła starsza siostra. Było tam więc jak dobranoc. Zdybały się dwie ręce w ściśnieniu elektrycznem i zdybały się dwa spojrzenia; spadły ku ziemi oczy dziewicy pod tém spojrzeniem mężkiem, silném, którego wyraz dla dziewicy ma urok tajemniczego posągu u Sais, a za niemi i głowa dziewicy spadła na ramie mężczyzny; gorący oddech obwiał jej twarz, a w ucho wleciały na skrzydłach anielskiej harmonii, te, głosem kochanka wymówione, słowa:

— A teraz tyś moja na wieki!

— Na wieki! szepcząca była odpowiedź.

I bez celu poszli błądzić po ścieżkach ogrodu. Dla dziewicy, której w tym ogrodzie lat tyle przeminęło wśród niewinnych dziecka i dziewczyny igraszek, jakże czarująca być musi przechadzka po tych samych miejscach z kochankiem przy boku, z uczuciem nowem w sercu, nowem życiem, które ogniem zda się krążyć po młodej niezspsutej krwi; przy świetle księżycy i jaśniejszym blasku dwóch oczu, z których błyska niebo, nowy świat nieznanym; pali miłość buchająca wzrokiem, unosi natchnienie, które z nich strzela.

Ajemu!.... On kocha, kocha zapamiętale; ale czyliż to pierwszy ogród który on widzi, i po którym rozsiewa bogactwa swoich uczuć, natchnień i wyobraźni. On czuje rozkosz, rozkosz co go unosi wraz z nią w niebo, bo pierwsza miłość dziewicy ma w sobie czarodziejską siłę, siłę niewinności. Ale on już żył na świecie; nadto żył długo, aby nie wiedział jak krótkie, jak ulotne szczęścia są chwile. I jest tam w głę-

bi oka; próżno kryje spojrzeniami, które się tak rozmaicie cieniują, od natchnień aż do żądz, przechodząc przez wszystkie pośrednie wyrazy zapału. błagania, przysięgi; jest tam myśl jedna, niema, okropna, i czasem gdy wystrzeli spojrzenie, gdy padnie na dziewicę, aż ta zadrży zziębnięta. Snać ona ją rozumie, ale bez doświadczenia, porwana szatem pierwszej miłości, ona tylko w niego wierzy, i ślepo za wzruszeń swoich idzie pędem. A on! on kocha, i kochać wiecznie przysięga, a jak spojrzy na nią, spojrzy na te oczy, które wymowniej jeszcze niż usta miłość bez miary, poświęcenie bez końca przysięgają, co mu tam myśl, co mu tam piekło..... On zakochany! kocha!.. spragniony tego boskiego uczucia.

— Luby mój, ja się nudzę, ja to samo powtarzam bez końca, kocham, kocham, kocham nad życie, ja nie wiem czy ty w tém słowie tyle widzisz wdzięków, tyle różnych odmian, ile ja. Bo ja, nie dziw się mój luby, że tyle w niem widzę; ja tam całe życie moje widzę, całe! Ale ty, czyż zdołasz kochać mnie zawsze? bo chociaż się gniewasz za to, tak kochać jak ja zdolnym nie jesteś.....

— Amelko, ja się nie gniewam, i czyż mogę się gniewać za to, co tak mi jest miłém? Wierzę, że mnie kochasz; że mnie tyle kochasz ile możesz, ale miłość moja, choć zarzucasz mi, że nie pierwsza, wierz mi, że już ostatnia!.. Ja się kocham, boś ty mnie obumarłemu, mnie zziębionemu przez świat zimny, cały świat nowy, zaczarowany odkryła; świat uroczy; tyś mnie ożywiła. Ja jestem na wieki twoim, bom ja twojém dziełem!.... Słuchaj, aniele mój! w tój uroczy-

stej życia naszego chwili, powiadam tobie, że miłość moja jest bez granic, i musi nią być kiedy.....

Dwa, cięższe niż zwyczajne, westchnienia przerwały mowę. Długa ulica ciągnęła się ponad sadzawką; mostkiem przerwana, nikła dalej pomiędzy drzewami gaju, który po drugiej stronie sadzawki przeglądał się w jej przezroczystych wodach. Na tym mostku stali oboje; patrzą, to w wodę, to w księżyc, to w gaik, a najczęściej w siebie; a natłok myśli i uczuć wzbudzonych tak był wielki, iż słów znaleźć długo nie mogli, by wydać co myślą i co czują.

— Pamiętasz, luba, te miejsca? wyrzekł Bolesław, pierwszy przymuszając wewnętrzne uczucia, by milczały; ile razy tu staliśmy, ile tu nam chwil uleciało szczęśliwych, ile marzeń utopiliśmy w tej wodzie, westchnień wystali ku niebu. Tu w tym ogrodzie, dodał z pół-śmiechem, rozrzucone dzieje nasze, drżą wowych kitkach cichego gaju, kołyszą się na tym jaśminie... A słowik schwytał je zdradziecko, i w czułej wyśpiewuje pieśni!....

Jakoż, ogólne milczenie czerwcowego wieczora, przerywał tylko głos słowika, który w tej chwili tak pięknej, tak słodkiej dla kochanków, na bliskim usiadłszy drzewie, tak odpowiednio do tej niemiej sceny nucił, iż śpiew jego zdawał się być istotnie głosem serc ich, głosem czarownej tej nocy, rozmową marzeń księżycą i woni wiosennej.

— Zapewne, zbudzona z marzeń odpowiedziała Amelia, zapewne ten ogród, to miejsce tyloletniego pobytu mego, nazawsze zostanie w pamięci mojej; tu przesywołam chwile dziecinne, tu przemarzyłam pierwsze dziewicze marzenia, tu, mój drogi, jak dobrze

mówisz, tu wszędzie wokoło rozrzucone są cząstki szczęścia mego; wzrokiem, westchnieniem, łzami i modlitwą porozsypywałam szczęścia które tobie winna jestem, a przecie ja, która dawniej żegnałam z żalem każde miejsce ulubionego ogrodu, chociaż tak krótkie bywały podróże moje, teraz... Mój luby, moje miejsce ulubione przy tobie, mój raj tam gdzie ty!“ Spojrzenie wesołe, prawie odpowiedziało jej.

Ona mówiła dalej: „W tobie założyłam wszystkie moje upodobania, równie jak myśli, uczucia... i całą wiarę, dodała poważnie.

— Tęj, nie zdradzę nigdy! Jakkolwiek niezwykajny nasz związek, jakkolwiek droga, po której cię prowadzę, zbacza z zwyczajnych ludzkich gościńców, Bóg który nie ludzkim sądzi sądem, przebaczy nam... A potem próżna byłaby walka; próżna. Wierz mi, jest coś w mojej miłości czego nie umiem słowy wyrazić, a wiesz coto jest? jestto prawdziwość mojego uczucia, które w duszy spoczywa, i niemym tylko duszy językiem wypowiedziane być może..... A jednakże, słuchaj Amelko, jestto dla ciebie młodej, chwila uroczysta, chwila stanowcza! ja starszy od ciebie wiekiem i doświadczeniem, winieniem ci raz jeszcze wszystko powiedzieć..... Czyste szczęście twoje wierzaj mi, zostanie tutaj, pomiędzy temi klombami; to szczęście święte, wymarzone, szczęście pierwszej i prawdziwej miłości; tu zostanie część twego życia najlepsza!.... Wiek dziecinny, jak sen krótki, uroczy, ledwie pamiętny, i poezya dziewiczych marzeń i pierwszej miłości... Sen, Amelko, i poezya!.... Ale tu, za tym ogrodem, tam patrz na zachód, tam czeka cię rzeczywi-

stość!.... O! aniele mój, czy ty wiesz, coto rzeczywistość?..

— To ty jesteś, mój drogi!..

— Zapewne, ja zawsze ten sam co dzisiaj, zawsze niezmieniony! I przysięgam tobie na pamiątkę téj chwili uroczystej, ja zawsze i wszędzie będę dla ciebie wszystkiem; tak jak ty jesteś dla mnie światem całym. Ale ja, przyzwyczajony do rzeczywistości, nieraz już w szranki z życiem występowałem; znamy się jak dwa zapasniki, którzy znają wszystkie słabe strony swoje. A ty znasz życie ze snu i z poezyi; ale nie znasz tego życia rzeczywistego, olbrzyma by się zmęczyć, karta by uszczęśliwić. Nie znasz prozy domowej, nie znasz życia kobiety, matki, nie dodam żony, bo ja nie tak mężem, jak kochankiem będę twoim, aniele! Ja ci powtarzać nie będę, co tylekroć ci powiedziałem; przypominam tylko w téj właśnie chwili, w której stoisz na granicy dwóch żyć odrębnych. Jeszcze masz czas, i jeszcze cofnąć się możesz...

— W grób bez ciebie, w raj z tobą!

— Ja (mówił dalej Bolestaw, nie zważając na przerwanie), ja cierpieć przyzwyczajony, ale ty, Amelko? a znasz ty codzienne życia prozaiczne potrzeby? Znasz ty cierpienie ciężkiej myśli o jutrze? Wierz mi; na myśl trudności, cierpien, zgryzot, stanu bliskiego nędzy, jaki długo, jeżeli nie zawsze, naszym będzie udziałem, mnie serce pęka z żalu, że ja posiadając skarb niewyczerpanych uczuć dla ciebie, w obnażone rzeczywistości ściany prowadzić cię muszę.

— Owoce i mléko, powiadają że kochankom starczyć mogą, rzekła z uśmiechem swawolnym prawie; ale widząc zasepioną twarz kochanka, dodała powa-

źniej: zapewne ja nie użyłam dotąd, ja nie rozumiem tak życia, jak ty, ale tyle wiem o niem, tyle znam siebie, że mogę ci zaręczyć, iż się pogodzę z niem. I nie mów mi więcej o tém, bo czyliż raz ja już sobie wyrzuciłam, czego przecież winną nie jestem, że nic ci innego nie przynoszę, prócz serca, i.....

— Nie mówmy więc o tém! jakoż, nadto cię wysoko cenię, bym nie wierzył, iż przyjmiesz życie, jak przyjąć powinnaś; ale ty wiesz, Amelko!.... nasze stósunki!.... A jeżeli ty, która przyzwyczajona byłaś do życia towarzyskiego; w rowieścieńkach gronie, wśród żartów, śmiechów, tańców i zalotnych spojrzeń drugiej płci, dnie ci ulatywały krótkie i błogie; jeżeli ja ci to życie zabawy wydrę, by dać natomiast życie samotne!.... Jeżeli będziesz musiała sama ze mną samym.....

— Sama z tobą! sama z tobą! zawsze sama i szczęśliwa! Wierz mi, mój drogi; ta miłość którą ja ciebie kocham, wystarczy i na życie pracy, i na życie samotności!

— O! ty nie znasz jeszcze świata, ty nie znasz ludzi, nie znasz obmowy, tej klątwy moralnej.

Wtém długie, przeciągłe gwiznienie ozwało się z końca ogrodu! Zadrżeli mimowolnie oboje! Boleślaw łysnął wzrokiem silnym, twarz posępną przeleciał wyraz wesoły prawie. I porwał wpół kochankę, wzniósł oczy w niebo!....

— Niechże i tak będzie! Słyszałaś ten znak? to znak naszego życia, nowego szczęścia! A więc precz myśli próżne, precz słabości z mamek wysane, od nianiek wmówione! Amelio, chodźmy! Raz jeszcze tu, w tym ogrodzie, w którym pierwsze słyszałaś wy-

znanie moje, postuchaj przysięgi świętej, uroczystej, że jakiegokolwiek losu, ludzi i okoliczności zwalić się mogą na mnie ciężary, ja ciebie nigdy kochać nie przestanę! Nigdy i zawsze!... Kocham ciebie, i póki to serce bije w łonie, kochać nie przestanę.

— Kocham, nad życie kocham i kochać nie przestanę; cichym, rozrzewnionym szepnęła głosem Amelia.

I oboje spojrzeli raz jeszcze poza siebie, raz i ostatni w tym życiu może. O! jest w tym pożegnawczym spojrzeniu, jakie się rzuca na przedmiot najobojętniejszy, który widzieć ciągle przyzwyczajeni jesteśmy, coś nadzwyczaj przykrego. Zdaje się prawdziwie, jakby cząstki nas samych zostawały w tym starém krześle, w tym zaczernionym kominie, tój znajomój płamie na stoliku, bo tam się zostają dzieje nasze własne, najtajemniejsze dzieje chwil samotnych, z Bogiem, z myślą, lub z czuciem przepędzonych. Bądź co bądź, ale długie było spojrzenie; Amelia zmieszczała w niem całą przeszłość swoją i nadzieję przyszłości. Co czuła, co myślała, nikt nie odgadnie, i sama czyliż wyrozumie te tysiączne myśli, które przez miesiące, lata, rozrzucała po tym ogrodzie, i które wszystkie zdają się patrzeć na nią z klombów, krzewów, altanek, mostków i wody, i żegnać kołysaniem róży co wczoraj była jeszcze pączkiem, gałęziami tój samotnej na trawniku brzozy.

— Bądźcie mi zdrowe! szepnęła cicho; i łyszczały jej oczy uniesioną ku niebu łzą pożegnania, czy zapałem szczęścia pragnącej miłości, nie wiem... Ale słowik odgadł pono, bo dobywszy tonów najrzekniejszych, jeszcze raz zanucił pieśń ostatnią i w dalsze gdzieś poleciał gaje.

Trzymając się za ręce, patrzali w niebo! raptem zabłyśło coś ponad lipy, ponad wierzby, ponad topole. To krzyż kaplicy! dawniej domu przyjaciółki, piastunki rodzinnych grobów. Nieruchomy, jakby w powietrzu zawieszony, jakby brylantowym ogniem posypany, patrzył także pożegnawczém okiem na młodą parę, i niemym językiem bogatej w pamiątki mowy, zagadał do nich ostatnią może radą, ostatniem napomnieniem. Za staryto był głos na młode serca! westchnienie wydarł, ale kroków nie wstrzymał...

Gwiznienie drugie, przeciąglejsze dało się słyszeć! I w cieniu topoli znikł przed szybko idącymi ten powiernik rodzinnych ich dziejów!...

Jeszcze jedno czekało ich pożegnanie! Na zawrocie ulicy prowadzącej do bocznej fórtki, pokazał się dom ciemny i zamknięty! Jednym okiem odemkniętego, dobrze im znanego okna, spoglądał on za uciekającymi. Byłoto okno Amelii pokoju! czekało na zamykającą zwyczajnie pani rękę. Próżno czekasz dziewiczy pokoju; innych wkrótce dziejów świadek, zapomnisz oddalanej pani, jak ona teraz ciebie zapomina, i ledwie przelotnym wzrokiem spojrzęła ku tyloletniemu schronieniu swemu. Prędko mijali to miejsce, nie aby się bali jakiej pogoni, ale aby prędej stracić domu widok; aby tak prędko stracić mogli tę myśl, która im truje tę chwilę szczęścia. Tam została siostra ulubiona, tam został ten aniołek luby. Śpią, snem ujęci.

Trzecie gwiznienie usłyszeli towarzyszone parsaniem koni! I już są przy fórtce; powóz czeka, konie

grzebią ziemię; służący niecierpliwie otwiera fórtkę. I stanęła Amelia na stopniu pówozu; jeszcze jeden wzrok rzuciła za siebie, i postrzegła z ciemnej masy klombów, krzewów i gaju ogrodowego wystające końce sadzawki znajomej, połuszczonej promieńmi księżycy, dach domu i krzyż kaplicy!.... Łzy szczere za-
błyły w jej oku.

Tuman kurzu ciągnie się ulicą topolową i dalej wioską, i dalej już na grobli! To oni pojechali i znikli!....

ROZDZIAŁ TRZECI.

Przeprawa pana Bolesława.

Nie było nic odrębnego, nic nadzwyczajnego w usposobieniu Amelii. Była ona jak mnóstwo innych dziewcząt na wsi wychowanych, które nic nie widziały prócz ścian domowych, kilku domów sąsiedzkich, kościoła parafialnego w niedzielę i święta, z całą jednostajnością i prozaicznością wiecznie tych samych twarzy, tych samych prawie ubiorów, i tych samych rozmów; w których życiu, dwa albo trzy bale większe, kilka imienin w sąsiedztwie świetniej obchodzonych, kilka bytności w niewielkiem mieście prowincjonalnem, stanowią główne epoki. Wychowana w domu, wśród licznej rodziny, przez matkę surową, długo zachowała wiek dziecinny i uczucia dziecinne; będąc bowiem jednym z młodszych członków tej rodziny, mając dwie starsze od siebie siostry, długo musiała strojem dziecinny zakrywać dziewicze już wdzięki. Surowość matki w tym względzie, której całą myślą było, by starsze najprzód powydawać córki, była nieubłaganą

jakoż, miała ten dobry skutek, iż w latach, w których dziewczęta jej wieku mają już wpół dziecinną, a wpół dziewiczą niewinność swoją skalaną myślami starszemi nad wiek, uczuciami ciekawością pobudzanemi do jakiegoś wymarzonego celu, Amelia zachowała zupełną niewinność i nieskazitelność myśli i uczuć, ten najpiękniejszy powab dziewiczy. Póki matka żyła, rzadko światu pokazywana, by wzrastającymi wdziękami nie ómiła starszych siostr, zupełnie domowe, szlacheckim Polskim domom zwyczajne pędziła życie; bojaźń matki, która, aczkolwiek wszystkie kochała dzieci swoje, miała jednakże ulubieńców starszych i rzadkiemi pieszczotami młodą obdarzała Amelią, była głównem jej uczuciem: to przeciągnęło jeszcze więcej dziecinne jej wyobrażenie i nadało jej lękliwość i nieśmiałość, które i później w jej odbijały się usposobieniu.

Wychowanie jej było takie, jakie bywa u nas zwyczajnie wychowanie kobiet; było zatem złe, nieskończone, urywkowe, nijakie. Wychowanie kobiet po naszych domach szlacheckich, mało się różni. Wszędzie jest guwernantka, taniiej lub drożej płacona, zwyczajnie Francuzka lub Szwajcarka, która sama nie nie umiając, niczego nauczyć nie może; bo nie nazywam nauką szczebiotanie Francuzkie, początki najniezupełniejsze wiadomości geograficznych i historycznych które się tylko rozciągają do nazwisk miast i panujących, rysunek, czasem kończący się na głowie Madonny, lub chatki z drzewem wyrysowanej na imienniny matki, ojca lub stryjaszka; muzyka, ale muzyka salonowa, rozciągająca się tylko do mazurków, walców, kontradansów i trzech albo czterech sonat ode-

granych w ważnych rodzinnych zdarzeniach; taniec nareszcie, jedna ta nauka do pewnej bywa doprowadzona doskonałości. W tańcu bowiem, w sali balowej, odbywa się zwykle pierwszy akt dramatu małżeńskiego, w który wepchać jak najprędzej córki, główną jest myślą matek wszystkich. Zasady zaś moralności daje zwyczajnie najprzód pani bona, książka wielce szanowana w podobnych wychowaniach: „*teatr moralny pani Żanlis*“ ogólne prawidła urywkowo przez matkę wpajane i mieszane przestrzeganiem dobrego trzymania się, utyskiwaniem na czasy, w których trudno znaleźć mężów, tej koniecznej i niezbędnej potrzeby kobiet, tego celu najwyższego wszystkich ich dążeń. Dla religii, sądzą że dosyć jest zrobionem jeżeli się nauczy córka pacierzów zwyczajnych i dostanie około roku dwunastego życia swego na urodziny książkę do nabożeństwa, najczęściej pana Ekartshausena romansowe pogadanki z panem Bogiem, pełne strumyków, gaików i ptaszków. Z takim wychowaniem panna wychodzi na świat, nie znając ani ludzi, ani mając zdrowych i silnych wyobrażeń o prawdziwej moralności i religii; jakoż najczęściej wystarcza to u nas, by wkrótce stanąć u kobierca, w rok później usiąść przy kolebce, i być żoną, a następnie matką.

Niemato się przyłożyło do zachowania tych czystych dziewiczych myśli i uczuć Amelii, że otaczający ją mężczyźni; których liczba nie była wielka, nie bardzo zważali na nią, a zatem nie wiele sobie dawali pracy, by się jej podobać. Jedna siostra na stepach mieszkała, druga w lasach: tam chart i koń, tu pies gończy i strzelba, były głównymi przedmiotami zatrudnień i rozmów, okalających ją mężczyzn.

Nie bogata, nie zalotna, bo nie śmiała, raczej powolna niż piękna urodą prawie zwyczajną, czemże mogła się podobać ludziom takiego rodzaju, u których serce jest na dnie kielicha, książka w harapniku, a nauka w stajni.

Pierwszy raz gdy zdybała Boleśława, zrozumiała czuciem wewnętrznem jego wyższość, ale po części stosunki ich rozmaite dzieliły, po części i najwięcej obojętność Boleśława dla niej nadto wyraźna była, żeby się co innego mogło obudzić w sercu Amelii, prócz ukrytej sympatyi tak łatwo rodzącej się w sercach prawdziwie czułych. Boleśław był wówczas zajęty uczuciem dziwnym, uczuciem którego utaić zupełnie nie mógł, uczuciem nadzwyczaj nieszczęśliwem, bo ta którą kochał, innemu już od lat kilku serce oddała i całą siłą tego uczucia walczyła z różnemi przeszkodami, jakie stały naprzeciw temu związkowi. Boleśław cierpiał wówczas bardzo wiele, widocznie walczył z samym sobą, i z trudnością mógł pohamować nadto silne namiętności swoje. Były dla niego często takie chwile, takiej pogardy życia, i takiego braku odwagi, iż mimowolnie tży zwilżały jego oczy.

Lży czucia w oku mężczyzny, było widok zupełnie nowy dla Amelii, i tym więcej nowością swoją ujął czułe jej serce. Czyste więc i niewinne spótczucie, przyciągało ją do niego; słodkiemi słowy, głosem najczulszym, wejrzeniami najtkliwszemi, tżą i westchnieniem wiernie dzielonemi, zaczęła go pocieszać; litość nauczyła ją najniebezpieczniejszej zalotności. A gdy Boleśław, zrozumiałwszy to serce czułe poznawszy szczeróść i prostotę tego niewinnego stworzenia, zaczął z nią częściej rozmawiać i znajdując

pociechę w wyrzucaniu z siebie zgryzoty bolącej, zaczął przemawiać do niej językiem dotąd jej nieznanym, językiem uczuć i poezyi, gdy z całym przepychem wyobraźni swojej zaczął jej malować dzieje życia swego uczuciowego, temi słowy, które mają połysek i ostrość sztyletu, biedna Amelia ujrzała przed sobą świat nowy, zaczarowany, jabłko poznania. Litość jej coraz czulszych nabierała odcieniów, coraz słodszy stawał się jej głos, oczy nabierały wymowy odbijając ogniste wyrażenia Bolesława. I już kochała Amelia.

Bolesław, w sen ukołysany temi pieśzcotliwemi pociechami Amelii, przyzwyczał się do jej słów, spojrzeń i uczucia, jak dziecko do piastunki. Bo poeta jest przed wszystkim prawdziwe dziecko. A gdy się zbudził, jakże był zadziwiony, że dawne obrazy ponikły zupełnie, i że pocieszycielka zajęła miejsce opróżnione w sercu jego. Poznał on to w czasie dłuższej jednej podróży, którą odbywać musiał, zrozumiał po uczuciu z jakim powracał. Nadto miał potargane siły w dawniejszych walkach, nadto szczere było uczucie Amelii, a zatem zaraźliwe, nadto Bolesław pragnął szczęścia być kochanym, nadto miała powab dla niego pierwsza miłość dziewczęca, aby nie uległ tej nowej namiętności. Czas jeszcze jakiś trwał ten ich związek dawny, przyjacielski, braterski i to właśnie ich zgubiło; bo przez ten czas namiętność Bolesława nabrała gwałtowniejszej siły, a miłość Amelii stała się jej życiem całym. Były chwile zastanowienia, też, chęci rozerwania, ale napróżno i zapóźno. Los Amelii był na zawsze rozstrzygnięty; dla niej nie było ratunku. Bo i gdzież to biedne dzie-

cko miało nabrać siły przeciw namiętności, która przemawiała do niej słowy Bolesława, natchnieniem poety, miłością poety. Jestto upojenie, którego nikt opisać nie zdoła. Jestto opium moralne, pod którego przemocą śnią się owe wschodnie słońca ogniem gorejące. Kochać bez miary, poświęcić się bez miary, gdyby nawet przyszło cierpieć bez miary; to było odtąd i na zawsze życie Amelii.

Bolesław kochał w najlepszej wierze, bo raz pierwszy zdybał przywiązanie do takiego stopnia posunięte. Okoliczności najtrudniejsze ich dzieliły, którym nie wyrównywała energia Bolesława, a przecież tą razą niezłomny w postanowieniu swoim, walczył z trudnościami. Nareszcie zbieg okoliczności przymusił ich do uciekania tajemnego.

Droga ich trwała dwa dni, które przeszły jak dwie chwile; po raz pierwszy tak, sami z sobą, czuli powab niepodobny do opisanja w tym życiu, które im podawało coraz nowe sposobności dowodzenia wzajemnej miłości.

Dwa dni całe trwała ta podróż; trzeciego dnia stanęli w miejscu, gdzie się mieli na czas krótki rozłączyć. Byłto nad granicą, która ich jeszcze dzieliła od szczęścia wymarzonego, tak wypieszczonego przez nich. Okoliczności wymagające tajemnicy, nie dozwoliły postarać się dla Amelii o paszport; musiała zatem pokryjomu przejeżdżać granicę. Bolesław sam, mieszkaniec tamtego kraju, do którego dążył, chciał ją uprzędzić, by łatwiejsze dla niej przygotować przebycie granicy, którego biedna Amelia, do spokojnego domowego przyzwyczajona życia, tak się bała, iż ledwie śmiała połowę swoich bo-

jaźni odkryć kochankowi. Nie było nic poprzednio ułożonego, dlatego aby nie wzbudzić podejrzenia w rodzinie Amelii. Bolestaw zostawił więc na dzień jeden kochankę swoją w domu jednym nadgranicznym, a sam odjechał.

Krótkie i przelotne było ich pożegnanie, bo było w spojrzeniu i w ściśnieniu ręki. Tam się odbiły wszystkie uczucia, któremi przepełnione były ich serca.

— Bądź zdrowa! rzekł Bolestaw.

— Powiedz: do widzenia się, szepnęła Amelia, próbując uśmiechu a łzę mając w oku; przesądna bowiem, jak każda zakochana kobieta, bała się tego słowa smutnego. Do widzenia, mój drogi.—Do widzenia się, więc odpowiedział Bolestaw z tęsknem uczuciem w sercu, z mroźnym uśmiechem na twarzy.

I połykając westchnienie, raz jeszcze rzucił spojrzenie na ten skarb swój jedyny, na te ostatnią życia swego nadzieję; spojrzenie, które zostało w sercu Amelii. Odjechał.

Krótki był przejazd jego do miejsca, gdzie miał przebyć granicę, aby stanąwszy na drugiej stronie, w znajomej sobie okolicy przyjąć kochankę i na wieki do swego przycisnąć łona. Nie szcędząc pieniędzy, ułożył wszystko, i czekał nocy z niecierpliwością jaką każdy zrozumie, kto kochał kiedy w życiu i czekał na chwilę wiecznego połączenia z przedmiotem swojej miłości. Chwile takiego oczekiwania zawierają w sobie całą powieść uczuciową; w krótkim obrębie ściskają dzieje przeszłości i nadzieję na przyszłość. Leniwe wlekły się godziny dla biednego Bolestawa; przepędzał je na rozpamiętywaniu, na planach przyszłości, układach przyszłego szczęścia.

Sliczny był wieczór jak w czerwcu, w tym jednym miesiącu, w którym nam na północy roić się może o uroczych południa nocach; księżyc roztoczył znowu blade swe promienie. Tą razą byłby chętnie Bolestaw oddał całą romantyczność jasnej nocy, za cienie najciemniejszej nocy jesienniej, która łatwiejby mogła ukryć niebezpieczną przeprawę. Siedział zamyślony patrząc i nie widząc, gdy się otworzyły drzwi i wszedł sążnisty chłop w krótkiej sukmanie, i z wielkim kijem w ręku. Bose nogi dowodziły że już jest gotów do przeprawy granicznej, gdzie maleńki strumyk dzielący obydwaj kraje, przejść trzeba było. Weszło za nim dwóch drugich jego towarzyszków.

— No! panie, ruszajcie się, niedługo już czas nam w drogę, odezwał się pierwszy, przed świtem zachodzi miesiąc; wtenczas najlepiej, i ruchem ręki wskazującym przed siebie, dokończył przemowy. Patrzno tylko Fedku, żebyś nas w biedę nie wprowadził i tego pana razem, powiedział drugi; noc jasna, miesiąc o świcie dopiero zachodzi, a jakem tu szedł, słyszałem jak piesujadał na kępie; to ten przeklęty strażnik, kupił sobie tego psa u mego sąsiada Mikuły; brytanisko złe jak czort, a czujna bestya, na sto kroków zwierzy idącego.

— Prawdę Iwaś mówi, ozwał się trzeci, którego odwaga, miarkując po niepewnych nogach i wódce buchającej z niego, więcej potrzebowała pobudki: pamiętasz Fedku jak przeszłego roku na zielone świętki kupiłeś mi kwartę wódki, prawda, i dałeś dziesięć złotych, ale bodajbym ich nie widział... Wpakowałeś mi ciężki tłómok, jakby z kamieniami na plecy i poszliśmy z jakimś paniskiem, który, niech

Bóg przemieni, wyglądał do diabła podobny, czy do żyda z rudemi włosami. Ty uciekłeś, pan z jakimś zawiniątkiem, które trzymał pod pachą, dyrnął także, a mnie strażniki wytatarowali dobrze skórę na tej czartowskiej kępie.

— Głupi ty! odpowiedział Fedko, przytykając trzy całowążę palcem, i dobywając z niej czarne kłęby śmierdzącego bakunu, dobrze cię nazywają durnym Semenem, załatałeś się gorzałką u czarnego Mośka, żeby wypędzić tchórzostwo, i nie mógłś uciekać, boś świata nie widział.

— Ej! Fedku, Fedku! przerwał Iwaś, zakasując szarawary aż powyżej kolan, żeby tylko moje dwa ruble nie poszły na smarowanie...

— Dwa ruble dał ci? odezwał się Semen, zbliżając się do nich z głupowatą miną.

— Co tam! gadacie głupstwa, i jeden i drugi pijany! Bierzcie się do rzeczy! ty Iwasiu weźmiesz tłómk, a ty Semenie ot! ten kuferek, a ja naprzód pójdę i poprowadzę wszystkich. Jeszcze pokurzę sobie ot! tę fajkę, dodał. A niech nam kto zajdzie drogę, to mamy przecie kosztury. Jakoż, grubość kija i sposób jak nim machnął ponad łbem Semeną, niemało dawały wyrazu słowom jego.

— Wejta żeno! po północy już, rzekł skrobiąc się pijaniusienki Semen w głowę, już się piątek zaczął., No! ale jakże będzie między nami, kto mi zapłaci?

Tu nastąpiły swary, kłótnie między trzema przewodnikami których naczelnik Fedko, zgodziwszy się ryczałtem z Bolestawem, chciał oczywiście sprzymierzonych swoich lada czem zbyć. Mimo całej niecierpliwości, kilka razy okazanej przez Bolestawą, mu-

siał cierpliwie przeczekać, nim się pogodzili, do czego im najwięcej pomogła spora flasza gorzałki, z której wszyscy pociągali po kilka razy; musiał się nasłuchać różnych straszących wieści, które naumyślnie mają zwyczaj rozpowiadać, aby jeszcze jaką wydrzeć nadgodę po przebytem niebezpieczeństwie. Niemało czasu zabrała nieskończona Fedka lulka, która ciągle gasła przy wodką polewanych przestankach i ciągle na nowo zapalana z równem natężeniem krzesiła niezgrabnego, zagasła nareszcie z braku bakunu.

Puścili się w drogę, księżyc miał się ku zachodowi. Cicho i ostrożnie postępując, stanęli wreszcie na pagórku.

Główny przewodnik Fedko, zgiąwszy się, kilka kroków postąpił naprzód, by się przypatrzeć, czy wszystko cicho i spokojnie.

Iwaś spoczął na tłómoku, a Semen coś naksztatł modlitwy mruczał pod nosem. Bolestaw myślał o Amelii, widział ją śpiącą spokojnie i marzącą o nim. Patrzył na drugą stronę okiem żądzy i niecierpliwości, jednym skokiem chciałby przebiec dzielącą go przestrzeń kilkunastu kroków, dzielącą go od przyśrołości, od szczęścia. Na drugiej stronie słup graniczny, sam jeden na wzgórkcu whity, jak palec gorejący, patrzył na zamyślonego Bolestawa, a cień jego od zachodzącego księżyca przedłużony, padał aż pod stopy pagórka, na którym stał Bolestaw, i zdawał się tworzyć rodzaj kładki przez strumień prowadzącej.

— Pst! coś odezwało się na kępie, odezwał się Semen strwożony.

— Cicho! to gadzina przemknęła się pomiędzy świeże pokosy za kordonem.

I znowu cichość głęboka, przerwana krótkim odezwaniem się psa w zagranicznej wiosce, który także zamarzyć musiał przy swojej czujności powierzonej chacie; Bolestaw przypomniał sobie ową noc wyjazdu z Amelią; jakże żywo zapragnął znaleźć się na tamtej stronie z kochanką swoją!

— Boże pomóż! drżącym odezwał się głosem Semen, ktoś idzie do nas.

— Cicho! ty! To Fedko idzie!

Jakoż, nadszedł Fedko. „Cicho wszędzie! powiedział; ale na jego mało wyrazistej twarzy zdawało się postrzegać Bolestawowi rodzaj bojaźliwszego wyrazu niż przedtém. Chodźcie a ostrożnie!.. Po wodzie pomału noga za nogą, żeby chlupanie nie przebudziło tego przekłętą strażnika.

W tej chwili... Bolestaw nie był bojaźliwy, owszem był nawet częstokroć przez namiętność pobudzony; nadto śmiały, i teraz ani myślał o niebezpieczeństwie, idąc ku niemu jako ku rzeczy, którą przebyć trzeba koniecznie, by osiągnąć cel tyle pożądanym. Bolestaw nie jedno już w życiu przebył niebezpieczeństwo; przeszłość jego wiele w sobie zawiera zdarzeń ciekawych w tym względzie. Był czas kiedy Bolestaw z bronią w ręku, stał pomiędzy zastępami zbrojnymi. A przecież w tej chwili, mimowolnie mocniej uderzyło serce Bolestawa w piersiach, czy skutkiem niecierpliwości, przecucia, czy bojaźni, sam nie miał czasu nad tém się zastanawiać, bo szedł dalej z mocnym postanowieniem. Spojrzał tej chwili przypadkiem na ręce, i zabłyśta mu obrączka, któ-

ra miał od Amelii. Ta obrączka była dawniej powiernica jej dziewiczych marzeń, dar matki w czulszej dany godzinie, później była powiernicą pierwszych jej wrażeń miłosnych, a później, w chwili aniołów godnej, przeniosła się na ręce Bolesława, i odtąd była powiernicą wspólnych marzeń, wspólnych uczuć. W tej obrączce były ściśnięte wszystkie całoroczne dzieje ich miłości. Były na niej pocałunki, były westchnienia, łzy i przysięgi. Spojrzał nań Bolesław, talizmanem szczęścia wydała się luba obrączka, przysięgnął ją dochować do grobu, i dotrzyma!

Za popędem przypomnień wzbudzonych tym widokiem idąc, porwał się Bolesław za piersi: zdaje się szukać czegoś drżącą ręką; wyraz okropnej niepokojności odbił się na twarzy jego. Tam na piersiach zawiesiła mu Amelia w chwili jakiejś pobożny, cudowny medalik matki Boskiej, w który z dziecinną wiarą wierzyła. Długo on na jej niewinném spoczywał sercu; ale gdy to oddała na wieki, oddała za niem i to pobożne znamię, które ją tyle lat broniło. Ona, któraby chciała wszystko najlepsze oddać Bolesławowi, oddała mu i tę pamiątkę najczystsza, pamiątkę lat anielskich dziewicy, w których czyste jej myśli na śnieżnych modlitwy skrzydłach, ku niebu wznosiły się do tej matki rodzicielki na medaliku wyrytej. Byłato chwila uroczysta, niezrozumiana dla zimnych dusz, w której ona wkładała na szyję kochanka tę pamiątkę przeszłości dla siebie, by była pamiątką nowego życia, na sercu ukochanego Bolesława, by wierzył w cudotwórcze siły tego wizerunku Bożkiego; z dziecinną wiarą opowiadała szczerpłe dzieje zdarzeń swoich, w których ten medalik

główną odgrywał rolę; w oście dziecinnéj, w pierwszej spowiedzi, w gorączce niebezpiecznej. Bolesław miał wiarę poety, wiarę wyższą, nie stósującą się do wiary zwyczajnej. Medalik ten oddany mu przez kochankę, rozbudził zadrzymane pamiątki dziecinnéj wiary, i modlił się do niego nieraz, jak się modlił wówczas, gdy młodym chłopcem jasnowłosym na znak dzwonka do domowej szedł kaplicy z modlitwą w usciech, z niewinną swawolą w głowie. W tej chwili darmo szuka medalika; sama wstążeczka wisi na szyi.

Trzeba uczuć głębszych od zwyczajnych, by zrozumieć co się w tej chwili działo z Bolesławem. Przezcucie złowrogie szarpało mu serce.

Łza zabłyśta w oku Bolesława, a jeżeli, jeżeli tak daleko zaprowadziwszy biedną Amelią, na wieki ją zwróciwszy ze zwyczajnej drogi, przypadek jaki okropny zostawi ją bez tej jedynej pociechy, w którą wierzyła zupełnie, jeżeli!.. Cała przyszłość skrzywiona niewinnéj dziewczycy, która się jemu powierzyła! O! to myśl okropna!.... Smutny, patrzy przed siebie!.... Już tylko woda dzieli go od zamierzonego celu; kilka odetchnień i będzie już na tamtej stronie. Niestety! jedno czasem westchnienie, niszczy najpiękniejszą szczęścia budowę.... westchnienie śmierci!.. Słup graniczny spogląda nań grożącym, czy przestrzegającym wzrokiem, a cień jego, który zdaje się należeć do tamtej już strony, przeskakując dzielącą przestrzeń tuż przed jego nogami. Znaki raczej niż słowa przewodników, nakazały najgłębsze milczenie, bo już są nad wodą graniczną. I krzepiąc omdlałe siły, patrząc na ten słup, cel nadziei i życzeń, powolnie i śmiało wszedł

Bolesław w płytkie strumyka wody. Cicho wszędzie; ostatnie promienie księżyca, walczą z pierwszym brzaskiem świtu, a tak spokojnie, tak miło, tak uroczo w całej naturze, że bojaźń zdaje się śmiesznością. Ledwie słysząc pluskanie wody pod stopami idących. Już są na kępie. Niecierpliwy Bolesław idzie o kroków parę od przewodników bokiem, na nic nie zważa, tylko na słupek, który nań grozi, czy przestrzega. Już kępę mija i tak blisko przeszedł około śpiącego strażnika, że go ledwie nogą nie potrącił. Nieprzestraszony tym widokiem, zstępuje z kępy, i już jest w wodzie, a przewodnicy z rzeczami za nim, słupek graniczny na małym pagórku, tuż przed nim, o rzut kamienia.....

Wtém ozwał się głos jakiś przytłumiony za nim; głośniejsze słysząc pluśnienie wody: to przewodnicy podwajają kroku. I dało się słyszeć gwiznienie przeciągłe; pamiątka onegdajszej nocy błyskawicą przeleciała przez głowę Bolesława; plusnęło głośniej jeszcze: to przewodnicy rzeczy rzucili, i szybszym pędzą krokiem; kilkakrotne ozwały się gwiznienia i głosy ludzkie. Bolesław znajdował się w tej chwili na końcu wody, z nogą podniesioną, by stąpić na drugiej stronie, i jednym albo dwoma skokami znaleźć się na pagórku obok słupka; spojrzał z zimną krwią za siebie, by osądzić ważność grożącego niebezpieczeństwa, i postrzegł strażnika rzucającego się z kępy w wodę, za nim kilku wzdłuż brzegu biegnących drugich, żołnierzy obudzonych gwiznieniem strażnika. Za daleko byli, by się ich mógł bać Bolesław; pewien więc, że uszedł niebezpieczeństwa, stawia nogę.....

Ale noga zapada w grzęzkie błoto; prócz ścieszki przewodnikom znajomej, po której w tej chwili już znikli na drugiej stronie, wszędzie błoto nad strumieniem; próżno Bolesław sił nateża, to jedną, to drugą zapada nogą, ani naprzód, ani wtył cofnąć się nie zdoła. Uczucia rozpaczy, jakiego doznał w tej chwili, nie wyrazić językiem ludzkim!... I przyskoczył strażnik, a za nim drudzy, i Bolesław pojmany wracał nazad tą samą drogą, którą tylko co przeszedł z nadzieją w sercu. I słup graniczny znikł mu z oczów, i okolica zagraniczna, co się doń śmiała, a zorza świecąca barwami tęczy, błysła na wschodzie, zwiastując nowy dzień pogodny.

Przyprowadzony pod ścisłą strażą do bliskiego miasteczka, zamknięty, sam przez kilka godzin pozostał z sobą i z myślami swemi. Uczucia jakich doznał wówczas, sąto niezbadane tajemnice serc ludzkich. Bóg je jeden rozumiał, do którego Bolesław gorące wznosił modły za siebie i za kochankę swoją. I żadnej od niej wiadomości, ani ona żadnej od niego. Sama jedna, opuszczona, w cudzym obojętnym domu; i on jej nic pomódz nie może. W tej chwili ona słodkim snem ujęta, marzy może o dniu co przyjdzie, o kochanku, który na nią czekać będzie, o tej chwili połączenia nazawsze; uśmiech słodki igra na twarzy spokojnej Amelii, a na twarzy Bolesława! Są zapewne nieszczęścia większe na świecie, ale trzeba być na miejscu Bolesława, by zrozumieć co się działo w jego duszy. Pomieszane dni tych zdarzenia, w gorączkowym bezładzie tańcowały po głowie jego. Szczęśliwy, gdyby gorączka pamięć mu odebrała, ale on

pamięta by rozpaczał, przypomina sobie by szalał, przeczuwa, domniemywania tworzy.

Silny jest człowiek, silniejszy od każdego zwierzęcia. Dziesięć dni takiej niepewności przebył Bolestaw; jedyną pociechę sprawiło mu znalezienie medalika, który się pomiędzy suknie jego zatrząsł przypadkiem i do którego jak gorące wznosił modły, łatwo zrozumieć. Z trudnościami niemałemi dał wiedzieć o sobie Amelii, kilka słów zaspokajających odebrał od niej, krótkich, niewyraźnych, napiętnowanych boleścią bez granic... Przewieziony do innego miasteczka, dziesięć już tygodni oczekuje od rządu rozwiązania losu swego, bez żadnej wiadomości, bez najmniejszej wieści, z tysiącznemi myślami w głowie, z tysiącznemi uczuciami w sercu, rozpaczą w duszy. Niepewność jestto męka, której nie masz w piekle Dantego!....

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Odwiedziny.

Miesiąc już minął od tej nieszczęśliwej chwili, i Bolestaw ciągle niespokojnością, tą największą z trucizn moralnych trawiony, siedział wieczorem, oparty o okno swojej samotni, i patrzył na pustą ulicę oświetloną księżycem w pełni. Podobny był wieczór do tego, w którym, pełni nadziei i szczęścia, wyjeżdżali kochankowie. Wieczór po skwaronym dniu lipcowym nastąpił jak wtedy, pogodny i cichy, księżyc jak najczystsze srebrnego światła strumienie. Ale jakaż różnica! mniej różni się brudna i ciasna ulica miasteczka na którą spogląda Bolestaw, od wonnego ogro-

du, w którym razem z kochanką ostatnie może przepędzał chwile swobodne, niżeli usposobienie myśli i uczucia Bolesława terazniejsze od owych chwil ponikłych gdzieś tam wraz z wonią róży, z pieniem słowika. Jak mu się to dawno, i jak niedawno wydaje! Taka bowiem jest właściwość chwil w samotności i rozpamiętywaniu przepędzanych; wleką się jedna po drugiej tak leniwie, iż każda, prawie dotykalnem i osobnem piętnuje się cierpieniem w duszy samotnego, a w dnie, miesiące zebrane nikną, jak wszystko znika na tej ziemi, i spojrzawszy za siebie, zdaje się że ledwie godzin kilka przeszło, pamięć bowiem nie ma ani jednej takiej chwili różniącej się od drugich, na którejby spocząć mogła. Jakoż, Bolesław chociaż dobrze przerachował bolesnemi biciami serca każdą chwilę upłynioną po czterech tygodniach patrząc w tę noc pogodną, w ten księżyc jasny, mniemał być snem, te dnie minione, snem okropnym, w straszne mary bogatym, i czekał rychło się obudzi i nazad do przerwanej snem rzeczywistości wróci. Płonne marzenie znękanego umysłu! w rzeczywistości żyjesz teraz; snem lubym, uroczym była ta przeszłość niepowrotna.

Zatopiony w bolesne myśli, siedział; gdy raptem otworzyły się drzwi; skrzypieniem ich zbudzony Bolesław, spojrzął, zerwał się i wyciągnął ręce jakby chciał uścisnąć. Stała przed nim Amelii starsza siostra, z której domu przed miesiącem wyjechali. Bolesław patrzył na drzwi otwarte, czy się nie zjawi cudem jakim ta przez długie lata nieodstępna siostry towarzyszką, ta której rysy, tkwią mu ciągle w duszy, której twarz tylekroć uśmiechała się do niego

obok twarzy stojącej przed nim siostry. Bledsza niż zwyczajnie, z oczami których blask niedawnymi musiał się wylać łzami, nieruchoma patrzy na niego, a wejście to zimne i ogniste razem, kończy obudzenie Bolesława.

Gdzie jest Amelka? zapytała go nareszcie głosem widocznie {przymuszonym do spokojności. Właśnie idąc jeszcze za popędem rozbudzonych myśli, to samo pytanie chciał zadać Bolesław. Szyderstwem wydało mu się pytanie tak naturalne. On się przez cztery tygodnie łąz, głosem i głową ścian pyta: Gdzie jest Amelka? Milcząc patrzył na to, jeszcze niezrozumiane sobie zjawienie. Gdzie jest Amelka? powiedz, gdzieś podziął biedną siostrę moję? rzekła znówu głosem który się zaczął na gróźnie, a skończył na błaganiu prawie, i dwie łez padło na blade lica; padły one na zmęczone serce Bolesława; spuścił oczy w dół i ręką cisnął piersi, jakby przebaczenia chciał błagać, lecz odpowiedzieć nie miał siły, i nic nie miał do odpowiedzenia; on ma pytań tysiąc w głowie, odpowiedzi żadnej.

— Przez litość! odpowiedz gdzie jest biedna siostra moja?

— Przez litość? niepewnym wyjąkał głosem, ja litości potrzebny, ja ciebie Zofio, błagam o litość; gdzie jest Amelia moja? powiedz mi!

Spojrzeli na siebie, gorzka odpowiedź Zofii ostygła przed wyrazem rozpaczki malującej się na twarzy Bolesława.

— Przypadkiem dowiedziałam się, że jesteś pojmany; przyjeżdżam więc do ciebie, by szukać przy tobie tej nieszczęśliwej, która twojej oddała się opiece.

— Mojej opiece! jęczał prawie Bolesław, a trząst się jak w febrze.

— Porzuciła nas, porzuciła mnie która ją tak kochałam, tak kocham dotąd; gdzież jest ta nieszczęśliwa?... Sama jedna...

— Sama jedna, powtórzył ciszej Bolesław.

— Sama jedna bez znajomych; ona, która od dziecka nie opuściła ciszy domowej, która zawsze w rodzinem, kochającym ją gronie swobodnie dnie pędziła. Na toż ta miłość twoja, by ją wypędzić w świat cudzy, między ludzi nieznanym sobie, w wieku który jeszcze wymaga ciągłej opiekuńczej ręki. Zlituj się, oddaj mi siostrę moję, i łzy, długo wstrzymywane, gwałtownie się z oczów mówiącej puściły.

— Prawda! prawda! krzyczał biegając po pokoju Bolesław, ja miałem być jej opiekunem, dałem się nędznie złapać, ja nie powinienem był jej opuścić, ja powinienem się był dać zabić. Ale cóż ona byłaby bezemnie robiła?

— O! stokroć szczęśliwsza, gdyby ciebie nigdy nie znała; jaki duch okropny, powiedz mi, owładnął ciebie, żeby łać truciznę twojego burzliwego umysłu, w to serce spokojne, ciche, któreby przeżyło bez ciebie, jak nas wszystkich jest przeznaczeniem, zwyczajne zwyczajnego życia koleje. Cóż jej dałeś miłością swoją? — wygnanie, wieczne wygnanie! Bo choć ja ją do serca mego przycisnę z tym samym zapałem dziś jak przed miesiącem, i tylko mnie ją oddaj, ja czu ciem siostry świętę, uściskami czystego przywiązania, łzami szczeremi wyczuuję, wyptaczę to nieszczęśliwe obłąkanie, ale świat, świat, który winę tam widzi gdzie jej nie ma, świat który najmniejsze ucł y-

bienie póty przepędza przez setne usta, póki z niego nie utworzy zbrodni, co ten świat powie? Co ten świat już dzisiaj mówi?

Ciężkato była dla Bolesława chwila, bo te słowa Zofii, to były wyrzuty własnej jego myśli, które nie dosyć że go męczyły w samotności, teraz znalazły głos, i jeszcze jaki głos, by go potępić. Cierpliwie na pozór, ze spuszczonei oczyma słuchał, ale w duszy cierpiał za długie lata.

— Powiedz mi więc gdzie ją zostawiłeś? Czyż być może żebyś o niej nic nie wiedział?.. Powiedz mnie, siostrze, wróć mi choć w części spokój, którego od tej nocy nie miałam, od tej nocy... Bez pożegnania ze mną, bez uścisku, bez łzy, która mi się należała....

— O! nie bez łzy, Zofio! nie bez łez.

— Gdzież się z nią rozjechałeś? czy masz jaką wiadomość? czy jest w miejscu spokojném, przyzwoitém? mów na miłość Boga, na miłość jej własną, zaklinam ciebie!

Tu się odkryła walka okropna w sercu Bolesława, walka olbrzymia, chociaż w ramy małego, zwyyczajnego prawie zdarzenia, ściśnięta. On nie wiedział z pewnością, gdzie się znajduje Amelia, za pomocą tylko wielu starań, wysłał do niej wiadomość o sobie, i podał jej w krótkości środki, jak i gdzie się ma udać, by spokojnie na niego czekać mogła. Jeżeli ta wiadomość ją doszła, mógł być tymczasem o nią tyle spokojny, ile w takim położeniu nim być można, miejsce to bowiem przez niego podane, było ze wszechmiar dobre, bezpieczne, w takim razie najlepszem jej bezpieczeństwem była tajemnica przed wszystkiemi

Ale Bolesław żadnej nie miał napowrót wiadomości, ani też pewności że list ją doszedł. A jeżeli nie doszedł, dreszcz go przejmował na myśl co się z nią samą, bez doświadczenia, dzieć może; w takim więc razie pomoc siostry może być zbawienną. Ale z drugiej strony, wiedział on najlepiej położenie swoje i rodziny Amelii, wiedział wszelkie okoliczności nadto doskonale, by nie być pewnym, że dostawszy się raz w ręce rozgniewanej i niecierpiącej go rodziny, będzie dla niego stracona na wieki, a przynajmniej takie ich będą dzielić trudności, których przewyciężyć położenie nieszczęśliwe i ograniczone Bolesława nie pozwalało. I drżącemi od wewnętrznego uczucia słowami opowiedział wszystko przed siostrą Amelią. W końcu dodał: „Teraz, Zofio, ratuj ją, jeżeli ratunku potrzebuje; ale jeżeli spokojna o ile nią być może, ratunku tego nie potrzebuje; ratuj ją dla mnie od ciebie samej, i od drugich, zaklinam ciebie.

— Nie zaklinaj mnie, bym ci się nie odpłaciła tém samém, czém mnie zdradziła; pamiętam jak na dni kilka, pobudzona do tego przez drugie kobiety, które lepszem okiem a gorszem sercem to rozumiały czego ja nie widziałam, bom ciebie podług serca mego sądziła, a oczy moje śledzić nie chciały, kiedym ci powiedziała co mówię; kiedym cię zaklinała ze łzami w oczach, zaklinała na pamięć tej...

— Ach! nie wymawiaj!..

— Prawda, czujesz to sam, jak okropny jest czyn twój. Cóż na moje zaklinanie odpowiedziałeś? Po długich łómaczeniach których zrozumieć nie mogłam, bez wstydu, wyznaję i bez wstydu wyższość ci przyznaję, od której jednakże niech Bóg strzeże mego

syna, by własnymi i cudzemi łzami nie opłacił tego usposobienia umysłowego; powiedziałaś mi nareszcie, i zakłamałaś się przedemną niewiedzącą, że nic takiego nie zrobisz coby ją mogło narazić na potępienie świata, a mnie na wyrzuty ojca i całej rodziny. Nauczyłaś mnie wtenczas, że i przysięgi kłamią czasem. Nie zaklinaj mnie więc; ja ci nic nie przyrzekam.

— Więc błagam cię! szczęście moje teraz w twoim jest ręku; od ciebie zależy potępić mnie na wieki lub zbawić, bo ja bez niej żyć nie mogę.

— Słuchaj! co ci szczerze i w prostocie rozumu mego powiem, Bolesławie! Ty Amelii nie kochasz....

— Ja jej nie kocham!

— Nie kochasz, powtarzam. Ty kochać nie jesteś w stanie tak jak my, kobiety, rozumiemy kochanie, my kobiety, których życie od kolebki do trumny po zwyczajnej wlecze się drodze. Ty, Bolesławie, marzysz kochanie, ty je pięknie marzysz i chcesz nawet wierzyć, iż jesteś dobrej wiary, chociaż nie rozumiem téj dobrej wiary, której ofiarą stać się może biedne, niewinne, bezbronne stworzenie. Masz namiętność niepohamowaną, wyobraźnię, którą sama podziwiałam nieraz gdyś rozpowiadał, lub własne czytał utwory a naprzeciw tym własnościom swoim nie masz jedy-nych zasad, któreby ciebie przeciw tobie samemu bronić zdołały; nie masz religii. Bo jakkolwiek śmieszna w twoich oczach, ta nasza drobiazgowo-ko- bięca pobożność, wierz mi, Bolesławie, nie w jedno serce kobiece wiała ona siłę, by walczyć i po cięż- kiegom zwycięztwie. Te co ty marzysz, przykro mi po- wiedzieć, nigdy między nami nie znajdziesz, i nie znajdziesz nigdy na tej ziemi, a jeżeli kiedy będziesz

mniemał żeś znalazł, w mniej niewinne ale zgrabne wpadniesz ręce, a gdybyś nawet i znalazł w istocie, jedno z obojga musiałoby życiem przypłacić takich dwóch namiętności zdybanie. Nie dla ciebie życie domowe, bo za prozaiczne; nie dla nas mąż z ciebie, bo za poetyczny. My jesteśmy słabe stworzenia; nam potrzeba opiekuna, który często powinien nas prowadzić po tej nierównej ziemi; za tobą latać nie potrafimy, a patrząc za ładnym, może nawet polotem twoim, żona twoja łatwoby się potknąć mogła, a nawet w przepaść wlecieć.

— Ślicznie mówisz, i w każdej innej chwili z rozkoszą słuchałbym ciebie i z największą przyjemnością zbijał rozumowanie twoje, ale teraz nie o to idzie czy ja kochać jestem w stanie, bo już kocham.

— I bardzo o to idzie, bo powtarzam ci, że ty kochać nie jesteś w stanie, i z pomiędzy wszystkich miłości twoich, boleśnie mi powiedzieć, najmniej w miłość do Amelii wierzę.

Widziałam ja was zbliżona i długo, przestrzeżona byłam już dawniej, i chociaż nigdy mi przez myśl nie przeszło byś ty mógł podobne mieć, a co okropniejsza, chcieć wzbudzić uczucie, przecież zwracałam na was większą uwagę i powiadam z największym przekonaniem, że ty Amelki nie kochasz...

— Ja chcę ciebie słuchać cierpliwie i wysłucham do końca, tylko ci powiadam, co już nieraz w pół żartem mówiłem, że ty nigdy sama nie kochałaś, nie znasz coto jest miłość, i przez zimniejsze usposobienie swoje nawet doznawać jej nie możesz.

Przez krótką chwilę przeleciał jakby kurczem gwałtownym, wyraz cierpienia przez twarz Zofii, lecz

wnet rysy jej przybrały dawną nieruchomość, i głosem spokojnym mówiła dalej:

— Ona, mniej dziwię się, że przywiązała się do ciebie, bo byłeś dla niej dobrym zawsze, bo się narzeczcie do ciebie można przywiązać, bo miałeś dla niedoświadczonej a nadto czulej, powab nowości. Byłeś dla niej, żebym się tak wyraziła, tajemniczą zakazaną książką, któraby się raptem dostała w ręce młodej dziewczyny, a wiesz sam o tém, że są niebezpieczne książki. Pomału, przez przyzwyczajenie, przez poufałość, na jaką wasze stósunki pozwalały, przyszła do mocnego uczucia, którego utaić nie umie jej dusza niewinna. Ale że ty z rozumem, z rozwagą, na której jednakże zupełnie ci nie brakuje, w wieku któremu doświadczenie raczej niż namiętność przystoi, chciałeś korzystać ze słabości, której sam powinieś być bronić, że ty mając władzę nad nią, której oczywiste dowody nieraz widziałam, a nie kochając jej, nie mogąc więc mieć za sobą tego jednego tłómaczenia; na to użyłeś władzy swojej by ją zgubić na wieki, to również przechodzi moje pojęcie, jako też większe jeszcze daje mi przekonanie, że jej nie kochasz... bo powiedz mi, czy kochając można narażać przedmiot swojej miłości, na stratę tego czego niczem odwetować nie możesz, na stratę dobrego imienia.

— Zimna jesteś i zimno sądzisz. Ty rozumem samym tego nie rozumiesz do czego trzeba serca. Ty jesteś i byłeś bez serca.

Gorzki uśmiech przeleciał przez twarz Zofii, oczy się zaiskrzyły, czy uczuciem jakim, czy niecierpliwością.

— To co mówisz, dowodzi tylko, że jeżeli mój sąd rozumu może być mylny, niemniej nim jest sąd twojego serca. Ja nie mam serca, powiadasz, bo kochać nie jestem zdolna. Słuchaj, są rzeczy tu w sercu mojem zagrzebane, których odkrycie, jakkolwiek bolesne dla mnie, chętniebym poświęciła, gdybym widziała że mogę ciebie wstrzymać od dalszego przesładowania Amelii... Więc dlatego, że w cichym domowym pożyciu pełnię dosyć ciężkie, jak sam wiesz, obowiązki moje, dlatego że z woli matki i zbiegu okoliczności poszedłszy za mąż bez przywiązania, cierpliwie, bez mrużenia znoszę przeznaczenie, jakie się Bogu na mnie narzucić podobało, dlatego ja nie mam serca, a ty je masz boś lekkomyślną ręką zniszczył całą przyszłość biednej dziewczyny. Są rany które mnie nie bolą przez to, że obojętnym oczom są niewidome, są cierpienia ciche a dolegliwe, rozpacz nie zawsze krzyczy i szaleje, grób i brak nadziei są milczące. Tu głos jej nabrał dziwnego wyrazu rzewności. Ja cię żałuję, bo nie masz jednej, najwyższej pociechy: wiary prawdziwej w drugie życie, w lepsze życie, bo nie rozumiesz, że można i w cierpieniu czuć słodycz i nadziejom płonnym na tej ziemi dodać skrzydła wiary, by na cię tam czekały, dodała z zachwycającą prawdziwością swoją wzrokiem ku niebu podniesionym, czy ja mam serce w tym znaczeniu, w jakim ty rozumiesz, ty nie dowiesz się i nikt się nie dowie, ale zna to jeden Bóg i..

Tu zamilkła i ku oknu postąpiła z obróconą twarzą. Z podziwieniem spojrzął Bolesław na nią, i słodkim rzekł głosem.

— Sprawiedliwe słowa twoje. I rozum i serce mogą błądzić; zwróć więc to powiedzenie do siebie, i wierz

mi że chociaż nie jestem może zdolny cierpieć bez sarkania, cierpię jednakże mocno i istotnie, cierpię i kocham!... Próżnemi słowy nie chcę ani sobie pomnażać boleści, ani tobie może....

— Każdy człowiek ma pamiątki swoje mniej miłe; ale mniejsza o mnie, moje życie już dawno skończone, ja je synowi oddałam... Wierz mi, Bolestawie, że ty łudzisz sam siebie, tyś zawsze winien chociaż masz za obronę swoją przywiązanie Amelii, którego ci dawała jasne dowody. W każdym razie nie powinieś być korzystac, ale tu w tym przypadku, to okropnie... ty....

— Już cię prosiłem byś o tём nie mówiła; w tym względzie się nie rozumiemy; nigdy się nasze nie zejda zdania.

— O! są rzeczy w których się zdania różnić nie mogą, różnić nie powinny. I powiedz mi, jeżeli kochałeś Amelkę, jakiemże nazwiskiem każesz nazwać uczucie, które miałeś dla Heleny, uczucie jednakże tak gwałtowne, iż chciałeś sobie życie odebrać, uczucie tak nie dawne, iż ledwie zrozumieć mogę kiedy się jedno skończyło, a zaczęło drugie. Wszak jeszcze kiedy odjeżdżała Amelia do starszej siostry naszej, byłeś pełen rozpacz; ciągle prawie grobowe miałeś myśli. Jedno więc albo drugie musi być nie prawdziwe, albo posiadasz dar zupełnie sobie właściwy zmieniać tak prędko namiętności do podobnego stopnia posunięte i powiedz sam, jak mam sądzić o człowieku którego widziałam przed jakimś czasem zapalonego gwałtowną miłością do jednej...

— Czy mówiłem ci o tём, żem ją kochał?

— Zapewne nie chciałeś mi zrobić tego wyznania nie znajdując mnie godną zaufania twego; ale nie dla wszystkich byłeś tak skrytym. Więc nie kochałeś Heleny?

— Muszę ci powtórzyć że ty nie znasz chodu namiętności, a co najwięcej, ty mnie nie znasz, zupełnie nie rozumiesz.

— To przyznaję; był czas gdym cię nawet rozumieć żądała, jak się żąda coś wyższego pojąć; niestety! nie chcę cię teraz rozumieć jak coś szkodliwego.

— Gorzka jesteś i nielitościwa!

— Prawda bywa gorzką, a litość mam nad biedną Amelką. Ale odpowiedz na pytanie moje; więc nie kochałeś Heleny?

— Kochałem zapewne uczuciem mocnym, ale uczuciem innym jak Amelkę. Ja wtenczas byłem pogwałcony tylu innymi powodami, tak przesycony życiem moim, a żądzą innego, które mi wiecznie zakazanym jest owocem, że rozpacz moja i chęć śmierci nie pochodziły wcale z miłości do Heleny. Ja wtenczas szukałem pociechy dla serca mego, szukałem uczucia jakiego, któreby mnie do życia przywiązać mogło, bo żyć zimnym waszym życiem nie potrafię i przywiązałem się do Heleny, którą zastałem walczącą z przeszkodami, jakie dawniej jej stawiano miłości. Uczucie takie mocne w kobiecie, uderzyło mnie i przyciągnęło do siebie swoją niezwykłością i szczerością. Przywiązałem się raczej do jej uczucia, niżeli do osoby, i póty mogłem kochać Helenę tą miłością, jaką zwyczajnie rozumiemy; jaką kocham Amelkę, kiedy w chwili naszego zdybania się już mi nie była tajną jej namiętność, i kiedy od tej chwili zacząwszy, ja wszystkimi siłami zacząłem się starać by im dopo-

móźdz; jakoż, ponieważ sobie przypominasz wszystko co możesz wynaleźć przeciw mnie, dlaczego nie przypominasz sobie moich całorocznych poświęceń czasu, trudów i kosztów by przyspieszyć z drugim związek Heleny, téj Heleny którą ja kochać niby miałem?

— Zapewne pomógłś im, i dziś są już połączeni a więc szczęśliwi, przerwała Zofia dwuznacznym wyrazem.

— Dlaczegoż mówisz to takim wyrazem, jak gdybyś nie wierzyła w ich szczęście.?

— Daj Boże, by Helena była szczęśliwa, daj Boże byś nigdy nie miał sobie do wyrzucenia albo tego żeś im pomógł do pobrania się, albo tego rodzaju nieograniczonego, bezprzykładnego poświęcenia się z jakim byłeś dla Heleny przez rok prawie cały. Zapewne, jeżeli to nie była miłość, było to więc uczucie tak szczytne, że ani pojęcia ani nazwiska nie ma dla niego.

— Ja kochałem Helenę, a kocham się w Amelce.

— Nowe zupełnie rozróżnienie. Daj Boże, by Helena w mężu nie szukała tego, czego by bez ciebie pewnie szukać ani miała w myśli. O! wierz mi, mój Bolesławie, do naszego ograniczonego życia wszystkie przesadne uczucia są niezdatne. Dotrwać nie są w stanie a trują życie z jednej strony, gdy z drugiej niesmakiem obdarzają prościejsze potrawy nasze. Bądź zdrow tymczasem Bolesławie! życzę ci prędkiej wolności.

— Jeszcze chwilę zatrzymaj się; tak odemnie odejść nie możesz; przysięgnij mi że nie przeciw mnie i Amelce działać nie będziesz.

— Ja ci przysięgam że wszystko zrobię co będzie w mojej mocy, by ją od ciebie wyratować, a tem samem i ciebie.

— Nie troszcz się o mnie, moje szczęście z Amelką.

— Dzisiejsza rozmowa z tobą nauczyła mnie bym nie zazdrościła tych wyższości umysłowych, jeżeli je trzeba okupywać tak zaślepiającemi namiętnościami. Więc ty będziesz szczęśliwy z Amelką? Nigdy w życiu domowem szczęśliwym nie będziesz, tobie burzy potrzeba a życie domowe jest najokropniejsza cisza, i z burzy w burzę latać będziesz, nie zważając ile serc pognieciesz w swoim przelocie gwałtownym, ile istnień zniszczysz któreby bez ciebie mogły być szczęśliwe, i siebie nie znasz i nareszcie, kiedy chcesz żebym ci powiedziała, nie znasz Amelki. Najlepsza, najpocziwsza w zwyczajnych kolejach życia, w których niewiele potrzeba uczuć, ale nadto czuła, by mogła być szczęśliwą z tobą, za łatwo dotkliwa, byś ty mógł być z nią szczęśliwy. Nie myśl by wzbudzić jej miłość było rzeczą tak trudną; wierzę że ciebie kocha szczerze dzisiaj, jakby każdego innego pokochała, któryby się o to postarał i jak będzie kochać jeżeli, co jak najpodobniejsza jest, zaniedbasz jej przez ciebie samego pobudzone uczucia.

— Jeszcze tego jadu trzeba mi było do duszy! jakby go tam nie dosyć było. Ale nie wierzę tobie i nie chcę wierzyć. Wszelkie twoje rozumowania cudowne! ja naprzeciw nim stawiam uczucie moje tak prawdziwe, jak prawdziwa jest wiara moja w nią. Kocham ją całą siłą duszy, kocham i kochać nie przestanę. Moje uczucie niedosięgnięte dla naszego oka, bo niebios sięga; kocham ją mimo wszystkiego

co się wam mówić podoba, i wierzę w jej miłość i w szczęście z nią; obłudne słowa twoje ufności mojej nie zniszczą; ona wie że bezwarunkowo oddałem jej życie moje; niechaj więc włada niestałością przewidywaną przez siebie; może mnie zabić, ale nie zniszczy przez to tej świętej i wielkiej prawdy, że ją kocham nad życie, kocham miłością całą, pełną. Zresztą odsyłam cię do przyszłości; ta rozsądzi nasze zdania; prawdziwość ich okaże, i naówczas Amelii i mojem szczęściem odpowie na wszystkie zarzuty twoje. Ja cię tylko błagam; ratuj ją, ale dla mnie.

— Fałszu nie powiem i prawdy zataić nie chcę. Zrobię co w mojej mocy, by was rozdzielić na wieki.

— A więc dobrze, słuchaj mnie nawzajem, a ja tobie powiadam, i na jej szczęście, droższe nad moje własne, przysięgam, że mimo wszelkich przeszkód waszych i kroków nieprzyjacielskich, będę kiedyś wolnym, a wówczas i Amelia moją będzie; moją być musi, bo już jest moją; trudności przełamie, przynajmniej wszystkich sił użyję, a jeżeli upadnę w tej walce, nie upadnę żywy; niech więc wówczas na głowę tych, którzy się sprzeciwiali, spadnie śmierć moja i jej szczęście. Słyszałaś Zofio, rób teraz co chcesz... nie zatrzymuję cię.—Zapomniałeś, rzekła powolnym, ale tak donośnym i wyraźnym głosem, że każda zgłoska zdała się osobno brzmieć w powietrzu; zapomniałeś dodać... A jak zwyciężysz, jak już zwyciężysz, na twoją głowę spadnie przekleństwo; pamiętaj Bolesławie na tę chwilę uroczystą. Przekleństwo spadnie. Przekleństwo na ten wasz związek! A teraz bądź zdrow!....

Nic nie odpowiedział Bolesław na ostatnie Zofii słowa; porwał się tylko za głowę i długo stał nie-

ruchomy na tém samém miejscu, w którym go odchodząca zostawiła siostra Amelii. Po dłużej chwili milczenia podniósł się, obejrzał i widząc się samym, westchnął; jakby ciężar zleciał mu z piersi, i wyrzekł ku drzwiom, jakby jeszcze odpowiadał dawno już odalonyj.

— Najprzód miłość, szczęście, a potem... Ale ty Boże dobry, błogostawisz nam.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Bolesław szatana wywołuje.

W takim więc opłakanyim stanie, dziesięć już tygodni przepędził Bolesław, i pełen rozpachy, biegał po samotnym pokoju swoim; próżno myślał, nic wymyśleć nie mógł, coby go ratować mogło. Bolesław, jakkolwiek rozumem obdarzony, ale jak już to poprzednio mówiłem, miał ów rozum niepożyteczny dla siebie w zwyczajnych życia kolejach; nie miał jednym słowem rozumu najpotrzebniejszego, to jest rozumu praktycznego, i dlatego w każdym przykrém życia swego położeniu, cierpiał więcej niż ktokolwiek inny, niżej daleko na umysłowym stopniu położony, bo gdy ten tysiąc sposobów blizkich siebie użył, by sobie pomóc i wyratować Bolesława, rozum służył mu tylko na to, by przykrość położenia swego ze wszęch stron obejrzeć i zrozumieć. To nic mu nie pomagało, zwiększało tylko próżne cierpienia. W wymarzonym żyjąc świecie, w którym zdarzenia wszystkie innym zupełnie wiążą się i rozwiązują sposobem, tak przyzwyczaił się do niego, do tych sposobów, równie urojonych jak i same zdarzenia, a może i tyle sił

umysłowych darmo tracił na marne te złudzenia, że znalazłszy się naprzeciw trudności rzeczywistych, które rzeczywistemi walczyć trzeba środkami, był bez sił do zwalczenia ich, bo jego sposoby urojone nie były do użycia; a innych które się nabierają ciągłym życiem rzeczywistym, wynaleźć nie zdołał. Był on, jak ten człowiek obdarzony wzrokiem, który dalekie schwytuje przedmioty, a bliskich tuż przed nim stojących nie widzi. Rozpacz zaś jego, gwałtowna jak wszystkie inne jego uczucia, więcej jeszcze zaślepiła rozsądek, podając mu środki gwałtowne, cudowne w powieści, ale nie do wykonania w rzeczywistości. Cierpiał więc bez miary i cierpiał bezużytecznie, a działalność jego nigdy nie ustająca, tysiąc mu podawała myśli by go udęczyć, żadnej by wyratować.

Prócz tego, znajdował się w rzeczy samej w położeniu nadzwyczaj trudnem. Przekroczenie granicy mniejszem mu, jako cudzoziemcowi, groziło niebezpieczeństwem, ale położenie jego naprzeciw rodziny Amelii, nie było bez niego. Rodzina ta, oddawna go nie lubiąca, miała teraz sposobność zemścić się za ujechanie Amelii, a mając związki rozmaite w tym kraju, mogła więzienie jego utrzymywać tak długo przynajmniej, póki by nie znalazła środków odszukania jej i oddzielenia od niego na zawsze. Wtém nawet działaniu naprzeciw niemu, ogólne zdanie byłoby raczej za rodziną słusznie zażaloną. Zgoła z którejkolwiek rzecz uważał strony, wszędzie spostrzegał trudności, którym sprostać nie mógł ograniczonymi środkami swemi; wszędzie przewidywał cierpienia, którym nie sprostały siły duszy jego.

Dziesiąty zatem tydzień już minął, gdy jednego dnia przed wieczorem sługa, który stał na straży, wszedł do pokoju i oddał mu list, mówiąc, że przechodzący jakiś nieznajomy przez ulicę, wręczył mu go z poleceniem by go oddał Bolestawowi. Bolestaw nie słuchał dosyć rozwlekłego tłumaczenia, porwał tylko za list i przeczytawszy napis, drżąc z niecierpliwości i wzruszenia, rozłamał pieczętkę. Poznał pismo Amelii. Sługa miejski już wyszedł; i list rozpieczętowany dawno już przeczytany, a Bolestaw nieruchomy siedzi i patrzy na to pismo, wciska oczy w nieme słowa, jakby chciał wyciągnąć z nich gwałtem znaczenie, którego tam znaleźć nie może. I przeczytał raz drugi i trzeci; twarz nieruchoma pobladła, może więcej nie okazuje żadnego śladu wzruszenia; wszystkie uczucia uciekły do oczów; z nich patrzy ciekawość, wyszczerza się rozpacz, śmieje szaleństwo. I porwał się jedną ręką za głowę a drugą ręką, w której zwinięty list spoczywa, gniecie piersi jakby chciał list i piersi wcisnąć w środek tych rozbolałych piersi.

Więc taki ma być koniec, Amelio! też są twoje słowa, własną twoją ręką skreślone? I porwawszy na nowo list, zaczął go czytać głośno, jakby się chciał poskarżyć przed ścianami, tyłodniowemi powiernikami jego wszystkich myśli. „Mój drogi! Gdy list ten odbierzesz, już będę daleko. Gdzie będę, niewolno mi powiedzieć; pod tym jednym warunkiem pozwolono mi napisać ten list, zapewne ostatni, jaki odbierzesz odemnie. Ostatni, mój drogi! Przyrzekłam i dotrzymam, bo idzie tu o twoje bezpieczeństwo, o twoją wolność, za której okupno, zupełnego żądali odemnie posłuszeństwa. Osobą moją mogą rozpo-

rządać, ale nie sercem, bo to przy tobie, mój Bolesławie, zostanie na wieki. I żadną nie łudzę się nadzieją próżną, bo los w takie nas uwikłał sieci, że i sama, biedna, słaba kobieta, wydobyć się nie potrafię, i ciebie chciałabym odwrócić od usiłowań próżnych, któreby wprowadzając cię w nowe nieszczęścia, wydarły mi tę ostatnią pociechę jaką mam, że poświęceniem całego szczęścia mego przyspieszyłam ci wolność. Wierz, że byłabym cierpiała, zniosła wszystko, nawet myśl okropną, że ty cierpisz, nawet niepewność, okropniejszą jeszcze, kiedy się cierpienie twoje skończy, ale dosyć, że wierz mi mój najdroższy, iż nic zrobić nie mogłam, prócz tego co zrobić musiałam, a łzy moje gorące, to Bóg może przyjął i ocenił..... Nie proszę ciebie byś nie cierpiał bo wiem, że tego nie potrafisz; ale proszę i zaklinam na miłość jaką masz ku mnie, na szczęście moje, znos to cierpienie mężnie, bo ja, jeżeli żyję, jeżeli żyć mogę, to chyba nadzieją twego uspokojenia się, twego szczęścia. Jeżeli ci do tego będzie potrzeba mnie zapamięć, o! zapomnij mnie, mój Bolesławie i bądź szczęśliwy! Rok prawie cały marzyłam! szczęście najwyższe dla mnie, bo z tobą i z tobą przepędziłam dwa dni, które świecić mi będą wiecznie w nocy, która mnie otacza. Dzięki tobie, Bolesławie kochany, za te dwa dni szczęścia pełnego. Pamięć ich nie wygaśnie w sercu mojem. Jak świętość chowaną w sercu, zaniosę, wierna jój, wierna tobie, do grobu, i śmiało powiedzieć będę mogła: Miałam dwa dni szczęścia. Bądź zdrow, najdroższy! Bądź zdrow i szczęśliwy! jeszcze raz dzięki tobie, jeszcze raz błagam ciebie, bądź spokojny i szczę-

śliwy i do widzenia się tam, na lepszym świecie, na świecie pięknych marzeń naszych.“ Amelia.

Więc to ma być koniec! Krzyknął raz jeszcze Bolesław, którego może ten koniec taki, równie bolał w rzeczywistości jak i w marzeniu, bo Bolesław żył wiecznie t \acute{e} m podwójn \acute{e} m życiem, i jeżeli okropnem wydać mu się musiało takie smutne zakończenie uczucia, w któr \acute{e} m całą przyszłość swoją złożył, niemniej zapewne marząca dusza Bolesława oburzała się na to zakończenie, zerwane, niedoskonałe t \acute{e} j powieści uczuciowej. Byłato, żebym się tak wyraził, boleść człowieka i boleść artysty razem.

Inacz \acute{e} j zapewne rozwiązują się powieści marzone, powieści wymyślone, a inacz \acute{e} j zdarzenia tego świata; ileżto takich nici gwałtownie przerywanych w t \acute{e} j olbrzymiej przez cały świat rozciągniętej tkaninie! Przyczyny uciekają przed ograniczonym rozumem naszym, niemniej przez to doskonała jest ta tkannina wszech żywotów ludzkich i najwyższy j \acute{e} y robotnik jedn \acute{e} j darmo nie puści najmniejsz \acute{e} j niteczki; dążą one wszystkie do pewnego celu. I te strzępki wiszące pozrywanych nitek, widome oczom naszym, nie psują ogóln \acute{e} j harmonii; są one tajemniczemi dla nas węzłami, łączącemi to niepojęte arcydzieło.

Zapewne nie za pierwsz \acute{e} m uderzeniem ciosu, czuł Bolesław t \acute{e} boleść artystowską, albo racz \acute{e} j nadto go mocno i ogólnie przejęło to cierpienie, by mógł rozróżnić rodzaje tego bólu. Później jednakże, biorąc usposobienie Bolesława za podstawę, śmiało twierdzić mog \acute{e} , że przerwanie tak nieharmonijne wymarzonej w głowie jego powieści, stanowiło wielką część cierpienia jego. Kto z czytelników t \acute{e} j neurojonej

powieści, chciałby się łaskawie zastanowić nad usposobieniem jego, równie pojmie prawdę tego com powiedział, jako też zrozumie jak rozpacz Bolesława była gwałtowną i gwałtowniejszą nawet o tyle, o ile mu brakowało sił i możności do zwalczenia tego nowego zawikłania losów jego. Namiętny i słaby, cierpiał przez te dwie własności swoje. Ktokolwiek inny na jego miejscu, byłby dawno wyrwał się z tego zawikłanego położenia, i w pierwszych chwilach uwięzienia swego, za pomocą silnego czynu uwolnił się ucieczką, która nie była tak niepodobną, jak się wydawało Bolesławowi, i nim pomału nieprzyjazna mu rodzina Amelii zdołała ją uwięzić, byłby dawno i siebie i ją uwolnił od przesładowania. Przychodziły mu nieraz takie myśli, i czyn śmiały wypełnić miał on dosyć energii, ale środki do tego, ludzkie, zwyczajne, codzienne przysposobić, to było nad siły pana Bolesława.

Rozpacz więc Bolesława była gwałtowna; teraz gdy nieszczęście było już niecofnione, teraz dopiero zrozumiał błąd swój, błąd swego usposobienia i zaczął dostrzegać tuż przed sobą leżące środki pomocne, których oczywiście w marzeniu znaleźć nie mógł. Rzucił się więc w przyszłość, nadto bowiem miał uporę człowieka i artystowskiego, aby porzucić na rozwiązaniu jakim się podobało losowi zakończyć powieść jego życia i powieść jego marzeń; błędem popełnionym nauczony, zaczął rozważać położenie swoje ze wszystkich stanowisk rzeczywistych, aby wynaleść jakikolwiek ratunek, natężył umysł z największą szczerością. Przerywały mu natężenia te wprawdzie właściwe mu marzenia, w których lotem ptaka przesadzał przepaście wszystkie, laską czaro-

wnika przenosił się z miejsca na miejsce, talizmanem wyobraźni usypiał wszystkie strażę, i siłą Herkulesa uprowadzał kochankę. Jestto powieść Orfeusza porwijącego Eurydykę z piekieł, w której Orfeusza gra rolę wyobraźnia, a obejrzenie się rzeczywistość. Obejrzał się wnet i pan Bolesław, i wracał nazad do ziemi szukając tam tych skrzydeł, laski, talizmanu, i siły herkulesowej, i znalazł. Przekonał się o rzeczy zupełnie nie nowiej, że tém wszystkiem w rzeczywistości, jest złoto. Złoto poezji posiadał, lecz niestety! brakowało mu złota dukatowego.

Jakoż, w rzeczy samej trudności byłyby za ciężkie i dla mniej nierzeczywistego człowieka, dowiedzieć się o pobycie Amelii, dostać się do niej, oszukać czuwające nad nią osoby, przewieść ją prędko i potajemnie, i dostać się z nią razem za granicę, były to nie małe zadania. Wolności rychtęj mógł się zapewne spodziewać, ale razem mógł być pewien prawie, że mu pobyt i powrót do tego kraju, jeżeli nie na zawsze, przynajmniej na długo, będzie zabroniony.

Znowu więc marzył o sposobach, i znowu powracał do nieodbicie potrzebnej sprężyny, do złota. Na tém Bolesławowi brakowało, równie jak i na nadziei i sposobach posiadania go.

Nudne to są i niepowabne szczegóły w powieści, w której zwyczajnie takie trudności kilku słowami bogaty w środki załatwia autor, ale ja piszę zdarzenia najrzeczywistszego życia, a życie przedewszystkiem jest nadzwyczaj prozaiczne, życie człowieka składa się z samych takich drobnostek, które zdołają ochronić najłotniejszego Pegaza. I w zdarzeniach życia więcęć daleko wiąże się zawikłan z tych drobnostek.

niżeli z najszczytniejszych poety wrażeń. Aż przykro powiedzieć, że łatwiej w życiu potoczném najpiękniejsze nagiąć uczucia, zniszczyć zawadającą miłość, niżeli znosząc brudność pochodzącą z braku pieniędzy, rozwickłać lada kancelaryjną zawilość. I dlatego więcej jest zbrodni z miłości do złota, niżeli z miłości do kobiety, więcej śmierci z nędzy, niż z miłości.

Jest przez to poezya w tój rzeczywistój prozie najszczytniejsza; bo poezya cierpień ludzkich, poezya walk ludzkich, które na końcu są zawsze walkami duszy z ciałem, czy się ta poezya rozwija w Fauście stojącym między Mefistofeilesem, a aniołem w ciele jego kochanki, czy w wyrobniku stojącym między poddanym z pięciu głodnymi dziećmi, a nęcącą szkatułą bogatego sąsiada, jest to zawsze poezya, bo jest równie poezya złota, jak poezya miłości, poezya zbytku jak nędzy, poezya występku który zabija, jak poezya cnoty która się zdaje zabijać. Wynaleźć ją i oddać, nie okoliczności naginać do działania, ale działania do okoliczności opisywanych, to jest sztuka artysty!

Ale wróćmy do poezji złota. Tój Bolesław nigdzie wydobyć nie mógł; Bolesław był ubogi. Bolesław nic nie miał, tylko miał długi. Długi stanowią grzech pierworodny wszystkich istot podobnych Bolesławowi. Długi, jestto największe nieszczęście na tój ziemi; odbierają bowiem wolność, cześć i szacunek u drugich, i u samego siebie. Niewolnik wierzyciela, nie ma ani jednój godziny własnej wolnej, gorszy od więźnia galerowego, bez odpoczynku we dnie i w nocy, w śnie czy na jawie musi uciekać przed osobą wierzyciela, lub myślą długu. Zadłużony jestto rodzaj osobny: oczy w dół spuszczone albo

z niespokojnością wokoło błędzące, chód niepewny, nierówny, osłabienie nerwowe wzdrygające się za każdym główniejszym poruszeniem, to są cechy tego wyklętego na wieki z towarzystwa człowieka. Od jednych sam ucieka, drudzy przed nim uciekają. Gonic bez odetchnienia, umyka przed długim zrobionym lub goni za nowym, bo długi jestto hydra milionogłowa, jestto fenix nieśmiertelny, rodzący się z własnych popiołów. Nie daremnie myśl o długach przyszła Bolesławowi w tej gonitwie za środkami wyratowania siebie i Amelii. Raz bowiem wlaźszy w ten bród lichwiarski, nie wahałby się nowęj zrobić pożyczki, gdyby mu kto chciał pożyczyć; ale ci, którzy jedni pożyczają, to jest lichwiarze, znają już doskonale jego finansowe położenie, a takich coby pożyczali by wyratować kogo z rąk tej szarańczy towarzyskiej, oczyścić szlachectwo duszy ze śmierci nędzy, rozkuć umysł z pętów sądowych deszczem złotym, wlecieć do izdebki nędzarza zamiast do sypialni nierządnic, nie słyszałem byśmy posiadali u nas.

Cierpienie takiego rodzaju tym dotkliwsze być musiało dla Bolesława, którego od szczęścia dzieliła jedna zaporą nieprzebyta, która tylko przed złotem upaść może, a on, posiadając tyle własności wyższych i lepszych, nie ma i mieć nie może tego jednego złota, po którego kopach niezliczonych czołgają się tysiączne ślimaki człowiecze. Kochać mocno, i być mocniej jeszcze kochanym, znać szczęście, żądać go, mieć je przed sobą i mimo to wszystko nadaremnie tłuc głową o mur nieprzełamany, pięścią o piersi zbolące, nieme błagać głązy i jęki bez echa, żyć bez współ-

czucia, szaleństwo w głowie, rozpacz w sercu, taki był stan Bolesława.

Długie znosił męki Bolesław.... Nie było w jego możności pomódz sobie, ani też w jego usposobieniu zapomnieć. Nadto długo trwała ta rozpacz, by narzeczcie nie uległ pod jej ciężarem umysł tylekroć już w życiu skołatany. W napiętném usposobieniu Bolesława, rozpacz ta musiała sprowadzić gwałtowne zakończenie; jakoż obejrzawszy ze wszystkich stron położenie swoje Bolesław, znalazł jeden dla siebie ratunek; samobójstwo... Samobójstwo jestto poezya nędzy. Syreny głosem śpiewa tajemnicze piosenki nad łozem nędzarza. Nieraz już Bolesław w życiu swoim pieścił się z myślą o samobójstwie, nieraz ją rozbierał na nago, i nieraz w chwilach samotnych głos jakiś złowrogi, zdawał mu się szeptać w ucho, iż nie ujdzie tego koniecznego przeznaczenia swego. Wzdrygał się już nieraz Bolesław na tę myśl, bo on życia nie użył jeszcze. Bolesław dawno już uwierzył w fatalność wiszącą nad nim, i uważał siebie jako ofiarę dawno przez nienawistny los obraną. Uważał siebie jako istotę napiętnowaną od przeznaczenia, istotę od wszystkich odróżnioną. Jestto narów miłości właściwy, wszystkim ludziom właściwy, stroić siebie czy w płaszcz książeccy, czy w łachmany żebraka. Owoż Bolesław uwierzył że skończyć musi na samobójstwie; myśl ta dawna nowych nabrała sił, i wziął postanowienie niecofnione. Niepomny że i dawniej podobne postanowienie spełzło na niczem, czy że był nadto staby, czy nadto silny.

Raz przedsięwziąwszy samobójstwo jako konieczność, rzucił pan Bolesław wzrok swój na prze-

szłość, dobywając z głębi pamiętek swoich same najsmutniejsze. Jak sędzia, zbierał wszystko to co mogło usprawiedliwić wyrok wydany; było to chwila odpoczynku dla pana Bolesława. W najokropniejsze przeszłych zdarzeń stroił się szaty, i z rodzajem dzikiego udodobania w własnem nieszczęściu jak zwierciadło się przeglądał.

Był to plenne pole dla marzącego umysłu Bolesława, jakoż w artystycznych zarysach, przesnuwały mu się zdarzenia dosyć zwyczajne, upiększone pędzlem wyobraźni, uszlachetnione duszą myśli.

I znalazł się w wielkim pokoju którego ściany adamaszkiem obite, otaczały zbiór przedmiotów kosztownych w powabnym bezładzie ułożonych. Był wieczór już późny; przez dobrze zamknięte okna ledwie czasem dochodzi przytłumiony turkot powozów przejeżdżających przez ulicę słomą wystaną. Na środku okrągłego mozajkowego stolika, opartego w kącie, stała lampa alabastrowa, rzucająca blade i ponure światło. W kącie za stolikiem stojący na podstawie brązowej, bożek milczenia z palcem do ust przytkniętym, zdawał się być duchem tajemniczym tego bladego światła, bogiem domowym tego domu w milczeniu pogrążonego. Światło lampy padało jeszcze bledsze, jeszcze posępniejsze na łożo, jakby w mgłę kotary zawieszzone. Leżał na tém łożu pan rozlicznych włości, bogacz na którego zbytki i przepychy tysiące rąk pracuje, pan u którego żelazem kute kufry, leją się strunienie złota. W sile wieku, wśród zabaw i zatrudnień, złowroga zagościła choroba; książka na pół przeczytana, spoczywa jeszcze na wezgielcu wygodnej sofy; w raptownym bólu trą-

cony cybuch ulubiony, padając z ust pańskich, bursztynowemi rozlał się łzami; na złotobrzeźnym, wonnym papierze słowa przerwane, czekają końca i podpisu, by polecieć, może na złotych skrzydłach, w czyste dziewicze schronienie, i twarz barwą wzruszenia umilić. Darmo, tajemnicą zamrzesz w ostygłej pana piersi wonny liście, tajemnicą zostanie książka niedokończona dla umierającego pana... Trzech lekarzów stoi nad wybladłym, którego oczy lampy gasnącej płomykiem, resztą przytomności błagają o życie, i złota, wiele złota dać obiecują. Twarze eskulapów przeciągnięte napiętnowane żalem z głębi serca pochodzącym nie za panem ale za jego złotem, szepcąc między sobą, szukają środków, i uczonym Rzymian językiem dowodzą sobie nawzajem, iż nie poznali pańskiej choroby... Przyszły nieboszczyk żąda prawnika. Prawnik już stał u drzwi, w kruczą czarność odziany, z białym facykułem pod pachą jak z uduszonym gołąbkim, i żalosną przywdziawszy maskę na dziesięć innych masek na twarzy jego będących, zbliżył się do łoża boleści.... U nóg konającego siedzi stary przyjaciel jego; dwadzieścia lat żyli z sobą, nie jedną wspólną dzielili przeprawę: schyłony, oparty na lasce, duma nieszczęśliwy przyjaciel, duma biedny, że czas uchodzi na próżnej gadanie, a nie piszą testamentu w którym spodziewa się miłsze, niż teraz przy łożku odegrać rolę... W głębi obszernej sypialni siedziało dwóch ludzi, których wiek młody jeszcze, czynił zdolnemi do uczuć nie matematycznych.

Jednym z nich był Bolesław, którego umierający, mimo różnicy wieku polubił, i w ostatnich chwilach życia widzieć żądał. Z szczerym żalem patrzył Bo-

Bolesław na umierającego, bo go ludzie jeszcze wdzięczności nie oduczyli... W drzwiach otwartych i dalej w mnogich pokojach pozajmowanych, snują się jak duchy jakie, mnogie służących pańskich zgraje, wietrząc w milczeniu jakieby można wyciągnąć zyski mniej lub więcej godziwe, z tego tragicznego zdarzenia.

— Więc już nic mi pomódz nie może? rzekł pan do swego ulubionego lekarza, który go lat dwadzieścia lecząc, nareszcie dla zaszczytu sztuki lekarskiej, bo nowego probujący systematu świeżo wyczytanego, podług wszystkich prawideł kunsztownie zabił.

Mruknął Eskulap coś z niechęcią, bo w tej chwili układał sobie registryk mający się podać wdzięcznym dziedzicom. Snać zrozumiał chory: przyzwawszy bliżej niziuteńka kłaniającego się prawnika, przez kilka chwil szeptał z nim, ale tak po cichu, że nawet troskliwy i długouszny przyjaciel nic nie dosłyszał... Godzinne milczenie nastąpiło, przerywane ciężkiem chorego odetchnieniem, i głośnym zazywaniem tabaki doktora. Zbliżył się i Bolesław z przyciśnionem sercem, i kilka słów przemówił do niego chory, który jak na bogacza, dosyć rozsądnie i z uczuciem nie bardzo sobie zwyczajnem, żegnał rozczulonego młodzieńca. Doktor zbliżył się do posępnego przyjaciela, który teraz oczy swoje na piszącego w drugim pokoju Justyniana obrócił i rzekł do niego z cicha.

— Zupełnie zgadłem; umrze na gangrenę w kiszce poprzecznej...

— Ale czy długo może pociągnąć jeszcze? zapytał troskliwy przyjaciel...

— Sześć godzin najmniej, jeżeli spokojnie będzie leżąc, jak dotąd.

— Tak, sześć godzin! wymówił przyjaciel z westchnieniem.

Podniósł się nareszcie z uroczystą miną, wierny praw tłumacz, i lisiemi zbliżył się krokami do łóżka. Przyjaciel, żalem zdjęty, wzniósł oczy w testament, lecz pan zadrzymał... Do doktora wszyscy po radę... Ten dobywszy zegara olbrzymiej wielkości, wyrzekł: dosyć czasu jeszcze; dłużej nad pół godziny spać nie będzie... Stoją wszyscy w milczeniu; przyjaciel chciałby losy swoje wyczytać z oczu prawnika, ale ten wzrok utkwivszy w zapisany papier, żadnym ruchem nie chce odkryć tajemnicy testamentowej... Cięższem odetchnieniem zbudził się pan, lekkim odetchnieniem odpowiedział przyjaciel, i po kilku jeszcze ociąganiach się biednego chorego, któremu się jeszcze nie chciało podpisywać tego wyroku swego, kazał sobie głośno przeczytać... Posługacz umaczone pióro trzymał na pogotowiu... Zaczął prawnik czytać z upodobaniem ogólne prawnicze formy długie, przewlekłe i barbarzyńskie; potem przeszedł do ogólnego dziedzictwa, które oczywiście umierający przekazywał córkom przy matce, z którą nie żył, za granicą chowanym, i nareszcie przystąpił, po krząknieniu ważniejszym jeszcze od zapisów szczegółowych, i czytał...

„Chcąc zaś zostawić miłą pamięć w sercach przyjaciół moich, zapisuję panu Bolesławowi, który dawał mi ciągle dowody przyjaźni i przychylności“.. Tu adwokat rzucił spojrzenie winszujące na Bolesława, przyjaciel zaś spojrzenie zabójcze, aż pożółkł z rozpaczy... Wtém szmer coraz głośniejszy powstawał u drzwi sypialni, kilka głosów szepczących zagłuszył głos donośniejszy, który zdawał się z gniewem odpo-

wiadać na łagodne przedstawienia. Wszyscy się obejrzeli ku drzwiom, nawet chorego uszy niemiłym zostały uderzone szmerem...

I mimo wstrzymujących go ludzi, wszedł poważnym i wyrachowanym krokiem, sługa Boży by przynieść umierającemu ostatnią pociechę, i duszę konającą przygotować do ostatniej podróży...

— Na apoplexyą nerwową umrze!.. rzekł doktor.

Na nieszczęście chory nie należał do wierzących; całe życie za wesoło pędził, wychowany w czasie filozoficznego wieku, chciał umrzeć po swojemu. Czy zatem takie jego przekonanie, czy może raptowny widok kapłana, zgoła, że ujrawszy zbliżającego się do łóżka, zrobił natężenie ostatnie, by się obrócić do ściany; podniósł się gwałtownie, zanucił kilka razy na łóżku i krzyknął: światła! światła!.. Światło tuż przed nim było najczystsze, najszczytniejsze, światło wiary, lecz go widzieć nie był godzien. Kamerdynerowie wpadli wnosząc mnóstwo świec w srebrnych lichtarzach, lecz już oczy jego nie widziały... Jeszcze jęków parę i pan milionowy nie żył. Błady, z przewróconem od ostatniego bólu obliczem, leżał na łóżku, a dwadzieścia świec około niego rzucało jeszcze światło na tę scenę grobową... Eskulap „dixi“ wyrzekł i wyniósł się; za nim adwokat wyszedł wraz z przyjacielem, który pełen rozpaczyci dowiedział się od niego że i on w testamencie nie mały miał udział. Został ksiądz, który słowa Bożego przebaczenia odmawiał nad umarłym, i Bolesław któremu młode łzy spływały z oczu, czyste, bo za przyjacielem nie za testamentem...

Bolesław marzył nad zdarzeniem t \acute{e} m, tyle stanowcz \acute{e} m w \acute{z} yciu jego, zapis bowiem \acute{o} w przerwany, by $\acute{ł}$ znaczny, i przypomnia \acute{l} sobie w t \acute{e} j chwili, \acute{z} e nie jeden tylko ten raz los podobn \acute{a} wyrz \acute{a} dzi \acute{l} mu psot \acute{e} ... I znowu zamarzy \acute{l} !... By \acute{l} o to na Polesiu, w wielkim drewnianym domu przy kominie, na kt \acute{o} rym weso \acute{l} ym ogniem pali \acute{l} y si \acute{e} niesk \acute{a} pe k \acute{l} oce dr \acute{e} w. Wiatr jesienny hucza \acute{l} przera \acute{z} liwie, zap \acute{e} dz \acute{a} ł si \acute{e} w niezamkn \acute{e} te sienie i wyciem do j \acute{e} ku podobn \acute{e} m, uderza \acute{l} o drzwi sali; to znowu porusza \acute{l} z $\acute{ł$ e przystaj \acute{a} cemi obiciami, \acute{z} a \acute{l} o \acute{s} nie na chor \acute{a} giewce nastudni zawieszon \acute{e} j i dalej szumi \acute{a} c po suchych ogrodu ga $\acute{ł}$ \acute{e} ziach, p \acute{e} dzi \acute{l} przed sob \acute{a} tumany szeleszcz \acute{a} c suchych li \acute{s} ci, i z dalekim trzaskiem, jakby ba \acute{l} wan \acute{o} w morskich, nik \acute{l} nareszcie w odwiecznych Polesia kniejach. Tym weselsz \acute{e} m dla siedz \acute{a} cych w sali by \acute{l} o dobroczyune ciep \acute{o} komina, kt \acute{o} ry, zwyczajnie jak na Polesiu, szc \acute{o} drze utrzymywany ogniem domowe o \acute{s} wieca \acute{l} i ogrzewa \acute{l} zdarzenia... By \acute{l} o to dom matki Boles \acute{l} awa, do kt \acute{o} rego on, wychowuj \acute{a} c si \acute{e} za granic \acute{a} , rzadko bardzo przyje \acute{z} dza \acute{l} . Jedynak po ojcu, mia \acute{l} liczne rodze \acute{n} stwo z drugiego matki ma $\acute{ł}$ że \acute{n} stwa. Wiecz \acute{o} r d \acute{l} ugi, jesienny, przechodz \acute{a} c jedn \acute{o} stajnie i nudno na wsi; ojczym Boles \acute{l} awa, kt \acute{o} ry p \acute{o} zno powr \acute{o} ci \acute{l} z dalekiej kniei, gdzie si \acute{e} zwyczajem t \acute{e} j okolicy, zabaw \acute{a} polowania nie ma \acute{l} o natrudzi \acute{l} , po tak dobrze u \acute{z} yty \acute{m} dniu ob \acute{l} adowany mocnemi trunkami, t \acute{a} konieczn \acute{o} sci \acute{a} \acute{z} ycia my \acute{s} liwskiego, poszed \acute{l} marzy \acute{c} o jutrzejsz \acute{e} m polowaniu i zbli \acute{z} aj \acute{a} cym si \acute{e} zje \acute{z} dzie komorniczym. Mia \acute{l} zako \acute{n} czy \acute{c} d \acute{l} ugoletni \acute{a} graniczn \acute{a} k \acute{l} otn \acute{i} z s \acute{a} siadem o pi \acute{e} cdziesi \acute{a} t pr \acute{e} t \acute{o} w nieu \acute{z} ytecznej ziemi; w mi \acute{l} ych snach marzy \acute{l} y mu si \acute{e} zapewne przed oczyma r \acute{o} zno \acute{b} arwne fale nalewek ara-

ków i miodów, które miały niepamięcią zalać ważną kłótnię sąsiedzka, obraz ze wszech miar uroczy. W głębi sali, na staroświeckiej kanapie siedziała matka Boleśława, z obliczem surowem, zwracając się częścią do licznych różno wiekowych dzieci przesuwających się po sali, z myślą napóły senną napóły swawolną, częścią do prozaicznej roboty pończochowej a częścią do kobiety młodszej od siebie. Była to żona nauczyciela domowego, równie już uspięnego znudzeniem gramatykalnym i małżeńskim; poważne i uroczyście jej spojrzenia, nie odrywały się od brudnej siatki przeznaczonj do ubrania niedalekiego klasztoru kapucynów.

Ściany Polskiego domu drewniane, nie wysokie, z wszelką pogardą wytworności, nierówno lepione, obiciem papierowem barwy szarej i niepewnej pokryte, którą czas i ślady much więcej jeszcze zmieniły. Krzesło w kącie z ciemnego drzewa, poręczowe, ogromne, ciemno zieloną skórą obite, kilka ciemnych krzesel, parę stolików i biórko na czarno politurowane, wszystko to razem harmonicznie odpowiadało tej scenie cichej, milczącej i ciemnej, bo oświeconej dwiema tylko świecami postawionemi na podługowatym stoliku przed kanapą stojącym, który ani kształtem swoim trzynożnym, ani mahoniową swą barwą nie odróżniał się od pośepnej całości. W tym obrazie była postać młoda, świeża, jasna urodzonymi licami, i oczami pełne życie zwiastującemi świecąca, Szwajcarka guwernantka. Stanąwszy w drzwiach otwartych, dzwicznym głosem napominając dzieci do spokojności, do modlitwy a nareszcie do snu, przerwała ogólne milczenie... Dłużej nawet i częściej jak zwy-

czajnie przechadzała się po sali, rzucając oczy wymowne z natury, a teraz więcéj jeszcze mówiące, na siedzącego koło komina Bolesława, który zamyślny oddawał się bezcelnym marzeniom.

Kilka spojrzeń, które się między niemi krzyżowały, łysnęły żywym ogniem. Bolesław przyrzuciwszy kilka polan wziętych z ogromnego stósu między piecem a kominem przygotowanego, żywszy rozniecał ogień i weselszą porwany myślą uśmiechnął się mimowolnie: a znając upodobanie obydwóch pań w strasznych powieściach, po krótkiej przedmowie zaczął im rozpowiadać długie jakieś zdarzenie, z różnych powieści czerpane, wyobraźni własnej nicią powiązane, w którym duchy, zjawiska, czary, pieczary, okropne więzienia, szkielety, puszczyki i sowy główną odgrywały rolę; sztucznie wprowadził je w ciekawość, łudził spokojnymi obrazami aby raptowném wpadnięciem jakiejś okropności niespodzianej, dreszczem strachu przejąć; do czego dziwnie mu pomagały świst wiatru ciągły i jękliwe pęknięcie smolnych drewek na kominie...

Pani nauczycielowa ślepo wierzyła we wszystko co było nadprzyrodzonym; w łopaty czarnoksiężkie, w zamawiania, uroki i inne wiejskie podania, któremi przepełnione jest Polesie. Chociaż więc drżała ze strachu, przecieź z największém słuchoła natężeniem i ślepo wierzyła w dziewicę i w jej cnotę nieskażoną.

Lampa samotna w czaszkę trupa wstawiona, wisiała na środku kaplicy; mówił Bolesław; wiatr poruszał czarnym całunem na ścianach rozwieszonym i jęcząc przelatywał przez ciemny, długi i wązki korytarz podziemny, z którego przestraszonej Matyldzie (Ma-

tyldą nazwał bohaterkę swoją) zdawało się, że ją cień jakiś blady do siebie woła... Na środku stała trumna czarnem suknem obita, z wielkim krzyżem białym., wtem zapukało coś w wieko trumny!.. i wtem usłyszeli rzeczywiście zapukanie do drzwi sieniowych które w tej późnej zamknięto już godzinie.

— Jezus, Marya, Józef święty! wrzała pani nauczycielowa, krzyżując się bez ustanku. Wszelki duch chwali pana Boga! Matka Bolesława opuściła pończochę i napóły zadziwiona, napóły przestraszona, pójrzała ku drzwiom, Bolesław zaś nie mógł wstrzymać głośnego śmiechu na widok odurzonej strachem nauczycielowej, która naprzemian się modliła i naprzemian wołała piskliwym głosem... A ten głupi Leopold śpi już!.. głupi Leopold był godny małżonek pani nauczycielowej... Śmiech Bolesława przerwało powtórne zapukanie dobitne...

Długo trwała ta scena przestachu i śmiechu. Wprowadzono nareszcie niskiego i krępego Poleszuka z tykowatemi kurpiami na nogach i świeci szaręj, długiej, na grzbiecie, który skłoniwszy się nisko i pokornie i wyrzekłszy zwyczajne przywitania słowa: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł nareszcie, że stary dziad jego, Olexa borowy, który już od dwóch miesięcy nie zmoże, żąda koniecznie widzieć swego panicza, o którego się przyjeździe dowiedział, i że nie może spokojnie umrzeć, póki go nie zobaczy...

I pieszcząc się tem marzeniem które mu lata wolne od trosk przypominało, Bolesław znalazł się w porządniejszej od drugich chacie wieśniaczej, bo czysto bielonej, co na Polesiu jest rzadkością wielką. Płomień

z drobnych łuczyw smolnych na zawieszonym w środku izby kominie, oświecał tę sporą izbę ze stołem i ławkami sosnowemi; piec ogromny z większym jeszcze zapiekiem z którego wyglądały cztery oczów ciekawych: stariej dosyć żony wnuka borowego i wielkiego srokatego kota; trzy strzelb prostych, kilka skór lisich i dwie pary postoiłów Poleskich, wiszących nad tarczanem drewnianym, na którym na sianie weretą płótnianą przykrytym umierający leżał borowy, osłonięty czarną siermięgą i białym kożuchem baranim. Olix borowy, było napół szlachcic a napół chłop, rodzaj dosyć częsty na Polesiu; na własnej siedział zagrodzie, której dar mu uczyniony, oddawna musiał zbutwieć papierem w starych jakich aktach równie jak go nikt z żyjących nie pamiętał. Wiek bowiem borowego był zagadką nieodgadnioną; był on nadzwyczajnie stary, miarkując po dziejach które z wielką ścisłością szczegółów rozповідаł, po twarzy niezliczonymi zmarszczkami pokrytej, i wielkiej siwej brodzie od której nazywano go także w okolicy siwym borowym. Żaden z najstarszych ludzi we wsi i w okolicy nie pamiętał go młodym; siwa jego broda znana była całemu pokoleniu okolicznemu, które go lubiło; zachował bowiem do tej nadzwyczajnej starości siły ciała niezwałtne, które mu służyły do ciągłych wypraw po zarosłych Polesia kniejach, nieprzebytych prawie, kępami odwiecznych traw pokrytych, bagnistych, i siły duszy pełne ognia z którym rozповідаł jako wesoły współbiesiadnik dziwne, dawne zdarzenia swoje i przy pełnej szklance miodu lub kielichu anyżowej nalewki, czyto za stołem szlachty czy na ławie chłopskiej, w wieczornej karczemnej poga-

łance lub w nocnej myśliwskiej wyprawie, pod niebotyczną sosną, przy płonącym ogniu. Opowiadał dzieje okolicznych borów, których wszystkie knieje, wszystkie futory, zaścianki, gaje, mogiły, budy smolne, huty potażowe znał doskonale; opowiadał dzieje całych pokoleń lasowych które w jego oczach wyrosły i w jego oczach powalone siekierą rozeszły się na maszty w dalekie morza, na tarcice do łożnic, kołysek i trumien okolicznych dworów, na smołę, potaż i szkło. Zdarzenia polowań dawniejszych i nowszych, pełne cudownych epizodów, malował żywo przed ciekawymi słuchaczami swemi, równie jak i pamiątki o łosiach, żubrach, których nawet rodzaje ponikły z tej strony Polesia. Ztąd zapewne nazwano go borowym, nie było bowiem śladu ni pamięci, żeby ten urząd kiedy piastował. Strzelec doskonały, lubiony z wesołości, wieku i opowiadań swoich, bywał używany do wszystkich polowań obywatelskich z których mnogie łupy wilków, dzików, niedźwiedziów i lisów przynosił do chaty swojej. Handel skórami tych zwierząt jako też ptakami błotnistemi, w które zaopatrywał kilka dworów sąsiedzkich, grunt uprawiony przez pięćdziesiąt kilkoletniego wnuka i kilkadziesiąt pni pasieki, dawały mu prawo do tytułu bogacza za jakiego wszędzie uchodził. Pamiętał go Bolesław z lat dzieciennych jeszcze, i nieraz w tej chacie po spacerze z nauczycielem, przypominał sobie doskonałe podwieczorki składające się z pierogów hreczanych w świeżem maśle pływających, z śmietaną świeżą, złotobarwnego plastra miodu, i z orzechów leśnych na piecu suszonych. Z przyczyny pomocy, jakiej doznał w sądowej jakiejś sprawie o posiadłość swoją, od

ojca Bolesława, przywiązał się do niego przez wdzięczność, a później przeniósł to przywiązanie na syna jedynaka, którego nieraz na ręku nosił. Jakoż, za każdą bytnością panicza swego, jak go nazywał by różnić od drugich dzieci, odwiedzał go borowy. Bolesław do starego przyjaciela z żalem prawdziwym idąc, dowiedział się że siwy borowy, w skutek ciekawości która go zawsze wiodła na świeże zręby, w boru przywalony sosną, ginął z ręki przyjaciół całego swego życia.... dosyć częsta śmierć taka w mieście jak i w lesie!...

Zaiskrzyły się starca siwe oczy ostatnim ogniem na widok swojego panicza, który dorodnym młodzieńcem wracał w ojczyście zagrody, długo wpatrywał się w rysy jego, jakby szukał w nich dawnego dziecka, lub podobieństwa rodzinnego do ojca. Potem oddalwszy wszystkich z chaty bez wyjątku, długą zaczął prawić powieść przerywaną bólami coraz wzmagającemi się. Były w tej powieści wszystkie rysy jego usposobienia, wszystkie dzieje jego wędrówek leśnych i innych pamiątek, po których z widocznem upodobaniem bujał poczciwy starzec, i z pomiędzy których ledwie z całą uwagą mógł Bolesław schwycić główną nić jego powieści.....

Powiaდაł mu jak był w służbie w zakonie, do którego te dobra niegdyś należały, i jak to dawno już temu, starsi zakonu wrócili z jakiejś dalekiej przejażdżki, niespokojni i nareszcie zabierać wszystkie sprzęty swoje gotowali się do wyjazdu. Wówczas, mówił dalej borowy, byłoto w jesieni jak teraz, ja tylko co wróciłem z futora zakonnego, z mogiły Bogdanowój, i na rudzie Kalinowieckiej pilnowałem jak

święte drzewa zabierali flisy.. a była tam, paniczu, sosna, już takich dziś nie ma na całym Polesiu, a taka równa od korzenia aż do głowy, a taka prosta jak gdyby sznurem wymierzona... Pięknato była sosna; długo jej broniełem od napaści flisów; a znałem ją dobrze; nie jedną ja noc przespałem pod tą sosną, a dawno temu, ja tam zawsze na wilki w nocy czatowałem... Jeszcze wtenczas czarny bór Kalinowiecki ciągnął się aż pod tę sosnę, teraz już nie ma tego boru; uciekł gdzieś aż za rudę... sosnę moję także ścięli! przeszła na maszt!.. Ruch był wielki w domu, a dom zakonny był tam, gdzie oficyna stała za pańskiego ojca, wystawiona ze ślicznych tarcic dębowych z grubego boru za Sawłakami. Już nie ma i tej oficyny; dla widoku jakiegoś zwalili, i tego domu nie ma, jakaś tam budka spiczasta stoi... (było to kiosk który miał być Chińskim, bo duża tyka sterczała na dachu z chorągiewką). Zawołał mnie ojciec Emeryk bardzo uczony, i lektor Anastazy który zawsze w dół patrzył. Po długim rozgovorze, kazali mi pójść za sobą do kaplicy, tej samej która i dzisiaj jeszcze stoi, tylko że terazniejszy pan, ojczym pański, przyklepił dzwonicę drewnianą.... wieleto poszło tarcic ślicznych darmo na tę dzwonicę; splądrowali cały bór wielki; najpiękniejszy było las na całej okolicy, póki panu z Kamionki nie zachciało się potażu robić... Temu podobnym sposobem długo rozpowiadał borowy, jak mu kazano w kaplicy przysiędz że za żywota nikomu nie objawi tego, co oni mu powierzą. Poczem weszli do zakrystyi, gdzie stało trzy kufry w które jeszcze pakowano niektóre sprzęty kościelne, w czasie czego Olexa widział mnóstwo

sreber i kilkanaście worów pełnych złota i srebra, jakieś drogie naszyjniki i inne kosztowności osadzone kamieniami, i te kufry dobrze napchawszy i zamknąwszy, otworzyli drzwi jakieś ukryte i we trzech, przez przejście podziemne, zanieśli te ciężkie kufry do piwnicy, o której borowy nic nie wiedział. Przejście to miało, jak twierdził borowy, kroków trzydzieści i kończyło się, podług różnych uwag jego później zrobionych, w miejscu gdzie trzy stare, zeschnięte po części topole, za czasów jeszcze ojca Bolestawa ścięto, i natomiast świeży gaik zasadzono....

Długą mową zmęczony borowy, w końcu zaczął się jękać, oczy gasły coraz więcej i widocznie zbliżał się już do ostatniej godziny swojej..... Był tam jeszcze, mówił dalej, i czwarty między nami, ale Boże odpuść (tu znak krzyża zrobił) był on, jak powiadali, od szatana opętany... zadumany siedział w zakrystyi i tylko oczami czarnemi jak węgiel, spoglądał za nami. Jakśmy wniesli te kufry, kazano mi wyjść i czekać na siebie w domu. Był to wieczorem, nie bardzo późnym... Wróciłem, czekałem długo i spać mi się zachciało... położyłem się na ławie i zasnąłem jakby w lesie na murawie. O świcie dopiero zbudziłem się... wrócili wszyscy, opętanego nie było!.... Dziwota mnie wzięta, spytałem się, ale ojciec Anastazy jak podniósł oczy na mnie po pierwszy raz... zdało mi się... O Boże!.. tu opadły siły borowego..... Rzucił gasnące oczy na Bolestawa: chciałem to powiedzieć paniczowi memu, synowi mego dobrodzieja... Bóg wysłuchał prośby moje... Ja ciągle pilnowałem kaplicy; od tego czasu nikogo nie było... musieli poumierać... pamiętaj paniczu... trzydzieści kroków od zakrystyi! tam gdzie

stały topole!.... Jeszcze chciał coś powiedzieć, ale tylko usta się poruszały!....

Pobiegł Bolesław przywołać wnuka i jego żonę; kur zapał, czerwony świt okazał się na wschodzie, a jak wrócił Bolesław do chaty, borowy już nie żył. Zamknęły się oczy co tyle widziały na świecie; umilkły usta bajora Polskiego, a dusza jego uleciała w ulubione lasy rodzinne....

Tu przesunęły się przed oczyma Bolesława różne widzenia: rozmowa z matką, układy o rozdział mającego się znaleźć skarbu, przykre uczucia Bolesława w czasie tych wszystkich drobnych epizodów..... Nareszcie znalazł się w nocy ciemnej, jesienniej, wietrznej, przy bladej latarni, której migające się światło, duże cienie rzucało na wnętrza kaplicy. Żywo mu stanęły w pamięci uczucia pomieszane, z jakimi do tej nocnej przystępował wyprawy z ojczymem, nauczycielem, dawnym przyjacielem i domownikiem, i dwoma zaufanymi służącymi... Dziwnych doznawał wrażeń, gdy wśród ogólnego milczenia, zaczęto szukać drzwi ukrytych w zakrystyi, nie opisanych przez borowego.

Wrażenia uroczyste tej chwili stanowiącej, wrażenia lekkie, w przyszłość wskazujące tysiącznych sposobów użycia skarbu rojonego! Bo Bolesław był już w wieku gdzie używać jest koniecznością, gdzie żądze są niewyczerpane, siłą ciała i duszy przelatują świat od końca do końca. I patrząc z podniesioną latarnią w rękę na te cztery twarze, w których mieszały się wyrazy bojaźni, niespokojności i żądzy złota, przebył chwilę ciekawą, pamiętną dla siebie. Za kapryśną zmianą cieniów w pustej zakrystyi, zmieniały się wra-

żenia, to tajemniejsze nadzieją, to ciemniejsze niepewnością. Głosy młotków o ścianę i ciche szepty, jak gdyby się podsłuchania ludzkiego albo Boskiego bali, przerywały ciszę. Głos wyraźniejszy, dźwięczniejszy, odzywał się w sercu Bolesława drzeniem rozkoszy!.... Głos młotka, głuchy, przytłumiony, przechodził go dreszczem bojaźni!.... wszystkie żądze i marzenia Bolesława stały się w tej grze z przeznaczeniem stanowczej na jednej karcie, tą kartą były drzwi szukane... wygrana!.. lub przegrana. Nareszcie głos młotka dał się słyszeć przeciągły, dźwięczny, dzwonkowy prawie; muzyką wszystkich ułudeń młodzieńczych zagrał w duszy Bolesław... Już znaleziono drzwi, odmurowano je, wyłamano!.... Świeca gaśnie w latarni, raptownym wybuchem zamkniętego powietrza odurzeni, odskakują wszyscy. Po różnych przygotowaniach już są w szyi podziemnego korytarza. Wilgotne mury sklepienia, mnogiem pokryte robactwem, coś nawet nakształt gadu przemknęło się przez nogi naprzód idącego Bolesława. Dwadzieścia kroków wyliczył już głośno. Serce bije mu gwałtownie. Za każdym krokiem podwaja się bicie serca. Dwudziesty piąty, wyrzekł głosem drżącym, a latarnia w rękę jego niepewnym tańcowała ruchem. Trzydziesty! szepnął prawie, i podniósł latarnię w górę; już nie ręki nie wstrzymuje, są w piwnicy. Cichość zupełna; odetchnienia idących słychać tylko, a pomiędzy nimi najgłośniejsze odetchnienie Bolesława... I widzi siebie samego jakby to wczoraj było.... Stoi z latarnią do góry wzniesioną u wnijscia tej piwnicy gdzie czeka nań skarb, i uśmiecha się do niego cała przyszłość przystrojona w szaty pełnego użycia i pełnego szczęścia.

Drżące światło latarni nie dozwala od razu obejrzeć piwnicy dosyć obszernej. Obraca pomału latarnię wkoło siebie, i jedna po drugiej, okazują mu się cztery ściany nagie, sklepione, szczelinami mchem porośnięte popękane, od których ściekających wilgoci odbijające się światło brylantowych kropel łańcuchem błyska. I cały byłto skarb... Pusta piwnica zda się urągać ze zdumienia bolesnego, jakie na ten widok przeszło serce ściśnione Bolesława i jego towarzyszków. Przechodzi się wzdłuż ścian; w jednym miejscu są jeszcze na ścianach znaki na kamieniu wyrosłe, gdziegdzie rdzą żelaza pokryte, które zdają się dowodzić ciężkie przesuwanie tych kufrów okazałych, o kamienne ściany. Raptem zaszleściło coś pod nogami jego, mimowolnie strwożony, skoczył w bok, i nowy jakiś przedmiot nogą trącony, z głuchym łoskotem potoczył się po ziemi. Zniża latarnię i spostrzega jakąś książkę napóty zbutwiałą, i tuż przy niej kości człowieka w poruszeniu nieruchomym leżącego człowieka; ręka wyciągnięta zbliżyła się aż do owjej książki, noga tylko jedna przez Bolesława potrącona, odskoczyła dalej; chwilę długą zamyślony stał nad tym skarbem znalezionym: kośćmi człowieka z książką. Miałże to być obraz jego marzeń i nadziei, obraz życia przeszłego?.. Prózne nauki którym się oddawał, i grób samotny w pustym dla niego, jak to sklepienie, świecie.

Wziął tę książkę i wyszli wszyscy w milczeniu. Nie jedną noc przepędził po tém zdarzeniu, samotnym i smutnym oddany marzeniom i czytaniu kartek zbutwiałych znalezionej książki. Byłyto kazania pisane, długie, rozwlekłe; próby jakiegoś nowicyusza, ledwie wyczytane przez niego i niewielce zabawne.

W różnych miejscach legły, spisane dziennikowym sposobem, jakieś niezrozumiałe zdarzenia, które żadnego wówczas nie miały dla niego powabu, a które po większej części, dla trudności wyczytywania poprzerywanych zepsuciem słów, porzucił nareszcie. Lecz książkę tę, jako pamiątkę owej chwili, zostawił przy sobie, i w wielu zdarzeniach jego życia, spoczywały oczy Bolesława, roztargnione uciechą lub zasepione myślą smutną, na tej nieodstępnej towarzysze swojej. Długo zatrzymywał się Bolesław nad tą pamiątką z różnych względów bolesną dla niego, i dzięki tej pamiątce, zamarzył spokojniej po raz pierwszy od dziesięciu tygodni. Myśl czyli raczej postanowienie samobójstwa, trwało niezmiennie, sposób tylko i czas wypełnienia zamiaru nie wyraźnie ułożone, przesuwwały się przez myśl jego. Postanowienie każde, jakiegokolwiek ono jest, złe czy dobre, smutne czy wesołe, uspokaja umysł, ucisza cierpienia.

W takim był stanie Bolesław, kiedy idąc za pędem ostatnich przypomnień, porwał leżącą książkę, tego niemego świadka tylu walk, z jednego grobu nikczemnego wyniesioną i wplecioną w zdarzenia losu Bolesława. Przypomniał sobie czas w którym siedział nad tą książką; nie było czas wesoły, ale żadne jeszcze wówczas cięższe życia doświadczenie nie zepsuło szyku młodocianych złudzeń!... Dziś, jaka różnica! jaki przeskok!... Pierwszego odczarowania świadek, maż ta książka być świadkiem ostatniej jego walki z rzeczywistością, świadkiem ostatniego odczarowania samobójstwa?... Usiadł i zaczął przerzucać z roztargnieniem pobutwiałe kartki... dostrzegł czego pierwój nie widział, że w wielu miejscach, dla

braku zapewne innego miejsca pomiędzy wierszami, były słowa powpisywane tą samą ręką, którą i ów dziennik, o którym mówiłem. Z braku innego zajęcia, zaczął z uwagą i starannością, do której dosyć miał czasu, przeczytywać te porozrzucane pisma, i uważał że jest między niemi oczywisty związek. Resztę wieczora i część nocy, przepędził na téj pracy. I zajęło jego umysł opisanie jakiegoś zdarzenia tajemniczego; autor tego dziennika, przewlektém i nudném piórem, opisywał pomieszane zdarzenia klasztorów kilku, w których życie przepędzał, uwagi teologiczne a nawet spostrzeżenia i rachunki ekonomiczne, ściągające się oczywiście do téj ich posiadłości na Polesiu. Tu z większą uwagą zaczął czytać Bolesław:

Anno millesimo septingentesimo (co chwila urywają się słowa plamami wilgoci) *dominica tertia post festum S. Michaelis...* późno już wieczorem siedziałem przy kominku, zadrzymałem nad brewiarzem. Ogień w kominie zagasł i wiatr przeraźliwy szumiał na dworze od strony futora. Olexa nadszedł przecie i dołożył drewek, na których, dzięki najwyższemu i naszemu świętemu patronowi, nie zbywa w naszym kraju. Zégar uderzył *decimam vespertinam; signum sanctae crucis* zrobiwszy, chciałem się już udać do łóżka. Już trzeci raz *credo* zacząłem.. Ależ turkot zajeżdżających powozów przerwał modlitwę; wszedł przewielebny; młode laiki prowadzili jakiegoś mężczyznę zawiniętego w sobolową szubę aksamitem niebieskim pokrytą. Na głowie miał wielką czapkę na oczy zasuniętą; jak zdjęli z niego szubę, zobaczyłem z wielkiem zadziwieniem, że miał na rękach łańcuszki. *Reverendissimus pater Anastasius* zawołał mnie do drugiej

izby i tak zaczął do mnie....., (Tu nowa długa przerwa)..... Spojrzałem na niego: jak spojrzał na mnie, aż wstrzęsa mnie febra, która mnie nie opuściła aż *circa quartam pomeridianam*. A wszakto miał oczy czarne jakby dwa węgle. Przeżegnałem się trzy razy, a ten rzuciwszy czapkę o ziemię, zaczął się śmiać przeraźliwie takim śmiechem, że słysząc było na moście, jak mi rozповідаł Pietrzyk który chodził na wieś, a jak się rozśmiał, *vidi oculis meis* ogromne zęby jakby kły u dzika, nienaturalnej wielkości i białości, i zaczął krzyczeć aż strach i przeklinać aż włosy na głowie powstały. A jak się chciałem do niego zbliżyć, zadzwonił łańcuszkami tak przeraźliwie, że ja ze strachu lewą ręką przeżegnałem się..... Owoż znosiliśmy wszyscy bardzo wiele drogocności; przywiózł Reverendissimus z sobą osobliwie kanak z czerwonych brylantów i pereł tak wielkich jak groch cukrowy, *item* dziesięć lichtarzów srebrnych lanych, na półtora łokcia długich; *item* pierścień z czarnym brylantem *vulgo* karbunkułem zwanym, który świecił jak sto świec jarzących razem, i wiele innych precyozów. A szkatułę sam Reverendissimus zaniósł do *cubiculum suum*; chociaż był zdrożony, długo nie spał, bo jak się obudziłem *circa quintam matutinam*, jeszcze się świeca paliła i coś brzęczało *apud Reverendissimum* jak złoto, to zapewne złoty krzyż na granatowym rozańcu, który zawsze przy pacierzu miał w ręku. A było *summae pietatis homo* i przez świętą pokorę nigdy oczu nie podnosił.... (Tu znowu przerwa)..... *Ite missa est!* wymówił *reverendus Simplicius*, i przyprowadzili *Petrus et Paulus* opętanego. Strasznie zbladł; widać że się szatan przestraszył,

oczy mu zapadły, jakby z jaskini jakiej świeciły. Miał wór na sobie z grubego płótna, i głowę obciętą okrągłą. Reverendissimus wstał *ex sede sua*, i zaczął przemawiać do opętanego takim słodkim językiem, żeby się skruszyły dzikie bestye puszczy, *sed isto ad diabolo* (tu ciągnę przerwy; zdaje się tylko że nastąpiły ceremonie exorcyzmu nad tym opętanym, przywiezionym w sobolej szubie niewiedzieć skąd).....

... A Satanus! A opętany wrzeszczał: *Krzysztofie! Krzysztofie! et postea: psibracie!*.....

Przyjechawszy poszliśmy na kępę; Reverendissimus szedł naprzód, a ja za nim. Na kępie był domek stary, murowany, w którym nikt nie mieszkał. Weszliśmy do sieni, a z tych do pustego pokoju, w którym był komin zamurowany. Reverendissimus poszedł wprost do komina, uderzył kilka razy pięścią w bok, i jakież było moje zadziwienie, gdy się pokazały drzwi, i weszliśmy na wschody, które w dół prowadziły; *triginta duo* wyrachowałem wschodów..... Daremnie podałem mu trzeci raz papier do podpisania; mówiąc, że to dla zbawienia duszy i ciała. Opętany bladej, aż strach, krzyczał ciągle. Nie podpiszę!.. nie podpiszę; z ciałem mojem zróbcie co chcecie, a duszy mojej nie zgubicie.

Wycie okropne usłyszeli i brzęczenie straszne kajdan...

Na tém kończyły się szczegóły tego zdarzenia, które nadzwyczajnie zajęło Bolesława; wiedział bowiem tajemniczy i okropny związek tej powieści z szkieletem znalezionym w piwnicy i z tym skarbem rzeczywiście schowanym przez nich, którego jednakże, podług twierdzenia borowego, nie wracali szukać, a który jednak znikł bez śladu. Darmo przewracał

wszystkie kartki, wiersh po wierszu przepatrywał; nie więcej znaleźć nie mógł Bolesław, coby go zdołało oświecić w tej ciemnej sprawie. Już odsuwał książkę, pełen wewnętrznego niesmaku, kiedy zdawało mu się postrzedz na okładkach tej książki dobrze dosyc zachowanych, jakieś litery wyciskane przedmiotem jakimś ostrym, i nawet wpatrzywszy się, zdawało mu się widzieć, że te wyciskania zupełnione być musiały płynem jakim... Wpatruje się Bolesław, i włosy mu powstały na głowie, na myśl wzbudzoną, iż to ten więzień nieszczęśliwy, z głodu umierający, krwią zalewał własną te jakieś ostatnie powiedzenia, które chciał po sobie zostawić. Jakoż żółte, rdzawe znaki w tych wyciśnieniach, zdawały się potwierdzać myśl Bolesława. Z tym większą ciekawością zaczął przyglądać się tym krzywym, nierównym wyciskom, jakby drżącą ręką kreślonym, ale nie wiele wyczytał, bo czy przedmiot, którym były te słowa wyciskane, był tępy, (może ogniwem łańcucha pisał nieszczęśliwy potępieniec), czy czas zatart niewyraźne ślady, zgoła że przy usilności największej, ledwo zdołał wyczytać następujące wyrazy.....

.....,mieram ofiarą..... brat Krzysztofa księcia..... na mnie ojcowski spadek i Helenę z którą pierwój..... przebaczam w imie ojca!..... i nic więcej. Przewrócił z niecierpliwością Bolesław książkę. Znowu takie wyciskane słowa. Czyta izrywa się uderzając się w głowę:

.....Szukaj a znajdziesz..... na wóz po wyjściu gajowego kto..... do futora na kępie..... sklepienie pod niem..... ktokolwiek znajdziesz rady postł...., używaj do i..... za duszę Albr..... Cały ten dramat przesunął

się w artystycznej całości przed duszą artystowską Bolesława. Zrozumiał miejsca próżne, przeklinając przeznaczenie które mu teraz dopiero podsunęło klucz do tego skarbu darmo szukanego, skarbu oczewiście za późniejszą naradą wywiezionego do futora. Znał Bolesław ten futor doskonale; należał do jego matki; znał tę kępę i nieraz na niej, otoczony lasami i bagnami poblizkimi, które się wkoło rozciągały, marzył na gruzach jakiegoś pomieszkania wzniesionego na pagórku dosyć sporym, który właściwie nazywał się Bogdanową mogiłą, i nieraz budował pierwsze próby marzeń swoich na tych zupełnie sobie nieznanym gruzach, które skarb kryły pod sobą. Antykwarjusze tamtomiejscowi twierdzili że to był dawniej dom sławnego rozbójnika Bogdana w 17tym wieku, którego, jak wieść gminna twierdzi, szatan porwał po upłynionym czasie zrobionego z nim kontraktu. Mieszkanie to już odtąd, wraz z okoliczną ziemią, w inne przeszło ręce i bogata siedziba kaczaków osiadła wokoło kępy, sprzedając las gruby na maszty i okręty, a cienszy wypalając na smołę i potaż; a wykarczowawszy ziemię, osuszywszy ją rowami, oddawna pługiem przewracają. Jakież podobieństwo żeby się skarb mógł utrzymywać dotąd ukryty, dumiał Bolesław, a ani na chwilę nie pomyślał, że wielebni Atanazy i Emeryk na to go przenieśli z kaplicy do futora, aby tym łatwiej mogli wywieść później bez zwrócenia uwagi borowego, którego, jak się pokazuje z kollektaneów księdza Emeryka, przysiędze tak jednakże wiernie zachowanej, nie wierzyli. Bo taka myśl prosta i naturalna, nie miała miejsca w marzeniach urojonych pana Bolesława. Dziwne myśli krzy-

żowały się po głowie jego. W całym tém zdarzeniu spostrzegł widoczniejszy jeszcze dowód tego przeznaczenia nieszczęśliwego, które go prześladuje od powicia. Chęć używania i rozpacz samobójcy, walczyły w jego duszy. Byłyto dwie władze odpowiednie dwom jego władzom walczącym wiecznie z sobą. Marząca dusza pragnie samobójstwa, ciało zaś używania. Tłumnie i bezładnie mieszały się różne myśli po głowie Bolesława i myśli własnych zdarzeń pogmatwane dzikim nieporządkiem z myślami wzbudzonemi przez przeczytany dramat... Wtem, na znajomym mu zegarze u mieszkającego naprzeciw niego zegarmistrza, uderzyła pierwsza godzina. Myśl szalona przebiegła błyskawicą przez głowę Bolesława; rozpalona wyobraźnia w fantastyczne zmienia ją obrazy. Oczy Bolesława iskrzą się napóły rozpaczą, napóły żądzą życia, ale życia takiego jak on rozumie. Chód jego prędki i nierówny zwiększa jeszcze tę gorączkę umysłową. I cichość ogólną spokojne przerwało uderzenie kwadransa na zegarze. Bolesław usłyszał, już nie biega; z oczami naprzód wydanemi, stoi na środku swego pokoju, natęża ucho jakby się spodziewał usłyszeć głos luby, głos Amelii który mu nieraz pieśzczotliwym dźwiękiem swoim wydarł z piersi westchnienie rozkoszy. O! nie; myśl jego daleka w tej chwili od Amelii!... oczy palą się ogniem który go trawi, uszy słuchają z natężeniem. A tak cicho wkoło niego, że słyszy przemykającego się pajaka po ścianie!... I znowu zegarek zwyczajnym głosem przerwał cichość: uderzył pół do drugiej. Przypomniał sobie zaklęcie czarta co gdzieś w stariej czytał księdze. Astarot! Astarot! Astarot! wykrzyknął Bolesław gło-

sem z głębi piersi pochodzącym, z oczami naprzód siebie wytrzeszczonemi!... Astarot! Astarot! Astarot! przybywaj!... Kiedy darmo wznosiłem gorące, dziecinne modły do niemego na me boleści Boga, a więc ty, piekło, przybywaj mi na pomoc. Astarot! Astarot! Astarot! krzyknął głosem rozpaczny....

Jeszcze ostatnia głoska drżała w powietrzu, drżała mu w uchu, drżała mu w mózgu i głośno bijącym sercu, kiedy drzwi, naprzeciw których stał, zaczęły się powoli otwierać; dym mocny, przykry, sinemi kłębamami przez wpółotwarte drzwi wsunął się do pokoju... Pomału otworzyły się drzwi na roścież i zjawił się...

ROZDZIAŁ VI.

Zjawia się.

Zpoza kłębow dymu cygarowego rzęsisie wychodzącego, z krótkiej cygarniczki, kończącej się na białej trupiej główce, z słoniowej kości mistycznie wyrobionej, wszedł... Nie wiem czy to był Astarot, ale zapewne ten gdyby się chciał pojawić, nie mógłby był przybrać brzydszej i okropniejszej twarzy...

Na wysokiej, wiekiem nieco pochylonej postaci, której zarisy dowodzą kształtów jednakże niepospolicie pięknych, doskonałych nawet, była twarz jakby przypadkiem tam przypięta, jakby przez omyłkę rzeźbiarza posąg Apolina dostał twarz fauna. Jakoż, główny rys tej twarzy, jest wieczny, przykuty uśmiech szyderczy, który z dziwną ruchawością zmarszczków ciągle nowych, okropniejszych nabiera odcieniów. Zdaje się jakby szyderstwo osiadło na tej twarzy, zacząwszy od uśmiechu mimowolnie wzbudzonego przez

niezgrabne upadnięcie w tańcu, aż do śmiechu mszczącego się zbójcy nad trupem przez długie lata prześladowanego wroga. Jest tam złośliwość dowcipu i złość występku. Jestto zimne szyderstwo z życia, z cnoty, z Boga i wszelkiej wiary. Szyderstwo bez pamiętki żadnej, i bez żadnej już nadziei, szyderstwo które wysmiało przeszłość a drwi z przyszłości, szyderstwo równie z głowy jak z serca pochodzące. Szyderstwo pełne, wyrozumowane, głęboko zrozumiane, jeszcze głębiej uczute. Szyderstwo salonów i poddaszów razem. Nos spłaszczony na środku, wznosi się nad ustami szerokimi. Broda śpiczasta, wydatna trochę. Oczy mocnymi, siwemi brwiami osłonięte, jakby węgle zpod śniegu, rzucały spojrzenie przenikliwe; oczy te, zupełnie odpowiednie do tej twarzy, zdają się dlatego tak przenikliwe i ciekawie spoglądać, aby nowych do szydzenia nabierać przedmiotów. Barwy ich niepewnej i zmiennej trudno odgadnąć, bo trudno długo wzrokiem spoczywać na tych oczach zaślepiających, oczach uroczych, jeżeli są gdzie oczy urocze prócz oczów kochanej kobiety. Nad tem wszystkiem czoło wznosi się wyniosłe, piękne, szerokie by się miały gdzie podzielić liczne myśli; dalej łysina skąpo pokryta napół rudemi, napół siwemi włosami, które gładko zaczesane, dowodzą niepospolitej staranności o sobie w tym człowieku tak do tego niepodobnym. Ale i ubiór wytworny, wykwinny sukniem i strojem, dowodzi tej niepojętej sprzeczności; strój jego nawet przesadzony, bo upstrzony łańcuszkami, lorynetką, guziczkami świecącemi, kilku pierścieniami bogatemi na palcach, rękawiczkami jasnymi, pachnącemi...

Na widok wchodzącego, nie ochłonął jeszcze Bolesław; miał w niego oczy wlepione i nie mógł jeszcze dojść ładu w rozhukanych myślach swoich. Nieznajomy rzucił spojrzenie przenikliwe na Bolesława i snać go zrozumiał, bo wyrzekł głosem nadzwyczaj dźwięcznym, głosem śpiewnym, w którym czasem tylko przebijało się syczenie, jakby gadziny, pochodzące zapewne z braku wielu zębów...

— Przepraszam, że tak późno przychodzę, i przerywam zapewne miłe jakie marzenie, jakimi są zazwyczaj wszystkie marzenia popołudniowe. Zatrzymał się chwilę, spodziewając się odpowiedzi, i przez ten czas, zgrabnym grzebykiem zaczesywał skąpe włosy resztki, by nieco pokryć łysinę, ale nie doczekawszy się, uśmiechnął się uśmiechem kobiety czterdziesto-dziewięć letniej i dodał, chowając do kamizelki grzebyk szylkretowy:

Jestem pana sąsiadem, ale dziś dopiero powróciwszy z podróży, bo ja bardzo lubię podróżować; to tak miło przenosić się z miejsca na miejsce, nie prawdaż? dowiedziałem się o nieszczęściu pańskim, a spostrzegłszy światło w jego oknach, przyszedłem.

— Bardzo wdzięczny jestem i miło mi, choć w tej późnej godzinie...

— A tak, rzekł z uprzejmym szatana uśmiechem, pół do drugiej wybiło jak szedłem do pana...

Dreszcz przejął Bolesława na to wspomnienie. Nieznajomy nie zdawał się tego spostrzegać, patrzył bowiem w tej chwili na zgrabny płaski zegarek złoty. Ja także nie lubię spać; sen, to strata czasu, który się trwoni daremnie na głupich zwyczajnie marzeniach sennych.

— Z kimże mam przyjemność mówić?..

— Ze znajomym! odpowiedział z uśmiechem aktora pewnego siebie, spoglądającego na publiczność, która już zapłacała.

— Ze znajomym!.. Nie wiem...

— Krótkiej jesteś pamięci, jednakże znamy się doskonale; dawno temu zapewne, ale powinienes sobie przypomnieć...

Spojrzał na niego Bolestaw z uwagą, i ciemne jakieś przypomnienie zagadało do niego, ale niebardzo zapewne wesołe, miarkując po zadrzeniu ust jego.

— Widzę żeś mnie poznał przecię! Jestem lekarz Szmytyan; znaliśmy się w młodości, nie wiele się zmieniłeś, i ja, prawda że nie postarzałem wiele?

Bolestaw nadto był jeszcze wzruszony a może i uderzony tém zdybaniem, które mu przypomniato dawne czasy pierwszej młodości, by mógł tę rozmowę zimną krwią prowadzić; nie zważając więc na rodzaj zapytania, rzekł: „Tyle zdarzeń, tyle nieszczęść przeżyłem odtąd, iż nie dziwnego...

— Zdarzenia!.. nieszczęścia! tragiczny zawsze jesteś, jak uważam. Ja przeciwnie, jestem za komedią życia i po prawdzie życie które ma mało tragiczności, to jest życie prawdziwe; życie marzeń jest zapewne płacziwe; marzący człowiek jestto płaczący pijak. Ja najzabawniejsze pędziłem życie, odkąd nie widzieliśmy się; życie bowiem lekarza jest pełne zdarzeń pociesznych. Od lat kilku osiadłem tu w tej okolicy, i posiadam dom na tej samėj ulicy, co daje mi zręczność odnowienia znajomości tak miłej, a jako lekarz, mogę mieć zawsze wstęp nawet do więzienia, dodał z uśmiechem.

— Tak; więznień jestem, więznień bez końca, lecz wkrótce spodziewam się.....

— Wolnym zostanie każdy, kto szczerze tego pragnie, rzekł lekarz, siadając wygodnie.

Aż spojrział na niego Bolesław, bo dziwny był wyraz tych słów, którym zdawał się odpowiadać na jego myśli. Nie uważał lekarz na zadziwienie Bolesława; sadowił się bowiem na krześle z widoczną chęcią dłuższego zabawienia i nie mało zatrudniał się wkładaniem cygara do cygarniczki. Zapalił go, i jednostajnie z upodobaniem wypuszczając kłęby, popatrzył dopiero na Bolesława. „Wolność, mówił dalej, jestto rzecz zapewne dobra, ale urojona w znaczeniu jakie jej dajemy. Niewola zaś, to najistotniejsza rzeczywistość! Wolnym być mało kto umie, niewolnikiem najczęściej z własnej woli staje się człowiek; niewolnikiem można być i jest się najczęściej, gdy się najwięcej marzy o wolności..... a niewola marzeń jest najokropniejsza. Nie prawdaż?

— Nie rozumiem tych rozróżnień? to wiem tylko, że jestem w najokropniejszej i najrzetelniejszej niewoli, bo w niewoli nieprzełamanych okoliczności. I nigdy przez tyloletnie życie, nigdy, żeby rok jeden, całą, wolną odetchnąć piersią...

— I całą, wolną użyć piersią, dodał z głośnym i rubasznym uśmiechem, nasz lekarz. Użyć, to najwyższe szczęście; przysposobić środek do używania, ze wszystkiego wyciągnąć użycie, to najwyższy rozum. Ty, mój Bolesławie, o ile cię znałem, nie miałeś tego rozumu nigdy; nie wiem jak daleko się w nim posunąłeś, ale miarkując po miejscu gdzie się znajdujemy, postarzałeś tylko o lata, ale nie o doświadczenie lat.

— Nie byłem i nie jestem szczęśliwy!....

— Nie byłeś, nie jesteś rozumny!....

— Na cóż mi teraz rozum, który wszystko pojąć zdoła; na cóż mi to czucie, którem, zdaje mi się, świat cały objąćbym potrafił, kiedy nie mam szczęścia? Czy wierzysz w to, doktorze, że są ludzie przeznaczeni na piętnowanie, na męki wieczne, pod przeklętą godziną urodzeni?

— Tak powiada miłość własna, ale wierz mojemu doświadczeniu, że przeznaczenie jest w ręku człowieka.

— Dlaczegoż, powiedz mi ty lekarzu ciała, dlaczegoż ja tego przeznaczenia żadnym staraniem mojem polepszyć nie mogę?

— Bo marzysz zamiast działać, bo niespokojne ruchy krwi bierzesz za uczucia istne, i gonisz bez końca gorączkowe niedoścignione mary... Jam ci to już dawniej powiedział; ja twoją przyszłość całą przepowiedziałem.

— Więc cierpienia, co tu bolą, rzekł Bolesław uderzając się mocno w piersi, co tu szczypią, są marzenia także?

— Najistotniejsze marzenia!

— Więc szczęście które się do mnie uśmiechało na to, by mnie porzucić na zawsze...

— Marzenia wyobraźni!....

— Więc te zarysy! Ale dlaczegoż mam napróżno słowa tracić? Ty mnie nie rozumiesz i nie znasz położenia mojego.

— W rzeczy samej nie znam go, i ciekawy jestem wiedzieć, co mogło ciebie do takiej rozpacz przy-

prowadzić; znając ciebie, musi to być pocieszne; ciekawy jestem.....

— Ciekawy! i ja mam święte moich uczuć tajemnice; rzucać na pastwę zimnej ciekawości... ja litości żądam... współzucia.....

Pierwszy raz od czasu zaczętej rozmowy, twarz lekarza przybrała wyraz powagi i surowości nawet. Litości i współzucia? żądasz zatem niepodobieństwa. Współzucie, mój Bolesławie, jestto ciekawość czułego probująca uśmiechu. Litość, jestto miłość własna, która się cieszy porównaniem cudzej niedoli z własnym szczęściem. I jakże możesz być szczęśliwym jeżeli wierzysz w spółuczucie i litość? I żądasz jej od lekarza który przez ciąg swego życia widział tysiączne ludzi męczarnie; męczarnie ciała, krzywienie się, męczarnie duszy, szalenstwo krzyczące. Tej twojej litości i współzucia szukaj między podobnymi sobie marzycielami, między kobietami które nawet czują litość nad własnym mężem wprowadzając kochanka przez okno, ale nie żądaj litości i współzucia od doświadczenia. Doświadczenie jest ciekawe tylko, zimno ciekawe. Doświadczenie nic nie czuje, nie lituje się, ale radzi. Z takim doświadczeniem jeżeli chcesz, będę cię słuchał. Śmiać się, ale szalenie śmiać mi się chce, że ty, od czasu jak cię poznałem, nic nie porozumiałeś. Toż życie, które przeżyłeś, przecież nie zdołało ani jednego nadać ci zdrowego wyobrażenia?... Ale zaczynaj! ja słucham, i wierz mi, że słucham ciekawie. To powiedziawszy, wyciągnął nogi, oparł się na krzesło w postawie słuchacza uważnego jakiej książki nowej, i spojrzął na Bolesława z uśmiechem profesora słuchającego uczniów.

— Dobrze więc (rzekł Bolesław po chwili, przez czas której, napróżno szukał na surowej twarzy lekarza jakiegokolwiek wyrazu czułości) dobrze, więc wyleję przed tobą całą gorycz mego serca, i wyrzucę z siebie tę trawiącą truciznę; czyż nie długo dosyć milczałem, nie długo dosyć te nieme ściany były jedynymi świadkami moich katuszy? Niech choć raz, ludzkie ucho usłyszy!..

— Muszę Ci zrobić uwagę, którą przyjm z ust doświadczenia, że dziś już nie dają przedmowy do powieści. A jeżeli chcesz mieć uważnego słuchacza we mnie, zastósuj się do tych już teraz uświęconych prawideł przez naszych wielkich gieniuszów, którzy dotąd wszystko do góry nogami przewrócili... nową budowlę czekamy dotąd...

Bolesław może i nie słyszał; cały bowiem zajęty myślami, które tłumnie się do głowy cisnęły, chciałby jak najprędzej wyrzucić je z siebie. — Już od urodzenia mego byłem przeznaczony...

— Na pamięć wszystkich romantyków zaklinam ciebie! Jako? chcesz zaczynać *ab ovo* staroświeckim sposobem, zaczynać od początku? Dziś, mój drogi, trzeba rześkim krokiem skoczyć w sam środek, rzucić kilka scen krwawych i nowym skokiem, ale skokiem olbrzymim, balonowym przelecieć do końca, chociażby do końca świata... Urwij znowu, powiedz kilka peryodów, w którychby słowa zdziwione ze zdybania swego dobrze razem z sobą nawalczyły, natłukły się, nawarzczały nawzajem i dopiero pokaż ciemno, mgliście i ponuro jakiś występek okropny, straszny, niepodobny. Zarodek wszystkiego złego, które się wykluło, węzeł Gordyjski całej powieści, którego nikt ro-

zumem nie rozwiąże, ani żadnem nie rozetnie usiłowaniem...

To będzie powieść warta słuchania! Daruj, że ci przerwałem, ale tak się przyzwyczaiłem do terażniejszych powieści, które mnie całego jak w móżdżerzu tłuką, iż nie mogę znieść tej Greckiej klasycyzności nudnie i jednostajnie pięknej. Sulie, to mi autor prawdziwie zabawny. Jaka cudowna galerya występów, artystyczny zbiór szkieleatów i najliczniejszy zbiór jaki znam, wszystkich okrucieństw moralnych i fizycznych; zazdroścę mu go jako lekarz.

Bolesław słuchał z uwagą, ale nie wiele pojał tej chwili, szukał bowiem nici przerwanej myśli swoich: szczególne tylko słowa uderzyły umysł jego. To te książki, mówił z zapałem, te książki skrzywiły przeznaczenie moje; te książki do których z żądzą wiedzy przywiązałem się, młody szaleniec, te mnie zgubiły; z nich czerpałem uczucia, które mnie zdradziły, w nich się marzyć nauczyłem, z nich wyciągnąłem jad, który mnie trawi; to niczem nie nasycone uczucie sępa Proteusza, który wnętrzości trawi moje. I darmo wyciągam ręce ku zimnemu i niememu światu, darmo wyrzucam płomienie mych natchnień lawą myśli moich; świat mi je odpłaca monetą lodu, błota i szyderstwa!.. O! przekłeta godzina, w której po pierwszy raz przycisnąłem usta moje do kielicha poezyi zaczarowanego i piłem, zapalenie młody, słodycz, piłem truciznę, życie moje całe przepiłem!... Czemu, starszych rady nie słuchając, jak mól nie wgrzyzłem się w prawnicze pandekta, w zbutwiałe zbutwiałyeh dziejów kroniki: byłbym z nich wyciągnął spokój, obojętność, znaczenie, złoto.

Złoto! złoto! powtórzył pan Szmytyan prawdziwym głosem tego złota brzęczącego w uszach zgłodniałego nędzarza.

Ja natomiast wyciągnąłem z tych trucizn wszystkich najstraszniejszą truciznę, myśl szaloną, dziką, złowrogą która całe życie moje krzywiła, moich i cudzych nieszczęść stała się przyczyną, myśl, która mi nawet psuła lube, urocze marzenia moje, jaskółczym gniazdem zeszcpeciła kolumny gmachów moich..... Słuchaj! było ich dwie siostr, ładne, czyste i niewinne: myśli ich: aniołów technienia; uczucia, jednej; obłok puchowej białości, żeglujący po czystym niebios przestworze, a drugiej: obłok zarumieniony pierwszym promieniem zorzy, miłość zwiastującej.... Życie ich spokojne, ciche dwóch strumyków wody na zielonej ustroni..... Nacóż je zdybałem? dlaczego błędne kroki moje przywiodły mnie w ciche domowe ich schronienie?... Długo łaskawsze przeznaczenie trzymało mnie w zbawiennem dla nich i dla mnie oddaleniu. A przeznaczeniem nieuchronnem pędzony, wplotłem się na wieki w losy ich życia, a za karę sam w dziwne zagmatwany sieci... I zamilkł na chwilę.

— Losy! przeznaczenia! zagadał pan Szmytyan z skromnym mecenasa uśmiechem. Mój Bolesławie, pisz powieści; niemało zyskasz sławy jako powieścio-pisarz; dziwną masz do tego zdatność. Przeznaczenie, to jest właśnie ta szczytna myśl która kieruje dzisiejszemi powieściami.

Pisz Bolesławie powieści, masz swoje doskonałe przeznaczenie; luń z tej chmury wiszącej nad tobą, deszczem rześzystych, różnobarwnych tomików na

te makowych główek pole, a zbierzesz złoto, i w Byronowskim płaszczu, bez chustki na szyi, wisieć będziesz za szkłem. Przeznaczenie, los, fatalność!...

— Więc to nie było przeznaczenie, które od kolebki, drobnymi odcieniami zdarzeń i cierpień wiążących się razem, wycisnęło niezatartem piętnem tę myśl i ciągłym nieszczęściem i odczarowań wszelkiego rodzaju jadem, póty karmiło ten potwór, póki nie zolbrzymiał w występki, nie przemówił zbrodnią, wiecznych cierpień nie zaryczał klątwą!... Jam był nieszczęśliwy od kolebki, dzieckiem jeszcze. Ale ja nie byłem dzieckiem, bo ja nie miałem matki!.... Zimny lekarzu ciała, czy ty wiesz coto nie mieć matki? czy ty wiesz coto nie mieć tej ręki pieszczotliwej, której czułe pogładzenie wyciąga myśli smutne z głowy, łzy radości z oczów, westchnienia piersi na ustach w uśmiech przemienienia? Czy wiesz coto nie mieć tych dwóch oczów matczynych które czuwają nad tobą we dnie i w nocy, z których leją się strumienie pociechy, pieszczot, łez i modlitw, a wszystkie dla ciebie; te gwiazdy które strzegą dziecka, błogostawiają młodzieńca, napominają, przewodniczą w ciemnej drodze wtenczas nawet, gdy już zagasną na wieki, bo ci pamiątką lat niewinnych, rad macierzyńskich świecą, bo się mimowolnie boisz by się nie przyćmiły żalem, lub wstydem, by się na wieki od niegodnego nie odwróciły? Matka, to jest najpierwsza i najmocniejsza wiara; pamięć matki wszystkie przeżyje pamiątki....

— To piękne marzenie, znacznie później uroiłeś sobie, to nie przyczyna, to pozór...

— Zimny niedowiarku! ja nie miałem matki?

O stokroć szczęśliwszy! gdybym jej był nie miał, jabym codziennie od jej grobu wracał lepszy; wiara w matkę byłaby stała za cnotę, ale ja miałem rodzicielkę na to, bym boleśniej czuł brak matki. Dla podłej rachuby wypędzony, wygnany w świat daleki, w świat obcy, w świat zimny, pozbawiony pieśczo-ty, zabaw, igraszek dziecinnych, miałem za to surową pilność, obojętną przezorność i suche nauki. Ojciec mój wziął z sobą do grobu wiek mój dziecinny! zimny widz choć serce tlało gwałtownie o młode pier- si, patrzeć musiałem na cudze matki, na cudze pie- szczoty i dziecko, zazdrości się nauczyłem... I żądny wynagrodzenia, biegłem radosny, napół dziecko na- pół młodzieniec, biegłem po długich latach w obję- cia matki... i zastałem tę samą okolicę, te same zna- jome ścieżki po gaju, lasy niebotyczne, woń ojczy- stą, harmonijną muzykę niw rodzinnych; ten sam dom stary drewniany i zastałem matkę nie dla mnie nie- stety! matkę dla liczного grona dzieci z drugiego małżeństwa....

Nie miękkie objęcie matki mnie zdybało, ale twar- de odepchnięcie kobiety, której wydałem się niepo- trzebny współdziedzicem lubych dziełek... O! cze- muż ojciec nie ległem w grobie twoim!.. mniejby mi może zimno było przy kościach twoich, niż w tym domu twoim, w którym nic mego nie było. Obraz twój gdzieś wyrzucony z domu, a grób gdzieś na innej ziemi, daleki.... i w dzień widziałem te pieśczo-ty, które mnie pierwotnemu, najprzód się należały; te pieśczo-ty różnorodne, któremi matka miękkiemu sercu dziecięcia nadaje cały kształt przyszły; widziałem te pieśczo-ty szcudrze rozdzielone między drugie dzie-

ci... dla nich był uśmiech, dla mnie skrzywienie; dla nich uścisk, dla mnie plagi; dla nich pieśczoły, dla mnie wymówki... Wymówki! jak gdyby matka, która wypchnęła dziecko z domu, miała prawo pytać o jego postęпки! Występek syna jest w takim razie zbrodnią matki!.... dla nich spojrzenia czułe, spojrzenia matki, spojrzenia jakimi Bóg patrzeć musiał na pierwszego człowieka w raju; dla mnie rzut oka gniewliwy, odpychający, rzut oka podzielony zarówno między domowników, stare meble, i mnie. Głos słodki, głos który wyrazem swoim błogostawi: dla nich; głos cierpki, głos który przeklina: dla mnie!... Troskliwość która ciepłemi otula szaty, szal z szyi zdejmuje by dziecię obwinąć: dla nich; zimna obojętność, która mroźném okiem spogląda na przetarte, wiatrem przeszte szaty: dla mnie. Dla nich powszedni dzień był niedzielą, niedziela dla mnie dniem powszednim. Zimny więc, patrzeć musiałem na najmilsze dziedzictwo moje szarpane przez nich.... na dziedzictwo uczuć macierzyńskich.... I ścisnęło się serce moje, skamieniała ława uczuć moich! te dzieci uściskać się bałem, by w tym uścisku... okropność!... ja się, dzieckiem jeszcze, nienawiści nauczyłem. Pierwszy kwas w mej duszy, na którym wyrosć miały złe myśli i chęci, to była pierwsza iskra złego, i nie brakło wyklętemu dziecku dmuchających namiętności... Ale odszedłem, porwany tym pierworodnym bólem moim, od opowiadania mego...

— I owszem, i owszem, rzekł Szmytyan z łaskawym uśmiechem; to właśnie lubię; z epizodów w epizody powinien autor gubić się bez końca; niech czytelnik lub słuchacz stara się o nić Aryadny zbawien-

ną. Skoki na złamanie karku: to rzecz gieniuszu wyższego! cierpliwość i pieniądze: rzecz publiczności. I owszem, powieść twoja mnie zajmuje. Już jest przeznaczenie, zazdrość, nienawiść; z tej trójcy spodziewam się pociesznego końca.

— I pocieszny będzie, ty zimny Anatomisto! pocieszny dla ciebie, którego przesyconemu życiu potrzeba elektryzującej zbrodni... Pocieszenie było gdy zdybałem te dwie siostry o których ci mówiłem..... Młodsza z nich Helena, była piękniejsza, jej piękność cała była w dużych, czarnych oczach z których prostota i niewinność patrzyły; czasem tylko wystrzelił z nich wyraz ciekawości, tego pierwszego uczucia z pomiędzy budzących się uczuć.

Starszej siostry Amelii oczy przemawiały stodyczą. Tamtęj wzrok więcej był ku ziemi a tęj ku niebu zwrócony. Tamtęj użycie i szczęście, jeżeli nie przesylenie, a tęj marzenie i cierpienia, jeżeli nie śmierć przedwczesna, zdały się być przeznaczone. Dziećmi je jeszcze widziałem! i dziećmi znałm się dobrze. Były obiedwie w równym wieku, chociaż rok cały je dzielił, bo młodsza była starszą o całą ciekawość życia, gdy starszą niewinne młodziły marzenia. Zdybać je dawno żądałem i dawno się bałem. Żądza zdybania była wyptywem złej myśli, bojaźń cnoty dziełem. Słaba we mnie cnota, bać się tylko umiałem... Długo wiek opiekuńczy tych dwóch istot trzymał mnie w oddaleniu od nich; narzeczcie zbiegiem okoliczności zbliżony, patrzałem na obiedwie oczami zimnemi, obojętnemi; oczami sędziego szukającego ofiary... bo ja tam przybyłem po ofiarę...

— Brawo! brawo! wykrzyknął pan Szymtyan z wesółym uśmiechem chirurga czekającego na trupa.

— I wahałem się; uczucia wszystkie milczały we mnie; ja byłem właśnie na sędziego bezlitościwego bardzo zdalny, bo przesycony życiem, znękanym życiem, a żądny innego; oddałem się bezwarunkowo tej jednej ciemnej myśli, w której wypełnieniu tuszyłem sobie znaleźć nowy, nieznany mi rodzaj powabu. Wahałem się... nie wahałem się nad czynem, nadto go bowiem dawno samotnym wypuściłem marzeniem, a przecież to wahanie było ostatniem schronieniem umierającej cnoty... ostatniem westchnieniem lepszego ducha... Młodsza, przez swe usposobienie rzeczywiste, była trudniejsza zdobycz; starsza przeciwnie prostotą, szczerością i czułością duszy, sama podawała się pod nóż ofiarniczy. Tam była walka, tu pewne zwycięstwo; obrałem walkę; może w nadziei przeczutej przegranej. I przegrałem, okropnie przegrałem. Przegrałem szczęście i przyszłość, przegrałem spokój, chociaż wygrałem zgubę jednej z tych dwóch ofiar niewinnych. Helena, jak mówiłem, była więcej rzeczywistą; nie wiem czy przez ciąg siedemnastu lat zamarzyła kiedy tem marzeniem błędnym, bezcelnym. A przecież ta Helena kochała w tej chwili, kochała innego i ją wybrałem; w niej wzbudzić miłość ku sobie postanowiłem.....

— Zawsze jeden, zawsze ten sam, słaby w złém równie jak w dobrém, i chciałeś być kiedy szczęśliwym!....

— Zrzuciłem tą razą słabość moją, która litością do mnie przemawiała, i jak pijawka wssałem się w życie Heleny. Kochała ona człowieka namiętnego, który przyzwyczajony walczyć trudności, goniec nie-wstrzymany za celem raz przedsięwziętym, uroił

sobie, że ją kocha dlatego, iż nudne jakieś stosunki rodzinne i majątkowe ich dzieliły... Helena obdarzona z natury uporem, tym narowem istot rzeczywistych, z dziecinnego jeszcze wieku wychodząc, odróżniwszy go od drugich otaczających ją mężczyzn, postanowiła sobie być jego żoną. Dzieliły ich: jego małżeństwo z drugą dla majątku spojone, i bliskie pokrewieństwo. Żona umarła; uwolniony z więzów, zaczął tym mocniej dobijać się o cel pożądaný. Helena z dziwną wytrwałością, mającą wszelkie miłości pozory, walczyła z mnogimi trudnościami. Oboje, ludzie rzeczywisci, walczyli namiętnie, o co? — o złudzenie! bo złudzeniem była ich miłość! W takim stanie zastałem Helenę. Słuchając jej zwierzeń miłosnych, jeszcze raz głos lepszy zagadał do mnie, lecz nadaremnie... Naprózno wstrzymuję, próżném opowiadaniem odwlekam, sam przed sobą kryję uczucie mnie ciągnące.... Ja nie kochałem... Ja się zemścić chciałem. Ta myśl dawna, ciemna, myśl złowroga, to była zemsta... długo karmiona zemsta...

— Brawo! teraz jeszcze zemsta! To kwartet doskonały: niech zagrają namiętności, to będzie pocieszna zapewne symfonia!..

— Tak jest, zemsta!.. Długo wykarmiona samotnymi myślami, natchnięta długoletnią rozpaczą, cierpieniami, zazdrością i nienawiścią wszystkich szczęśliwych, którzy się szczęściem swoim mnie uragać zdawali!.. O! cierpiałem ja wiele... cierpiałem długo... Byłem dobry dla drugich, byłem głupi. Siejąc dobrodziejstwa, zbierałem niewdzięczności...

— Bratku! chciało ci się lichwý! wdzięczność od ludzi wymagana, to lichwa!...

— Kochałem, sypałem skarby mych uczuć, mój wyobraźni; poświęcałem się bez miary, zdradzono mnie haniebnie, zdradzono dla niegodnego przedmiotu.

— A to strasznie nie nowe, to zwyczajna rzecz codzienna!....

— Wylany dla przyjaźni, uwierzyłem w to uczucie święte; życie byłbym oddał za przyjaciela; zostałem oszukany najobrzydliwiej dla pieniędzy; miałem przyjaciela młodego, poetę wiekiem i natchnieniem; przywiązałem się do niego ostatkiem sił moich, ostatkiem wiary, i ten opuścił mnie, opuścił nie wysłuchawszy; bez obrony, potępił przyjaciela dlatego, że go drudzy potępiali.

— Nic sprawiedliwszego! *vox populi vox Dei...*

— Próżno go o litość błagałem! o jedno słowo słodsze zebrałem, nie widział się, nie chciał się widzieć ze mną..... A przyczyny potępienia!.... o straszne pamiętki niesprawiedliwości ludzkiej, która nie mogąc czynem, zabija obmową!.. Ohydne plemie człowiecze, nie cierpiące żadnej wyższości! Obryzgany błotem, tarzany po ziemi! byłem, bom nie chciał żyć innych życiem, bo mi to życie ich nadto było suchem... Nie chcę mówić dalej o tym, wszystkiego doznałem, obojętności, pogardy, zdrady; plwania i odepchnięcia... I darmo próbowałem wszystkich uczuć; wszędzie odepchnięty, wszędzie! odczarowany, od wszystkiego co jest użyciem na tym świecie, dzieliło mnie złoto... Złoto było więcj warte, niżeli moje natchnienia. Za złotem pobiegli kochanka, towarzysze zabaw i nauk, za złotem przyjaciele.

— Za złotem walą się wszystkie uczucia; bo za złotem szczęście.

— Ale ja nie miałem złota... nie mam go, i dziś ginę w przedsionku rojonego [szczęścia, dla braku złota!....

— Mój drogi, to jedyna moneta która mieć może należyty obieg; nadto by wielkich trzeba worów na uczucia, marzenia z temi tysiącznemi odcieniami, których im dodaliście panowie marzyciele.

— Długo ta myśl brudna, zła, milczała; długo zarzucałem ją tysiącznemi innemi myślami marzeń i rzeczywistości; ja chciałem zdobyć sobie tylko ciche ustronie, spokojne zacisze... I w smutnej chwili, przeczuciwszy pamiątki i nadzieje moje, została się jedna pamiątka okropnej krzywdy i nadzieja zemsty, nadzieja nowego, pełnego uczucia. Zemsta była nowością dla mnie; a więc zemsta cała, pełna!...

— Zemsta jest zapewne wielkie, jest prawdziwe uczucie, ale nie ta twoja zemsta drobna, wyrozumowana, nie prawdziwa, której ofiarą miała być nieznaną dziewczica, mająca odpowiadać za cudze grzechy... Inna jest zemsta, zemsta która szerzej dotknie, zemsta pogardy, zemsta szyderstwa, zemsta niewiary. Te trzy trucizny złej do kupy, a będziesz miał akwę tofanę moralną, którą zarazisz daleko i szeroko, ospę zemsty zaszczepisz w przyszłe pokolenia. Takiej tobie zemsty potrzeba, do takiej dąż, ale nie uczuciem. Odrzuć to cacko głupie, kruche; odrzuć marzenia, igraszki słabych umysłów! W mocną woli broń, w tarczę obojętności uzbrój się strzałami szyderstwa, strzelaj zdaleka, sztyletem niewiary, zabijaj zblizka. Ha!

ha! ha! ty tego nie zrozumiesz nigdy! I cóż dalej zrobięś z tą całą zemstą twoją?

Słuchał Bolestaw tych słów lekarza z uwagą, i uczucie nieznanne mu dotąd, uczucie złośliwe, zbudziło się w nim. Milczał, jakby sam w sobie chciał rozważyć tylko co słyszane słowa. Nareszcie zagadał szybkim głosem, słowa urwanemi jakby się chciał pozbyć tej męczącej go powieści. Nastąpiły dla mnie dwa lata całe walk i męczarni bez liku. O! w tych dwóch latach zostało niemało sił moich, niemało życia. Wcisnąłem się w zaufanie Heleny, słuchałem jęj zwierzeń z cierpliwością, a co więcej ze współczuciem którego, do zbrodni nieprzyzwyczajony, jeszcze się nie pozbył. Uwierzyłem w jęj miłość, miłość taką, jaką ona w usposobieniu swoim czuć była w stanie. Dusza jęj drzymała; tę obudzić było postanowieniem mojem. Cóż ci będę rozpowiadał? Miałem tży dla jęj cierpień, miałem litość, miałem nareszcie wszystkie poświęcenia. Otoczyłem ją starannością bezprzykładną. Oddalona od kochanka, którego służba wojskowa w odległym trzymała miejscu, stałem się dla nięj duchem opiekuńczym, pocieszającym. Przedsięwziąłem kroki, by przyspieszyć ich złączenia. Nie żałowałem przejażdżek, pieniędzy; trwonilem i przetrwonilem skąpe moje zasoby majątkowe, by ją otoczyć temi pieścidłami które kobiety tak lubią. Myśli jęj zgadywałem, przeczuwałem potrzeby, nowe tworzyłem by ich zaspokojeniem wydobyc uśmiech wdzięczności, rozczulenia. Jak niewolnik do stóp jęj przykuty, codzien śledząc jęj poruszeń wszelkich, zastępowałem uczuciem mojem wszystkie uczucia kochanka, brata i matki.

I nigdy, nigdy ani słowa jęj nie powiedziałem o miłości; cierpienie tylko, które zresztą było istotne, cierpienie które jęj w mgłę tajemniczęj przedstawiałem, to tylko przemawiało czasem słowy namiętności, i wówczas malowałem z całym zapałem prawdy, szczęścia dzielonej miłości, pęzłem wyobraźni malowałem jęj najuroczniejsze dzieje uczuć. Obląłem ją powietrzem marzeń, mgłę złudzeń zwijając wkoło niej w fantastyczne różnych barw wieńce... I nie kłamałem już... Bo dziwne uczucie, uczucie prawdziwe zajęło miejsce udania. Ja jęj nie kochałem, czyli raczej ja ją kochałem, ale się nie kochałem w niej. Przeciwnie, widząc jęj nieraz poufalsze z kochankiem chwile, miałem raczej obrzydzenie niż miłość do jęj ciała, ale przywiązałem się do niej, przywiązałem się do własnego dzieła... Bo widziałem codzien, co chwila, jak się dusza natchniona tēm życiem nowēm, tēm życiem zaczarowanēm przezemnie, przemieniała coraz wyraźniej myślami, marzeniami, uczuciami, Zbudziłem tę duszę rzeczywistą, i wprowadziłem w kraje uroków. Oczy jęj nabrały wyrazistości uczuciowęj. Głos jęj zmięktł, rozczulił się, rozpieścił w tēm życiu, które jęj lubo przechodziło. Westchnienia wznoszące się w nieskończoność, nagięty głos jęj do dziwnej tkliwości. I zemsta moja dawno znikła przed tēm uczuciem; bo na Boga! ona mi była świętością... Pocałowań moich rzadkich, strzegł anioł niewinności. Uściski moje były tak czyste jak uściski matki; sam rozmarzony, nie patrzyłem w przyszłość; ja chciałem ją uszczęśliwić i umrzeć; w grobie złą myśl zagrzebać na zawsze, nieodkrytą..... niezrozumianą.... O! czemuż nie umarłem!....

— I poprowadziłeś ją do ołtarza z bukietem u guzika. Rozsądną dziewczynę oddałeś mężowi z rozbujałą wyobraźnią?.. Ależ to zemsta doskonała!...

— Poszła za męż; nie byłem na ślubie, bo już wtenczas kochałem się szalenie w Amelii. Raz tylko Helenę widziałem, ale smutniejszą niż zwykle; pożegnała mnie słowami... słowami których jej mowa dawniej nie miała; w oczach uszczęśliwionej kochanki, darmo szukałem radości. Rzuciła ostatni wzrok na mnie i na Amelkę, i dreszczem mnie przejął ten wzrok jej, ostatni zapewne na tej ziemi. Zazdrość Amelii nie dała mi jej pożegnać czulszemi nad zwyczajne, słowami...

— I sprawiedliwa zazdrość, bo ta Helena kochała ciebie, kochała pierwszą, prawdziwą miłością... Ale zemściłeś się lepiej niż myślałeś, chciałeś ciało skazić a zepsuć duszę.

— Ona miałaby mnie kochać! okropnie!... Ale okropne z tej myśli zawsze są owoce... Lecz nie!.. ona zapomni wnet w prozaicznem swém życiu na krótką poezyą; jak sen uoczy, przemknie czasem w jej pamiętce krótki epizod ten jej życia.... Złudzony, w tém jednem uczuciu z którego chciałem nową czerpać rozkosz, odrzuciłem zemstę... A przecież zemściłem się mimowolnie... Zemściłem się sprawiedliwie na sobie samym, i zemściłem się na najniewinniejszej istocie. Amelia, widząc cierpienia moje, anielską dobrocią pocieszała.... Nic tego rozpowiadać ci nie będę. Tego uczucia uszy twoje niegodne. Zapomniałem przeszłości, zapomniałem czem była, zapomniałem wszystko w uroczej, poświęcającej się miłości Amelii. Życ zapragnąłem, żyć pełnem uczuciem. Zim-

ny anatomisto! to uczucie o całe niebo wyższe od ciebie..... Kochałem!... kochałem i Kocham!.. ona mi oddała wszystko: pieszczoty matki, czucie kochanki, troskliwość przyjaciela; ona mi oddała wiarę dziecianną, którą dawno zgubiłem..... A ja za to wydarłem jej życie spokojne i przez nieubłaganego losu wyroki, oddałem na wygnanie wieczne.... I na próżno męczę się tutaj; czuję, że nic zrobić nie mogę, czuję bezsilność moją. O! zemściłem się strasznie sam na sobie!....

— Inaczej być nie mogło, gdyż tym niezwykłym dla swęj ręki zemsty sztyletem, póty wywijalesz po mgłach marzenia, pókiś sam siebie nie ugodził..... Mścij się, o mścij się, Bolestawie ale porzuć te karle myśli, dobre do powiastek zemsty, wyrośnij w olbrzyma, znajdź pewną stopę na rzeczywistość, odrzuć te błyskotki, które cię dotąd mamły; z niewolnika wyjdiesz na pana; jak się dotąd uginalesz, będziesz drugich ugiąć. Oddaj pogardę za pogardę; słuchaj mego doświadczenia; ty marzyłeś dotąd, bo nic innego robić nie byłeś w stanie. Ty sam siebie nie znasz, sam siebie łudziłeś. Ty używać chcesz, używać wszystkiego co świat dać może; kąpać się w użyciu rozkoszy, to jest jedno istotne twoje marzenie. Nie mogąc wykuć sobie takiego życia od rzeczywistości, szukasz szczęścia w marzeniach i trwonisz wiek na próżne, uczuciowe, bezcelne życie. Ty złota pragniesz, a bawisz się szychem. Twoje miejsce w wielkiem mieście; tam marz pomiędzy półgłówkami, rzucaj im okruszyny twojej wyobraźni a sam naprzód ruszaj; trącaj śmiało; ty możesz się przepchać, bo pójścia już są rozprzestrzenio-

ne, już pojąłeś zemstę. Mścij się Bolesławie! i śmieję się jak się śmieję.....

— Ja kocham Amelkę, i bez niej żyć nie chcę.....

— Kobieta, żona, kochanka, to za ciężki pakunek na drogę; precz z tym niepotrzebnym towarem..... cóż chcesz więcej? żyłeś już tęp życiem uczuciowem, kochałeś, byłeś kochany, i los na który niesprawiedliwie wrzeszczysz, najlepszą zrobił ci przysługę rozrywając ten niepożyteczny związek. Powieść ta uczuciowa już skończona; wierz mi! przeszłość się wrócić nie może taką, jaką była, i jakkolwiekbyś chciał przywiązać tę urwaną nitkę do dalszej tkaniny żywota twego, dzisiaj nie będzie wczoraj.

— I ona ma zostać z żalem wiecznym w sercu, z życiem skrzywionem nazawsze?....

— Tak!.. rzekł lekarz i mocny kłęb dymu wypuścił. Chciałeś się zemścić, zemściłeś się; z nią rzecz skończona, z jedną jak z drugą.. Tamta przypomni sobie nauki twoje romantyczne i zapewne nie znajdzie czułych marzeń w małżeństwie a więc ich szukać będzie za małżeńskim łóżem..... a ta..... ma jeszcze małżeństwo, klasztor, nareszcie poetyczne suchoty... Wierz mi; powieść twoja rzeczywista skończona najdoskonalej dla ciebie a to rzecz główna; powieść wymarzona skończona najartystyczniej; w jednej jak w drugiej muszą być ofiary, trupy i groby. Małżeństwo kończące czterotomową powieść, wyszło z mody; dziś małżeństwo jest pierwszym rozdziałem powieści, nadto bowiem namnożyło się niewiary małżeńskiej... Zapomniałeś podobno powiedzieć mi o powodzie tej zemsty nad temi właśnie dwiema sio-

strami, dodał po chwili milczenia z uśmiechem Judasza w oliwnym ogrodzie.

— Powód!... powód!... ten niech zostanie tajemnicą, tajemnicą na wieki!...

— Tajemnicą?... tajemnicą!... teraz już powieść doskonała! Czytelnicy, macie tajemnicę za pieniądze wasze.... dobranoc... ha! ha! ha!.. I wcisnął oczy przenikliwie w Bolesława, aż ten zadrżał... Zresztą, znam nieco okoliczności rodzinne twojej Amelii....

— Znasz je! wykrzyknął drżący Bolesław...

— A znam... cóż w tym dziwnego?... Nie tak ci łatwo przyjdzie wyrwać ją z rąk ich. A nie warto; cięła wszędzie dostaniesz a o duszę nie pytaj, abys nie był oszukany.... Bo prawda nie mieści się nigdzie, nawet w powierzeniu poufałym dziejów własnych przed dobrze życzącym.... Nie prawdaż drogi Bolesławie? Ale świtać zaczyna! to czas mego spoczynku; słodko mi się spać będzie po takiej powieści. Przynależę ci ciekawość moję wynadgrodzić radami; dałem ci ich bez miary; ostatnia: podziękuj losowi który cię cudem uwolnił i jedź z lubej ojczyzny za granicę w dalekie strony; tam prorokiem zostaniesz!,... Za granicę! w świat! tam używanie, rozkosz ciała śpiewać ci będzie szatanem Majerbera w wielkiej operze; tam rozkosz duszy płynie bałwanami coraz nowych ksiąg, zdarzeń i ludzi, rozkosz najwyższa bałwanami złota. Lubisz pisać podobno, puszczaj z tamąd mściwe strzały ku swęj ziemi. Nie pisz jednakże powieści, bo wpadniesz w dawny narów marzeń próżnych, raczej rzucaj w świat czyny powieściowe, niech je drudzy zbierają na godne tego wieku, okropne powieści.

— Za granicę! w świat! to marzenie lat moich dzieciennych, żądza pierwszych lat młodzieńczych, daremna! daremna niestety!...

— Nie ma ratunku dla mnie; wyrzekł Bolesław; pełzałem w prochu, i w prochu zginę...

— Doświadczenie, mój Bolesławie, daje i ratunek czasem. Ja odegrałem dziś tę rolę przed tobą, który jednakże, w tym wieku, przy włosach które, jeżeli mnie oczy nie mylą, i siwieć i rzadzić zaczynają, od własnego doświadczenia ratunku wzywać powinienś. Rady dałem... ratunku nie szczędzę: dwojaki jesteś, bo dwojakie masz życie: życie marzeń i życie rzeczywistości. Pierwsze przybrałeś sobie, w drugim żyjesz istotnie. Dam ci dwa ratunki na obydwa życia twoje. Tu masz... i rzucił na stołek małą podługowatą flaszeczkę z płynem kryształowej białości, pomoc lekarską: sąto krople długiego i spokojnego snu. A tu masz... i wyjął powolnie z zana-drza spory zwit papierów bankowych, tu masz pieniądze!...

— Mimowolnie zaiskrzyły się oczy Bolesława, a wzrok lekarza spoczął na nim przeciągły, pogardliwy, i uśmiech przerwał milczenie, uśmiech szatana: wszystkie odcienia szyderstwa odbiły się w nim. Jaki wybór zrobisz, mnie nie tajno; znam cię i znałem dawniej; ty śmiercią marzenia nie umrzesz, ty umrzesz, śmiercią rzeczywistością! o śmierci marzyłeś a wołałeś szatana użycia... To są dzieje twoje!.. Wybieraj sobie coć się podoba, dary moje zostawiam obydwa.

Bolesław chciał coś przemówić. Nie mów daremnie, rzekł lekarz przybierając wyraz zimnego, obojętnego szyderstwa; wdzięczności i podziękowania

nie potrzebuję, równie jak w nic nie wierzę i wołę niewdzięczność; jest szczerza! naturalniejsza i więcęj odpowiednia powołaniu mojemu... Bądź zdrow!... wierzaj radom moim i powołaniu, w którym położyłeś już zasługi... zasługi, których nie zatrzesz wiekiem pokuty... Zemścij się na mnie niewdzięcznością, ale wiedz o tém żeś się śmiał od początku z siebie i śmiać się będę do końca. Ha! ha! ha!...

I zapaliwszy nowe sygare, odszedł ku drzwiom, stanął koło nich jakby coś sobie przypomniał, i wróciwszy do stolika, rzekł:

— Jeszcze jedno: niedawnemi czasy byłem powołany do chorego. Dziwnyto był pacjent, chorował na loteryę... na wszystkie w świecie stawiając loterye, stracił majątek. Oddany téj loteryomanii, od jednego ciągnięcia do drugiego zostawał w stanie epileptycznym. Plany i abrysy wszystkich loteryj, leżały przed nim. Z zbliżającym się dniem ciągnięcia, żył trzy dni przedtem: nadzieją najrozpustniejszą, trzy dni potem: rozpaczą najgłupszą. Uległ nareszcie téj słabości w sam czas; bo kiedyś zostałem do niego powołany na to, aby widzieć ostatnie ciągnięcie loteryi jego życia, nic w świecie nie posiadał prócz najliczniejszego zbioru biletów loteryjnych z całego świata, i oczewiście wszystkich przegranych. Na samym wierzchu téj kolekcji, którą mi darował w nagrodę za parę granów pisma jakiem go obdarzyłem na pożegnanie, leżał bilet loteryjny jeszcze niewyciągnięty, za ostatniego dukata kupiony. Czas ciągnięcia w przyszłym miesiącu. Nie lubię uczucia loteryjnego; jestto żart z siebie samego robiony, marzenie dosyć głupie i dosyć nudne. Oddaję ci go

z życzeniem, by było ostatniem twojem marzeniem. A teraz, do widzenia się!..

— Do widzenia się? zadziwionym, pytającym prawie odpowiedział głosem Bolesław.

— A jużciż do widzenia! Może pomyślisz kiedy o oddaniu długu.

I wyszedł lekarz.

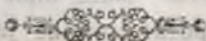
Bolesław został zamysłony, nie wiedział podobno czy snem czy jawem przeszły mu minione chwile, lecz flaszczyka i spora ilość banknotów nadto go przekonywały o rzeczywistości. Resztę nocy i większą część dnia, przepędził Bolesław na myślach obszernych i stanowczych... Trzeciego dnia nadszedł paszport, i Bolesław odjechał, schowawszy dar pieniężny lekarza, który znalazł się znaczniejszym nad spodziewanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Koniec.

Leciał pocztowemi końmi Bolesław, i przeminął dom gościnny na drodze stojący, do którego według zwyczaju Polskiego, zajechała jakaś rodzina licznym taborem na nocleg. W oknie napół otwartem, od jesienno-wiatru poruszanem patrzyła Amelia, bladocięciem cierpienia niepojętych pokryta, na lecącego Bolesława. Milcząc patrzyła za nim; uczucie błogostawiające życzeniem wysłała za nim; modlitwę dziękczynną wysłała do Boga za tę ostatnią pociechę. Bolesław nie widział jęj, bo oczy jego naprzód wydane, na bok ani za siebie nie spoglądają.... Amelia pojechała na północ, Bolesław na południe.

J. Dzierzkowski.



Quis SOCIUS UNIUS REI także tylko IN ID QUOD
FACERE POTEST skazany być może?

(Wyjątek z większej rozprawy: o spółkach, podług prawa Rzymskiego).



Już za czasów klasycznych prawników przyjętém było powszechnie w Rzymskiej praktyce prawidło: iż pewnym, szczególniejszemi przymiotami obdarzonym osobom, jeżeli były na zapłacenie skazane, wolno było tyle przy sobie zachować, ile im do własnego utrzymania było potrzebném, to jest że *tyle tylko* zapłacić były obowiązane, ile się bez pogorszenia swego położenia uścić były w stanie (*quantum facere potuerunt*), czyli, jak nowsi prawnicy niezręcznóm i nie Rzymskiém wyrażeniem nazywają, miały *beneficium competentiae*. Przechodząc liczbę osób prawo do powyższego dobrodziejstwa mających, spostrzedz łatwo, iż łagodna praktyka cały przepis na dwóch głównych opiera zasadach: na miłości i szacunku. I tak patronowie (w znaczeniu Rzymskiém), krewni, donatorowie, i t. d. z powyższego dobrodziejstwa korzystać mogli. *Socius* także miał prawo do niego, gdyż Rzymianie spółkę zawsze jako pewien rodzaj

braterstwa uważali. Czy zaś to *beneficium* tylko spółnikowi *omnium bonorum*, czy też także spółnikowi *unius rei* służy, co do tego zdają się prawa sobie sprzeciwiać.

Ulpianus libro 31, ad Edictum. L. 63 pr. D. pro socio (17.2).

Verum est, quod Sabino videtur etiam si non universorum socii sint, sed unius rei, attamen in id, quod facere possunt, quodve dolo malo fecerint, quo minus possint, condemnari oportere: hoc enim summam rationem habet, cum societas jus quodammodo fraternitatis in se habeat.

Ulpianus libro 63, ad Edictum. L. 16 D. de re iudicata (42.1).

Sunt qui in id quod facere possunt, conveniuntur, id est non deducto aere alieno. Et quidem sunt hi fere qui pro socio conveniuntur. Socium autem omnium bonorum accipiendum est. Item parens.

Wychodząc w ogólności z wyżej podanego stanowiska miłości i szacunku, *beneficium competentiae* jedynie spółnikowi *omnium bonorum* przyznaćby można: gdyż ten tylko kto z nami dzieli wszystko co mamy, co zarobić lub stracić możemy, zawiązuje osobiste, bratnie stowarzyszenie. Przyczyna ta skłoniła też niektórych znakomitych nowych prawników, z odrzuceniem pierwszego, zupełnie wyraźnego fragmentu, dać pierwszeństwo drugiemu, w wyrażeniu prawie niezrozumiałem. (1) Wyrazy jednakże L. 63 *cit.* co do

(1) *Cujacius* in *Julio Paulo* lib. 37, ad Edictum ad leg. 67, *Thibaut* System des Pandectenrechts, § 107, § 182, *von Savigny* w niedrukowanych dotąd Pandektach.

praktycznych skutków żadnej, zdają się w sobie nie zawierać wątpliwości. *Ulpian* obszernie i w całej zupełności potwierdza zdanie *Sabina*, który *beneficium competentiae* i spółnikowi *unius rei* udziela, tak że zdaje się, iż Rzymianom, jak często podobne mamy przykłady, nie tak o skutki stowarzyszenia, jak raczej o byt i nazwisko spółki chodziło. Prawo natomiast L. 16 *de re jud.* przeciwnego dowodu stanowić nie może, gdyż wyrażenie w niém jest za nadto zwięzłe, myśl zaś niedość wyraźną i zrozumiałą. Idzie zatem tylko tu o to, jakimby sposobem, bez względu na rezultat praktyczny, oba prawa co do wyrażenia, do zgodnej doprowadzić było można jedności.

Krytycy i komentatorowie oddawna pracowali nad pogodzeniem dwóch powyżej przytoczonych przepisów, a zwolennicy poprawek grammatycznych nie omieszkali i tu zastosować zwykłą dodatnią i ujemną krytykę.

I tak, kiedy *Noodt* (2) na wzór *Glossy*, niepostrzeżenie dodaje wyraz *maxime* w L. 63 *pro socio*, *Freber* (3) w L. 16 *cit.* zamiast *socium autem omnium* czyta *socium etiam non omnium*, a *Caneegieter* (4) zamiast *omnium bonorum*, ma *omnem bonorum*, z kąd powstaje wyrażenie nie Rzymskie: *omnem bonorum socium*, które tyle prawie ma znaczyć co każdy *socius*, czy nim jest *ratione omnium bonorum*, czy też *unius rei*. Komu podobna dowolność do smaku przypada,

(2) *Noodt*, *Comm. ad. Dig.* p. 385.

(3) *Otto*, *Thesaur.* Tom I. p. 643.

(4) *Observ. jur. Rom.* I. 3 cap. 14.

może to lub owo zdanie dzielić, a nawet nowe utworzyć nietrudno, chęci tylko potrzeba.

O ile zaś przez interpretacją trudność rozwiązać się starano, obszerny tego wykład znajduje się w dziele *Glücka* (5), który chociaż słusznie odrzuca zdanie wielu, chcących tak rozróżniać „iż spółnikowi *omnium bonorum* zawsze służy *beneficium competentiae*, spółnikowi zaś *unius rei*, wtedy tylko, gdy *pro socio* jest skarżonym“ (fałszywość bowiem tego twierdzenia w tém już się okazuje, iż prawo w ogólności jedynie stósunki spółkę stanowiące, za zasadę całego dobrodziejstwa uważa), z drugiej jednakże strony sądzi z drugimi równie błędnie iż L. 16 *cit.* uzupełnić należy z L. 63 *cit.* Tak bowiem przy każdej antynomii w *Corpus juris* zawartej, postąpićby było można; w tym zaś przypadku, w żaden sposób zastosować się to nie da, gdyż oba przepisy z Ulpiana, i to z tego samego dzieła o Edykcie, są wyjęte. Przepis nadto, który objaśnieniu ulega i uzupełnionym być winien, właśnie jest późniejszym, gdyż znajduje się w księdze 63 *ad Edictum*, Lex zaś 63 *cit.* w księdze 31. Przywodzi wprawdzie *Glück* i inni „iż pretor udzielił *beneficium competentiae* jedynie spółnikowi *omnium bonorum*, Ulpian zaś zgodnie z Sabinem, dobrodziejstwo to dalej rozciągnął, i że pierwszy przepis L. 16 *cit.* drugi L. 63. *cit.* zawiera“ zdanie to jednakże niczem nie udowodnione, równie jest błędnem jak mniemanie iż dzieła *Ulpiana* i *Paula* raczej objaśnienie Edyktu, aniżeli przedstawienie praktyki Rzymskiej podług porządku w Edykcie przyjętego, stanowią.

(5) *Glück* Tom 17. §. 967. p. 43.

Dziwném jest również zdanie, które *Pacius* (6) przywodzi, a które tak jest szczególném iż je tu przytoczyć wypada. „*Hoc beneficium simpliciter et absolute competit ei soli, qui socius est omnium bonorum: ei vero qui socius est unius rei in ea tantum re conceditur in qua est socius.*“ Co znaczy innemi słowy: „iż ubóstwo nie jest osobistym lecz rzeczowym stósunkiem“ lub téż: „że można być bogatym, a jednakże żądać uwolnić od zapłaty pojedynczego długu w pewnej ilości, dlatego że potrzeba zachować pewien fundusz na własne utrzymanie.“

Następujące objaśnienie, z którym zgadza się zdanie *Gansa* (7), chociaż zapewne niedostateczne, może naprowadzi kogokolwiek na bardziej uzasadnionych dowodach do szczęśliwszego rozwiązania trudności.

Wyrazy obudwu fragmentów nie są wcale sobie przeciwne; panuje w nich raczej jeden i tenże sam porządek myśli. W słowach *Ulpiana* w L. 63 *cit.* wyraźnie leży, że oddawna już przyjętem było w praktyce prawidło, „iż *socius omnium bonorum* może być tylko *in id quod facere potest* skazanym.“ Rozszerzenie przepisu tego przez *Sabina* (*etiam si non universorum bonorum socii sint*) było nieznaném, jeszcze nie zaprowadzoném, i to właśnie chciał *Ulpian* ażeby było powszechnie przyjętem, dodając: iż *fraternitas* nie leży tak w połączeniu całego majątku, jak raczej w pojęciu *spólki*.

Przechodząc do uważania L. 16 *cit.* można znaleźć ten sam porządek myśli. *Ulpian* mówi tu: iż są oso-

(6) *Euantiophanon*, cent, 4. qu. 100.

(7) *Eduard Gans* vermischte Schriften. Tom I p. 205.

by, którym służy *beneficium competentiae* i dzieli je na dwie wielkie klasy: *socius* i *parens*. Przy pierwszym przypomina sobie, iż dotąd dobrodziejstwo to udzielano tylko spółnikowi *omnium bonorum*, dla powtórzenia zatem i utwierdzenia swego zdania dodaje: iż wszelki *socius* na równi ze spółnikiem *omnium bonorum* uważanym być winien, co jest w tych słowach zawartem: *socium autem omnium bonorum accipiendum est*. Przyznać wprawdzie należy, iż w tém rozumieniu wyrażenie 2go fragmentu nie jest zupełnie Rzymskie, i cokolwiek niezrozumiałe; lecz zarzut ten ciąży zarówno wyrażenie powyższe, jeżeli antynomią przepuścić chcemy; a skoro Ulpian w *każdym razie* niezrozumiałe się wyraził, dlaczegóż miałby jeszcze koniecznie w wykładzie swym być niesystematycznym i niekonsekwentnym?

Dr. Karól Bachman.



ROZMAIŃCI.

DAWNE OBRZĘDY POGRZEBOWE

WÓDZÓW POLSKICH.

Zwyczaj, obrzędy i wspaniałość, z jakimi wódzowie Polscy byli chowani, oraz szczegóły dotyczące się takowych obchodów pogrzebowych, mało są nam znane. Franciszek Bohomolec, ogłaszając drukiem rękopism Stan. Orzechowskiego pod tytułem: *żywoć i śmierć Jana Tarnowskiego kasztel. Krak., hetm. W. K.*, podał do wiadomości naszej pierwszy ślad o obrzędzie rycersko-religijnym, przy pochowaniu zwłok wzmiankowanego hetmana w Tarnowie 1561 r. Lecz w tym opisie, niedostateczne, w krótkich wyrazach, a dla naszych czasów już niejasne i niezrozumiałe, skreślone są szczegóły. Mówi bowiem Orzechowski: »po kazaniu u ołtarza podawano znaki, tak rycerskie, jako i chrześcijańskie tego pana umarłego. P. Wojnicki (Jan Krzysztof kaszt. Wojnicki) syn jego, niósłszyczyt (puklerz) świecami oblepiony; p. wda Sandom. synowiec, niósł kapalin (szyszak) świecami oblepiony, p. Jan Rzewuski niósł miecz świecami oblepiony; p. Jan Sieniawski wojewodzie Ruski herbownych panów z Tarnowa niósł i łamał drzewo (g i e n e a l o g i c z n e). Potem Brzostowski kirysznik z konia spadł z srogim i ogromnym trzaskiem.« Objaśnia wprawdzie autor, iż zapalona świeca oznaczała świecę, którą nieboszczyk otrzymawszy na chrzcie z rąk kapłańskich, nie zgasił niewiarą, ani kacerstwem; że cała zbroja służyła za dowód, jako w rycerskim stanie był dobrym a cnotliwym rycerzem; nakoniec: że drzewa, (kopii, dzidy) zbroi, szczytu (puklerza), konia swego przeciwko nieprzyjacielowi wiernie a mężnie używał.

Oto wszystko, co o pogrzebie tego wojownika wyczerpnąć się dało. Czy autorowie z upłynionych wieków zostawili nam w podobnym przedmiocie opisy, nie jest mi wiadomem: na dowód zaś, iż takowego rodzaju obrzędy istniały aż do końca panowania Augusta III, załączam poniżej dwa opisy pogrzebowe, które wyjąłem z ówczesnych pism czasowych. Zawierając one więcej szczegółów, dokładniejszy tem samem skreślają obraz uczczenia pamięci znakomitych w zawodzie wojskowym mężów, i oddania im ostatniej posługi. Nadmienić mi pozostaje, iż nietylko podczas pogrzebu hetmanów, ale i przy złożeniu zwłok innych stopni wojskowych, zachowywane były, lubo z mniejszą okazałością, też same obrzędy. I tak: gdy Jan Chryzostom Gniazdowski, sławny śmiałością i odwagą regimentarz konfeder. Tarnogrodzkiej, mianowany następnie od Augusta II pułkownikiem chorągwi pancernej, zmarł 1732 r., donosząc o jego zejściu kurjer polski, wyraża: „pochowany we Wrześni o mil 5 od Poznania, gdzie inter caetera, i kopie kruszono.“

Wzmiankowane powyżej opisy, lubo treściwie zebrane, z zatrzymaniem wszakże najwierniejszego wysłowienia, brzmią w następujący sposób:

1. „*Relacya pogrzebu JW. Denhoffa wdy Potockiego, hetmana polnego Litewskiego*“ (1)

„Ten akt tragiczny w kościele x. x. Missyonarzów w Warszawie odprawił się die 6 februarii A. D. 1730. Po rogach trunny insignia hetmańskie na wezglowiach, jakoto: buława, buńczuk, zbroja, szabla, tarcza, koncerz (2), pancerz, na środku order orla b. i czapka leżały. X. Załuski referendarz K., trzechgodzinnem ultra kazaniem fa-

(1) Stanisław hr. Dönhoff, w czasie najścia Szwedów, pozostał wiernym Augustowi II, i z całym zapałem poświęcił się sprawie swego monarchy. Będąc łowczym Lit. obrany został 1704 r. marszałkiem konfed. Sandom. obstarując przy utrzymaniu Augusta na tronie. Z Zofii ostatniej z Sienawskiej, nie zostawiwszy potomstwa, zmarł w Gdańsku d. 2 sierpnia 1728 r.

(2) Miecz prosty i szeroki, do kulbaki przywiązany, pod lewem udem leżący. L i u d e.

cundissimo ore, nabożenstwo terminował. Dopiero od chorągwi Petyhorskiej (3) JP. Skirmont, na koniu; do kościoła wjechawszy, rzucił strzałę pod katafalk. Po nim JP. Mejsztowicz dzidę o tenże katafalk z konia skruszył. JP. Wszyński towarzysz tegoż znaku, szabłą w szyszak ciąwszy pod feretrum, a JP. Rdułtowski towarzysz husarski, buńczuk rzucił (4). JP. Jelski chorąży Petyhorski kopią o katafalk skruszył i z konia się zwałił. JP. Wollowicz chor. husarski chorągiew, a JP. Zenowicz pułkownik buławę na katafalk rzucił i z konia się zwałił. Officyerowie autoramentu cudzoziemskiego od gwardyi Litewskiej, (5) tym porządkiem successerunt. JP. Konrady major, pikę z florą z konia skruszył. Po nim dwóch chorążych chorągwie z florami pod katafalk rzuciło, i razem z majorem z kościoła wyjechali. JP. major Pakosz, szpadę o katafalk skruszywszy, rzucił i dwóch chorążych od rajtaryi i dragonii sztandary rzuciwszy, razem powrócili. JP. pułkownik Krasiński, członek Ciechanowski, z konia regiment cudzoziemski na feretrum rzucił. Podczas rzucania tychże insigniorum, piechota w bębny przy hobojach, a konni w kotły przy trąbach bili. Po wszystkich tych transakcyach, które do godziny 4 po południu trwały, kondolencye tym porządkiem agebantur. Od JKmci, xiążę Jmc podkanclerzy W. X. L. (Mich. Czartoryski) indolebat eloquentissimo sermone. Od senatu JP. podskarbi W. K. (Fran. Maxy. Ossoliński), od wojska kor. JP. podczaszy. kor. od wojska Litew. JP. pułkownik Strutyński ssta Wilkomirski dolore super fata praesentabant. Dziękował zaś Ichmościom, i na chleb

(3) Chorągiew Petyhorska to samo znaczyła, co w wojsku koronnym pancerna.

(4) Włósy długie końskie, na drzewcu zawieszane, służące zamiast chorągwi.

(5) Wojsko dzieliło się na zaciąg, czyli autorament Polski i cudzoziemski: pierwszy zażywał stroju i siedzeń na konie, Polskich; drugi składał się z piechoty, artylleryi i jazdy urządzonych na wzór zagraniczny: żołnierz był lepiej wyćwiczony, officierowie, a zwłaszcza dowódcy, po większej części cudzoziemcy.

załobny zapraszał JMP. podstoli W. X. L. Expost rozdawano panegiryki, jeden od JP. Ponińskiego ssty Nowomiejskiego, a dwa od x.x. Scholarum Piarum. Apparen-cye kościoła ab·intra, trudno dostatecznie opisać. Naza-jutrz eodem apparatusu exequie były; xięży po taleru, a kanonikom po czer. zł. dawano»

2. *Pogrzeb ks. Mich. Kazim. Radziwiłła wdy Wileńs. hetm. W. L. w dniach 14, 15, 16, 17 i 18 maja 1763 r. w Nieświeżu u Jezuitów.* (6)

»D. 16 maja. Przy trumnie stało 8 towarzystwa ussar-skich uzbrojonych. Po skończonej summie miał kazanie naj-wyższych pochwał godne J. M. X. Wodziński bis. Smoleński. Potym sollenizujący J. M. X. Tomasz Zienkowicz suffr. Białoruski, bis. Areopolitański odprawił kondukt, po którym nastąpiła ceremonia pogrzebem hetmańskim z dawnych zwyczajów przywoita. Przy odgłosie trąb i kotłów wbiegszy na koniu dzielnym p. Szwykowski stanowniczy wojsk W. X. L., o tarczę przy trumnie stojącą, skruszył kopią, którego spada-jącego z konia 4 paików przyjęli, a dwóch konia jego wy-prowadzili z kościoła. Po nim P. Możejko towarzysz ussar-ski wbiegszy, rzucił pod trumnę szablę i z kościoła wyjechał. Po nim p. Szwykowski buńczuczny wbiegszy, rzucił pod trumnę buńczuk. Równym sposobem i porządkiem na dziel-nych koniach bogato przybranych wbiegając do kościoła rzucali: buzdygan (7) JP. Brzostowski ssta Bystrzycki puł-kow. Petyhorski; buławę p. Pac pisarz W. L., pułkow. ussar-ski, którego z konia spadającego 6 towarzystwa zbrojnych przyjęli, a pajucy konia wyprowadzili. Po oddanej ostatniej usłudze przez autorament Polski, czynił swoją autorament cudzoziemski. Wszedszy najpierwej P. Knabnoft obersztlej-tnant regimentu pieszego buławy wielkiej W. X. L., kruszył o tarczę przy trumnie stojącą swój szponton. Po nim 2 ka-pitanów równie kruszyli szpontony, a za nimi 2 chorążych

(6) Zmarł w Wilnie, d. 22 maja 1762 r.

(7) Rodzaj buławy, lecz innego kształtu i nietyle ozdoby; znak dowódcy roty czyli rotmistrza, a nawet porucznika.

z rozwinionemi chorągwiami, rzucili one pod trumnę. Od regimentu konnego wbiegszy na koniu P. Haudryng oberstlejtnant, rzucił pod trumnę szpadę, i gdy wyjechał, dwóch majorów: P. Radowicki i Jabłoński wbiegszy do kościoła, rzucili sztandary pod trumnę. Zamykał ceremonie p. Peter-son pułkownik przez rzucenie regimenciku (8). Zaczęły się dopiero mowy, pożegnania najzupelniejsze; od N. króla p. kaszt. Zmuydzki (Józef Pac), od senatu p. kaszt. Połocki (Adam Brzostowski), od trybunału p. Chomiński pisarz tryb., od wojska ks. Albrycht Radziwiłł ssta Reczycki, pułkow. ussar. znaku N. królewica Fryderyka; od wtwa Wileńskiego P. Tyzenhauz chorąży i pułkownik wtwa. Po której skończonej wymowy i słów wyboru, p. Stanisław Rzewusk; chorąży W. X. L. od familii dziękując, powszechnym zwyczajem na chleb żałobny zaprosił«

Ostatnio był pogrzeb z podobnemi odprawiony ceremoniami; za Stan. Augusta bowiem rządów, najmniejszej nie znalazłem o takowych obrzędach wzmianki w gazetach, które troskliwie opisywały wszelkie tym podobne uroczyste obchody w kraju.

Tymoteusz Lipiński.

Mateusz Cygański pisarz dzieła: „Myślistwo ptasze:“

W dzienniku pod tyt. Revue zoologique, wydawanym w Paryżu przez Towarzystwo Kiuwierańskie, i mającym na celu postęp zoologii; w poszycie z października 1842 na str. 317, umieszczony jest rozbiór polskiego dzieła: *Myślistwo ptasze z komentarzem Ant: Wagi*, w którym, między innemi, powiedziano co następuje: „Ce qui est le plus important à l'égard de l'histoire de la science, c'est que l'auteur de cette aviceptologie, qui avait déjà une idée assez complète, des genres des oiseaux, les nomme selon les règles de la nomenclature binaire, dont Linné est

(8) Coby znaczył regimencik i szponton? znikąd objaśnienia powziąć nie mogłem.

Szponton był to wina kształt dzidy, używali tego jak namiotan officerowie morskiewscy za Pawła I. Kiedy wojska morsk. szły na Francuzów.

ordinairement regardé comme l'inventeur. Ses noms des oiseaux sont souvent composés de deux substantifs.« Bystry przeto recenzent Francuzki, przyznaje temu starożytnemu dziełu Polskiemu bardzo ważne stanowisko w dziejach postępu historyi naturalnej. Wynaleźliśmy niedawno w tutej-szem Archiwum koronnem (Nro. 123, fol. 645, sub litt. WDD) autentyczny dokument Stefana Batorego, którym ten król wydaje przywilej autorowi Myślistwa Ptaszego na dzieło jego. Jestto zapewne ten sam, który się znajduje na czele pierwotnego wydania (1584) tej książki (zob. Biblioteka Warsz. 1842, tom 4. str. 222, 223). Oto jest dosłowna kopia tego aktu, świadczącego jak umiał i usiłował wielki monarcha szacować i wspierać prace ludzi poświęcających się szczegółowemu badaniu wszelkiego rodzaju umiejętności.

Metrica N^o 123, fol. 645, sub litteris WDD. Privilegium Mathaeo Cziganski de imprimendo suo libello de aucupio conscripto datur.

1581. Stephanus Rex Poloniae etc. Significamus nostris hisce literis uniuersis et singulis. Cum omni laude atque fauore dignissimi sint ii, qui artis atque scientiae alicujus abditioris, usui humano profanae pandunt secreta. Proinde nos non solum dignum laude censentes, sed etiam fauore nostro prosequi volentes, institutum Nobilis Mathaei Cziganski, quod habet in diuulgando, atque praelo publicando aucupii libello, per ipsum ex diuturna praxi et experientia, Polonico idiomate conscriptum, liberam illi potestatem facimus, eum psum libellum, per quemvis Typographum, cui id negotii dare voluerit, ad decursum quindecim annorum typis excudendi diuendendi et distrahendi. Interim vero prohibemus atque interdici-mus omnibus et singulis, Typographis atque Bibliopolis, ne praeter voluntatem Authoris, infra quindecim annorum decursum eum ipsum libellum recudere, atque diuendere audeant. Sub amissione omnium exemplarium, et mille florenorum mulcta, cujus medietas fisco nostro applicari, altera eidem Nobili Mathaeo Cziganski cedere debet. Quod ad omnium et singulorum quorum interest aut intererit noticiam deducimus, Mandantes eisdem, ne quicquam ei

Privilegio contrarium facere aut attentare presumant, sub ea ut praefertur mulcta, atque pro gratia nostra. Datum Varschoviae die decima nona Februarii, Anno Domini M. D^oLXXX primo (1581) Regni nostri quinto.

Stephanus Rex.

Tojest:

Przywilej dany Mateuszowi Cygańskiemu na wydrukowanie książki przez niego napisanej „o myślistwie ptaszem“

Stefan król Polski i t. d. oznajmujemy tém pismem naszym wszystkim w ogólności i w szczególności. Gdy wszelkiej chwały i względu najgodniejsi są ci, którzy dla pożytku ludzkiego otwierają tajemnice sztuki albo umiejętności jakiej, dla niewielu dostępnej i w użyciu jeszcze niebędącej; dlatego my, nietylko za godne chwały sądząc, ale nadto łaską naszą chcąc popierać przedsięwzięcie szlachetnie urodzonego Mateusza Cygańskiego, które ma w wydaniu i upowszechnieniu przez druk dziełka, po długiej wprawie i doświadczeniu w Polskim języku przez siebie napisanego, o myślistwie ptasiem, dajemy mu wolność na lat piętnaście drukowania, sprzedawania i rozdawania dziełka tego przez każdego drukarza, któremu by rzecz tę poruczyć chciał; a jednocześnie zabramy i zakazujemy wszystkim w ogólności i w szczególności, drukarzom i księgarzom, aby bez woli autora, przed upływem lat piętnastu nie ważyli się dziełka przedrukowywać i sprzedawać; pod utratą wszystkich exemplarzy i karą tysiąca złotych, z których połowa dla skarbu naszego będzie zasądzona, druga dostanie się temuż szlachetnie urodzonemu Mateuszowi Cygańskiemu. Co do wszystkich wiadomości w ogóle i w szczególe podajemy, zalecając aby nikt przywilejowi temu nie ważył się przeciwieć, ani przeciwnie mu postępować tak dla oznaczonej wyżej kary, jak przez wzgląd na łaskę naszą, jaką okazać chcemy autorowi.

Dano w Warszawie dnia dziewiętnastego lutego, roku MDLXXX pierwszego, panowania naszego piątego.

Stefan Król.

I. L. R.

*Przedchrześcijańskie na ziemi naszej pomniki dla bóstw
Lelum Polelum i Świstum Poświstum.*

Miasto Chelm położone w dawnej Rusi czerwonej, bardzo wielką odznacza się starożytnością. Kronikarz jego biskup Susza podaje, iż kiedy ziemia Ruska podzieloną została między trzech synów: Kija, Szczeka i Chorusa¹, średniemu w dzielnicy dostała się okolica, dziś Chełmskiej nazwisko nosząca.

Książę ten pod lasem, któremu swe nazwisko nadał (1), wystawił pogańską świątynię. Pomnik ten religijny dziś nieistniejący, miał być pierwszym budynkiem, mającego się wznieść miasta, które jednakże tylko w bliskości tego miejsca powstało. Na jakikolwiek wzgląd historyka zasługiwałby ten wywód początku Chelma, to niewątpliwe, iż jest grodem IX lub X wieku, kiedy Włodzimierz książę Ruski w r. 1001, wybudował w nim chrześcijańską świątynię nowo przyjętego przez się wyznania.

Gród ten otaczają rozległe łąki, staraniem człowieka z niedostępnych błót, do teraźniejszego przywiedzione stanu. Na małym osuszonym pośród nich pagórku, wznosi się mur z cegieł i gliny stawiany.

Kształt i rozległość jego ruin dowodzi, iż to był słup prostokątny, niegdyś trzy ścian na cztery łokcie szerokich mający, dziś zaledwie jedną całą, z małemi prostokątnymi otworami i po połowie dwóch mu przyległych przedstawia. Blisko niego płynie strumień szeroki, na łąkach rozrzucone gdzie niegdzie młode krzaki, a dalej las czarny, obszerny na znacznej rozciąga się przestrzeni. Wznoszące się blisko miasta Chelma, na 10 łokci te reszty pomnika, zdala zwracają uwagę przechodnia.

Na milę od miasta, lecz w przeciwnej stronie, blisko miejsca pogańskiej Szczeka kaplicy, wznosi się drugi słup czworosieczny, leżący przy bitej drodze obok wsi Stołpia, która nawet zdaje się od słupa nosić swe miano. Sam czas

(1) I dziś ten las Szczekawicą się nazywa.

miał wzgląd na niego; w ostatnich latach wzmocniony został. O kilka na stronie kroków, są ruiny jak się zdaje jego towarzysza, a niedaleko strumyk płynący ponad lasem wspomnionego księcia. Pomnik ten równie z cegieł z opoką mieszanymi budowany, mając już zwałony wierzchołek, do 20^{ty} łokci w górę dosięga. Środek jego jest próżny, a wyjście zrujnowane, niskie, ziemią zasypane zostało. Wewnątrz mnóstwo jest w całej wysokości okien, okienek, prostokątnego kształtu, lecz najnieregularniej względem siebie położonych.

Każdy, według swojego zdania, wyprowadza dziś wnioski o początku tych dwóch pomników, ale wszyscy gubią się w samych domysłach. Wspomniony kronikarz z początku XVII wieku, pisze: że wezwał najstarszych swego czasu ludzi, dla przekonania się z ustnych podań o początku ciekawych słupów. Kiedy o pierwszym nikt z nich nie posiadał żadnej wiadomości, o drugim twierdzili niektórzy że miał trzy sobie podobne obok stojące, i że na wszystkich stał pałacyk. Wielu utrzymywało, iż to były bałwochwalnie, a niektórzy wyprowadzali początek ich od księcia Szczeka, mówiąc że wystawił je ażeby przypatrywać się ztamtąd wychodzącemu z lasu swego nazwiska, zwierzowi. Tyle jedynie z dawnych podań przekazał nam ów kronikarz, chociaż prosty lud w tych okolicach, jak sam słyszałem, utrzymuje: że te słupy zbudować miały złe duchy w ciągu jednej nocy, lecz kur, który o północy zapiał, położył tamę ich usiłowaniom, i stąd wniosek, że one jako niedokończone, wierzchołka nie mają. Zaraz i to, jak zwykle, dodają że do wierzchołka ich dojść nie podobna, bo zawsze coś leżącego spycha. Lecz pomijając te baśnie ciemnoty, śledźmy na drodze teorii, przeznaczenie tych pomników.

Ziemia Chełmska dzieliła z Litwą i Rusią czerwoną ich losy, nim za Kazimierza W^o i jego następców, ostatecznie do Polski przyłączoną została. Kiedy więc Polska doznawała już skutków zachodniego kościoła, a Rosssya pracowała w swych posiadłościach nad utrwaleniem wyznania wschodniego, ziemia Chełmska ulegała jeszcze wpływowi bałwochwalstwa, jako posiadłość Litewska a następnie świeżo do krajów

Polski przyłączona. Kazimierz W. pragnąc nie nadwerężyć zwyczajów jej mieszkańców, którzy tyle razy poprzednio z rąk do rąk przechodzili, szanował dawne jej ustawy. Władysław Jagiello, acz gorliwy rozkrzewiciel chrystyanizmu, założyciel po zwycięstwie nad Krzyżakami w r. 1419, Chelmskiej katedry zachodniego kościoła, wstępując w ślad swego poprzednika, nie niszczył tych pamiątek, które świeżo ustalony pokój zachwiaćby mogły. Tymczasem zbliżały się wieki szanowania pomników. Mocna budowa murów, zachowała je naszym czasom. Te więc pomniki niezapreczenie, są bóstwa przodków naszych, jak z miejscowego podania wnosić możemy. Lud tameczny nazywa pierwszy z tych słupów: le-lum-po-lelum, a drugiemu świstum-po-świstum nazwisko daje. Jak wiadomo z mitologicznej teoryi dawnych bóstw Słowian, pierwszy z nich, był przedchrześcijańskim bóstwem małżeństwa, a drugi burzą zawiadywał.

J. K. Łazowski.

Odkrycie profesora Matteucci w Pizie.

Galwanizm, jak wiadomo, odkryto we Włoszech; początek tej, dziś tak obszernie rozgałęzionej nauki, winniśmy przypadkowi, a szybki postęp uczonej polemice jaka zaraz przy jej kolebce, powstała z jednej strony między Ludwikiem Galvani prof. anatomii w Bononii, a z drugiej sławnym Aleksandrem Wolta.

W pierwszej epoce tej nauki (do odkrycia stósu Wolty, doświadczenia galwanizmu ograniczały się głównie na badaniu i układaniu takich aparatów, w których części organiczne (muskuly, nerwy) główne części składowe stanowiły Formy w jakich się przedstawiały doświadczenia galwaniczne na tych organach, były modyfikowane współdziałaniem sił tym ciałom właściwych, a które my pod ogólnem nazwaniem siły żywotnej obejmujemy. I nim Wolta przekonywającą podał teorią tych zjawisk, natworzono wiele hipotez, nagromadzono mnóstwo doświadczeń dla ich poparcia, które, pominięwszy ważne rezultata jakie nauka galwanizmu z nich

wyciągnęła, zasługują na uwagę w fizjologii zwierzęcej. Tak na przykład, Galvani przypisując zwierzętom właściwą im elektryczność, przyczynę wszystkich ich ruchów chciał widzieć w tej sile; u niego nerwy były narzędziami na które ta siła szczególniej działała, i po których płynąc, całemu organizmowi się udzielała; składem zaś jej były mięśnie przedstawiające butelkę Lejdejską; tych bowiem zewnętrzna warstwa elektrycznością dodatnią a wewnętrzna ujemną miała być naładowana. Sławny Humboldt, z licznych swych doświadczeń nad drganiem członków żab, utworzył inną hipotezę; według niego w zwierzętach istnieje pewien wpływ galwaniczny mający dalekie podobieństwo do elektryczności, i ten płyn ma posiadać własność, nawet z pewnej odległości, działania na świeże nerwy zwinięte. Przedwczesne te fizjologiczno-fizyczne teorie dla wytłómaczenia działania elektryczności na organa zwierząt, nie mogąc wyjaśnić mnóstwa innych zjawisk zczasem przybyłych, ostać się nie mogły, a z doświadczeń za podstawę im służących, to dziś tylko wyciągnąć można, że aby drgania konwulsyjne członków zwierzęcych w skutek galwanizmu miały miejsce, potrzeba aby do stosu z części organicznych złożonego, wchodziło dwa elektromotory i jeden przewodnik elektryczności je łączący. Nerw, mięsień i nerw tworzą łańcuch; lecz sam mięsień z nerwem bez współdziałania trzeciego ciała jednorodnego z którymkolwiek z nich, nie jest zdolny sprawić drgania w członkach, i utworzyć stosu. To mniemanie, przez wszystkich prawie fizyków traktujących ten przedmiot przyjęte, utrzymywało się dotąd; w tych czasach Matteucci prof. w Pizie, znany ze swych prac nad galwanizmem zwierzęcym, zdołał ułożyć aparat galwaniczny z organów zwierzęcych jednorodnych t. j. z samych mięśni, i dowiódł doświadczeniami, że w mięśniach zwierząt żywych lub niedawno zabitych, krąży strumień elektryczny, jeden stały mający kierunek. Oto są szczegóły tych dowiadzeń.

O istnieniu strumienia elektrycznego w mięśniach zwierząt, łatwo się przekonać łącząc dobrym przewodnikiem dwa różne punkta masy mięśniowej; lepiej jednak to doświadczenie się udaje, jeżeli za łącznika użyjemy nerwu żaby gal-

wanoskopicznej; (*) wtedy wsuwając w ranę zwierzęcia nitkę nerwową przy nodze żabiej wiszącą, spostrzegamy drgania w całej nodze odosobnionej. Badając warunki udania się powyższego doświadczenia, łatwo dostrzeżemy że do tego potrzeba aby jeden punkt nerwu dotykał się wewnętrznych części mięśni, a drugi ich powierzchni. Że nerw w tym przypadku służy tylko za łącznik dla strumieni elektrycznych istniejących w mięśniach, przekonywa to, że dotykając się jakimkolwiek ciałem stałym lub płynnym w dwóch punktach samego nerwu żaby, nie spostrzeżemy nigdy drgania jej mięśni. Chcąc stanowczo przekonać się o istnieniu strumieni mięśniowych, Matteucci urządził doświadczenia z bardzo czułym galwanometrem, zachowując przytęm wszelkie możliwe ostrożności. W tym celu na deszczółce drewnianej pokrytej werniksem i mającej wytłoczone małe dolki do zatrzymania wody, poukładał połówki nóg żabich tak sporządzonych: że przeciąwszy najprzód żabę napół (sposobem Galwaniego), od każdej nogi ostrożnie aby nie poszarpać mięśni, odciął część udka. Otrzymane tak połówki nóg żabich układał w ten sposób, aby wewnętrzna część mięśni jednej dotykała się zewnętrznej powierzchni drugiej, i aby skrajne elementy spoczywały nad brzegami dołek zawierających w sobie wodę dystylowaną lub lekko zakwaszoną kwasem siarkowym. Zanurzając w wodę blaszki platynowe od galwanometru idące, zamykamy stós i w tejże chwili igielka galwanometru na pewną liczbę stopni od normalnego swego położenia się odchyła; ilość stopni zależy od liczby użytych elementów; dwie nóżki dają zboczenie 3° — 4° , cztery dają 6° do 8° , sześć daje 10° do 12° i t. d. Siła tego strumienia zależy także od tego czy woda użyta, była czysta lub zakwaszona, w pierwszym razie strumień jest słabszy. Tak przygotowany zamknięty stós pozostawiając w spoczynku, ujrzymy że strumień ciągle słabnie, a w krótkim czasie igielka wraca na 0° . Kierunek strumienia

(1) Jestto odarta ze skóry noga żabia, przy której wisi długa nitka nerwowa; noga wkłada się w rurkę szklaną dla zupełnego odosobnienia i dogodniejszego użycia, a nerw przy niej będący, na zewnątrz się wypuszcza.

zawsze jest stały, idący od wewnętrznych części mięśni do ich powierzchni.

To doświadczenie powtórzonem było kilkaset razy, i zawsze też same dało rezultata.

Mięśnie wielu innych ciepło i zimnokrwistych zwierząt, podobne okazują fenomena. Zdjąwszy ze skóry węgorza w rzęce złapanego, z połowy bliższej ogona potnijmy sztuki długości cala, i ułóżmy w szereg w ten sposób, aby masa wewnętrzna jednego kawałka dotykała się zewnętrznych części mięśniarnych drugiego i t. d. Zanurzając następnie blaszki platynowe w wodę, spostrzegamy odchylenie się igielki; dwa kawałki węgorza dają 10° , pięć kawałków 28° i t. d. Kierunek strumienia idzie od wewnętrznych części, do ich powierzchni.

Krając z grzbietu lina, ostrożnie ze skóry odartego, mięśnie, i podobnie je układając, otrzymujemy stós w którym kierunek będzie taki, jak i w poprzednich doświadczeniach. Mięśnie piersiowe gołębia, jego udka, połówki serca, podobne dają wypadki.

Strumień elektryczny krąży i w mięśniach żyjących zwierząt. Dotykając blaszkami galwanometru dwóch punktów rany głębokiej w mięśniach piersiowych lub nogach żywych królików, owiec, gołębi i t. d. zawsze otrzymujemy zboczenie igielki; strumień ten słabiej jednak po dwu lub trzykrotnem zanurzeniu blaszek w tę samą ranę.

Przekonawszy się o istnieniu strumieni elektrycznych w mięśniach, Matteucci badał okoliczności towarzyszące jego pojawieniu; a najprzód usiłował się dowiedzieć jaka jest jego trwałość i siła w różnych zwierzętach. Urządzone w tym celu doświadczenia, okazały że im zwierzę, z którego mięśniów stós budujemy, wyżej stoi w łańcuchu istot żyjących, tym siła strumienia jest mniejszą; tak np. stós o 8 elementach szybko przez kilka razem osób przygotowany z mięśniów królika, dał zboczenie około 8° , z mięśniów gołębia 14° , z żab 22° ; przeciwne! temu prawo spostrzegł w żywych zwierzętach; zanurzając w otwartą ranę jedną blaszkę od galwanometru, a drugą dotykając jej brzegu, u owcy lub królika otrzymał 30° do 40° , u żaby zaś 5° do 6° .

Temperatura wywiera wielki wpływ na natężenie strumieni muskularnych; o tem świadczą preparata z żab i innych zwierząt, w różnych porach roku robione. Tak naprzykład będącemu w Paryżu w listopadzie (1842 roku), z żab zakupywanych tam na rynku przytemp. 0° i niżej kilka stopni, żaden ślad strumienia muskularnego się nie okazał, gdy tymczasem aparat w tejże samej porze złożony z żab trzymany w ciepłej izbie ogrodu botanicznego tamże, bardzo pomyślne dawał rezultata. O tem zresztą łatwo każdego czasu się przekonać trzymając pod doświadczeniem żaby w szklaném naczyniu, otoczone lodem pomieszanym z solą; w kilka minut te zwierzęta przestają się ruszać, obumierają; nim to jednak nastąpi (15—20 minut), ułożony z ich udek stós o 10 elementach, okazywał tylko 10° do 15° . Podobne działanie temp. obserwowano na muskulach lina. Wpływ temperatury na siłę strumienia elektrycznego, w zwierzętach zimnokrwistych daleko jest większy aniżeli w zwierzętach ciepłokrwistych; z muskułów gołębiazymanego w miejscu oziębioném na 2° lub 3° otrzymany stós, nie okazywał prawie żadnej różnicy w swém natężeniu od siły strumienia z muskułów tego ptaka niemrożonego. I w ogóle, im zwierzęta wyżej stoją, tym wpływ temperatury na osłabienie strumienia muskularnego jest mniejszy. Całość systematu nerwowego lub jego odjęcie w muskulach, nie okazuje żadnej różnicy.

Obserwacye przekonały, że różne narkotyczne trucizny wprowadzone w żołądek zwierząt, nie wywierają prawie żadnej zmiany w sile strumienia muskularnego. Dziesięć kropli ekstraktu opium lub ekstraktu alkoholowego wroniego oka, wpuśczone w żołądek żaby, po sporządzeniu z jej nóg stósu nie zmieniły w niczem zwykłego zбочenia igły galwanome, tru; w mniejszych dozach zadana ta trucizna, wpłynęła jednak na zwiększenie natężenia strumienia, w większych zaś zabijając je, przeciwny skutek okazała. Żaby trzymane pod szklanym dzwonem i traktowane kwasem węglowym, skaczą gwałtownie, ziewają, i w 15 minut padają bez sił, ginąc jeżeli nie zostaną usunione zpod działania tego gazu. Stós z takich indywiduów złożony, okazał strumień co do siły i kierunku taki sam, jaki otrzymujemy z żab na wolném powie-

trzu trzymany. Podobne wypadki Matteucci otrzymał używając innych zabijających gazów, z wyjątkiem gazu wodrodo siarkowego, który na powiększenie siły strumienia wpływał.

Wspomnieliśmy wyżej że strumień muskularny nie przestaje krążyć, chociaż nerwy z tych części jakich do stósu użyjemy, będą odjęte; nastęczało się pytanie jakiego rodzaju funkcją nerwy tu odbywają? Doświadczenia w tym celu urządzone, okazały że nerwy służą tylko za przewodniki pozostającej w muskulach elektryczności. Jeżeli naprzykład szybko sporządzimy żabie udka bez nóg i każde z nich przetniemy na połowę, wprzód jednak z połówek przytykających do kadłuba (które odrzucamy) oddzielimy nerw lędźwiowy, otrzymamy połowy udek z wiszącymi nerwami tychże części. Z takich 8 elementów ułożony stós w ten sposób, aby nerw idący ze środka pierwszego dotykał się powierzchni drugiego, ze środka drugiego powierzchni trzeciego elementu i t. d. dał 12° zbrozeń igły galwanometru; przyczem kierunek strumienia idzie od części wewnętrznych do nerwu, albo co na jedno wychodzi, od nerwu do powierzchni. Takie same doświadczenie z nogami gołębi, królików, podobne dało wypadki. Nerw więc działa w tych razach jako zły przewodnik, przedstawiający stan elektryczności tych części z których wychodzi; dodać bowiem należy że siła strumienia w powyższym aparacie, słabnie w stosunku do długości użytego do stósu nerwu.

Doświadczenia tu przywiedzione, przekonując o istnieniu strumienia elektrycznego w muskulach żywych lub niedawno zabitych zwierząt, nie dowodzą wcale bytności swobodnej elektryczności w tych częściach; również nie można z nich wyprowadzić wniosku, jakoby nerwy były narzędziami przeznaczonemi do krążenia elektryczności (jak utrzymywał Galvani). I zdaje się że przyczyny tego zjawiska szukać należy w organizacji włókien muskularnych jeszcze żyjących; na to naprowadza wpływ, jaki okazują na siłę muskularnego strumienia krążenie krwi, czerwoność części muskularnych, pewien rodzaj ich zapalenia i t. d. Trudno nie przypuścić aby przy funkcji odżywienia w muskulach żyjących zwierząt, nie rozwijała się elektryczność, bo tam zachodzi działanie chi-

miczne, jak piękne prace PP. Dumas i Boussingault okazały. Dwaj ci uczeni doszli że kwasoród krwi arteryalnej na wszystkich punktach ciała zwierząt wywiera swe odżywne działanie, tak że w całym ciele zachodzi pewien rodzaj palenia, w skutek którego oswobadza się kwas węglowy i ciepłik. Lecz w jaki sposób działanie chemiczne w rezultatach może wpływać na krążenie elektryczności, objaśni nas następujące doświadczenie na metalach wykonane. Zanurzając w wodę zakwaszoną (np. kwasem siarkowym) blaszkę metalową zdolną kwasorodem wody się znieokwasić a następnie w kwasie rozpuścić, przypuścimy że wówczas rozwija się znaczna ilość obu płynów elektrycznych, które jednocześnie powstają, zobjętniają się nawzajem i nie okazują żadnego śladu swej bytności; te jednak płyny za pomocą stosownego urządzenia można oddzielić. W tym celu wpuścimy do wody blaszkę z metalu na któryby woda zakwaszona nie działała, i połączmy ją z pierwszą drótem; gdy połączenie nastąpi, elektryczność zacznie krążyć przez wodę do drugiej blaszki, a z tej przez drót do pierwszej, i tak wokół. W aparatach galwanicznych z części zwierzęcych złożonych, metalowi atakowanemu przez kwas, odpowiadają muskuly; wodą zakwaszoną jest krew arteryalna; powierzchnie zaś muskulów lub inne ciała nie będące włóknami muskularnymi, przedstawiają drugi metal niepodległy działaniu chemicznemu a służący do zamknięcia stósu. Nerwy przytem podwójną odprawiają funkcją: jako niedokładne przewodniki, wchodzące do koła stós stanowiącego lecz nie działające wprost na rozwijanie się elektryczności, powtórę jako przyczyny pośrednie wstrzymujące rozwijanie się elektryczności; bo jak wiadomo funkcya odżywiania się organów zwierzęcych odbywa się pod wpływem systemu nerwowego. Lecz jak trudno przypuścić aby działanie chemiczne w włóknach muskulów się rozwijające zupełnie ustawało w skutek przecięcia nerwu do tych części prowadzącego, tak też i strumienie muskularne krążenie swe przedłużać mogą, pomimo tego że nerw w nich działający przetniemy lub zupełnie odejmiemy, co i doświadczenia stwierdzają.

J. P.

Zakłady naukowe, pisma peryodyczne, i zakłady dobroczynne w Galicyi.

Zakład naukowy imienia Ossolińskich: obejmujący księgozbiór jeden z najobfitszych i najbogatszych do literatury dawniej u nas, porządkuje się obecnie pod zarządem p. Adama Kłodzińskiego. Zbiór wielki rękopismów opisuje i robi z nich wyciągi p. Alex. Batowski.

Księgozbiór akademii Lwowskiej, zamożny w dzieła naukowe, otwarty bywa w oznaczonych godzinach.

Zasługują tu na wspomnienie biblioteki: ojców Bazyljanów, stauropigialny i księży karmelitów Lwowskich.

Pisma peryodyczne. Na czele postawić należy pismo kwartalne przez zakład Ossolińskiego wydawane pod napisem:

»Biblioteka zakładu naukowego imienia Ossolińskich.« pod redakcją p. Adama Kłodzińskiego.

„*Tygodnik rolniczy*.“ założony przez zmarłego A. Kasperowskiego: teraz wychodzi pod redakcją p. T. W. Kochańskiego.

„*Dziennik mód*“ pod redakcją T. Kulczyckiego. (Pismo to najlepsi pisarze Galicyjscy wspierają).

„*Gazeta Lwowska i rozmaitości*“ pod redakcją J. N. Kamińskiego.

Tu policzyć należy wydawane we Lwowie: *Gazeta niemiecka* i *Leseblätter*.

W *Przemysłu*, z zakładu księdza Korczyńskiego, biskupa Przemyskiego, zmarłego z powszechnym żalem, wychodziło wydawane zeszytami pismo: „*Przyjaciel chrześcijańskiej prawdy*“. Pismo to odznaczało się wielką wartością i doborem rzeczy. Jest nadzieja, że dalej wydawanem będzie.

Zakłady dobroczynne.

Zakład głuchoniemych powstał i utrzymuje się z ofiar duchowieństwa katolickiego i obywatelskich składek.

Szkółkę ochronczą dla ubogich dzieci założył p. Schiessler urzędnik Austriacki, wspierając ją własnymi

funduszami. Teraz zostaje pod opieką stowarzyszenia osób dobroczynnych.

Sufragan Głowiński, zmarły r. 1776, zostawił znaczny fundusz na oznaczoną liczbę ubogiej młodzieży, żeby pobierała darmo nauki. Jaki ten fundusz ma obrót, to niewiadomo.

X. Jan Śnigurski biskup Przemyski i Sanocki, dziedziczną wieś Nowosiółki pod Kalwaryą blisko Przemyśla, zapisał na fundusz utrzymania szkoły dla 24 nauczycieli do szkółek parafialnych, a przytém dla wykształcenia tychże na śpiewaków w cerkwiach Ruskich.

Róża z Cieńskich, wdowa po Maurycym hr. Łosiu, dobra swe, miasteczko Wybranówkę z przyległościami, wiecznemi czasy zapisała na utrzymanie szkoły gospodarstwa, która by wydawała zdolnych ekonomów.

Arcybiskup Piatek prymas królestwa Galicyi i Lodomerji, zebrane dochody z zapisów hrabinę Jelskiej z dóbr Zawalowa, fundusz 4,000 złr. m. k. dodając do tego znaczną część dochodów z dóbr stołowych arcybiskupstwa Lwowskiego własnych: oraz ze stałego funduszu, 500 czerwonych złotych, danego przez księdza Stefana Budzianik Winnickiego: wymurował szkołę ochrończą i naukową dla młodzi ubogiej, oddającej się stanowi duchownemu.

Ksiądz Kulczycki zakłada w Budzanowie szpital pod dozorem sióstr Miłosierdzia. Ksiądz Jan Ławrowski prałat kapituły r. gr. w Przemyślu, znakomity księgozbiór własny oddał na użytek powszechny w mieście Przemyślu, zastrzegając nad nim wyłączny dozór kapitule r. gr.

Ś. p. Jan Antoni Łukiewicz zapisał wiecznemi czasy dochód z wsiów Bieniawy i Boryszkowiec na rzecz wyposażenia dwojga sierot płci żeńskiej. Kwota posażna na rok 1842, wynosiła 2360 złr. m. k. Dziedzic niegdyś *Czarnego Dunajca*, zacny obywatel, rozdał na raz na wyposażenie sześciu panieli 40,000 zł. polskich.

To są wszystkie zakłady naukowe, i dobroczynne, na ludność z górą 4,000,000; wszystkie byt swój winny szlachetnej gorliwości obywateli Galicyjskich. Jestto statystyka tak znacznego kraju, obfitującego w najpiękniejszą glebę, w bogate dary natury, nie ubogiego w ludność. Wł. Zgliński.

KRONIKA LITERACKA.

Nauka chowu pszczół rozmaitemi sposobami stósownie do różnego gatunku ulów, już pojedynczych, już składanych, przewiewnych, drewnianych czy słomianych, zgodnie z naturą tego owadu i doświadczeniem światłych pszczolarzy, jako drugie, poprawione i pomnożone wydanie przewiewnej metody Nutta, do użytku Polskich gospodarzy przygotował P. E. Leśniewski b. P. N. P. z IX tablicami rycin. Warszawa, nakładem G. Senewalda, 1843, Svo, stron. 290.

Znowu plód niez mordowanej p. Leśniewskiego pracy. Firma, którą ta o pszczelnictwie książka nosi, nigdy nas nie zawodzi: i już prawie z prostego nawyknięcia, przyjmujemy żeł dobra jest książka, skoro ją p. Leśniewski napisał. Słusznie! Ani tu mamy co przebaczać, jak czynimy z dylettantami przez grzeczność, ani na co oburzać się, jak z cierpiącemi manią pisania; te książki, które jedna za drugą zpod pióra p. Leśniewskiego wychodzą, są to wyroby dobrego warsztatu mistrza, mające w całej zupełności przymioty, jakie mieć powinny. Więcej! więcej do tego cechu towarzyszków, a te skarby literatur obcych sprawiedliwie i śmiało nasza będzie przyswajała sobie. Ale nietylko rozsądek i znajomość rzeczy, nietylko cierpliwość literacka to szacowne a u nas rzadkie usposobienie stanowi: jeden jeszcze bardzo ważny przymiot posiadać trzeba: trzeba umieć pisać i napisać, i tymto przymiotem p. Leśniewski do czytania wszystkich prac swoich zniewala. Ten dar napisania, rodzony brat innego daru, daru rozsądku, jakiż osobliwy ma przywilej! Z ksiąg utwarza on książkę w której jest wszystko co pod jej tytuł należy, i tylko też takiej można dać tytuł nauki, bo tylko taka jej

postęp wystawia. Nauka chowu pszczół przez p. Leśniewskiego, w przedmowie daje krótki obraz literatury naszej co do tego przedmiotu. W rozdziale I obejmuje historią naturalną pszczół; zaczawszy od opisania organizacyi pszczoły, wyklada cudowny sposób rządzenia się tych osobliwych owadów; w oddzielnych paragrafach mówi o roju, matce, trutniach i pszczołach roboczych, o sposobie jakim rozmnażają się pszczoły, co i jak, według mniemań dzisiejszych, robią; leczy ich choroby i ich nieprzyjaciół wymienia; nakoniec wskazuje rośliny dla nich najużyteczniejsze. Ten zasadniczy a najciekawszy rozdział (zajmujący str. 61), więcej zapewne oświeci chodzącego około pszczół gospodarza, nizeli całe dwa tomy *Pszczelnictwa Witwickiego*, dzieła, które jak wiadomo, zdaje się być wieków barbarzyńskich płodem. Że zaś rozdział ten pragnąłbym jak najdokładniej skompilowanym widzieć, wstrzymać się przeto nie mogę od uczynienia uwagi, że takich pszczół, jakie autor na stron. 1 określił, to jest gatunków rodz. *Apis Linneusza*, w dziele tego naturalisty nie przeszło dwieście (jak powiedziano na str. 2), lecz jest tylko 55. Z niedobrego także źródła wyczerpnął autor wiadomość, którą na 52 stronnicy, o motyle zwanym trupią główką, położył. Motyl ten jest tak rzadki, że nie ma co pomnażać nim liczbę nieprzyjaciół pszczoły. Jeśli zaś prawda że gdzie zdybano go na gorącym uczynku, miód rabującego, wypadłoby obwinić o to samo wszystkie inneśmy tego co trupią główką, rodzaju, a daleko pospolitsze od niej, jakoto: *Sphinx convulvi*, *S. ligustri* i t.p. Szkoda w ogólności że ten paragraf o nieprzyjaciółach pszczół, nie ma dosyć naukowego wyjaśnienia. Nie możemy np. domyślić się jakie tam istoty rozumieć należy pod nazwiskiem *wszów* pszczołom właściwych (str. 50). Kiedy autor dochodzi do tego ciekawego w swoim wykładzie szczegółu, że z każdego zalążka na pszczołę roboczą powstałaby matka, gdyby ten załazek przeniesiony został ze zwyczajnej komórki w osobną przestronną, i że na zasadzie tego, sztucznie można by tworzyć matki, taka nastręcza się mu uwaga (str.

18): „Dziwna rzecz że naturaliści i praktyczni pszczolary Niemieccy, a nawet za nimi idący Francuzcy, przypisują to sztuczne tworzenie matki, a ztąd sztuczny sposób tworzenia rojów X. Schirachowi Luzakowi, w drugiej połowie 18go wieku żyjącemu, kiedy takowy od niepamiętnych czasów znany był Polskim pszczolarzom, jak tego niezbity daje dowód wzmiankujące o nim prawo Mazowieckie z r. 1401.“ Szkoda że tego pomnika nie przytacza Autor w jego brzmieniu. (1) Tego rodzaju usprawiedliwień niktby pewno nie obwiniał o zbyteczne wyboczenie z drogi, a one ożywiają przedmiot, i w wielu zdarzeniach rzeczywiście potrzebnymi bywają. Drugi rozdział książki (do str. 128) podaje różne sposoby chowania pszczół, i jest niemniej jak poprzedzający systematycznym. Wszystkie rodzaje ulów, (o jedynym jest w dodatku na końcu książki od str. 280) są tu bardzo szczegółowo opisane, wszystkich zalety i wady skreślone. Lecz najobszerniej i najtroskliwiej opisuje autor ze wszelkimi modyfikacyami ul Nutta, i cały nastę-

(1) Jestto zapewne w Bandtkiego *Jus Pol.* str. 425: „Item resignans ipsa mellificia suo domino, vel cui interest, ad diem sancti Adalberti, super quodlibet manuale mellis debebit educere, et palam demonstrare binas apes vivas et bene valentes in suo examine, alias *wroju*, juxta consuetudinem mellificiorum antiquam.“ Dziedzic barci powierzał gospodarstwo około nich bartnikowi pod pewnymi warunkami umowy z tymże; bartnik więc niejako dzierżawił je; kiedy zaś przyszło do tego że nie chciał dalej ich trzymać, wtedy „oddając je (resignans) ich panu, (lub człowiekowi któremu pan zrezygnowane powierza), na *śty Wojciech*, winien będzie na *każdym* manuale miodu wychować i jawnie okazać dwie, żywe i zdrowe pszczoły w roju,“ i t.d. Ale naszym zdaniem, wcale inaczej to miejsce rozumieć należy. Rezygnujący powinien był odbierającego barcie, do każdej z nich zaprowadzić, dobyć z ka. żdziej garstkę (*manuale*) miodu, a na niej wyprowadzić (*educere*), to jest wyjąć z barci dwie podług dawnego bartników zwyczaju, żywe i zdrowe pszczoły, i takowe jawnie okazać, czyli po prostu, na kawałku miodu pokazać dwie żywe pszczoły, a to wszystko na to, ażeby dowieść że w barci jest miód i rój żyjący. Miejsce to zatem nie o wychowaniu matki nie obejmuje.

pnym rozdziale III (do str. 144), poświęca wykładowi tak nazwanej przewiewnej metody hodowania pszczół, o czem już przed kilku laty osobne dziełko dla użytku naszych gospodarzy wydał. Od czasu ogłoszenia tej pierwszej pracy (od 1838), którą tu zupełnie wcieli, niemało ją w drodze samego nawet doświadczenia praktycznego (jak wnosić należy z tego co jest na str. 107, 108) udoskonalili. W rozdziale IV (do str. 164), mówi o pasiece, pszczelniku, tudzież narzędziach i sprzętach przy chodzeniu około pszczół potrzebnych, w krótkim Vtym (do str. 170) o znaniu się na pszczołach jako części gospodarstwa. W rozdziale VI (do str. 192) wykłada roboty około pszczół na wiosnę, a w VII (do str. 243) roboty około nich wlecie, i z tego rozdziału najzupełniejszych wiadomości o rojeniu się pszczół nabyć można. Podbieraniu pszczół poświęcony jest cały rozdział VIII (do str. 255), tak jak następny IX (do str. 261) wykładowi postępowania z przetapianiem miodu i wosku. Nakoniec rozdział X (do str. 279) obejmuje bardzo ciekawe wiadomości o życiu pszczół podczas zimy, i piękną naukę obchodzenia się z niemi w ciągu tej pory roku. Na końcu książki dodane są dziewięć litografowanych tablic różnych wizerunków, które nadewszystko budowę wszelkiego rodzaju ulów i ich użycie nader dokładnie objaśniają. Owo zgoła, książka ta, jestto *vade mecum* pszczolarza Polskiego, jest dziełem należącym się literaturze narodu, który już od czasów Piasta, umiejętnością chodzenia około pasiek stynać ma prawo.

A. W.



*Słów kilka o recenzji Źródeł do dziejów Polskich
umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na gru-
dzień 1843 r.*

Pierwszy raz do Biblioteki Warszawskiej pisząc, wahałbym się może stawać we własnej obronie, gdybym się miał z niewyrozumiałą i niesprawiedliwą krytyką mierzyć. Ale że mi idzie tylko o objaśnienie naukowego stanowiska na-

szego, o odparcie tych zarzutów na które się zgodzić nie może, a najbardziej o danie dowodu jak wysoko cenię, w duchu prawdy i wspólnej dążności uczyniony rozbiór naszych Źródeł; pod powagą tych względów niknie wszelki cień osobistości.

Publikacya nasza, której tak Biblioteka Warszawska jak i Tygodnik Petersburski uznały cel użyteczny, jako zbiór materyałów historycznych, jest dalszym ciągiem wszystkich Pamiętników, Pomników i t. p. których liczba od lat kilkunastu tak znacznie się pomnożyła. Ale we wszystkich uderza nas brak logicznego systematu, i jakaś niedostępność w tych nawet zbiorach, w których zachowano porządek chronologiczny. Dlatego wpadliśmy na myśl podzielenia każdego tomu na pięć oddziałów: pamiętniki, akta, listy, dyplomata, i mieszaniny, aby w miarę przybywających materyałów, szykowały się już składnie, a zawsze w chronologicznym porządku, w odpowiednich sobie oddziałach.

Pan L. R. (nasz recenzent) znajduje ten podział powierzchnowym, i chciałby mieć dwa rodzaje tylko źródeł: publiczne i prywatne, lub autentyczne i wątpliwe. Autentyczność lub wątpliwość dokumentów, nie zdaje mi się dostatecznym powodem do osobnego podziału; dość na wzmiance o wątpliwości; pierwszy podział nawet, lubo jest istotnym, niedobrzeby się dał praktycznie zastosować. Wypadałoby wtenczas pod nazwą źródeł publicznych, uszykować chronologicznym porządkiem nasze akta, dyplomata, i część listów; a pod nazwą źródeł prywatnych, resztę listów, pamiętniki, i mieszaniny. Któż nie widzi że wpadlibyśmy wtedy w ten sam odmet poprzedniczych zbiorów, z którego wyjść chciałem?

Tak więc wykazawszy powód przyjętego przez nas podziału, chciałbym jeszcze objaśnić go poszczególnie.

Oddział Pamiętniki, obejmuje wszelkie wypracowane urywki, które jeżeli nie historyą, to doskonałym jej są materyałem, a jednakże niedość wielką objętość mają aby osobno z druku wychodziły.

Pod Akta, podchodzą wszelkie urzędowe pisma które w potocznym języku nawet tak nazywamy; a zatem i listy jeżeli mają charakter manifestów, jak list króla Stefana do miasta Zawłocza (Zródła T 1. p. 23).

Pod formą Listów w najciekawsze bywają zwykle szczegóły o wypadkach historycznych, i częstokroć wiary godniejsze jak w urzędowych buletynach. W nich oprócz tego, maluje się w całej szczerości duch wieku i charakter osób piszących. Niedosć zwróciła uwagę recenzentów, ważność listów, Żółkiewskiego osobliwie, w naszym zbiorze objętych. Wyznać jednak muszę że niektóre listy wzmiankowane przez pana L. R. mogły być albo całkiem być opuszczone, albo przeniesione do oddziału mieszanin.

Co do Dyplomatów, tych miejsce powinny być zapewne w osobnym kodexie, ale że dotychczas nikt się ogłoszeniem podobnego rodzaju zbioru w naszych stronach nie trudził, umieściliśmy w tym tomie najdawniejsze z dyplomatów jakieśmy mieli pod ręką, sądząc że godzi się czempredzej wydrzeć je stęchliźnie i zatracie. (1)

Odtąd jednak postanowiliśmy takie tylko u siebie drukować, które nietylko z formy swojej, ale i z treści ważne się okażą, i to zawsze z tłumaczeniem Polskiem, albo też z późniejszych nad wiek XV, w języku Polskim i Ruskim pisane, i pod tym względem ciekawe.

Oddział Mie'szaniny, wyczerpuje doskonale wszystkie pod jakimkolwiek względem interesujące zabytki, a które, mniej poważne, do żadnego z poprzedzających oddziałów należećby nie mogły.

Przechodząc teraz od obrony podziału naszego, do szczegółowych uchybień przez pana L. R. wytkniętych, winienem powiedzieć najprzód, że ile razy nie wzmiankujemy wyraźnie

(1) Teraz, gdy dochodzą nas wieści o układającym się w Warszawie dyplomatarjuszu, obejmować mającym wszelkie aż do XV wieku włącznie dyplomata ze sumienną skrupulatnością oceniane i najakuratniej z oryginalnych tekstów przepisywane, najchętniej złożymy do niego, cokolwiek okaże się przydatnem z naszych zbiorów.

że dokument jest wydrukowany z kopii, mieliśmy zawsze pod ręką oryginał. Zresztą dla ścisłości naukowej, lepiej byłoby zapewne powtarzać to zapewnienie przy każdym dokumencie, i od 3 tomu zbioru naszego (gdyż 2 już pod prassą) uwagę Recenzenta będziemy mieli w pamięci.

Nie idzie za t \acute{e} m aby nie drukować jak tylko z oryginałów. Mając pod ręką jaki starodawny, w nicz \acute{e} m niepodejrzany odpis, najkrótszy sposób dopytać się oryginału, jest ogłosić odpis drukiem. Takeśmy uczynili z brulionem listu króla Stefana do obywateli miasta Zawołocza, o autentyczności którego zdaje się p. L. R. wątpić, a który jest zanadto starożytny, i nadto przemazany, aby posądzać o sfalszowanie późniejsze. Oryginał, jak wiadomo, posłany był przez Zamojskiego do miasta Zawołocza. Jeżeli zachował się gdzie, lub jeśli znajduje się jaka kopia z niego, teraz zapewne wyjdą na jaw; tak jak po wydrukowaniu mojej Bitwy Olkini \acute{e} k i \acute{e} j dopiero dowiedzieliśmy się o exystujących u p. p. Narbuta i Balińskiego exemplarzach.

Zgadzam się z panem L. R. że nie należało opuszczać makaronizmów Łacińskich z Dziennika Miaskowskiego, ale raczej tłómaczenie w nawiasach dołączać. Ortografii oryginalnej jednak niepodobna zachowywać, chyba w bardzo dawnych pomnikach językowych, lub w dyplomatach. Inacz \acute{e} j byłoby to utrudzać daremnie czytanie, a nareszcie w listach lub w innych nieurzędowych papierach, powtarzać dobrowolnie ortograficzne błędy piszącego.

Co do objaśnień nakoniec, zapewne że właściwiej byłyby umieszczone w kształcie odsyłaczów przy końcu stronic, aniżeli przy końcu tomu; i z t \acute{e} j uwagi także chcielibyśmy w dalszych tomach korzystać. Ale dlaczego pan L. R. rzuca wątpliwość na wartość tych objaśnień, nazywając je kompilacją z Woluminów Legum, Niesieckiego, i innych pisarzy? Osądzi zapewne każdy badacz dziejów że dla udzielenia tak interesujących i nieznanych szczegółów, jak o Terze np. trzeba było szczególniejszych okoliczności otwierających niedostępne dla innych zbiory, i nadewszystko tego

uczonego zamilowania dziejów, które nam zapewnia w panu Malinowskim, niezaprzeczonej wartości naukowej współpracownika.

Alexander Przedziecki.



Rocznik Literacki, składający się z pism wierszem i prozą celniejszych współczesnych pisarzy naszych, ozdobiony drzeworytami rzeźbionymi w Paryżu, litografiami i muzyką. Wydał Romuald Podbereski. Petersburg w drukarni Karola Kraja, 1843. Svo, str 214.

Noworocznik ten pod względem ozdobnego wydania, nic nie zostawia do życzenia. W zupełności tego powiedzieć nie możemy co do jego wewnętrznej wartości. Z żalem nie znaleźliśmy poezyi; lubo wierszy, i gładkich, i dowcipnych, i czuło romansowych wiele. Nie wina w tym szanownego wydawcy, że nie mógł wynaleźć poety, a łatwiej trafił na wierszopisarzy. Z liczby tych na większą uwagę zasługuje legienda Rozbójnicy X. Hołowińskiego i Tadeusza Lady Zabłockiego. Przekład Fausta J. Gieczewicza, chociaż przypisem wydawcy broniony, że to praca dziewiętnastoletniego młodzieńca, nie osłania przecież od powiedzenia prawdy, że tłómaczenie zbyt słabe, władanie językiem zupełnie nieumiejętne. O ile porwanie się młodzieńca do przekładu tego arcydzieła, zgadzamy się z wydawcą, jest godne uwielbienia, o tyle z drugiej strony, czytająca publiczność, nie podzieli tego uwielbienia, jeżeli talentu nie dostrzeże, któryby okazał siły do zwalczania potemu przeszkód wielkich jakie stają dla każdego tłómacza.

Fausta Gietego wytłómaczył Augustyn Bielowski, poeta w całym znaczeniu tego wyrazu, po mistrzowsku władający językiem. Wytłómaczył Józef Paszkowski, znany z pięknego talentu: teraz zapowiedziano wydanie »w Arcydziałach dramatycznych Europejskich.« u Zawadzkiego w Wilnie, nowe tłómaczenie P. L. Walickiego. Przy takich współzawodnikach potrzeba potężnego talentu, ażeby wyjść zwyciężko; mierność na nie się nie przyda. »Ślady wędrowek

pantofla po Parnasie« nie wróżą wcale poety: sąto wierszyki gładkie, czasem dowcipne: ale powieść, tego samego pantofla co niepotrzebnie chce ślady swoje po Parnasie zostawiać, jest tak cudną, że za jedyną i najpiękniejszą tego Noworocznika ozdobę, uważać ją należy.

Jeżeli pomysł nie nowy, w okazywaniu celi waryatów i opowiadania ich dziejów, to w wykonaniu tyle świeżości i językiem i myślą, że cała powieść może się liczyć do najpiękniejszych powieści w literaturze naszej. Dowcip, gorzka ironia, rzewność serdeczna przeplata ustępy opowiadania, i zdaje się, że z jedną łatwością przychodzi autorce, czy z szynerskim uśmiechem odsłaniać ułomności ludzkie, czy pobudzać lzy, by je omywały, czy osuszać je na licu czytelnika przywołanym na jej rozkaz wesołym uśmiechem. Wiele znalazlibyśmy powodów zaprzeczenia, że autorem ma być kobieta: a mimo innych, głęboka znajomość serc ludzkich i ich namiętności, mężkie rzuty spojrzenia w świat, co tylko daje długie doświadczenie, i długa rozwaga. Jakkolwiek jest, powieść ta pod żadną firmą wielkiej swojej wartości nie straci.

Powieść ta, której tytuł: „Frenofagiusz i Frenolesty, powieść nieboszczyka Pantofla, wydana przez jego kuzynkę Eleonorę Sztyrmer.« oddzielnie została wydana. (1)

Z prozy: »K r z y ż n a r o z s t a j n y c h d r o g a c h.« powiastka J. I. Kraszewskiego: piękny obrazek szlacheckiej osady oddany ze zwykłym talentem tego pisarza.

O Polskiem tłómaczeniu Szekspira, wyjątek ze studyów nad Szekspirem M. Grabowskiego, gdzie w porównaniu wykazuje wyższość tłómaczenia i pojęcia tragika Angielskiego p. Kefalińskiego, nad tłómaczeniem Korsaka, a nawet i autora

(1) Nie jestto przedruk, ale osobne wydanie pod następnym tytułem:

„Frenofagiusz i Frenolesty, powieść wyjęta z papierów nieboszczyka Pantofla, a ułożona przez jego kuzynkę Eleonorę Sztyrmer. ozdobiona 30 winiętami i drzeworytami, podług rysunków Alexandra Kocubu rzuniętymi przez najpierwszych Petersburskich artystów, jakoto: barona Klota, Derykiera, Masłowa, i t. d.

St. Petersburg, w typografii Karola Kraja 1843. 12. str. 108.

Grażyny. Przedmiot, gruntowniej niż zwykle i lepiej niż dotąd traktowane przedmioty, przez M. Grabowskiego napisany.

Szkic północnej Białej-Rusi Jana Barszczewskiego, zawiera wiele ciekawych szczegółów o zwyczajach ludu tej ziemi, wraz z przytoczeniem pieśni w oryginalnym narzeczu, i kilku melodyj do nich.

Pięć rycin litografowanych a rysowanych przez p. p. I. Kraszewskiego, Alberta Żametta, i Rudolfa Żukowskiego, wraz z dwiema melodyjami, zdobi ten noworocznik który się prócz tego odznacza pięknym papierem i drukiem.

Publikacya takiego Rocznika, ma wartość rzetelną literacką, a szanowny wydawca dobrze pojął, że pod tym względem pierwszeństwo mieć będzie nad wszelkimi noworocznikami dotąd wydawanymi, których celem głównym było ozdobne wydanie, aby służyły za dar kolendowy, i zdobiły tylko toalety damskie.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Histoire des États généraux et des Institutions représentatives en France: Paris. 2 vol. in 8.

Osnową tego dzieła rzetelnej zasługi i niezmiernej pracy, pracy której się nie śmiałjąć sam wielki Montesquieu, jest: obraz historyczny Francuzkich zgromadzeń narodowych w ciągu lat sześciuset, od pierwszego zwołania deputowanych przez Filipa Pięknego, aż do ostatniego zgromadzenia z którego wynikła rewolucya Francuzka; wykład początku, zmiennych kolei i trudnego rozwijania się i wzrostu swobód publicznych; wykazanie stósunków bądź przypadkowych, bądź statecznych, wiążących między sobą trzy stany Państwa, tudzież deputowanych z reprezentowanemi przez nich prowincjami; ich różnice, zmiany i skutki, tudzież zmiany w tonie i postawie władzy stósownie do napotykaných potrzeb, roszczeń i przeszkód; wywód równoległy zmiennego losu zasad, postępu wyobrażeń, powstawania i ścierania się interesów, tudzież siły czynnej woli; nakoniec roztrząśnienie i zgłębienie rozmaitych kwestyj moralnych, politycznych i ekonomicznych powstających z okazywania instrukcyj poselskich (*cahiers*) w których wiernie malują się uczucia, wyobrażenia i potrzeby narodu objawiające się w różnych epokach historyi Francuzkiej. W tém dziele, krytyka faktów możeby mogła być nieco surowsza, a sąd tychże faktów może jest niekiedy zbyt namiętny; ale bo też patrząc na tyle niegodziwości, trudno było autorowi zachować spokojność i zimną krew historyka.

Statystyka Francyi (Statistique de France publiée par le ministre de l'agriculture et du commerce, X^{me} partie: Administration publique. Un vol. grand in 8 de 500 pages).

Statystyka Francyi wydawana obecnie przez ministerstwo rolnictwa i handlu, jest dziełem jakiemu równego

nie posiada żaden naród w Europie. Ważność materij i sposób nadzwyczajnie pracowity i dokładny z jakim są traktowane, czynią z tego dzieła niezmierne pole do badań i rozmyślań ekonomistów i mężów stanu którzy na niem mogą zebrać mnóstwo myśli i prawd społecznych pożytecznych dla ludzkości. Redaktorem tego dzieła jest uczony p. Moreau de Jonnés. Jestto już ósmy tom tego wielkiego dzieła. Zawiera w sobie statystykę zakładów dobroczynnych, i obejmuje: podzutki, szpitale i domy przytułku, domy obłąkanych, bióra dobroczynności, i lombardy. Każdy z tych ważnych przedmiotów traktowany jest w całej zupełności i w cyfrach, tak że mamy przed sobą kompletną historją pod temi względami wszystkich miejsc i czasów. Tom przyszły, zapowiedziany na miesiąc styczeń, ma obejmować statystykę zakładów karnych.

Wiadomości i Pamiętniki historyczne (Notices et Mémoires historiques) przez p. Mignet członka i sekretarza Akademii umiejętności moralnych i politycznych 2 vol. in 8vo.

Mignet, jeden z najznakomitszych pisarzy nowoczesnej szkoły historycznej Francuzkiej (jako autor *Historji rewolucyi Francuzkiej*) posiada ten rzadki i niepospolity, prawdziwie filozoficznego umysłu przymiot, iż jakiegokolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej dotknie, widzi w niej tylko strony wzniosłe i zadania wyższe, zostawiając szczegóły właściwym każdemu przedmiotowi badaczom. Dar ogólnych rzutów oka, filozoficznego obejmowania całości, reassumowania, treściowości pełnej siły, życia i myśli, jest wyłącznym przywilejem tego wielkiego pisarza, i z tego względu, jak we wszystkich swoich dziełach, tak i w tej książce, Mignet jest arcywzorem.

Tom pierwszy zawiera *Wiadomości historyczne* o znakomitych ludziach, których imiona są: Roederer, Livingston, Destutt de Tracy, Syeyes, Talleyrand, Daunon, Broussais, Merlin. Autor wyprowadzając na scenę prawnika, lekarza, dyplomata, polityka, ekonomistę, kreśli z niewypowiedzianym wdziękiem ich charaktery i przymioty osobiste, a oraz najgruntowniejszą myślą wnika w du-

cha każdemu z nich właściwej umiejętności, tak że ludzie specyjalni dziwić się muszą tej potężnej myśli, umiejaczej odgadywać umiejętność której we wszystkich jej tajemnicach, pracowicie nie zglebiła. We wszystkiem zaś tem autor nie poprzestaje na ujęciu całości, ale jeszcze szczegółowe stanowiska i dążności każdego pisarza oznacza jednem zdaniem, niekiedy jednem słowem. Nic prawdziwszego, nic dokładniejszego jak te sądy które łatwo wnikają w pamięć i wyciskają na niej wrażenia krótkie a pełne treści.

Tom drugi zawiera Pamiętniki historyczne, a mianowicie: Wprowadzenie starożytnej Giermanii do ucywilizowanej społeczności Europy zachodniej; Utworzenie się polityczne i terytoryalne Francyi; Zaprowadzenie reformy w Gienewie; nakoniec, Wstęp do historyi następstwa tronu (sukcesyi) w Hiszpanii.

LITERATURA ANGIELSKA.

Podróż Farnhama do Ameryki północno-zachodniej. Podróż Morrysta. Wspomnienia o Syryi półkownika Napiera. Doniesienia Hernando Corteza. Nowe romanse. Nowy romans Fenimora Coopera.

Farnham wydał opis swojej podróży po odludnych równinach Ameryki północnej: *Travels in the Great Western Prairies, the Anahuac and Rocky Mountains, and in the Oregon Territory, by Thomas J. Farnham.* (Podróż po wielkich zachodnich stepowych łakach, po Anahuak i górach skalistych, i po ziemi Oregonkiej.)

Za granicami północno-Amerykańskich zjednoczonych Stanów, na zachodzie, tam, gdzie ustaje cywilizacya której ostatni stopień stanowią wpółukształcone Indyjskie rzeczy-ospolite Czoktousów, Czyrokizów i Kryków, zaczyna się step obszerny, urodzajny, niezdolny zresztą dla ptalnych osad, wyjąwszy chyba niektóre miejsca na brzegach szerek. Jestto wielka stepowa łaka, która się rozlega wszęsz na sześćset do siedemset mil, i ciągnie się od południa ku północy, od 32° północnej szerokości, od brze-

gów Czerwonej-rzeki do jeziora Winnipegu, do 52°, ogółem ma przestrzeni blisko 1,400 mil. Podczas wiosny i lata kraj ten jest przyjemny, okryty gęstą trawą i kwiatami, z jasnym niebem, zdrowym powietrzem; gaje drzew malowniczo porozrzucane tu i owdzie zajmują wzrok, utrudzony jednostajnością równiny. Cztery rzeki: Czerwona-rzeka, Ararocas, Plett i Missary, toczą po niej swoje szerokie wody. Na południu, skwarne słońce, w lecie obraca trawę w proch; lecz jesień długo trwa na północy. Na początku lata zdarzają się okropne burze, które w kilka godzin obracają strunyki w burzliwe potoki. Na brzegach małego Arkanzasa, p. Farnham spostrzegł, że w miesiącu czerwcu, w ciągu dwunastu godzin, spadł deszcz po którym jeziora stanęły(?). W końcu lata iw jesieni nie bywa deszczów, przynajmniej na południu; warstwa śniegu okrywa kraj przez kilka miesięcy.

W stepie nie ma wielkich i stałych osad. Gdzie niedzicie na brzegach rzek, uprawiane są pola i znajdują się wsie przedsiębiorczych Amerykanów; lecz mówiąc w ogóle, obszerny ten kraj zupełnie znajduje się w posiadaniu pokoleń konnych Indyjczyków, którzy dla cywilizacji straszniejsi są od wszystkich mieszkańców pustyni. Tysiące dzikich tutejszych myśliwych rozjeżdża się po tym kraju we wszystkich kierunkach, podobnie do drapieżnych ptaków. Cała śmiałość, wszystkie umysłowe i materialne środki potrzebne są dla białego Amerykanina ażeby zachować swoje życie, uchronić handel, jaki prowadzi po tym niebezpiecznym kraju. Czasami ciągną po stepie długie kupieckie karawany, obawiając się zbliżyć do gajów, rozrzuconych po drodze.

Po Ameryce południowej, Stepowe łąki stanowią największy myśliwski park na świecie. Tu jest dziedzina bizona czyli Am. żubra, łosia, antylopy, dzikiego konia, i białego czyli stepowego wilka. O trzodach żubrów Farnham mówi: »W ostatnich trzech dniach żubry zupełnie okrywały kraj cały; niekiedy zdawało się nader niebezpieczną rzeczą, nawet dla ogromnego Santa-feskiego karawanu, torować sobie drogę między niemi. Ujeżdżaliśmy na dzień po piętnaście mil. Wzrok po każdej stronie traktu

sięgał na 1350 mil kwadratowych; ta ogromna przestrzeń tak gęsto okryta była temi szlachetnemi zwierzętami, że, patrząc z wysokości, zaledwie można było znaleźć jedną kwadratową milę zupełnie niezajętą.”

Im dalej podróżny postępuje na zachód, las przydatny dla budowlu znika, rzeki stają się rzadszemi, trawa nędzniejsza, a suchość atmosfery powiększa się. Stepowe łąki stopniowo odmieniają swój charakter i przechodzą w Wielki Amerykański step, właściwie tak nazywany, który się zaczyna na 300 mil ku wschodowi od gór Skalistych. Dolne grzędy tych ostatnich gór nędznie okryte są dębami i cyprysami. Użyźniający wpływ morskiego wiatru ustaje. Panuje susza do takiego stopnia, że wielkie rzeki Platt, Arkanzas, i Rio-Grande, przepłynąwszy kilkaset mil w górach, w lecie zupełnie wysychają na równinach.

Step i bliskie jego pasma gór przedstawiają jednakowoż gdzieniegdzie urodzajne miejsca, oazy. Tam, spędzane z równin skwarem, cisną się losie i żubry. Tam polują i walczą z sobą Indyjskie pokolenia. Wiele jest czarujących widoków w tych samotnych miejscach. Wzrok widzi piękne sawany (obszerne łąki) i naokoło gaje sosnowe, jodłowe, dębowe, osiczynowe; puste miejsca między lasami okryte są najpiękniejszymi roślinami w dzikim stanie; górny len ozdabia spadzistości pagórków niebieskimi kwiatkami. Wiele z tych miejsc nie widziało jeszcze oko ukształconego człowieka, wyjąwszy chyba półdzikich białych strzelców. Kiedyś, bez wątpienia powstaną tu wielkie miasta, środkowe punkta komunikacyi między dwoma oceanami. Tu leżą główne osady konnych Indyjczyków; na północ mieszkają Krou, Komanczy, Apaczy i in. Komanczy są teraz najsilniejszym pokoleniem na tutejszym łądziej. Kettlin, z polecenia rządu, odwiedził ten waleczny lud i mówi: »Wzrostu są małego, skłonni do otyłości. Ruchy ich są ciężkie i niezgrabne, w namiotach ich ocenilem to brudne pokolenie, jakie tylko kiedy widziałem! Ale skoro Komanczy wskoczy na konia, zupełnie przeistacza się, i zadziwia lekkością i pięknnością swoich poruszeń. Komanczy na nogach, jest jakby nie w swoim żywiole, i w poró-

wnaniu prawie tak samo niezgrabny, jak mała na ziemi, niemająca za co się uczepić; lecz gdy Komanczy położy rękę na koniu, twarz jego staje się piękną, i jakby zupełnie nowa istota, jak dzielny jeździec, pędzi w stepy.

Skaliste-góry tworzą ogromny ciągły mur, z niewielkim przedziałem od równin, tak nazywanych Wewnętrznych prowincyj w Meksyku, do morza Arktycznego; tamto świat nieznan, pełen cudów! Wysokość Skalistych gór bardzo jest rozmaita: od niskich pasm nagle przechodzą w wysokie cyple. Wysokość Sierry-Anahuac, p. Farnham przypuszcza na domysł do 15,000 stóp.

Farnham przeszedł góry pod wysokością 40°; pierwszy to był wędrownik na tej drodze. Ta droga ciekawa jest z tego względu, że jest bliską środkowego węzła, skąd wychodzą wielkie rzeki w różnych kierunkach. Sierra-Anahuac przedstawiła wspaniałe widowisko, kiedy Farnham zobaczył ją z wysokości otaczających Arkanzas. »Widzialną była, mówi, na przestrzeni przynajmniej stu mil; najbliższy jej punkt był tak daleki, że skłon horyzontu zakrywał całą jego część niżej linii wiecznego śniegu. Cała gromada zupełnie była białą. Gromada ta, kraj wiecznych mrozów, rozpościerająca się na północ na sto mil, nieodwiedzona przez żadną żyjącą istotę, prócz może orłów, przedstawiała zjawisko zdumiewające, wspaniałe, któremu podobne trudno znaleźć na kuli ziemskiej.«

Na zachód Skalistych gór znowu ciągnie się step od granicy Meksykańskiej do Kolumbii. Po nim kilkaset mil płynie Wielki Kolorado. Wiry wodne przeszkadzają spławom. Na północny zachód tej rzeki, leży wielkie, słone jezioro Eutasos, Martwe morze Ameryki północnej. Dalej na północ, z tejże części Skalistych gór, płynie Saptin czyli rzeka Lewisa, wielki południowy rękaw Kolumbii. Trudno wystawić sobie dzikszą, posępniejszą, sześciusetmilową przestrzeń, po której płynie ta rzeka. Saptin prowadzi wędrownika do Kolumbii, dziko-romantycznej rzeki, która gromadę swych wód pędzi po ciałninach górnych pasm. Dolina jej stanowi ziemię Oregonską, w nowszych czasach przedmiot sprzeczki między Anglią i Stanami zjednoczonymi.

Ziemia ta może jest ostatnim zakątkiem w świecie, jeszcze niezajętym, jeszcze oczekującym cywilizowanych osadników. — Przeszły czasy, kiedy każdy awanturnik, na pierwszych zielonych brzegach, witających go, widział kolebkę nowego państwa, które się nazwie jego imieniem. W ostatnich dwóch wiekach świat zestarzał się daleko więcej, aniżeli w dwóch tysiącach lat poprzednich. Człowieka oczekują zwycięstwa nad innymi żywiołami. Ziemia przedstawia Europejczykowi zamalą przestrzeń, którą on jeszcze rozrządzać może. W Australii znane są Europejczykom prawie wszystkie miejsca, lecz wszystkie mało dogodnie dla założenia nowych kolonij. Zpomiedzy pięknych wysep oceanu Spokojnego, najprzyjemniejsze i najobszerniejsze, już są pod władzą Europejczyków. Azja należy do innego plemienia. Na obszernych i urodzajnych pustyniach Ameryki południowej mogłoby powstać kilka państw, lecz ich powietrze oddycha śmiercią dla Europejskiego kolonisty. Jedyne obszerny kraj, z umiarkowanym klimatem, zdolny do rolnictwa, wabiący do siebie kolonistów, rozciąga się wzdłuż zachodniego brzegu Ameryki, między ostatnimi osadami Meksykanów i osadami Rosyan. Dawniej brzeg ten był prawie niedostępnym z przyczyny burz i ciągłych wiatrów. Teraz statki parowe mogą przyplwać do niego w każdej porze roku i ze wszystkich części świata. Jeżeli kraj ten zostanie zaludnionym, będzie panował nad oceanem Spokojnym: będzie miał prostą komunikacyą z Nową Zelandyą, Australią i Chinami; gdy zaś utworzoną zostanie komunikacya przez międzymorze Panama, można będzie odbyć drogę do Oregonu z Brytanii w czterdziestu lub pięćdziesięciu dniach.

Mówiąc w ogóle, ziemia Oregonśka składa się z gór; Kolumbia, główna geograficzna jej linia, spadając z Skalistych gór ku morzu, przecina trzy lub cztery pasma gór, skierowane na północ i południe; jedno z tych pasm, nazywane przez Amerykanów pasmem Prezydenta, bardzo jest wysokie; niektóre jego cyple mają wysokość od 15 do 16,000 stóp; inne zaś, wiszą nad bałwanami Kolumbii. Ile można domyśleć się podług płaszczyzny kraju, rzeka ta przedstawia rząd wspaniałych wodospadów, którym w wiel-

kości może nie wyrówna żadna z rzek Amerykańskich. Dodajmy do tych wodospadów czarne, kręte skały, pokryte lasami ogromnych sosen, nad nimi lodowate i śniegowe cyple, a będziemy mieli wyobrażenie o dzikiej, wspaniałej miejscowości Oregonu.

Na północ Kolumbii, kraj w ogóle przedstawia labirynt łańcuchów gór z obszernymi równinami, pokrytych gęstym lasem. Na południe Kolumbii, postać kraju odmienia się. Lasy rzadnieją, góry zarosły wspaniałymi drzewami. W miejscach blizkich oceanu rosną drzewa takiej objętości, jaką rzadko można napotkać pod zwrotnikami. Piękna *Pinus douglassii* rośnie na 200 stóp od ziemi, bez gałęzi, a pień ma obwód pięć, siedem, nawet dziewięć sześciostopowych sążni. Na Umpkwie, pod 43^o, sosny wyrastają do 280 stóp. Taka jest ziemia Oregońska, kraj z cudownymi widokami, zdrowym klimatem, nie wszędzie zdolny do rolnictwa, lecz ma dosyć urodzajnej ziemi, aby tu mógł zamieszkać naród jaki. Dla celów handlowych ma najwygodniejsze gieeograficzne położenie. Pokoleń Indyjczyków, blakających się na powierzchni tego kraju, jest niewiele. W ich prostém życiu objawia się w wielu wypadkach moralna wyższość, która stawia ich na szczyblu ludzkości daleko wyżej, od większej części dzikich. Może na całym świecie nie ma plemienia, któreby żyło w takim zaznaniu bezpośredniej przytomności świata niewidzialnego. Washington Irving, mówiąc o niektórych koloniach, mieszkających na zachód Skalistych gór, czyni uwagę: »Jeżeli nazwiemy ich po prostu ludem religijnym, podamy tylko słabe wyobrażenie o głębokim odcieniu pobożności, który odznacza każde ich postępowanie.« Usiłowania misyjonarzy, miały wpośród takiego ludu wielkie powodzenie.

Teraz jedynymi stałemi mieszkańcami tej obszernej pustyni, można nazwać ludzi kompanii zatoki Hudsona i kilkaset Anglików i Amerykanów. Nie mają oni rządu, nie są uznani za poddanych ani Brytanii, ani Stanówzjednoczonych, lecz, jak mówi Farnham, głośno objawiają życzenie, aby być zaliczonemi w granice rzeczypospolitej.

Z dalekich pustyni Ameryki północnej, przeniesiemy się do stepów Azji i Afryki: »*Notes of a Tour through Turkey,*

Greece, Egypt and Arabia Petraea, to the Holy Land, by E. John Morris (Notatki podróży przez Turcyą, Grecyą, Egipt i Arabią kamienistą do ziemi Świętej, przez Morrysta.) Morrysta jest Amerykaninem; dzieło jego najprzód wyszło w Ameryce i teraz przedrukowane w Anglii. Wiele zawiera rzeczy ciekawych, zajmujących, chociaż opisuje takie kraje, które już po kilka razy zwiedzane były przez Europejskich wędrowników. Tak np. opisuje Kair:

»Kair bez wątpienia, zpmiędzy wszystkich wschodnich miast, jest najwięcej zajmującym miastem dla wędrownika. Pięknę wzory Saraceńskiej architektury, czterysta meczetów, jeden od drugiego ozdobniejszy, napływ wszystkich wschodnich ludów, co przedstawiają zadziwiającą rozmaitość ubiorów i fizyonomij, połączwszy się z prawdziwie wschodnim charakterem miasta, dają Kairovi ten ruch życia, jakiego nie ma żadna Ottomańska łstolica, dokąd wkradły się zwyczaje i obyczaje chrześciańskie. Szczupły Beduin z pustyni Sanajskiej; wysoki, żylasty Beduin ze stepu Libijskiego; Nubijczycowie od wodospadów Nilu, Abissynczycowie od źródeł Nilu, Murzyni z Darfur i środkowej Afryki; Maury z Tunisu i Trypolisu, Turcy z Konstantynopola, Persowie z Bagdadu, mieszkańcy Indyj z tej strony Gangesu, Frankowie, Koptowie, Żydzi i inni stanowią różnobarwny tłum, który się ciśnie po ulicach Kairu, przeraża oczy sprzecznością swoich ubiorów, zdumiewa słuch brzmieniem rozmaitych języków.«

»Temperatura powietrza, kiedyśmy byli w Kairze, była przyjemną, czystą, świeżą, zdrową dla ciała, orzeźwiająca dla duszy. Noce były chłodne, ale tak rozwidnione światłem księżycy, że można było czytać druk najdrobniejszy. Chociaż był grudzień, pola się zieleńily, wschodziła wczesna pszenica, a wieśniak, postępując za Nilem, opadającym do swoich brzegów, zasiewał na żyznym mule tej rzeki, ziarna, które za kilka miesięcy pokryją pola złotem żniwem. W Kairze kawiarnie na tysiące liczyć trzeba, równie jak i łaznie. Kawiarnie są przytulkiem wszystkich próżniaków i nowiniarzów: wielu Turków przepędza cały dzień w łazni i w kawiarni

Przyjaciele schodzą się tutaj na gawędkę i na słuchanie nowinek. Tu zbierają się bazarze i bawią swoich słuchaczy to powieściami z Tysiąca i jednej Nocy, to z własnego utworu, w których za pomocą czarodziejstwa ukazują się, i dostatecznie wyjaśniają wszelkiego rodzaju dramatyczne katastrofy.«

Zostawmy Morrysa i przejdźmy do Syrii razem z półkownikiem Napierem, synem znakomitego Napiera, który odgrywał tak niepospolitą rolę w ostatniej Syryjskiej wyprawie. Tytuł jego dzieła jest następujący: »Reminiscences of Syria, by Colonel Napier (wspomnienia o Syrii). Ciekawe szczegóły podaje Napier, opisując pobyt swój w Bejrucie. »Dom, mówi, którego mieszkańcem byłem, był w jednej z najsamotniejszych części miasta, i należał do młodego człowieka, imieniem Giorgio-Habbita-Dżummala, szwagra przyjaciela mego Assaade. Assaade ożenił się z jedną z jego siostr.«

»Szczególnym zbiegiem okoliczności, w domu Giorgio poznałem się z p. Gonter, autorem Expedition to Syria, który znajdując się w takim samym położeniu, jak ja, również zamieszkał dom Giorgio. Przytaczam z jego zajmującego opowiadania następującą wiadomość o członkach rodziny, w gronie której osiedliśmy:« Mieszkaliśmy w domu szanownej rodziny, w domu Habbita-Dżummala, co w przekładzie znaczy, szanownego poganiacza wielbłądów. Gospodarz nasz, Giorgio, było młody człowiek, mający lat dwadzieścia, a ponieważ był majątnym i prócz tego un beau garçon, nie trudnił się żadnym rzemiosłem. Harem czyli niewieścia połowa domu, składała się z jego matki, wdowy mającej lat czterdzieści, i dwóch jej córek: Sary i Nasary; pierwsza czarnooka, uśmiechająca się gurya; druga gurya nieco więcej poważna, z melancholicznym, lecz niemniej powabnym wyrazem twarzy. Prócz nich było jeszcze troje dzieci z imionami również poetycznymi: Nazyf, Iskander i Furka. Nakoniec do tej rodziny należała wesola Nigrycyanka Saade, wspólna służąca.«

»Chociaż większa część mieszkańców Bejrutu są chrześcijanie Greckiego kościoła, do którego należał i nasz gospodarz Giorgio, jednakowoż w tym kraju fanatyzmu i uciemię-

zenia do takiego stopnia obudza się podejrzliwość i zazdrość, tak są wkorzenione mahometańskie przesady w tym względzie, że wszystkie kobiety (wyjąwszy wieśniaczki) prowadzą takie samotne życie, jak Turczynki w Konstantynopolu lub Smyrnie. Wychodząc z domu (tylko do kościoła i do łaźni), Bejrucianki przywdziewają iz ar, który, okrywając im głowę i twarz, licznemi fałdami spada na ziemię; poznać je może tylko przyjaciel lub krewny. I oto Assaade wprowadza dwóch cudzoziemców do grona swojej rodziny dozwala im śmiało patrzeć na kobiety; byłato oznaka największego zaufania z jego strony; my zaś, jak należy oceniliśmy to zaufanie i nie nadużyliśmy go nigdy. Prócz tego, taki przywilej, jakiego nie miał żaden cudzoziemiec w mieście, podał mi dogodną sposobność nauczania się języka Arabskiego.»

»Nagie, ponure, w massach popiętrzone mury domu nie obiecywały nam tych wygod, jakie znaleźliśmy wewnątrz. Z Giorgio i Assaade weszliśmy po wązkich kamiennych wschodach, które zdawały się wyrąbanemi być w samym murze; zaskrzypiały ciężkie drzwi żelazne, przed nami ukazał się piękny dziedziniec, wyłożony czarnym i białym marmurem. Naokoło rokosznie rosły i udzielały chłodu wonne pomarańczowe drzewa, na których, w jednym i tymże czasie ujmowały wzrok kwiaty, i dojrzewały owoce; obok nich zielone mirty i kwitnące gieranie. Pokój, wychodzący na ten ogrodowy taras, zdawał się służyć za wspólną dla rodziny salę; należało o tem wnioskować z kobierców i poduszek porozrzucanych naokoło, z nargilisów (kalianów) jeszcze dymiących się, i innych śladów pracowitości kobiet. Kiedyśmy weszli, kobiety siedzące w tym pokoju, natychmiast uciekły. Pozostała tylko kobieta w wieku poważniejszym. Giorgio przedstawił ją nam, jako swoją matkę, i wtenczas, gdy powiedziała do nas: »anna mug zond sz ufuk (siadajcie, bardzo mnie cieszy że widzę was) i mnóstwo innych przyjemnie brzmiących frazesów, których nie rozumieliśmy, Giorgio poszedł do drugiego pokoju i wkrótce wrócił, prowadząc za ręce piękne, wstydlive dziewice Sarę i Nasarę. Prędko się odmieniały fajki, nargilisy, sorbet i kawa. Młoda Nigrycyanka Saade, pełniła obowiązek Heby; dziewice zaś.

z początku nieśmiało, jak stepowe gazelle, wkrótce, podobnie do tych miłych stworzeń, stały się rączemi, poufałemi i bez przymusu zaczęły mieszać się do rozmowy, która szła żywo przy pomocy Giorgio i Assaade. Nie przeszło i godziny, już byliśmy, jak dawni znajomi.«

Półkownik jak najbardziej skorzystał z tej okazji; pilnie badając jagody miss Sary i z uwagą czytając w oczach miss Nasary, nabył powierzchownej znajomości języka Arabskiego daleko prędzej, aniżeli męcząc się z słownikami i grammatykami. Lecz niestety! nie przeszło dwóch tygodni, jak pojętny uczeń odebrał z Anglii rozkaz znajdowania się przy armii Bretońskiej w stopniu adjutanta. Bądźcie zdrowe, słowniki i wabne oczka, grammatyki i jagody! Piętnasto-tysięczna armia zebrana była w Bejrucie, i rozeszła się pogłoska o zamierzonym ataku na Ibrahima baszę; lecz niespodzianie odebrano wiadomość, że stary kommodor, ojciec Napiera, zawarł konwencyą z Mehemedem Ali. Flota, z przyczyny morskich wiatrów, musiała zdjąć kotwice i płynąć ku morzu Marmora. Należało oczekiwać, że Ibrahim basza będzie protestował przeciwko konwencyi, i podczas nieprzytomności floty odwiedzi Bejrut, jednak zostawił w pokoju to miasto; w jego ślady poszedł i nasz autor; zaczął pędzić po okolicach na dziarskim Arabskim rumaku, którego zostawił mu kommodor.

Kiedy odebrano wiadomość o cofaniu się Ibrahima baszy, nasz autor szukał drogi, przez którą zwyciężony lew poszedł do swego legowiska. Napier udał się za Jordan z nieregularnemi jeźdźcami w liczbie stu, których dał mu Osman Aga. Kapitan Lan Gonter, autor wyżej wspomnianej »Syrjjskiej ekspedycyi,« i Giorgio, pojechali z nim razem.

»W moim pstrym oddziale, mówi Napier, znajdowali się reprezentanci zaledwie nie wszystkich plemion od morza Kaspjskiego do Czarnego. Co za rozmaitość w uzbrojeniu, odzieży i twarzach! Był tu i dorodny Kurd, na dzielnym, silnym koniu, i ogorzały, chudy, lecz żyłasty Arab, z długą cienką spisą; głowa obwinięta kiefią czyli grubym sznurem z włosów wielbłąda; rzeźwy, stepowy koń bije się i zwiija

pod nim. Krótko mówiąc, może nigdy jeszcze nie widziano takiego tłumu urwiszów, a kiedy wojowniczy wzrok starego kapitana Lana oglądał naszą linią, szeroko rozpostartą i nieuszykowaną, mógłem uważać, z jaką pogardą zakręcały się jego siwe wąsy, chociaż twarz jego, która wytrzymała tyle burz, zachowała całą powagę Fryderyka Wielkiego. Oddział składał się z dwóch różnych części, Arabskiej i Tureckiej. Dawszy rozkaz Arabskiemu szejkowi i Tureckiemu adze, aby podano mi listę, jak wiele mamy ludzi, znalazłem, że wiele było nieprzytomnych bez urlopu, i że w oddziale, liczącym sto jeźdźców, wszystkich było tylko siedemdziesiąt ośm. Spodziejając się jednakowoż, że reszta nie omieszka przyłączyć się do nas, i nie chcąc tracić czasu, powiedziałem do nich krótką mowę obiecując ne gub (grabież), gdy przyjdziemy do ziemi nieprzyjacielskiej; odpowiadali mi dzikim okrzykiem zadowolenia; potem dałem znak do udania się w drogę; natychmiast usłuchali, objawiając radość okrzykiem, machając spisami, strzelając z pistoletów. Największa była trudność skłonić ich, aby jechali razem. Prokowałem uformować arryergardę, któraby spędzała pozostałych do głównego oddziału, lecz arryergarda na żaden sposób nie chciała jechać w tyle. Widząc, że tu trzeba działać nie słowami, lecz czem innem skuteczniejszym, uzbroidem się grubą maczugą i zacząłem ogrzewać każdego, kto nie słuchał moich rozkazów. Wschodni człowiek was nie zrozumie, jeżeli będziecie działać *su awiter in modo*: kiedy obchodzą się z nim, jako z człowiekiem, będzie wystawiał sobie, że jego się boją; bijcie, szarpcie go, obchodźcie się z nim, jak ze psem, a będzie czułgać się u nóg waszych, będzie najpokorniejszym sługą waszych życzeń.«

Tak wyborna dyscyplina nie mogła natchnąć odwaznemu półkownikowi wielkich nadziei względem powożenia w razie napadu Egipskiego wojska. I w samej rzeczy, zobaczyliśmy Egipskie namioty. Jakby czarodziejską siłą, znikli bohaterowie Nizybijscy, spostrzegłszy eskortę Napiera. Ponieważ nie było na kogo napadać, wszystko się skończyło jak najlepiej. Rzecz osobliwa, jak

ci Arabowie zawojowali niegdyś pół świata; Widać, odmieniła się ich natura, lecz nie odmieniły się ich konie!

Nudna podróż po nieurodzajnych równinach i skałach Palestyny, urozmaicona była różnemi przypadkami. Wykrywając ślad Ibrahima-baszy, Napier miał następujące ciekawe spotkanie:

„Oddział mój jechał ciaśniną między górą i rzeką. Wnet przednia straż przyskoczyła z wiadomością, że niedaleko znajduje się oddział nieprzyjacielskiej piechoty. Zamknięty w ciaśninie, między krętymi skałami i urwiskami brzegów Jordanu, mając w rozrządzeniu swoim tylko kawaleryą, byłem 'postawiony w nieprzyjemnym położeniu. Pozostało tylko do wyboru dać ostrogi koniowi, przemknąć się przez ciaśninę, stanąć przed nią na równym miejscu i spuścić się na los. Objąśniłem ten zamiar szejkowi i adze, a nie tracąc czasu, wykonaliśmy go. Wyjechawszy z ciaśniny, zobaczyliśmy przed sobą oddział z dwudziestu lub trzydziestu ludzi; białe fustanelle, wysoki wzrost widocznie pokazywały nam, że to są Arnautowie czyli Albańczykowie. Wzięliśmy ich za nieprzyjacielską awangardę. Zobaczywszy zapewne że korzystne położenie zajmujemy, śpiesznie odstąpili, przeszli rów, który przecinał drogę, i ukryli się za kamieniami i skałami na przeciwległej stronie rowu. Widzieliśmy ich twarze, wysuwające się czasami z poza kamieni, a długie lufy ich fuzyj błyszczały na słońcu. Wszystko to się stało w kilku sekundach. Z największą trudnością wstrzymałem Mebemeta agę i jego ludzi, którzy chcieli rzucić się na nieprzyjaciół; ci zaś znajdowali się w takiej pozycji, że mogliby wystrzelać wszystkich po jednym, nie podlegając sami najmniejszemu niebezpieczeństwu. Szybko posunąłem się naprzód z kapitanem Lanem, aby zobaczyć, czyby nie można było zaskoczyć im z tyłu. Wtém nagle kilku jeźdźców ukazało się na wysokości, na przeciw leżącej stronie rowu; jeździec, który był na przodzie, przez przyjazne znaki i machając ręką na swoich ludzi, którzy stali za kamieniami, oznajmił, aby nie strzelali do

nas, przeskoczył potem rów i zbliżył się do nas. Był to zgrabny, młody człowiek, w eleganckim Austryackim mundurze, z czarną, Tatarską baranią czapką na głowie, Zaczął mówić po francuzku i oświadczył, że jest hrabią Szeczyngę, Austryackim dragońskim kapitanem, że jedzie z Tyberyady z oddziałem, składającym się z dwóch Tureckich kawalerzystów, dwudziestu pięciu Albańskich dezertersów, Niemca służącego i dragomana, dla zebrania wojska w górach Adzellańskich; było to polecenie podobne do tego, jakie mnie samemu dane było w Napluzie“.

Wspierany przez hrabiego i jego towarzyszków, półkownik Napier postępuje naprzód, ściga nakoniec Ibrahima baszę; a urwisze jego, obawiając się, aby okrutny basza nie poślknął ich żywcem, gwałtem pędzą nazad. Wykrywszy poruszenia Egipcyan, Napier powrócił do Napluzu, aby objąć dowództwo nad półtoratysięcznym oddziałem dzikich jeźdźców, nienawykłych strzelać z fuzyi; z niemi musiał przeszkadzać cofaniu się Ibrahima. Na szczęście, w tym czasie odebrano ratyfikacją konwencyi, mówimy na szczęście, albowiem, zapewne najgrubsze maczugi na świecie nie zdołałyby obudzić ani iskry wojowniczego zapалу w motłochu, wybranym dla działań przeciwko Egipcyanom.

Wspomnienia o Syryi, w wydarzych dotąd tomach, dochodzą do końca stycznia 1841 r. Ciąg dalszy, bez wątpienia będzie również zajmującym.

O innych podróżach nie ma potrzeby rozszerzać się. Wyliczmy je tylko: „*Egypt and the Holy Land in 1842 with Sketches of Greece, Constantinople and Levant by W. D. Stent.* (Egipt i ziemia Święta w. r. 1842 i szkice Grecyi, Konstantynopola i Lewantu, przez Stenta Cytelnik znajdzie wiele ciekawych dla siebie szczegółów w *Excursions, Adventures, and Field, Sports in Ceylon by Leutcolonel James Campbell.* (Wycieczki, przygody i polowania na wyspie Cejlon podpółkownika Jakóba

Campbell). Nakoniec wspomnimy o *Australia and the East*, by John Hood. (Australia i wschód przez Jana Hood).

Najnowsze dzieła treści historycznej, po większej części nie mają powszechnego interesu. Odnoszą się do prywatnych dziejów Anglii. Wskażemy tylko na *The Despatches of Hernando Cortez etc. translated in to English from the original Spanish*, by G. Folsom (Depesze Ferdynanda Korteza, przełożone z Hiszpańskiego oryginału przez G. Folsoma). Zawojowanie Meksyku przez Korteza, niezaprzeczenie jest najświetniejszy czyn w długim szeregu znakomych wypadków, towarzyszących osiedleniu Europejczyków w Nowym świecie. Znajdujemy tu wielkie państwo i niejaką cywilizacją, której pomniki zaczęły za naszych czasów zwracać na siebie uwagę uczonych. W Meksyku była liczna ludność, wielkie miasta. W listach Korteza pisanych do cesarza Karola V, dosyć wyraźnie wystawiony ówczesny stan tego państwa. Tam gdzie Kortez mówi o wypadkach politycznych, nie ze wszystkiem można mu wierzyć. Opowiadanie jego o podbiciu Meksyku dosyć jest podejrzone. Lecz gdzie tylko wystawia stan jakiego miasta, tam można mu dać wiarę. Machiawelski charakter Korteza, widoczny jest na każdej stronnicy jego depeşów. Ciągłe okazuje podstęp i wiarotomne zamiary: polityka była jego jedyną moralnością. Jeżeli w taki sposób wystawia cesarzowi swoje chytre działania, czyż można zupełnie zaufać jego doniesieniom? Oczywiście miał na celu wystawić swoje powodzenia w najświetniejszych barwach, okazać się oddanym cesarzowi i religii, niezwyciężonym wojownikiem, dobroczynnym rządcą.

Literatura piękna zubożyła się w ostatnim czasie kilkoma utworami, mogącemi rozerwać nudy jesiennych i zimowych wieczorów. Mister Holmes wydał romans p. t. *Oakleigh, or the minor of great Expectations*, by W. H. M. Holmes. Romans bardzo pospolicie, intryga nie nowa, lecz prowadzony jest tak dobrze, że można czytać go z zajęciem.

Mistriss Gore, jedna z najobfitszych nowiniarek, wydała: *The Banker's Wife, or Court and City, by mrs Gore.* (Żona bankiera).

Nakoniec oto najciekawsza nowość: Fenimore Cooper wydał nowy romans p. t. *Wyandotté, or the Hutted Knoll, by J. Fenimore Cooper.* Czytelnicy, przyzwyczajeni w romansach Coopera widzieć może z jego burzami, korsarzami, walkami, Amerykańskie stepy z dzikimi ludźmi, uzbrojonymi tomahoukiem, ozdobionymi pękami włosów obdartych z czaszki zamordowanego wroga, nie znajdą w nowym romansie nic z tego wszystkiego. Czytelnicy, zamiłowani w charakterach zwyczajnych, powszednich, w życiu rodzinném, spokojném, prostém, znajdą tu prawdziwą przyjemność. Treść téj powieści sąto zdarzenia bretońskiego officera razem z rodziną, który osiadł na początku rewolucyi Amerykańskiej blisko Suskweganny, w miejscu nazywaném The Hutted Knoll. Gienialny romansopisarz, pod którego czarodziejskiém piórem powstaje żyjąca, obleczona we wszystkie swoje powaby, dziewicza natura Ameryki, Cooper lepiej z nią nas obznajmia, niż dzieła liczne wędrowników co podróżowali w téj ziemi.

Literatura pomocnicza dla szkół wyższych duchownych.

W najbliższych nas latach, ogłosili drukiem w Belgii swe dzieła filozoficzne duchowni katolicy: ksiądz Gierard Kazimierz Ubaghs professor Lwańskiego katolickiego uniwersytetu, i ksiądz Józef Aloizy Dmowski jezuita, professor filozofii moralnej w kollegium Rzymjskiém. Gdy chcącemu zdrowo filozofować, niezbędną jest potrzebą zapoznać się z filozofią katolicką: przeto podajemy tu spis dzieł tych niepodejrzanych mistrzów; zastugujących na znajdowanie się w ręku miłośników prawdziwej mądrości.

Dzieła księdza Gierarda Kazimierza Ubaghs:

1) *Précis de logique élémentaire* 2^{me} édition. Louvain 1838 i trzecie przejrzone i poprawione wydanie tamże r. 1842.

2) *Logicae seu philosophiae rationalis elementa*, 3 editio. Lovanii 1839.

3) *Ontologiae seu metaphysicae generalis elementa* 2 edit. Lovanii 1839.

4) *Theodiceae seu theologiae naturalis elementa*, Lovanii 1841.

5) *Précis d'anthropologie psychologique*, 3 édition, Louvain 1843.

Wszystkie te dzieła wyszły na widok publiczny z approbacyą księdza Piotra Franciszka Ksawerego de Ram, rektora Lovańskiego uniwersytetu, autora historyi filozofii starożytnej w języku Łacińskim, powtórnie wydanej w Lowaniam 1834 r.

W dziele wyżej położonem pod n. 2, tak na str. 153 w przypisie 2 wyraża się ksiądz Ubaghs:

„Gdyby kto utrzymywał, że katolikowi stronić należy od nauki przezemnie bronionej, tego chcę ostrzedz, że po wyjściu już z pod prasy drugiego wydania mojej Logiki, ukazało się w Rzymie dzieło, za upoważnieniem mistrza dworu papieskiego wylitografowane pod napisem: *Logica et metaphysica quae traditur in Collegio Romano S. J. in exeunte anno 1836 et proximo 1837*, gdzie się znajdują też same główne zasady, na jakich prawie cały mój sposób filozofowania opieram, jakich nauczałem i uczam.“

Odwołanie się ks. Ubaghsa do gruntowności pomienionego pisma, poświadczonę powagą urzędnika stolicy apostolskiej; było powodem, że uczeni Belgiccy bliżej poznali jego zalety, a następnie, celem upowszechnienia w kraju dzieła wybornego, wyjednali w r. 1839 u księdza Józefa Aloizego Dmowskiego, autora tego kamieniorytu, pozwolenie przedrukowania go w Belgii.

Ksiądz Józef Aloizy Dmowski (*) jezuita, mąż znakomity i światły, przez wiele lat professor w kollegium

(*) Ksiądz Dmowski rodem jest z Podlasia ze wsi Hreczki; wstąpił do kollegium X. X. Jezuitów w Połocku 1808, a w r. 1817

Rzymskiem miał zwyczaj dyktować słuchaczom krótki rys tego, co potem na prelekcyi obszernie rozbierał. Treściwie udzielane uczniom na papier pomysły, były [dla profesora] skazówką i podstawą obszerniejszego ustnego wykładu, a dla uczniów ułatwieniem przypomnienia rzeczy na prelekcyi roztrząsanych. Z czasem, z tych zbiorków utworzyła się całość, którą dla wygody uczącej się młodzieży, za potwierdzeniem księdza F. D. Buttaoni dominikana, mistrza dworu papieskiego, bezimiennie wylitografowano w Rzymie pod napisem: „*Logica et metaphysica quae traditur in Collegio Romano S. J. in exeunte anno 1836. et proximo 1837.*” W roku 1839 szanowny professor, za radą wielu osób, pozwolił ten swój kurs skrócony ogłosić drukiem w Belgii, nie pierwój jednak, aż go na nowo rozpoznał, poprawił i pomnożył wielu uwagami obfitszego na prelekcyach wykładu. Tak przygotowane do druku dzieło, za powtórnią [approbatą] duchowną Mechlińską wydane zostało na widok publiczny w Lowanium we 3ch tomach po łacinie, w latach 1840 i 1841 pod tytułem: „*Institutiones philosophicae, auctore Joseph Aloysio Dmowski, e societate Jesu, in Collegio Romano philosophiae moralis professore.*” Tom 1szy obejmuje logikę i ontologią; tom 2gi teodyceę, psychologią i kosmologią. tom 3ci etykę czyli filozofią moralną.

X. J. O.

przeniósł się do Rzymu, gdzie został najprzód professorem teologii moralnej, później filozofii, a w ostatnich czasach samój tylko filozofii moralnej.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

1843.

PETERSBURG.

222. Frenofagiusz i Frenolesty, powieść wyjęta z papierów nieboszczyka Pantofla, a ułożona przez jego kuzynkę Eleonorę Szyrmer. Ozdobiona 30 winiętami i drzeworytami podług rysunków Aleksandra Kocebu, rznietemi przez najpierwszych Petersburskich artystów, jako Barona Klot'a, Deriker'a, Masłow'a i t. d. St. Petersburg. W typografii Karola Kraja. 1843. z godłami:

Dans beaucoup de cas de folie, le désordre ne porte que sur un seul objet (idées fixes) l'homme pouvant être en jouissance de sa pleine et entière raison à tous les autres égards. *Hafeland.* On a dit avec raison que l'histoire de la civilisation pourrait être faite par l'histoire des monomanies. *Audral.*

8ka. str. 108. W drukowanej okładce. (Cena r. s. 1 kop. 42½ czyli złp. 9 gr. 15).

POZNAN.

223. Filozofia ekonomii materyalnej ludzkiego społeczeństwa. Część pierwsza. Z godłem:

Po ludzku żyć, duchowo żyć,
To postępować. Postęp to życie.

Poznań. Druk Stefańskiego. 1843. 8ka. Tytułów karty 2. Przedmowy str. III. Samego dzieła: str. 139. Z notami i przypiskami str. 149 niepaginowanych: omyłek druku ważniejszych str. 2. W drukowanej okładce, na której czytamy że: Dalsze części tego dzieła niebawem do druku podane będą. (Cena kop. sr. 90. czyli złp. 6.)

LIPSK.

224. Święte niewiasty. Obrazki pobożne, kobietom żyjącym w świecie ofiarowane, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową. Z godłem:

„Ku miłości Bożej i bliźniego więcej przykłady pobudzają aniżeli słowa.“

Piotr Skarga. w żywocie ś. Grzegorza papieża.

Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznej; 1843. 12ka. Tom I. str. 296. Przedmowy z tytułami str. VIII. Ilgi str. 325. Przy pierwszym rycinie: »Najświętsza Panna Marya.« według Murylla sztychował Pajna w Lipsku. W drugim: »święta Jadwiga księżna Polska i Szlązka.« sztychował Wrankrudze w Lipsku. W drukowanych okładkach.

KRAKÓW.

225. Grammatyka praktyczna języka Polskiego przez Józefa Muczковского. Oddział pierwszy. Kraków. Druk uniwersytecki. 1843. 8ka. Tytułu i przedmowy: str. IV. Samej książki str. 76. W drukowanej okładce. (Cena kop. sr. 30. czyli złp. 2.)

226. Urządzenie dla artystów teatru Krakowskiego. Kraków. Gieszkowskiego druk. 1843. 8ka. str. 43 w drukowanej okładce. Jestto postanowieniej Senatu rządzącego W. Miasta Krakowa i jego Okręgu, wydane 18 Września 1843. r. W drukowanej okładce.

Lwów.

227. Pisma Franciszka Wiktora Dmochowskiego bylego wachmistrza w wojskach pięciu różnych mocarstw, dziś majstra krawieckiego w Przemyśle, wydane na korzyść autora przez Andrzeja Edwarda Koźmiana. Lwów. druk Piotra Pillera. 1843. 8ka. str. 200 Stronnica napisowa. Przedmowy wydawcy danej w Dobrzechowie w marcu 1843 r. str. XIV. Lista kolektorów przedpłaty str. 4. Listy prenumeratorów str. 21. Prócz przedmowy autora, pisma jego dzielą się na dwie części i następujące rozdziały. Część pierwsza. Rozdział I. Gościnność i kondescencya. II. Karabela baszy Trebizońskiego. III. Zbroja księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiła. IV. Dalszy ciąg o zbroi. V. Straż grobowa w zbroi. VI. Archi-

wum. VII. Szkoła kobięca. Część druga. Rozdział: I. Pikietta nad Narwią. II. Bitwa pod Pultuskim. III. Niewola. IV. Niewola w assekuracyi. V. Odmiana w niewoli VI. Przymus do służby i póchód do Hiszpanii. VII. Wzięcie zamku Kastelnegro. VIII. Wjazd do Paryża. IX. Translokacya. X. Niewola. XI. Ucieczka. XII. Powtórna niewola. XIII i XIV. Powrót z niewoli. XV. Niewola i wzięcie służby. XVI. Zmiana w służbie. Dziełko to kończą próby wierszopiskie. W drukowanej okładce. (Cena prenumeracyjna była r. s. 1, kop. 5 czyli złp. 7).

228. *Gołąb' pożaru.*

Z godłem:

„Rozległ się pożar, spłynęły dynami,
Stado gołębi wkoło ognia leci,

W lot nieustanny rwie ich popłoch dziki
Święto rodzice; ogień wziął im dzieci.“

Lwów 1843. Odciskiem Piotra Pillera, 8ka, w drukowanej okładce. Zawiera następne przedmioty, a każdy z oddzielną paginacją. Poeta waryat przez Fr. hr. Wiesiołowskiego, str. 56. Stasio tragiedya w 4 aktach Karola Szajnochę (prozą) str. 88. Zbiór niektórych poezyj Jana Nepomucena Kamińskiego, jako dalszy ciąg Haliczanki, str. 65. *St.*

1844.

WARSZAWA.

19. *Deklamator Polski.* Wybór celniejszych utworów poetycznych literatury krajowej zebrał, w uwagi, tyczące się deklamacyi zaopatrzył, i do użytku młodzieży zastosował Fr. Henryk Lewestam Dr. fil. Oddział pierwszy, w Warszawie, nakładem Fr. Spiess i Spółki, 1844, w 12, str. 138. Przedmowy X. W drukowanej okładce. Cena zł. pol. 4.

Dzieli się na trzy części: I. Bajki. II. Powieści. III. Opisy i moralne.

Wydawca p. H. Lewestam, chciał tém dziełkiem troskliwym matkom i nauczycielom stósowny podać środek, do naprowadzenia kierowanej przez siebie młodzieży, na użycie szlachetnego daru mowy, w prawdziwém i malowniczym oddaniu utworów poetycznych. Deklamacya dobra, (jak słusznie

mówi w przedmowie sam wydawca), obecnie niemalej nabrała wartości, stała się bowiem dźwignią rozmaitych stósunków społecznych, i niejako skazówką postępu w kulturze, i w istotnem władz umysłowych rozwinięciu: uważaną jest teraz niebezzasadnie za talent towarzyski, za klucz do należytego ocenienia najgłębszych utworów piśmienniczych, i wszystkie utwory piękności za jej dopiero pomocą dokładnie i rzetelnie na jaw wychodzą. Zwrócił szczególną uwagę na poezye treści poważnej i smętnej, bo chciał odrazu młodociane umysły zapoznać z całym urokiem piękności, jakim poezya stronę moralną w duszy ludzkiej otoczyć potrafi, i mając we względzie postrzeżenie psychologiczne, iż w ustach dziecka deklamacya wesola i komiczna, daleko mniej naturalnego w głosie nagięcia, daleko trudniej może być wyrażoną, aniżeli akcent powolny i żałośny, bo się zwykle dowieć później od uczucia rozwija. Nie możemy nic zarzucić wyborowi w Deklamatorze: drukowanie kursywą wszystkich tych wyrazów na których większy przycisk w wymawianiu spoczywa: objaśnienia stósowne pod każdym wierszem, w jakim tonie deklamacya ma być zachowaną, nadaje temu dziełku wysoką wartość i rzetelną zasługę.

20. *Pocieszyciel strapionych i chorych*: Zbiór rozmyślań służących do wzniesienia duszy nad smutki i cierpienia tego życia, przez księdza Marcina de Norlieau, z Francuzkiego przełożone przez J. H. S. z przemową przez Eleonorę Ziemięcką, z godłem:

„Cierpliwi w przeciwnościach,
wytrwali w modlitwie.“

S. Paweł do Rzymian.

Warszawa, nakładem G. Leona Glücksberga księgarza, 1844. (w drukarni S. Strąbskiego), 12, w drukowanej okładce. Wstępu E. Ziemięckiej, str. XX. Przedmowy tłómacza IV, samego dzieła str. 353. Cena zł. pol. 9, w oprawie zł. pol. 13 gr. 10.

21. *Niespodzianka*: Zbiór powiastek dla pilnych dzieci, przez autorkę Pamiętników młodej sieroty. Warszawa, nakładem S. H. Merzbacha księgarza 1844, w 16, str. 180, w drukowanej okładce. Cena zł. pol. 6 gr. 20.

Zawiera 45 powiastek, znanej autorki z wielu pism p. Pauliny Kraków. Dziełko to zaleca się dobrem zastosowaniem do pojęcia dzieci, prostotą stylu, i wyborem przedmiotów do powiastek. Zdobi je cztery kolorowanych rycin.

22. *Podróż Józia z Warszawy do wód Szląskich*, przez niego samego opisana. Edycya druga. Warszawa, w drukarni pod firmą J. Kaczanowskiego 1844, str. 331, w drukowanej okładce, w 16. Cena zł. pol. 3 gr. 10.

23. *Objawione tajemnice i przepisy rozmaitych doświadczonych użytków w gospodarstwie wiejskiem, domowem, w sztukach, rzemiosłach i t. d., z uwagą na wygodę i oszczędność w różnych potrzebach życia.* Warszawa, nakładem S. H. Merzbacha księgarza 1844, str. 209, 8vo, w drukowanej okładce. Cena zł. pol. 5.

24. *Kobieta, miłość i małżeństwo*, pod względem moralnym, fizycznym i dyetetyczno-lekarskim, podług dzieł profesorów Doktora Buscha, Mosta, P. Roussel i innych: ułożył B. Rosenblum lekarz praktykujący w Warszawie. Warszawa, w drukarni pod firmą J. Kaczanowskiego 1844, w 12-tce, str. 170, w drukowanej okładce. Cena zł. p. 8

Rozdziałów X obejmują, prócz przedmowy: I. Kobieta pod względem moralnym. II. Kobieta pod względem fizycznym. III. Cztery pory życia kobiety. IV. Miłość pod względem moralnym i fizycznym. V. Małżeństwo pod względem moralnym i fizycznym. VI. Wychowanie kobiet pod względem moralnym. VII. Wychowanie kobiet pod względem fizycznym. VIII. Wybór dobrej żony. IX. O nieszczęśliwych małżeństwach. X. Szczęście pojęcia domowego.

25. *Zbiór wyrażen francuzkich najużywanych*, celem ułatwienia trudności zachodzących w tym języku, ogłoszony przez W. Dénoix, Nauczyciela języka Francuzkiego przy Gimnazyum gubernialnem w Warszawie. Warszawa, w drukarni Banku Polskiego.

Recueil des gallicismes français les plus usités, propres à faciliter les difficultés que présente la langue française. ouvrage publié par W. Dénoix maître de langue française au gymnase du gouvernement á Varsovie. Varsovie, de l'imprim-

merie de la Banque de Pologne, 1844, 8-vo, str. 176, w drukowanej okładce. Cena zł. pol. 5.

26. *Obrazki z pożycia dobrej rodziny*. Powieść dla grzecznych dzieci, przez Fr. Henryka Lewestama. Warszawa, nakładem księgarni Fr. Spiess i Spółki. W drukowanej tekturowej okładce, w 12-tce, str. 140, z sześciu litografowanymi rycinami. Obejmuje powieści: I. Powrót do zdrowia. II. List ojca. III. Bal. IV. Kolenda. V. Powrót ojca. VI. Zielone Świątki. Cena zł. pol. 6, z kolorowanymi rycinami zł. pol. 8.

27. *Historya Polska*, przez Michała Balińskiego. Warszawa nakładem Gustawa Leona Glücksberga księgarza 1844, w drukarni S. Strąbskiego, 8-vo, wstępu str. VII. Samego dzieła str. 248. Spis rzeczy št. 3. Poczec książąt i królów Polskich panujących od r. 1795, str. 1. Dzieli się na cztery okresy. Okres I, od r. 860 do r. 1139. Okres II, od r. 1139 do r. 1306. Okres III, od r. 1306 do r. 1587. Okres IV, od r. 1587 do r. 1795. Wydanie ozdobne, cena zł. pol. 10.

28. *Niezapominajki*. Noworocznik na rok 1844, wydany przez Karola Korwella, ozdobiony pięciu rycinami i drzeworytami, Warszawa w drukarni S. Strąbskiego, 12-mo, str. 237. Obejmuje: Wspomnienie z podróży do Gastejnu. Karola Korwella. Napis w Ojcowie: wiersz E. W. Święta Polaków pogan porównane z takimiż uroczystościami u innych Słowian: W. A. Maciejowskiego. Ubiór dawny mieszczan Krakowskich, przedstawiony w portrecie Grzegorza Przybyło, starszego cechu złotników Krakowskich r. 1534, przez Ambr. Grabowskiego, z dwoma drzeworytami W. Smokowskiego. Wyjątek z drugiej części Fausta, przekład Józefa Paszkowskiego. Widowisko publiczne, marynetki w wieku XVII w Warszawie, przez Ambr. Grabowskiego. Ustęp z dzieła: Góry i doliny przez L. Łu... z G.... R.... Pożegnanie Konrada z Medorą z Byrona, przekład A. E. Odyńca. Listek kochanka do swej miłej, z XVI wieku, z rękopismu biblioteki akademii Krakowskiej. Francuzi i Francuzyczna na dworze Jana Kazimierza króla Polskiego. Powieść historyczna, przez Ludwika Paprockiego. Noc, wiersz T. Leonartowicza. Miłość i zemsta

artysty, powieść Karola Korwella. Do wydawcy Niezapominajek przy przesłaniu artykułu: Stanisława Jachowicza. Cudowny obraz Najświętszej Maryi Panny w Sokalu, przez Ed. Bar. Rastawieckiego. Wspomnienie, powiastka z podania K. Wł. Wójcickiego. Zamek Chrichtoun w Szkocyi. Wydanie ozdobne, cena w oprawie złp. 24.

29. *Zawsze ten człowiek*: Romans Pawła de Kock. Warszawa, w księgarni S. Orgielbranda, 1844. W drukarni Gazety Teatralnej. Wydawcy J. B. Wagner i L. Sygietyński. Tomów 4 w 16-sce, cena zł. pol. 10. Tom 1, str. 258. Tom 2, str. 174. Tom 3, str. 162. Tom 4, str. 174, w drukowanej okładce. *Wł.*

Doniesienia literackie.

P. S. H: Merzbach po ogłoszeniu prospektu na Bibliotekę historyczną, mającą obejmować kolejno szczegółowe dzieje wszystkich Europejskich narodów: rozpoczął poczet dzieł tego rodzaju *Historią Francyi* Dzieje tego narodu zawarte zostaną w XII zeszytach, (co miesiąc jeden wychodzi od 5 do 6 arkuszy 8) ozdobione przeszło stu drzeworytami z Paryża sprowadzonymi, przedstawiającemi zupełną galeryą monarchów Francuzkich i niektóre ważniejsze rysy z głównych epok historii: nadto dodana będzie do każdego tomu rycina na stali. *Historią Francyi* podług najlepszych źródeł ułożył J. Dziekoński, i na księgi podzielił. Wydane dwa zeszyty obejmują w księdze pierwszej: Dzieje Celto - Gallów do Klodoweusza, do roku 481 po narodzeniu Chrystusa. Księga druga Merowingowie od roku 481 do 678. Księga trzecia Karłowingowie od roku 687 do 987. Księga czwarta Kapetyngowie do roku 1328. Jak z samego rozkładu widzimy porządnym systemat traktowanych dziejów, tak ułożenie i zebranie ciekawych i ważnych szczegółów, które dają zarysy wierne królowej epoki, przytém styl jasny, potoczny: wiadomości czerpane z niezmaconych źródeł, nadadzą temu dziełu znako-

mitą wartość tym więcej, gdy w tym rodzaju, najuboższą jest dotąd literatura nasza.

Nakładem Gustawa Leona Glücksberga wychodzi w zeszytach: „Dykeyonarz biograficzno-historyczny, czyli krótkie wspomnienia żywotów ludzi wsławionych cnotą, mądrością, przemysłem, męstwem, wynalazkami, błędami, od początku świata do najnowszych czasów.“

W braku tego rodzaju dzieła, gdy dykeyonarz historyczny Boelkiego stał się rzadkością bibliograficzną (*) rozpoczęta Encyklopedia przed kilku laty, miała poźrebie zaradzić: gdy zaś wydawanie jej przerwanem zostało, nowy wspomniony Dykeyonarz w XII zeszytach, w jej miejsce, zajmuje się skreśleniem treściwym biografii historycznej. Jak dopełni trudnego zadania obecnie, po wydaniu całkowitego dzieła, nie zaniechamy zdać sprawy.

Taż księgarnia w tłumaczeniu Polskiem wydaje głośne dzieło Eugeniusza Sue „Tajemnice Paryża.“

J. Jasiński ogłosił prospekt na zbiór powieści i romansów pod napisem: Wieczory zimowe.“ Mamy prócz tego już dawniej zapowiedzianą Bibliotekę romansów: wyszło tomów 8 tłumaczenia dwóch powieści Paul de Kocka „Piękna dziewczyna z przedmieścia tomów 4. Zawsze ten człowiek tomów 4.

W Wilnie J. I. Kraszewski ogłosił prospekt na oddział IV Ateneum, którego już 18 tomów w trzech oddziałach wydał. „W nim wyliczywszy znaczniejsze materiały już przygotowane do nowego oddziału, zawiadamia, iż wydawca p. T. Glücksberg chcąc okazać wdzięczność swoją czytelnikom Ateneum, postanowił dodać w ciągu oddziału IV przepyszny portret autora Pielgrzymki, i Legend X. Igu. Hołowińskiego“ do którego P. Kraszewski przyrzeka do-

(*) Dykeyonarz pomieniony wydany został w 8 wielkich tomach, każdy do 600 stronnic mający drobnym drukiem w Warszawie u Dufura w latach 1783—1787. Józef Ignacy Boelke był sekretarzem króla Stanisława Poniatowskiego.

łączyć biograficzną wiadomość. W końcu swego prospektu, tak przemawia P. J. I. Kraszewski:

„Mamy zupełną nadzieję, że i pisarze, co nas dotąd wspierali pomocą swoją, i czytelnicy nasi, nie odmówią nam nadal współczucia, bez którego najlepsze nasze chęci, spełnaczyćby musiały na niczém. Użyteczność Ateneum, gdyby podpadała wątpliwości, dowiodłoby jej samo trwanie zbioru kilkoletnie i codziennego ulepszenia, które uważamy dotąd tylko za stopnie przejścia, do ważniejszych daleko postępów. Marzym że Ateneum będzie kiedyś pomnikiem świadczącym o ruchu umysłowym, o opiniach, pracach, i zajęciach naszego kraju, i czasu. Zjśćcie to marzenie, może tylko stała pomoc czytających i pisarzy o którą zawsze ich prosim.“ Cena prenumeracyjna za 6 tomów w Wilnie zł. p. 40, z pocztą zł. p. 46 gr. 20. Prenumeratorowie tylko, będą mieli prawo otrzymywania Ateneum na papierze welinowym.

W Wroclawiu wydano przedruk dzieła:

„Postylla katolicka mniejsza, napisana w roku 1589 przez X. Jakóba Wujka z Wągrowca, a teraz na nowo przedrukowana. Część III i IV. w Wroclawiu, nakładem i drukiem S. Schlettera, 1843 r.“

W Berlinie Dr. Cybulski wydaje po niemiecku dzieło swoje: „Badania początkowych języków Słowiańskich, przed erą chrześcijańską.“

W Poznaniu E. S. Mittler ogłosił prenumeratę na Słownik Niemiecko-Polski w dwóch tomach, całkiem nowo wypracowany przez J. K. Trojańskiego. Cena tego dzieła na prenumeratę za dwa tomy zł. p. 40; po wyjściu tomu 1go podniesiona zostanie do zł. p. 48.

We Lwowie P. Tadeusz Wasilewski marszałek koronny królestwa Galicyi zajmuje się wydaniem, własnym nakładem, pisma naukowej treści pod napisem „Tygodnik naukowy Galicyjski.“

Lwowianin pod redakcją p. Ludwika Zielińskiego wydawany, przestał już wychodzić.

P. Z. Pauli, ma rozpocząć druk swego dziełka p. n. „Wiadomość o szkołach Lwowskich od XV wieku aż do 1772 roku skréślił, i sławniejszych rektorów oraz uczniów wyliczył.“

W Krakowie nakładem Józefa Cypcera, zacznie wychodzić ważne dzieło: p. n. „Zbiór napisów na pomnikach w Krakowie i wokręgu tego miasta położonych, obejmujący napisy na kościołach, nagrobkach, obrazach i t. p. z potrzebnemi do tego objaśnieniami i rycinami.“

P. Fr. X. Koisiewicz wydał w Krakowie 1843 rozprawę: „O spadkach beztestamentowych, podług praw i zwyczajów dawnych ziemskich Polskich.“

Alexander Korczak Wereszczyński biegły orientalista i niepospolity pisarz, którego dzieła w większej części w rękopismach zostały (kilka bowiem tylko rozpraw dzienniki zagraniczne ogłosiły), w miesiącu czerwcu r. b. w mieście Tyflis, w swojej podróży na wschód, umarł.

SPROSTOWANIA.

<i>Stron.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytać</i>
55	<i>w tytule</i>	BOHDAN	BOGDAN
180	11	po niewinne	średnik;
—	12	po jednej	dwukropek :
200	21	Freber	Freher
—	22	Caneegieter	Cannegieter.

W tomie 4 z. r. w P. R. na str. 303, zamiast *hydrogène carburé*, być powinno *hydrogène carboné*. W tymże tomie:

754	<i>ostatni od dołu</i>	do do	do
766	12	Rzdęto	Rozdęto
	<i>w niektórych exemplarzach:</i>		
736	4	Rianiszka	Riacux
		Francux	Franciszka

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



1870-1871 — *Fortsetzung* w. *Observatorium*
wzjęzione lat 1843-1844 i 1845-1846
1847-1848 — *Fortsetzung* w. *Observatorium*

BAROMETR
THERMOMETR

DOSTRZEŻENIA

METEOROLOGICZNE

w *Observatorium Astronomicznem*

WARSZAWSKIEM.

LISTOPAD — 1843

LISTOPAD 1843. — DOSTRZEŻENIA W OBSERWATORYUM ASTRONOMICZNEM WARSZAWSKIM. — Miejsce dostrzeżeń
 wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie
 1^g. 14^m. 47^s. 0, czyli w łuku 18°41'45", nachód względem południka Paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w Millimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w millim z	
	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wie.	10 go. wie.	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wie.	10 go. wie.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wie.	10 godz. wie.	6 go. r.	10 go. r.	4 go. w.	10 go. w.	de- szczy	śnie- gu
1	751,62	751,83	751,82	752,73	+ 6°9	+ 11°0	+ 12°9	+ 7°7	84,5	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	na pół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	EdW.		
2	752,48	752,54	751,61	751,17	8,0	8,8	10,7	8,0	91,5	chmurny	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
3	751,34	751,26	751,46	752,51	5,2	8,7	10,3	5,7	87,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	PdW.	—		
4	754,03	754,69	754,67	756,24	2,7	6,1	9,4	3,9	86,5	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	PdW.	—		
5	750,85	757,26	758,20	758,02	2,3	7,1	7,8	3,7	86,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	W.	PdW.	—		
6	759,31	760,28	760,08	758,78	1,3	3,1	2,3	— 0,6	89,7	poł. pog.	chm. podz.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
7	756,96	750,45	753,71	750,62	— 1,9	5,8	8,1	+ 1,7	87,7	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdZ.	Pd.	Pd.		
8	748,00	747,57	744,72	741,66	+ 0,5	5,3	7,5	6,0	83,7	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	Pd.	Pd.	PdW.		
9	739,00	739,76	740,19	742,20	5,0	7,3	6,0	4,5	96,2	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	Pd.	PnZ.	—		
10	744,02	744,60	743,93	744,72	3,4	4,5	4,5	2,7	91,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	PnZ.	Pn.	Pn.	2,88	
11	744,51	744,82	744,71	745,32	1,8	2,9	4,3	1,9	87,2	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pn.	Pn.	Pu.	Pn.	1,20	
12	747,78	749,15	751,62	752,18	0,9	1,3	0,4	0,5	84,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pn.		
13	753,28	753,80	753,65	753,68	— 0,2	0,1	0,4	0,0	89,7	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pn.	Pn.	PnZ.	—		
14	752,72	752,22	751,00	750,17	— 0,3	0,6	— 0,9	— 0,9	99,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	PnW.	Pn.	PnZ.	3,80	
15	748,25	748,41	747,58	746,62	— 2,5	— 1,9	— 2,3	— 3,0	100,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PuW.	PnW.	PnW.	PnW.	23,24	
16	745,62	746,10	746,99	747,95	— 2,8	— 2,8	— 3,6	— 4,0	99,5	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PnW.	Pn.	PnW.	—	9,96	
17	749,08	749,58	749,84	750,80	— 4,0	— 2,5	— 2,8	— 3,5	92,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	—	Pn.	—		
18	751,34	752,02	751,75	751,74	— 5,7	— 5,1	— 6,4	— 11,3	100,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	—	—	—		
19	751,27	752,21	751,34	754,91	— 9,8	— 7,0	— 9,1	— 7,5	100,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdZ.	PdW.	PdW.	Pd.		
20	756,50	756,70	756,09	754,69	— 7,3	— 5,7	— 6,9	— 7,4	99,5	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	PdW.	Pd.	PdW.		
21	752,52	752,52	750,88	749,84	— 8,0	— 5,9	— 4,3	+ 0,1	97,2	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	1,38	
22	747,88	747,43	745,23	743,97	+ 0,5	+ 1,6	+ 1,6	4,1	97,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.	2,92	
23	745,11	746,68	746,81	746,60	6,4	6,9	6,6	3,3	93,7	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
24	745,54	745,47	745,08	744,31	2,3	4,4	6,8	1,8	89,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
25	743,49	743,45	743,57	746,15	1,4	2,8	6,3	4,6	91,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	PdW.	PdW.	Z.	Z.		
26	752,87	755,20	757,78	758,98	2,4	1,8	2,2	— 0,2	98,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.	0,60	
27	756,92	756,80	754,26	752,72	— 0,9	0,8	3,2	+ 3,6	90,5	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
28	751,04	750,90	749,64	748,59	+ 2,0	4,2	7,2	7,4	87,7	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
29	748,42	748,75	746,19	744,09	5,7	5,7	6,1	5,2	93,0	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
30	746,11	747,23	748,85	750,47	3,9	4,5	4,5	2,7	90,2	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	poł. pog.	—	Pd.	—	—	3,60	
Śre:	750,129	750,523	750,196	750,114	+ 0,64	+ 2,46	+ 3,07	+ 1,34	92,1									11,20	37,60

	mm.	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	750,240	27	8,579
Najwyżej barometr dochodził			
d. 6 o 10 g. r.	760,28	28	1,029
Najniżej			
d. 9 o 6 r.	739,00	20	3,596
Srednia zmiana dzienna barometru	3,52		1,56
Najw. zmiana dzien. d. 25 — 26	14,21		6,30
Srednia wysokość barometru jest wyższa o	0,281		0,125
od stanu normal. z 17 lat poprzedz.	(749,959)	27	8,454)
Srednia temperatura Listopada jest	+ 1°88 C.	+ 1,50	R
i ta jest wyższa o.	0,69	0,55	"
od stanu normalnego z 17 lat poprz.	(+1,186 " + 0,949.)		"
Najwię. ciep. doch. d. 1 o 4 g. w.	+ 12,9	+ 10,3	"
Najmniejsze d. 18 o 10 g. w.	— 11,3	— 9,0	"
(Termometrograf wskazał Max. + 12°5 R d. 1, min — 9°7 R d. 19).			
Srednia zmiana dzienna temperatury	2,24 "	1,79	"
Największa zmiana dzienna d. 21—22 o 6 r.	8,5 "	6,8	"

Srednia wilgotność powietrza wynosi 92,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną albo 5,56 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Srednia temperatura miesięczna źródła
za pałacem Kaźmirowskim + 7°35 R.

Dni pogodnych było 5, na pół pogodnych 5, pochmurnych 20.

— deszczu 6 (d. 9, 10, 22, 26, 29, 30).

— śniegu 8: (d. 12, 13, 14, 15, 16, 17, 21, 22).

— mgły 2 (d. 18, 19).

— mrozu białego 2: (d. 6, 7).

Wody z deszczu spadło milim. 11,20 czyli 4,95 lin. paryzkich.
z śniegiem 37,66 milim. czyli 16,70 lin., razem 48,86 milim.
czyli 12,66 linii.

Listopad r. b. był w dniach pierwszych pogodny i ciepły, środek zaś miesiąca zimny i śnieżny. Od dnia 12 wieczór śnieg padał bezustannie aż do dnia 15 tak obficie, że ziemię przeszło na pół łokcia pokrył. W dniu 22 raptownia odwilż i deszcz stopiły tak gwałtownie owe masy śniegu że w przeciągu doby już tylko w zakątkach śnieg widzieć można było. Koniec miesiąca był średnio pogodny. W ogóle Listopad był bardziej pogodny jak lat innych, chociaż wody spadło więcej jak w stanie normalnym.

W d. 27 Koło białe wielkie otaczało księżyc.

Wiatr panujący PdW. i Pd.

Wichrów mocnych było 2: PnW. 1; Z. 1.



RZECZ O MAGNETYZMIE ZIEMI

PODŁUG BESSLA,

przez

J. Baranowskiego.

Chociaż w wieku już szesnastym zastanawiano się nad magnetyzmem ziemi, gdy szczególnie *Wilhelm Gilbert* lekarz królowej Angielskiej Elżbiety osobne o nim ogłosił dzieło (*), że jednak badania ówczesne mające tylko wykryć wpływ magnesu na obrót ziemi, więcej były metafizyczne niż na obserwacjach zasadzone; cała chwała stworzenia tej nauki

(*) *Guflelmi Gilberti de magnete magneticisque corporibus*, 1600 Londini fol. Inne wydania tego dzieła były: 1628 in 4to. w Frankfurcie. 1633 in 4to w Sedan. 1636 in 4to. w Amsterdamie.

należy się *Humboldtowi*, *Gaussowi*, *Arago*, i *Weberowi*, którzy korzystając z wynalazków *Laplasa* i *Poissona* w analizie poczynionych, takie zastosowania z wieloletnich doświadczeń wywiedzione, porobili, że największe pożytki dla żeglugi, fizyki i astronomii sprowadzą. W Roczniku astronomicznym, który pod redakcją *Szumachera* w Sztutgardzie wychodzi, na rok 1843 astronom królewiecki *Bessel* zamieścił sprawozdanie o postępie i stanie terazniejszem nauki o magnetyzmie ziemi, tak treściwe i krytyczne, że obojętném być nie może dla naszych czytelników podanie onego w głównych zarysach i z samą nauką ściśle się wiążących, w języku Polskim. Z tych zarysów jasnie się okaże co już w tej nauce zrobiono, a czego się jeszcze spodziewać można? Jakie badania rzeczywisty pożytek przynoszą, a jakie za niezgłębione uważać należy? Jakie są środki i jakie przeszkody w rozwijaniu tej nauki na drodze doświadczenia i obserwacji? Ile rachunek wyższy przyczynił się do jego rozwinięcia, nakoniec jacy ludzie i jakie rządy dopomogły do czynienia doświadczeń w różnych częściach naszej ziemi?

Wiadomo jest, że ruda żelazna zwana kamieniem magnesowym, ma dwie własności, których w innych ciałach w ogólności nie dostrzegamy, to jest szczególną siłę *przyciągającą* i *polarność*. Siła *przyciągająca* magnesu, objawia się na małych tylko massach niektórych ciał, blisko niego znajdujących się, między którymi żelazo zwykle ma miejsce; jego polarność sprawia, że kawałek magnesu, zawieszony tak, iżby się wolno około swego środka ciężkości mógł obra-

cać, zawsze w pewnym i oznaczonym kierunku względem poziomu i stron świata do spoczynku wraca.

Niektóre ciała z rzędu mineralnego, nie zawierające w sobie pierwiastku żelaza, objawiają też same własności; wszystkie zaś, które takowe okazują, pod ogólne nazwisko ciał magnesowych się podciągają. Gdy sztaba stalowa hartowana, raz lub kilkokrotnie, zawsze jednak w jednym kierunku, magnesem pociągniętą zostanie, wtedy nabywa również zdolności *przyciągania* i *polarności*, czyli innemi słowy, zostanie *namagnesowana*, i dwie te własności dłużej lub krócej zatrzymuje. Tego rodzaju pręty stalowe, magnesy, albo igły magnesowe, częściej się wymieniają aniżeli naturalne magnesy; gdyż pierwsze dla swiej formy polarność widoczniej przedstawiają, aniżeli nieforemnie ułożony magnes: nadto w doświadczeniach, mniej dogodnymi są same sztuki magnesu.

Jeżeli igła magnesowa poziomo kołysząca się, zawieszona będzie na długiej nitce takiej, ażeby ta ani zrządała ani przeszkadzała skręceniu się, wtedy igła w jednym tylko kierunku może przyjść do spoczynku, to jest w kierunku *południka magnetycznego*. Jeżeli kierunek ten na różnych punktach ziemi śledzić będziemy; znajdziemy, iż takowy w jednych miejscach prawie, w niektórych zaś zupełnie schodzi się z kierunkiem linii południowej; kąt pod którym ten kierunek przecina linię południową, nazywa się *zboczeniem magnetycznem* albo *deklinacją*, i ta może być wschodnia lub zachodnia, podług tego, jak koniec igły północny, znajduje się na wschód lub na zachód względem linii południowej. Przeciwnie, jeżeli igła magnesowa tak zawieszona będzie, iżby się

wolno około swego środka ciężkości poruszać mogła, wtedy zmieni swoje horyzontalne położenie, i nachyli się do poziomu, co wtenczas nastąpi, gdy osi obrotu na której igła spoczywa, nadamy położenie poziome, w jakim ona przed namagnesowaniem równowagę zachowuje; lecz gdy ta igła zostanie namagnesowaną, zaraz jeden jej koniec weźmie przewagę nad drugi, i igła nachyli się już nie w każdym dowolnym, ale w pewnym oznaczonym kierunku do poziomu. Odstąpienie to, w tym razie gdy oś obrotu igły prostopadła jest do południka magnetycznego, nazywa się *nachyleniem igły*.

Dwie te własności razem pod uwagę wzięte, okazują, że igła przez magnesowanie, nabywa siły takiej, jakiej poprzednio nie miała. Kierunek *tęj magnetycznej siły* oznacza się przez zboczenie południka magnetycznego, i przez nachylenie igły jakieby wzięta, gdyby na swjej płaszczyźnie wolno obracać się mogła. Że południk magnetyczny nie schodzi się lub przynajmniej nie wszędzie z linią południową miejsca, to już Europejscy żeglarze, którym igła magnesowa nieodbicie jest potrzebna, przy końcu 15 wieku postrzegali. W Europie zasługa odkrycia nachylenia igły magnesowej, należy się *Robertowi Norman* mechanikowi narzędzi matematycznych, który w r. 1576 uwagę swoją na nie zwrócił, i jego wielkość w Londynie, gdzie mieszkał, oznaczył.

Tak zboczenie jako i nachylenie igły magnesowej, nie zachowują na wszystkich punktach takiej ważności, jaka się w pewnym miejscu objawia. Odległe podróże morskie przez Europejczyków aż do Amerykańskiego i Indyjskiego morza odprawione, dały po-

znać wielkie zmiany w tychże; czasem okazało się iż południk magnetyczny tylko w dalszych okolicach od bieguna ma kierunek prawie od południa ku północy; zaś blisko samego bieguna, *każdy* kierunek igły za południk brać można; tak, iż żadnego punktu nie ma na ziemi w którymby tenże sam koniec igły, który u nas prawie na północ się kieruje, na południe się odwrócił. Podróże te okazały nadto, że nachylenia igły, również zmianom ulegają, iż nawet do zupełnej przemiany kierunku dochodzą; tak że koniec północny który w okolicach naszych prawie, zaś w punkcie blisko którego nieulekniony kapitan *Jan Ross* swój okręt wśród lodów opuścić musiał, zupełnie na dół się nachyliła, postępując ku równikowi, zwolna swoje nachylenie traci, a dalej znowu wyżej się wznosi, od końca południowego który ku biegunowi ziemi południowemu coraz niżej ściągany, nareszcie przy biegunowem kole, gdzie niedawno admirał *Dumont d'Urville* się znajdował, od punktu wierzchołkowego się odwraca.

Te wielkie zmiany w kierunku siły magnetycznej na ziemi, zwróciły tym więcej na siebie uwagę, że z ich poznania spodziewano się odnieść ważne korzyści dla żeglugi. Znajomość zboczenia igły nie tylko żeglarzowi jest potrzebna, aby podług niego odnosił kierunek, według którego ma żeglować, ale nadto za pomocą niej może być znaleziona długość geograficzna miejsca, w którym okręt się znajduje; sposób, którego jak wiadomo, aż do połowy wieku poprzedzającego napróżno szukano. Użytek z poznania kierunku siły magnetycznej na wszystkich punktach ziemi był jeszcze i ten, że on dał powód znakomitemu

astronomowi Angielskiemu *Edmundowi Hallejowi* do połączenia wszystkich punktów, w których żeglarze zboczenie igły magnesowej równej wielkości uważali, linią krzywą na jednej karcie, tak, iż ta karta wprost wystawiać miała, jak wielkie zboczenie igły w każdym punkcie na morzu, było w owej epoce dla której karta zrobiona została (1700) (*). Do tej karty przybyła jeszcze inna, która stan nachylenia igły w podobny sposób na rok 1700 przedstawiała, a którą *Wilcke*, w rozprawach Szwedzkiej akademii umiejętności na rok 1768, ogłosił.

W miarę powiększającej się liczby punktów w których zboczenie i nachylenie magnetyczne oznaczonem zostało, można tego rodzaju kartom większą rozciągłość i dokładność nadać. Porównanie podobnych kart, w różnych epokach wykonanych, doprowadzić może do ogólnego poznania zasztych zmian w zboczeniu i nachyleniu, po pewnym upływie czasu. *Hansteen* z wielką pracą dotąd znane obserwacje co do kierunku siły magnetycznej, aż do roku 1819 zebrał; nadto do własnych poszukiwań o magnetyzmie ziemi, przydał zbiór kart, też zmiany wystawiających.

Jednak kierunek siły magnetycznej na ziemi, jest tylko *jednym* z jej pojawień; *drugim* jej znakiem widzialnym jest *moc* albo *natężenie*, pod którym się taż siła, na różnych punktach ziemi objawia. O ostatniej

(*) *Hansteen* w swoich *dochodzeniach o magnetyzmie ziemi* przytacza miejsce z dzieła *Atauazego Kirchera* o magnesie, które okazuje, iż ksiądz *Chr. Burrus* jeszcze przed *Hallejem*, też samą myśl powziął; zaś *Humboldt* przyznaje prawo do tego *Kolumbowi* i *Kabotowi*.

aż do początku terażniejszego wieku, żadnych prawie wiadomości nie mieliśmy, które jednak wprzódobyte być musiały, nim głębiej w poznanie własności magnetyzmu ziemi zapuścić się miano. Rozleglejsze zbadanie tej siły, stało się przedmiotem wielkiego zadania, na rozwiązanie którego *Alexander Humboldt* życie swoje poświęcił. W zadaniu tém, część która się do magnetyzmu ziemi odnosi, bardzo się ważną okazała.

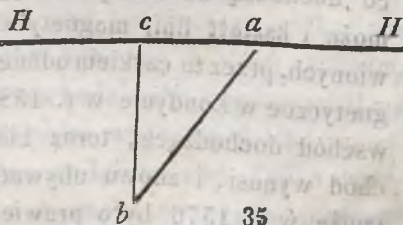
Humboldt najprzód sam, a później inni, natężenie magnetyczne na wielu punktach ziemi z sobą porównywali, a to za pomocą uważania czasu poruszeń poziomo zawieszonej igły, którą kolejno na różne punkta przenoszono. Związek, jaki zachodzi między takową obserwacją a natężeniem magnetycznym, bardzo jest znaczący. Ponieważ poziomo zawieszona igła, tylko w kierunku południka magnetycznego do spoczynku wraca, a w każdym innym kierunku usiłuje do pierwszego położenia się zbliżyć, przeto skutek siły magnetycznej na igłę, objawia się stale w pewnej prędkości kątowej, ku południkowi magnetycznemu idącej, jaką jej ta siła w każdej chwili udziela, gdy igła wolno zostawioną będzie. Jeżeli igłę o pewny dowolny kąt od południka odciągniemy, a potem ją wolno puścimy, ta zaraz zacznie się około niego kołysać; te kołysania stają się coraz wolniejsze, co dopóty trwa, dopóki igła na południku magnetycznym nie stanie. Prędkość kątowa, jakiej ona wtedy nabyła, oddala ją znowu od tegoż południka w stronę przeciwną, lecz siła magnetyczna działająca wówczas naprzeciw ruchu igły, odbiera jej część nabytej prędkości w taki sam sposób, w jaki jej wprzódobyte

kowąż udzieliła. Prędkość zmniejsza się stopniowo, aż do zupełnego zniszczenia, które w tej chwili następuje, w której igła do położenia początkowemu podobnego, to jest do tego samego kąta z przeciwnej strony południka magnetycznego, dochodzi. W tém miejscu pozostałaby w spoczynku, gdyby jej znowu ciągle działająca siła magnetyczna ku południkowi magnetycznemu nie zbliżała, i drugiego poruszenia, podobnego poprzedzającemu, w przeciwnym kierunku nie sprawiła. W taki sam sposób następuje drugie, potem trzecie i t. d. kołysanie. Ten wykład okazuje, jak dalece siła magnetyczna jest przyczyną ciągłego kołysania się igły. Im silniej ta przyczyna działa, czyli im większa jest siła, która igłę nie będącą na południku magnetycznym ku niemu nakręca, tym większa jest także przez nią sprawiona prędkość kąto-
wa, a przez to samo krótsze trwanie jednego poruszenia. Ponieważ igła na różnych miejscach ziemi odmienne czasy kołysań okazuje, przeto daje nam poznać iż wspomniona siła jest różna, a jej wielkość przez obserwacyą kołysań *porównywaną* być może. Jeżeli magnetyzm *samój igły*, w czasie jej poruszań na różnych miejscach ziemi, żadnej zmiany nie uległ, to różne trwanie kołysań jedynie od różnego natężenia *siły ziemskiej* zbliżającej igłę do południka magnetycznego, pochodzi. Dla porównania skutków tej siły na różnych miejscach ziemi, weźmy igłę starannie namagnesowaną, z jak najtrwarszej stali, i takową ochrońmy przed innym magnesem blisko położonym; igła zachowa swój magnetyzm prawie statecznie, o czem przez sprawdzenie na miejscu w którym wprzód poruszenia uważane były, przekonać się można.

Oprócz Humboldta i inni do tego bogactwa odkryć się przyłożyli, jakoto: *Adolf Erman, Freycinet, Hansteen, Due, Lütke, Sabin*; ale *Humboldt* ma tę zasługę, że zgromadził obserwacye w podróżach całą ziemię opasujących i z nich prawidło wyciągnął na każdy dzień, to jest ściśle oznaczenie magnetyczne tak co do zбочenia jako i natężenia.

Siła którą na różnych miejscach ziemi za pomocą poruszeń poziomo zawieszonę igły porównywamy, w tych tylko punktach jest jej *całkowitą* siłą magnetyczną, gdzie działa na tej samej płaszczyźnie na której się igła porusza, to jest tylko na poziomej. To ma miejsce dla pewnych tylko punktów ziemi, w ogólności zaś siła magnetyczna pochyło względem poziomu działa. W poziomo zawieszonę igle z objawiającej się i poziomo działającej części magnetycznej siły, można *całą* siłę wyznaczyć, gdy nadto, nachylenie rzeczonę igły uważane będzie. Dla zrozumienia, jaki związek zachodzi między dwiema siłami, potrzeba sobie przypomnieć, że *jedną* siłę można zawsze zastąpić przez *dwie* inne, które się wyobrażają przez dwa krótsze ramiona trójkąta prostokątnego, a którego najdłuższe ramie pierwszą siłę wyobraża. Linią którąby nam wyobrażała *całkowitą* siłę, odetnijmy na *ab* w kierunku pochyłym do po-

ziomu *HH*, na którym się ta siła znajduje. Nakreślmy trójkąt *abc* taki, ażeby jeden z je-



go boków krótszych, *ac*, był poziomy, a drugi, *cb*, pionowy; dwa te boki wyobrażać będą siły, poziomo i pionowo działające, których wspólne działanie zastąpi całą siłę *ab*. Ponieważ stósunek dwóch linii *ab* do *ac*, za pomocą kąta zawartego między niemi, to jest nachylenia magnetycznego można wynaleźć, przeto wiadoma będzie *cała* siła *ab*, gdy działająca część jej *ac* z poruszenia igły poznana będzie.

Tym sposobem znaleziono także i natężenie *całkowitej* siły magnetycznej, w tych punktach ziemi, w których poziomo kołyszająca się igła, swoją horyzontalną część wskazała. Z tego poznano, że natężenie nie zachowuje tej samej ważności na wszystkich punktach ziemi, lecz tak znaczne różnice okazuje, iż te od pojedynczej do podwójnej ważności dochodzą. Natężenie siły można również przez linie krzywe na karcie wystawić podobnym sposobem jak się wystawia zboczenie i nachylenie; tak iż *trzy rodzaje* kart, stan magnetyczny ziemi zupełnie naocznie przedstawiać mogą.

Stan takowy nie jest statecznym, owszem okazuje on w sposobie objawiania się a zapewne także w swoich przyczynach wiele różnych odmian. Jedne z tych odmian postępują bardzo leniwo, ale przez długi przeciąg czasu, zawsze w tym samym kierunku, przez co dochodzą do takiej rozciągłości, iż położenie a może i kształt linii magnetycznych na karcie wystawionych, przez to całkiem odmieniają. Tak zboczenie magnetyczne w Londynie w r. 1580, blisko 11 stopni na wschód dochodzące, teraz blisko 24 stopnie na zachód wynosi, i znowu ubywać zaczyna. Nachylenie tamże w r. 1576 było prawie 72 stopni; wzrastało

potem na kilka stopni aż do r. 1720; od owego czasu zmniejszyło się dotąd aż do 69 stopni. Lubo zboczenie i nachylenie do największego stopnia doszedłszy, potem znowu maleją, i lubo wszystkie wielkie zmiany w naturze, jako peryodycznie wracające uważają się, obserwacye jednak, żadnego dotąd dowodu za powrotem stanu magnetycznego ziemi nie okazały, a tym mniej peryodu jego nie oznaczyły. W ogólności wiemy tylko, iż ta wielka zmiana znajduje się w naturze.

Drugi rodzaj zmian stanu magnetycznego ziemi, objawia się w codziennie odnawiającym się kołysaniu igły, któryto stan o tyle tylko śledzonym został, o ile się takowy *w zboczeniu* okazuje. W naszych okolicach stałego lądu, codziennie zrana pokazuje igła zboczenie największe wschodnie, a po południu największe zachodnie. Na wielu miejscach obserwacye nieprzerwanie prowadzone okazały, że wielkość zmiany dziennej w zboczeniu, odmienia się z porami roku. Z szeregu obserwacyj codziennie od godziny 8ej zrana, do godziny 1ej po południu czynionych w Giettyndze a zaczętych najprzód przez *Gaussa* potem przez sześć lat prowadzonych przez *Dra Goldschmidt*, wypada: iż w kwietniu zboczenie jest największe, a w grudniu najmniejsze: pierwsze 15 minut, drugie 5 minut wynosi. W okolicach ziemi zwrotnikowych dzienna zmiana jest mniejsza, na półkuli zaś południowej w ogólności zdaje się iż zrana zachodni, po południu kierunek wschodni siły magnetycznej ma miejsce. W nocy w ogólności następują daleko mniejsze zmiany tego rodzaju, aniżeli w dzień. Zmian dziennych, co do *średniego* kierunku igły, zależącego od

pór rocznych, dotąd jeszcze obserwacye z pewnością nie wykryły.

Trzeci rodzaj zmian stanu magnetycznego ziemi, jest ten, który się objawia niezależnie od dni i pór rocznych; następuje on całkiem niespodzianie, powiększa się lub zmniejsza także niespodzianie; zmiana ta sprawia, iż *np.* poziomo zawieszona igła, ciągle swój kierunek zmienia, często wprawdzie mniej widocznie, niekiedy jednak w kilku minutach na pół lub więcej stopnia. Te szybkie zmiany musiały obudzić uwagę od czasu jak *Coulomb* nietylko przez zawieszenie na jedwabnej nie skręconej nitce, igły, tak ją czułą zrobił, iż ta najmniejsze zmiany kierunku siły magnetycznej wskazać mogła, ale nadto takową przez dodanie mikroskopu, dla poznania i mierzenia tychże zmian zaopatrzył; to urządzenie później przez znakomitego mechanika *Gambeja* znacznie udoskonalone, większego upowszechnienia nabyło. Poruszenia igły o których tu mowa, okazują się podobnemi do tych, jakieby pochodziły z przyciągania małych blisko znajdujących się, bez porządku i celu poruszanych mass żelaza. Jednak to zjawisko ściślej zgłębiającego badacza nie uwiodło; nie mogło się przed nim ukryć, że niespodzianie i nagle zachodzące zmiany, nie są miejscowemi przeszkodami co do kierunku igły, lecz skutkiem wpływów na tęż, które się w najodleglejszych punktach ziemi *równocześnie* objawiają. Humboldt zamierzonym przez siebie śledzeniem ruchu igły co pół godziny, przez nagłe w tęże okazujące się przeszkody, jeszcze w r. 1806 i 1807 za pomocą mających się przedsięwziąć obserwacyj na wschód i na zachód względem miejsca swego pobytu

i porównania równoczesnych obserwacji, spodziewał się podać wyjaśnienie natury tych zmian; jego jednak wówczas długi pobyt w Paryżu i wypadki polityczne, nie dozwoliły mu dokonać tego zamiaru: dopiero przez uderzające wypadki do jakich *Arago* przyszedł, na nowo badania nad magnetyzmem ziemi ważności nabrały. Wielki ten fizyk, prawidła do rozleglejszego sledzenia zjawisk magnetycznych w Paryżu podać przedsięwziął, z czego wynikało, iż on dawniejszym pomysłom o wpływie zorzy północnej na igłę magnesową, nową wagę przydał, i okazał iż wpływ zorzy nie ogranicza się tylko na okolicach ziemi gdzie ona jest widzialną. *Kupfer* w Kazanie, podczas zjawienia się zorzy północnej, uważał zmiany w igle magnesowej, a porównanie jej ruchów w tymże czasie w Paryżu dostrzeganych, okazało po raz pierwszy *równoczesność* zmian igły w obudwu miejscach. W latach 1828—1830 *Humboldt* uskutecznił szereg obserwacyj, który w dniach poprzednio umówionych, śledził ruch poziomy igły w Berlinie, Frejbergu (w szybie głębokim na 35 sążni pod ziemią), Petersburgu, Kazanie, Mikołajewie, w Marmato (w Kolumbii) i jej kierunek co godziny podał, i przykłady przytacza równoczesnych zmian, nietylko większych, sprawionych przez widzialne zorze północne, ale także mniejsze przeszkody bez widocznych zjawisk. Jednak od r. 1836 usiłowaniam Gaussa i jego współpracownikom winni jesteśmy dokładniejszą jeszcze znajomość tych osobliwych niejednostajnych ruchów. Używał on igieł magnesowych większego ciężaru, aniżeli to dotąd w zwyczaju było; igły te (albo raczej pręty żelaza namagnesowanego) na długich nitkach nie skręconego

jedwabiu, w pokoju usufitu zawieszono bywają; ich zaś kierunek nie mikroskopem, ale ze znacznej odległości lunetą się uważa; luneta takowa skierowana do zwierciadełka utwierdzonego na jednym końcu igły, odbity obraz podzielonej miary u dołu pod teodolitem będącej wskazuje. Uważanie tym sposobem kierunku igły nierównie jest pewniejsze, aniżeli igłą magnesową *Gambeja*, i ma tę korzyść, że jej poruszenia z większej odległości widziane być mogą, przez co nagłe zmiany, jakie bliskość obserwatora i ciąg powietrza przez ciepło jego ciała sprawione, tracą swój wpływ szkodliwy na kierunek igły. Później *Gauss* wynalazca tego sposobu, przez trafne zastosowanie aparatu dającego poznać zboczenie igły magnesowej i jej zmiany, przydał drugi jeszcze polegający na nowej i użytecznej zasadzie, za pomocą którego można także i zmiany w poziomem natężeniu z równą ścisłością i łatwością poznać. Porządek w szeregu obserwacji tak jest zaprowadzony, iż wszyscy obserwatorowie, gdziekolwiek się znajdować mogą, podania swych narzędzi, w dniach poprzednio umówionych i epokach zupełnie równych, co 5 minut zapisują. Taki ciąg obserwacji od 4 lat prowadzony, dał już poznać bytność przeszkód siły magnetycznej ziemi w najdrobniejszych szczegółach, o ile się takowe w zboczeniu i natężeniu poziomem objawiają. Ciąg ten obserwacji dostarczył licznych dowodów *równoczesności*, mniejszych i większych, prędzej lub wolniej okazujących się i niknących wpływów na igłę magnesową; okazał nadto, że te zmiany w ogólności w północnych krajach Europy są większe, aniżeli w południowych, a przez to nauczył, że ich przyczyn głównie na pół-

nocy szukać należy, dał także poznać wyjątki od tego prawidła, które według prawdopodobieństwa okazują, iż te zmiany lubo głównie, jednak nie wyłącznie z okolic biegunowych ziemi pochodzą.

Różnego rodzaju zjawiska magnetyzmu ziemskiego, zgłębiane drogą obserwacji, dostarczyły zasobów które wprzódry dokładnie porównać wypada, nim więcej lub mniej dokładne wyjaśnienie tej dziwnej własności ziemi przedsięwziętem będzie. Nie ma tu mowy o odpowiedzi na pytanie, dlaczego ziemia posiada magnetyzm, gdy i bez niego mogłaby się utrzymać, ani o zbadaniu *pierwszej przyczyny* samej siły magnetycznej, która zawsze dla nas będzie taką tajemnicą, jak pierwsze przyczyny wszystkich sił. Wyjaśnienie tylko będzie zależało na śledzeniu związków między *najprostszemi* zjawiskami tejże samej siły, którą na widok chcemy wystawić, a zjawiskami *zawikłanemi*, które kula ziemską przedstawia.

Według najnowszej i tylko na samych obserwacjach opartej karty, którą *Adolf Erman* podał, a królewskie Londyńskie towarzystwo umiejętności ogłosiło, linia łącząca punkta na powierzchni ziemi, w których igła zboczenia nie ma, albo gdzie siła magnetyczna poziomo działa w kierunku zupełnie od północy na południe, wychodzi z niedostępnych lodów biegun północnego, przechodzi przez Białe morze, Rosyą, morze Kaspijskie, ciągnie się przez półwysep Indyjski z tej strony Gangiesu, zwraca się znowu potem na północ, przecina półwysep z tamtej strony Gangiesu, idzie blisko stepów północnej Syberyi, z kąd też między Kamczatką a Japonią, znowu do półwyspu z tamtej strony Gangiesu przechodzi; potem

znowu morze Indyjskie i Nową Holandją przerzyna i w końcu na południowem kole dalej już śledzona być nie może. Lecz znowu widoczną się staje na morzu Amerykańskiem, gdzie z lodów wychodzi, ciągnie się przez Brazylią, morze Antyllów, przez Stany zjednoczone Ameryki północnej, odnogę Hudsonską i ztąd wraca do lodów północnych, z których jej kierunek się rozpoczął. Podobne ale również uderzające i nie jedno-stajne ciągi, mają inne linie zboczeń, to jest linie krzywe łączące te punkta ziemi, gdzie zboczenie ma oznaczoną wartość, np 10, 20, 30 stopni i. t. d. wschodnie lub zachodnie.

Wyjaśnienie przeto ma te wszystkie zakręty linii zboczeń odwikłać, ma takowe uważać jako wypadki szczególnych własności, które siłę magnetyczną w jej *najprostszym* *pojawię* cechują. Ale toż samo wyjaśnienie, ma jeszcze większy pożytek przynieść, ma ono także śledzić ciąg linii *nachyleń* i *nateżeń*, ma zdać rachunek ze zmian jakich te wszystkie linie doznają, bądźto ze zmian z postępem czasu zbierających się, bądź też w każdym dziennym peryodzie powracających.

Z wyjaśnienia sposobów, za pomocą których nateżenie magnetyczne na wielu punktach ziemi porównanem było, wynika; że te porównania opierają się na tem przypuszczeniu, iż magnetyzm samej igły w ciągu jej porównywania, żadnej zmiany nie uległ. To przypuszczenie można za dozwolone uważać, wtenczas, gdy przedział czasu jest krótki, a igła z przynależną ostrożnością zrobiona i używana była; wszelako traci ona swą pewność, gdy jest mowa o porównaniach, między któremi długi czas upły-

wa: jakoż doświadczenia *Wilhelma Webera* zdają się okazywać, że każda odmiana co do ciepła igły, małe pozostające w niej zmniejszenie siły magnetycznej zrządza. Jeżeli zatem zmiany nie tylko co do kierunku siły magnetycznej, której wykrycie przez obserwacye żadnej przeszkody nie stawia, ale przede wszystkim także jej natężenie poznane być mają, potrzeba użyć takiej metody, któraby dała poznać te ostatnie niezależnie od przypuszczenia niezmienności igły. Tą użyteczną metodę odkrył *Poisson*, a *Gauss* zastosowania jej poczynił, i przez to swoje wielkie pomysły o nauce magnetyzmu ziemi objawił.

Ponieważ igła magnesowa poziomo zawieszona, okazuje siłę skręcenia, której wielkość przez uważanie czasu kołysań zmierzoną być może, nadto ta siła skręcenia jest większą lub mniejszą w takim samym stosunku w jakim siła magnetyczna igły, albo siła magnetyczna ziemi będzie większą lub mniejszą, więc ważność jaką jej obserwacye wskazują, jest *iloczynem* obudwóch sił. Gdyby prócz tego *iloczynu* dwóch czynników, także *stosunek* między niemi przez obserwacye wykryć można, wtedy możnaby je rozłączyć, to jest każdą *oddzielnie* wyznaczyć. Od wynalezienia tego stosunku, cała ta metoda zależy. Wymaga ona drugiej igły magnesowej, której siła skręcenia przez obserwacye się wyznacza; również wyznacza się i ta siła skręcenia, gdy igła na działanie magnetyczne ziemi wystawiona będzie, nareszcie i ta siła jaką w niej blisko postawiona pierwsza igła zrządza. Pierwsza z tych sił skręcenia, jest *iloczynem* siły magnetycznej ziemi i drugiej igły; druga jest *iloczynem* magnetycznych sił obu igieł; ich *stosunek*

jest oczywiście stósunkiem siły magnetycznej ziemi i pierwszej igły, jestto więc ten sam *stósunek* który poznać należy, ażeby z jego połączenia z wyznaczonym w początku *iloczynem* sił magnetycznych ziemi i pierwszej igły, te obiedwie siły w szczególności zbadać. To jednak nie wprzód nastąpi, aż jasnie się wystawi prawidło, według którego sama siła magnetyczna w swoim najprostszym pojawie działa. Nie żelazo magnetyczne jest przyciągane od igły magnesowej, lecz inna igła magnesowa będzie od niej *przyciąganą* lub *odpychaną* według tego, jak koniec północny jednej do końca południowego drugiej albo końce jednoimienne dwóch igieł, do siebie zbliżane będą. Jeżeli igła magnesowa na kilka sztuk podzieloną będzie, to każda oddzielna sztuka okaże też same własności, jakie cała igła okazywała, z czego wnosi się, że magnetyzm jest siłą, która nietylko na końcach igły ma swoje siedlisko, ale i w każdej znajduje się *jęj części*.

Ponieważ igła, przed namagnesowaniem, żadnego znaku siły magnetycznej nie objawia, a potem takową okazuje, wynika z tego, że magnesowanie wprowadza zmianę w jej cząstkach. Ilość cząstek materialnych samej igły przez tę czynność się nie zmienia, gdyż ciężar igły, przed i po namagnesowaniu pozostaje tenże sam. Wszelako, w pojedynczych cząstkach igły zachodzi zmiana *przez oddzielenie się* dwóch w każdej cząstce, równych co do ilości, płynów, które przed namagnesowaniem razem złączone z sobą były; a z tych jedna okazuje polarność północną, druga południową. Ażeby sobie to wyobrażenie uzmysłowić, każdą pojedynczą czą-

stkę uważać można jako małą kulkę. Dopóki w jednej takiej kulce obadwa płyny jednako są rozłożone, wtedy jeden neutralizuje drugi, przez co kulka nie okaże ani jednej ani drugiej polarności; lecz gdy płyny rozłączone zostaną, i jeden z nich na jednym końcu średnicy kulki, a drugi na drugim się zbierze, średnica ta stanie się przez to osią magnetyczną cząstki, i wtedy pokazuje polarność, to jest kieruje się (gdy kulka wolno obracać się może) według siły magnetycznej zewnątrz niej działającej, i tym silniej się objawia, im dalsze jest rozdzielenie dwóch płynów, albo im mocniejsze jest ich zebranie po obu końcach. Podług tego wyobrażenia, ciała dające się magnesować są te: w których przez zetknięcie z magnesem, albo przez jego bliskość, rozdzielenie dwóch płynów sprawionem być może. W jednych ciałach rozdzielenie to pozostaje stałem, w drugich znika z ustaniem magnesowania; stal hartowana należy do pierwszych, zupełnie miękkie żelazo do ostatnich.

To wystawienie siły magnetycznej godzi doświadczenie, że każda *najmniejsza cząstka* igły magnesowej ma *obie polarności*, że te polarności z ciał dających się magnesować wywołane być mogą. Czy to tłómaczenie fizycznie jest ściśłem, tego nie można rozstrzygnąć; dopiero wtedy należałoby je zaniechać a innych szukać, gdyby go śledzenie w jakimkolwiek zjawisku magnetycznym, do sprzeczności z obserwacją prowadziło. Dopóki to nie nastąpi, można je uważać, równie jak inne doświadczeniu zadość czyniące, jako środek za pomocą którego przejście od najprostszego zjawiska magnetycznej siły do zawilszego, ułatwić można. Lecz to przejście oprócz

wystawienia, wymaga jeszcze znajomości prawa, na mocy którego, siła przyciągania dwóch różnoimennych i odpychania jednoimiennych płynów, z odległością się zmienia. Że to przyciąganie i odpychanie, nie tylko w samem bezpośredniem zetknięciu ma miejsce, ale się i w pewnej odległości objawia, to okazuje igła magnesowa na nitce zawieszona, której północny albo południowy koniec, od końca północnego albo południowego drugiej igły już daleko przed zetknięciem odepchnięty, albo od końca południowego lub północnego przyciągnięty będzie. Prawo, według którego siła odpychająca dwóch cząstek jednoimennego płynu i odpychająca dwóch cząstek różnoimennego zachowuje się, jest w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości; to jest, gdy dwie cząsteczki odpychające się albo przyciągające jednego lub drugiego płynu, wzajemnie na siebie działają, i te oddalone od siebie będą na dwa, trzy, cztery, i t. d. razy większą odległość, to ich działania na siebie, zmniejszone będą w stosunku jak 1, $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{9}$, $\frac{1}{16}$, i t. d. Jest to także samo prawo którego *Newton* dowiódł w przyciąganiu ciał niebieskich. W siłach magnetycznych prawo to nie przez analogią przyjętem zostało, lecz *Coulomb* i *Hansteen* przez własne obserwacye widocznem je okazali; a *Gauss* tak je uporządkować potrafił, iż ich moc przekonywająca przez to stała się zupełną.

Skoro prawo działania dwóch sił magnetycznych jest widocznem, na mocy tegoż, można dalsze śledzenie zachowania się magnetycznego ciała opierać, to jest dochodzić mocy i kierunku polarności, jaka się na dowolnych punktach otaczającej go przestrzeni

objawia. Poprowadziwszy płaszczyznę przez środek którejkolwiek cząstki ciała, tak iżby oś magnetyczna cząstki prostopadłą do niej była, wtedy po jednej stronie tej płaszczyzny gdzie jest biegun północny cząstki, objawia się polarność północna, a po drugiej stronie polarność południowa. Względnie wszystkich punktów na pierwszej stronie tej płaszczyzny, biegun północny cząstki jest *bliżej*, aniżeli jej biegun południowy, przez co pierwszy okazuje polarność północną *silniej*, aniżeli drugi jej przeciwną polarność południową; tak iż gdy ostatnią jedną jej część równą pierwszej zniszczyła, pozostaje jeszcze druga jej część; przeciwnie dzieje się po drugiej stronie płaszczyzny, gdzie polarność południowa przeważa. *Kierunek* przeważającej polarności zmierza ku magnetycznej cząstce; jej zaś moc zmniejsza się w miarę jak punkt na który działa oddala się od cząstki magnetycznej i od wspomnianej płaszczyzny; gdy oddalenie punktu jest stałem, moc jest największa w kierunku magnetycznej osi cząstki. *Każdu* jednak cząstka ciała w podobny sposób działa; magnetyczne przeto działanie całego ciała, nic innego nie jest tylko summą wszystkich działań jego pojedynczych cząstek. Z tego łatwo pojmujemy, że magnetyczne działanie pewnego ciała, na którykolwiek punkt przestrzeni, przez summowanie działań jego cząstek znalezionem być może, gdy moc magnetyczności każdej z nich i kształt ciała dane będą. Prosty przykład widocznie to okaże. Niech igła bardzo cienka, i w całej swej długości zarówno silnie namagnesowana, podzielona będzie na nieskończoną liczbę równych części, tyleż równych między sobą igieł tworzących. Na prze-

dłużeniu igły, za jej końcem północnym, wywiera ona widocznie polarność północną, gdyż każda jej cząstka wywiera takową; ponieważ jej biegun północny bliżej jest niż biegun południowy, przez to samo *silniej* działa niż mu przeciwny, tak iż pewna przewyżka siły ztąd powstaje. Działanie całej igły, jest summą wszystkich tych przewyższek północnej polarności: jest ona tym większą im punkt na który działa, bliżej się znajduje północnego końca igły, albowiem *każda* cząstka igły w miarę jak jest bliższa, pozostawia większy nadmiar północnej polarności. Na przedłużeniu igły za jej końcem południowym dzieje się podobnie, z tą tylko różnicą, że tu przeważająca polarność jest południowa. Na punkcie między dwoma końcami igły położonym, okazujące się magnetyczne działanie, może być łatwo do wspomnionego dopiero sprowadzone. Jaśniej się powie, gdy na długość igły jedną stopę (12 cali) weźmiemy, a jej działania szukać będziemy w punktach, które na 1, 2, 3, 4, 5 cali od jednego lub drugiego jej końca są oddalone. Założmy że punkt, którego działanie poznać chcemy, oddalony jest na jeden cal od końca północnego igły; cal ten wywrze polarność południową, ponieważ konce południowe jego pojedynczych cząstek najbliższe są wtedy igły; następny dalszy cal igły od jej końca wywiera również silną północną polarność, obie zaś polarności zniszczą się zupełnie, i działanie całej igły będzie także samo jak pozostałych jej 10 cali. Szukane działanie na punkt położony o jeden cal od północnego końca igły (12-calowej) ku jej środkowi, jest zupełnie takie jakieby 10-calowa igła wywierała na punkt odległy

o jeden cal za jej końcem północnym. Jeżeli punkt zamiast na jeden cal, będzie na 2, 3, 4, 5 cali oddalony od końca północnego ku jej środkowi, to działanie jakiegoby on doznał, na mocy tych samych uwag byłoby równe temu, jakieby podobne igły na 8, 6, 4, 2 cale długie, w odległości 2, 3, 4, 5, cali za końcem północnym działanie wywierały. Te przeto działania maleją z oddaleniem punktu od środka igły, a to z dwóch przyczyn: ze skrócenia działającej części igły, i z jej większego oddalenia; w miarę jak punkt w połowie północnej igły ku jej środkowi się zbliża, doznaje on coraz słabszej północnej polarności, w samym środku igły znika takowa zupełnie; dalej poza środkiem ku południowemu końcowi igły, panuje południowa polarność, zupełnie tak, jak pomiędzy środkiem a końcem północnym, polarność północna.

Co tutaj dla wyjaśnienia najprostszego przypadku się powiedziało, nie jest dostatecznym do wskazania drogi, jakiej się w podobnych poszukiwaniach w mniej prostych przypadkach trzymać należy; to jednak wystarczy do pokazania iż zjawiska magnetyzmu ciała na różnych punktach otaczającej go przestrzeni, bardzo są odmienne, że raz jedna, to znowu druga polarność przeważa, że równej zmianie moc i kierunek ich objawiania się, idąc od jednego punktu do drugiego, ulegają, i aż do zupełnej przemiany przechodzą. To okazywanie się magnetyzmu ciała na pewny punkt, polega zatem na przewyżce działań jednego magnetycznego płynu nad drugi, to jest na wolnym wypływie pierwszego; dlatego ten *wolnym magnetyzmem* ciała się zowie. Ten wolny magnetyzm jest to właśnie ta cecha, po której się jedynie poznaje

stan magnetyczny ciała, a zatem to co za pomocą samych tylko obserwacyj pozuanem być może.

Ponieważ działanie magnetyczne albo wolny magnetyzm ciała, na którykolwiek punkt znalezionym być może przez summowanie działań wszystkich jego niezliczonych cząstek; przeto rachunek integralny podaje sposób poznania summy mnóstwa cząstek w całości, lecz o jego przystósowaniu wtedy dopiero mówić można, gdy cząstki summować się mające wiadomemi będą. Przez stósowanie analizy do działania magnetycznego ciała, rozumiemy to, iż sztuka ruchunkowa może je wykryć, gdy wiadomem będzie, jak działanie podobne każda jego cząstka wywiiera, i jaki kształt wszystkie te cząstki ciała nadają. Ostatni może być poznany przez wymiar ciała, ale pierwszy nigdy bezpośrednio nie da się wykryć. Jak mało sam kształt ciała może dać poznać jego stan magnetyczny, to łatwo widzieć można na pręcie stalowym namagnesowanym, którego długość i figura przecięcia są dane. Jego wolny magnetyzm łatwo można obrachować, gdy założymy, że jego cząstki są wszędzie zarówno namagnesowane i gdy nadto z innych prostych założeń co do tego wyjdziemy; każde takie przypuszczenie da poznać jednostajny postęp natężenia wolnego magnetyzmu, między dwoma końcami pręta; rzeczywiście jednak, nigdy się nie zachowa według tego przypuszczenia, lecz ciągle objawiać się będą niejednostajności, które powstają z nierównego magnesowania wewnątrz, i te tak dalece iść mogą, iż na długich prętach wiele przemian obudwu polarności postrzedz można.

Ta uwaga prowadzi do zjawisk, jakie nam przedstawia wielka magnetyczna kula, którą zamieszkujemy. Niejednostajny ciąg linii krzywych za pomocą których kierunek i moc wolnego magnetyzmu ziemi wystawić można, okazuje, że rozłożenie magnetyzmu wewnątrz ziemi, nie idzie podług prostego prawa. Do uważania takiego stanu, upoważnia nas znajomość jaką dotąd mamy o składzie ziemi, to jest o jej powierzchni, albowiem ta ostatnia przedstawia nam odmiany w rodzaju gór, z których jedne są magnetyczne, drugie wcale nie, albo magnetyczne w tak słabym stopniu, iż go dostrzedz nie można. Podobnie leniwsze i prędsze zmiany wolnego magnetyzmu ziemi, które nam obserwacya wykrywa, dowodzą że ich własność magnetyczna ciągle się odmienia. Trudno jest ażebyśmy kiedyś przyszli do zupełnego zgłębienia tego coby poznać należało, ażebyśmy ztąd jedynie drogą samego rachunku doszli do poznania wolnego magnetyzmu, który się na każdym punkcie powierzchni ziemi okazuje. Do *teoryi* należy zadanie, jak takowe wypadki z uważanych zjawisk odnieść do ich przyczyn, które jedynie przez *prawo* działania magnetycznej siły usprawiedliwione być mogą, a następnie dla każdego dowolnego rozłożenia magnetyzmu ziemi zarówno są prawdziwemi.

Teorya ile razy dochodzi związku między zjawiskami przyrodzonymi a przyczynami, zawsze ma do rozwiązania podobnego rodzaju zadanie. Zadanie to, dopóty nie może się w swoim prawdziwem świetle okazać, dopóki obserwacya z jednego, wprzód niezważanego zjawiska, tyle danych nie wykryje, że te do-

stateczne będą do dojścia jego przyczyny. Dopóki to nie nastąpi, zadanie będzie raczej zagadką. Jakkolwiek hipotezy czyli przypuszczenia nie tłumaczą prawdziwie przyczyn zjawisk, ani ich zupełnie wyjaśniają, wszelako badania za ich pośrednictwem nie są bez pożytku, założenie bowiem w tym razie, zastępuje samą obserwacyą. Wszak *Kopernik*, szukając prostej hipotezy z którejby mógł wytłómaczyć związek zawikłanych zjawisk biegu planet, znalazł takową w nieporuszonem stanowisku słońca i w excentrycznie opisywanych drogach kołowych planet około niego. *Kepler* poznał, że to założenie w ogóle tylko obserwacyom zadość czyni, i już za jego czasów można było okazać że ciała niebieskie biegi swoje nie po kołach, ale według jednego prawa dla wszystkich, po ellipsach odbywają. Dowiódł on, że założenie to wszystkiemu co obserwacye planet pod względem ich biegów wykryły, zupełnie zadosyć czyniło, a przez to zastąpił swojemi prawami same obserwacye. *Newton* nareszcie wzniosł się do *wytłómaczenia* budowy świata, albowiem odkrył *siłę*, z działania której prawa Keplera koniecznie wypaść musiały, i które zjawiskom zadosyć czynić miały, gdy z niemi te prawa były zgodne. W podobny sposób, ale nie z równym skutkiem w dochodzeniach nad wytłómaczeniem stanu magnetycznego ziemi, postępowano. *Euler* i *Tobiasz Majer* chwycili się tego założenia, że na różnych punktach ziemi uważane kierunki siły magnetycznej (o jej bowiem nateżeniu przed Humboldtem mowy nie było) dadzą się wytłómaczyć przez działanie magnesu znajdującego się wewnątrz ziemi. Te jednak próby nie

byłyby robione, gdyby zawite ciągi magnetycznych linii były za ich czasów tak znane jak teraz; wszelako powodzenie ich byłoby nierównie mniejsze od tego, jakie *Kopernik* przez proste założenie biegu planet osiągnął. *Hansteen*, od czasu jak ważną przystępkę zrobił, gdy po zebraniu z wielką pilnością wszystkich znanych obserwacyj, zjawiska siły magnetycznej ziemi bliżej poznał, przekonał się o niedostateczności początkowego założenia i takowe zmienił na inne, to jest przyjął, iż wewnątrz ziemi znajdują się dwa magnesy; jakoż położenie i względną siłę dwóch magnesów można tak dobrać, iż przez to zjawiskom lepiej się zadość uczyni, aniżeli przez przyjęcie jednego tylko magnesu. Pomyślny jednak skutek z przyjęcia tego założenia dalekim jest od tego, jaki nam *Kepler* przez swoją poprawę układu *Kopernika* wprowadził; nie osiągnięto bowiem przez to prostszego wyrażenia, któreby mogło same obserwacje zastąpić, i w najprostszej formie wskazać to, co *tłómaczenie* nastęrczyło. Ten, który nie mając takiej pomocy, na tym stopniu się postawił, z którego *Newton* układ świata wyjaśnił, jest *Karól Fryderyk Gauss*; on pomija wszelkie przypuszczenia, aby tylko niewątpliwe warunki śledzić, którym zjawiska siły magnetycznej na powierzchni ziemi, *samym prawom tychże* podlegają.

Przyjmuje on znane prawo działania magnetycznej siły, to jest, że obydwa magnetyczne płyny, podług tego, jak są jedno lub różnoimienne, nawzajem się odpychają lub przyciągają z taką mocą, iż w różnych oddaleniach działania idą w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości. Nie idzie tu o podanie *w ja-*

ki sposób cząstki magnetyczne ziemi w jej massie są rozłożone, a tym mniej o przyjęcie że ich rozłożenie jest zupełnie jednostajne, bo raczej wątpić nie można, że ten rozkład całkiem jest nierówny, że pewne części ziemi są silniej namagnesowane, gdy przeciwnie inne, blisko nich położone, żadną, albo tylko małą posiadają magnetyczność. Ponieważ tłumaczenie okazujących się zjawisk magnetycznych na ziemi, nie ze znajomości magnetyzowania ciał wywieść się daje, przeto tłumaczenie to opierać się tylko może na mocy obserwacyj tyczących się szczególnych przypadków takich ogólnych własności każdego magnetycznego ciała, które są koniecznymi wypadkami prawa samejże siły magnetycznej. Aby widocznie okazać jakiego *rodzaju jest środek*, który prawo siły tutaj nastęczyć może, dość przypomnieć prawo ciężenia powszechnego i jego *konieczne* następstwa, to jest że ciała niebieskie według oznaczonego prawa, po drogach eliptycznych krążą; gdy jest mowa o tych obserwacjach, znamy już *naprzód* wspomnianą ich własność, np. uważając nowo zjawiającą się kometę, potrzebujemy obserwacyj nie dla wyszukania jej, ale do otrzymania tego co drogę jej eliptyczną od takiejże drogi innego ciała niebieskiego odróżnia. Jeżeli się uda wykryć własności *powszechne* działania magnetycznego ciała, takie, jakie się na jego powierzchni okazują, to na wzór powyższego przypadku, z porównania obserwacyj na powierzchni ziemi wykonanych, można rozpoznać, co *ziemię* pod względem magnetycznym od innych ciał magnetycznych odróżnia. To przejście od ogółu do szczegółu, *jest wyjaśnieniem magnetyzmu ziemi.*

Ponieważ działanie odpychające i przyciągające siły magnetycznej i skutek powszechnego przyciągania, w różnych odległościach zupełnie się tak samo zachowują, to jest obydwaj idą w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości, w ogóle zatem obydwaj jednakowo się objawiają na powierzchni ciała, którego pojedyncze zrodziły je cząstki, i tylko dlatego okazują rozmaitego rodzaju zjawiska, że każda magnetyczna cząstka, na każdy z dwóch magnetycznych płynów, odpychanie i przyciąganie, a ogólne przyciąganie materji, tylko to ostatnie wywiera. Tożsamość praw obydwu sił, sprawia że dochodzenie działań powszechnego przyciągania na powierzchni ziemi, które *Laplas* w swojej *Mechanice niebieskiej* w taki sposób zgłębiał, iżby już to samo-niesmiertelność mu zapewniło, nastęrcza szereg przedmiotów, które wszędzie podobieństwo okazują z temi, jakie sledzenie magnetyzmu ziemi przedstawia.

Dwa tu z tych przedmiotów są ważne. Wszystkie cząstki ciała, z których każda w szczególności według prawa którego mamy dochodzić działa, wywierają całkowite działanie na każdy punkt, to jest siłę, którą gdy poznamy (tak co do jej natężenia jako i kierunku), tem samém działanie całego ciała wiadome będzie. *Laplas* zamiast brać natężenie i kierunek tej siły za przedmiot swych badań, obrał wielkość taką która dla każdego punktu, gdzie jej szukamy, ma oznaczoną ważność, i posiada własność, iż moc i kierunek siły działającego ciała, a następnie i siłę jaką ono w każdym dowolnym kierunku wywiera, mieści w sobie, w taki sposób, iż ją przy po-

mocy łatwego rachunku wynaleść można. Przez to osiągnął on tę główną korzyść, iż okazywanie się siły w każdym kierunku, nie ze szczególnego dochodzenia wyprowadzać należy, ale że *jedno* poszukiwanie, wszystko wskaże, co względem siły ciała wiedzieć chcemy, gdy toż poszukiwanie do tego doprowadzonym zostanie, iż wspomnianą wielkość, na każdy punkt przestrzeni da poznać: tą wielkością jest summa sił wszystkich części ciała, podzielonych przez odległość cząstki od tego punktu, którego samą siłę, albo jedno z jej zjawisk, poznać chcemy. Zmiana, jakiej jej ważność dozna, gdy punkt do którego się odnosi, dowolnie lecz o bardzo małą ilość cofniętym zostanie, część całkowitej siły da poznać w tym kierunku, w którym zmiana punktu nastąpiła. Ponieważ ta wielkość mieści w sobie wszystkie zjawiska sił, które od ciała pochodzą, stanowi przeto właściwy przedmiot badań, i potrzebuje oznaczenia właściwem nazwiskiem; dlatego *Gauss* wielkość tę nazwał *potencjalną*. Wprowadzenie wielkości potencjalnej w uwagę działania sił ciała, jest *pierwszym z dwóch przedmiotów badań Laplasa*.

Drugi z tych przedmiotów odnosi się do kształtu wyrażenia wielkości potencjalnej. Ponieważ ważność jaką *potencjalna* dla pewnego oznaczonego punktu zawiera, odmienia się z odmianą położenia tegoż punktu, dlatego jej wyrażenie powinno mieścić w sobie takie wielkości, które do oznaczenia punktów są potrzebne. Jeżeli położenie tego ostatniego oznaczone będzie, przez jego oddalenie od środka ziemi i przez kierunek pod jakimbyśmy z tegoż środka punkt ten widzieli, a zatem przez długość i szerokość gieogra-

liczną, wyrażenie przeto potencjalnej powinno te trzy wielkości w sobie mieścić i mieć tę własność, iżby z niego dla każdego punktu odpowiednia ważność potencjalnej wynikała, gdy na odległość od środka, szerokość i długość odpowiednie ważności położymy.

Temu wyrażeniu potencjalnej *Laplas* taką umiał nadać formę, że je wystawia jako sumę szeregu pojedynczych wyrazów tej własności, iż w miarę jak dalej postępują, coraz *mniejszemi* się stają, tak, iż kilka pierwszych jego wyrazów, ważność potencjalnej, prawie dokładnie dają; przybliżenie to, coraz dalej posunąć można, w miarę jak nowe wyrazy do znalezionych już wprzód przydane będą. To służy dla wszystkich punktów tak na powierzchni ziemi, jako też i zewnątrz niej położonych, lubo postęp zmniejszania się wyrazów szeregu będzie tym większy, im dalej od ziemi punkta leżeć będą. Ta własność wyrażenia potencjalnej jest *ogólną*, to jest mającą zawsze miejsce, jakiegokolwiek będzie rozłożenie sił wewnątrz ziemi. Wiemy przeto, bez żadnego przypuszczenia o rozłożeniu siły magnetycznej ziemi, że jej magnetyczna potencjalna względnie dla każdego punktu jej powierzchni, ma wyrażenie zależne od jego długości i szerokości geograficznej, z coraz *mniejszych* wyrazów złożone. Okazać teraz wypada jakim sposobem *Gauss* za pomocą tej ważnej własności, do wyjaśnienia magnetyzmu ziemi doszedł.

Co do pierwszej, coraz bardziej malejącej części wyrażenia magnetycznej potencjalnej ziemi, można w ogóle okazać, że ona jest sumą trzech wielkości z których każda *w odmienny sposób* przez *pewny czynnik*, zawisły od długości i szerokości geograficznej

jest mnożona; inny zaś czynnik, który ona zawiera, zależy od rozłożenia magnetyzmu ziemi, i ten jest nieznanym, gdyż i rozłożenie samo jest niewiadome. Pierwsza część wyrażenia potencjalnej, zawiera *trzy* nieznanne wielkości. Co do części drugiej, można okazać, że ta zawiera 5 niewiadomych; o następnych zaś to: iż każda z nich o dwie niewiadome zawiera więcej aniżeli poprzedzająca. Te nieznanne wielkości sprawiają, iż ogólna teoria dająca się stosować do *wszystkich* magnetycznych ciał, jest zupełnie nieoznaczona, albowiem ważność jej, równie od kształtu każdego ciała, jako i od sposobu rozłożenia w nim magnetyzmu zależy. Jej oznaczenie da się tylko z obserwacji wyprowadzić, gdyż ta tylko właśnie, zdolna jest magnetyczny stan każdego ciała odgadnąć. Co do ziemi, obserwacje czynione na jej powierzchni, dają zboczenie, nachylenie i natężenie. Każda uważana wartość jednej z tych wielkości na pewnym punkcie ziemi, którego szerokość i długość geograficzna jest dana, porównana z odpowiedniem ogólnem wyrażeniem potencjalnej, dostarcza równania które posłuży do wyznaczenia nieznannej wielkości w niej zawartej. Ponieważ w tych obserwacjach albo wszystkie trzy wielkości, jako potrzebne do zupełnego oznaczenia magnetycznej siły na powierzchni ziemi, albo dwie z nich, albo jedna tylko, na dowolnych punktach czynione być mogą; przeto można zawsze więcej równań otrzymać, aniżeli oznaczenie nieznannej wielkości, zawartych w pewnej liczbie wyrazów szeregu potencjalnej, wymaga. Niekoniecznie potrzeba, ażeby wielkości które z ich wyrażeniami porównywać mamy, były zboczeniem magnetycznym, nachyleniem i

natężeniem, każde połączenie tychże, może być również przedmiotem porównania, nawet ma wtedy tę wyższość, gdy albo jej obserwacya albo wyprowadzenie jej wyrażenia z potencyalnej, prostszem się okaże. *Gauss* uważa np. iż natężenie siły działającej w kierunku poziomym, dogodniej porównywać się daje, aniżeli natężenie całkowitej siły.

Jaka liczba następnie malejących wyrazów szeregu potencyalnej wiadomą być powinna, ażeby dostateczne przybliżenie otrzymać, to zależy oczywiście od prędkości ich malenia, które wtenczas dopiero wypadek może dać poznać, gdy za pomocą *nieznanego* sposobu rozłożenia magnetyzmu ziemi oznaczone będzie. Czy pewna dowolnie przyjęta liczba wyrazów zadosyć uczyni, można tego doświadczyć przez to, gdy w niej zawarte nieznane wielkości przez obserwacye wyznaczone będą; a wtedy dochodzić należy, czy tym sposobem otrzymane wyrażenie *wszystkim* znanym obserwacyom zadosyć uczyni. Według więc tego, jak to ma miejsce lub nie, można nowem doświadczeniem na mniejszej lub większej liczbie wyrazów stwierdzić. Tym sposobem można najprędzej, to jest najmniejszą liczbę wyrazów szeregu potencyalnej znaleźć, któreby wszystko to co w magnetyzmie ziemskim dostrzeżonem było, dość blisko wystawiały. *Gauss* za pomocą czterech pierwszych wyrazów szeregu, które, względnie 3, 5, 7, 9, razem 24 niewiadomych wielkości zawierają, dostateczną zgodność między wypadkami rachunku a obserwacyą, przez uderzające niejednostajnością ciągi magnetycznych linii na ziemi otrzymał. Ważnym jest przeto rzut ogólny na dwie karty *zboczeń linii*, które *Erman*, jedną na

mocy obserwacji, a drugą podług teorii *Gaussa* wykreślił; karty te, królewskie Towarzystwo umiejętności w Londynie, w ogłoszonej przez siebie instrukcyi do wyprawy pod biegun południowy, kapitanowi *Ross* podało.

Gdy *cztery* pierwsze wyrazy szeregu potencjalnej, które na mocy oznaczeń, teoria *Gaussa* zawiera, dostateczną zgodność z obserwacjami okazują, wtenczas nieokreślone wyrażenie potrzebuje objaśnienia. W ogólności, zgodność między teorią a obserwacją, wtedy uważa się za dostateczną, gdy nie większe między nimi zachodzą różnice, nad te, jakie niedokładność samych obserwacji zrządzić może. Zgodność w tej granicy uważa się za dostateczną, dopóki obserwacje mniej są dokładne, lecz przestaje nią być, gdy obserwacje ściślejsze będą. Magnetyczne obserwacje na wielu punktach ziemi, mające służyć za podstawę teorii, nie są jeszcze na tym stopniu ścisłości, ażeby spodziewana ich wyższość nie była prawdopodobną. Lubo obserwatorowie używali narzędzi z należytą znajomością i pilnością, wszelako nic innego osiągnąć nie mogli, nad to co objawiające się zjawiska siły magnetycznej na pewnem miejscu w czasie ich pobytu przedstawiały; czas ten zwykle był krótki, albo między różne przedmioty dochodzeń za bardzo rozdzielony, iżby się można spodziewać oznaczyć wypadki dla większej liczby miejsc obserwacji, wolnych od rozmaitych, rzadko zawodzących, dłużej lub krócej trwających zmian natężenia i kierunku siły magnetycznej. Nadto, między czasami obserwacji na różnych miejscach czynionemi, niekiedy wiele lat upłynęło, nim znaleziono spo-

sób zmiany roczne stósownie pod rachunek podciągnąć. Naostatek większa część obserwacyj, dla ich uzupełnienia i rozciągnięcia na większą liczbę punktów, tylko na okręcie robiona być mogła, którego poruszenia i przyciąganie mass żelaza, nie bez wpływu na ścisłość wypadków pozostać mogły. (3) Z tego wszystkiego wynika konieczny wniosek: iż dotychczas tę tylko teorią za dostateczną uważać należy, która o tyle zgadza się z obserwacyami, iż odstępienia w niej nie wychodzą z granic błędów obserwacyi.

Gauss chce ażeby oddzielną część jego teoryi, to jest ważności liczebne 24ch niewiadomych wielkości, które w pierwszych czterech wyrazach szeregu potencyalnej są zawarte, uważać tylko jako *pierwszą* próbę tego rodzaju. Uważa on za rzecz prawdopodobną iż wrócenie się do tego przedmiotu, okaże jeszcze potrzebę przydania piątej części, przez co 11 nieznanych wielkości, do 24ch teraz w teoryi objętych, włączone zostaną. Nie zaniedbuje on zresztą 103 bezpośrednich obserwacyj zbroceń, 102 nachyleń, 95 natężeń w najodleglejszych częściach ziemi robionych, ze swoją teorią porównać, a przez to okazać, że takowa zjawiskom magnetycznym na ziemi, nietylko w ogóle zadosyć czyni, ale nadto w porównaniu z tém co przed nią otrzymywano, mało co do życzenia zostawia.

Rozumie się że teorya, za pomocą której nieznanne wielkości wyznaczone zostały, taki tylko stan mo-

(3) *Humboldt* czyni uwagę, że obserwacye na głębokiem morzu, mają wyższość nad obserwacyami na stałym lądzie robionemi, ponieważ pierwsze o grubość warstwy wodnej od każdej stałej przeszkody są zasłonięte.

że wystawić. jakim on był w owym czasie, w którym uważano stan magnetyczny ziemi. Jeżeli zaś teoria ma wytlómaczyć zmiany tego stanu, to wtenczas niewiadome wielkości nie będą już *statemi* ale *zmiennemi*; albo do ich ważności przydać jeszcze należy zmiany dla pewnej epoki, zależące od czasu. Część tego dopełnienia, dostrzeganą i z postępem wieków rosnącą, a przez to bardzo wielką zmianę wytlómaczyć zdolna, zostaje dotąd ciemnością pokryta, i nie ma jeszcze żadnej wyjaśnienia jej nadziei. Inna część potrzebnego dopełnienia, któraby tak dzienne jak i od pór rocznych zawiste zmiany wyrażała, zapewne wcześniej będzie odkryta, niż poprzedzająca, i jej peryod dający się dostrzedz, pokazuje niewątpliwie przyczynę tych zmian w słońcu; wszelako niepotrzeba rozumieć, jakoby z niego *bezpośrednie* i *magnetyczne* skutki wyjaśnić można; sama krótkość tego peryodu, prędkiego osiągnięcia dokładnej znajomości zjawiska nie dozwala. Trzecią część dopełnienia, to jest mniej lub więcej szybkie zmiany co do kierunku i natężenia siły magnetycznej, same obserwacye powinny wyjaśnić, znalezienia jednak sposobu na oznaczenie naprzód jej zjawiska tak mało spodziewać się możemy, jak znalezienia sposobu na dochodzenie naprzód nastąpić mającej *burzy* lub *wichrów*. *Arago* zrobił ważną, i tu odnoszącą się uwagę, iż zorzę północną mającą się wieczór pokazać, już w dzień przewidzieć można, z okazujących się niezwykłych zmian magnetycznych.

Ażeby prawdziwy, to jest dla pewnej oznaczonej epoki stan magnetyzmu ziemi poznać, potrzeba wyjść od obserwacyj które dla jego oznaczenia w tej

epoce na pewnej liczbie punktów ziemskich robione były; ażeby jednak *średni* stan, tojest od dziennych i niespodziewanych zmian niezawisły poznać; potrzeba *średnie* wypadki z tak wielu obserwacyj na każdym punkcie czynionych, za zasadę położyć, ażeby przez to ślad tych przeszkód zniesionym został.

Zaprowadzenie ciągłych obserwacyj na wielu punktach ziemi, któreby wykryły takie *średnie* wypadki, jest potrzebnem, jeżeli wyjaśnienie magnetyzmu ziemskiego, ma mieć podstawę której pewność ścisłości samych obserwacyj ma odpowiadać. Z pomyślnym skutkiem *Alexander Humboldt* cesarską Akademią umiejętności w Petersburgu (w listopadzie 1839 r.) i księcia *Sussex* podówczas prezesa królewskiego Towarzystwa naukowego w Londynie (w kwietniu 1836 r.) zachęcił; ażeby swemi wpływami przyczynili się do zaprowadzenia stałych magnetycznych obserwatoryów w dalekich posiadłościach obu koronom podległych. Jakoż pierwsze z tych zachęceń pod kierunkiem *Kupfera*, wyborny i regularny ciąg magnetycznych obserwacyj dostarczyło, i te się rozciągają od *Helsingfors* i *Tyflis* aż do *Sitchi* i *Pekinu*; drugie, nietylko miały na celu wyprawę kapitana *Ross* do południowego morza i przez niego zalecane postawienie stałych magnetycznych obserwatoryów, na najodleglejszych punktach ziemi, ale także dały powód ustanowienia podobnych obserwatoryów w Kanadzie, w Indyach, kraju *Vandiem* i t. p.

Jeżeli te środki zamierzony cel osiągną, nadzieja dokładniejszego oznaczenia niewiadomych wielkości teoryi magnetyzmu ziemi, przez to zwiększona będzie. Nigdy jednak tak daleko nie postąpimy, aże-

by zjawiska magnetycznej siły, na każdym punkcie ziemi, tak ściśle za pomocą teorii znaleźć można, jak je obserwować potrafimy. Każda bowiem magnetyczna część ziemi, czy ta jest wielka lub mała, wpływa na ważność nieznanych wielkości teorii; jednak w porównaniu z ogólnym magnetyzmem, ma tylko nieznaczny wpływ; i tak: np. magnes, jeden centnar ważący, ma tak nieznaczny na niego wpływ, iż czy on się znajduje lub nie, żadnej widocznej różnicy w tej ważności sprawić nie może. Lubo tak mała cząstka całości nieznaczne działanie magnetyczne w odległości np. 100 kroków, wywiera, w odległości jednak mniejszej działanie będzie większe, a nawet tak wielkie, że wpływ wszystkich innych magnetycznych części ziemi przewyższy; albo innemi słowy: taż sama magnetyczna część ziemi, która ważność nieznanych wielkości teorii bardzo mało co odmienia, zjawisko magnetycznej siły ziemi w punktach blisko niego położonych bardzo widocznie zmieni. Obadwa skutki zdają się z sobą w sprzeczności zostawać, gdyż teoria z ogólnego działania *wszystkich* magnetycznych części ziemi wynika, a jednak żadnej z tychże nie wykrywa. Wyjaśnienie tego nie jest trudnem; chociaż bardzo małe ciało nieznaczny ma wpływ na pojedyncze nieznanne wielkości teorii, liczba wszakże tych wielkości jest *nieograniczona*, a wyrażenie zawierające wszystkie, tę ma własność, że sama ta teoria *nagromadza* je w bliskości ich przyczyn, gdy przeciwnie w odległości większej, dozwalałaby oddziaływać jednej na drugą, przez coby prawie niszczyły się nawzajem. Lecz jeżeli to wyrażenie w swych pierwszych wyrazach *przerwanem* zostanie, a przez to usu-

nięte będą liczne i nieznaczące wpływy, wtedy o ich zebraniu w jedną znaczną wielkość więcej mowy być nie może. Sądzę że ta uwaga dostateczną będzie do zrozumienia, że początkowe wyrazy szeregu potencyalnej, odnoszące się do teoryi magnetyzmu ziemi, tylko pewny normalny stan tegoż wskazać mogą. Nadto liczba nieznanych wielkości, od których poznanie magnetyzmu ziemi zależy, albo liczba jego *elementów*, całkiem jest *nieoznaczona*, a ich ograniczenie do liczby 24, które *Gauss* wykrył, albo 35, które przy uwadze na 5tą część wyrażenia potencyalnej wysłedziłoby wypadało i t. d. nie mogą doprowadzić do dokładnej znajomości magnetyzmu ziemi. Nareszcie, uwaga na ścisłość obserwacyj, mających się użyć za zasadę do ogólnego poznania magnetycznego stanu ziemi, osłabioną zostanie przez opuszczenie w teoryi miejscowych przeszkód; dokładność obserwacyj i zaprowadzenie ich na *wielu punktach* ziemi, nie będzie zbyt dużą, tak iż np. średni wypadek z 10 pojedynczych obserwacyj, wolny od miejscowych przeszkód, w obwodzie kilku mil większej wagi przyda do zgłębienia ogólnego stanu magnetycznego ziemi, aniżeli w jednym środkowym punkcie tego obwodu, dziesięćkrotne powtórzenie jednej obserwacji.

Ponieważ teorya magnetyzmu ziemi podana przez *Gaussa*, na mocy świadectwa obserwacji usprawiedliwioną jest o ile tylko stan obecny rzeczy dozwalać może; przeto dalsze udoskonalenie i *zmysłowe* wystawienie tej teoryi, a ztąd rozmaite wynikające zjawiska magnetycznej siły na ziemi, tylko w szczegółach zmienić się mogą. *Wilhelmowi Weberowi* winni je-

steśmy wystawienie takiego stanu na 18tu tablicach, w czemmu *Dr. Goldschmidt*, *Draschussof* i *Heine* czynnie dopomogli. Te 18 tablic zmysłowo przedstawiają ważności magnetycznej potencjalnej na wszystkich punktach powierzchni ziemi; pokazują one działanie magnetyczne siły w kierunku od południa na północ, od wschodu na zachód, od góry na dół; to jest natężenia poziome, zboczenia i nachylenia, i całkowite natężenia magnetycznej siły. Nadto pokazują one to rozłożenie magnetycznego płynu przy powierzchni ziemi, któreby na punkta tej powierzchni i na punkta zewnątrz niej, zupełnie tak działało, jak nieznanne rozłożenie magnetyzmu ziemi rzeczywiście działa. Lecz nietylko samo ułatwienie ogólnego poznania wszystkich zjawisk magnetycznej siły na powierzchni ziemi, jedna autorowi tych kart powszechną wdzięczność, ale prócz tego, są one przygotowaniem do dalszego udoskonalenia teoryi; albowiem różnice jakie między kierunkami na nich wykreślonymi, a wypadkami obserwacyj zachodzą, do przyszłego sprostowania ciągu linii a następnie do poprawienia teoryi posłużą.

Poszukiwania *Gaussa* doprowadziły go jeszcze do wypadku względem magnetyzmu ziemi, który lubo nie łączy się z okazującemi się zjawiskami, jednak tak jest szczególnym, iż zasługuje na wspomnienie. Wyżej starałem się okazać, jakim sposobem poznać można stósunek siły magnetycznej igły, do siły magnetycznej ziemi poziomo działającej, w którymkolwiek dowolnym punkcie, powiedziałem także iż *Gauss* stósunek ten dla *Giettyngi* oznaczył. Stósunek siły poziomej, okazującej się na tém miejscu, do całkowi-

tęj siły magnetycznej ziemi, można przeto za pomocą teoryi *Gaussa* wynaleść. Połączenie obudwu stósunków doprowadzi do poznania stósunku magnetycznej siły igły do całej magnetycznej siły ziemi. Tym sposobem znaleziono, iż potrzebaby użyć blisko 8464 trylionów magnetycznych igieł, mających osi w tym samym kierunku, każda ważąca jeden funt, ażeby magnetyczne działanie ziemi zewnątrz w przestrzeni zastąpić. Gdyby ta liczba igieł zarówno na całą kulę ziemską rozłożoną była, to na każdą kostkę sześcienną ziemi półtory stopy w krawędzi mającą, jedna taka igła przypadałaby. Gdy zaś masa ziemi przy swęj powierzchni, najczęściej słabe działanie magnetyczne okazuje, a niewątpliwie w całości daleko mniej jest namagnesowana niżby była gdyby każda kostka wspomnionęj wielkości, tak wiele magnetyzmu zawierała, ile igła magnesowa ważąca funt jeden, nie można zatem nie przyjąć [tego przypuszczenia, że ziemia wewnątrz *daleko mocniej musi być* namagnesowana, aniżeli przy swęj powierzchni. Co sprzeciwia się często powtarzanemu zdaniu, jakoby magnetyzm ziemi, tylko przy jęj powierzchni się znajdował.

Słusznie mówić można że *Gauss* teoryą magnetyzmu ziemskiego, wprzódę nieodgadnionego, nietylko pierwszy podał, ale nadto przez przystósowanie tęg teoryi, wiele sposobów w użycie wprowadził, przez co praktyczne poznanie samego zjawiska ułatwił. Gdy *Gauss* badania swoje ku magnetyzmowi zwracać począł, w *Wilhelmie Weberze* znalazł współpracownika swych dochodzeń, którego bystrość poprzednio już w różnych gałęziach nauk przyrodzonych wstawila.

Dotąd, począwszy od roku 1836, ogłaszane wypadki *Gaussa* i *Webera* przez Towarzystwo magnetyczne przez nich zawiązane, mieszczą się w sześciu tomach wydanych pod tytułem: „*Resultate aus den Beobachtungen des magnetischen Vereins im Jahre 1836—1842, herausgegeben von Carl. Friederich Gauss und Wilhelm Weber, Leipzig.*“

Do wyżej wspomnianych sposobów, jak natężenie magnetyczne podług bezwzględnej miary ocenić, *Weber* nową odmianę przydał, która do wykrycia niemniej pewnego wypadku prowadzi: zakłada ona tylko małe i prawie bez wszelkich przygotowań użyć się dające narzędzie, które połączone z łatwością jego wykonania, zaleca się dla takich obserwatorów, którzy wypadku szukają, nie mając więcej nad jedno łatwe do nabycia narzędzie. *Weber* dla podróźnych wymyślił narzędzie, przeznaczone do robienia *wszelkiego rodzaju* obserwacyj magnetycznych, a do jego trafnego składu, łatwość w przenoszeniu go z jednego miejsca na drugie nie mało się jeszcze przyczynia. Szczególna jest metoda *Webera* za pomocą której mierzenie magnetycznego nachylenia, do uważania poziomej igły sprowadza. Wykonanie tego stało się możnem przez trafne przystosowanie jednego z najdziwniejszych odkrycia tego wieku, to jest że magnetyzm za pomocą strumienia galwanicznego, a ten ostatni znowu za pomocą ruchu magnesu wzbudzonym być może. Myśl, której się *Weber* uchwycił, wymagała zrobienia pewnego aparatu, za pomocą którego możnaby naprzód pionowo działającą część siły magnetycznej *samój* ziemi, z wyłączeniem poziomo działającej, galwanicznym strumieniem wzbudzić, i takowego do odciążenia igły z połu-

dnika magnetycznego użyć; wtedy dopiero w tym samym celu użytym galwanicznym strumieniem, poziomo działającą część magnetycznej siły *samej* ziemi wydobyć. To odkrycie powiodło się; polega ono na tem że ze zboczenia pionowego siły magnetycznej w obu przypadkach, o siłach które je poprzednio zrzędzają, tojest o pionowo i poziomo działającej sile magnetycznej ziemi, wstecznie wnosić można; tojest stosunek jednej do drugiej, a ztąd i nachylenie całej magnetycznej siły, poznać. Co do użycia praktycznego tej metody za pomocą złożonego aparatu, dopiero wstępna próba, bez wymagania dostatecznego wypadku ogłoszoną była; nie potrzeba jednak czekać skutku, ażeby oddać słuszną pochwałę trafności wynalazku. Wszelako związek między magnetyzmem a galwanizmem, na którym ta metoda polega, jak to *Gauss* i *Weber* w daleko większej rozciągłości zgłębiali, ważne wnioski osiągniętym przez nich widokom zapowiada. W ciągu zatrudnień nad magnetyzmem, *Gauss* wynalazł nową zasadę mierzenia sił, nie tylko magnetycznych ale wszelkiego rodzaju, która kiedyś gdzie tylko potrzeba zajdzie mierzenia sił, najważniejszą się okaże. Polega zaś na tem, ażeby zawiesić ciało na dwóch względem siebie równoodległych i bardzo długich nitkach, przez co ciało to w pewnym, tylko oznaczonym, kierunku do spoczynku przyjdzie, gdy żadna siła skręcenia na nie nie działa, tojest w takim kierunku w którym obie nitki i środek ciężkości ciała, na jednej pionowej płaszczyźnie znajdować się będą. Jeżeli ciało przez jakąkolwiek siłę z tego kierunku zwrócone będzie, przybierze wtedy inny kie-

runek, wtenczas *wyniesienie jego środka ciężkości i wielkość tego wyniesienia*, sprawione przez skręcenie, będzie miarą siły działającej, która się bezpośrednio z ciężarem porównywa. *Coulomb* tego samego sposobu ocenienia siły użył za pomocą wagi skręcenia, zawieszając ciało na *jednej* nitce, która pewnego przeciwnego oporu doznawała. Podwójno-nitkowy aparat *Gaussa*, jest poprawioną wagą skręcenia, która naprzeciw sile skręcenia nitki, siłę powszechnego ciężenia stawia. Przystósowanie tego aparatu było jeszcze i to, iż za pomocą niego, bezpośrednia obserwacja zmian poziomego natężenia magnetycznej siły ziemi, osiągniętą była. O powszechnej gorliwości w obserwacjach, które miały za cel osiągnięcie dokładniejszej znajomości okazujących się *niespodziewanych* przeszkód magnetycznej siły, można z podanego spisu miejsc z których podobne obserwacje ogłoszone zostały, dać wyobrażenie. Miejsca te są: Alten, Altona, Berlin, Breda, Freiberg, Giettynga, Haga, Hannower, Heidelberg, Kataria, Kierisvara, Kopenhaga, Kremsmünster, Lipsk, Londyn, Marburg, Medyolan, Messyna, Monachium, Praga, Seeberg, Sztokolm, Upsal, Wrocław.

Gorliwość w zgłębianiu magnetyzmu ziemi, w miarę zbliżającej się epoki, w której stać się ma umiejętnością, stopniowo wzrasta. Podobną kolej zawsze przedstawia historia umiejętności, z czego wnosić potrzeba, iż koniecznym wypadkiem gorliwości jest postęp, i że nawzajem postęp zwiększa gorliwość. W *teraźniejszym* wieku zajęcie się magnetyzmem ziemi, nabywa nowego życia. *Alexander Humboldt* obudza i wznosi je własnym przykładem. Wkrótce będzie dość silnym, iż wywoła przedsięwzięcia, które

uzupełnienie obserwacji magnetycznego stanu, w najodleglejszych punktach ziemi, za wyłączny, albo główny cel mają. Ważność, jaką osiągnęły, magnetyczne oznaczenia które *Humboldt* w swoich podróżach zebrał, zachęciły *Hansteena* i *Ermana* do zebrania podobnych w Syberyi i Kamczatce, nadto dały powód dwom ostatnim uczonym do szukania środków wprzód niedostających, przez co zupełne oznaczenia magnetyczne na wszystkich punktach opłynionego morza, podobnemi się stały. Aparat magnetyczny zaczyna teraz być głównym narzędziem dla wszystkich podróżnych. W niewielkiej liczbie lat, obserwacje tego rodzaju, posłużą za podstawę do teoryi *Gaussa*. *Alexandrowi Humboldtowi* powiodło się zachęcić rząd Angielski, Francuzki i Rossyjski do poszukiwań nad magnetyzmem ziemi, a dalekie i kosztowne podróże, są tego owocem. W podróżach tych zaopatrują się w aparaty *Gaussa* i podróżni postępują w tém wskazaną przez *Humboldta* drogą. Wszystko to zapowiada rozjaśnienie ważnych prawd o magnetyzmie ziemi, i wnioski wyprowadzone z doświadczenia tylu znakomitych obserwatorów, posuną nauki przyrodzone, nadając większą pewność teoryom, lub obalą te, które się więcej na spekulacjach, niż obserwacyi ścisłej zasadały.



◊ ZWIĄZKU ZACHODZĄCYM

między historią polityczną a historią
literatury, (1)

przez

Fr. Henryka Lewestama.



Człowiek, zagnany przez tysiączne powody do poszukiwania sojuszu z równymi sobie istotami, czuje jednocześnie potrzebę zwalczenia przeszkód, jakie mu stawia odosobniona jego i najzupełniej indywidualna natura duchowa. Konieczność fizyczna zapędziła go do dziedziny państwa; umysłowa konieczność nie chciała by go w niem pozostawić bez ścisłego myśli złączenia. Obok przymierza sił zewnętrznych, dążącego jedynie do wspólnej obrony lub napaści, powstaje tedy przymierze idei, dążące do zespolenia władz rozumowych: wynikiem pierwszego jest historia polityczna; powszechna literatura drugiego będzie wypadkiem. Stanowisko to arcyważne i niedość jeszcze do tego czasu ocenione, albowiem podnoszące myśl piśmiennictwa do wysokości pojęć, jakich towarzystwo ludzkie nie jest twórcą, ale raczej wpływem. Sądzi-

(1) Wyjątek ze wstępu do dzieła p. t. *Historia literatur Europejskich.*

my z tego względu, że nie bezużyteczną będzie rzeczą, przeprowadzić je w krótkości przez dzieje zewnętrzne i wewnętrzne głównych krajów globu naszego.

Jeśli zwrócimy oczy na świat starożytny, i jednem krótkiem objęciem zechcemy przejąć się wyobrażeniem jego ogromu, przedewszystkiem bezwątpienia nasuną nam się myśli o dwóch przewodcach ówczesnej historii; mówimy o Grekach i Rzymianach. Wszakże jakkolwiek bohaterskie czyny Epaminondesów i Cezarów po wszystkie czasy ważne zajmować będą miejsce w dziejach sztuki wojennej, przecież niepodobna zaprzeczyć, że właśnie wywyższenie tych obu ludów starożytnych najlepiej okazuje, jako ważność, którą przywiązujemy do historii narodu, nie koniecznie bierze miarę z mniej lub więcej głośniejszych czynów i ludzi, ale raczej z pomników duchowych, w jakich tenże naród pozostawił ślady istnienia. Zagięto życie fizyczne, walka sił na siły, których składem były ludy Assyryjskie, Medyjskie, Perskie i tylu innych Azyatów; potrzeba było Herodota, aby wskrzesił bajeczne i prawdziwe o tych narodach podania; a jednak ile w nich było serc szlachetnych, ile potężnych umysłów? Serca z ostatniem biciem zniknęły z przed oczu potomności, a umysły, że na zewnątrz wyłącznie działały, otrzymały przydomek *barbarzyńskich*.

Zastanówmy się cokolwiek nad takowem zjawiskiem.

Powierzchnia historii Azyatyckiej z samego początku wcale odrębne nosi cechy od dziejów naszej części świata. Bezpośredniość czynu główną tu w tej mierze stanowi różnicę; w pierwszych już bowiem objawieniach działalności Europejskiej, widoczną jest owa

zależność działania od myśli, a myśli od ściśle logicznego powiązania. Ztąd owe częste zmiany, ztąd wzrost raptowny i raptowniejszy jeszcze upadek owych państw niezliczonych, z których każde w swoim czasie powszechną niejako stanowiło monarchią. Ztąd przeciwnie powolniejsze daleko wzmaganie się, ale i trwałość większa i świetność silniejsza Europejskiego żywiołu. Ninus, Semiramis, Astyagies, Cyrus są tylko różne głosem wyrażenia na jedną ideę konieczności naturalnej, owej konieczności, która i podziśdzień w świecie fizycznym swojego nie utraciła znaczenia, że na barkach słabszego zawsze mocniejszy się wznosi, że śmierć jednego, drugiego staje się życiem. Żadna myśl wyższa, żadne filozoficzne pojęcie nie da się połączyć z tym ciągłym ruchem materji, ani nawet wycisnąć z niego nie można prawidła, według któregoby z pokolenia na pokolenie takowy proces tworzenia dał się obliczyć.

Dwa są wszakże ludy Azyatyckie, zupełnie pod tym względem na odosobnionej stojące podstawie: Indyjski i Hebrajski. Walka, która wszystkie inne pobratymcze im narody ogarnia, dla nich zostaje obojętną; koleje szczęścia i nieszczęścia, któremi tamte przechodzą, na jednem zawsze zastają ich stanowisku. Jakaż więc jest zasada, co taką ma władzę zachowania ciał politycznych w pierwotnym kształcie narodzenia? władzę nieraz, niestety! przerażającą, bo nadającą tak zachowanemu ludowi cały pozór zeszchtëj, albo zkamieniałej mumii Egipskiej. Tą zasadą jest *wylączność*.

Tu po raz pierwszy będziemy mieli sposobność zastanowienia się nad odwrotnym wpływem umyślo-

wego wykształcenia na bieg politycznych wypadków. Jakośmy bowiem w innych ludach Azji zauważyli, że przewyżka obrony materyalnej przytępiła wszelkie myśli rozwinięcie, i że tém samem historia tych narodów stać się musiała czysto przypadkową, czyli, co na jedno wychodzi, konieczności naturalnej podlegającą, tak samo tu ujrzymy, że uduchownienie idei, na jakie u starożytnych Indyan i Hebrajczyków natrafiamy, zewnętrznym także tych narodów kolejom wcale odrębny, bo porządniejszy, stalszy i filozoficzniejszy nadaje kierunek. Tło wyłączości, na jakim stoi cały profil tych ludów, i które utrzymało takowe poza obrębem licznych ścierañ, koniecznie musiało być wypływem głębokiej świadomości, przesadzonej nawet może wiedzy o godności własnej. Ztąd ów rodzaj pogardy, z jakim, niby ze szczytnej wysokości, Hebrajczycy na wszystkie inne ludy zwykli byli oglądać; ztąd owa dziedziczność kast u Indyan, która témsamém niepodobném czyniła wszelkie przystąpienie obcego żywiołu, wszelką naturalizacyą cudzoziemca.

Niedosyć jeszcze, zdaniem naszym, wyjaśnioną jest rzeczą, czyli istotnie lud Hebrajski jedność Boga uważał za rzeczywistą i bezwzględną, czyli też miał ją za prawdziwą w stósunku tylko do siebie samego. Wszakże okoliczność ta, dobrze rozjaśniona, wytłómaczyłaby zarazem, czyli zasługą, jaką zwykle Izraelitom przyznajemy, zasługą przechowania najwznioślejszej myśli teologicznej, słusznie przez nich może być przyjmowaną. Co do nas, gotowi jesteśmy zaprzeczyć takowemu pytaniu; tyle bowiem rozległa literatura religijna, gdyby w istocie rzeczy nie zasada-

ła się na podstawie pogańskiej, wpłynąwszy silnie powinna na ducha prozelityzmu, który niezmiennie każdemu głębokiemu przeświadczeniu o własnej prawdzie towarzyszy. Komu zaś takie przypuszczenie na pierwszy rzut oka zbyt śmiałem się wydaje, ten niechaj się zapatrzy na dzieje religij bałwochwalczych, z których się żadna nigdy nietolerancją nie odznaczała, która nawet (jak to bywało u Rzymian) bałwany ludów obcych i zwyciężonych, za swoje przyjmowała.

Jako zaś z jednej strony myśl religijna, żydów pod względem politycznym utrzymywała na ustroni, tak też odosobnienie od wszelkich działań historyi, przez reakcją literaturze Hebrajskiej wcisnęło piętno wyłącznego teologizmu. Samo nawet prawodawstwo Mojżeszowe, jakkolwiek nieraz do codziennego bytu towarzyskiego się odnoszące, byt ten porządkuje nie ze względu na towarzystwa, ale na Boga w którym się ono skupia. Przejście przez tyloliczne formy rządu, począwszy od patriarchalnego aż do despotyzmu ostatnich królów Izraela, nie rozwinęły przecieź żadnych wyższych pojęć społecznych; tój bowiem społeczności nie potrafiły ująć z pod wpływów teokratycznych. Niepodobna było teorii wznieść się na wznioślejsze stanowisko ludzkości, gdzie praktyka ciągle w błędnem obracała się kole; ztąd też cała literatura Hebrajska, historia nie-mniej jak poezya, została jednostronną, a nauki ścisłe żadnego prawie w niej nie znalazły wyobraziciela.

Powiedzmy teraz, dlaczego jednakowa zasada dziejowa do zupełnie innych w literaturze Indyjskiej doprowadziła wypadków.

Należałoby tu może cofnąć się w początki towarzyskiego składu Indyan, i wykazać przedewszystkiem

powstanie oddzielnych klas i ścisłego rozgraniczenia ich między sobą; wszakże pomroka, jaka pierwotną każdego niemal ludu zakrywa historią, tym jest w Indyi smutniejszą, ile że charakter dziejów Indyjskich mało odmienne, począwszy od pierwszego zawiązku, wykazuje koleje. Nie byłato już wprawdzie owa martwa spokojność Hebrajczyków, ale cisza którą od czasu do czasu i jakby peryodycznie, zbawienna burza przerywa. Podział rozległej krainy na mnóstwo państw pomniejszych, głównym był powodem do ciągłego ścierania się; ruch zaś takowy utrzymywał się za pomocą właśnie tej dziedziczości ducha, który się tym silniej rozwijał, ile że absolutna konieczność żadnego mu nie dozwalała zboczenia. To, iż tak rzekę, równolegle przy sobie bieżące wysnuwanie się wypadków, powtarza się w literaturze Indyjskiej, gdzie pierwotna bajka religijna i historia bajeczna, jak się odrębnie od siebie wyrodziły, tak też wykształciły odrębnie w poezją teologiczną i światową. Drastyczność wzajemnego położenia między indywiduami, do których jeszcze i bez końca zaludniony świat nadziemski zstępował, zpowodowała dramat, tak wysoce u Indyan wykształcony; a ciągłe stosunki w jakich za pośrednictwem intuicyi, kasta Braminów z tym światem nadziemskim zostawała, obok dogmatu religijnego, utworzyła filozofią transcendentalną, w pierwotnej swojej zasadzie dość do dzisiejszej naszej spekulacyi zbliżoną.

Wszakże i ruchawość względnie tylko za ruch może być uważaną; wieczne bowiem bujanie w niczym się od wiecznego spoczynku nie różni... Dlatego, kiedy natura ducha Indyjskiego raz na zawsze do owych ciągłych utarczek przywykła, już one wpłynąć nie

mogły na dalsze rozwinięcie się tej ogromnej literatury. Dlatego w Indyi jedyny przedstawia nam się przykład narodu, który bez wielkich i stanowczych zmian politycznych, (mówimy: *bez stanowczych*, przy czem wszakże nierównie świeższego wkroczenia Anglików bynajmniej nie mamy na myśli), dał zamrzeć swojemu językowi, a na dawne piśmiennictwo, jak na szczątki tylko minionej przeszłości, pogląda.

Wcale inaczej przedstawia nam się ogół literatury pod wpływem powagi Europejskiej, u starożytnych Greków.

Tu nie instytucje teokratyczne, ni objawienie, pierwsze dają pojęcie o poezyi, ale przeciwnie poezya, z czystej i niczem nie wykrzywionej wyobraźni zrodzona, jest twórczynią wiary i wdziękiem swoim ozdabia surową religią. Ani to przewyżka boskiego żywiołu jak u Żydów, ani odrębność strony świeckiej i teologicznej jak u Indyan, ale najzupełniejsza wzajemność, najdokładniejsze zrównanie, spajają między sobą dwa wyściski ducha Greckiego. Dlatego Helleńczyk nie zaptapiający się zrazu w spekulatywne idee jedności albo *trymurei*, zwraca raczej uwagę na wewnętrzne i zewnętrzne warunki swego bytu społecznego; ztąd ciągłe rozwijanie się myśli politycznych, którego zwłaszcza Ateny najdoskonalszym stały się wyobrazicielem. Odwrotnie znowu, z porządnie wysnutej zmiany w kształtach rzeczypospolitych Hellady, powstaje najwznioślejszy wysiłek prawdziwego życia umysłowego: *historya*. Wszelka historia z czasów przed-Greckich, niczem jest, gdy się na nią zapatrzymy ze stanowiska, jakie nam ten dopiero genialny naród wybudował. Na równi zaś z tą główną gałęzią piśmiennictwa, postę-

powwały nauki polityczne, które najczęściej formę filozofii praktycznej przywdziewały, i ścisłe umiejętności. Wszakże oschłość naturalna tych nauk łagodzoną bywała ogniem ducha Greckiego, który wszystkim swoim utworom, czyli to sztuki czy nauki, nadał owe kształty zaokrąglenia, jakie u nas stałe już uzyskały miano gracyi Helleńskiej.

Gdy bliżej wejrzymy w bieg wypadków politycznych i literackich starożytnej Grecyi, poznamy, że większe lub mniejsze wzmaganie się, wzrost albo upadek piśmiennictwa, trop w trop, chociaż niezawsze w prostym stosunku, postępował za silniejszą lub słabszą potęgą zewnętrzną. Walka *Trojańska* wywołała rapsodye Homerydów, tak samo jak Hezyod nawzajem ustalił dogmat wiary krajowej; ale dopiero gdy wojny Perskie przywiodły Greków do własnej świadomości, otwiera się przed nami czarujący obraz czynności duchowej, jakiej może w żadnym innym narodzie i czasie nie znajdziemy przykładu. Również ważnemi, ale już do obrębu historii literatury specjalnej wchodzącemi, są okoliczności, jakie utworzyły prawo międzynarodowe między rozmaitemi państwami Greckimi; dosyć że w Grecyi, gdziekolwiek rzucisz okiem, wszędzie napotkasz ścisłe połączenie materyi z duchem, ale w taki sposób, że na pięknej podstawie zawsze piękna, na odrażającej nigdy brzydka nie stanęła budowa. Przypominamy w tej mierze nieszczęśliwą wojnę Peloponezką i nieśmiertelne Tucydydesa dzieło, śmierć Sokratesa, i życie wielkiego Platona.

Nietyle już szczęśliwie powiodło się usamowolnienie zpod przygnębiającego wpływu materyi, Rzymianom.

Tu powaga staje się surowością, gracia wymuszeniem, głębokość rozmyślenia zimnym rachunkiem.

Zrzucenie jarzma i ustalenie wzburzonych żywiołów politycznych według normy wojskowego, bo ze wsząd zagrożonego despotyzmu, oto pierwsze zadanie Rzymian, gdy ich umysły cokolwiek niepodległej nakoło siebie poglądać zaczęły. Na czele wszystkiego staje nienaruszone faktum: mężkość czynu przywła-szcza sobie panowanie; to też historia wyradza się w kronikę, a poezya w zwięzłości dystychu, przywo-dzi ostre zasady surowości republikańskiej.

Ale wkrótce wzory Greckie łagodzą tę surowość w pożyciu i utworach piśmienniczych; naśladowanie Greków wytepia narodową cechę Rzymskiej literatury; a jakkolwiek Mummiusz pokruszone posągi bez namy-słu nowemi zastąpić przedsięwzięje, wszelako niedłu-giego trzeba Rzymianom czasu, ażeby zwyciężoną przez siebie Helladę, uroczyscie i otwarcie za mistrza swo-jego uznali.

Chciwy ciągłych zdobyczy duch Rzymski, nie prze-staje na nabytku większej kultury; zagarnia on swemi ramionami, cokolwiek w ich obrębie, a nawet poza ich obrębem zastaje, i zamiast iżby to szkodliwie na jego rozwinięcie wpłynęło, rozszerza mu owszem wi-downię siebie samego i z przecenieniem sił własnych wlewa w niego uczucie, które brak wrodzonej i rodzi-miej poezyi, a w następstwie i filozoficznego pojęcia, dość szczęśliwie zastępuje.

Dlatego to wiek złoty literatury Rzymskiej, ukazuje się dopiero przy końcu złotego wieku politycznego by-tu tego narodu.

Upadek obudwóch zbyt jest naturalnym, iżby nam o nim napomknąć jeszcze co wypadło. Mamy raczej

przed sobą niespokojną i straszliwemi marzeniami przeplataną noc średniowieczną, z której, po długiej dopiero ciemności i po dłuższem świtanii, jakby fenix z popiołów, literatura nowożytna w całym blasku młodości występuje.

Przejście zdrowego organizmu państwa w zupełny stan rozprzężenia, przejście świetnych symptomów cywilizacji w odmet chuci niczém nie powściągniętych, a tém samém zstąpienie natury ludzkiej z wysokiego szczebla, jaki niegdyś zajmowała, do haniebnych wyskoków zwierzęcości, oto obraz jaki nam przedstawia historia i literatura wieków średnich. Jeżeli pomimo tego, znaleźli się pisarze, którzy w tym obszernym okresie upatrują właśnie tryumf człowieczeństwa, którzy w fanatyzmie widzą łagodną wiarę, w okrucieństwach sprawiedliwość, w rubasznosci szczerość, a w materialności naturę; tedy przez wzgląd na ich religijne zkądinąd stanowisko, wybaczyć im należy takowe zboczenie, jako z przesadzonych wyobrażeń o bezpośrednim skutku zwalczonego poganizmu wynikłe. W istocie zaś, wprowadzenie wiary Chrześcijańskiej wcale innym sposobem na rozwinięcie się ludzkości wpłynęło; ani na wyłómaczenie tego wpływu użyć trzeba paradoxu, jakoby przestrzeń wieków średnich rzeczywistym była względem świata starożytnego postępem.

Myśl historyczna, wysnuwszy z siebie największy wypadek, jaki objawienie w związku z filozofią kiedykolwiek wyłoniły, nie dokończyła jeszcze swojego dzieła, gdy tę tak utworzoną ideę chrześcijańską, jakby na zapłodnienie świata rzuciła. Jeśli chrystyanizm zupełnie miał przejść w krew i soki narodów, należa-

to zniszczyć poprzednio do szczętu wszelkie inne żywioły; ale któż dowiódł temsamem, jakoby w tych żywiołach nie już nie było szlachetnego, nie prawdziwszego nad trwałość chwilową? Poświęcenie i męczeństwa, których blisko tysiącoletni przeciąg średniowieczny częste dał nam przykłady, i do których dopiero egoistyczna myśl religijna napędzać musiała, nie dadzą nam zapomnieć o równie wielkich poświęceniach, choć nietylko skutecznych, lecz dlatego więcej może zasługi mających, starożytnego świata. W masach zaś upadło życie moralne; i walka, którą przebywać musiały, była bojem Arymana przeciwko przedzierającemu się światłu Ormuzdowej potęgi.

Cóż przecie spowodowało zwycięstwo dobrego pryncypium w historii? Powiedzmy sobie: nie tyle własna siła, ile niemoc nieprzyjaciół. Dlatego obalonym być musiał świat dawny, któryby niezawodnie zdołał oprzeć się wpływowi przyszłości, a na jego miejscu stanął odmęt średniowieczny, olbrzym sturamienny i stugłowy, który w sobie się zapadał, że za każdym krokiem zpod nóg jego wąż się usuwała podstawa.

W takim odmiecie drzymały nauki i sztuki, albo raczej na ich miejscu ukazały się potwory, bękarty ducha, na które dziś już tylko z uśmiechem litości oglądać możemy.

Że zaś nie ma tak zepsutego serca ludzkiego, ażeby się w niem, od czasu do czasu myśl świetna nie pojawiła, tedy i wieki średnie pod obuchem swych nieszczęść wyrodziły dwa wielkie uczucia: *honoru* i *miłości*. Pierwszy jest pogrobowym synem cywilizacji pogańskiej, w drugiej zaś uwielbiamy pierworodną córę najbar-

dziej chrześcijańskiego żywiołu, równości człowieczeństwa.

Honor rycerski powstał z materialnych pojęć o prawie, jakie posiadamy do walki z każdym obcym dla nas żywiołem. Ponieważ zaś uczucie wrodzonej moralności wzdrygało się na myśl o walce nierównej, ponieważ słabszy i bezbronny zdawał się zasługiwać na wyłączenie zpod ogólnego prawidła, a jednak wbrew zasadom obrońców średniowiecznego okresu, przeświadczenie religijne niedosyć było silne do wpojenia świętej miłości bliźniego, przeto honor dopiero musiał zasłonić od przemocy, i wstrzymać silniejszego od wywarcia swęj potęgi na nieprzygotowanym. Jako zaś z jednej strony honor stróżem był moralności publicznej, tak z drugiej stał się drażliwym na lada uchybienie, i tu przedewszystkiem szukać należy początków romantycznego usposobienia w piśmiennictwie i w życiu społeczném; tu bowiem najprzód rozwinął się świat sprzeczności towarzyskich.

Miłość, pierwsze następstwo zupełnego pęci obojęj zrównania, niemniej silnie się przyłożyła do nadania nowych kształtów ciągle niezmiennemu dotąd ruchowi materji. Miłość, wykazując na indywidualach po szczególe, to co w ogólności miało być głównym wypadkiem chrystyanizmu, pierwsza nas oswoiła z myślą, że podług tych wyobrażeń, jakie odtąd są dla nas obowiązującemi, pojedynczy człowiek nie ginie w całości, ale że duch ludzki w najpośledniejszym swoim wyobrazicielu zawsze na równi stoi z duchem powszechnego człowieczeństwa. Ztąd i pożycie rodzinne przybierało na się barwę poważniejszą, a oddziaływanie

jego na państwo, z dnia na dzień stawato się silniejszem i bardziej skutecznem.

Pod wpływem takich stosunków rozwijała się poezya liryczna, ale w formach zupełnie od starożytnej odrębnych. *Truvery* i *Minnezengiery* wyobrażali łagodniejsze dążenia epoki; rzadko kiedy żyła satyryczna przebijająca się przez ogromne narodów *znękanie*. Wojny krzyżowe dały wprawdzie pochop do stalszej epopei, lecz brakło na tej pierwotnej prostocie, która w tym rodzaju poezyi nie tworzy bohatera, ale już istniejącego do świadomości rzeczy przywodzi. Nagromadzenie faktów, któremu nieuczona tłuszcza piszących rady dać nie umiała, z historyków poczyniło latopisarzy, a co najwięcej epitomatorów; filozofia zaś, ta sama filozofia, którą niegdyś *Platon* i *Arystoteles* tak potężnie władali, wyrodziła się w obrzydliwe igraszki scholastycyzmu.

W tych czasach żadna się rodowość nad inne nie wynosiła, wszędzie bowiem jedna była ciemność, wszędzie jedna biedota duchowa. W Hiszpanii tylko, na czas niejaki żywioł Arabski, pod wpływem świeżego jeszcze entuzjazmu religijnego stojący, rozniecił małą światła iskierkę; lecz posłużyła na to jedynie, iżby tym wyraźniej otaczającą zewsząd noc okazała.

Pierwsze Włochy ocuciły się z długiego letargu; w nich bowiem pierwszy pojawił się pierwiastek umysłowy okresu: papieztwo, i walka przeciwko niemu staczana. Włochy także pierwsze, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, naprowadzone zostały na literaturę starożytną, a tak widzimy w następstwie wzorów pozostające instytucye *municypalne*, dalej osobne księstwa i rzeczypospolite; wzajem zaś pod obroną tych

licznych płaszczów książęcych, tej kardynalskiej purpury albo nawet tej tyary, nauki a bardziej jeszcze sztuki włoskie, wzniosły się do stopnia nigdy dotąd niewidzianej potęgi.

Reformacya ogołociła Rzym i Florencyą z najświetniejszych podpieraczy; już bowiem Włochy przestały być punktem środkowym ówczesnej oświaty. Zda wało się zrazu, że Niemcom z kolei dostanie się to panowanie; lecz taż sama okoliczność, która na unyśłowiony wzrost Italii tyle korzystnie wpłynęła: rozdział kraju na mnóstwo pomniejszych i udzielnych prowincyj, rozproszyła siły tego zkadynąd wielkiego narodu.

Francya w tej mierze była szczęśliwszą, bo w niej rychło pojedyncze części spoity się w jedność, i powstał ten pierwiastek centralizacyi, który podziś dzień jeszcze w tak obfitym zbiorze żywiołów duchowych nader jest zadziwiającym. Prawda, że we Francyi, od samego zaraz początku, okazuje się dążność do życia praktycznego i do układania stosunków towarzyskich wedle nowo wkradającej się zasady egoistycznej, i to, naszym zdaniem, więcej nawet od naśladownictwa Greków i Rzymian, na rozwinięcie się tak nazwanej szkoły klassycznej wpłynęło. Z poezyi widzimy tu tylko dydaktyczną, bo i tragiedyą Francuzką śmiało do tego hermafrodycznego rodzaju zaliczyć możemy; w historyi jest już wprawdzie pewna pragmatyczność, lecz nie oparła się jeszcze na żadnem ogólnem pojęciu, filozofia zaś zostaje nietknięta, albowiem duch przedsiębiorczy narodu więcej go do rozbioru, aniżeli do syntezy przysposabia.

Anglia tymczasem występuje na scenę świata, a takowemu wystąpieniu najszcześniejsze towarzyszą wypad-

ki. Pod przewodnictwem instytucyj konstytucyjnych rozwijają się wyobrażenia społeczne; wzajem ekonomia polityczna i nauka finansów zbawienne skutki okazują w rosnącym przemyśle, a żywioł Romański dosyć w sobie mieści ognia, na utrzymanie strony poetycznej, do której jeszcze po ostatecznem przyjęciu tylekroć już doświadczonej reformy religijnej, z Giermańskich domieszkań filozoficzna przystępuje spekulacja.

W Niemczech zaś, dopiero język trudne przebywać musi koleje, licznym bowiem ulega wpływom już to Romańskim już Słowiańskim. Ale gdy się tymczasowo i organizm zewnętrzny tego kraju w pewniejsze karby ustala, nie na takowem opóźnieniu literatura Niemiecka nie traci, albowiem sama niejako przyłożywszy się do szczegółowego swęj mowy rozwinięcia, utworzyła ze wszystkich najfilozoficniejszą i najdokładniej wrażliwą. To też powaga Giermańska wzięta na się rolę wyobrazicielki filozoficznych rozmyśłów, i rola ta powtarza się tak samo w żywiole lirycznym, który jest poezją Niemców, jak w powiązaniach logicznej myśli wszechświata, które są ich historią, jak nakoniec w pojęciach prawa natury, które tworzą ich jurysprudencją. Niemcy z tego względu ze wszystkich najświetniejszą mają przyszłość przed sobą, bo cokolwiek przedsięwezmą, czyli to wstósunkach społecznych czyli w literaturze, zawsze czują pod nogami podstawę pewną, ani tak łatwo zachwiać się dającą.

Inne kraje Europy w późniejszych dopiero czasach umysłowego nabierają znaczenia. Hiszpania i Portugalia krótko tylko, jakkolwiek niemniej świetnie, wykazują na sobie ogromne wpływy pomnożonej i no-

wo odkrytej żeglugi. Skandynawia, na wcale odrębnej przeszłości stojąca, nie bez trudu poprzednicze Eddy jednoczy z nowym żywiołem południowo-zachodniej oświaty; kraje Słowiańskie zaś, nie mogąc dostatecznie rozwinąć rodowego pryncypium, chwytają się obcych, często nawet skażonych pierwiastków, choć i tu nie bez świetnego nieraz rezultatu, najprzód w Polsce i w Czechach, później, ale za to od razu z podwojoną energią, w Rosyi.

Gdy zechcemy wykazać, jakim się sposobem z takiego stanu rzeczy wyrobił nasz świat dzisiejszy w społeczności, a w literaturze nasz wiek dziewiętnasty, któż nie przyzna, że objąć nam przedewszystkiem należy przekształcenie, jakie w wyobrażeniach Europy zpowodował rok *tysiączny siedmsetny osmdziesiąty dziewiąty?*



DRUGI ŻELAZNE W EUROPIE

opisał Wilhem Hedberg.

POLSKA I ROSSYA.

Droga z Petersburgu do Carskiego sioła.

Większe niż gdziekolwiek dogodności, zapewnione są Towarzystwom dróg żelaznych w Rossyi.

Towarzystwo pierwszej ukończonej drogi żelaznej Rossyjskiej, która łączy miasta Carskie sioło i Pawłowsk z Petersburgiem, użytkuje z następujących ofiar:

1° Grunta skarbowe bezpłatnie ma sobie odstąpić; włościanom, dotychczasowym ich posiadaczom, wyznaczono inne grunta, zapewniając oraz wynagrodzenie za stratę, jakąby po takowej zamianie ponieśli.

2° W myśli przyspieszenia budowy, upoważniono Towarzystwo do zajmowania gruntów lub budynków prywatnych, przed zatwierdzeniem nawet oszacowania, z obowiązkiem wszelako, złożenia u władzy właściwej summy pieniężnej odpowiedniej cenie podobnego gruntu lub budynku w okolicy.

3° Prawo wznoszenia wszelkiego rodzaju budowli do użytku drogi żelaznej na 100 sążni po każdej stronie drogi, służy Towarzystwu które nabywa oraz grunta na ten cel po tych samych zasadach, jak na samą koleję.

4^o J. C. Wys. W. Książę Michał Pawłowicz dozwolił Towarzystwu w swoim parku w Pawłowsku wystawić kilka ozdobnych pałacyków dla przyjęcia i zabaw publiczności.

5^o Towarzystwo ma prawo kupić za granicą i sprowadzić bez opłaty cła, żelazo do kolei potrzebne; w tym wszakże tylko razie, jeżeli żadna z fabryk Rossyjskich nie podejmie się dostarczyć takowego w potrzebnej dobroci i kształcie, na czas oznaczony, choćby o 15^o drożej, jak wypada żelazo z graniczne.

6^o Wolno Towarzystwu nadto wprowadzić bez opłaty cła, parowozy, powozy i inne maszyny do kolei potrzebne.

7^o Rząd nie przepisał taryfy opłat przewozu podróżnych i towarów, lecz owszem takową pozostawił woli Towarzystwa.

8^o Droga wiecznemi czasy będzie własnością Towarzystwa, a w pierwszych dziesięciu latach, niewolno nikomu w tym samym kierunku inną budować kolei.

9^o W ciągu tych 10^{ciu} lat, nie opłaca Towarzystwo żadnych podatków, lub ciężarów poczie lub innej władzy.

Przywilej na budowę otrzymało Towarzystwo 21 marca 1836, a zaraz w maju rozpoczęły się roboty ziemne; w roku zaś 1837 drogę zupełnie ukończono i do użytku otwarto.

Długość drogi tej wynosi 25^o wiorst: jest prawie poziomą i w linii prostej.

Wyniesiony nad grunt naturalny wierzch drogi, pokryty jest 14calową warstwą drobno tłuczonych kamieni, na których leżą poprzecznice drewniane. Do

poprzecznie przybite siodełka, utrzymują szyny 65 fun. na yard wążące. Miejsca między poprzecznicami, zapelniono tłuczonym kamieniem i piaskiem. Szerokość kolei pomiędzy szynami, wynosi 6 stóp, 4 cale.

Droga ta kosztuje 4 miliony rubli assygnacyjnych, ze sprawieniem 6 parowozów, 44 powozów osobowych, i 19 do towarów.

Budynki i restauracye w Pawłowsku i Carskiem siole, kosztują milion rubli srebrnych.

W latach od 1838 do 1842, liczba podróżnych na rok wynosiła średnio 600,000 osób.

W ciągu r. 1842, podróżowało 602,191 osób na różnych częściach drogi: co czyni 432,297 osób na całą jej długość. Dochód uczynił 226,088 r. 65 kop. srebrem.

Maszyny ubiegły ogółem 98,475 wiorst; koszt transportu na jedną wiorstę, wynosił 40,22 kop. srebrem.

Wyprawiono 3,792 transportów: każdy średnio mieścił w 5—6 powozach 114 podróżnych i kosztował 10 rub. 45 kop. sreb. Utrzymanie samej drogi kosztowało na każdą wiorstę 315 r. 12 k. srebrem.

Ogólny dochód	wynosił	238,138 r. 9 k. sr.
Wydatki		106,669 „ 10 —
	pozostało	131,468 „ 99 —

Dochód po szczególe.

Opłata podróżnych	226,088 r. 65 k.
— od towarów	3,891 „ 26 „
— od dworu Cesarskiego	671
— Poczty	171 „ 42 „

Dzierżawa od foxału w Pa- włowski i stacyi w Carskie m siele i Petersburgu	5,162 r. 57 k. sr.
Rozmaiły dochód	2,153 „ 9 „
	<u>238,138 r. 9 „</u>

Wydatek po szczególe.

Utrzymanie drogi i budowli	28,131 r. 3 k. sr.
Koszta transportu	39,615 „ 15 „
Koszta administracyi i t. p.	24,710 „ 98 „
Na zabawy dla publiczności	14,211 „ 94 „
	<u>106,669 r. 10 „</u>

Przewyżka rozdzieloną została jak następuje:

1. Procent i amortyzacya po- życzki rządowej	29,999 r. 40 k. sr.
2. Dywidenda dla akcyona- ryszów	60,000 „ — „
3. Dla dyrektorów $\frac{8}{100}$ czy- stego dochodu po strące- niu procentu i amortyza- cyi	8,117 „ 56 „
Kapitał rezerwowy	33,352 „ 63 „
	<u>131,468 „ 99 „</u>

Na tej drodze zaprowadzono opalanie parowozów drzewem, w miejsce węgla kamiennych, przez co gło-wnie wydatki zmniejszyły się.

Droga z Petersburga do Moskwy.

W r. 1842, Najjaśniejszy Pan zatwierdził projekt zbudowania drogi z Petersburga do Moskwy. Przed-sięwzięcie to kosztować ma 400,000,000 r. ass. Dro-ga będzie szła na Twer, a od niej ramie na Ry-

bińsk do rzeki Wołgi; długość wynosić może około 560 wiorst.

Dom handlowy *Stieglitz et Comp.* upoważniony został do ciągnięcia za granicą pożyczki na zbudowanie téj drogi żelaznej.

Dług ztąd wynikły, tak co do procentowania jako téż umorzenia, zupełnie od reszty długów państwa Rossyjskiego oddzielonym będzie. Całkowita wysokość długu tego, oznaczona 50 milionów rubli srebrnych. Tymczasem zaś, mianowicie na potrzeby r. 1843, podniesioną jest summa 8 milionów przez pożyczkę 4procentową. Co do następnych pożyczek, rząd pozostawił sobie udecydować później, czyli przyjęcie stopy procentowej niższej od 4^o, będzie stosowném.

Droga Warszawsko-Wiedeńska.

W r. 1838, tworzyć się zaczęło pod opieką rządu Towarzystwo akcyonaryuszów na wybudowanie drogi od Warszawy do granicy Austryackiej, w kierunku Oświęcimia.

Fundusze zebrane być miały przez wypuszczenie akcyj ku temu wystawionych. Fundusze te ceniono na 21 milionów złp.

Rząd Królestwa wspierając przedsięwzięcie wpływając mogące na pomyślność kraju, zaręczył akcyonaryuszom od summy powyższej, 4^o.

Dochód główny téj drogi, domniemany był z przewozu soli, węgla kamiennego, towarów i rozmaitych produktów surowych.

Po rozpoznaniu w początku r. 1839 miejscowości, wytknięto linią drogi; zadaniem jéj było dolinę Przem-

szy, jako najbliższą Oświęcimia i ku Warszawie rozciągniętą, połączyć z Warszawą.

Góry i wyniosłości, które *Przemszę* od zlewu wód *Pilicy* dzielą, nie dozwalały z drogą żelazną przejść w dolinę tej ostatniej rzeki; należało więc od najwyższego punktu pod *Kromołowem* w *Zawierciu*, (756 stóp nad grunt przy rogatkach Jerozolimskich) zejść umiarkowanemi spadkami w dolinę *Warty*, a obszedłszy Jasną górę *Częstochowy*, wznieść się ile tego wymagało wyjście na płaszczyznę *Radomska*. Ztąd, linia idzie przedziałem wód *Pilicy* i *Warty*, do *Piotrkowa*; dalej w bliskości miasta *Bendkowa*, wchodzi na przedział wód *Bzury* i *Pilicy*, a trzymając się tego kierunku, wstępuje na linie przedziałowe *Mrogi*, *Rawki* i *Łupi* rozciągające się aż do wsi *Lipców*. Od tego miejsca do *Skierniewic*, prócz górzystego położenia, napotkano trudność w zejściu z tych wysokości, których szczytu się dotąd trzymano, bo różnica na półtora-milowej przestrzeni, 200 stóp przeszło wynosi; schodząc zatem do *Skierniewic* spadkiem nie przenoszącym $\frac{1}{200}$, musiano dać rozwinięcie drodze, i to spowodowało kilkakrotne załamy linii, które jednak udało się połączyć łukami wielkich promieni. Ta część drogi żelaznej wymagała robót ziemnych najznacześniejszych na całej linii. Między *Skierniewicami* a *Warszawą*, żadnych już nie ma trudności; grunt prawie poziomy, dozwolił wytknąć linią prostą 8 mil długą. Roboty ziemne na linii tej, nie wiele znaczą.

Spadki drogi na krótkich przestrzeniach, dochodzą $\frac{1}{200}$, lecz te po największej części przypadają w kierunku transportów, to jest ku Warszawie. Dłu-

gość linii wytkniętej aż do okręgu miasta Krakowa, wynosi 255 wiorst.

Zaraz po wyznaczeniu linii, budowa się rozpoczęła i roboty ziemne po większej części ukończono.

Jednakże Towarzystwo nie zawiązało się w zupełności. D. 6 (18) sierpnia 1842 r. Dyrektor główny prezydujący w Komissyi Rządowej Przychodów i Skarbu, z woli wyższej, podał do wiadomości akcyonaryuszów i innych osób interesowanych, co następuje:

„Założyciele Towarzystwa drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, w uczynionem do mnie podaniu wynurzyli niemożność dalszego prowadzenia tego przedsięwzięcia, oraz osiągnięcia zamierzonego celu.

Z tego powodu Rząd Królestwa Polskiego, mając na względzie z jednej strony prawa akcyonaryuszów nieobecnych, z drugiej zaś połączony z przedsięwzięciem ważny udział skarbu, znalazł się w konieczności ustanowić oddzielny komitet, dla przyjęcia akt i rachunków, dla ich rewizyi, sporządzenia inwentarza majątkowego; słowem dla przedsięwzięcia wszystkiego coby się tylko okazało być potrzebnem do zupełnego wyjaśnienia tego interessu, i nadania mu dalszego prawnego biegu.

We wszystkich tych przedmiotach rząd oczekuje od komitetu szczegółowego raportu; tymczasem zaś zaręczony przez Najjaśniejszego Pana procent po 4% od summ za akcyje towarzystwa otrzymanych, wypłacany będzie jak dotąd, w czasie właściwym.“

Następnie tenże Dyrektor Przychodów i Skarbu podał do wiadomości publicznej, że wyżej wymieniony komitet złożył Rządowi Królestwa raport tej treści:

1. Przedsiębiorcy utworzenia Towarzystwa, otrzymawszy w d. 7 (19) sierpnia 1839 r. potwierdzenie projektowanej ustawy, otrzymawszy potem na prośby swoje, dwukrotnie dozwolane przedłużenie terminu do złożenia dowodów o zawiązaniu Towarzystwa; nakoniec, w przelżeniu swoim z d. 1 (13) maja 1842 r. wyznali Rządowi swoją niemożność doprowadzenia przedsięwzięcia do celu.

Zamierzone Towarzystwo miało się składać z 5000 akcji, każda po 100 funtów szterlingów czyli 4200 złotych i dostarczyć kapitału 21,000,000 zł. na zbudowanie drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej miarkowanego, lecz przedsiębiorcy, aż do dnia wyznania swęj niemożności, znaleźli tylko prawdziwy odbyt na 1140 akcji, wynoszących sumę 4,636,000 zł. a w zaliczeniach za opuszczone akcyje zebrali zł. 1,231,337 gr. 11.

Gdy więc odbyt akcji nie doszedł połowy pięcioletniej liczby, po której w obieg wypuszczonej, zamierzone Towarzystwo podług §. 4 swojej ustawy, za zaczęte uważanem być miało, a z tej przyczyny do zawiązania się przez akt, prawem wymagany, doprowadzonem być nie mogło, czynami zaś takimi, jakie ustawa w tytule 3cim wskazała, istnienia swego nie objawiło, przeto rzeczywiście do zawiązania nie doszło.

Czynności przedsiębiorców w objęciu przymiotu dyrektorów i w rozpoczęciu z początkiem 1840 r. budowy drogi, okazują się być przedsięwzięte w nadziei sprowadzenia rychlejszego odbytu akcji i lepszego w przyszłości powodzenia; lecz gdy nadzieja ta została omyloną, a budowa drogi była rozpoczętą przed istotnem zawiązaniem Towarzystwa, przeto wypa dki tych czynności i długi przez przedsiębiorców

na rozpoczętą budowę drogi zaciągnięte, na ciężar posiadających papiery niedoszłego Towarzystwa liczone być nie powinny, którymto posiadaczom, podług zdania komitetu, wypada powrócić powierzone fundusze, z procentami do dnia złożenia każdego z tych papierów.

Na zasadach powyższych opierając się komitet, przedstawił do decyzji rządu, że należałoby:

a) Posiadaczom akcyj niedoszłego Towarzystwa powrócić kapitały, temi akcyami objęte, wraz z procentem $4\frac{0}{2}$ do dnia złożenia każdej akcyi.

b) Posiadaczom tymczasowych dowodów zaliczeń, które podług ustawy w §. 23, na rzecz Towarzystwa, gdyby do zawiązania się było doszło, przypadać miały, również powrócić takowe zaliczenia z procentami do dnia, w którym każdy z tych dowodów zwróconym zostanie.

c) Uiszczanie tych wypłat oddającym papiery niedoszłego Towarzystwa, od dnia 19 listopada (1 grudnia) r. b. 1843, postanowić, a ostatni termin składowania tych papierów do dnia 19^{to} listopada (1 grudnia) 1844 r. naznaczyć, i o tem posiadaczy rzeczonych papierów przez pisma publiczne zawiadomić.

Rząd Królestwa Polskiego powyższe wnioski komitetu potwierdził, i upoważnił Dyrektora wyżej wymienionego, do wprowadzenia ich w wykonanie.

W skutku czego wezwani zostali wszyscy właściciele akcyj i tymczasowych dowodów (certyfikatów) niedoszłego Towarzystwa, ażeby się zgłosili dla otrzymania za nie przypadających należności. podług następującej zasady:

1. Na składanie rzeczonych akcyj i tymczasowych dowodów (certyfikatów) naznacza się ostateczny termin 12^{to} miesięczny, to jest od 19 listop. (1 grudnia) 1843 r. do 19 listopada (1 grudnia) 1844 roku.

Wszelkie akcje i tymczasowe dowody (certyfikaty) składane być mają: w Londynie u bankiera *Harmann et comp.* a w Warszawie, w Banku Polskim, gdzie, w myśl § 14 ustawy niedoszłego Towarzystwa, wnoszone być miały fundusze za akcje.

3. Należytość za złożone akcje, po przekonaniu się o ich autentyczności, wypłaconą będzie w pełnej nominalnej cenie, z procentem 4^o, po dzień, w którym akcje takowe zwrócone w ciągu wyż oznaczonego terminu zostaną, a to bez żadnego oddzielnego sprawdzania.

4. Należytość zaś za tymczasowe dowody (certyfikaty), jako poświadczające częściowe upłaty na rachunek zamówionych akcyj, zwracaną będzie także z procentem 4^o po dzień ich, w ciągu wyżej oznaczonego terminu, złożenia, lecz nie inaczej, jak za przekonaniem się o autentyczności takowych dowodów, i po sprawdzeniu sposobu ich wydania, oraz wpływu summ, za dowody takowe wniesionych.

W pismach publicznych, na początku października 1843 czytaliśmy, że Najjaśniejszy Pan rozkazał budowę drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, dalej prowadzić, i z rokiem 1847 ukończyć.

Przedsięwzięcia zatem, które okazało się nad siły prywatnych, dokona rząd, i zapewni krajowi korzyści jakich się ztąd spodziewać może.

Zakończenie.

Powyższy obraz dróg żelaznych w Europie (1) przekonywa, że większa część rządów uznała już ważność tej zasady, iż drogi żelazne wówczas tylko korzystne są dla całego kraju, gdy je własnym kosztem rząd zakłada i utrzymuje.

Wpływ pomyślny dróg żelaznych na administracyą kraju, nie da się połączyć z jednostronnemi prywatnych widokami, tam gdzie drogi te odrębnych kawałków, w dłuższe i ciągłe przechodzą linie. Albowiem budowa i wynikające ztąd następstwa, jednoczą się tylko z interesem ogółu, kiedy takiem przedsięwzięciem zajmuje się władza, środki każdego rodzaju dzierżąca. Niestety wypadki na drodze Wersalskiej, i większa część przypadków na drogach innych, nie miałyby zapewne miejsca, gdyby Rząd te drogi administrował; bo towarzystwa prywatne (krępowane już często kroć niedogodną przez oszczędność budową) w usłudze tak kosztownej, jak jest usługa drogi żelaznej, nie posiadają dostatecznych środków, na utrzymanie materiału obiegowego w odpowiedniej ilości i należytym wyborze.

Przywileje rządowe dla towarzystw prywatnych, obejmują mnóstwo przepisów, zastrzeżeń i ograniczeń, które chociaż bezpieczeństwo mają na celu i dla dobra publicznego są wydane; wielokrotnie ścieśniają i utrudzają działanie towarzystw.

W Austryi powszechną sprawiły radość, uwielbienie zjednały, postanowienia co do dróg żelaznych.

(1) Zob. Bibl. Warsz. posył za styczeń, luty i marzec 1842.

Bez rozgłoszeń i rozpraw, silnie, ogłędnie i z chęcią wzięto się do wykonania ogromnych przedsięwzięć. Zdatni, za granicę kraju wystąpi ludzie, śledzą dotąd postępy, zbierają i przesyłają wiadomości o ulepszeniach i doświadczeniach.

W podobnej myśli działa Bawarya, Badeńskie, Hannover, Wirtemberg, Brunświk, i Francya. Na koszt Rządu budują się drogi z Warszawy do Krakowa, i z Petersburga do Moskwy. Prusy zapewne niedługo pójdą za ogólnym przykładem.

We Francyi na zaprowadzenie sieci dróg żelaznych, ułożono plan kolosalny. Czyli w zupełności wykonanym będzie, czyli przy ciągłej zmianie ministrów, zawsze równych znajdzie stronników, czas okaże. Dziś jednak na różnych punktach skrzętnie budową się zajmują, jak dowodzą częste w pismach publicznych ogłoszenia i odezwy dotyczące się przedsięwzięstw i dostaw do dróg żelaznych. Tam, kosztem publicznym, jak już powiedzieliśmy, nabywane są grunta, sporządzane groble, przekopy, mosty i t. d. Szyn zaś, parowozów i innego materiału obiegowego, dostarczają towarzystwa prywatne, które w 40letnią dzierżawę obejmują drogę. Dziwna rzecz dlaczego rząd Francuzki, pełen pojęcia i środków, nie zarządzi obiegu na drogach kosztem skarbowym. Układy zawierane obecnie z prywatnemi, nie przyniosą zapewne korzyści, jakie dla dobra kraju całego z dróg wypłynąćby powinny, lecz się staną przedmiotem spekulacji. Czy nie należałoby Francyi pójść za przykładem Belgii, w utrzymaniu skarbowym kosztem dróg przez *skarb zbudowanych?*

Nie jest tu miejsce przywozić szczegóły ulepszeń i odmian jakie co chwila w budowie i utrzymaniu dróg żelaznych, w składzie i użyciu parowozów i wozów pojawiają się. Nie pominiemy jednak ogólnych pomysłów ulepszenie komunikacyj na celu mających.

Duch ludzki niepomowanym lotem wznosi się i za nowością dąży. Dojrzeje ztąd zapewne piękny owoc na wielu gałęziach przemysłowego drzewa, gdzie dziś fantastyczne widzimy narosłe.

Niedawno Kleg wystąpił z myślą użycia ciśnienia atmosfery do posługi dróg żelaznych. (2) Wagner siły elektromagnetycznej w tym samym celu użyć zamierzał. Większość sądziła że takie pomysły będą niewykonalne, niepraktyczne. Dziś jednak z postępu, jaki w zastosowaniu obu tych sił zrobiono, okazuje się że sąd był zawczesny. Doświadczenie i opinia biegłych techników Angielskich, jakimi są: Brunel i Vignioles, przekonywają że ciśnienie powietrza do posługi dróg żelaznych, w wielu przypadkach zastosować można.

Ogłoszony i patentowany wynalazek p. Shuttleworth, tak zwaney drogi żelaznej hydraulicznej, był przedmiotem obszernych rozpraw poważnych dzienników, co dowodzi że wynalazek ten nie jest pozbawiony naukowej podstawy. (3)

(2) Opisanie drogi żelaz. atmosferycznej znajduje się w Gazecie Warszawskiej z r. 1843.

(3) P. Shuttleworth w miejsce pary, używa ciśnienia wody za siłę poruszającą. W tym celu zakłada wielkie zbiorniki w wysokości 200 stóp nad poziom drogi, zasilane pracą machin parowych.

Nowa siła poruszająca, podana przez Jana Baggs w Cheltenham pod nazwą (*The carbonic acid Engine*) maszyny kwasu węglowego, według pism publicznych, znakomite dla dróg żelaznych obiecuje korzyści.

Pismo jedno Francuzkie mówi: Jakożkolwiek wielkie są skutki wynalazku Watta i stopniowych ulepszeń parowozów, korzyści wszakże z tej potężnej siły dla handlu i przemysłu, osiągnąć tylko można znacznym, mianowicie na paliwo, wydatkiem. (4)

Wychodząc z prostej zasady, że ciepło znacznie powiększa objętość sprężystych gazów, które wówczas nadzwyczajne wywierają ciśnienie, podjęto wiele doświadczeń, ażeby z tego prawa przyrody ciągnąć korzyści, i mniejszym kosztem otrzymać siły przewyższające siłę pary.

Faraday, przez długi szereg doświadczeń nad skraplaniem gazów, zebrał szczegółowe i ważne wypadki względem własności i rozprężliwości gazów w rozmaitych temperaturach. Na takichto własnościach gazów: amoniaku i kwasu węglowego, oparł p. Baggs wynalezioną siłę poruszającą.

Gaz kwas węglowy, płyn niewidzialny, elastyczny, o połowę lżejszy od powietrza atmosferycznego, (100 cali kub. waży 47 granów) rozszerza się przez

Ze zbiorników tych, nazywanych stacyami (odległych stosownie do wielkości ruchu i profilu drogi), woda doprowadzona wielu rurami do kolei żelaznej, tak działa na powozy, że te 200 stóp przez ciśnienie, a następnie 400 stóp nabytą prędkością posuwają się naprzód.

(4) Paliwo na drodze żelaznej Great Western, kosztuje tygodniowo 40000 złp.

ciepło. Gaz ten w mocnym kotle, przy temperaturze 0° Réau. może być skroplony, a wróciwszy do stanu lotnego przy temperaturze $+24^{\circ}$ R. powiększa objętość 443 razy i wywiera ciśnienie 1099 fun. na cal \square . Własności mechaniczne gazu amoniackiego, są bardzo podobne własnościom kwasu węglowego; przy takim jak opisaliśmy, postępowaniu, powiększa objętość 1040 razy. Lecz kiedy część gazu kwasu węglowego zmiesza się z częścią gazu amoniakalnego, tracą obadwa rozprężliwość, a dolana woda sprowadza je do równej objętości i t. d.

Oto są zasady wynalazku p. Baggs; przyobiecał on wkrótce ogłosić w pismach Angielskich szczegółowe opisanie swojej maszyny.

Inny znowu wynalazek następcza dziennikom Angielskim i Francuzkim treść do rozlicznych uwag. P. Heuson zamierza przewozić osoby i towary po powietrzu, za pomocą pary i skrzydeł sztucznych.

Mniemają niektórzy że wynalazek ten będzie się z drogami żelaznymi, ubiegał o pierwszeństwo. Czytamy w prospekcie ogłoszonym przez wynalazcę, co następuje:

„Zrobiono niedawno wynalazek, który jeżeli pomyslnym skutkiem uwieńczony zostanie, nie ma nic równego w wieku nawet obecnym, który jest świadkiem dziwnych skutków gazu i pary. Gdyby ogłoszono tajemnicę tego prostego wynalazku, ogromne ztąd współzawodnictwo przeszkodziłoby stósownemu rozwinięciu pomysłu, a wynalazca zostałby w nadziejach swych zawiedzionym. Własności wynalazku tego tak są znakomite, zastosowanie tak rozciągłe, że byłoby rzeczą niebezpieczną, aby go obecnie wyjawić.

Stara się wynalazca zyskać patenta swobody w Anglii, osadach Angielskich, Belgii, Stanach zjednoczonych i innych krajach, gdzie nowe pomysły doznają opieki.

Zasady wynalazku p. Heuson, opierają się na prawach ciężenia i na ciśnieniu atmosferycznem. Prócz tego, starał się najwięcej naśladować anatomią ptaków, których budowa tak mądrze odpowiada ich przeznaczeniu.

Nie zechcą uwierzyć znawcy, że machina parowa unosząca cały aparat w powietrzu wraz z kondensatorem i zapasem wody, 600 funtów waży.

Aby ten powóz powietrzny w ruch wprowadzić, należy go wciągnąć na wzniesione miejsce. Ztamtąd na kołach, umieszczonych pod spodem, stacza się wóz po równi pochyłej, i nabrawszy przyzwoitej prędkości, wznosi w powietrze; wówczas dopiero nastaje ruch mechanizmu, naśladujący latanie ptaków.

Kolosalny hippogryf składa się głównie z kijów bambusowych i materyi jedwabnej napuszczanej oliwą.

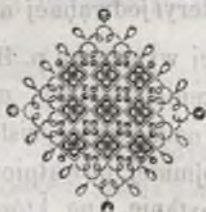
Wszystkie części wynalazku p. Heuson zgadzają się dokładnie z urządzeniami natury, mówi dziennik *The Builder*, a warunki naukowe są ściśle dopełnione; niemożna przeto bynajmniej powątpiewać o skutku. Zachodzi wszelako pytanie, na które niełatwo odpowiedzieć, czy machina parowa będzie dosyć skuteczną do utrzymania ruchu postępowego?

Nauka i doświadczenie, nie wystarczają do ocenienia oporu, jaki w locie siłą pary wypadnie zwyciężyć. Teorya oporu płynów przeciw płaszczyznom

pochylnym pod małym kątem, jest najciemniejszą częścią mechaniki; słusznie więc p. Henson czerpał zasady swoje z przyrody, i spodziewać się należy, że odpowiednio potrzebie użył siły maszyny parowej.

Prędkość i trwanie polotu, lubo od siły pary zależą, jednak tylko według doświadczeń przysłych mogą być oznaczone. Z natury rzeczy wypada, że nawet najmniejszy pomyślny skutek stanie się wróżbą wielkiej szybkości i długotrwałego polotu.

Historja wynalazków mechanicznych dowodzi, że każde ważne odkrycie za pierwszym pojawieniem zatrudniało wiele głów zdatnych; przypuścić należy że i ten pomysł nadzwyczajny spowoduje niemało badań naukowych, udoskonalenie mających na celu; spodziewamy się zatem, że wkrótce człowiek opauje żywioł nowy i latać będzie z wiatrami w powietrzu (mówi *The Builder*).



SCENY W KOZNYCH MIEJSCACH

przez

Ambrożego Ambrożkiewicza.

SCENA PIERWSZA

W OGRODZIE SASKIM.

(Ogród Saski. Wchodzi pan Jan i August).

AUGUST

(patrzac wokolo przez lorynetkę i ziewajac)

Aa! co za nudy! jakie pustki!

JAN

Jeszcze rano. Zbiorą się zapewne; wieczór piękny, wietrzyk zlekką przebiega po listkach, jak delikatny uśmiech po pięknych ustach.

AUGUST *(podaje mu rękę)*

Bądźże zdrów.

JAN

Dokądże? czemu?

AUGUST

Zmituj się, twoja poezya! *(ziewa)* aa!

JAN

No, no, nie uciekaj, będę gadał prozą. Co nowego w literaturze?

AUGUST

Jest wiele rzeczy nowych; ale to, mój dobrodzieju, las nowozasiany. Trzeba długo czekać, nim spozniesz pod jego cieniem.

JAN

Otóż złapałem i ciebie.

AUGUST

A to jak?

JAN

A tenże las, czyto nie poezya?

AUGUST (*ziewa*)

Być może, nie uważałem. Ależbo tak nam od młodości nabili głowę wierszami, tak nas nudzili metaforami i porównaniami jeszcze w szkołach, że teraz mimowolnie odzywają się, jak zadawniony kaszel.

JAN

Znowu poezya, i nowa. Kaszel i metafory! co za zbliżenie!

AUGUST

Czyto u nas teraz takie rzeczy zbliżają? Ale pódzmy; ani jednej ładnej twarzyczki nie widać; a ja nie lubię ogrodu bez kwiatków.

JAN

A literatury chcesz bez poezyi? Ogród bez kwiatów, literatura bez poezyi, towarzystwo bez kobiety, uczta bez wina... co jeszcze?

AUGUST

Armia bez armat.

JAN

Obiad bez sztuki mięsa.

AUGUST

Ale pfe! dajże pokój; kwiaty, kobiety i sztuka mięsa! Co za sens!

JAN

A twojeż armaty, lepsze? Dlatego dajmy temu pokój, bo oba bredzimy.

AUGUST

Patrzno, jakaś kompania do nas się zbliża. O ho! wszakże to cała Biblioteka Warszawska. Kogożto ci panowie okrażają?

JAN

To podobno jakiś literat partyi Ukraińskiej. Mówiono mi, że jeden z nich przyjechał, ale nie wiem który.

AUGUST

Podejźmy bliżej.

(Wchodzą: redaktor, poeta, romansista, krytyk, drama turg ipodróżny).

PODRÓŻNY

Piękny, piękny, panowie, macie ogród, dla odechnienia po pracach waszych. Ulice równe, powietrze świeże, cienia dużo. A wieczorem, o! wieczorem to, panowie, musicie się upędzać tu za waszemi muzami i w ich oczkach umizgliwych szukać natchnienia.

POETA

Spotykamy tu czasem twarzyczki ładne i oczy wymowne, które, ach! dają do myślenia.

PODRÓŻNY

A panu, panie redaktorze! nie do tego? Kłopoty redakcyi, brak artykułów, niedostatek prenumeratorów, fochy autorskie, pretensye gieniuszów, miłość własna gieniuszów, wszystko to uczoną głowę pańską pochyła do ziemi, tak, że i nie zajrzysz pod kapelusik różowy, który obok mignie. Co? nie prawda?

REDAKTOR

O! prawda. Nie mam czasu.

PODRÓŻNY

Kiedy minister mówi, że nie ma czasu, rzecz wątpliwa: kiedy generał w czasie pokoju mówi, że nie ma czasu, rzecz podejrzana; kiedy doktor ubogiemu odpowiada, że nie ma czasu, fałsz; kiedy sędzia mającemu sprawę mówi, że nie ma czasu, bajka; kiedy sekretarz temperuje pióro i mówi, że nie ma czasu, żę. Ale kiedy redaktor mówi, że nie ma czasu, to święta prawda.

AUGUST (do Jana)

Chce być dowcipnym.

JAN

Ale nie, źle mówi, posłuchajmy.

REDAKTOR

Co też teraz pan masz na warsztacie? Pewnie i teka pełna. Czy nie mógłbym się czem zasilić?

PODRÓŻNY

O! widzicie państwo! zaprosił mię na obiad, ukarmił i spoił, i teraz chce żebym mu za to zapłacił. Otóżto redaktora grzeczność.

REDAKTOR

Cóż robić, panie kochany! ja potrzebuję ogromnej massy płodów. Ledwie jeden numer zapełnię, już drugi rozdziawia próżną paszczę, którą także zapychać potrzeba.

PODRÓŻNY

A od czegoż ci panowie?

REDAKTOR

Pracują, nie mam im co zarzucić, i Biblioteka nasza niepoślednie zajmuje miejsce w obecnej literaturze naszej. Ale im więcej, tym lepiej. Jak bogaczowi nigdy niedość pieniędzy, autorowi nigdy niedość sławy, tak redaktorowi nigdy niedość artykułów.

KRYTYK

Serio? Pozwól pan zapytać, czego się mamy teraz z pod pióra pańskiego spodziewać?

PODRÓŻNY

Żebyś skrytykował w kronice? Nie, mój dobrodzieju, schowaj swoją ochotę na później. Bo teraz ja myślę się wziąć do naszego rzemiosła.

DRAMATURG

Cóż pan zamierzasz?

PODRÓŻNY

Jeśli nikt lepszy tego nie zrobi, co zamierzam (*obracając się do krytyka*), jeśli pan tego nie zrobisz, ja zrobię. Literatura nasza jest dziś w stanie dość kwitnącym. Nie jest ona, naturalnie, pełna, nie wychodzą u nas dzieła naukowe, bo i nie mogą wychodzić dla dwudziestu czterech przyczyn; to wszakże co się drukuje, jest swojskie i samorodne; a to krok olbrzymi i najpiękniejsza wróżba nadal. Niemałego potrzeba było wysilenia, żeby odrzucić cudzoziemskie paski, żeby wyleść z Francuzkich i Niemieckich pieluszek. Ale żebyśmy tym pewniej stanęli na własnych nogach i poszli naprzód krokiem jeszcze śmielszym, powinniśmy usunąć jedną ważną przeszkodę.

ROMANSISTA

Jakążto? proszę pana.

PODRÓŻNY

Prace literackie, szczególnie w tak nazwanej pięknej literaturze, podlegającej sądowi wszystkich, wymagają bezstronnego ocenienia, bez raptusów, admiracyj, i bez niewczesnego i obrażającego lekceważenia. Taki sąd dla czytelników jest nauką i przestrogą, dla piszących zaś jest skazówką i jedyną zapłatą, jedyną nagrodą za ich prace. Bo jakąż inną panowie macie? powiedźcie.

POETA

Naturalnie, żadnej. Gdzieindziej talent jest majątkiem; a u nas, ach! trzeba się jeszcze nakłaniać drukarzowi, żeby wydał.

PODRÓŻNY

Ma i to dobrą swoją stronę, ale o tém potem.

REDAKTOR

Napisz pan w tym przedmiocie artykuł.

PODRÓŻNY

Monsieur Jose! vous êtes orfevre.

REDAKTOR

Cóż robić! Ale właśnie 20ty się zbliża, a to dla mnie czas najkrytyczniejszy.

KRYTYK

Nie przeszkadzajcie bo, panowie.

PODRÓŻNY

Otóż (*do krytyka*) z przeproszeniem pańskim, takiego sądu u nas nie ma. Umiemy tylko albo przechwalić bez miłosierdzia, albo zganić bez miłosierdzia. My naprzykład, stawimy niektórych swoich na szczydła tak, że im nieborakom głowa się zawraca od wysokości, do której nie stworzeni, a o was mówimy kuso, lub co gorsza, nie mówimy wcale. Panowie nawzajem, czerkiesko nas obcinacie w swojej kronice i nie oddajecie należytych pokłonów, dlatego też i zawyrokowaliśmy, że w Bibliotece nie ma krytyki. I jedno niesprawiedliwe, i drugie niestuszne. *Suum cuique*, moi panowie. Z tych tedy powodów przewartowałem wszystkich na nowo; i o wszystkich na nowo chcę wydać sąd, według mego przekonania, według wrażeń jakie na mnie powtórne czytanie zrobiło, według słabych zdolności moich. Nie ręczę za to, że się nie pomylę, boby to było głupstwo, a co gorsza, głupstwo nie oryginalne, ale powtórzone. Ale za to ręczyć mogę, że ani Galicya, ani Kraków, ani Poznań, ani Warszawa, ani Litwa, ani Wołyń i Ukraina żadnego wpływu na mój sąd nie wywrze. Mam nadzieję w Bogu, że dla pożytku ziomków, dla oddania sprawiedliwości zaśludze, powiem wszystko według sumienia, i rozumie się *in quantum possum*.

POETA (*zacierając ręce*)

I pan chcesz mówić o wszystkich?

PODRÓŻNY (*biorąc go za rękę*)

A dotąd, mój panie, o twoich wierszach nie powiedziano? co? — Nie, nie o wszystkich, mój dobrodzieju, i ja mówić będę. A najprzód nie powiem o

umarłych. Z tych jedni umarli na zawsze i pokój ich popiołom. Inni żyją w ustach narodu i we wdzięcznej jego pamięci, i sąd o tych ostatnich należy do historyi literatury, t. j. do dzieła wymagającego wielu zachodów, obszerniejszej nauki niż moja, środków materyalnych i źródeł daleko donośniejszych, niż ja mieć mogę; słowem do dzieła przewyższającego pod każdym względem moje siły. A ja mam sobie za święty obowiązek, za nakaz sumienia literackiego nic nie porywać się na to, czego nie mogę zrobić dobrze, tym bardziej, że to zrobi dobrze Wiszniewski, i może nikt lepiej od niego. Zostaje mi więc mówić o żyjących.

KRYTYK

Aj!

PODRÓŻNY

Co to, rzecz ślizka; nie prawdaż? Sparzyłeś się już, kochany panie, na tém rzemieśle. Ale wiesz czemu? — boś mówił za wsześnie i o wszystkich. Nikt z nas np. nie odmówi Grabowskiemu obszernej nauki, wysokiego talentu i zdrowego sądu; a przecież, patrzcie państwo, jakie bąki puszcza, a szczególnie jak nieszczęśliwie i zarozumiale prorokuje. Dlaczegoż to? — oto dlatego, że prędko, że po pierwszym przeczytaniu książki lub książeczki, że pod wpływem jeszcze nie ostygłych wrażeń, świeżych stósunków, względów i t. p. Trudno bowiem sędziemu oprzeć się tej niewinnej korupcyi, gdy w jedno ucho przyjaźń szepce swoje: *zmiłuj się*, w drugie pokora piszącego kładzie: *niech pan będzie taskaw* i t. p. I krytyk jest człowiekiem, moi panowie.

ROMANSISTA

Ale jeżeli takie zdania swoje, narzuca jak wyroki nieodzowne?

PODRÓŻNY

Masz coś do niego, już widzę. Nie, mój łaskawco, tego on nie robi, ile pamiętam. A jeżeli się czasem i takiego błędu dopuścił, to i wtem więcej naszej winy, niż jego. Dlaczegoż pozwalaliśmy mu tak długo buszować bez kontroli? Należało mu dawniej przyciąć cokolwiek skrzydeł, ale grzecznie i z takim rozumem, jak to zrobił niedawno ów nieoszacowany szlachcic z Polesia, któremu daj Boże zdrowie i ochotę do dalszego pisania na sławę i cześć naszej literatury.

POETA (*zagryzając wargi*)

Więc pan między żyjącymi myślisz robić wybór?

PODRÓŻNY

Myślę, panie kochany, i bardzo myślę. Mamy *najwzród* kilku pisarzy z potężnym rozumem, nauką rozległą i wielostronną, którzy się oddali po większej części filozofii, i na tych czele Trentowski, Cieszkowski, i Libelt. Mamy *powtóre* kilku oddanych badaniom historycznym; z tych najcelniejsi: Wiszniewski, Maciejowski, i inni. O tych, naturalnie, mówić nie będę, dla tej ważnej przyczyny, że rozbiór i krytyka dzieł filozoficznych i historycznych wymaga człowieka specjalnie tym przedmiotom poświęconego, do czego ja się nie umyłem. Zostaje mi więc najłatwiejszy i najtrudniejszy rodzaj literatury, to jest takie dzieła, w których twórczość mniej więcej ma udziału.

KRYTYK

Dla Boga! toż takich teraz nie widzieć wiele. Weź pan Orędownika; pamiętniki i tygodniki, Pielgrzyma i różne zbiory, weź pan naszą Bibliotekę, Ateneum i t. d. i t. d. policz pan tam wszystkie imiona, i do nich dodaj pan imiona tych, którzy osobno prace swe drukują; toż regiestr ogromny!

PODRÓŻNY

Tym lepiej, tym lepiej, panie kochany. Czas prze sieje ich przez swoje rzeszoto; pusty poślad pójdzie z plewą na wiatr, a czyste ziarno zostanie. Otóż o takich tylko chcę mówić, którzy już zostali na rzeszocie czasu i powszechnego mniemania; którzy są czystym ziarnem; dla których już zaczęła się potomność.

POETA

Jacyżto ci szczęśliwi, dla których według mniemania pańskiego, już się zaczęła potomność?

PODRÓŻNY

Nomina sunt odiosa. Wszakże tu nie ci będą się gniewać, których nazwę, ale ci, których pomnę. Nieśluszenie jednak. *Najprzód* dlatego, że to zdanie moje, zdanie pojedyncze, którego powszechność może nie zatwierdzić. *Powtóre*, że zpomiędzy tylu młodych i silnych zapaśników, którzy się dobijają do tej pożądaney mety, z każdym dniem jeden u niej staje. Kogo więc nie wymienię dziś, może go wymienię na rok przyszły, i t. d.

POETA

Racze pan wymieniać.

ROMANSISTA

Prosimy.

DRAMATURG

Bardzośmy ciekawi.

(*wszyscy słuchają z napięciem*)

PODRÓŻNY (*patrząc na nich z uśmiechem*)

Ciekawiście, panowie, czy którego z was, przez grzeczność, nie nazwę? Nie, łaskawcy, na ten raz wybaczeie.

AUGUST (*do Jana*)

Jakiś oryginał.

PODRÓŻNY

Kocham was, boście zdolni, boście pracowici, ale meta jeszcze przed wami. Biegnijcie, a który pierwszy do niej zdąży, o tym dam znać natychmiast panu redaktorowi.

REDAKTOR

I dasz mi pan o nim artykuł? Co?

PODRÓŻNY

Semper idem! No, dam, jeżeli go tylko pan przyjmiesz, i nie będziesz nadto wybrédnym. (*do innych*) Ale czegożście się panowie nadąsali? Czy się gniewacie?

DRAMATURG

O! bynajmniej; nie mamy pretensyi, bądź pan pewny. Ale właśnie myślimy nad tém, kogo pan nazwiesz, Czy też zdanie nasze zgodzi się z pańskim.

PODRÓŻNY

Oto na pierwszém miejscu postawię dwóch wielkich poetów, i najznakomitszą a godną uwielbienia ko-



biętę. O tych mówić nie będę. Bo chociaż, dzięki Bogu, żyją, należą oni już do historyi i nie podlegają niepewnym sądom współczesnej krytyki. Panowie domyślacie się zapewne, jakie są te trzy poświęcone imiona?

(wszyscy skłaniają głowy)

KRYTYK

A dalej kto?

PODRÓŻNY

Kto? Oto z dawniejszych, ale należących już do nowej epoki: Aleksander Fredro, autor Zamku Kaniowskiego, Żmii, Poezyj biblijnych i... ja.

(wszyscy uśmiechają się)

JAN *(do Augusta)*

Aha! teraz wiem kto on.

(szepce mu do ucha)

AUGUST

Zkądże wnosisz?

JAN

A toż pompatyczne ja.

AUGUST

Mylisz się; daleko mu do tamtego. Ale cicho.

PODRÓŻNY

Z późniejszych, Grabowski, Kraszewski, autor Soplicy, X. Hołomiński, X. Chołoniewski, Czajkowski, Olizarowski, John of Dycalp, Chodźko, Przecławski, Tyżyński, Bujnicki, pani Ziemecka, pan czy pani Szyrmer. Któż jeszcze?

ROMANSISTA

A Przedziecki?

PODRÓŻNY

Z tym panem poczekamy. Za wcześnie zrobili mu reputacyą. Ma zdolności, ma siły, niech biegnie; meta jeszcze przed nim.

DRAMATURG

A Drzewiecki?

PODRÓŻNY

Pełen, pełen talentu. Wybornie skopiował oryginały, które miał przed oczyma; ale obaczmy czy ma oryginały i tu; czy potrafi co stworzyć. Meta jeszcze przed nim.

KRYTYK

A dawniejszych tłumaczy, pan nie wspominasz?

PODRÓŻNY

Odyńca, Siemińskiego i Bielowskiego pewnie nie pomnę. Otóż tych wszystkich panów rozbiore do koszuli; ale niech się nie boją; więcej w nich widzę kształtów szlachetnych i pięknych, niż garbów i brodawek. Dzięki ich zdolnościom, ich pracy; mam teraz blisko dwieście w mojej biblioteczce tomów Polskich książek, po większej części z ostatniej epoki, któremi po pracach obowiązku, słodzę samotność wieczorów; z których, dzięki Bogu, już bez dykcyonarza mogę czerpać zabawę i naukę. Jeżeli o którym powiem, że to złe, to się nie udało, niech nie myśli, że go chcę ukłóć, lub jego kosztem czytelnika zabawić! Może krytyka tumanić i śmieszyć publiczność rozbiorem dzieł, których jeszcze nikt nie zna, ale mówić nieprawdę i z ubliżeniem o pisarzach znanych powszechnie, których wszyscy szanują, a ja nie mniej od innych, jestto wystrychnąć się samemu na dudka,

do czego wcale nie mam ochoty. Bardzo być może, że z tych sądów naszych tak śmiać się będą potomni, jak my dziś śmiejemy się z przesadzonych pochwał Świątyni Wenery w Knidos i t. p. ale jak historyk używa świadectw naocznych świadków i ich kronik, tak i przyszły historyk dziejów literatury użyje naszych zdań za skazówkę, jakie miejsce każdemu z tych znakomych pisarzy sąd współczesny naznaczył, a w miarę tego i tenże sam sąd osądzi. Ale którażto godzina, moi panowie, bośmy się okrutnie zagadali.

REDAKTOR

Pan zapewne boisz się spóźnić na teatr? (*patrząc na zegarek*). Dopiero szósta, panie kochany; a u nas w lecie zaczyna się teatr o ósmej.

DRAMATURG

Spodziewam się, że się pan ubawisz dziś należycie wyborną sztuką Fredry. Dzięki Bogu, zaczynają przecież brać się do naszych znajomych pisarzy.

PODRÓŻNY

Dobrzeto^o jest; ale szkoda że właśnie tę sztukę Fredry wznowili, a nie inną.

DRAMATURG

Wiem, wiem, kochany panie, i oto dowód: niosę ją z sobą. Jużem ją dziś odczytał raz, a jeszcze przejrzę w międzyaktach, żebym mógł, mając w pamięci każde prawie słowo, zwrócić uwagę tylko na aktorów, i tym lepiej grę ich ocenić. Bo przyznam się panom, że więcej idę dla nich, jak dla sztuki. Powiem nawet, że gdybym tu był z żoną i córką, mimo całej

ciekawości widzenia waszych artystów, nie poszedłbym pewnie, choćby mi łożę dano.

POETA

A pozwólże pan sobie powiedzieć, że to bardzo dalekie od owej obiecaniej bezstronności, i że wyrok taki zakrawa na owe krytyki tam... gdzie te...

PODRÓŻNY

Otóżto poetyczna drażliwość! Czyż pan myślisz że ja mniej cenię Fredra niż pan? O! mylisz się mój łaskawco! Ale widać żeś dawno nie widział tej sztuki, a jeszcze dawniej ją czytał.

POETA

To prawda.

PODRÓŻNY

Chceszże pan, abym zdanie swoje usprawiedliwił? Bo ja nie lubię narzucać nikomu swojego mniemania bez dowodów.

DRAMATURG

Prosimy, prosimy.

KRYTYK

Więc pan powiadasz, że komedia *Mąż i żona* jest zła?

PODRÓŻNY

Powiadam, że taka, jaką jest teraz, jest zła, bo wielce niemoralna.

DRAMATURG

Czyżto koniecznie ten sens moralny?

PODRÓŻNY

Koniecznie potrzeba, aby sobie spektator wyrobił jakąś myśl z tego co się przed nim dzieje. Może

ona być nie ta sama, jaką miał autor; ale w żadnym przypadku nie powinna być szkodliwa jego sercu i obyczajom. A cóż, proszę pana, wyciągnąć można z widoku wspólnych zdrad osób rozpustnych, osób takich, które doprowadziły zepsucie do teoryi, i poddały je pod pewne zasady?

DRAMATURG

Ależ zabawa? panie kochany!

PODRÓŻNY

Możeż być zabawnem, pytam się pana, widowisko, w którym na *serio*, żona oszukuje męża, mąż żonę, kochanek żonę i męża, służąca żonę, męża i kochanka? I jak się jeszcze wszystko to kończy? Mąż zostaje przyjacielem kochanka, przebacza występnej żonie i jeszcze ją szanuje (*przewraca w książce i pokazuje ostatnią scenę*). O, patrz pan, wyraźnie: *szanuje*; a wszystko krupi się na służącej. I za cóż? chyba za to, że miała więcej rozumu od nich wszystkich, i potrafiła wyprowadzić w pole wszystko troje.

DRAMATURG

Prawda, że Fredro złożył tę sztukę z samych osób niemoralnych i zepsutych; ale z drugiej strony przyznasz pan, że ckliwą byłaby komedia, gdyby do niej sami cnotliwi wchodzili.

PODRÓŻNY

Z aniołów żaden dramat się nie złoży. Nam potrzeba słabości i wad równie dla interesu jak dla nauki; ale możeż być główną osobą dramatu taka, którą pogardzamy? Weź pan np. Elwirę. Przez co może się podnieść w oczach spektatorów kobieta, która

upadła, sponiewierała się, podeptała wszystkie obowiązki żony i matki? Możeż ona być zabawą? Bynajmniej; czemuż? — oto temu, że my wyśmiewamy wady, bawimy się słabościami ludzkiemi; ale zbrodnia zawsze w oczach naszych zasługuje na chłostę i zasmuca nas. W dramacie poważnym, można jeszcze dopuścić taki wypadek, bo tam obok występku będzie żal, rozpacz, pokuta grzesznicy, która w złej chwili uległa namiętności. A jakąż nam przedstawił autor tę jawnogrzesznicę, która przez okno wpuszcza i wypuszcza przyjaciela mężowskiego?—Czytaj pan, oto tu na pierwszej stronicy, co mówi do niej kochanek.

(*podaje książkę dramaturgowi*)

DRAMATURG (*czyta*)

Czy już miłości tak słaba jest siła,
Że szczęście moje, któreś ty sprawiła,
Nie może zatrzeć *bląhego* wspomnienia,
I myśli *próżnych* i t. d.

PODRÓŻNY

Dosyć.

ROMANSISTA

Cóż tu tak złęgo?

PODRÓŻNY

Bagatela! wspomnienia o obowiązkach przysięgi, wiary, uczciwości kobiecej, honoru i t. d. to są *bląhe* wspomnienia, to myśli *próżne*?

ROMANSISTA

Ale któż to mówi? panie kochany!

PODRÓŻNY

Mówi to *łajdak* salonowy, wiem. Ale powinnaż kobieta, która ma nas zainteresować, odpowiadać mu

na to: *kocham, kocham cię nad życie*. A dalej (*Dramaturg przewraca kartkę i patrzy w książkę*) znosić apologią miłości nieprawej, a dalej objawiać samęj ten pożar miły, który ją przenika, gdy pała, pała i ledwie ma dość siły rzucić się w jego objęcia. Nie sąż to istne brudy? A w końcu téj sceny, gdy Alfred objawia Elwirze, że jęj mąż, biegły niegdyś zwodziciel, naucza go sztuki miłostek. *A ty?* pyta się Elwira. *Ja słucham nauki*, odpowiada Alfred. *Wybornie! doskonale!* mówi, śmiejąc się, Elwira. O moja pani! nie wybornie to i nie doskonale, ale obrzydliwie w twoich ustach.

KRYTYK

Jednak przyznaj pan, że to myśl zabawna a może i ostrzegająca, że Alfred praktykuje na własnej żonie Wacława te lekcy, które od niego odbiera.

PODRÓŻNY

W obecnem położeniu Elwiry i jęj stósunków z Alfredem, nie jestto myśl ani zabawna, ani ostrzegająca, a jęj wykrzykniki i śmiech są bezwstydney. A toż wchodzenie i wychodzenie oknem od kobiety, która potém siada przy okrągłym stole, z cnotliwą minką, bierze robótkę i szyje? Coto za lekcy dla młodych mężatek! Mogę panów upewnić, że nie jeden młody biuralista, przytomny téj scenie na parterze, widząc którądy wymknął się Alfred, widząc jak ich pilnowała Justysia i jak w porę ostrzegła, żałuje, że tak późno podniosła się kortyna, bo byłby pewnie jeszcze cós ciekawszego obaczył. Krzyczymy na terażniejszy teatr Francuski. Czyż ta scena mniej daje do myślenia od owęj w *Antony* Diumasa, kiedy kortyna zapada za kochan-

kiem uprowadzającym cudzą żonę do sypialnego pokoju. Wszakże i w tej sztuce, zastona spada dość wymownie przy końcu pierwszego aktu. Bo gdy znowu ten sam Alfred, niedosyć, że łąził oknem do pani, wlaźł jeszcze temże oknem do służącej i goni ją pomiędzy krzesłami, właśnie gdy ją dogania, *zastona spada*.

KRYTYK

Mów pan co chcesz, sztuka ta napisana z wielkim talentem.

PODRÓŻNY

Z wielkim, zgadzam się na to; i gdyby nie była tak rażąca, byłaby może jedną z najlepszych tego pisarza. Żeby podnieść, żeby złagodzić przykre wrażenie, jakie obraz takiego bezprawia czyni, trzeba w niej fundamentalną zrobić odmianę. Jeżeli to ma być komedia, należy ją oprzeć na głównej zasadzie komedyi, to jest: zrobić ją żartem, igraszką. Można i należy wprowadzić obraz słabości, przedstawić złe chęci i zamiary stósownie do obyczajów osób; ale uskutecznieniu tych zamiarów postawić zręcznie przeszkody, a na końcu sprowadzić zawstydzenie i opamiętanie. Wszakże to opamiętanie nie powinno być musztardą po obiedzie, jak jest tu. Bo jeśli lubię takiego męża, jeśli mu przyznaję rozsądek i znajomość świata, który przebacza lekkiej płochości żony, chwilowemu zawrotowi jej głowy, zwłaszcza gdy sam nie jest bez ale; to pogardzam takim mazgajem, który przebacza, a do tego jeszcze i szanuje żonę, która wpuszczała jego przyjaciela przez okno, i przyznała się dlatego tylko, że ten panicz łąził temże oknem i do służącej.

DRAMATURG

Ale, mój dobry panie, taką odmianę wprowadziwszy, trzebaby całą sztukę odmienić.

PODRÓŻNY

Otóż właśnie, że nie. Chcecie, panowie, żebym ją wam zaraz przerobił?

KRYTYK

Zmiłuj się pan! Schwyce główną myśl i będę z niej korzystał w swojej porze.

REDAKTOR

Napiszesz artykuł do Biblioteki? Co?

KRYTYK

Jeśli pozwoli, czemuż nie? Może według tych uwag Fredro w trzeciej edycji przerobi swoją sztukę.

PODRÓŻNY

Czy przerobi, bardzo wątpię. My autorowie, jak to panom wiadomo z doświadczenia, prędcy jesteśmy do pisania, a leniwi do poprawy, i przytém kochamy pierwotne nasze pomysły. Czasem i mamy racją. Bo gdybyśmy zawsze słuchali to tego, to owego, mogłoby nas spotkać to, co spotkało kiedyś nieszczęśliwego Tassa, który tyle czasu stracił na poprawianie swojego poematu, na to tylko, aby pierwotny został, a poprawiony przepadł bez wieści i słuchu. Ale bądź co bądź, wróćmy do owęj odmiany, którą proponuję bez żadnej pretensyi przywiedzenia jęj do skutku. Domyślcie się już, panowie, w czém się Fredro pomylił, Oto, nie należało Elwiry robić.. czém? — nie powiem; bo taka osoba nie może interesować. Ale należało

ją zrobić rozumną kokietką, mającą wiele słabości dla młodego i przystojnego mężczyzny, i pozwalającą sobie prawie miłosne androny w chwilach dąsów na męża, który ją zaniedbuje. Czy zgoda?

DRAMATURG

Bez wątpienia. Ocaliłby się przez to jej charakter, charakter męża, i moralność sztuki; ale nie widzę jakby się ocaliła sztuka sama, a mnie sztuki żal, bo dowcipna. Tyle scen przewybornych!

PODRÓŻNY

Otóż, widzi pan, wszystkie sceny wyborne zostaną nietknięte, a zmienią się tylko te które są nie do rzeczy, nie z winy talentu Fredra, ale z winy téj jego głównej pomyłki. I tak, złączmy od owéj nieszczęśliwéj pierwszéj sceny. Zamiast téj Sęsymonicznój elegii, która stanowi jéj większą połowę, i jest epilogiem, już niepotrzebnym po tém wszystkiém co się pewnie zrobiło przed podniesieniem kortyny, ujrzelibyśmy scenę wesołą i interesującą, w którójby Alfred wyrzucał Elwirze, że mu ciągle pokazuje gruszki na wierzbie, że obiecuje półgębkiem a nie dotrzymuje wcale; że powinna, by mieć litość nad nim, który tak czule ją kocha i tak wiele do niéj pisuje. O téj korespondencyi powinno być powiedziano więcéj, tym bardziéj, że od niéj zależy rozwiązanie. Z kokieteryą i żartem powinna odbijać Elwira jego ataki, a o listach powiedzieć, że je przyjmuje, ale ich nie czyta. Za co gdyby się amant rozgniewał, dać mu z umiżgiem pocałować rękę, i basta; ale broń Boże, nie padać bez zmysłów w jego objęcia. Między innemi argumentami Alfreda do skłonicnia Elwiry, może być i obrazjéj

pożycia z mężem; żarciki o nim mogą zostać, jak są; a wtenczas i to *żał mi go* byłoby w miejscu, znalazłoby wiare; jej uśmiech na tę myśl, że mąż uczy kochanka sztuki zwodzenia, byłby odrażającym; a to dziś *wybornie! doskonale!* wymówione właściwie, byłoby zabawnem. Zresztą cała ta rozmowa powinna się odbyć z robótką w ręku: Alfred powinien mówić do Elwiry: pani, a ona do niego: pan. Ten płot towarzyski jest tu koniecznie potrzebny; bo w wyższej klasie społeczności, gdzie się on obala, tam wyuzdana namiętność jedzie już po bezdrożu. Czy zgoda?

DRAMATURG

Zgoda! panie kochany: ale jakże prowadzić rzecz dalej?

PODRÓŻNY

Nie łatwiejszego. Przy końcu tej sceny wchodzi Justysia; i to niechby było hasłem umówionem między panią i służką, bez wiedzy jednak amanta, że czas odprawić panicza. Tu Justysia kilku słowami może dać poznać na jakiej jest stopie w domu; może pokazać, że sprytna i poufała, ale zrzucać z okna Alfreda nie powinna, bo ten powinien wyjść drzwiami. Gdy wyjdzie, wyprowadzony lub nawet i popychany za drzwi przez Justysię, pani może zapytać: *Czy nie ma nikogo w przedpokoju?— Nikt go nie postrzeże.— A pan przyjechał?— Jeszcze nie, ale wkrótce przyjedzie.— Nie chciałabym żeby się spotkali.— Nie bój się pani, dałam mu klucz od ogrodu.* Pani powinna pogrozić subretce, która, jak się niżej pokaże, dała ten klucz dla siebie, nie dla niej. Cała trzecia scena, jedna z najlepszych jakie mamy w naszym teatrze, zostaje nie-

tknięta, i dalej wszystkie pełne dowcipu, życia, talentu; choć malujące świat zepsuty, ale nie rażące brudami, zostać muszą, boby w nich i sam Fredro nie mógł nic zmienić, chyba dlatego, żeby zepsuć.

REDAKTOR

A taż w której znowu Alfred włazi oknem?

PODRÓŻNY

Ta od biedy niech zostanie. Do subretki niech sobie włazi, tym bardziej, że to potrzebne do postępu akcji, i że Justysia gotuje się dać mudobrą naukę. Wszakże wszystkim tym jej moralnym pogrożkom, nikt nie wierzy po zapadnięciu kurtyny, i dlatego też koniec aktu trzeba koniecznie zmienić.

REDAKTOR

Ale jakże go zmienić? Przyznam się panu, żalby mi było w tym miejscu nadwreżyć efekt. Pamiętam, uśmieiałem się serdecznie jak figlarna i onego czasu śliczna Kurpiusia, uciekała przed Alfredem.

PODRÓŻNY

A gdy kurtyna zapadła?

REDAKTOR

Wtenczas było mi trochę żal

PODRÓŻNY

A widzi pan. Przecież można ten akt skonać sposobem zupełnie niedrażliwym. Właśnie w czasie tej samój gonitwy, a nawet w czasie pierwszego przelotnego całusa, państwo powinni wrócić z teatru. Na głos Elwiry: Justysiu! zmieszanie Alfreda byłoby zabawnem. Na głos Wacława: Justysiu! otwórz!

zmieszanie Justysi byłoby komicznem. Alfred nie niewskórawszy, znowu oknem w nogi; Justysia ocalona pobięłaby otwierać drzwi państwu, które przezornie pozamykała. A oczy, uszy i myśli spektatorów, niczemby się nie powalały.

DRAMATURG

Ile sobie przypominam akt drugi, zdaje mi się, że w tém przypuszczeniu pańskiem, znacznym musi uledez odmianom.

PODRÓŻNY

Bez wątpienia, bo też jest daleko słabszym od pierwszego i trzeciego. Zaraz monolog Justysi niebardzo mi się podoba. Początkowych kilku wierszy dosyć; nawet byłoby zabawniej, gdyby Justysia przybrawszy tragiczną postawę, zakończyła: *Stało się, Wacław zostaje, Alfred oddalony*. Scena druga ujdzie, chociaż wyraźniej należało dać poznać cel Justysi, że szlochaniem i fochami chce wydrzeć jakiś zapis. Scena trzecia między mężem i żoną, bardzo dobrze pomyślana. Ten Wacław, predykujący nabożeństwo dlatego, że mu żona przerwała za prędko *rendez-vous* z subretką; ta Elwira, która ma ludzkość na względzie dlatego, że chce oddać list do kochanka, sąto rzeczy, nie powiem, że zabawne, bo takie głębokie zepsucie zabawnem być nie może, ale zręczne i odpowiednie obyczajom osób.

DRAMATURG

Ale powinnaż Elwira pisywać do Alfreda, teraz, gdy ją pan z jej poniżenia podniósł?

PODRÓŻNY

Właśnie że nie; ale może to być jej pierwszy bilecik, bo dla interesu sztuki potrzebny postęp nawet w złém; rozumie się dopóty, pókiiby okoliczności nie sprowadziły opamiętania. Powinna się więc wahać czy go postać, czy nie. Ta walka będzie nas interesować, jak interesuje każda walka między złém i dobrém; da nam najlepiej poznać stan jej serca, a Justysi poda powód do ostrzeżenia. Scena piąta także potrzebuje zmiany. Rzecz byłaby nienaturalna, aby Alfred chciał zrywać z Elwirą nie stanąwszy jeszcze u kresu. Że go jej ceregiele nudzą, to może dać poznać; ale powinien koniecznie chcieć postawić na swoim, przez co i scena następna, w której Wacław daje mu lekcyę, wyda się zabawniejszą. Bo za każdym mądrém zdaniem tego zakotarowego bohatera, za każdym sekretem strategii miłosnej, Alfred powinien z uśmiechem dziękować i obiecywać, że będzie korzystał. W terażniejszym zaś położeniu rzeczy, kurs ten *artis amandi* jest za późnym i niezabawnym.

DRAMATURG (*przewracając karty w książce*)

A taż scena między Alfredem i Elwirą, także potrzebuje przerobienia.

PODRÓŻNY

Naturalnie, bo zła. Te lamentacye na zdradę tak zastużoną, te z drugiej strony kłamliwe przysięgi, mogą obudzić jakiegokolwiek uczucie? Nie rozrzewnią pana, nie rozczulą, nie dadzą ci nic do myślenia. Gdyby to jaka Elżbieta do jakiego Essexa krzyknęła: zdrajco! idź precz, poznałam cię, wtenczasbyśmy zadrżeli; a tu słuchasz pan, i ziewasz, i uważasz całą tę ga-

daninę za cyment niezbędny, którym jedna cegła łączy się z drugą aby się nie rozleciały. Wcale inaczej wyglądałaby ta scena, gdyby Alfred nie wiedząc, że go już znają, jeszcze nastawał; gdyby Elwira przyjmując z początku zimno jego oświadczenia, stopniami upokarzała dumę rozpustnika obudzoną godnością mężatki i kobiety wyższego urodzenia, i nakoniec odešlała go z szyderstwem do garderoby, gdzie mu się lepiej udaje. Jakżeby go pokaleczyła ironią, tą bronią tak potężną, której kobiety obrażone tak lubią używać i tak dzielnie władać umieją! Spektatorów zajęłaby ta zmiana, cieszyłby ich widok upokorzenia niesumiennego trzpiota i podniesienia się tak stanowczego, kobiety rozumnej i miłej, a która była tak bliską upadku i tylko co nie wplątała się w niegodne siebie sidła. Jeżeli państwo chcecie się przekonać, która z tych scen byłaby lepszą, czy jaka jest teraz, czy jaką proponuję, zapytajcie się swojej najlepszej artystki Halpertowej, którą z nich wolałaby odegrać? Następny monolog, jest fanfaronadą bez sensu. Alfred wzięwszy od Elwiry tak porządne od kosza, jednym giestem, w którymby pokazał, że go odprawiono z kwitkiem, więcjby rozśmieszył spekulantów, niż tym niedorzecznym monologiem.

DRAMATURG (*pocierając ręką po czole*)

Hm! takie przelanie dzieła, będzie kosztować wiele pracy.

PODRÓŻNY

Na pracę, panie kochany, skazał nas grzech pierwszego ojca naszego. Żadne dzieło sztuki nie robi

się *stans pede in uno*, a tym bardziej dramat: oprócz wszakże tych tuzinkowych produkcji, które się robią we Francyi przez całe kompanie dramaturgów i podobno nawet za pośrednictwem maszyny parowej. Panowie, w waszych powieściach, romansach, poematach, w humorystycznych kozłach i wykrętasach, macie daleko więcej swobody. Połóżcie sobie koniec na początku, środek z brzegu, jeśli macie imaginacyą, jeśli pojedyncze zdarzenia opowiadacie z życiem, z wdziękiem, z prawdą i humorem, niebardzo obrażamy się niedostatecznością planu; czytamy z upodobaniem; czego od razu nie pojmujemy, domyślamy się, bo mamy czas, a panowie macie obszerne pole. W dramacie każde słowo, każdy ruch jest znaczącym, jest ogniwkiem łańcucha, który się ciągnąć powinien bez najmniejszej przerwy. Fałsz w charakterze, fałsz w położeniu jednej z osób, odbije się wszędzie, i szczegółami z największym talentem oddanemi zagładzić się nie da. O! nie uwierzycie, panowie, jak tam ciasno na tych pochyłych deskach, wśród tych ścian płóciennych; jak z ręcznego potrzeba woznicy, aby ciągłym kłosem pędząc i wykręcając się w tak szczupłych szrankach, nigdzie nie zaczepił i nie wyrócił.

ROMANSISTA (*kładąc obie ręce na ramionach dramaturga i śmiejąc się*)

Ha! ha! ha! dlatego wy, dramatyczni furmani, tak często wywracacie swoje kolaski!

PODRÓŻNY

Śmieć się pan! może być porównanie nietrafne; ale grunt jego prawdziwy. Ale dosyć tego dobrego; chodźmy.

KRYTYK

Nie, nie, jeszcze mamy całą godzinę. A trzeci akt, trzeci akt, panie kochany. Naprzykład zaraz z początku, to zbieranie listów ze wszystkich kątów?

PODRÓŻNY

Jest trocha przesadzone. Należy je złagodzić i skrócić.

DRAMATURG

A też listy za portretem męża? To dowcipne.

PODRÓŻNY

Za portretem męża ujdzie, ale *pod ołtarzykiem gdzie się codziennie modli*, tam być pod żadnym względem nie powinny. Jestto już rzecz nie śmieszna, ale oburzająca. Równie nic do rzeczy monolog Elwiry. Żądałbym w nim więcej godności. Walka już tu niepotrzebna. Wolałbym gniew na siebie, że się mogła dać zaślepić; że widziała w nim przymioty, których nie ma i t. d. Bo to znowu rzecz bardzo naturalna, że kobieta obrażona, może być niesprawiedliwą dla kochanka, który ją zdradził dla służącej. Ten sam ton gniewu i pogardy zachować powinna i w następnej scenie z Justysią, która także musi uleść zmianie.

DRAMATURG

Ale następne sceny? Zmituj się pan, w nich nic, nic zmienić nie można.

PODRÓŻNY

Któż panu mówi, że tu cokolwiek potrzeba zmienić? Wszystko tu jest wybornie pomyślane, zrećźnie poprowadzone, dobrze napisane. Gniew Elwiry tym

naturalniejszy, że Justysia nietylko męża, ale i kochanka jej odebrała; a ten pakiet listów wypadających wśród największego zapału i wyrzutów czynionych mężowi, będzie i za lat sto okryty oklaskami. Zmieszanie Alfreda na widok swoich listów, powiększone jeszcze tym, że Wacław drzwi na klucz zamyka, jest nadzwyczajnie komiczne. Słowem wszystko w tych wybornych scenach, oprócz maleńkich skróceń w tym co Wacław mówi do Alfreda, powinno zostać aż do tego miejsca, gdy Wacław z żoną powraca. Tu znowu, stósownie do przypuszczenia naszego, zmiany nastąpić powinny. Justysia nie powinna być odprawiona do klasztoru, bo do tego nikt nie ma prawa, ale wypędzona z domu. Do Alfreda powinien mówić nie Wacław, ale Elwira. Ona sama powinna objawić że mąż wie o wszystkim i przebacza chwilowemu jej głupstwu: że teraz nie ma co Alfred robić w ich domu, bo ona powróciła do męża myślą i sercem, a Justysia już za drzwiami. Tu najeżywszy się wszystkimi kolcami ironii, powinna mu się ukłonić i dodać, notabene po francuzku: *Adieu Monsieur Alfred*, co Wacław zimnem skinieniem głowy potwierdzić powinien. A gdy Alfred jak zmyty wyniesie się, spuściwszy nos na kwintę, wtenczas Elwira z uczuciem zwracając się do męża, niech przykłęknie, bo pokora w grzechu jest zorzą poprawy. A ten mąż opamiętany, występny, który sam tylko co nie był przyczyną zguby kobiety rozumnej i miłej, nie powinien na to pozwalać jak i nie pozwala, i właśnie to jej odpowiedzieć co odpowiada. Ale dajcież mi już święty pokój, moi panowie! ciągnęliście mię za język, i plotłem wam nie wiedzieć jakie androny.

KRYTYK

Brawo! spiszę to wszystko.

REDAKTOR

I pamiętaj, artykuł do Biblioteki. Mnie właśnie o to idzie aby był artykuł, i aby był dobry. A czy kto z niego korzysta, czy nie, to jego rzecz.

DRAMATURG

Późmyż teraz wszyscy na teatr, i obaczmy czy to wszystko prawda.

WSZYSCY

Zgoda! zgoda!

(wychodzą)

AUGUST

Miałem dziś iść na wieczór do generałowej, ale wolę pójść na teatr.

JAN

A jutro poproszę Tyszyńskiego, żeby nas poznał z tym gadułą.

AUGUST

A czemu to on nie był tu?

JAN

Chory już od dwóch tygodni.

AUGUST

A! *(wychodzą)*

KONIEC SCENY PIERWSZEJ W OGRODZIE SASKIM.



WSPOMNIENIE



W kolebce jeszcze, kędy dziecina
Śpi w cieniu liści różanych,
Cóż jest co dziecku w śnie przypomina
Aniołów w niebie widzianych?

Co twarz dziecięcia śpiącą, rumianą
Słodkim uśmiechem powleka?
Czyli to duchy schodzą w dni rano
Do tej kołyski zdaleka?

O! to nie duchy, to tylko cienie
Znikłych przed chwilą widziadek;
Z myśli odbite patrzy wspomnienie,
Jak obłok z wodnych zwierciadeł.

Wspomnienia przeszłych, dziecinnych chwilek:
Złote jabłuszko, zabawka,
Farbami tęczy strojny motylek,
Kwiaty na łące i trawka.

Czem są te dziwne mary, gromadnic
Przed myśl dziewczyny pędzone,
Że na jej usta śmiech czasem padnie,
Czasem łąą oczy oszklone?

I wtedy wsparta na białej dłoni,
Przy dźwięku tonów odległych,
W ciemnej ogrodu, pustej ustroni
Szuka obrazów ubiegłych.

O! to nie duchy, w głowie dziewczyny
Roją się cuda widziane;
Są to wspomnienia z serca głębiny,
W chwili dumania wyzwane.

Czem jest ten ogień w piersiach młodziana,
Czem rozpacz serce mu ściska?
To jakaś mara, myślą wyzwana,
Piekieł przed oczy mu błyska.

To jakieś widma, co go kołyszają
Rycerską pieśnią, powieścią,
Grają mu zdala, a myśli słyszą
I serce dręczą boleścią.

To jakieś duchy mężów walecznych,
Stróżowie ruin na zmroku,
A we dnie, w swoich trunach odwiecznych
Z mieczami śpiące u boku.

To jakieś dziady z lutniami w ręku,
Przy ogniach chaty wieśniaczej,
To znów okute widma, bez jęku,
Z wyrazem niemiej rozpaczy.

Czem są te mary, straszliwe cienia,
Co w jego myślach tak tańczą?
Czyliż są karą Bożą, szarańczą?
To..... wspomnienia.

T. Lenartowicz.



GWIAZDY... (*)



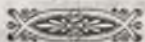
Trzeci kur zapiał, czasby do domu,
Idźmy już, kumie; nie będzie komu
Jutro dać zrana koniowi siana,
Rola nie będzie wcześniej zasiana.
I wyszli z karczmy. Miesiąc na nowiu,
Więc smutno, pusto, jeno świerszcz gada.
Jeno na nieba szarém sitowiu,
Gwiazd się złoconych kołyszają stada.

(*) Jestto prawdziwa, nocna gawędka, z ust ludu słyszana.

Powiedźcie, kumie, gwiazdy co świecą,
Mocno przypięte? czy w świat nie zlecą
By ludziom w nocy mogły się przydać?
Pan Bóg ich tyła razem namieszał,
Ze aż strach patrzeć; więcej ich widać
Niżli na drzewach liści nawieszał;
I tylko jedna, przesłiczna jedna,
Bóg wie gdzie znikła, przepadła biedna! (*)
Kej byłem mały, nad naszą stroną
Częstom ją widział; starzy ją zwali
Gwiazda jutrzienka, aleć ją pono
Czarci jak swoją w piekło porwali,
Czy gdzieś tam w kraje spadła podziemne,
Bo zawdy niebo w tém miejscu ciemne!
Czy zła na ludzi, że się tak kryje?
Czy też zagasła? może nie żyje?
— „At! gadasz bracie, ona tam żywa,
Tylko nie świeci, bo odpoczywa.
Niechno się prześni, to znowu wstanie!“
— „Kej tak, kumie, daj jej zdrowie Panie!“
I znowu cicho. Miesiąc na nowiu,
Więc pusto, głucho, jeno świerszcz gada,
Jeno na szarem nieba siłowiu,
Gwiazd się złotonych kołyszą stada.

Michał Morzkowski.

(*) Mowa o spadających meteorach.



PIESNI UKRAINSKIE

— 322 —

I.

Chmurno na niebie, tuman w dolinie,
Kwiat rosę pije;
Ciężko na sercu biednej dziewczynie,
Łza lica myje!

Wietrzyk powieje, chmury rozgoni,
Słońce zaświeci,
Tuman opadnie, z kwiatów na błoni
Rosa obleci.

Niech was to, wrogi, tak nie weseli
Że ja łzy leję!...
I mnie Bóg dobry szczęścia udzieli,
Zjści nadzieję.

Zniknie tęsknota, ucichną żale,
Oschną jagody,
Gdy miły wróci, zawsze mi stałe
Wierny jak wprzód.

A gdy się losy nasze połączą
Słuby wiecznemi,
Pogodne chwile chyba się skończą
Z bytem na ziemi.

II.

Tam za rzeczką łączka cała,
Ustrojona w kwiatki;
Jam miłemu serce dała
Nie pytając matki.

Przejdę rzeczkę i na błoniu
Zwiję sobie wianek,
Matka dobra, nie zabroni
By mnie wziął kochanek.

Bo napróżnoby zmuszała
Zebym bogatszemu
Dała rękę, gdym oddała
Serce najmilszemu.

Choć on skarbów nie posiada,
Ja nie stoję o to,
Gdy do serca mi przypada
Droższy mi nad złoto.

Łatwiej z żalu nad me siły
Młode życie zgubić,
Niżli zabyć, kto raz miły,
Niemiętego lubić.

Nasunęłaś, czarna chmuro!
Skryłaś oczom błonie;
I w przeczucia dal ponurą
Moja dusza tonie!

Jak Bóg zechce tak i będzie!...
Lecz cobądź się stanie,
Ni mój miły mnie zabędzie,
Ni ja me kochanie.

On choć kilka wspomni razy
Na dzień swą dziewczynę,
A ja jego po sto razy
Wspomnę na godzinę.

III.

Nad Dunajem, nad szerokim
Siedzi kozak młody,
Ciężko wzdycha, smutném okiem
Bystre ściga wody.

I jak woda, myśl ucieka,
Wciąż w tę a w tę stronę
Gdzie rodzina, gdzie go czeka
Dziewczę ulubione.

Czas ubiegły, przyszłe zmiany
Ważyc jął kolejną,
I zaśpiewał, kołysany
Trwogą i nadzieją:

„Falał falę potrącając,
Dunaj wody leje,
Jedna drugą wyścigając,
Niosły mi nadzieje!

„Ale wszystkie przeminęły
Jak te oto, fale!...
Przeminęły, i zginęły,
Mnie zostały żale!...

„Ot ta fala, za godzinę
Pan Bóg wie gdzie stanie!...
Tak i miłą mi dziewczynę
Bóg wie kto dostanie.”

„Ukrainiec ją dostanie,
Dziej się wola Boga;
Ale pożał jej się, Panie,
Jeżeli dla wroga.

IV.

Na stepie krynicę
Przed laty kopałem,
Sąsiednią dziewicę
Z dzieciństwa kochałem.

Cóż mi z tego że krynica
Pełna czystej wody,
Cóż mi z tego że dziewica
Prześliczną urody.

Nie dla mnie krynica
W upały chłód ziele,
Nie dla mnie dziewica
Wdziękami jaśnieje.

Bo żórawie mą krynicę
Wypijają codzien,
A dziś bierze mi dziewicę
Daleki przychodzien.

V.

Letiw orzeł czerez more
I sław holosyły,
O jak tiazko ubohomu
Bohatu lubity.

Dumka Ukrainśka.

ORZEŁ

Ponad morzem nad szerokiem
Orzeł skrzydłem rzucił,
I wód przestrzeń mierząc okiem,
Taką dumkę nucił:

„Smutno mijać te różłogi
Gdzie się oko gubi;
Smutniej temu co ubogi,
A bogatą lubi.

„Ty, coś panią serca mego!
Doli nie odgadniesz.
Jeśli męża bogatego,
Nie miłego pragniesz.

„Ze bogaty cię obdarzy
Szczęściem, próżno mniemasz;
Zysk nie miłość gdzie kojarzy,
Tam dni błogich nie masz!

„Nie tam szczęścia pomieszkanie,
Gdzie dostatków wiele;
Gdzie wzajemne przywiązanie,
Tam szczęście! wesele!

„Żebyś z takim mnie lubiła
Jak ja cię, zapałem;
O jak łatwobyś wzgardziła
Dla mnie światem całym!

„Jam zdrów, młody, z łaski Boga
Praca mi się darzy;
Będziesz miała, moja droga,
Co ci się zamarzy.“

VI.

I szumyt i hude
Dribny dożdżik ide,
A któż mene mołoduju
Taj do domu zawede.

„Burza bliska,
Grzmi i błyska,
Chmury wałą, wiatr dmie.
W niepogodę
I któż młode
Odprowadzi mnie?“

Kozak młody,
Kwiat urody,
Woła: „nie trwóż, nie śpiesz,
Hulaj miła,
Póki siła,
Odprowadzę gdzie chcesz?“

— „Nie rób tego;
Mam starego,
Sam zazdrości jad w nim;
Przewie o tem,
To mi potem
Piekłem będzie byt z nim.“

VII.

Tuman, tuman po dołynie,
Szyrokij lyst na hałynie.

Tuman, tuman po dolinie,
Gęste liście na kalinie;
Przez kaliny, przez tumany
Przekradnij się, mój kochany.
Przychodź do mnie, ja ztęskniona
Niech przycisnę cię do łona.
W zwiędłe serce wróci życie,
Czując obok twego bicia.
Raj poczuję w twym ściśnieniu,
Słońce ujrzę w twym spojrzeniu.

I jak tuman, gdy wiatr wionie,
Leci dalej, rzuca błonie:
Tak na głosu twego brzmienie,
Pierzchną smutków moich cienie.

VIII.

Kopytami step zorany,
Gęstym gradem kul zasiany.
Martwem ciałem zawłóczony,
I dżdżem krwawym pokropiony.

Trup kozaka jeszcze świeży
Przy zabitym koniu leży.
Zamiast świecy pogrobowej,
Skwar mu świeci lampy dniowej.

Patrząc w niebo, śpi na wieki,
Nie miał zamknąć kto powieki.
Krew spieczona, twarz skaląta,
Zmyć nie było komu ciała.

Świat szeroka dłoń mogiła,
Nie płakała nad nią miła,
Ani ojciec, ani matka,
Ani krewni, ni czeladka.

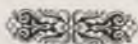
Tylko w stepie wiatr zbłąkany
Wyje, szumi oburzany;
Gromem jęcząc, czarne chmury
Chyba dżdżem zapłaczą z góry.

Nie dzwonili po nim w dzwony,
Święty pokój nie zmówiony.
Świętą wodą nie skropili
Ni ładaniem okadzili.

Zamiast dzwonów, strzały, krzyki,
Za modlitwę, hałas dziki.
Dymy prochu, za kadzenie,
Woda święta, —krwi strumienie.

Za śpiewanie, wilków wycie,
Skrzydła kruków, za przykrycie,
Ptak drapieżny, i zwierz dziki,
To na stypę biesiadniki.

Marcin Ossorya



HEIMSTUKAN (*)

ze Szwedzkiego (Wallina) tłóm. Ig. Kułakowski.

Hvart stiger din suck, o mitt klappande bröst?

Gdzieżto dąży westchnienie co mą pierś kołysze?

Gdzież na serca wołanie odpowiedź usłyszę?

Na pustym brzegu stoję, obcy i jedyny;

I nudy przenieść nie mogę,

I pragnę i czuję trwogę.

Ach! tęsknię poza morza, w nieznane krainy!

Do przesytu za stołem biesiadnej odprawy,
Jam spożył, drzewa wiedzy, złe i dobre strawy.

Dni przypływ i odpływy oczy me widziały,

Jak wzdęte fale za falą,

Pędzą, dogonią się, walą,

I głucho, jednotonnie, pryskają o skały.

(*) *Heimwehe. Le mal du pays.* Choć nieporównany Tegner zamilkł, świętym stanu swojego obowiązkom jedynie wylany, Szwecya, poetyczna Szwecya! wielu jeszcze znamienitych żyjących liczy poetów. Pomiędzy niemi przodkuje niezaprzeczenie wieszcz, który, krom poetycznej sławy, pierwsze we czci i poszanowaniu Szwedów zajął miejsce. Jestto Wallin arcybiskup Upsalski (urodz. w Dalekarlii 1779 roku). We wszystkich kościołach Szwecyi, rozlegają się jego wzniosłe i pobożne hymny. Jego historyczne utwory są w ustach i pamięci wszystkich. P. X. Marmier, niezmordowany krain północnych wędrownik, badacz wszystkich północnych języków i literatur, obfity pisarz, przetłómaczył pomiędzy innymi wyjątkami poezyj Szwedzkich, podaną tu w Polskim przekładzie elegią, prozaicznie, lekko, powierzchownie, słowem zupełnie po Fran-

Jęk nieszczęścia i wykrzyk wesołej ochoty
Słyszałem, nastrojone na śpiew własnej noty,
Starodawnę, znajomę, świadomę każdemu.

Nie nowe muzyki dźwięki,
Lecz przerób tejże piosenki
Śmiertelny, dla rozrywki, nóci po swojemu.

W lecie ziemia przywdziewa panny strój godowy,
Zima na nią przywleka smutny całun wdowy;
Jak niegdyś, tak w tym roku przemieniła stroje.

A w jesieni rozplakana,
A na wiosnę rozigrana,
Z dziecięcą wesołością łączy osusza swoje.

Ciebie żyźnią i niszczą, ziemi kołująca!
A rzeszy mędrców naszych mowa szumno-brzmiąca,
Rozgłasza złote czasy, cnoty i swobodę.

Jam cię poznał z spraw ludzkich początkiem i końcem;
Ale nic nie widziałem nowego pod słońcem.
Taż postać w setnych zmianach jedne piętna nosi.

I tylko ziemi powierzchnia.
Przemienia się, szklni i zmierzchnia,
Lecz się bryła zwyczajnie kręci na swój osi.

Ja wiem, jak osadnicy do ostrowu świata
Przybijają, zagnieżdżą się, wiem jak śmierć ich z miata.
Jak wczasy zapełniają szaleństwami mnogimi.

Muszekto taniec wirowy,
Co trwa, póki trwa blask dniowy,
Aż noc związek rozetnie, turnieje oniemi.

czku. My także, acz w terażniejszych tłómaczeniach naszych w ogólności na wyższym od Francuzów stanęliśmy stopniu, wszelako przekładamy jeszcze Szwedzkich poetów z Niemieckiej prozy (Axel Teguera). Wprawdzie wierne, daleko od Francuzkich tłómaczeń wierniejsze bywają Niemieckie przekłady, co sumiennosci Niemców i samej naturze ich języka przypisać należy; lecz przekład jest zawsze przekładem. Można wprawdzie, tłómacząc nawet z *prozaicznego przekładu*, zasłużyć na przychyłne zdanie znamienitego krytyka, w słowach, że *tłómaczenie jest dobre*; a obok tego usłyszyć wyprowadzony pewnie na wiarę tego przekładu wniosek, że *Teguer musi być miernym poetą*. Lecz pytam, poco i naco tłómaczyć z tłómaczeń?

Nędznych lat moich jeszcze wysnuło się mało:
Dosnuć pasma dni ojców, wiele pozostało.

Jednak oczym wypatrzył i słowa wygadał.

Świat jak był, tak jest bez zmiany,

Dobrze z nany i doznany.

Ogół wszech rzeczy umysł mój, jak mógł, wybadał.

Więc składam kij pielgrzymi, pochodem znekany,

I na zasiane gwiazdy, ciche oceany

Patrzę.... i osłupiałe zapuszczam źrenice

Ku wam, świecące u góry

Ostrowy, morza lazury,

Co dniejcie, gdy u nas dzień mroczą ciemnice.

O! pochodnie, pozwólcie pociągnąć za wami!

Bo mięt ten świat powszedni już więcej nie mami.

Jego wyziewem oddech mych piersi tłumiony.

I nuda mnie nagli w drogę,

I pragnę, i czuję trwogę.

Ach! tęsknię poza morza, w nieznajome strony!



Praktyczny rozbiór pisma p. Józefa Kremera
pod napisem: LISTY Z KRAKOWA. (1)

przez

A. Tyszyńskiego.



Radosném jest zjawienie się nowej książki. W biegu tych praw tak stałych ale niezbyt przyjaznych dla nas świata znanego, zbyt pożądanym być musi gość z nieznanego. Nie jesteśmy szczęśliwi na ziemi; sam nasz byt tajemnicą jest dla nas. Wyglądamy przemiany bytu, rozwiązania zagadki bytu, a rękojmie osiągnięcia tych celów leżą tylko w świecie duchowym. Świat ten już tyle przemian sprawił, i tyle zagadek rozwiązał. Natchnienia jego nie są ograniczone wolą naszą, ani naszą wiedzą dzisiejszą.

Nowe pismo, jestto, mówiąc bezabstrakcyjnie, zbiór ziaren, z których dalej wzrość mają kłosa w życiu ludzkości. Ale nowe pismo, to nowoobjawiane ogniwo, ta harmonijna częśćka w wielkiem rozwiciu: w oderwaniu, a przed ogółem pojęć: to mały *potwór*. Ale pismo: utwór człowieka, to duch w jego ziemskim

(1) Redakcyja w poszycie za lipiec z. r. ogłosiła treściwe zdanie o *Listach* p. Kremera. Przez wzgląd, na ważność przedmiotu zamieszcza szczegółowy rozbiór tegoż pisma.

P. R.

poddaństwie; to przeto (jako i świat ten ziemski) dziecko i miejsce walki dwóch dążeń, dwóch sił sobie przeciwnych, prawdy i fałszu. Jednocześnie więc z nowym utworem, wyglądamy bywa zarówno i *sąd* o utworze. Waga sądu jest jedną z głównych na drodze rozwić. Te zaś lub inne cele, oraz zasady sądu, miarą téj wagi.

Cel i zasady *sądu piśmiennego* albo *krytyki*, jakież być winny? Jestto pytanie na które w obecném nieustaleniu jeszcze zasad sądzienia, każdy zapuszczający się w sferę tę, winienby przedewszystkiém zapewne składać odpowiedź; i czujemy tu obowiązek własnej. Wierzymy i uwierzyliśmy dawno w jedność, spótdążność rzeczy, a w główną wagę uczynków; śród nauk w zamknięty okres teorii; i pośród téj wiary w praktykę, za usprawiedliwienie stawała nam praktyka. Pismo jednak na które obecnie spojrzeć pragniemy, jest z pola czystej teorii, i spojrzenie to inaczej wyjaśnić się nie da, jak ze stanowiska teorii.

Powinność opowiedzenia zasad, chociażby tylko własnych krytycznych, nie jest wszakże zbyt łatwą do dopełnienia. Oświadczyć się w danej nauce za systematem tym albo owym, znanym i *rozwiniętym*, dosyć jest słowa; ale wyznać zasady nauki niedotykaną prawie myślą szczególną, mało jest księgi. Nauka, o której rzecz można iż niedotykaną była prawie myślą szczególną, jest właśnie *krytyka*. Nauka ta ma wprawdzie swe źródła we wszystkich, nie ma jednak dotąd swego oddzielnego istnienia, Mamy np. w dziejach rozwić myślenia, oddawna krytyki społeczności, sztuk, nauk; mamy metody *krytyczne*, do rozbioru np. szczegółów racji w przeciwieństwie dogma-

tycznem tworzone, ale nie mamy rozbiorów i kategorycznych traktatów o samej krytyce. Nie mamy bliższych rozjaśnień jej ogólnej istoty, ani jej dziejów, ani jej zasad głównych. Użalenie się na nieistnienie tych zasad, nawet w jej szczególnych gałęziach np. w krytyce sztuki, a stąd usiłowanie powrotu do nowych zewnętrznych, jest owszem jednem z ogólniejszych dziś tematów krytyków wieku.

Jeśli wszakże nie umieścimy tu księgi, możemy wskazać na rysy. Co powiemy, chcemy wkrótce w oddzielnem piśmie bliżej wyjaśnić. Tu wzmienimy w słowach dwóch i praktycznie, jak? w jakim głównie znaczeniu? i w jakim dziś punkcie rozwicia pojmujemy to słowo *krytykę*?

Sąd albo *krytyka*, nie jestto wcale *nagana*, jak to się wzmienia potocznie; znaczenie to (lubo wyznawane dziś jeszcze przez niektórych artystów krytycznych) jest gminnem; nie jestto ocenienie dzieł sztuki podług ustaw o *formie*, nie jestto dochodzenie *pierwiastków* i przyczyn tych dzieł; nie jestto wreszcie roztrząsanie pism *danych grammatyczno-atomistycznie* jako to było w czasie utworzenia tego wyrazu (szkoła Aleksandryjska). Znaczenia te są w sobie prawdy, ale cząstkowe, rozwijane przez szczególne szkoły krytyczne, siebie raczej nie zaś swój przedmiot (żywot moralny) głównie na celu mające.

Żywot umysłowy ludzkości, uważamy to, w dwóch różnych, lubo równoległych sobie, objawił się i objawia dotąd kierunkach. Jeden z tych nazwać się może wprost *rozwicciem* przyrody (jako społeczeństwo, sztuka i t. p.), drugi jej *dociekaniem* (cały kraj umiejętności

i nauk). Te kierunki treścią oddzielne, mają cel wspólny. Bieg ludzkości, to bieg ku jedności (duchowej) przez różność (zmysłową); bieg z prawdy, przez fałszy, ku prawdzie. Obok więc dwóch powyższych, musi na drodze istnieć i coraz jaśniejszym się stawać trzeci kierunek. Ten kierunek, jestto punkt *związku* poparcia. Ten kierunek w krokach życia powszednich to w ogóle *sąd* człowieka, w sferze piśmienniej to *krytyka*. Krytyka, jak wierzymy więc, jestto kierowanie rozróżnionych biegów piśmiennych ku ich jedności, jestto *kierowanie moralnych rozwić ludzkości ku drodze prawdy*.

Jakież były rozwicia w czasie tój siły? — *fazy jej* dziejów? Fazy krytyki też były co filozofii, bo też sąd piśmienny epoki wszelkiej, nie gdzieindziej znajdować mógł źródło, jak w stanie zasad myślenia. Krytyka w źródle swoim, dzieckiem jest filozofii, lubo celem jej jest kierować dalej i rodzicielkę. Wszelkie większych gałęzi krytycznych *pierwiastki*, widzimy już w krytyce dawniej (Grecka), widzimy dalej przejście jej przez stannosć czyli zaprzeczenie (wieki średnie); dalej wielką jej *materyalną* fazę (szkoła Francuzka) i fazę wprost *idealną* (Giermańska). Barwy te w szkołach szczególnych, były doprowadzonemi do krańców, lecz jednostronnie; *łącność* i *stosowanie* są więc prostym dalszym szczeblem postępu. Przez *łącność* rozumimy patrzeć na *całość*, przez *stosowanie*, oznaczanie względów *czynami*. Całość jestto trzystronność: *formą treść* (2) i znaczenie czyli *punkt związku*

(2) Wyrazy *te treść* i *forma* bierzemy tu (jak i inne) wznaczeniu ile być może najwięcej przybliżonem do praktycznego, prze-

z nieskończonością (jakoby duch, ciało i dusza) danego utworu; ogół czynów, to praktyczne rozwicie ludzkości.

Te są, zdaniem naszym, najogólniejsze zasady, według których dziś patrzeć musimy na biegi potrzeby krytyki, z których wychodzić winniśmy, z których owszem niewychodzić, już nie możemy. Według tych (przywiedzionych tu prawda w zbyt ciasnem zbiciu) zasad, chcemy spojrzeć i na pismo które mamy przed sobą. Mamy spojrzeć praktycznie na *treść* czyli zadanie wewnętrzne, *formę* czyli *wykład* zewnętrzny, i wreszcie *znaczenie* czyli wzgląd do rozwicia Listów z Krakowa.

I *Treść*. Pod tym skromnym i prostym napisem *Listy*, p. Kremer ogłosił nam swe teorye oraz zasady główne dociekania i pojmowania natury sztuk pięknych czyli estetyki.

Przedmiot ten jest jednym z najznakomitszych śród pola racyi. Jestto badanie świata pośredniczącego między oderwaniem nadumysłowem, a zmysłowością nauk przyrodzonych, badanie szczegółów najbliżej odpowiednich znaczeniu samego człowieka, badanie więc najdalej, z istoty swojej, mogące nas zawieść, a skądinąd ledwo poczęte. Nauki filozoficzne, jak ludzkość obudzily się niegdyś bez wiedzy o sobie, swym celu, a w figurze swęj jedności, rozrodzily się i dalej. Szczegóły pierwotnej rozwagi, oddzieliły się i rozrosły następnie na ogromne krainy umiejętności i nauk, straciwszy nawet na długo pamięć swęj wzajemności. Estetyka jest zrodzeniem najpóźniejszego przed nami okresu

to w odmiennem od używanego zwykle spekulacyjnje. Przez *treść* rozumiemy tu: część wewnętrzną, szczegóły *myśli*; przez *formę* *materiją* utworu.

nauki filozoficznej (Giermańskiej), i ostatnią z jej oderwanych gałęzi. (3)

Celem krytyki, według ducha uwag które przywiedliśmy, nie ma być osobistość; celem krytyki nie ma być ani pochwała szczególna, ani nagana szczególna: celem krytyki winna być korzyść ogólna. Wtém co rzec mamy o piśmie, winniśmy być zrozumieni wszechstronnie. Przytaczamy więc, ile umiemy zwięźle i ile możemy praktyczniej, treść każdego z osobna listu p. Kremera.

List I. Autor w słowach zwróconych do poufałego i miłego sobie korespondenta (przyjaciela), wyraża: iż celem jego jest, będąc pozbawionym stósunku materyalnego zawiązać z nim duchowy, i że za przedmiot tego obrat jedną z najbliższej go zająć mogących gałęzi utworów; gałęź będącą estetycznym wypadkiem sił duchowych i materyalnych. człowieka t. j. *sztukę*. Autor wyjaśnia iż chciałby w wykładzie swym być wolnym od więzów szkolnictwa, od musu wyłączności drogi i t. p. a przeto za formę do tego wykładu, z przyjemnością przypadają mu listy. Pomimo znakomitość zdania, autor skromnie wyraża się o niem... „Przecież każda praca (mówi usprawiedliwiając swój zamiar), w swoim szczupłym zakątku i skromnym obrębie, choćby przez chwilę czasu swego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie... ziarka granitowego piasku wydzwigły turnie Tatrzańskie.

List II. Sztuka była dawniej doskonalszą w swych objawieniach, dziś zamiętanie w niej powszechniejsze. Materyalność wieku naszego, materyalność ta,

przy której płowieje i gaśnie cały świat dawny, nie zacierą i umysłowego rozwinięcia, owszem harmonijnie się wznoszą. Celem sztuki jest sama sztuka. Jak ów kwiat na wierzchołku Alp cicho rosnący, jak gwiazda niewidziana okiem człowieka, tkwią i rosną nie dla człowieka lecz dla chwały Twórcy swojego. Sztuka piękna, jest jednym z kształtów, który prawda przybiera. Zadaniem jej jest, przedstawienie części *zmysłowej* prawdy w jej doskonałości. W Azji sztuka była w dzieciństwie, jak jej *dzieje*. W Grecji ród ludzki stał się *młodzieńcem*, nie doszedł prawd duchowych, ale spełnił zadanie przedstawienia zmysłowości w jej szczycie. Tu był szczyt tak piękności sztuki, jak równie siły, zręczności i w ogóle bytu cielesnego ludzkości w każdym zawodzie.

Zchodząc tu do uwag praktycznych, autor uważa: iż nawet ludzie zepsuci nie mogą dziś dorównać ówczesnym blaskiem światowym. „Czyli może być, powiedz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *roué*, niż ów Alcibiades, mówi autor; jakążto są lichotą ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*... ich nawet nie stać by hultajami byli.“ Ale myśl rosła, a forma sztuki za ciasną się stawała na objęcie nowych szczegółów myśli. Duch ludzki póki był latoroślą, wystarczało mu naczynie garncarskie, ale gdy wzrosł na sosnę olbrzymią, rozszedził ściany. Główną zmianę w życiu ludzkości spowodowało dalej objawienie prawdy, to jest: istoty rzeczy stworzonych przez Syna Bożego. „Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, mówi autor, wyznać powinienes, że nigdy filozofia nam społeczeństwa, nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia, gdyby jej nie był ogrzał i oświecił promień prawd re-

ligii.“ Dzisiaj widok dzieł sztuki, nie tyle w nas budzi uczucie, jak raczej rozwałę. „Piękność sztuki nie jest już dla nas tēm, czēm była dla Greków; dla nich była ona kochanką, dla nas jest przyjaciółką.“ Sztuka, wpływ działania świata niewidomego, pociąga nas ku temu światu. „Niby falą, płynie trud za trudem, praca ściga pracę, a śród tego zamętu i hałasu, nie dosłyszysz i wołania wyższej natury człowieczej i szlachetniejszej istoty twojej... Niekiedy atoli odezwie się z głębi piersi znienacka ten głos, tak silnie i potężnie i cudownie zarazem, że już umilkną w duszy wszystkie niskie chęci i pragnienia, i pierzchną, niby mgły nocne, przed wschodzącą jutrzeńką. Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawna, zapomniana, znów zadzwoni, niby pieśnią anielską, i obudzi chęci, uczucia i myśli do innej należącej dziedziny. Rzekłbyś, że matka dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęskniącą sierotę...“

List III. Mylą się ci, którzy w ścisłe prawidła pragnęliby ująć sztuki, mylą się równie ci, którzy im żadnych przyznać nie chcą. Najgłośniejszem jest, *naukowe* usposobienie w artyście. „Bo gdy w duszy pusta i głucho, gdy rozum w sobie biedny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia, ale odurzenie szafu.“ Odzianie umysłu w naukę, jeśli ten patrzy jasno na przedmioty, nie skrzywi ale umocni wzrok. „Powiedzą mi może, mówi autor, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów, odebrałaby im ich właściwe piętno, i mogłaby zatracić indywidualność odznaczającą się od innych; jeżeli jednak ta indywidualność charakteru ma jaką wartość, toć też nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzchu wypłynie.“

List IV. W czasie przewagi natury nad człowiekiem powstało mniemanie, iż sztuka jest naśladowaniem natury. Mniemanie to jest krzywdzącem dla sztuki. Autor zwraca myśl na istotną piękność natury, na uroczystość jej, gdy się np. spogląda z gór Himalaj, Alp albo Tatrów, i uważa że jednak te utwory widziane, nie są jeszcze szczytem na ziemi... „a przecież, a przecież za prawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z *ducha* płynące.“ Natura zmysłowa użycza materyału sztuce, ale nie jest jej zasadą, osnową, celem. Mistrz chcąc wydać *myśl* prawdziwą w formie zmysłowej, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo obie płyną z jednego źródła: rozumu najwyższego.“ Jeżeli myśl jest prawdziwą, prawdziwą będzie i forma, jako np. w Grecyi nie zaś jako np. bożyszcz *Indyjskich* których postacie były *potworne*, jak myśl. Z utworu, prócz jego formy zmysłowej, wygląda myśl mistrza, i ta wartość sztuki stanowi. Według niej, nie według podobieństw, cenimy dzieło np. malarskie. „Dagierotyp zabił tylko kopistów, mówi autor, a nieistotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisowców a nie autorów. Podobnie w rzeźbie. W jednym pomniku Włodzimierza Potockiego, uważa autor, w katedrze naszej, więcej jest piękności, aniżeli w tych tłumach kąpiących się latem setkami we Wiśle naszej. „Gdzież dopiero znaleźć w naturze wzory muzyce, architekturze, poezyi lirycznej, i t. p. Autor, według najnowszych geologów i rzeczy przyrodzonych badaczy, opisuje nam świat przedpotopowy; ową mękę pierwotnych formacyj żywiołów, gdy „dzieje rodzenia się ziemi okupione zo-

stały śmiercią całego świata jestestw żyjących.“ Autor wskazuje na majestat i siłę pierwotnej natury, w której wyłączną przewagę miała materya, na ten świat roślin dziś jeszcze widziany w nietkniętych cywilizacją puszczach zwrotnikowych, gdzie nasze paprocie powiewają swą kitą jak drzewa wyniosłe, powoje jak węże i liny grube pną się po wyniosłych drzewach; kwiaty wzniosłe wydają się jak ogrody wiszące; cała ta massa olbrzymich roślin pstra, ściśle spleciona, waliki nawet żywiołów nie zdaje się lękać, na owe zabytki zwierząt przedpotopowych żyjących w czasie, który zdał się być wiekiem przewagi płazów, owego o stu stopach *ichtyozaura*, który miał głowę jaszczurki, ogon ogromny, płetwy wielorybie, oczy wielkości głowy męskiej, które były mikroskopem kiedy je zmrużał, teleskopem skoro roztwierał, równych mu potwornością *plezyozaura*, *pterodaktyla*, który złożony skrzydła, stawał na tylnych nogach jako człowiek, i t. p. tej całej natury nie widział człowiek, więc nie była człowiekowi potrzebną, sztuce by ją naśladowała. Życie sztuki jest zupełnie duchowe; przybrane jest jedynie w szaty materyi, i na wzajemności stoi. Iżby sztuka zakwitnąć mogła, potrzeba było iżby królowanie ducha się wzmogło. Lata i wieki płynęły od owych pierwotnych czasów, nim nowiej, postępniej epoki wybić mogła na ziemi godziua. Wszakże wybiła. Słuchaj, w tej chwili gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy igłoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia; a dzwony, jakby muzyką, rozptywają się falami po świecie chrześcijańskim. Świat zdrzął w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materyi pań-

stwo doszło końca swojego, że nie ma więcej znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.“

List V. Człowiek jest duchem, promieniem ducha Bożego. „Jak słońce poranne świeci spaniałością swoją w rosy kropelce drżącej na listku, tak w duchu człowieka świeci iskra wielkości i Majestatu Bożego. Pismo mówi, iż po stworzeniu człowieka, Bóg przywiódł przed niego jestestwa, aby je nazwał i panował nad niemi; tak prosto, ale głęboko oznaczonym został stosunek człowieka do świata; prawo nazwania, upoważniło go do dociekania, (cały szereg umiejętności).“ Jestto przywilej człowieka nadany mu od początku, a nikt mu go nie odbierze. Zwierzę bierze świat fizyczny tylko zmysłowie, dbając o to jedynie czem rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy czem one są same w sobie, i jak się mają do siebie. Sztuka, utwór człowieka, jak człowiek musi mieć dwie strony, duchową i cielesną. „Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im *zmysły* głaszczą... pojmują oni iście tak sztuki, jak botanikę kózka objadająca rzadkie rośliny i kwiaty.“ Stosunek fizyczny człowieka do natury fizycznej wprawdzie jest rzeczywistym i nie jest fałszem: „skwary i spieki, pracowania dnia każdego, kończą się poezją wieczoru co pocałowaniem swoim rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi, a z niebieskich wysokości promieniem księżyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami, obsypuje łożę jego złotem marzeniem i ułudą samych obrazów... tkanka tysiącznych złotych nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dlatego też tak twardą, tak tęskną jest ostatnia chwila rozstania się

z tym żywiołem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd też skonanie jest arcydziełem człowieka.“ Lecz jestto tylko jedną stroną przyrody ludzkiej. Człowiek jest nietylko jeńcem natury, może być jej panem. Zastosowanie sztuki wprost do potrzeby zmysłów, jest stałem jej powiciem. Narody mogą długie wieki przemarzyć śród przewagi materji, ale ziarno lubo najdłużej leży bez słońca, nie przestaje mieć zarodu. Po określeniu człowieka oddanego wyłącznie zmysłom, autor kreśli przeciwny, i jako wzór, stawia idealny obraz *kobiety*. Po uczuciach prosto zmysłowych, które w końcu zelżyły sztukę, nastąpiło królowanie uczucia idealnego. Uczucie to poczęło się trwożyć wszystkiego co ziemskie; i pierwsze wieki chrześcijaństwa nie wydały pomników sztuki. Sztuka w nich stała się symboliczną: „krzyż, baranek, palma, kotwica, gołąbek, grona winne i winna macica, siedm świeczników, zabrały miejsce sztuki;“ też barwa architektury, malarstwa, poezji owoiekowych. Dużą sądu śród sztuki, ma być nie racya, ale uczucie. Allegorye w poezji jak i w malarstwie nie spyzniają sztuce. Ktoby według praw rachunkowych, wprost rozumowych, chciał sądzić o dziełach sztuki, byłby podobnym owemu, któryby chcąc określić piękność (piękną kobietę), według zasad zkadinał rzeczywistych, rzekł np. „ta piękna *kibić* jestto skutek foremego skieletu i kości. to piękne *ciato*, to połączenie białka, pierwiastku ekstraktowego; te bogate kędziory, któremi sylfidy igrają, toć jest niedokwas żelaza, mangan, siarkan wapna, krzemionka,“ i t. p.

List VI. Uczucia są pierwiastkiem głównym w świecie estetycznym; bez uczuć nie ludzie nie

stworzą; podobnie jak wskrós samemi uczuciami przejęci, dusza ich pełna woni niby fiołek w zaciszy, wyzienie zapachem swe życie nieznane, ciche i wiotkie.“ Uczucia jednak i w stanie umiarkowania swego prawdą, nie są warunkiem jedynym wśród sądu. Uczucia nasze zależą od wypadków zewnętrznych, w każdym więc człowieku są inne, codzien się przemieniają; jakaś pieśń, pora dzienna, czas, miejsce wszystko w nas zmienia uczucia. Uczucia są niepewne, sprzeczne, przypadkowe, nie mogą być sędziami spraw naszych, i iść muszą same pod sąd rozumu.“ Zdanie oparte na uczuciu, będzie tylko prawdą osobistą nie rzeczywistą. Żeniący się zakochany „nader ma słuszne prawo nie dbać o perswazyę innych, lecz byłby nieznośnym i śmiesznym, gdyby chciał zniewolić innych do widzenia tychże powabów w oblubienicy, jakie sam postrzegł. Przewaga uczucia własnego tak miesza sąd o innych rzeczach *ogólnych*, iż jest rodzajem pomieszania; ztąd górujące uczucie często do obłąkania istotnego doprowadza. (Autor nie dopuszcza iżby czyjeś osobiste uczucie, chociażby jedno, zgodne było z prawdą powszechną). Zasadą sądu nie może być smak dowolny, bo go ma każdy innym. Sądem sztuki, ma być uczucie połączone z poprzednim poznaniem zasad sztuki ogólnych. Tu, jak w każdym kierunku człowieka, rozum jest pierwszym warunkiem. Rozum jest pierwszym warunkiem wiary; niemowlęta, obłąkani, zwierzęta, nie mają wiary bo nie mają rozumu; co myli nasze zdanie, bynajmniej nie jest rozum, ale uczucia, zmysły i t. p. Zezlewu w jedność rozumu i uczuć, tworzy się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczej. Uczucia tym są

szlachetniejsze, im mniej osobiste; szczytem więc ich miłość ogólna.

List VII. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieka. Nasze prace i czyny, sąto chwile, są skończonością, „lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, mówi autor, bo właśnie jej poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności naszej. Pojmując skończoność, mamy wyobrażenie nieskończoności; już zaś gdy tylko cnota może pojąć cnotę, rozum rozum, i gieniusz gieniusz, tak też istota która pojmuje nieskończoność, musi sama mieć w sobie pierwiastek nieskończoności, być nieskończoną. Co jest prawdą, musi być takim nie tylko u nas lecz na zewnątrz, bo nie byłoby prawdą; wyobrażenie moralności łączy się z czynami moralności; uczucie miłości nie mogłoby istnieć, bez istnienia jej celu zewnątrz; prawd naszych wewnętrznych dopóty nie uważamy za zupełne, dopóki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy; stąd ów niepokój póki prawda, której przekonanie mamy, nie jest przyjętą od świata; teoria i praktyka sąto dwa bieguny igielki magnesowej które lubo różne, do siebie należą; tak się rzecz ma i z nieskończonością która w nas tkwi; niąto party człowiek, tęskni by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie. Najprzód więc szuka jej w naturze zewnętrznej (zmysłami), widzi gwiazdy i ziemię, ale sąto ułamki czegoś które ograniczone są w sobie, nie mogą więc być nieskończone; we wszelkim rodzaju zjawisk natury zmysłowej, które na pozór związek z duchowością mają, też ograniczoność; „w zjawiskach np. mechanicznych, optycznych, i t. p., trzeba najmniej dwóch ciał na siebie działających; w zjawiskach magnetycznych dwóch bie-

gunów.“ Sam człowiek ziemski, stolica *ducha nieśmiertelnego* na ziemi, nie jest doskonałością; oddycha powietrzem natury i łączy się z nią, (pokarm, napoje), z nią stanowi swą całość, a to jest przyczyną i śmierci jego. Nieskończonością tą nie będzie ani *moralność*, ani *prawo*, ani nawet *historja*, która lubo jest odbiciem (jak wszystko) myśli nieskończonej, ale ta myśl jest niewidoma nam, „bo nie występuje w swęj całości w zdarzeniach historycznych (lecz) rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze; duch żyjący w historyi, nie występuje na jaw w zupełności swęj, ale w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią co bije w pulsach narodów.“ Duch ludzki więc ciśniony niedostatkiem w swém wzniesieniu, nieznajdywaniem nieskończoności, pożyczca u przyrodzenia form, i sam ją tworzy. To źródło sztuki. „Nie dziw tedy, iż zjawienie się dzieła sztuki, jest pieśnią wtórującą nieskończoności człowieka; bo gdy stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątnią, albo gdy mu zabrzmia w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezją odziany, już rozumie, że go głos dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś? niegdys?.. ani przeto *zmysły*, ani *zachwycenie*, ani samo *uczucie*, ani *rozum*, ani *myśl*, z osobna wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą,“ ale całość nasza. Gdy więc piękność się zjawia, uciszają się wszystkie sprzeczności duszy naszej; „cały ocean jestestwa naszego zlewa się jakby w zwierciadło, w którym niebo i Bóstwo się przegląda.“ „Wpatruj się w obraz *Syxyńskiej Madonny*; tutaj

zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, i wiara i miłość, słowem cała nasza treść roztopiona jakby pieśnią niebiańską...“ Słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak Nieba podwoje na roście są otwarte, i widzisz, jakby poszczeblach Jakóba na obłokach wspartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistej ojczyzny pokazujące.“

List VIII. Sztuki piękne w historii zawsze się znalazły w parze z religią, bo też wiara jest księżką nieskończoności. Sztuki piękne klękają przy wierze, bo ta nie ma strony zmysłowej, bo ta oprócz ludzkiej, o innej (nie mającej początku) przemawia nieskończoności. Celem sztuki jest *uzmysłowienie ducha*, celem wiary sam *duch*. Sztuka nie dościga Bóstwa nie mającego początku ani końca; dlatego też np. z życia Chrystusa, łatwiej jest przedstawić Chrystusa dzieckiem albo na krzyżu, niż w czasie Nauczania, Zmartwychwstania, Wniebowstąpienia i t. p. Prócz sztuki i religii, jest jeszcze trzecia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, a tą jest *mądrość* czyli *filozofia*. Rozum jest najwyższym darem człowieka; przez rozum zdolny jest do pojęcia prawd wiary. Powstawanie na rozum jest skutkiem nieporozumienia się, brania za rozum nadużyć rozumu; do tych nadużyć należą np. owe ironie z wieku zeszłego, owe w pismach naukowych i nienaukowych rozbiernie obecne w Niemczech prawd, które już były w zdobyciu rozumu (jako o Bogu, wieczności i t. p.) „Patrzac się na tę prostytutkę, mówi autor, rzeczy drogich i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika, jak gdyby po długiej nieby-

tności w mieście rodzinnem obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojej, sponiewierane na tandecie żydowskiej.“ Filozofia jestto umiejętność mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach owego nieskończonego pierwiastku. W sztukach pięknych duch człowieka *tworzy* wizerunek swój nieskończoności, w filozofii *dochodzi* do nieskończoności myśleniem; w religii *wlewa się* w nas nieskończoność (tylko za łaską Bożą) w kształcie wiary. Rozmaitość formy stanowi *historją sztuki*. W Grecyi *zmysłowość* była bóstwem, więc i cechą piękności; nieskończoność u Greków wyobrażała się w postaci ludzkiej, i bogowie Olimpu mieli naturę ludzką z całą krewkością jej, duch estetyczny głównie więc wyrażał się w *formie*. „Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, panteon stanął w płomieniach.“ Sztuka nie wystarczała tej prawdzie; duch przerosł sztuki, na miejsce ubóstwienia piękności, nastąpił sąd o niej.

List IX. Po określeniu stanowiska sztuki do filozofii i wiary, autor określa stósunek jej do rzeczywistości. Rzeczywistość tak się ma do sztuki, jak natura smutna do oświeconej przez słońce.“ Nie darmo Hellenów *febus* prowadził wóz słońca: człowiek ciśniony jest rzeczywistością; dopiero sztuka obudza w nim zacność jego. Rzeczywistość w całej swojej istocie nie może być wzorem dla sztuki; każdy szczegół rzeczywistości jest sobą w harmonii z resztą stworzonych szczegółów; przeniesiony, byłby w ułomku bez znaczenia. Ułomek taki dopiero, z myślą stanowi całość duchową, i jest *idealem*. Ideał odbity formą daje sztukę. Ideał więc jestto połączenie *ducha* z *rzeczywistością*. Samo wyobrażenie w *myśli* naszej ja-

kiegoś np. człowieka, lub zatrzymanie rysów jego *dagierotypem* da nam lub pojęcie czysto duchowe lub odbicie rzeczywistości: dopiero połączenie myśli i formy np. w posągu lub portrecie malarskim, da nam ideał sztuki. Ideał sztuki winien mieścić w sobie istotę uduchownienia, dlatego też *drobnotki* wypływające z fizycznych i jakoby roślinnych potrzeb człowieka (jako np. picie, jedzenie, spanie) jeżeli mieścić się mogą w dziele sztuki, to tylko „o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznej muzyki duchowej.“ Ideał doskonały nie może być czystym wymysłem fantazyi, lecz musi zachować prawdę; indywidualność nie jest zbiorem piękności porozrzucanej, ale *w całości* z ducha wyrasta. Dlatego też i szczególne jestestwa natury, nie mogą być przedmiotem ideału. Dlatego też i w ideałach z natury i uczuć ludzkich“ wszelkie boleści rozdzierające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce; mogą być jako część rzeczywistości, ale skoro łagodzone są duchem który jest nieskończony. Stąd sztuka religijna, robi uwagę autor, doskonalszą jest od starożytnej. Autor przytacza tu dwa obrazy *Girodet*a, z których jeden, wizerunek *potopu*, jest okropną rozpaczą bez ratunku, a zaś *pożrzeb Atali*, gdzie kochanek ściska kolana zmarłej, osłodzony jest widokiem *krzyża*, który o nieskończoności przemawia. W świecie dawnym wyobrażenia boskie i ludzkie, jeszcze były zwinęte. „Chceszli wiedzieć i czuć, mówi autor, czem jest sztuki świętej, religijnej majestat, wstąp do przybytku katedr naszych katolickich.“

List X. Ideał winien mieć za tło, grunt sobie właściwy. Autor przytacza powieść Niemiecką o górniku kopalni Falunu (w Szwecyi) który był znaleziony po 50 latach martwym, w postaci jednak pierwotnej młodości. Lud patrzył nań z podziwieniem, ale jedna o kulach niewiasta stara, rzuciła się nań i otoczyła uściskiem; byłato jego niegdys oblubienica i narzeczona, z którą go śmierć rozdzieliła. „Podobnie, drogi przyjacielu, dodaje autor, postać idealna, będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie.“ Tylko dusza mistrza go pozna. Jakiż świat stosownym jest dla ideału? Autor sądzi, iż stan społeczności dzisiejszej nie jest stosownym do ideału, iż ideał musi zbyt wiązać rzeczywistością. Przeciwnie stan kraju stosowny do ideału jest ten, gdzie społeczność ludzka nie jest jeszcze szczelnie związana, gdzie jeszcze nieorganizowaną została, lub która się już zdeorganizowała; takiem było np. owe passowanie się, co wyprzedziło upadek Syonu, takie dzieje kraju naszego od ostatniego z Jagiellonów. Dziś, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niesforne jarzmo konweniencyi, ciężarów, krępujących uprzedzeń, śmiesznych wymogów“ ideał musi tworzyć świat lepszy: jako *pasterski* (skąd inąd ciasny), *bohaterski* (starzej Grecyi), *romantyczny* (wieków średnich). W wiekach średnich świat ten swobodnej fantazyi, został nagle powstrzymany powstałym wśród ludzkości wynalazkiem podwójnej broni: *materyalnej* i *duchowej* „bo kiedy oba te wynalazki (prochu i typów) wystąpiły na jaw; już ród ludzki nagle podrośł, w oka-

mgnieniu spoważniał i spojrzął się wokoło siebie i w siebie, okiem pełnem grozy; przestał być młodzieńcem, i poznał że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopią ale duchem na ostre pogonić.“ Świat ten konając, żywszym ogniem błysnął. Czas ten (romantyczno-estetyczny) zapadający się w dziejach, spojrzął na nas duchem Leonarda, Dürera, Aryosta, Michała Anioła, Rafaela, Corregia, Camoensa, Tassa, Cerwantesa, Szekspira.“ Ma też i świat nam współczesny, miejsca dla ideałów tj. niezaludnione jeszcze stałą społecznością, jako świat klanów Szkockich, puszcze Ameryki, siczce Zadnieprskie, i cały wschód(?). Wielka opera przedstawiana wśród społeczności, przedstawia nam zawsze kraje z fantazyi. Ideał musi na jaw *czynem* wystąpić. W tym stanie przedstawia się nam lub w *oderwaniu* lub w stosunku do świata, w *sytuacji*. Wszystkie figury sztuki Indyjskiej, są bez sytuacji; podobnie figury sztuki w Egipcie, stare bożyszcza Giermańskie i Słowiańskie. Ale w Grecyi duch uczuł siebie, swój stosunek do świata; ideały nabrały sytuacji. Sytuacje te są jeszcze nieobszerne t. j. iż postać jest jedną i tylko wydaje *myśl* łączącą ją z częścią towarzystwa, jak *Dyana myśliwa*, *Apollo lutnista*, w poezyi *hymny* i *psalmy*. Jeśli się jednak sytuacja rozszerzy i do ogółu ludzi, do ludzi odmiennych uczuć i woli, staje się *kollizją*, a ta prowadzi do czynów i walki. Przyczynami kollizyi są: już potęgi natury (burze, zarazy) już natura *wewnętrzna*, już wreszcie *czyny* człowieka. Jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragiedya jest najwyższym rodzajem poezyi. W jakim sposobie ideał stać się może odbiciem prawdy? Prawda jest jedna; lecz jako słońce ziemskie

ma jeden promień biały a w rospryśnieniu się na przedmioty świata, w szczegółach ukazujący się, tak też i w każdym człowieku „miasto onego *jasnego* promienia wiekuistej mądrości, świeci tylko jedno przeważające uczucie, mające swoją własną barwę.“ „Uczucie to przeważające, jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą *szczegółową*, stąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym tej samej wagi, tej samej wartości, że tém samém grzeszy onej prawdzie ogólnej, powszechnej i wiekuistej.“ Prawdy te szczegółowe, zamroczone są pyłem doczesności; promień ów biały, dopiero pochwycony pryzmatem sztuki, zdoła przedstawić w swęj prawdzie barwę szczegółową; tą prawdą będzie *figura poetyczna*. Sztuka ma za cel *uzmysłowienie* tej szczegółowej prawdy. Sztuka o tyle jest prawdą, o ile stawiając figury w *kollizyi*, prawdy ich szczegółowe zlewa w ową jedną. „Do tej wiecznej prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z niej wypływają; ona nie ginie nigdy.“

Siłą która budzi w nas ideały, jest nasza natura wewnętrzna; człowiek jednak sądzi iż pochodzi to z przyczyn zewnątrz istnących, i tu ich szuka. Stąd olimp w Grecyi, w Chrześcijaństwie świat duchów, gieniusze, czarownice, rusałki, i t. p. Główną siłą jest *pathos*, czyli porwanie przez uczucie, w ogóle serc ludzkich będące, jako np. miłość, przyjaźń, honor i t. p. Gdy człowiek przez objawienie pojął równość godności ludzi, zrodziła się *miłość*. Autor tu zwraca uwagę na równość godności i zalet obu płci stworzonych pośród ludzkości, i stara się przedstawić i po-

dnieść pomawianą zwykle zacność płci żeńskiej. „Tu o wyższości jednej płci nad drugą, mówi autor, mówić nawet nie można, obie są pod względem umysłowym zupełnie równe, choć zupełnie sobie odwrotne. Mąż w swoim, kobieta w swoim zakresie działając, *zarówno są ważnym* pierwiastkiem świata... są wzajemnym siebie, tak pod względem umysłowym jak fizycznym, dopełnieniem. Dlatego też stan poniżenia niewiast, jest cechą dzikości. Gdy w obcowaniu towarzyskim, dodaje autor uwagę, zdarzy ci się obaczyć człowieka co znieważa w czynach i lekkich słowach względy należące się kobietom, już pewnym być możesz, że to z gruntu barbarzyniec... przypatrz mu się, a spostrzeżesz, że pod tą swoją choćby najwięcej wygładzoną i wymuskaną łupiną, kryje serce puste, ciasną głowę, i strupiałą duszę.“ Patetyczność nie może wyływać z uczuć, do których pewnego przygotowania poprzedniego, np. naukowego ukształcenia potrzeba. Tym mniej patetycznymi być mogą skłonności bezważne, śmieszne, ochoty czeze, tym jeszcze mniej wady przodków i t. p. Pathos wcielone w formę, daje figurę, *charakter*. Charakter winien być przedstawiony w *stósunkach*, a być jednym w *rozmaitości stósunków*.“



O UZNANIU DZIECI NATURALNYCH

ZE STRONY OJCA,

Przez J. C. S.

Nie małym było i jest zadaniem dla prawodawców oznaczenie form i przepisów, jakie obok prawych, dzieciom naturalnym służyć mają. Z jednej strony przedstawia im się przed oczy w całej ważności świętość małżeńskiego związku, to znakomite źródło i podstawa bytu i potęgi państwa; z drugiej troskliwość ich zwraca los istot, którym jakkolwiek dla wielu przeważnych pobudek sprzyjać nie mogą, odrzucać je wszelako od opieki prawa, nie widzą słusznej przyczyny. Umiarkować prawa ostatnich wedle sprawiedliwości zasad, widoków koniecznych cłałości i opieki towarzyskiej, a nie obrazić w niczem głównej zasady porządku i siły państwa; złagodzić złe prawie nieoddzielne od stósunków ludzkich, a zarazem mając na pierwszym względzie interes ogólny towarzystwa, wykazać cały szacunek dla postępów moralności publicznej, oto zadanie które długo jeszcze będzie przedmiotem rozważki, odmian i usilności każdego prawodawcy. (1) Kiedy czystość obyczajów czło-

(1) Obacz nowy kodex cywilny Sardyński, i inne, w dziele „Concordance entre les Codes civils étrangers et le Code français, par Antoine de Saint Joseph, Bruxelles 1842.“

wieka ułatwiała usiłowania prawodawcy, kiedy rozporządzenia jego, po większej części z nakazów religii płynące i jej sankcją obwarowane, zarówno zewnętrzными czynami jak i sumieniem silnie rządziły; zadanie było łatwiejszem, mniejszem złe, prostszemi przepisy.

Lud Izraelski (2), Grecya, Rzym dawny, w początkach nie wiele w téj mierze ustanowił przepisów; ustanowione dostatecznymi były. Lecz potęga kraju wzrasta, ludność się zwiększa, czystość obyczajów maleje, wyobrażenia religijne słabną; wtedyto prawodawca szuka starannie środków ku zaradzeniu złemu i takowe w ogólnym interesie państwa, w religijnym i moralnym stanie kraju, za pośrednictwem praw cywilnych znajduje. Tak jedynowładzca, wojnami i bezżeństwem wyludnionego Rzymu, August, pragnąc szerzące się za swoich czasów zepsucie w samém źródle przytłumić, wiedziony i przykładem swego poprzednika (3) i towarzyszącemi temu położeniu rzeczy widokami polityki; stanowi liczne i surowe przepisy zapewniające przywileje dla związku małżeńskiego, wspiera go całą powagą i siłą prawodawczych środków, i do zawierania takowego karą i nagrodą przynagla. Powstaje sławne prawo Papia Poppaea, którego celem było: stawić zapory powszechnemu zepsuciu, przywrócić o ile być mogło, pierwotną czystość obyczajów wieczystemu miastu, zwiększyć ludnością jego potęgę, a tém samém zapewnić mu w nieoznaczone

(2) Non sit meretrix, aut quae pro lubitu sine nuptiis copiam sui corporis faciat, ex filiabus Israël. Deuteronom. 23, ver. 17.

(3) Lex Julia, de maritandis ordinibus.

wieki nad światem panowanie. I śpiewak sekularny błaga nieśmiertelnych Bogów o cnoty dla Rzymu i błogie skutki nowego tego prawa. (4)

Jakkolwiek zaś w prawie tém konkubinat Rzymski (5) odgrywa swą rolę i pod zastłonę prawa się chroni, bacznosc wszelako prawodawcy tego i jego następców, samemi przepisami zmniejsza jego szkodliwość, ogranicza nadużycia i zubożnia następstwa. Jestto już wschodząca zorza lepszego moralnego porządku; rozwinię on się choć zwolna w kolei czasu, i wyrzuci zpośród siebie złe nieoddzielne od ówczasowych wyobrażeń i stanu rzeczy. Religiatu Chrystusa, tak czule upominająca się za każdą niedolę człowieka, duchem i wpływem swoim a następnie władzą, łagodzi najprzód ostrość przepisów paganimu, los dzieci naturalnych środkiem legitymacyi czyli uprawnienia (6) osładza, wreszcie usuwa na zawsze z prawodawstw chrześcijańskich ludów, jakbądź uorganizowaną nędzę konkubinatu.

Lecz nie w każdym czasie i epoce umysł ludzki

(4) Diva, producas sobolem, patrumque
Prosperes decreta super jugandis
Foeminis, prolisque novae feraci
Lege marita.....

Di probos mores, docili juventae,
Di, senectuti placidae quietem,
Romulae genti date remque prolem-
que et decus omne.

Horatii, *Carmen saeculare*.

(5) Concubinatus est quoddam juris naturalis matrimonium, legibus permissum, quod perpetuam et individuum vitae societatem contineret ex voto contrahentium, non secus ac nuptiae. Pothier, *De concubinis*.

(6) Mianowicie *Legitimitio per subsequens matrimonium*.

zdolnym jest utrzymać się na tej linii granicznej, rozdzielającej przyzwoity wzgląd dla ofiar słabości człowieka, od szkodliwej dobru ogólnemu i moralności publicznej woli pobłażan a takowej; dowodzą tego z jednej strony zbyt surowe co do dzieci naturalnych przepisy prawa i zwyczaju średniowiecznych prawodawstw, naruszające najwালniczsze prawo człowieka, to jest prawo jego bytu; z drugiej zadaleko posunięte dla nich wyrozumienie i łaska Francuzkiego prawodawcy od roku 1789, do zaprowadzenia kodexu, z ustaw tej epoki tak jawnie wykazujące się.

Lecz rozporządzenia i prawa nie oparte na naturze związku towarzyskiego, ściślej sprawiedliwości, nie długo trwać mogą. Z uciszeniem się namiętności, epoki zdrowe i normalne pojęcia, wracają się do umysłu ludzkiego; poznaje on rychle błędnego prawodawstwa skutki, i tym rychlej się cofa i błędy swoje prostuje.

Tak uczynił prawodawca Francuzki, i dzisiejszy kodex cywilny tego narodu, co do dzieci naturalnych, odmienne od poprzednich obejmuje zasady. Obowiązują one w jednej części jeszcze nasz kraj; w drugiej z niewiele znaczącemi zmianami, weszły do zbioru prawodawstwa Polskiego (Tom X Dziennika praw Król.).

W jednym oddziale tych przepisów, a mianowicie: „O uznaniu dzieci naturalnych ze strony ojca“ wyrodziła się u niektórych prawników naszych teoria, pobudkom i woli prawodawcy wprost przeciwna.

Żadne pojęcie rzeczy błędne, ani godności umysłu człowieka przystoi, ani pożądanem dla niego byćby powinno: lecz jeśli toż błędne pojęcie wchodzi do

wyroku sądowego, tegoż organu woli prawa, rzeczą i obowiązkiem jest dobrej chęci, wykryć je i sprostować.

Miałaby wreszcie słaba strona serca człowieka objawiać się i w sercu tych, którzy w zastępstwie prawodawcy, przepisy przez niego w tej mierze podane, do wypadku sporu stosują? Miałaby umysł sędziego w tego rodzaju sprawach, chętniej wyszukiwać lub wskazane sobie przyjmować przepisy, mogące osłonić rozporządzeń opieką smutne ofiary błędu i słabości, niż te któreby rzeczywiście do wypadku stosować należało?

Jeśli tak być miało, niech wyjaśnienie pobudek i dostępnie objawionej woli prawodawcy posłuży mu do silnego przejęcia się widokami prawa, niech go wyniesie nad współczucie, które zawsze pod strażą rozporządzeń zostawać winno, i wyrobi w nim tę moc i potęgę woli, która jedynie samemu tylko prawu ulega.

Tym celem wyłożymy najprzód powody i zasady prawa cywilnego Francuzkiego, a to w różnych prawa tego epokach, o formach uznania dzieci naturalnych: wykażemy iż wedle rozporządzeń tego prawodawstwa, rzeczony formy jedynie i wyłącznie zamknięte są w przepisie artykułu 334 kod. cywil. Francuzkiego.

Że następnie w braku tych form, uznanie dziecka naturalnego ze strony ojca, żadnym innym dowodem zastąpione być nie może.

Dalej, że rozporządzenia w tej mierze naszego prawa, w niczym nie odbiegają od zasad prawa Francuzkiego.

Że zatem udowodnianie posiadania stanu dziecka naturalnego, w braku form wyżej wskazanych za pośrednictwem badania świadków, na jakiegokolwiek wagi czyny i okoliczności, bezwarunkowo przeciwném jest kardynalnój zasadzie: „poszukiwanie ojcostwa jest zabronione“, i nigdy przez sądy dopuszczoném być nie powinno.

Prawo Francuzkie.

Rozporządzeniem Henryka 2^{go} z miesiąca lutego 1556, postanowiono:

„que toute fille ou veuve qui deviendrait enceinte et qui ne ferait pas sa declaration de grossesse, sarait réputée infanticide et puni de mort, si son enfant ne naissait point vivant.“

Łatwo odgadnąć jaki był cel tego rozporządzenia. Tym sposobem przyszła matka, obowiązana do wykrycia błędu swego jak tylko popełnionym został, bardzo często zarazem wskazywała i ojca dziecięcia.

Prawo nadawało jój możność zanieśienia do sądów podwójnej skargi:

1. albo wytoczenia tak zwanój *en gravitation*, i w drodze karnój, stósownie do przepisu z roku 1670, działania przeciwko ojcu dziecięcia,

2. lub wystąpienia przeciwko niemu w drodze cywilnej.

W obudwu razach zwykle domagała się skazania tegoż na zapłacenie sobie oznaczonej summy tytułem szkód i straconych korzyści, oraz założenia za siebie kosztów co do rozmaitych wydatków, jakoto

żywienia dziecięcia, i innych, w podobnym razie prawem ówczasowem dozwolonych (7).

Ztądto wyradzały się często rozprawy najgwałtowniejsze i najniewłaściwsze. Rzec się toczyła o udowodnienie sądownie ojcostwa; przewidzieć nie trudno w jak przykrém położeniu znajdował się nieraz sędzia, mający wyrokować w tego rodzaju sprawach. W braku też dowodów stanowczych, co najczęściej z natury rzeczy miejsce mieć musiało, uciekał się zwykle do domniemań, badał okoliczności i czyny, poprzedni charakter matki i moralność wskazanego ojca; przewidzieć równie łatwo jak często wyrok jego, oparty jedynie na zbiorze skazówek wątplych i dwójznacznych, domniemań niepewnych i pozornych, nie mógł być uświęceniem rzeczywistości i prawdy.

Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1789.

Prawodawstwo środkowe (tojest od powyższego roku, do ogłoszenia kodexu cywilnego) nosi na sobie cechę czasów burzliwych, w jakich powstało. Epoka ta odznaczyła się wielością przepisów przedmiotu naszego dotyczących, ściśle z sobą nie powiązanych, przedstawiających w swym czasie liczne niedostatki i wątpliwości; bytło rzeczywiście zamęt silnej, lecz nieumiejącej się kierować prawodawczej woli. Epoka ta podzielić się może na dwa peryody.

W pierwszym (tojest od daty powyższej do ogłoszenia ustawy z dnia 12 brumaire, roku drugiego) ustawa z 12 brum. oznaczyła prawa, jakie dziecku naturalnemu służyć mają, formę uznania tego dziecka, i rodzaj dowodów potrzebnych mu dla udowodnienia

(7) Frais de gésine, etc.

posiadania swego stanu i możności brania spadku. Dowody te były:

pisma publiczne lub prywatne ojca, nieprzerwane starania przez tegoż dla dziecka naturalnego, w charakterze ojcostwa podjęte (8).

Słowem, udowodnienie posiadania stanu dziecka naturalnego, w tym peryodzie czasu dozwolone. W drugim, po licznych i sprzecznych wyrokach trybunałów, wyrokach sądu kassacyjnego, ustaliła się teorya, iż od chwili ogłoszenia rzeczonęj ustawy nadal, jedynie uznanie dziecka naturalnego wtedy jest ważnem i przyjętem być może, gdy uczynioném było przed urzędnikiem publicznym, stósownie do osnowy art. 11, t. u. i stwierdzone przez matkę, wyjąwszy przypadki przewidziane artykułem 12 p. u.

Wreszcie sam prawodawca, spostrzegając niedostateczność i przerwę w rozporządzeniach tych (9), prawem przechodniem z 14 floréal r. 11, takową zapeł-

(8) Art. VIII. t. p. „Pour être admis à l'exercice des droits ci-dessus dans la succession de leur père décédé, les enfans nés hors du mariage, seront tenus de prouver leur possession d'état. Cette preuve ne pourra résulter que de la représentation d'écrits publics ou privés du père, ou de la suite de soins donnés, à titre de paternité et sans interruption, tant à leur entretien qu'à leur éducation.“

(9) Dla zrozumienia powołanęj wyż niedostateczności ustawy z 12 brumaire roku 2, oraz wątpliwości z tejże ustawy wynikłych, odczytać należy artykuł 1, 10, 11 i 12 rzeczonęj ustawy. Artykuły te są:

Art. 1. Les enfans actuellement existans, nés hors du mariage, seront admis aux successions de leurs père et mère, ouvertes depuis le 14 juillet 1789.

Art. 10. A l'égard des enfans nés hors du mariage, dont le père et la mère seront encore existans lors de la promulgation du Code civil, leur état et leurs droits seront en tous points réglés par les dispositions du Code.

nił, postanawiając: iż stan i prawa dzieci urodzonych nie w małżeństwie, których rodzice zmarli po ogłoszeniu ustawy z 12 brumaire, aż do chwili ogłoszenia kodexu cywilnego co do tytułów o ojcostwie, synostwie, oraz spadkach, urządzanemi będą wedle przepisów tegoż kodexu.

Z tego się okazuje, iż już w drugim peryodzie środkowej epoki prawodawstwa Francuzkiego, uznanie dzieci naturalnych, nastąpić nie mogło przez udowodnienie posiadania stanu dziecka naturalnego, jak to poprzednio miało miejsce.

Z zaprowadzeniem systematycznego zbioru prawa, czyli kodexu cywilnego Francuzkiego, forma i dowody uznania dzieci naturalnych, w odrębnym oddziale tegoż kodexu: „O uznaniu dzieci naturalnych“ przepisaniemi zostały.

Art. 11. Néanmoins, en cas de mort de la mère avant la publication du Code, la reconnaissance du père, faite devant un officier public, suffira pour constater, à son égard, l'état de l'enfant né hors du mariage, et le rendre habile à lui succéder.

Art. 12. Il en sera de même dans le cas où la mère serait absente, ou dans l'impossibilité absolue de confirmer par son aveu la reconnaissance du père.

Z porównania tych przepisów wykazuje się, iż art. 10 tejże ustawy, nie obejmuje w sobie żadnego rozporządzenia co do stanu i praw dzieci naturalnych, których rodzice umarli w ciągu czasu, między ogłoszeniem kodexu; kiedy zaś rzeczą jest widoczną, że art. 1 ustawy rozporządzał tylko co do dzieci naturalnych wówczas żyjących, a których rodzice już zmarli, przerwa w ustawie jest dotykana. Ustawa ta wyrzekła co do spadków otwartych przed 12 brumaire, jak również co do tych, które się po ogłoszeniu kodexu otworzą: co się zaś tycze spadków otworzyć się mogących w czasie pośrednim, milczy.

Bigot-Préameneu, mówca rządowy, tak usprawiedliwia potrzebę przepisów tych i główne zasady nowego tego prawodawstwa.

Za czasów dawnego rządu, udzielono dzieciom naturalnym nie przyznanym przez rodziców, zawiele łaskowości do niepokojenia rodzin, które im obcemi były; co się zaś dotyczy majątkowych stosunków obchodzono się z nimi z surowością, wszelką przechodzącą miarę.

W czasie zaburzeń kraju, dawne przepisy uległy zmianie co do znienawidzonych poszukiwań ojcostwa; lecz dano się unieść zanadto uczuciami dobrodziejstwa, i przyznano im prawa, które pod wielu względami równały je z dziećmi prawymi.

W nowym kodexie starano się poprawić te błędy, i wytknąć nareszcie sprawiedliwe granice, przy którychby prawa natury ani towarzystwa, w niczem pogwałconemi nie były.

Oddawna pod zeszłym rządem krzyk powszechny powstawał przeciwko poszukiwaniom ojcostwa. Narażały one trybunały na wywody i rozbiory najnieprzyzwoitsze, na wyroki najdowolniejsze, i na najrozmaitsze postępowanie sądowe. Jednem słowem, poszukiwanie ojcostwa uważanem było za plagę towarzystwa.

Konwencya bardzo przychylną dla dzieci naturalnych wydała ustawę z dnia 12 brumaire, roku drugiego. W tymże samym czasie, część kodexu cywilnego już ułożoną była, i gotowano się z każdym dniem do jej ogłoszenia. Postanowiono w niej: że prawo nie dopuszcza poszukiwania ojcostwa nieprzyznanego i że dowód uznania przez ojca, wy pływać tylko może

z jego oświadczenia przed urzędnikiem publicznym uczynionego.

W dzisiejszem prawie, mądre to rozporządzenie zakazujące poszukiwania ojcostwa, jest utrzymanem, i nie będzie mogło nigdy inaczéj przeciwko ojcu być wyrzeczone, jak tylko w skutek własnego jego uznania, i trzeba będzie jeszcze prócz tego, celem uwolnienia rodzin od wszelkiego w téj mierze podejścia, iżby uznanie takowe uczynionem było, albo w samym akcie urodzenia, albo w akcie urzędowym.

Z powyżéj przytoczonych pobudek, rozjaśniają się główne zasady prawa cywilnego Francuzkiego w przepisach art. 334 i 340 kodexu zamieszczone.

Przepisy te brzmią:

Art 334. Uznanie dziecięcia naturalnego dopełnionem będzie przez akt urzędowy, jeśli takowe nie nastąpiło w akcie jego urodzenia.

Art. 340. Poszukiwanie ojcostwa jest zabronione.

Pierwszy obejmuje wymienienie jedynych form jakimi uznanie dziecka naturalnego czyli objawienie ojcostwa, z skutkiem prawnym nastąpić może,

Drugi mieści w sobie zakaz dochodzenia cywilnie stósunków ojcostwa i synostwa, czyli pochodzenia dziecka naturalnego, kiedy zachodzi brak legalnego uznania tegoż dziecięcia, czyli brak form pierwszym przepisem wskazanych.

Z drugiego tego przepisu, ta ważna jeszcze wynika następność, iż wszelkie jakie bądź inne dowody przez dziecko naturalne poza obrębem pierwszego przepisu zebrane lub zebrać się mogące, jakoto: akta

prywatne, udowodnienie posiadania stanu prawnego tego stósunku synostwa i ojcostwa, ani zawiązywać ani stwierdzać mogą. (10) Przepis ten drugi jest przeto uzupełnieniem, sankcją pierwszego; razem wzięte są owocem doświadczenia wieków, do którego wracać się jużby nie przystało.

Innej formy i dowodów uznania dziecięcia naturalnego, prawodawca mieć nie chciał, bo ta jaką wyż przepisał, zdolna zarówno i zabezpieczyć prawa tegoż dziecka, i osłonić ogół od tych nadużyć poszukiwań sądowych, które mówca rządowy plagą towarzystwa mianował.

Zachodziły wprawdzie i zachodzą subtelne kwestye w przedstawiających się wypadkach sporu w prawoznawstwie Francuzkiem, czyli akt w sprawie złożony, aktem urzędowym nazwać można, lecz też same kwestye jasno dowodzą, iż zasada artykułu 334 powołanego prawa, jest szanowaną, i że tylko o jej ścisłe zastosowanie rzecz się toczy.

Prawo Polskie.

Wiadomo iż księgę 1szą kodexu cywilnego, poprzednio w kraju naszym obowiązującego, z końcem roku 1825, zastąpiła księga 1sza kodexu cywilnego Król. Polskiego w X tomie Dzienników praw Król. zamieszczona. W niej oddział II działu III tytułu VII téjże księgi, zawiera w sobie rozporządzenia naszego prawodawcy co do uznania dzieci naturalnych. Poró-

(10) Zgodni są w téj mierze autorowie Francuzcy, i praktyka sądowa co do tego punktu jest ustalona. Obacz: Dalloz, Dictionnaire de législation et de jurisprudence — Filiation naturelle. Tom 2 § 7 ust. 114. § 8. -ust. 133.

wywajac ściśle przepisy obudwu tych kodexów, widzimy iż dwie tylko w prawie naszym, w tym oddziale zmiany uczynione.

Przepis art. 303 kod. Król. (którego w kodexie cywilnym Francuzkim nie ma) z przyczyn do tego artykułu w powodach urzędowych wymienionych, dodany:

„iż rodzice obowiązani są dać swym dzieciom naturalnym sposób do życia, a tymczasem żywić je i wychowywać“

Przepis artykułu 341 kod. cy. Fran. odpowiadający naszemu art. 306 kod. Król. co do poszukiwania macierzyństwa, w tém rozszerzony: iż dowód ze świadków, nietylko wtenczas dopuszczonym będzie, gdy się znajduje początek dowodu na piśmie, lecz i wtedy (stósownie do nowój zmiany) gdy zachodzą domniemania lub istnieją ślady, z czynów już wówczas niewątpliwych wynikające, a które dla swój ważności dozwolenie tegoż dowodu koniecznie wskazują.

W rozbiieranych wszakże przepisach, żadne nie zachodzą między temiż kodexami zmiany i różnice, i treść takowych jest jedna i też sama.

W takim stósunku rozporządzeń, cóż więc dać mogło powód do przyjęcia teoryi o której wyżej namieniliśmy, to jest: że w braku legalnego uznania dziecięcia naturalnego przez ojca, samo udowodnienie posiadania stanu przez toż dziecko wystarczać i niedostatek aktu urodzenia lub aktu urzędowego, zastąpić może?

Powody na których się przeciwnicy opierają, są: mówią oni: „zgadzamy się na zasadę artykułu 305, w kod. cy. Król. zamieszczoną, prawo zabrania poszukiwania ojcostwa; my też takowego nie dochodzimy;

dziecko, o prawa którego rzecz idzie, posiadało od dawna stan dziecięcia naturalnego, tego zaś co kto już posiada, nie można żądać i poszukiwać; potrzeba tylko dowodu na posiadanie. Liczny szereg czynów, ze strony ojca dziecka naturalnego wykonywanych, udowodni, iż dziecko to pozostawionem było przez ojca w posiadaniu tegoż stanu, i takowego nieprzerwanie używało; gdy zaś te czyny stwierdzą badani na nieświadczenie, już tęp samém wszelkie prawa temu dziecku naturalnemu, jako przez ojca uznanemu, przyznane być muszą.

W usprawiedliwieniu tego rozumowania, przywodzią dalej:

Że co innego jest poszukiwać ojcostwa, a co innego domagać się skutków prawnych ojcostwa już uznanego.

Że rozporządzenia działu II tytułu VII księgi I^{sz} kodexu cy. Król. Pol. stósują się do dzieci naturalnych, wyjąwszy te, które prawodawca w dziale następnym, to jest III^{cim} co do dzieci naturalnych, zmienił; a że w tym dziale, o posiadaniu stanu nic nie wyrzekł, przeto też posiadanie za niemylny dowód pochodzenia dziecka naturalnego uznał, i trudno byłoby przypuścić aby nie miał żadnego względu, na to pasmo czynów jawnych, zgodnych, notarycznych, któremi ojciec objawia się światu, że jest ojcem. Na to odpowiadamy:

Nie przeczymy, że co innego jest poszukiwać ojcostwa, a co innego domagać się skutków prawnych ojcostwa już uznanego; pierwsze zabronione jest prawem (art. 305), drugie zawsze jest dozwolone; potrzeba tylko koniecznie iżby dochodzenie to opierało się i zasadało poprzednio na prawnym uznaniu dziec-

ka naturalnego, jakiego przepis artykułu 298 kod. cy. Król Pol. wymaga; gdy zaś brak takowego zachodzi, nie ma prawnego objawienia ojcostwa, nie ma tytułu pochodzenia udowodniającego, zgoła téj kardynalnej zasady i podstawy działania, od której dopiero wszelkie prawa dziecka naturalnego początek swój biorą.

Rozporządzenia działu II^{go} tytułu VII^{go} księgi I^{szej} kodexu cy. Król. Pol. „o dowodach rodu dzieci prawych“ do dzieci naturalnych nie stósują się.

Szereg dowodów, jakimi prawodawca dzieciom prawym pochodzenie swoje wykazywać dozwolił, w ich jedynie interesie ustanowiony, i takowe do nich się tylko odnoszą. Świętość i ważność towarzyska małżeńskiego związku, silnie przyjazna opieka dla dzieci z tego związku zrodzonych, spowodowały dowodów tych przyjęcie. Pobudek tych nie miał co do dzieci naturalnych prawodawca, i owszem miał oddzielne zgodnie z prawodawcą Francuzkim, o jakich wyżej namieniono; dlatego powyższe dowody do liczby dwóch, to jest aktu urodzenia i aktu urzędowego, ograniczył; dowody te przedstawiały mu jedynie, pewność wykrycia pochodzenia stałej i niezmiennéj woli ojca, a tém samém usuwały wszelką obawę iżby prawa i spokojność rodzin przyjęciem od powyższych pośledniejszych dowodów, i to dopiero wśród procesu po więkkszej części zbierać się mających, nadwreżonemi nie były. Chciał nadto odrębnością i ostrością formy przeciąć i zniszczyć ten tłum spraw gorszących, do jakich poprzednia łatwość ich wytaczania powód dawała. Samo wreszcie wymienienie w powyższym artykule prawa, przez prawodawcę po szczególe dozwo-

lonych dowodów uznania, widocznym jest zakazem użycia jakichkolwiek innych. (*Inclusio unius, est exclusio alterius*).

I rzecz jest prostą, że przepisując do prawnego uznania dziecka naturalnego wyższe dowody, to jest akta urzędowe, tém samém niższe, jakimi są: pisma prywatne lub badania świadków na jakiejkolwiek wagi czyny i okoliczności, celem udowodnienia posiadania stanu, odrzucić musiał. Wprawdzie przy dowodach rodu dzieci prawych, i niższe dowody zamieścił; lecz wołą w téj mierze swoją powodami, a nadewszystko jasną literą prawa objawił, czego przy uznaniu dzieci naturalnych nie uczynił, i z pobudek wyż wskazanych, uczynić nie mógł.

Lecz żeby obok powyższego rozumowania, nie pozostać bez pewnej powagi, przytoczyć jeszcze wypadka. Pominiemy iż prawodawca w motywach swych urzędowych (11) do rzezonego działu drugiego, przy każdym nieledwie artykule mówi o dzieciach prawych i w małżeństwie zrodzonych; lecz zwrócimy uwagę iż przechodząc do działu III^{go} to jest do praw dzieci naturalnych, wyraża się na wstępie:

„Prawo ustanowiwszy przepisy względem dowodów rodu dzieci prawych, zatrudnić się powinno z kolei losem dzieci nie w małżeństwie srodzonych.“

Przy artykule 298 tegoż działu, tylokrotnie powołanym i najgłówniejszym, wyraźnie zamieszcza:

(11) Obacz dyaryusz Senatu z roku 1825. Tom 2 str. 116, 118, 120.

„Niewolno poszukiwać ojcostwa ; stan dziecięcia naturalnego polega jedynie na uznaniu, które aby nosiło cechę pewności, czynione być powinno albo przez akt urzędowy, albo w akcie urodzenia.“

Takie są widoki, zasady i przepisy prawodawcy naszego o uznaniu dzieci naturalnych ze strony ojca.

W przepisach tych spoczywa rękojmia ważnej części porządku i spokojności towarzyskiej; ściśle jedynie wykonywanie takowych, może tylko zjścić widoki, i zapewnić dobro światłem zamierzone prawodawstwem.



ROZMAITOŚCI.

WSPOMNIENIE O TOMASZU ŚWIĘCKIM,

Członku b. Towarzystwa przyjaciół nauk.

Tomasz Święcki, syn Michała i Antoniny z Budzyńskich, urodził się dnia 20 grudnia 1774, we wsi Kostkach parafii Skibniewskiej, powiecie Węgrowskim na Podlasiu. Odebrał staranne wychowanie tak w domu jak i w szkołach Węgrowskich, które w 14 roku wieku ukończył, udał się do palestry Lubelskiej, następnie do Lwowa, celem kształcenia się w zawodzie prawnym. Gdy księstwo Warszawskie utworzone zostało, stan obrończy obrał za zatrudnienie główne, poświęcając się przytęm pracom naukowym.

Wydaniem w roku 1811 broszury pod napisem, »Historyczna wiadomość o Ziemi Pomorskiej, mieście Gdańsku, i panowaniu Polaków na morzu Bałtyckim, w Warszawie w drukarni W. Dąbrowskiego, in 8vo str. 83.» zwrócił na siebie oczy czytającej publiczności. Byłto czas niekorzystny dla literatury naszej: mało dzieł wychodziło z druku, mniej jeszcze było czytających. Dlatego i ta rozprawa, ważna treścią i badaniem, długo leżała na półkach księgarzy, znajdując częstszy pokup na straganie: bo rzecz godna pamięci, iż u nas między r. 1810 a 1820, największy pokup książek Polskich nie w księgarniach, ale na straganach bywał. Ztąd młodzież szkolna zakładała swoje księgozbiory, tą drogą nawet dochodziły ją poezye wielkiego naszego wieszca.

W pięć lat, po raz pierwszy wydał Tomasz Święcki swój »*Opis Starożytnej Polski w 1816 roku.*» Publiczność przyjęła go z radością, oceniła wartość dzieła, wykupiwszy całe wydanie w przeciągu lat trzech niespełna, co było w on czas dziwowiskiem. Święcki, pomimo licznych żądań powtórnego wydania, nie kwapił się, pracując

ciągle nad uzupełnieniem dzieła: co sprawiło, że cena egzemplarza pierwszego wydania, w czwornasób podskoczyła, nim drugie wydanie ogłosił w roku 1828. W pierwszym i drugim. broszura w roku 1811 wydana, wcieloną została. W rękopiśmie zostawił trzecie wydanie, znacznie rozszerzone i poprawione.

Nie możemy na dzieło to patrzeć oczyma obecnej chwili. Święcki nie należał do naszych czasów: było syn z początku XVIII wieku, ale nieskalany jego wadami. Jak całą postacią swoją: wzniosłą, topolową, uprzejmością oblicza, gościnnością w przyjęciu, przypominał tak rzadkie wizerunki przodków naszych, tak się nie odrodził duszą i myślą.

Poświęcony zawodowi prawniczemu, zaczął zbierać wszelkie pomniki do dziejów i literatury krajowej należące, a cały czas wolny od obowiązków, oddawał badaniom historycznym. Owocem tej pracy był *Opis Starożytnej Polski*, i daleko obszerniejsze dzieło w 4 tomach, które w rękopiśmie zostawił: „*Historyczna wiadomość o znakomitych rodzinach Polskich.*”

Dzieło Święckiego nie wykonaniem ale myślą, ważne zajmuje stanowisko w literaturze naszej: zarówno jak *Historja literatury F. Bentkowskiego*; *Dykcjonarz poetów Polskich H. Juszyńskiego*; *pisma W. Surowieckiego, Rakowieckiego, i Chodakowskiego*. Pierwsi zagrzejali młode pokolenie do odgrzebywania pamiątek naszej przeszłości: trzej ostatni zwrócili myśli na Słowian i Słowiańszczyznę pod względem naukowym.

Opis Starożytnej Polski porządnym układem, bogatym w szczegóły odznacza się wielce; ale wiele błędów i uchybień mieści w sobie. Cała wiadomość o Sarmatach i Słowianach należy do tych rozpraw, które dziś niczyjiej zwrócić uwagi nie mogą. *Opis obyczajów* w naszym narodzie, ubioru, mieszkań, pokarmów i napojów, jak siły zbrojnej, niedostateczny, urywkowy, nie może dać wyobrażenia zdrowego o tych częściach starożytności naszych. Sam opis miast, i miejsc ważniejszych, główna treść dzieła, pomijając małe uchybienia w szczegółach, okazuje żelazną pracę tego pisarza, który ją z mnóstwa dzieł wydobywać musiał. Ale wczy-

taniu cięży tu styl chropawy, urywkowy, niewyrobiany a co tym więcej robi go martwym, to wśród tekstu cytacye zkad autor czerpał swoje wiadomości. Niemaly tu brak krytyki w ułożeniu i ocenieniu tych wiadomości. Każdy tu *świadczy* z autorów przywiedziony: czyto mówi *Długosz, Święcicki, Cellaryusz, Bielski, Naruszewicz, Czacki*, lub współczesny samego Święckiego *Surowiecki*.

Mimo tych błędów, mimo braku życia w stylu, w tej martwości zgromadzonych szczegółów: jest w tém dziele pewien powiew łagodny, który rozchmurza czoło znużonego cytatami czytelnika. Szlachetna to i poczciwa myśl Święckiego, co wiodła jego rękę, dodała mimowolnie tę cechę dziełu. Uczeń surowego, dawniejszego wychowania, kształcony na wzorach klassycznej literatury, nie śmiał nigdzie dozwolić swobodnego pobujania myśli, a chociaż czuł żywo, choć biło jego serce uczuciem: tłumil je w sobie, przydławił, aby nie uchybić jak mniemał, poważnym szrankom w jakie wstąpił. Nie śmiał sam kroku stąpić, aby zaraz świadectwem czyjem nie poparł. A mimo tej bojaźni czy skromności, znajdziesz kilka ustępów, w których nie mogącemu powściągnąć szlachetnego uczucia, wyrывa się okrzyk boleści i żalu; i te właśnie miejsca są jedynemi co najwięcej zajmują, bo w nich bije źródło życia.

Dzieło Święckiego już celu swego dopięło: myśl przeszła w czyn, bo za jego przewodem, pod sztandarem który rozwinął, stanął niemaly zastęp pisarzy, co różne okolice obszernego królestwa i pojedyncze miasta opisali. (*)

(*) P.P. Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński, w wydawaném poszytami dziele „*Starożytna Polska*“ pojęli dobrze, że przerabianie dzieła T. Święckiego na nic się teraz nie przyda. Bo jak powiedziałem, „*Opis Starożytnej Polski*“ potężną ma zasługę myślą tylko, a nie wykonaniem. Nie dziwujmy się uchybieniem w dziele Święckiego; on sam dobywał szczegóły miast sławnych: po nim dopiero Ambroży Grabowski, Siarczyński, Hipolit Gawarecki ogłosili pisma swoje opisujące różne strony: a później daleko PP. Michał Baliński, J. Łukaszewicz, J. Kraszewski, T. Lipiński, A. Przędziecki, i inni z bogacili tę gałąź literatury naszej.

Umarł Święcki dnia 5 września 1837 w Busku, gdzie przebywał dla poratowania zdrowia.

K. Wł. Wójcicki.

Wiadomość o życiu i pismach

JANA OSTROROGA WOJEWODY POZNAŃSKIEGO.

Jan Ostroróg urodził się dnia 13 stycznia 1565 roku. Miał ojca Wacława kasztelana Kaliskiego, matkę zaś Zofią hrabiankę z Tęczyna, jak sam w swoim rodowodzie, *gene-thliacon* zwanym, wspomina, bardzo cnotliwych rodziców, którzy go pilnie zaraz od samej kolebki do wszelkich dobrych obyczajów i pięknych cnót chrześcijańskich ustawicznie skłaniali i zachęcali. Tak tedy w latach jeszcze dzieciennych przyjąwszy szczęśliwie w progach rodziców swoich czyste i gruntowne zasady dalszego postępowania swojego, jako też i początkowe nauki; posłany został do akademii Zamojskiej owemi czasy wielce naukami w królestwie Polskiem słynącej.

Tu, pod przewodnictwem świątłych nauczycieli, a szczególnie troskliwego Szymonowicza, przy wielkiej nadto pracy i zdatności swojej; znakomity w krótkim czasie, w naukach i umiejętnościach, jak późniejsze czyny i pisma jego dowodzą, uczynił postępek.

Po śmierci ojca, niedługo po roku 1579, przeniósł się Jan Ostroróg, dla zbogacenia wyższemi naukami swego umysłu i ukształcenia serca na dworze królewskim, do stolicy Polskiej, miasta Krakowa.

Tam poznawszy się dobrze, i ścisłą przyjaźń zawarwszy, jak sam w liście do synów swoich, ze Lwowa pod dniem 24 września 1615 roku pisany, powiada, z kapłanami *Krzysztofem Warszewickim*, znakomitym natenczas teologiem, *Piotrem Skargą* kaznodzieją królewskim, *Janem Konarskim* i *Janem Paneckim* członkami zgromadzenia Jezusowego; poświęcał więcej czasu na czytanie książek duchownych, a szczególnie Biblii którą miał pod ręką, bo ta owych czasów na trzech się tylko, jak pisze Sarnicki w x. 6, znajdo-

wala miejscach: to jest: u króla, u arcybiskupa, i w domu Ostrorogów.

Zwiedził kraje Niemieckie, Francją i Włochy, bawił przeszło rok w uczonej Bononii dokąd później i synów swoich na nauki wysyłał, wrócił potem szczęśliwie do Polski, i zawarł związek małżeński z Katarzyną Mielecką, córką wojewody Podlaskiego i wielkiego hetmana koronnego Mikołaja Mieleckiego, wszelkich cnót pełną, a nadewszystko wielkiej pobożności, i, jak pisze Niesiecki, litości panią.

Ta mu w krótkim czasie powiła dzieci dwoje: córkę Zofią która potem była za Czarnkowskim starostą Osieckim, i syna Mikołaja później starostę Drohowickiego i Kochatyńskiego.

Został najprzód podczaszym koronnym, potem wkrótce kasztelanem Poznańskim, naostatek wojewodą Malborskim i Garwolińskim, piastując z godnością i pożytkiem tak dla monarchy jak dla kraju, takowe godności. Przeciwko Beklebergowi pięćset walecznej jazdy, swoim kosztem wystawionych, do obozu przyprowadził: innych zaś także czasów, kiedy sam osobiście stawić się nie mógł, znaczny zawsze oddział uzbrojonych i zdatnych ludzi do boju wysyłał.

Byłto mąż wysokiego dowcipu, głębokiej biegłości, wielkiej powagi, prawdziwej pobożności, i nadzwyczajnej we wszystkich czynach stałości i sprawiedliwości. On właśnie pierwszy z całego domu Ostrorogów wrócił na łono Rzymsko-katolickiego kościoła.

„Vir acumine ingenii, eruditione, pietate et in rebus tractandis dexteritate illustris, primus fere ex ea gente, quam prope totam haeresis afflavit, magno judicio res ecclesiae catholicae doctrinamque ac haereticorum expendens, sese retraxit ad orthodoxam religionem, cujus animose defensae, et pietatis argumenta plurima reliquit posteris“ tak o nim pisze *Cichor. alloq. Osec. libr. II, cap. 14.*

W dobrach swoich dziedzicznych, wiarę katolicką, gdziekolwiek ją rodzice jego rugowali (pisze Niesiecki), znowu jako dawną wprowadził, i sam w niej wszystkich swoich poddanych, sług, dworzan i dzieci własne, jużto nauką, już też dobremi przykładami oświecał, wzmacniał i utwierdzał, kościoły przywrócił, ozdobił i uposażył; klasztor Sokalski,

(teraz w Galicyi Austryackiej będący) i kościół O.O. Bernardynów fundował, atoli śmierć mu dokończyć tej fundacyi nie dozwoliła; klasztorowi Częstochowskiemu wiele świadczył. Takie miał szczególniejsze nabożeństwo do Najświętszej Panny Sokalskiej i Częstochowskiej, iż pomimo kilkokrotnego corocznie tych miejsc odwiedzania, napisał w Poznaniu w roku 1612 dwie dosyć obszerne w języku Łacińskim modlitwy, *rotivae tabellae*, jak w rękopiśmie jego czytałem, zwane, i takowe, na blachach miedzianych wyrte, na te dwa miejsca przesłać kazał. Był w wielkiem poważaniu u króla Zygmunta trzeciego, iż mu ten edukacją synów swoich zlecił. Do rokoszanów i związkowych zażywał go tenże król w poselstwie, aby swój ojczyzny nie trapili, do których, jako też i do senatu Ostroróg miał piękną czułą i obszerną mowę w języku Polskim roku 1613 w Lublinie napisaną, o której poniżej wzmiankę uczynimy.

Po śmierci Katarzyny Mieleckiej pojął Jan Ostroróg za małżonkę Zofią xiężniczkę Zasławską siostrę Alexandra Kijowskiego, i miał z niej dzieci pięcioro: trzy córki, pierwsza Anna dożywotnie zmówiona z Janem Jabłonowskim miecznikiem koronnym; druga Elżbieta za Alexandrem Piaseczyńskim kasztelanem Kijowskim; trzecia za Sierakowskim Dołęgą, pisarzem polnym koronnym, synów dwóch: starszego Stanisława, który w dwunastym roku życia swego został, za dyspensą stolicy Apostolskiej na prośbę Piotra Tylickiego biskupa i całej kapituły Krakowskiej, kanonikiem katedralnym także Krakowskim, i najmłodszego Jana.

Pomimo licznych zatrudnień gospodarskich, pomimo wielu i wielkich urzędów w Rzeczypospolitej natenczas chlubnie i pieczołowicie sprawowanych, nie zapominał także, o dobrem wychowaniu swoich dzieci: synów po skończeniu w kraju nauk w akademii Krakowskiej i Zamojskiej wysłał do Bononii. Ciągłemi pracami gospodarza i ojca w domu, ważnemi usługami ku Rzeczypospolitej zużyty a chorobami ciężkimi kilkakrotnie złożony, mając blisko lat 70, umarł i pochowany w Komarnie.

Zostawił Jan Ostroróg liczne pisma, mało dotąd znane, raz dla rzadkości a powtórze że w rękopiśmie dotychczas spoczy-

wają, jużto w przedmiotach ekonomicznych czyli gospodar-
skich, już religijno-moralnych, filozoficznych, politycznych,
historycznych i prawnych. Z tych, chociaż już jedne wy-
szły na widok publiczny, a drugie jeszcze w rękopiśmie zo-
stają; jednakże tak o pierwszych, jako też i o drugich, krót-
ko tu przynajmniej dla wiadomości nadmienię, przytaczając
z nich, a szczególnie z rękopismu, ważniejsze niektóre co
do słowa wyjątki.

PISMA JANA OSTORROGA.

I. *Ekonomiczne czyli gospodarskie.*

a). *Kalendarz gospodarski w Polskim języku na hory-
zont Komarzeński pisany*, niewiadomo w którym roku,
ponieważ nie ma umieszczonej daty; zdaje się jednak iż w po-
czątkach jeszcze jego gospodarowania, kiedy publicznemi
urzędami nie był tak bardzo zajęty; to jest około roku 1590.

Zaczyna w nim rok gospodarski od dosiania oziminy,
czyli od pierwszego października; dzieli go na dwanaście
miesiący, wywodzi gruntownie ich nazwiska, i przepisuje po
szczególe, co i jak dobry gospodarz w każdym miesiącu ro-
bić i uskutecznić winien. Polszczyzna w tym kalendarzu,
składającym się z sześciu przeszło arkuszy, czysta; wtrąca-
ną jednak gdzie niegdzie niektóre wyrazy Łacińskie, lecz bar-
dzo rzadko, i już jak mówią utarte. Przytoczę tu dosłownie
konkluzya, jak sam Ostoróg wyraził, tego kalendarza.

„A tu koniec uczyniwszy, zostawuje się ostatek inwen-
cyi i rozsądkowi gospodarza dobrego. To co się napisało,
pilno pamiętać: trafili się to? czego tu nie masz, nie zaniechy-
wać tego, ani na to składać, że tu tego nie napisano. Przy-
padki różne, różnych rad potrzebują, czasy i okazy odmie-
niają siła, których, jako nikt widzieć nie może, póki nie przy-
padną, tak i upatrywać trudno ich zdaleka; na to trzeba ro-
zumu i rady prędkiej, kiedy co przypadnie; a ten nie miesz-
ka chyba w trzeźwej, a niezabawnej głowie. Pijaństwa, to-
warzystwa, gości, handlów, zabawek wszelakich, krom sa-
mych gospodarskich, nie ma sobie czynić ten, kto gospodar-
stwo ma w poruczeniu. Bo te i czas biorą, a ono pilny
gospodarz ledwie ma czas jeść a spać, i to pod miarą; i

rozum albo zalewają, a trzeba go spełna, albo rozrywają, a trzeba całego. Cnoty tedy, rozumu trzeba. Rozum ukaże co czynić, a cnota go pilnuje, żeby ani omieszkiwał, ani go na co inszego nie rozrywał, a najbardziej na jakie swe, jak to zowią franci, na swą stronę przemysły. Bo on ze wszystkim swym zmysłem sługą jest; i niepodobna to jest, żeby kto mógł, sobie służąc, i panu służyć; jedno, z tego dwojga robić trzeba. I pan Jezus dekret swój na to uczynił, że nikt nie może dwiema panom służyć: nikt Bogu, tojest: panu; i mamonie, tojest: własnemu pożytkowi. Nie ma tedy cnotliwy sługa nic o swych rzeczach myśleć, ale wszystek zmysł swój, i czas na pańską posługę obrócić. A pan *in conscientia* (na sumieniu) obowiązany jest takowemu słudze kiedy z niego tę służbę zdejmować będzie; tylki ratunek w nagrodę służb jego dać, żeby z wysługi, na którą samę opuściwszy swe rzeczy, robił, mógł uczciwie żyć do swęj śmierci, i potomkom swym po sobie wysługę ostawić, jeśli długo i cnotliwie służył, i na służbie lata styrał. Bo suchedni (*), suknia i insze rzeczy, nie są nagrodą służby, ale tylko podpory nagości i wczasu, i na te ukazować nie godzi się, chyba takiemu słudze, co nie robił. Gdzie taki sposób między panem a sługą będzie, oba, za błogosławieństwem Boga, wskórają i będą z siebie kontenci. A to się dlatego pisze na tem miejscu, i przy tej, o gospodarskich rzeczach albo raczej czasach, informacyi; iż między sługami nawięcej na tych należy, którzy urzędy jakie 'na sobie noszą; a między temi zaś dwa są najprzedniejsze: do nabywania starosta albo urzędnik, a do szafowania porządny starszy sługa. Otóż iż ten wszystek kalendarz starości, jednemu z tych przedniejszych sług, należy; dlatego ta sług powinność tu się wpisala, gdzie się jednego z najprzedniejszych

(*) Przez suchedni, rozumie tu Ostroróg ordynaryą, czyli żywność, *salarium*. Nazwisko tych suchych dni poszło od soli, którą dawniej we wrześniu na suchedni galarami z Krakowa dla szlachty sprowadzano i bezpłatnie rozdawano; a ta swoim służącym na cały rok na ordynaryą wydzielała, i dlatego sól takowa nazywała się solą suchedniową.

ślug informuje. Taki ma być każdy sługa, ale najlepiej żeby taki był starosta z swemi substytutami, to jest: z pisarzem prowentowym, wójtami, dwornikami, i innemi urzędnikami do pomocy gospodarskiej należącemi. A starszy sługa także ze swemi też pomocnikami, którzy są: pisarz prowentowy, bo ten i do starosty, i do starszego sługi należy, i przezeń się ich urzędy jakoby spinają: kuchmistrz, koniuszy, skarbowy, podkomorzy, klucznicy, stołowi urzędnicy i rzemieślnicy wszyscy, którzy jedno są przy dworze pańskim. O czem wszystkiem i ich powinnościach trzeba kiedykolwiek napisać. Teraz przy tym kalendarzu gospodarskim niech będzie dosyć; w którym aczkolwiek memorial tylko właśnie by miał być, i krótkie jakoby czasów tylko co w który pamiętać i robić, przypomnienie; jednak pomknęło się piórka na niektórych miejscach, że się i nauka dawa: jak co czynić, żeby nie coraz do partykularnych informacji do innych ksiąg biegać.“

b). *„Chowanie zrzebców.”* W Polskim języku, dosyć obszerne, niewiadomo także kiedy pisane; wnosić atoli można, że około tegoż samego roku, w którym i powyższy kalendarz gospodarski był ułożony. Polszczyzna w niem dobra, dla miłośników stadnin bardzo użyteczna. Nadmienia tu Ostroróg jakich klaczy dobierać, w którym je roku i do jakich koni puszczać, żeby się tym sposobem pięknych zrzebców dochować: kiedy je od mleka odsadzać; jakie im pasze z początku, a jakie później, i kiedy dawać; jak opatrywać zimą i latem żeby piękne wyrosły; w którym roku czyścić, żeby z nich mieć dobrych wałachów; jak je i kiedy do jeżdżenia wierzchem, lub ciągnięcia ciężarów przyzwyczajać.

c). *„Zwierzyniec Komarzeński.”* W Polskim języku obszernie napisany, bo zawierający kilka arkuszy, lecz bez wyrażenia dnia i roku: sądzić jednakże z tego należy, że na początku siedemnastego wieku, ponieważ już więcej wyrazów Łacińskich postrzedz w nim można, niżeli w Opisie kalendarza lub Chowaniu zrzebców. Tu wskazuje wojewoda, jak takowy zwierzyniec zakładać i jakie miejsce na niego obierać, w jakiej odległości odewsi, żeby czasem dworscy pacholcy lub też inni ludzie zwierza nie płoszyli, jakie pasze dla niego wybierać i za siewać, jakiego rodzaju w nim zwierza utrzy

mywać, a jakich się chronić należy; jak około nich chodzić i opatrywać w każdej porze roku, i kiedy na kuchnię zażywać. Zwierzyniec jego Komarzeński, składały sarny, jelenie i danielę. Wspomina tu także o wielkim w owych czasach zwierzynce Zamojskim, o znacznej w nim liczbie turów i żubrów. (*)

d). *»O utrzymywaniu win i ich naprawianiu,»* po Polsku.

e). *»O warzeniu czyli gotowaniu ryb wszelkiego gatunku a szczególnie szczupaków, karpia, linów i węgorzy różnymi sposobami.»* W Polskim języku; lecz niewiadomo w którym roku powyższe obadwa przedmioty były napisane.

f). *»Nauka koło pasiek, z informacyi pana Walentego Kąckiego w roku 1612 w Komarnie u mnie Jana Ostroroga wojewody Poznańskiego, spisana, w roku 1614 w Zamościu drukiem ogłoszoną została.»* Niesiecki nadmieniał wprawdzie w swoim herbarzu, w tomie 3 karta 527, o niektórych piśmiach Jana Ostroroga drukiem ogłoszonych, lecz o tej nauce koło pasiek nie wspomina, chociaż ta jest własną Ostroroga pracą. Mówi bowiem na wstępie: *»Sprawa koło nich (to jest pszczół) jaka być ma, a bardzo od pospolitej, jakiej w Komarzeńskiej majętności dotąd zażywano, różną pan Walenty Kącki ukazał: którą mnie dla pamięci urzędników Komarzeńskich, i dla potomków moich, co tu po mnie będą za wolą Bożą gospodarować, zdało się napisać.»*

»A ten wszystek traktat, dzieli się na cztery części.»

»Pierwsza jest, o obejściu pasieczników i ich powinności.»

»Druga, o dobrym rządzie w pasiece, i opatrowaniu pszczół przez wiosnę i część lata, aż do rojów.»

»Trzecia o rojach, i sprawie dobrej koło osadzenia rojów lecie, za którą idzie przymnażanie pasiek.»

»Czwarta, o podbieraniu miodu, i o opatrności koło pszczół przez jesień, o zawarciu na zimę.» Tę naukę bardzo gruntownie napisał, i bardzo zastosował do naszego położenia kraju, jako też klimatu, i to czystą polszczyzną; zawiera ośm arkuszy ściśle drukowanych; pisał także, jak sam dalej w tymże wstępie wzmiankę czyni, informacją względem

(*) Zob. Bibliot. Warsz. z r. 1843 T. 3, str. 135.

zwożenia dziesięcinnych ulów do pasiek, którą poddani dworowi składać winni; lecz ja tej nie czytałem.

II. *Pisma religijno-moralne.*

a). Napisał trzy *deklamacye* w języku Łacińskim w roku 1610, dosyć obszerne, dla syna swego młodszego, Stanisława, który takowe, będąc już klerykiem w dziewiątym roku życia swego, publicznie w Lublinie w kollegium Zgromadzenia Jezusowego deklamował, z największém zadowoleniem, jak sam w życiu jego pisze, wszystkich słuchaczów. Łacina w nich gładka i czysta, styl łatwy, piękny i jasny, okresy starannie wypracowane, myśl dobra, gdzieniegdzie wzniosła, a nadewszystko do jednego celu zawsze zmierzająca.

Pierwsza z tych trzech deklamacyj, jest o życiu duchowném: wystawia w niej najprzód ojciec ustami syna, jak rozlicznemi sposobami Bóg do różnych stanów ludzi powoływał; opisuje potem jego zaraz w niemowlęctwie cudowne natchnienie i powołanie do stanu duchownego, jego ustawiczną pobożność, chęć i nieprzełamaną dążność do tego zamiaru, wykazuje ileto stan duchowny przyczynia się do pomnożenia chwały Boga, do dobra kraju, do szczęścia i zbawienia wszystkich ludzi tak w tém jako też i przyszłym życiu, wylicza jaką ma moc i władzę od Zbawiciela sobie udzieloną; prosi nakoniec wszystkich, na tem zgromadzeniu obecnych, o pobożne do Boga za nim modły, iżby go w tym zamiarze litościwie utwierdzać raczył.

Druga o miłości braterskiej: przytacza w niej z historyi różnych narodów a szczególnie z Pisma ś. wiele i ważnych przykładów: jak trudno należeć prawdziwą przyjaźń i miłość pomiędzy braćmi, zwłaszcza wtenczas, kiedy im idzie o majątki, wziętość, godność, urzędy, i inne świeckie a doczesne rzeczy; lecz on, będąc daleki od tych wszystkich próżności, największą ku braciom swoim zawsze pała miłością, i od nich także wzajemnie jest miłowany. Za co Bogu nieskończone dzięki składać będzie.

Trzecia o pijaństwie: podobnież i tu, przytoczywszy wiele lecz okropnych przykładów, tak z ojczystych dziejów jako

też innych narodów i Pisma ś. wystawia najnieszczęśliwszym takiego człowieka, który się tej obrzydłej przed Bogiem i ludźmi wadzie oddaje; wylicza jak wielu nagłą i zgubną śmiercią przez pijaństwo, z tego świata zeszło, zostawując nędzne po sobie potomstwo, i długie narzekanie, płacz i zlorzeczenie. Upomina w końcu, prosi, błaga i zaklina wszystkich, a szczególnie młodych, iżby się od wszelkich trunków jak najbardziej zawsze wstrzymywali.

b). *Dwie modlitwy*, pierwsza do *Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej*, druga zaś do *Sokalskiej* w roku 1612 w języku Łacińskim zwane, *rotivae tabellae*, które później kazał Jan Ostroróg na blasze miedzianej wyrycić, i na te cudowne miejsca przesłać, a których treść już wspomnieliśmy w życiu jego.

c). W tymże roku 1612 napisał nagrobek Stanisławowi Gomolińskiemu najprzód Kamienieckiemu, potem Chelmskiemu, nareszcie Łuckiemu biskupowi, mężowi pełnemu cnót i zasług w ojczyźnie, w języku także Łacińskim.

d). Napisy w języku Łacińskim umieszczone na trzech obrazach, wystawujących bitwę z Krzyżakami, Władysławowi czwartemu, królowi Polskiemu ofiarowane, lecz niewiadomo w którym roku.

Pierwszy obraz wystawiał stojące dwa wojska, do boju uszykowane, i króla słuchającego w namiocie mszy ś.

Drugi, posłów Krzyżackich ofiarujących ze wżgardą królowi, dla przedszego rozpoczęcia bitwy, dwa miecze, które on z zimną krwią i prawdziwie chrześcijańską pokorą przyjmuje.

Trzeci, okropną bitwę, i śgo Stanisława biskupa patrona Polskiego, ukazującego się w obłokach w czasie walki, nakoniec wielkie zwycięstwo Polaków.

III. *Pisma filozoficzne i polityczne.*

List pod tytułem *epistola admonitoria* (napominający) do synów swoich, Mikołaja i Stanisława, sześć arkuszy druku zajmujący, w języku Łacińskim, roku 1615 dnia 24 września we Lwowie datowany, i tamże pod tym samym rokiem na widok publiczny wydany. Prócz nauk teologicznych i obro-

ny duchowieństwa, szczególnie zaś zgromadzenia XX. Jezuitów, jako też zbijania fałszywych-paszkwilów, które na nich wtenczas w Hiszpanii wydano; zawiera najpiękniejsze i gruntowne rozumowania tak w przedmiotach filozoficznych, jako też i politycznych; dowodzi w nim jak religia i cnota, przy dobrej naturze, połączona ściśle z naukami, czynią szczęśliwym każdego człowieka; jak się każdy a szczególnie mlody w polityce kształci i gdzie jej nabywać winien. Wskazuje w końcu synom swoim, i zachęca ich do czytania dzieła Jana Zamojskiego wielkiego niegdyś kanclerza i starosty gieneralnego, które on, o wychowaniu i ukształceniu szlachetnej młodzieży na dobrych polityków i rządzców kraju, napisał.

IV. *Pisma dydaktyczne czyli nauczające.*

a). Z pism powyższego rodzaju, zostawił nam Jan Ostroróg list także dość obszerny w języku Łacińkim, zachęcający do zamilowania nauk syna swego starszego Mikołaja natenczas w akademii Zamojskiej zostającego; w Komarnie dnia 3 grudnia 1606 roku pisany, który w roku 1616 w Nis-sie drukiem ogłoszony został.

b). Pisał także i do Szymonowicza, nauczyciela swoich dzieci, z Komarna pod tymże dniem i rokiem co i powyższy list, lecz w języku Polskim; który ponieważ, jak mi się zdaje, nie jest drukowany, przeto go tu cały, codosłownie umieszczam; zwłaszcza że się ściąga do tegoż przedmiotu, co i poprzedzający.

»Mój łaskawy panie Symonides:»

»Mój żak gabnął mię łacina, listek napisawszy do mnie Łacińskim językiem. Powiada on że się sroma, żakiem będąc albo uczciwiej mówiąc studentem Zamojskiej akademii pisać do mnie po Polsku; i dlatego tak długo nie pisał, że po łacinie nie mógł, a po polsku się sromal; aż teraz mając już tyle łaciny, a to się ośmielił. Myślałem odpisać mu po polsku, powiedziawszy, że tego, czego to on niedawniuczko nie umiał, jużem ja zapomniął; i jako on z akademii po polsku pisać nie śmiał, tak i ja, od pługa i grabarek. gdzie się często błotem pluskam, pluskać łacinami nie byłbym powinien. Ale się rozmyślił; jedna niech wi-

dzi i to, że się i ja uczył z młodu; druga, co weń wma-
wiam, że nauki wieczne rzeczy są, i ani śmiercią końca nie
mają; żeby wieział ze i mnie nie obmierzły, i nie odbiegły mię;
choć on pewnie przez swoje dzieciństwo w domu mym ode-
mnie chowany, xiąg w ręku mych nie widział, chyba w mi-
nucie; i to dla daty jakiego listu. On, że głupszy niż ja, mo-
że ważyć wysoko to moje pisanie: Waszmość sobie tam na
rozumach zasiedli, odpuscicie jeżeli się ładającej pisało, już
tam Waszmość umiecie, co to ustawicznie w ręku piastujecie.
A przecie Waszmość, jako mój przyjaciel, i Mikołaja mego
nauki sprawca i director, wziąwszy z tego mego liściska oka-
zają, możesz tym potężniej weń wmawiać to, w czem go ja
tam upominam, przydawszy ze swego co najwięcej, bo tego
dał pan Bóg Waszmości siła. Bądźże Waszmość łaskaw.
Z Komarna 3 grudnia 1606. Waszmości życzliwy przyjaciel
i sługa. Jan Ostrorog kasztelan Poznański etc. etc.»

c). *Myślistwo z ogary, w Polskim języku w roku 1618
napisane*, ofiarowane Władysławowi królewiczowi Polskiemu
i Szwedzkemu, jak sam Ostroróg pisze w swojej przedmowie:
»Ja będąc zawsze myśliwym z młodu, ze starszemi myśli-
wcami przebywając, com od nich słyszał, i com za doświad-
czeniem obaczył, tom sobie spisował. Potem za żądaniem
dobrego towarzystwa, przed lat dwudziesto kilkiem, spisałem
był tego niemało, a osobliwie te co teraz xięgi pierwsze i
wtóre o ogarach, gdyż to jest ze wszystkich myślistwo naj-
przedniejsze, i tak to leżało odłogiem, dobrzy towarzysze
czasem to przepisowali sobie. Wydano też było kawalek te-
go w druk w Krakowie. Aż teraz kiedym przeszłego lata
był u dworu Jego Królewskiej Mości, siostrzeniec mój Jego-
mość pan Sapieha marszałek nadworny Litewski czytając te
pisma u mnie, chciał to mieć po mnie, abym ostatka dopi-
sał i uczynilem to zaraz kwoli Jego Mości. A iż do mnie
od wszystkich myśliwych, jał być wielki o te książki nacisk.
a przepisywać je coraz, ciężka rzecz była, i nikiemnością
pisarzów złych, bardzo się fałszowały, naniysliłem się daro-
wać je drukiem, i zbawić siebie tylko niewczasu, a książ-
kę pofalszowania. Oddawam tedy tę pracę moję Waszej
Królewskiej Mości, myśliwy stary sługa. Proszę, racz przy-

jąc z miłościwą łaską, w którą najniższe służby me zalecam. Dan z Komarna 6 februarii 1618. Waszej Królewskiej Mości pana mego miłościwego najniższy sługa Jan Ostrorog wojewoda Poznański.»

Myślistwo to powtórnie ogłoszone było drukiem w Krakowie, in 4to, w roku 1649. Dzieli się na trzy części.

Pierwsza księga: o chowaniu ogarów.

Druga: o pięciorakiem misterstwie czyli rzemiośle po którym je przezywamy, tojest: przejemca, popądzca, gońca, wyprawca, i poprawca.

Trzecia: o myśliwcu i jego powinnościach. W której zawiera się także nomenklatura ogarów, i nawiązanie trąby myśliwczej. W tym traktacie, dla myśliwych bardzo pożytecznym, szkoda że nie wspomniał nigdzie o myślistwie Xenofonta, chociaż je zapewne czytał.

d). *Nauka o szachach*, obszerna, w Polskim języku, przełożona z xiąg Damiana Portugalczyka, z uwagami Rui Lopeza Hiszpana na też xięgi wydanemi. W którymby roku pisał tę naukę, niewiadomo. Zawiera w sobie przewiska szachów, reguły, sposoby grania rozmaite, szachownice, i kto tę grę wynalazł. Przytoczę tu, co pisze o wynalezieniu gry powyższej.

»Pisząc Damian o tych rzeczach, wspomina opinie o wynalazcy szachów: i naprzód pisze: że jedni rozumieją, że je król Xerxes wymyślił, i że je ztąd w Portugalii i Hiszpanii zowią, *a xedres*, jakoby *a xerxe*; potem i drudzy rozumieją, iż w głodzie wielkim będąc dwaj bracia Lidius i Tyrennus, wymyślili tę grę, żeby swęj biedy zabywać, które grając pisze on, iż dość mieli na tém, kiedy we dwóch dniach trzy razy jedli, acz ja rozumiem że to niewielka niewola była, jeść (trzy razy we dwóch dniach. Jakób Stety wielki szach mistrz, który tu w Polsce spisał był szachowe książki bardzo foremne napisał to był w prefacy, że jest opinia, że je był król Salomon wymyślił; ale te wszystkie rzeczy gruntu nie mają. To pewna że je wymyślił ktoś niegłupi, ale próżnujący; jako i to że żaden który ma co na swęj głowie, o czem myśleć musi, i jest powinien, dobrze szachów grać nie może, by je najlepiej umiał, bo ta gra po-

trzebuje, aby żadnej distrakcyi głowanie miała, i jest gra właśnie ludzi próżnujących. To też pewna, ten który pierwszy stąpi, jeśli nie pobłądzi, wygra pewnie zawdy.»

V. *Pisma historyczne.*

a). *Wojna Wołoska czyli dziennik wojny Tureckiej w Wołoszech*, ogłoszony drukiem w Poznaniu in fol: w roku 1622.

b). *Rodowód* swój krótko w języku Łacińskim, w roku 1612 w Poznaniu napisany, zostawił o którym wspomniało się w opisie życia jego.

c). Mowa sejmowa przed samą konkluzją sejmową miana, kiedy pod konfederacją żołnierską krótki sejm złożony, zawiązał się był na rozerwanie: w roku 1613 w Lublinie, za nastawaniem przyjaciół jego, jako sam wyznaje w języku Polskim spisana dosyć obszernie. Miał ją, jak wspomnieliśmy także w życiu jego, do rokoszan, do związkowych, jako też do wszystkich stanów. Dowodzi w niej najwięcej z wypadków historycznych, ileto razy kraj dla niezgód domowych w niebezpieczeństwie już zostawał, ile trzeba baczości, ile starania, żeby go zasłonić. Prosi nakoniec wszystkie zgromadzone stany, żeby nietylko dawnych podatków, dla utrzymania wojska koniecznie potrzebnych, nie zmniejszały, ale nawet własnymi szkatuły, już podupadły, ratowały.

d). *Opisanie historyczne życia, śmierci i cudów syna swego młodszego Stanisława Ostroroga* najprzód kłeryka, a potem kanonika katedralnego Krakowskiego, o którym w życiu ojca już także wspomnieliśmy, zawierające przeszło pięć arkuszy. Łacina piękna, jasna i gładka; rzecz dobrze prowadzona, tak, iż czytając opisanie tego życia zdaje się, że się czyta Korneliusza Neposa. W którymby roku było pisane? niewiadomo; wnosić jednak z pewnością można, że w krótkim czasie po śmierci tegoż syna, która w roku 1616 nastąpiła.

e). *Historia cudownego obrazu Matki Boskiej Sokalskiej* w języku Łacińskim pięknie napisana; bez wyrażenia dnia i roku.

omyłka
f). Opisanie historyczne chorób swoich zostawił w Polskim języku, w roku 1819. Przytoczę tu wstęp tegoż opisanja:

„*Virga tua et baculus tuus ipsa me consolata sunt.*“

Ilekroć Pan Bóg wszechmogący na doczesnych rzeczach ludzi karze, zawdy karania swoje pociechami kończy. Jako ojciec, który dziatki swoje karze dlatego, aby ich naprawił, i do dobrego końca nawodził. I ktokolwiek ukarania. Boże z pokorą świętą i dziękowaniem przyjmuje, nieomylny Pan Bóg w obietnicach swoich, w wielkie mu pociechy obraca. Czego iżem ja sam na sobie w tym roku nieladajako doświadczył; dlatego aby przykład dobrośliwości Bożej namnie pokazany, milczeniem w niepamięć nie przeszedł, a najbardziej aby dziatki moje po śmierci mej zostawszy, mieli ten przykład w wiadomości swęj; unyśliłem wszystko, cokolwiek z łaski swęj świętej Pan Bóg ze mną czynić raczył, krótko napisać.“ Dalej opisawszy swoje choroby, dziękuje doktorom: *Adamowi Majerowi swemu nadwornemu i Pawłowi Katerli królewskiemu*, który z rozkazu monarchy, ciągle przy nim w tej słabości niebezpiecznej bawił. W końcu mówi: „Z łaski i miłosierdzia Pana Boga wszechmogącego, niebezpieczeństwa zdrowia mego ustaly, który oto mnie jeszcze grzesznemu czasowi do pokuty użyzyć raczył, i nie dał ubogich dziatek osierocić.“

VI. Pisma prawne.

a). Do pism tego rodzaju, liczyć się może *przywilej Żydom Poznańskim w języku Łacińskim* obszernie napisany, i ściśle w owych czasach do praw krajowych, jakoteż zwyczajów i obyczajów zastosowany; łacina w całym tym przywileju czysta i gładka. Niewiadomo jednak w którym roku, ponieważ w rękopiśmie data opuszczona; to tylko pewna, że w *Garcolinie* był wydany.

b). *Exordium czyli początek* dawnego testamentu, który uczynił, jak sam wyraża na sejmie Warszawskim dnia 4 miesiąca czerwca 1607 roku, w Polskim języku; do którego dodał w r. 1612 to, co czas zmienił, albo też czego tam napisać zapomniął. Przytoczę tu ostatek tego dodatkowego

testamentu; gdzie o wychowaniu swoich dzieci 'pisze: „A iż mi Pan Bóg dał córek dwie maluszków, jeśliby je Pan Bóg osierocił, żebym ich ani ja, jako ojciec, ani matka wychować nie mogła; nakoniec ani starsza siostra, która już jest zamężna; tedy uważywszy osoby panów przyjaciół moich i domu naszego; niechaj ci co będą wtenczas następcami, bliżsi powinni, wejrzą w stary mój testament, i niech się z wychowaniem młodszych córek przystosują do tego, jakom ja był kazał starszą tam, gdzieby mi był pan Bóg samemu doczekać tego nie dał, wychować. Syny młodsze, jako bracią swą, niechaj pan Mikołaj, syn mój starszy, wychowywa; ma lata, ma i świeżą pamięć jakom go samego chował. Żyw pan Symonides (*), tego się radzić; jest xiądz Jurecki, który samego uczył i chował. Nie zawadzi i koło tego wejrzeć w stary testament. Także i okolo majątności i oprav małżonki mej odmienił czas to i owo, i jużem sam niektóre rzeczy odprawił, ale przecię znajdzie się to, co się przygodzi *per modum consilii*. W Komarnie, 1612.“

Na tym testamencie kończą się pisma Jana Ostoroga, którem wszystkie w rękopiśmie, wyjąwszy traktat o pszczołach, bo ten drukowany, znalazł w jednej księdze porządnie oprawnej w bibliotece hrabi Józefa Krasieńskiego w Radziejowicach.

X. A. Załęski.

Chimiczny rozbiór herbaty.

Nieraz zadajemy sobie pytanie, co może zawierać kawa, herbata, kakao, że człowiek tak prędko je polubia, i przyzwyczajają się do nich? Po chwilowem rozważeniu, znajdujemy gotową odpowiedź: kaprys i nic więcej... pierwiastki podniecające... nowy środek drażnienia nerwów, istoty lek-

(*) Tak zwano Szymona Szymonowicza, sławnego sielankopisarza naszego.

ko-narkotyczne.... Bez wątpienia, odpowiedź wyborna, bo i medycyna, zajrzawszy w składy swojej nauki, zawyrokuje podobnie. Gdy jednakże zastanowimy się nieco, postrzeżemy że w tem nie kaprys, nie wzgląd na pierwiastki podniecające, lecz zachodzić musi jakiś ścisły związek z pierwszemi warunkami życia; inaczej człowiek nie okazałby takiego pociągu do kawy, herbaty, i kakao, mając pod ręką tysiące innych pobudzających istot, z lepszym smakiem i większą działalnością.

Frank, Brande, Molder, Steinhouse, i w ostatnich czasach Peligot w Paryżu, robili chemiczny rozbiór tych trzech istot. Ich odkrycia doprowadziły do nader ciekawego faktu, że kawa, kakao, i herbata zawierają w sobie czystą krew, i to w większej daleko ilości aniżeli inne owoce, liście i płody używane na pokarm.

W kawie, kakao i herbacie, człowiek szuka dla siebie swojej treści tojest krwi, i dlatego tak namiętnie je lubi.

Człowiek, jego mięso i ciało, składa się z dyamentu, albo co na jedno wychodzi, z ołówka (węglika żelaza), wody i saletry, czyli mówiąc uczeniej, z węgla, wodorodu i azotu, siarki, fosforu, wapna i innych soli.

Krew, jestto ciekłe mięso, płynne ciało człowieka. W krwi znajduje się szczególniej fibryna, białko i pierwiastek serowy, trzy pierwiastki różne na pozór, lecz w istocie jednakie, tylko bowiem pozornemi odmianami zasady całej organicznej materji, *proteiny*, będące.

Do składu *proteiny* wchodzi: czysty węgiel (w 40 częściach), wodoród (w 12 częściach), i azot (w 10 częściach). Dodatek mniejszej lub większej ilości siarki, żelaza i niektórych innych soli, zamienia ją na *fibrynę*, białko i pierwiastek serowy, których mieszanina ukazuje się w żyłach naszych pod postacią krwi.

Żadna istota nie może służyć dla ciała naszego za pokarm odżywny, jeżeli do składu jej nie wchodzi *proteina* pod postacią fibryny, białka i pierwiastku serowego.

Wszystkie ulubione przez człowieka rośliny, zawierają w sobie większą lub mniejszą ilość tych pierwiastków, przygotowanych dla krwi jego przez siłę żywotną roślinną: naj-

więcej obfitują w nie ziarna kawy i kakao, a liście herbaty, zawierają więcej jeszcze aniżeli dwa pierwsze.

W liściach herbaty, oprócz małej ilości żelaza, siarki i różnych soli, które w krwi naszej napotykamy, znajdujemy przy rozbiornie chemicznym, dwa główne pierwiastki; jednym jest olejek lotny pachnący, który nadaje herbatie szczególny aromatyczny zapach, drugim istota biała krystalizująca się, nazwana *teina*, do której składu wchodzi: węgiel, wodoród, kwasoród i azot w stosunku tym samym jak w proteinie, a stąd jak i we krwi naszej.

Tenże mają skład ziarna kawy, kakao i tak ulubionej przez Brazylijczyków *gwarany*. Istotę krystaliczną otrzymywaną z rozbiornu kawy, i inną z rozbiornu kakao, tylko dla odróżnienia, osobnemi, tamtę, *kofeiny* tę *teobrominy* (*), nazwiskami oznaczono. I one, i *teina* jednakowyż skład mają, to jest wszystkie są tem samym ciałem, wszystkie więc podciągniemy pod jedno, *teiny*, nazwisko. *Teina*, otrzymywana przy rozbiornie chemicznym liści herbaty, nie znajduje się w nich pod postacią oddzielnego pierwiastku. Te piękne, drobne kryształki nie czem są innem, tylko fibryną, białkiem i pierwiastkiem serowym znajdującemi się w liściach, rozpuszczonemi w wodzie, i do skryształizowania się zdolnemi, chociaż nie są ani metalami, ani solami.

Ztąd i stosunek węgla, wodorodu, kwasorodu, i azotu w kryształkach, jest tenże sam co we wspomnianych trzech pierwiastkach, które więc nie czem innem, tylko są oczyszczoną i skryształizowaną krwi zasadą.

W miarę udoskonalenia sposobów na otrzymywanie teiny, ilość jej w liściu herbaty okazuje się coraz większą. Molder w różnych gatunkach herbaty, tylko $\frac{1}{3}$, Steinhause więcej niż jedną a Peligot do 8 części teiny na stu herbaty znajdował. Już przeto wiele otrzymano tej istoty azotycznej, lubo daleko jeszcze do tego aby rzeczywistą ilość jej odkryć,

(*) Wszystkie te nazwiska poszły od systematycznych w botanice imion tych roślin, z których mamy kawę (*Coffea arabica*), kakao (*Theobroma cacao*), herbatę (*Thea bohea*).

bo dotychczasowe sposoby w tej mierze, są niedostateczne. Łatwiej i z większą pewnością można oznaczyć ilość azotu znajdującego się w jednym listku. Peligot odkrył go więcej aniżeli 9 na sto, w gatunkach lepszych.

Żadna roślina z liczby tych, które dotąd były przedmiotem badania chemii, nie przedstawia tak wielkiego stosunku azotu, który jest główną zasadą pożywności. Ziarna pszenicy i żyta, wydają go tylko 4 na stu częściach.

Ponieważ azot w składzie *fibryny, białka i pierwiastku serowego* zajmuje piątą część ich objętości, porównywając więc ten stosunek z azotem zawartym w liściach herbaty, wnieść należy że te mieszczą w sobie czterdzieści pięć na sto istot azotycznych a mianowicie fibryny, białka i pierwiastku serowego; w innych zaś słowach powiemy że prawie połowę listka herbaty, stanowi czysta krew człowieka.

Pijąc jednakże herbatę, nie przyjmujemy w siebie całej ilości istot azotycznych w liściach jej zawartych. Ciało nasze przyswaja tylko tę część tych istot, która w ciągu krótkiego czasu, przez jaki liście herbaty w gorącej wodzie zostają, mogły się w niej rozpuścić; reszta pozostała w liściach, wraz z nimi się wyrzuca. Idzie jednak o wiadomość, jak wiele w odwarze liści herbacianych znajduje się zasady pożywnej.

Zależy to najprzód od mocy naciągnięcia, i od rodzaju liści; herbata zielona której liście są starsze i bardziej rozwite, więcej odstępuje wodzie swych pożywnych pierwiastków aniżeli czarna: podług Peligota dosyć mocny roztwór herbaty, zawiera w sobie około 38 do 40 na sto, tego pierwiastku.

Po odparowaniu podobnego roztworu do suchości, otrzymamy na dnie naczynia w proszku około $4\frac{1}{2}$ na sto azotu, co stanowi $7\frac{1}{2}$ na sto teiny, a $21\frac{1}{2}$ na sto białka, sera i fibryny.

Liście herbaty, moczone w gorącej wodzie do tego stopnia, że swych pierwiastków już jej nie ustępują, zawierają w sobie jeszcze $4\frac{1}{2}$ na sto azotu.

Nalawszy na takowe liście gorącego potażu gryzącego, roztworzonego wodą, otrzymamy dość silny roztwór koloru cynamonowego; po dodaniu kilku kropel kwasu, tworzy się w nim obfity osad, który podług doświadczenia Peligota, nie

czem jest inném jak pierwiastkiem serynym, który w składzie swoim zupełnie jest podobny do sera wchodzącego w skład mleka kobiety.

Kirgizi, Mongolowie i mieszkańcy Kaszmiru, listki herbaty już wymoczone w wodzie gorącej, gotują z mąką i masłem, a tym sposobem i te szacowne ostatki spożyć się dają. Cała więc fibryna, białko i pierwiastek seryny znajdujące się w liściach herbaty, w krew ich przechodzą.

Roztwór herbaty takiego stopnia tęgości, w jakim zwykle przyrządzają go w Europie, nie zawiera w sobie całej ilości pierwiastków rozpuszczalnych, które w skład listka herbaty wchodzi; trzecia część zostaje w liściach, i herbata nasza dobrze przyrządzona, zawiera w sobie najwięcej trzy na sto, azotu mieszczącego się w listku, czyli około 15 na sto całej jego fibryny, białka i pierwiastku serynego.

Dodawszy do herbaty cokolwiek mleka, to jest nową ilość sera, a nadto cukru, pojmiemy dlaczego lód jej może zaspościć głód na czas niejaki.

Co się tycze stopnia pożywności, lód herbaty z której my wyciągamy tylko trzecią część jej pierwiastków rozpuszczalnych, będzie wyrównywał 24 lótom najlepszemu gatunkowi zboża, a funt herbaty, wyda nam 4 ry lóty czystej krwi.

Skoro Anglicy wywożą każdodziennie z Chin do 900,000 pudów herbaty, z tego co się wyżej powiedziało okazuje się że za kilka pak opium trucizny, otrzymują w zamian 4,500,000 pudów krwi najlepszego gatunku, i liśćmi temi zastępują 216,000,000 pudów zboża, z czego wypadnie po 8 pudów na osobę.

Wiadomość o własnościach przypisywanych tłuszczom rozlanym na wzburzoną powierzchnię wody. ()*

Powszechném jest prawie mniemanie, że oliwa, oleje i inne tłuszcze wylane na powierzchnię wzburzoną wody, uśmierzają jej fale i czynią ją przezroczystsą; fakt ten, chociaż wsparty świadectwami wielu żeglarzy, a nawet i umyślnie czy-

(*) Porówn. Gazeta Warsz. r. 1839 Nr. 307, str. 6.

nionemi doświadczeniami, dotąd przez niektórych albo zupełnie zaprzeczany, albo na pół z uśmiechem jest przyjmowany.

Jakożkolwiek bądź, fenomen ten ze względu na ważne jego zastosowania w żegludze, i na powagę jaką mu w części nadała ufność pokładana w nim przez różne narody i wielu marynarzy, fenomen ten mówię, zasługiwał na bliższy i dokładniejszy rozbiór. W skutek ogłoszonej rozprawy p. Van-Beeck w przeszłym roku akademii Francuzka i instytut królewski Holenderski, wyznaczyły kommissye do bliższego rozpoznania tego zjawiska i zbadania jego warunków. Niżeli jednak o wypadkach tych poszukiwań namienimy, przejdźmy historycznie różne podania o pomienionej tłuszczów własności. Wiedzieli już o niej, co do oliwy, Grecy i Rzymianie, jak o tém świadczą dzieła Plutarcha i Pliniusza; Arystoteles nawet wskazuje przyczynę tego uderzającego zjawiska, w sposób dowodzący jego przenikliwego i badawczego umysłu. Oleje w tym celu od najdawniejszych czasów były używane przez żeglarzy Holenderskich i Grenlandzkich, którzy zawsze zaopatrzeni w znaczną ich ilość, daleko mniej obawiają się wielkich balwanów morskich, inie jeden ich okręt, jak mówi Van-Beeck, po Bogu, temu tylko sposobowi swoje ocalenie winien.

Zdaje się, że znaną była ta własność tłuszczów oddawna i w Anglii; w tém mniemaniu utwierdza nas stare prawo morskie Brytanii, nakazujące żeglarzom w czasie gwałtownej burzy, gdy konieczna okaże się potrzeba wzniesienia statku przez wyrzucenie części ładunku, zaczynać zawsze od olejów i innych tłustości znajdujących się na okręcie; ustawa ta jednak w zaniedbanie poszła.

Chińczycy dotychczas, dla uproszenia szczęśliwej przeprawy, czynią ofiary opiekuńczym duchom swych brzegów, wylewając na fale oliwę, herbatę i inne napoje. Podobny zwyczaj napotykamy u Ottomańskich żeglarzy, szczególnież też w czasie przeprawy przez burzliwą cieśninę Gibraltarską.

Według Franklina, mieszkańcy archipelagu Indyjskiego zachowują zwyczaj rzucania w morze massy oleistej ze starych kokosowych orzechów, dla uchronienia swych statków od rozbicia. Nakoniec, jako fakt z powyższemi związek mają-

cy, przytoczymy, że poławiający śledzie na wybrzeżach Szkocji utrzymują, iż zdala można rozeznac zbliżające się ławy tych ryb, po spokojnej i wygładzonej powierzchni wody w tych miejscach, czego przyczyną ma być *massa oleista* wydzielana przez te ryby. Pennant świadczy, że rybacy Szkoccy trudniący się połowem morskich cieląt, podobnymże sposobem odszukują miejsca pobytu tych zwierząt, zajętych pożeraniem ryb tłustych.

W wiekach średnich, jak do wielu innych, tak i do tego fenomenu przywiązany był przesąd; zdaje się nawet że kapłani używali go za środek do wzmocnienia powagi swojej. *Canisius* wspomnianą powyżej własność oliwy, liczy do cudów Ś. Edaniasza biskupa, który miał udzielić pewnemu kapłanowi przedsiębiorcemu daleką morską żeglugę, poświęcaną oliwy dla uśmierzenia fal morskich; ofiarowana oliwa odpowiedziała zupełnie przeznaczeniu swojemu, i po wylaniu małej ilości w czasie burzy, morze, według *Canisiusa*, natychmiast się uspokoiło, fale zrównały się, a ludzie wesolo dalszą podróż pędzili.

To zjawisko może także posłużyć za jeden z licznych dowodów, przekonujących jakim sposobem w średnich wiekach teologowie traktowali nauki przyrodzone; jeden z nich, *Majolus*, zaprzecza oliwie wszelkiego nawet prawdopodobieństwa wspomnianej własności, a to dla tej jedynie przyczyny, że w przeciwnym razie ubliżalibyśmy cudowności czynu okazanego przez Zbawiciela na jeziorze *Gienezaret*. Skutki wprawdzie podobne, ale ich przyczyn żadną miarą porównywać nie można, bo prosty fakt fizyczny z Boskiem Zbawiciela słowem, którego wyrzeczeniem uśmierzył burzę, nie ma najmniejszego związku.

Przez długi czas przyznawana oliwie własność uśmierzania fal, nie zwracała na siebie uwagi uczonych; pierwszy dopiero *Benjamin Franklin* gorliwością z jaką chwycił za punkta fizyki, mogące mieć bezpośrednio zastosowanie w życiu społecznym, obudził uwagę uczonych. Podróż, którą odbywał do *Louisburga* z flotą złożoną z 96 żagli, podała mu okoliczność do mnogich poszukiwań, mających na celu wyjaśnienie tego zjawiska. W czasie tej przeprawy, spostrzegł że ślady dwóch okrętów spokojnie prującej powierzchni

wody, pomimo dość silnego wiatru, pozostawały ciągle gładkimi, podczas gdy inne statki silnie były falami miotane; zadziwienie swe objawił kapitanowi okrętu, który z obojętnością zwykłą przy opowiadaniu rzeczy powszechnie znanych, odrzekł: „że zapewne kucharze dwóch tych statków przez rynsztoki okrętowe wyleli pomyje, przez co boki okrętu stały się tłuste.“ Uderzony tą odpowiedzią, Franklin, postanowił zebrać wszelkie wiadomości dotyczące się tak ważnego faktu, i od tej chwili rozpoczął swe doświadczenia, które go upewniły o prawdziwości tego zjawiska. I tyle przyjemności znajdował Franklin w tego rodzaju zajęciach, że zawsze prawie wychodząc na przechadzkę, brał z sobą oliwę w gałkę swej trzciny, aby przy zdarzonej okoliczności mógł z niej zrobić zastosowanie. Doświadczenie uczynione przez niego na stawie będącym w gminie Clapham w okolicy Londynu, rozległej na 4046 metrów \square , pokazało że łyżka oliwy wylana na wodę z tej strony, z której wiatr powiewał, to jest z kąd się fale tworzyły, wystarczała na wygładzenie całej jego powierzchni, tak, że staw jakby lodem był ścięty; spostrzegł jednak Franklin, że oliwa wylana z przeciwnej strony, to jest gdzie fale największej wysokości dochodziły, żadnego nie sprawiała skutku. Podobne doświadczenie uczynił w 1773 roku, na sadzawce w Green-Park w Londynie, w przytomności wielu znakomitych osób.

W tymże samym czasie opat Mann, fizyk, traktował ten przedmiot naukowo, jak dowodzi jego artykuł znajdujący się w aktach akademii umiejętności Bruxelskiej z 1780 roku, czyniąc różne próby na rzece Iperlee, przy brzegach Flandryi, na otwartem morzu, w porcie Nieuport, przy towarzyszeniu różnych okoliczności: i wszystkich tych doświadczeń wypadki zupełnie są zgodne z poprzedzającymi, przez Franklina otrzymanymi. Tak np. 3 łyżki oliwy, wystarczały na wygładzenie powierzchni stawu szerokiego na 10, długiego na 20 sążni, a jedna łyżka wylana w rzekę Iperlee, zniosła wszelkie zmarszczki i fale, na przestrzeni 200 sążni kwadratowych.

W skutek swoich doświadczeń Mann twierdzi, że wylewając oleje na morze z okrętu napadniętego burzą i kieru-

jąc go w jej ślady, można uniknąć niebezpieczeństwa uśmierzeniem fal, zdolnych każdej chwili pograćzyć statek; według niego również zbawienną byłoby rzeczą wybrać olej dla uciśnienia balwanów bijących o brzegi i czyniących je prawie niedostępnymi, wtedy gdy małe szalupy okrętowe zmuszone są dla zaopatrzenia się w żywność i wodę, dobijać do lądu. Podobny projekt w imieniu pewnego marynarza Francuzkiego podał Zach w 1800 roku towarzystwu: „*Société humaine*“ proponując w nim użycie sikawek ogniowych dla ratunku ekipażu z rozbitego okrętu, któremi skrapiając wodę ze znacznej odległości olejem, możnaby dozwalać małym szalupom dobijania do brzegu miotanego burzą okrętu, bez narażenia na ich zdruzgotanie. (2)

Że nie tylko oleje posiadają własność uspokajania fal wodnych lecz i inne tłuszcze, przekonywa nas wiele faktów; przytoczymy tu świadectwo Franklina, który wywiedział się od rybaków, że woda okrążająca statki świeżo smolą wymazane, zawsze jest spokojną, i spostrzeżenie pewnego marynarza Francuzkiego płynącego szalupą z Jamaiki do swego okrętu, w czasie silnie kołyszącego się morza. Marynarz ten z powodu natarczywości balwanów, nie mógł dobić do swego statku, podczas gdy w niewielkiej od niego odległości, fregata świeżo smolą wylana, stała spokojnie na kotwicy, a jej szalupy zdawały się niewzruszonymi.

Drugą własnością oliwy rozlanej na powierzchnię wody, jest że czyni ją zupełnie przezroczystą, tak iż przedmioty pod wodą się znajdujące, mogą być rozeznawane przez osoby nad jej powierzchnią się znajdujące, z taką jak przez nurków dokładnością. Ten przymiot oliwy znanym był już Plutarcho-

(2) W 1837 roku, p. Leeuw czynił doświadczenia na jeziorze Harlein w celu przekonania się o prawdziwości przypisywanych własności olejom; wypadki tych doświadczeń tak są zgodne z poprzednimi, że zbyteczną rzeczą byłoby je tu powtarzać. Nakoniec w przeszłym roku Van-Beeck traktował tenże sam przedmiot, starając się w swjej rozprawie wytłómaczyć te zjawiska na zasadzie fizyki.

wi i Pliniuszowi, a rybacy różnych narodów oddawna szczęśliwie go do swego rzemiosła zastosowali. Tak naprzykład rybacy Gibraltaru, rozlewając oliwę po wodzie i czyniąc ją tym sposobem przezroczystą, poławiają największe ostrzygi na dnie morskiem będące; tegoż samego sposobu używają rybacy wysp Bermudzkich. Rybacy Raguzkańscy bardzo naiwnie miejsca morza, które oliwa uczyniła przezroczystemi, nazywają oknami; przez nie bowiem zaglądną w głębię morską.

Po ogłoszeniu rozprawy p. Van-Beeck, akademia umiejętności Paryska delegowała kommissyą do bliższego rozpoznania tego przedmiotu; raport téj kommissyi dotąd nie został ogłoszonym.

Van-Beeck, będąc członkiem instytutu Holenderskiego, wniósł ażeby towarzystwo to zaproponowało rządowi urządzenie doświadczeń w celu przekonania się czyli oleje rzeczywiście posiadają własności im przypisywane, a stąd czyli oleje nie mogłyby posłużyć za środek do ochronienia nadmorskich grobli Holandyi, przeciw gwałtowności uderzeń bałwanów morskich, w czasie burzy. Instytut nie chcąc zrazu proponować tego przez wielu za wątpliwy uważanego faktu, a tym bardziej jego zastosowania, wyznaczył wprzód trzy członków ze swego grona, do rozpatrzenia czyli ta propozycja zasługuje rzeczywiście na to aby mogła być przedstawianą. Trzej ci uczeni, nie zgadzając się w swoim sposobie zapatrywania się na tę rzecz, postanowili wprost kilkoniu doświadczeniami przekonać się o prawdziwości przymiotów, jakie mają posiadać oleje rozlane na wodę; w tym celu, wioskę Zandwork leżącą nad morzem Niemieckiem, obrali za miejsce schadzki skąd w czasie burzy mieli się udać na morze. Miało to miejsce w miesiącu czerwcu, w tej porze burze na morzu Niemieckiem są rzadkie i krótkotrwałe tak, że trudno było w sprzyjającym czasie do takich doświadczeń, zejść się w oznaczonym miejscu.

Członkowie więc postanowili nie czekać stósownej pory, ale 28 czerwca zebrać się w Zandwork, w celu wykonania ostatecznych doświadczeń, wnosząc, że jeżeli oliwa

rzeczywiście posiada te własności, to i na lekko wzburzonym morzu, np. w czasie przypływu, okazać je powinna. Przed tym terminem, trzech członków bawiąc na wsi, mieli sposobność, na rzeczce Spaarne blisko Harlem uczynić próby z oliwą, która oczekiwany sprawiła skutek. Zachęceni tym wypadkiem, o 9 zrana w dniu oznaczonym udali się do Zandwork, skąd część ich wypłynęła na otwarte morze, reszta zaś pozostała na brzegu dla obserwowania skutków. Wiatr powiewał południowo-wschodni średniej mocy, morze było w czasie przypływu, dość wzburzone. Po wylaniu po 4 kroć w małych odstępach czasu, znacznych ilości oliwy, nie spostrzeżono nad brzegami żadnego zmniejszenia się fal morskich. Zrobiono powtórne doświadczenie w większej odległości od brzegów na głębokości 3 metrów w czasie silnie wzburzonego morza, lecz i tu wypadki okazały się zupełnie niekorzystne dla potwierdzenia tego zjawiska; wracając do lądu, wylano pozostałą znaczną część oliwy, lecz i ta nie wpłynęła na zmniejszenie fal morskich.

Doświadczenia więc powyższe, czynione głównie w celu przekonania się czyli oleje nie mogłyby służyć do ochrania grobli Holandyi i innych wodnych budowli, przeciw gwałtowności uderzeń fal morskich, zupełnie niepomysłne dały wypadki; jednakże wnosić nie należy, aby te kilka doświadczeń osłabiły prawdopodobieństwo w przypisywaniu tłuszczom własności, uśmierzenia fal wodnych, za które tyle świadectw przemawia, a nawet i doświadczenia samych członków komisji.

Być może, że to zjawisko wymaga niektórych przyjaznych sobie okoliczności, zależących od głębokości morza, siły wiatru, sposobu wylewania etc. Doświadczenia holenderskich uczonych czynione były przy niezbyt przyjaznych okolicznościach; wiatr był tylko średniej mocy i dął w kierunku prawie równoległym od brzegów, na których obserwowano skutki doświadczeń; jakże więc można było spodziewać się aby rozlany i pędzony w inną stronę olej, mógł uśmierzyć fale idące do brzegów w czasie przypływu? A nawet doświadczenia te czynione były nad falami

powstałemi nie w skutek silnych porywów wiatru, lecz nad bałwanami istniejącemi, przy każdym przyplywie morskim, których żadna siła utrzymać nie jest zdolną, bo one swe istnienie głównie nie wiatrom ale nierównościami na dnie morskiem bądącym, winny.

Zresztą, trudno przypuścić aby kilka doświadczeń naprędce zrobionych, dla których nie czekano nawet stosownej pory, mogły osłabić, a tym bardziej obalić fakt od tylu wieków znany i przez tyle doświadczeń stwierdzony. Czekajmy dalszych badań.

J. Przysiański.

Ciekawy minerał w kraju naszym.

W niedawno ogłoszonym w Bibliotece Warszawskiej, opisie podróży po kraju naszym we względzie gospodarskim, p. Maksymilian Chelmiński wspominał (Bibl. Warsz. t. 4 1843, str. 267) o pokładach lignitu koło wsi Brzeżna na prawym brzegu Warty niedaleko Konina; w którejto wzmiance jego uderzył nas ten szczegół, że pomieniony lignit *w części jest skamieniałym*. Oglądając wkrótce potem znacznej wielkości exemplarz lignitu z tego samego miejsca, i nawet z tej podróży zachowany, przekonaliśmy się iż żadna w wyrażeniu p. Chelmińskiego wątpliwość nie była; jestto bowiem *drzewo, a razem zwęglone i skamieniałe*. Rurki pnia środkowe, napoiwszy się roztworem krzemionki, skamieniały, co jednak nie zaszło w słojach obwodu pnia bliższych, które tylko zbrunatnione drzewo przedstawiają. Zład, środek pnia (rdzeń) kamieniem jest, i tylko bardzo silnem uderzeniem odkrusza się, a obwód (biel), mimo zwęglenie, zachował dawną giętkość drzewa, i jakby na wstęgi, w kierunku słojuw rozdzierać się daje. Jestto więc osobliwa lignitu odmiana, której nietylko w systematycznych opisach autorowie nam znani nie wyliczyli, ale nie wzmiankuje o niej i Pusch, lubo opisuje (str. 432 *geogn. Besch. von Polen*) brunatny węgiel około Konina i pod Morzysławiem. Bez wątpienia, sztuki tego kopalnego ciała przedstawiają dziwne igrzysko natury, i przejścia różnych jej działań; oko widzi wyraźne, nadwęglone drzewo tam, gdzie czucie przekonywa że to niezaprzeczonny kamień. Jakkolwiek usiłowania naukowe, doszły w naszych czasach sposobu otrzymywania skamieniałości sztucznych, zupełnie naturalnym podobnych, jakkolwiek przekonano się, że na wielkich Afrykańskich piaskach dziś porzucone drzewo, za lat kilka kamienieje, jednakże ten nasz Brzeżniński lignit, będzie zawsze należał do minerałów, które najdokładniej to działanie natury objaśniają, będzie zasługiwał na szczegółowe przywiedzenie w ciągu nauki.

R.

KRONIKA LITERACKA.

Rubon, pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznej rozrywce.
Wydawca Kazimierz Bujnicki. Tom III z rycinami,
Wilno 1842, drukiem Józefa Zawadzkiego. (Serya
druga, Tom I).

Znowu z przyjemnością witamy Rubona, jako dawnego znajomego, który się już nam w trzeciej swojej odmianie okazuje, i znowu mamy coś z nim do pomówienia w zgodzie jednak i pokoju, polegając na skromnych jego widokach i łagodnej wyrozumiałości, z jakimi się oświadcza w przemowie swojej do niniejszego tomu. Góra Warhan zaczyna oddział Iszy Rubona; rozumieliśmy, że to jest opis dawnego jakiegoś grodziska lub odwiecznej mogiły, teraz przez chciwych poszukiwaczy starożytności odkrytej. Znaleźliśmy jednak pod tym tytułem wcale co innego, bo po krótkiej wzmiance, że ta góra leży blisko traktu pocztowego z Mińska do Dżisny wiodącego, i że jej nazwisko niewiedzieć z kąd pochodzi, następuje życzenie autora, żeby w braku legiendy między ludem o tym Warhanie, naddziwińscy zwolennicy poezyi sami stworzyli romantyczne podanie o nim. Treść nawet całego poematu autor układa, radząc wezwać pomocy Tassa i Aryosta, i chce żeby tym sposobem ukształciła się miejscowa czyli rodowa poezya, nad Dźwiną. Życzymy wszelkiej pomyślności tym, którzy głosu jego posłuchają, ale godzi się nam wątpić, dla ich własnej sławy, żeby nie ich rodzinna ziemia, nie jej dzieje, nie widok tej wspaniałej rzeki która ją odwilża, tych łąk i gajów które ją zielenią, ale obcy wieszczowie obojętni i przebrzmiałemi już dla nas powieściami, mieli natchnąć młode ich dusze i nastroić ich lutnie. Wreszcie, jak uważamy, autor należy do stronnictwa lubiącego dzielić literaturę naszą na niezliczone szkoły: ale niemało ich mamy dotąd, a nie rozumiemy coby znaczył dodatek nowej poezyi *białoruskiej*. Dość już liczymy naśla-

dowców w poezyi, więcej jeszcze przedrzeźniaczów, a nie pojmujemy żeby opiewając Dźwinę i świat ją otaczający, nie można było tego dokazać, tylko z Tassem lub Aryostem w ręku. Nam się zdaje, że pan Jan ze Sw.... herbu Kościeszka, który jest autorem tego pisma, sam podobnież sądzi, bo kończąc swoją odezwę do poetów, przekonywa ich prawdą niezaprzeczoną, że nikogo nie naśladować ani czyjejkolwiek żebrząc pomocy, Rubon, rzeka tylu wspomnieniami dla dziejów miejscowych pamiętna, dostarczy niemało źródeł z podań gminnych, i z pomników starożytności na brzegach jej dochowanych, ludziom duszą i talentem pisarskim obdarzonym, do badań historycznych, powieści, a nawet i do poezyi. Co do Połocka, o którego pamiątkach starożytnych autor z uniesieniem słusznie wspomina, życzylibyśmy ażeby, prócz powieści i legiendy o ś. Eufrozynie, która już jest napisaną i obiecuje być zajmującą, jakieśmy to widzieli z próby w II tomie Rubona umieszczonej, ktokolwiek z literatów nadźwińskich wziął się do napisania prawdziwej historii miasta i księstwa Połockiego. Staryto gród Słowiański w pięknem i znaczącem położeniu, panowaniem Normandów pamiętny i tyle później, za króla Stefana i w dalszych epokach głośny, wart żeby mu w dziejach poświęcono kartę odpowiadającą jego dawnemu znaczeniu. Znajdą się materiały do takiego dzieła, w aktach miejskich, w dokumentach staraniem kommissyi archeograficznej w Petersburgu wydawanych, w kronikach i archiwach zakonnych, prócz znanych już dziejopisów Rosyjskich i Polskich. Ten co się podejmie tej pracy, wyświadczy prawdziwą przysługę historii, sobie zjedna imię w literaturze. Rozstając się z p. Janem ze Sw. ośmielimy się mu jeszcze przelożyć, że dwa jego wyrażenia srodze obraziły uszy gramatycznych czytelników Rubona. Nie rozumieją oni co znaczy: *śladu żadnego napytać niepodobna* (str. 3) bo wiedzą że się mówi: „śladu żadnego wynaleść niepodobna” lub nareszcie: „o ślad żaden dopytać się nie można” Wzdrygają się niemniej na to, żeby: *starożytną ścianę kościoła zamieniać frontonem w nowszym Rzymskim smaku* (str. 8), bo słyszą i czytają, jak ludzie mówią i piszą: „starożytną ścianę zamieniać na fronton w nowszym smaku” albo „ściana

nę zastąpić frontonem.“ W dalszym ciągu badań swoich, o Dynaburgu, p. Adam Plater, umieścił w tym tomie kilka krótkich ale ważnych i ciekawych wiadomości, o wypadkach historycznych tego zamku od r. 1278 do 1582, o kompturach Dynaburskich, o pieczęci kompturów, o obszerności Dynaburskiego kompturatu, nakoniec o budowie i położeniu starego Dynaburskiego zamku. Poszukiwania te objaśnione są rycinami, i wsparte źródłami, które im służyły za zasadę... Lecz najglówniejszym artykułem w oddziale rzeczy poważnych tego pisma, są niewątpliwie badania p. Michała Borchy o starożytnej geografii Dźwiny. Miło nam jest widzieć życzenia nasze, kiedyśmy pierwszy raz o Rubonie w Bibliotece (1) mówili, o potrzebie obszerniejszego tej rzeki opisu pod względem ziemopisarskim, zszczone teraz piórem dotąd wprowadzie poezyi więcej oddanem, nie bez zalety jednak na nowe pole puszczającym się. Badania te geograficzne, pod skromnym choć nie szczerym tytułem: „Dwa słowa o Dźwinie“ podwójnie drukiem ogłoszone (2), dowodzą że autor ma wiele wiadomości tego rodzaju, i stósowny zapas książek; ale razem okazują że przywiązanie do poetów muzy, nie pozwala mu ani na chwilę rozstać się z nią, nawet przy tak poważnej nauce jaką jest geografia. Dwie liryki bowiem, jakby ramy jakie, osłaniają samo pismo, śledzące z całą usilnością etymologiczną początek nazwy dawanej Dźwinie w różnych epokach i od różnych ludów. Jedna z nich jest odezwą do przyjaciela, objawiającą mu cel pracy tej, druga epilogiem do samej rzeki. Gdybyśmy się naklonili, bez uwagi na głos surowszych czytelników, zgodzić na uznanie pierwszej za wstęp mogący ująć przy tak naukowej rozprawie, druga w żadnym przypadku cierpianą być nie może. Lecz autor, jak uważamy, ma skłonność wrodzoną do marzeń poetyckich, i lubością ich kołysany, chce razem z niemi wnijsć

(1) Bibl. Warsz. grudzień r. 1842, str. 628 T. IV.

(2) Dwa słowa o Dźwinie, przez M. hr. Borchy. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego 1843, in 8vo, str. 90, przypisane Marcinowi Karnickiemu.

do przybytku historii, która tylko na prawdzie i wnioskach z podobieństwa do niej wysnutych, polega. Oneto jego podobno zadaleko zawiodły w utrzymywaniu, że ów *nityczny* Erydan, rzeka Homerowych czasów, jest dzisiejszą Dźwiną. Trudno jest tego dowieść, pomimo powagi Szafarzyka, na której opiera się p. Borch. Nie wierzył w nią Herodot, doświadczony wędrownik, a co większa nie wiedział o tem nazwisku Piteasz Marsylczyk, który zwiedzał pbrzeże Wenedyckie; wreszcie starożytni geografowie przypisywali Erydan tyłu rzekom i tyłu krajom sobie zupełnie przeciwnym, że go w dzisiejszym stanie nauki, za przodka Dźwiny ogłaszać niepodobna. Również słabe są dowody autora o tożsamości Rubonu z Erydanem. Ale minąwszy poetyczną epokę geografii, dalsze badania o nazwiskach Dźwiny, są ważniejsze i zajmujące. Autor wsparty pracami przeszłowiecznych ziemiopisarzy, a między późniejszymi badaczami polegając na postrzeżeniach Jana Potockiego i Szafarzyka, przebiega cały szereg wspomnień starodawnych o Dźwinie łącząc z niemi swoje własne domysły i wnioski, mniej więcej trafne. Wśród tych jednakże, niespodzianie objawia nam ciekawe i zupełnie nowe odkrycie w starożytnej geografii północnych krain Europy, to jest że *Turuntus*, rzeka wskazana u Ptolomeusza, jest właśnie dzisiejszą Polotą, wpadającą do Dźwiny pod Połockiem, bo *dziś jeszcze* (słowa są autora) *u mieszkańców, wieśniaków białoruskich, zowie się w swoim wyższym biegu Turuntus.*“ Gdybyśmy byli tego pewni, ale pewni autentycznie, winszowalibyśmy autorowi, że mu się powiodło przydać nową iskrę światła, do rozjaśnienia ciemnych podań geografii starożytnej w tych stronach. Ale dwie uwagi jeszcze nas utrzymują w wątpliwości, co do zasady takiego odkrycia. Pierwsza, dlaczego autor czując całą ważność takiego odkrycia pod względem geograficznym, tak nawiasowym sposobem wspomniał o niem, nie wskazując nawet miejsc na których wieśniacy Turuntusem Polotę nazywają? gdzie się ta nazwa zaczyna i kończy? Druga, że się zdaje wątpliwą rzeczą, żeby wyraz Grecki *Turuntus* czysto przechował się dotąd w mowie nadbrzeżnych jego mieszkańców. Musi to być coś podobnego

do *Turuntus*, tak jak *Chronus* nazwanie starożytne Niemna, przechowało się dotąd we wsiach nadniemeńskich *Kronie* zwanych; a też dla wiarogodności naukowej i usunięcia wszelkich wątpliwości z umysłu czytelników, nie łatwo spuszcżających się na domysły autorów, wypadło żeby p. Borch uprzedzając te zarzuty, wyjaśnił nam wszelkie okoliczności stwierdzające tak ciekawe odkrycie w geografii. Druga część tej rozprawy oddzielnie wydrukowanej, nie jest jeszcze w tym tomie Rubona umieszczoną, ale nie możemy jej pominąć, wdawszy się raz w rozbiór tego przedmiotu. Tu już autor przystępuje do śledzenia początku późniejszych nazwisk Dżwiny, po Rzymianach zjawiających się, i dotąd dochowanych: to jest Dina, Dżwina, Dwina, i Daugawa. Szuka ich najprzód i bardzo słusznie, w podaniach korsarzy Skandynawskich i za pomocą Jana Potockiego przywodzi wspomnienia dawne o niej w średnich wiekach, sięga aż do sag Islandzkich. Dalej popuszcza zbytecznie cugle wyobraźni swojej, wywodząc źródłosłów wyrazu *Dżwina*; nakoniec wyluszcza pochodzenie nazwiska jej Łotewskiego *Daugawa*. Wywód ostatni jest bardzo jasny i prawdopodobny, szkoda że do niego wieszano szczególniejsze domniemanie o początku wyrazu *Daugawa*, od napaści Litwinów na Łotwę. Wszakże to są ludy jedno-plemienne, razem kiedyś z sobą w tych już koło Dżwiny siedzibach połączone, zacóż ich tak wczesnie wzajemnymi napaściami robić, kiedy Litwini dopiero za panowania mieczowych rycerzy, jako tacy, zaczęli być znani Łotwie. Dżwina zaś nie wtedy, ale przy osiedleniu Lettońskiego nad jej brzegami pokolenia, musiała być nazwana *Daugawą*. W ogólności poszukiwania te p. Borch, są nader zajmujące. Trochę mniej skłonności do wyboczeń poetyckich, więcej prostoty w opowiadaniu, a byłoby zupełnie naukowe, geograficzne; w każdym razie są prawdziwie pożyteczne i zaszczyt autorowi przynoszące. Język Polski w tem piśmie za ledwo trzy razy tylko został z gruntu obrażony, bo zresztą dobrze nim włada autor, i pióro jego unosi się nieraz do stylu wyższego i ozdobnego. Usterki te są: *jakby nie było*, zawsze mam nadzieję (str. 46 broszury); wszakże za dni naszych *u wierzchów swoich* zowie się Dżwiną (str. 47); *jak-*

by się to wreszcie nie stało (str. 76). To nie jest po polsku, bo się mówi: „Cóżkolwiek bądź, zawsze mam nadzieję“— „u źródeł swoich zowie się Dźwina“ i tym podobnie. Wyras także *natedy* tak często przez autora używany, również się nie zgadza z czystością języka. Dodamy tu jeszcze, że pomieszczenie Surowieckiego, autora kilku rozpraw średniej wartości, (str. 59) zupełnie jest niestosowne, obok przytoczonych razem innych imion, prawdziwie znakomitych. Literatura tego tomu Rubona zbogacona jest dwoma urywkami pięknych powieści, ale, coż kiedy to są urywki; chociaż fragmenta wybornych pamiętników X. Jordana, mają pewne następstwo. Z żalem odrywa się od nich czytelnik, i gubi w odległości czasu między ukazaniem się tomów całą osnowę prawdziwie swojskiej, rodzinnej powieści, o której układzie nie możemy nic jeszcze wyrzec stanowczego, dopóki jej w całości nie poznamy. Toż samo powiedzieć wypada o dwóch rozdziałach Stypy, powieści Edwarda Tarszy; wybitne charaktery działaczy okazują wyższy talent; nie wiemy jednak ani o sposobie prowadzenia rzeczy, ani o utrzymaniu charakterów. Między wierszami, zasługują na większą od innych uwagę, piosnki gminne Białoruskie przełożone przez pp. Aleksandra Grozę i Ign. Chrapowickiego, nietak dla samej ich poetyczności, bo tej niewiele mają, jako dla potrzeby zachowania uczuć i wrażeń ludu, mniej od innych znanego. W trzecim rozdziale tego tomu, dosyć ciekawy jest: *rzut oka na wioski i pola w Inflanciech*, jako obraz obecnego stanu ludności rolniczej, zamieszkującej tę krainę, krótko ale zręcznie skreślony. Radzi byśmy wyczytać kiedykolwiek coś obszerniejszego i bardziej szczegółowego w tym rodzaju; pożądane byłyby również, choć przybliżone, wiadomości statystyczne o tej części dawnej Polski. Wydawca Rubona obiecuje nie ustawać w przedsięwziętej pracy; daj mu Boże wytrwałość. My zaś przyrzekamy zając się szczerze przyszłemi tomami Rubona, z ochotą i usilnością, jakiej dowody daliśmy roztrząsając poprzedzające.

M. B.



Opowiadania Johna of Dycalp, z godtem:

Tutto è vero, verissimo!

Letture mio carissimo!

Wilno, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1843.

Znamy już dawno z licznych dziełek i broszur pisarza tego, który pod przybranem imieniem Johna of Dycalp, corocznie przypomina się czytającej publiczności. Surowa krytyka zaprzeczała mu zdolności, talentu i humoru (1); z drugiej strony, ciągle sypano mu pochwały (2), a w uniesieniu nazwano go Polskim Sternem: przesadzono w obu razach. Chcąc tego pisarza sprawiedliwie ocenić, potrzebaby o wszystkich jego pismach mówić po szczególe, wszakże gdy jedne już obszernym uległy rozbiorom, drugie nie zasługują na nie (3), zastanowim uwagę nad najnowszym utworem Johna of Dycalp „Opowiadania“ które rzeczywiście niepospolity talent znamionują. *Opowiadania* składa cztery powieści: *Jeszcze dzicy*, *Trzój bracia dziedzice*, *Powrót rabina*, i *Suchołnica*.

Treścią powiastki: *Jeszcze dzicy*, jest że do autora przybył znajomy, chcący coś się dowiedzieć o dzikiej parze, chłopcu i dziewczynie, co byli w sąsiedztwie, a o czem ze zgorzeniem, John of Dycalp nic nie wiedział. Jadą więc z ciekawym sąsiadem do *Albertyna*, i tam od p. rządcy otrzymują wiadomość o dwojgu dzikich urodzonych w lesie z kmieci, co uciekli ze wsi i w odosobnieniu żyli. Hryszko, chłopak z tej pary, był nadzwyczaj obżarty; bił się o pierwszeństwo z trzodą chlewną chwytania wyrzutków nieczystych na podwórzu, niczém głodu ciągłego nie mogąc zaspokoić: wreszcie chciał się ożenić, ale chciał żeby dziewczyna była hożą i smaczną.

(1) Roczniki krytyki Literackiej H. Lewestama. w Warsz.

(2) Tygodnik Petersburski, i pisma Mich. Grabowskiego.

(3) Dostyć tu wspomnieć pisma Johna of Dycalp w 2 tomach, i komedijkę *Przecznicie!*

„A ha! teraz rozumiem (mówi sam autor John of Dycalp) dlaczego w *Warszawie* nie mówi się już i nie pisze ładna, piękna, ale *smaczna* osoba. Jestto bardzo naturalnie, zupełnie à la Hryszka (4); nienasycone to stworzenie, mające pociąg do smacznych rzeczy, umarło: dziewczyna pełni obowiązki stróża, i zaganiacza drobiu. Ponieważ żadna myśl, uczucie, żadne nawet nawyknięcie, nietylko religijne ale ani ludzkie, które pospolicie, zwiemy *wrodzonymi*, nie dały się upatrzeć w tych dzikich tworach, wedle opowiadania pana rządcy: John of Dycalp, poważnie wykrzykuje: „Otóżto ideały Russa!“ (5) obrazek nieciekawym, lubo z całą swobodą i prostotą stylu opowiedziany.

W powiastce *Trzej bracia dziedzice*: widzimy trzech braci dziedziców wsi jednej, w jednym zamieszkałych dworze, a nawet w jednej izbie, wraz z psami, strzelbami, od rana do późnej nocy grających z sobą w djabelka, i przegrywających nawzajem wódkę, sumki należne z gospodarstwa, pańszczyzną, psy, głosy swoje do wyboru, a nawet, jak wyraża autor, jakąś *ni fallor*, Ulanę. (6)

Jeżeli wizerunek takich dziedziców, z oryginałów jest tak dokładnie zdjęty, smutne uczucia obudza w duszy, że żyją na tej ziemi takie istoty: nie sądźmy bowiem, aby zmyśleniem a tak zjadliwą satyrą, chciał autor swoich współziemian oczerniać.

Powrót rabina: wyborny obrazek, malujący doskonale handlujących żydów w małym Litewskim miasteczku. Opisy rzeźwe, pełne dowcipu i humoru, okazują niepospolity talent autora, jak umiającego dzielnie władać piórem; styl swobodny, obrazowy, rzecz z taką prawdą i z takim urokiem oddana, że zda się iż jesteśmy wśród tej ómy żydowskiej, całej hołoty Izraelskiej ciągnącej brykę płócienną z uczonym rabinem, wśród wrzawy i okrzyków radości.

Suchotnica jest za prawdę jedną z najlepszych powieści, jakie kiedy wyszły z pod pióra Johna of Dycalp. Samym

(4) str. 25.

(5) str. 27.

(6) str. 55.

przedmiotem rzewna i bolesna, oddycha t \acute{e} m siln \acute{e} m uczuciem, kt \acute{o} re si \acute{e} musi przelać w serca czytelników.

„Przynoszę wam powieść (m \acute{o} wi autor) ma \acute{o} przypadającą do zwyczajnego biegu rzeczy ludzkich, niełatwą do uwierzenia dla umysłów pospolitych, ale wziętą z rzeczywistości; niestety, czemuż ledwie do snu tylko pięknego podobnej!“

Krótkie dzieje a smutne ofiary woli rodzicielskiej. Natalia oddaje rękę starcowi zamożnemu i szanownemu, chocia \acute{z} ju \acute{z} serce oddała krewnemu Leonowi. Dziesięć lat po \acute{z} ycia ze starcem, a p \acute{o} źniej wdowieństwa, żywiła jedną myślą, wspomnieniem ukochanego Leona. Miłość czysta trawiła życie t \acute{e} j anielskiej istoty, dopełniającej święcie obowiązków żony: i miłość ta przemogła, gasząc z wolna pochodnię życia. Leon wraca z zagranicy, zastaje t \acute{e} któr \acute{a} ubóstwia \acute{l} , w ciężkiej chorobie; nieuleczonej suchoty zapowiadały zgon blizki. Na t \acute{e} m łożu boleści złożona, nie mogąc powstać, bierze ślub z Leonem.

„Kobięta anielskiego oblicza, w bieli, z wiankiem myrtu na głowie, z jakimś nie ziemskim rumieńcem na twarzy, to znikającym, to znowu zjawiającym si \acute{e} nagle, z wejrzeniem i uśmiechem niepodobnemi do spotkania na naszym świecie, siedzi na posłaniu oparta o wezglowie: po obu stronach, stoją przy ni \acute{e} j i zalewając si \acute{e} łzami, wspierają ją dwie m \acute{o} dsze siostry: chora trzyma w jednym r \acute{e} ku zapaloną kościelną świecę, drugą j \acute{e} y r \acute{e} kę osłania stuła. Obok stoi m \acute{e} żczyzna lat trzydziestu, twarzy mi \acute{e} łej, pogodnej, uszczęśliwionej, i powtarzając za kapłanem śpiesznie i z uczuciem święte słowa obrzędu, zdaje si \acute{e} chcieć dodać si \acute{l} i g \acute{o} osu swojej towarzysze, i nie mieć innej niespokojności w sercu i oczach, prócz t \acute{e} j tylko, czy j \acute{e} y wystarczy życia dla domówienia przysięgi? Jest wi \acute{e} c on widocznie świadomy całego niebezpieczeństwa. Lecz czyli \acute{z} to nikczemne rachuby powodują go do tego ślubu? Czyli \acute{z} oneto mają nam tłumaczyć i ten pośpiech w jego słowach, i t \acute{e} zmieszana radość i niespokojność w oczach? Oto kapłan obraca si \acute{e} do nich ze słowami przysięgi, że nie mają si \acute{e} opuścić aż do śmierci.

„Tak, nie opuszczę ciebie aż do śmierci, i będę twoim po śmierci!“ odpowiada m \acute{o} dzieniec.

— „Aż do śmierci, i będę twoją po śmierci:“ powtarza narzeczona.

Starzec, kapłan, zachwiany tą dodatkową odpowiedzią nie przepisana od kościoła, chce coś przemówić, ale uderzony też samą myślą, która w tej chwili przebiegła nas wszystkich, że zwyozajna przysięga ślubu miałaby tu tak mało zastósowania, zostawia bez zarzutu dowolną odpowiedź ślubujących, ociera łzy, i po krótkim milczeniu, w ciągu którego słyhać było płacz przytomnych, drżącym od rozczulenia głosem, kończy święty obrzęd.

Dzięki Ci, Boże! powtarzają w jedne słowa zaślubieni *I tobie ojcze!* przydają, całując ręce błogosławionego kapłana.

„Tak, teraz jestem zupełnie szczęśliwą, przerywa chora z tklivym uśmiechem, i ani myślę o tém ile dni czy godzin jeszcze mi tu zostaje. Dożyłam jedynej chwili, przed którą odejść od was, byłoby mi nad siły. Gdy jednak Bóg miłośnierny raczył mię wysłuchać, i tak cudownie dopełnił ostatniego mojego życzenia, gdym oddała przysięgę, i mogę już nazywać moim wiecznym towarzyszem, moim mężem tego, do którego nie śmiałabym inaczej zbliżyć się w przyszłym świecie, jakże nie mam być szczęśliwą z całej duszy? jakże mi nie czuć się i zdrową i wesolą?“

I z jękiem tego anioła, miesza się odgłos weselnej muzyki. Niedługo, pochylona na jego ramieniu, usnęła cicho na wieki: a przecież ten poślubiony kochanek, ten mąż chwilowy, chociaż nie targał na sobie włosów, nie przywoływał przekłństw, ani świadectw nieba i ziemi, że połączy się z nią na zawsze; chociaż z dziwną jakąś mocą i troskliwością zajmował się sam jej śmiertelnem ubraniem i bez łez, w cichym smutku stał nieodstępnie przy jej otwartej trunie, przecież na całe życie zachował on uporczywe przywiązanie do zmarłej, i jeśli kiedy potem poglądał jeszcze z miłym wrażeniem na jaką kobietę, lub przysłuchiwał się z widocznem upodobaniem głosu kobiety, to było dlatego tylko, wraz to powiedziały łzy jego, że spotykał on jakieś słodko poszukiwane, drogie, wszystkim już dla niego będące podobieństwo. Musi być coś niewymownie milego, coś błogo zaspokajającego

i wystarczającego dla duszy, kochać samą nadzieją, i odkładać jej spełnienie do drugiego wieku. Musi to być miłość czystsza, trwalsza i piękniejsza od najslodszych uczuć ziemi, kiedy zdoła napelnić człowieka taką dziwną wiarą w przyszłe spotkanie, i najmimowolniej nasze myśli wznosi do świętej i niezachwianej religijnej potęgi.“

Dwie powieści w *Opowiadaniach: Powrót rabina*, pełen humoru, dowcipu i prawdy, w kontraście z tkliwą i rzewną powieścią *Suchotnica*, dopiero nas po raz pierwszy przekonują, że John of Dycalp stanie niedługo w rzędzie tych pisarzy, co nie stronnictwami pochwałami, ale rzeczywistą zasługą, chubne dla siebie, pożyteczne dla literatury zajęli stanowisko.

WL.

Odpowiedź na recenzję p. H. Łabęckiego Opisu Wieliczki.

Uczynione przez p. Łabęckiego uwagi nad moim opisem Wieliczki, częścią z ustępów mojej przemowy ucinkowo, według widoku recenzenta sklejonych wynikię, częścią z mylnego na przedmiot zapatrywania się wyciągnięte, zmusiły mnie do napisania następnego artykułu, w którym nietak przeciw błahym recenzenta zarzutom bronić się zamierzyłem, jako raczej wskazać mu, iż nie zapatrywał się umiejętnie na przedmiot, o którym, aczkolwiek dla siebie obcym, z niejaką pewnością rozprawiać się zdaje.

Zaraz na wstępie swych uwag, przywiódłszy p. Ł. z mojej przedmowy, iż wiadomości w tej książce zawarte zebrałem z największą staraniem i ścisłością naukową, odwiedzając wielokrotnie tę kopalnię, mówi „dlatego też spodziewaliśmy się, że p. Z. obdarzy nas odpowiednią zapowiedzeniem wiadomością historyczną.“ Jak fałszywy jest ten wniosek, dowodzić nie trzeba, bo każdy wie, że nikt w kopalniach nie szuka źródeł historycznych. Zkąd zaś brałem szczegóły do skreślenia historycznej wiadomości, to wyraźnie w przedmowie oświadczyłem; wszakże na str. V powiedziałem, że mój nie układał z dokumentów, ale z udzielonych sobie przez p. Ambrożego Grabowskiego no-

tatek, które czy też same były co je p. Ł. z uprzejmości tego miłośnika dawnych pamiątek otrzymał, o tém sądzić nie mogę, bo mogło być, że uczynny p. Gr. co się każdemu zdarzyć może, zasilając mnie swemi wiadomościami przepomniał o innych, które później znalazłszy, p. Ł. mógł przesłać. Niewczesny zatem i nieuzasadniony jest zarzut p. Ł. kiedy mówi „wyznać musimy iż z takowych (t. j. panu Ł. przez p. Gr. udzielonych notatek) nie znalazł śladu w mojej książce.

Nie chcąc brać za zasadę moich wspomnień historycznych dokumentu, który dwaj najznakomitsi dziejopisowie nasi dla ważnych przyczyn za podrobiony uważali, wnioszek mój, że już w połowie XII wieku dobywanie soli w Wieliczce znacznie musiało być rozwinięte, opieram szczególnie na nadaniu Kazimierza księcia Sandomierskiego z r. 1176, którym jak Długosz świadczy, T. I str. 531 ten książę cystersom Sulejowskim udziela *Alueum salis in Cracoviensi*. Dopóki p. Ł. mocniejszemi dowodami nie zbije twierdzeń wyżej powołanych uczonych o fałszywości rzeczzonego dyplomu gruntownie zebranych, dopóty żaden zgłębiający rzeczy, zdania o początku żup Wielickich w r. 1105, bynajmniej podzielać nie będzie. Winienem tu zwrócić uwagę recenzenta, iż według mego rozsądku uczyniona przezemnie wzmianka o wydobywaniu soli w Wieliczce w połowie XII wieku, tak różnej jest treści od przypisu względem dyplomu legata Aegidiusza na str. 10 przezemnie umieszczonego, iż nie pojmuję jak z połączenia tych spomnień mógł, bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu iż dziury na całym szuka, o jakieś potępiające mnie zapomnienie się posądzać.

Z okoliczności iż na str. 9 spomniałem, że Bochnię *parvum sal* nazwano, p. Ł. oświadcza, iż „wyznać musimy, że nazwy tej ostatniej nigdzie nam czytać się nie zdarzało.“ Gdybym sposobem p. Ł. chciał rozumować, natenczas z jego uwagi uczyniłbym ten wniosek, iż lubo jego nazwisko na tytule dzieła *Górnictwo w Polsce* jest umieszczone, nie on jednak jest tego dzieła autorem, i że go nawet nie czytał. Wszakże na str. 135 T. I, wyraźnie o

mniejszej soli spomina. Co się tycze dowodu etymologicznego, że Bochnia, od bochna była nazwaną, ten jako utwór godny pióra Dębołęckiego, na uwagę nie zasługuje.

Zarzucając mi rec. że trybu Swiatkowskiego z innemi z czasów Kazimierza W. nie spomniałem, nie powinien był przestać na samym zarzucie, ale zarazem okazać iż ten rzeczywiście w tym czasie był wybity,

W dalszym ciągu swych uwag pyta się p. Ł. dlaczego o Mikołaju Bochnerze pod r. 1405 mówiąc, dodaje, iż to być ma zapewne Bonar, gdy właśnie Bochner Mikołaj herbu Starykoń przodkiem jest Wielopolskich, Bonerów zaś rodzina przybyła do Polski, unikając prześladowań religijnych w Niemczech, w r. 1500. Nim przystąpię do wykazania powodów mych wątpliwości, azali Bochnerowie i Bonerowie nie była jedną i tą samą familią, wypada mi zwrócić uwagę p. Ł. na to, iż jeżeli czytał Decyusza, to go na str. 105 i następnych wcale nie zrozumiał kiedy Bonerów, dla usunięcia ich od prześladowań religijnych, do Polski przenosi. Zkąd to wyczytał, iż Bonerowie na początku XVI wieku do Polski przybyli, trudno odgadnąć, albowiem Decyusz, z którego nasz recen-zent str. 64 zamiast 62 mylnie przywodzi, na tém miejscu tyle tylko spomina, że Jan Bonar w r. 1508 już od lat 12 interesami Zygmunta I zarządzał, a na str. 109 wyraźnie mówi, iż tenże Jan, już za Kazimierza Jagiellończyka w Polsce bawił. Wszakże tocząca się między wojewodą Reńskim a Wissenburczykami wojna, która wielu obywateli do opuszczenia rodzinnego miasta zmusiła, według świadectwa tegoż Decyusza, przeszło 100 lat trwała; łatwo zatem być mogło, co też i rzeczony dziejopis poświadcza, że już wcześniej Wissenburcykowie do Polski się przenieśli. Jakoż w powołanym Decyuszu (str. 108) czytamy, iż *multo major pars (Wissenburgensium) in Polonia concessit atque ita a centum fere annis Polonia potissimumque Cracovia Wissenburgensium domicilium fuit, mihi tamen non constat, qui primi in hoc regnum ingressi, sedes hic quaesiverint.* Okoliczność ta najmocniej popiera moją względem Bochnerów i Bonerów wątpliwość, której bynajmniej nie uchyla

wzgląd na różnicę ich herbów; skoro zważymy, że może być, iż jeden z rodzeństwa później uszlachecony, odmienny herb przybrał. Niemaló téż uzasadnia moje powątpiewanie i to, że u Starowskiego, Monumenta na str. 204, czytamy nagrobek Izajasza Bonera w r. 1471 zmarłego, który zatém na początku wieku XV urodzić się musiał, z dawniej osiadłych w Krakowie rodziców. Wreszcie Niesiecki, T. I. str. 137, Bochnerów i Bonerów za jedną familią uważa. Przywiedzione szczegóły przekonająby powinny p. Ł., że odwołanie się do świadectwa Paprockiego, nie uchyla wątpliwości, którą dawniejsze historyczne popierają wspomnienia.

Na uwagi p. Ł. iż w spisie żupników, niektórych popuszczalem, w innych lata ich żupnictwa albo niewłaściwie położyłem, albo czas ich dzierżawy przedłużyłem lub skróciłem, tyle tylko powiedzieć mogę, iż nie moja jest wina, jeżeli rękopism Dłutyńskiego sztygara Wielickiego, żyjącego w drugiej połowie XVII wieku, mniej dokładnym był nad ten z którego mi uprzejmość p. Grabowskiego czerpać dozwoliła. Jakkolwiek bądź, wiadomość, że ten lub ów żupnik, mianowicie od połowy XVII wieku kilka lat wcześniej lub później, dłużej lub krócej kopalnię arendował, do dziejów rozwinięcia się żupy Wielickiej na niewiele się przyda, bo żupnicy byli tylko prostemi dzierżawcami, którzy z tego pospolicie znakomite zyski ciągnęli, nie troszcząc się bynajmniej o istotne w żupie poprawy. A jak dzisiaj dla ogółu obojętną jest rzeczą, kto tę lub ową karczmę arenduje, albo się jaką dostawą trudni, tak i dokładna lista żupników nie ma żadnej wartości dla dziejów żupnictwa, których treści bynajmniej nie podniesie; będzie to bowiem czyzy spis osób, bez żadnego dla oświaty użytku, który jednak nie zaszkodzi rzeczy, jeśli go kiedy p. Ł. ogłosi.

W dalszym ciągu swych uwag, p. Ł. zarzuca mi, iż nietylko zem wiele nazwisk osób przy żupnictwie użytych popuszczał, ale téż zwraca na to uwagę, iż moje tłumaczenie nazwisk i obowiązków wiele przedstawia omyłek, które on poprawia. I tak kiedy przy *carpentarius*

przez pomyłkę wydrukowano *rymarz*, nie chcąc tego uważać w spisie poprawek, gdzie na *stelmach* poprawiono, za błąd mi to poczytuje, i sam mylnie, snadź z Francuzkiego *charpentier*, *carpentarius* przez cieśla wykłada. Co do wyrazu *faber*, który właśnie znaczy każdego rzemieślnika nad twardym materiałem pracującego, ten bez dodatku przymiotnika, bliżej zatrudnienie określającego, np. *ferrarius* kowal, *lignarius* cieśla, *aerarius* bronzownik, pospolicie cieśle oznacza; niesłusznie zatem p. Ł. *faber* przez cieśle wyrażone, za błąd uważa.

O historii wewnętrznej administracyi żupy, nie ma p. Ł. jasnego pojęcia i gubi się w szczegółach, a nie pojawiaszy epok, nie ma punktu oparcia się. Gdy za panowania Zygmunta I, wyszła Polska ze średniego wieku, przy coraz wzmagającym się oświeceniu, wypadało zmienić administracyą przez Kazimierza W. postanowioną. Wyznaczona zatem kommissya, położyła do tego zasady, które do r. 1772 trwały. Przepisanie nowych instrukcyj z r. 1631, ani też instrukcyja z r. 1743 Borlacha, nie są zmianami kardynalnemi zarządu wewnętrznego, ale poprawami, co wypada ściśle odróżnić. Wszakże wielką kopalnią nie można inaczej rządzić, jak zaprowadzając ciągłe poprawy lub zastosowania do okoliczności biegowych; zupełnie co innego jest zmieniać sposób administrowania. Podobne wypadki są tylko skutkiem intelektualnego stanu jakiego narodu. Kto tego nie obejmuje, zaginie w szczegółach jak p. Ł. w niniejszej recezyi i w swęj historii kopalń (Górnictwo w Polsce: Wieliczka lub Olkusz).

Z uczynionęj przezemnie wzmianki na str. 18, iż podczas dzierżawy żup przez Oleśnickiego w r. 1614, dochody z Wieliczki przeznaczone były dla Jezuitów na wybudowanie kościoła ś. Piotra w Krakowie, p. Ł. twierdzi iż to później miało miejsce, gdyż przywilej na założenie tego kościoła przez Zygmunta III pod datą 13 marca 1623 podpisany, odpowiada czasom żupnictwa Andrzeja Górskiego, kiedy przypuścić nie można żeby król Zygmunt III miał zapomnieć w r. 1623, iż w r. 1597 d. 23 czerwca pierwszy węgielny kamień do tej świątyni założył, i takową w r. 1608

po odprawieniu w niej d. 29 czerwca po raz pierwszy nabożeństwa, nazajutrz wraz z królową i królewiczem Władysławem oglądał, jak to pisze bliższy tych czasów Wielewicki (*Historici Diarii domus professae Societ. Jesu* str. 165 i 325) a o roku założenia najwymowniej świadczy medal z tej okoliczności bity, w Bentkowskiego spisie medalów str. 20, tudzież w Gabinecie Raczyńskiego (T. I, str. 268, tab. 69) opisany; wypada zatem, że p. Ł. źle zrozumiałwszy dokument który przywodzi, ukończenie fabryki kościoła, jego założeniem nazywa.

Z przybranym tonem biegłego znawcy, czyni mi p. Ł. zarzut że nie umieścił spisu naczelników żupy Wielickiej pod panowaniem Austryackiem, a wyraziwszy swe zadziwienie, że będąc blisko źródła tego nie uczynił, uzupełnia tę listę. Żem ja tego nie uczynił, nie pochodziło to z braku chęci zebrania wszystkich, tyjących się Wieliczki, szczegółów, ale raczej ztąd wynikło, iż jak wyżej spomniałem, utrudniony jest przystęp do archiwum kopalni dla osób obcych. Ale kiedy p. Boczkowski lekarz przy żupie, do wydanego przez siebie w r. z. opisu Wieliczki, wykaz administratorów Austryackich dołączył, łatwo było zatem p. Ł. z drukowanej książki tę listę przepisać, bez zacytowania źródła.

W zdaniu o części geologicznej, p. Ł. aczkolwiek z pochwałą o niej mówi, jest niedokładny, i mimowolnie nieudolność swoją wykrywa w tym względzie. Jakoż, nie wdaje się tu w szczegóły, które go w części I aż do błahiej drobiazgowości zajmowały, ale tylko nastrzępiwszy pismo swoje ogólnemi słowy, i nieokazawszy że sprawiedliwe jest jego zdanie, bez namysłu powiada jakoby poszedł za najwięcej uzasadnionem zdaniem, i nakoniec żałuje że obszerniej nie objaśnił, nie wskazał i nie ocenił twierdzeń mych poprzedników. A kiedy recenzent bynajmniej nie zastanowił się nad tém, czyli uczynione przezemnie oznaczenie pokładu solnego na jakiejś zasadzie jest oparte lub nie, a zatem kiedy przez swoje powątpiewanie okazał iż nie jest zdolny rzecz tę należycie ocenić, w rozbiieranie onej wdawać mu się nie należało; bo zdania o nowych pomysłach, nie powinny być sądem ślepego o kolorach. Aby

zatem rzecz tę wyjaśnić dla tych, którychby niby z trójnóżka wyrzeczzone zdanie p. Ł. do mylnego ocenienia mych myśli uwieść mogło, sposób mój uważania pokładu solnego Wieliczki, w krótkości tu wyłożę. Beudant, a po nim Boué i Keferstein, rozpoznając ten pokład, z ogólnego wejścia skamieniałości w nim zawartych, uczynili wprawdzie wniosek, że do trzeciorzędowych należy, atoli żadnej muszli za wskazówkę tego pokładu służyć mogącej, gatunkowo nie oznaczyli, oraz nie wytlómaczyli, dlaczego pokład Wielicki jednaki ma pochył z pokrywającym go piaskowcem, a właśnie dla tej jednakowości pochyłu obydwóch tych formacji, późniejsi autorowie Lill i Pusch, pokład solny za część piaskowca Karpatowego uważali. Te niedokładne lub mylne twierdzenia, częścią wyjaśniłem przez gatunkowe oznaczenie skamieniałości osadów trzeciorzędowych, częścią sprostowałem tą uwagą, że pokład solny przy wzniesieniu gór, przez dawniejszy piaskowiec został przywalony. Akiedy bliższe rozważenie tych szczegółów, wielce zasługuje na uwagę ze względu, iż na nich dalsze poszukiwania soli w Królestwie Polskiem koniecznie opierać się muszą, już zatem ze względu na te okoliczności, sprawiedliwy, rzecz o której chce pisać znający recenzent, powinien był wykazać, czy te widoki są moje własne, czy też tylko jak p. Ł. podobało się napisać, za najwięcej uzasadnionem poszedłem zdaniem.

Nie bez wzruszenia ramionami, odczytałem zdanie p. Ł. o części trzeciej, gdzie tenże mówi, iż w niej nic nowego nie podałem. Wszakże dla oznaczenia zwiększającej temperatury w coraz znaczniejszych głębiach w żupie Wielickiej, najwyborniejszemi instrumentami liczne robiłem doświadczenia, wielokrotnie mierzyłem temperaturę wód, barometryczne pomiary głębokości żupy powtarzałem. Jestże to niczem?

Wreszcie nie podoba się, aczkolwiek dokładny spis rozpraw i dzieł o Wieliczce, gdyż niektóre, zdaniem jego, nie mają mieć z nią ścisłego związku. Chcielibyśmy iżby recenzent na szczegółach oparł słuszność swojego twierdzenia, bo według naszego zdania, wszystkie tu przytoczono-

ne dzieła, pod trzema względami z opisem Wieliczki są zespolone. Kończymy tę odpowiedź uwagą, iż p. Ł. nie-słusznie, jak się z jego recenzji domyślać mogę, uraził się zdaniem o jego dzieło: *Górnictwo w Polsce*, kiedy przy-wiódłszy je na stronie, tę o niem uczynił uwagę iż część gie-ologiczna składa się ze samych błędów. Wszakże sam p. Ł. zgodzi się na to, że piszący w kraju o Wieliczce, już wielo-stronnie uważanym i zgłębianym przedmiocie; przynajmniej tę część górnictwa krajowego prawdziwie opisać był powi-nien, a nie pomnażać i rozsiewać grube błędy, które, jako postępowi szkodliwe, karcić i wytępiać należy, zwłaszcza. kiedy dawniejsi niemało ich rozsiali, jak np. Siarczyński, który w książce przez siebie wydanej w Warszawie w r. 1782, w najlepszej¹ wierze opowiada, że w kopalni Wielic-kiej mieszkają ludzie i tam się rodzą.

L. Zejszner.



Treść książeczki „o kometach i teoryi biegu ciał, przez Jó-zefa Sapalskiego, w Warszawie w drukarni J. Ba-ryckiego 1843, stronnic 190.

Z przypisania *Antoniemu na Ukrainie Chmielewsktemu* do-wiadujemy się pierwszy raz, że Ukraina jest tylko wioską, na której siedzi i od niej się pisze zwyczajem dawnym przy-jaciel p. Sapalskiego, tak, jak się pisywali na Potoku Potoc-cy, na Koniecpolu Koniecpolscy, i t. d. Z tym przyjacielem nasz autor *obłożwszy się stósami ksiąg*, śledził bieg ko-mety 1835 r. i *nie miał objawić zdania swojego publiczności*; ale że postrzegł *wciskające się do umiejętności wnioski zale-żne od jałowego sądu*, musiał się odezwać i napisać książkę o kometach dlatego, że *dość się poświęcał naukom ścisłym*. Przystaniemy się dziwić, że tu kometografia liczy się do na-uk ścisłych, kiedy wyczytamy na stronnicy 65, że *Laplace był naturalistą*. a przedruk dzieł jego starych *czystą jest speku-*

lacy; bo nowe odkrycia rujnują jego teorye. (*) Ważniejszą jest rzeczą dowiedzieć się, co p. Sapalski rozumie przez wnioski zależne od jałowego sądu. Podług niego Newton u-snuł absurdum (str 53), Arago jako gardzący na ławce opozycji, jest reprezentantem niedobitków XVIII wieku (str. 63), a jego wyborna mowa na cześć Laplasa, obejmująca najtre-ściwszą historią astronomii, nie zasługuje na żadną uwagę (str. 65). Nasz ziomek Jan Śniadecki, pisze p. Sapalski, okazał wielką nieudolność w naukach fizycznych (str. 173) i krok za krokiem popelnia błędy, które się nie dadzą nawet usprawiedliwić brakiem ówczesnych doświadczeń (174); że gdyby z krytyk jego mniej odznaczające się prawdą powydzie-rać karty, niewieleby takowych pozostało. (189) Po takim spo-niewieraniu zasłużonych w świecie naukowym ludzi, targa się na same nauki; pisze, np. że filozofia Niemiecka wstrzymuje po-stęp cywilizacji i oświaty (92), że sztuka rymotwórcza klas-zyków Rzymskich i Polskich jest kulawa (189), aich epepeje, ody i satyry mizerne, że o różnicy między wymową a praw-dą dziś mamy zupełnie inne wyobrażenie, jak mieli staro-żytni (190), że Śniadecki z Plutarcha się nauczył niepodob-ne rzeczy do uwierzenia, za pomocą wymowy w prawdę za-mieniać. Przepomniał tu p. Sapalski, że nigdy kłamca mów-cą nie był nazwany i nie jest; bo podług owęj definicyi: „Mówca jest człowiek poczciwy, dobrze mówić umiejący“ (Orator est vir bonus, dicendi peritus), kłamstwo gadali-we i wykrętne być może, ale nie wymowne.

Naganiwszy p. Sapalski zamiar przedrukowania dzieł La-

(*) Gdy to piszemy, na zmartwienie p. Sapalskiego, a na pocie-chę wszystkich matematyczne i fizyczne nauki cenić umiejących, czy-tamy, że już w części przedruk dzieł Laplasa nastąpił; o czem takie jest doniesienie: „Les deux premiers volumes de la collection des oeuvres de Laplace, viennent de paraitre à l'imprimerie royale; on se rappelle que le Ministre de l'instruction publique demanda aux Cham-bres il y a deux ans, cette grande recompense pour la mémoire d'un des plus grands géomètres des temps modernes. Bientôt les savans pourront se procurer facilement des ouvrages indispensables à leurs travaux.“ (Journal des débats 7 janvier 1844).

plasa, woli zrobić przedruk dzieł Bohomolca; jakoż powtarza wprawdzie zdanie jego, *ale jednak czuje się obowiązany zrobić uzupełnienia zgodne z epoką naszą.*

Z jaką trafnością, z jakim sensem i jasnością udało się p. Sapalskiemu poczynić te *uzupełnienia*, na swoim nie na cudzém oparte doświadczeniu, poznamy z *tlómaczenia fundamentalnych zasad i przyczyn potopu*, jakie nam podaje. Pan Sapalski uczy przedewszystkiém, że *ziemia nazywa się po łacinie terra* (103), że *ta ziemia jest twarda, nakoniec że własném poznat doświadczeniem* (104), że *łatwo się kruszy, że znowu fale rozkołysanego żywiołu, wznosząc się do góry, zdają się pysznić swą wyniosłością, a po chwili, jakoby tęskniąc za swoim łóżem, wracają z szumem i łoskotem do niego*; żeby się przekonać o tym szumie, sam jeździł w roku 1835 do Odessy, i widział tam z zadziwieniem burzę. Stąd rezultat, pisze p. Sapalski, że *ziemia ustępuje wodzie, tarozrywa brzegi, zmienia łóżysko i kierunek biegu. Otóż łacy sposób tlómaczenia przyczyny i skutków potopu.* Nie jestże to przystępniejszy i naiwniejszy wykład, nad teorye Newtona, Whistona i innych? każdy widzi i na to się zgodzi kto tylko nauk matematycznych i fizycznych nic nie zna. W dalszym ciągu z oburzeniem powstaje p. Sapalski *na panglozycę, która w starożytności pochłonęła prawdę, tocząc walkę o wyrazy.* Jakkolwiek p. Sapalskiemu nie podoba się logomachia u innych, sam jednak chętnie do wyjątku chce należyć, i dlatego w całej swojej książce po szermiersku wojuje wyrazami; ostro np. wymawia Śniadeckiemu (185) wyraz *samopas, głośno się śmieje* (str. 149) z Józefa Żochowskiego, że niewłaściwie użył wyrazu z *niczego*, i t. d.

Przytoczyliśmy te przykłady, żeby okazać w jak ścisłym związku nasz autor z kometami zostaje, i jak dalekim jest od klótni wyrazowej, kiedy nawet grammatycznych uwag nie pomija; i tak np. tlómaczy się, że wsparty powagą *Gazety codziennéj z r. 1843*, mówi i pisze *ta kometa, a nie ten kometa*; na stronnicy 22 objaśnia, że kometa jest wyraz Grecki i znaczy *gwiazdę kosmatą*, bo, mówi, *żeby rozumiał, ktoby ją wywodził od wyrazu łacińskiego Comes (towarzysz).* Naucza p. Sapalski (str. 22), że *pospólstwo komety nazywało*

miotłami, dlatego że miasta wymiataly; nam się zaś zdaje że komety mają niejaki kształt miotel, i jako z różg złożone, były u pospólstwa symbolem groźby.

Astronomowie, żeby dokładnie oznaczyć czas ukazania się komety, przyjmują epoki pewne i stałe; p. Sapalski ob- staje za bajeczniemi; tak np. przyjmuje epokę *Piasta* (str. 140), który może nigdy nie był na świecie.

Zabawną jest historia nauk matematycznych i fizycznych, jaką p. Sapalski podług swoich wyobrażeń skreśla (od str. 109—114). Pisze najprzód, że *cechy narodów i nauk idą w takim porządku: postęp, wzniesienie się, siła, potęga, przenoszenie się z jednego miejsca na inne, że Apolon Myndius rozumował o biegu ciał w systemie słonecznym podług syste- mu jaki dziś istnieje, że przy końcu XVIII wieku, manioma- tematycy otworzyli pole do nauk matematycznych kuglarzom, a sami matematykę sprofanowali, że czas ten był uśpieniem, czyli chwilą snu: Po śnie przyszliśmy do epoki najbogatszej w doświadczenia; w czem dla przekonania się literalnego od- syła p. Sapalski czytelnika do fizyki J. Żochowskiego wyda- nej roku 1842. (2)*

Komiczniejszy jest jednak nad przytoczoną tu historią nauk fizycznych i matematycznych, wykład mechaniki niebie- skiej i rozumowanie o bezwładności ciał. W ogólności mó- wi p. Sapalski *bezwładność jest śmiercią* (str. 178), jeżeli na- leży do *mechaniki sztucznej* ma nazwisko *widzimi się*, a w me- chanice niebieskiej nazywa się *farsą* (str. 178). Żeby te de- finicye przykładami objaśnić, powiada: *że istota która się* (str. 180) *trzyma za pole szaty w teoryach zhutwiałych jak szpar- gał papieru, jest śmiercią czyli bezwładnością*. Po takim przygotowaniu, rzuca p. Sapalski pytanie (str. 188), *czy w spo-*

(2) Nadmienić tu jeszcze musimy, że p. Sapalski wszystkich zna- komitych ludzi, jacy w historii nauk słyną, nazwiska przeistacza, i tak ich pisze, jak sami się nigdy nie podpisywali, jakoto: *Arrago, Kürcher, Berhave, Koepler* (str. 7, 27, 33, 50, 54, 56, 65, 80, 169), zamiast *Arago, Kircher, Boërhave, Kepler*. Czyto tak gru- ba niewiadość, czy też lekceważenie ludzi, którzy dla nauk poło- żyli zasługi?

sób zadowolniający, opierając się na trzech siłach, to jest ciężkości przyciągającej i odpychającej i teorii Kopernika, Keplera (tak) i Newtona, wytłómaczymy mechanikę niebieską?.. i zaraz sam odpowiada: *zobaczmy*. Jakoż chcąc powątpiewanie to swoje usprawiedliwić, zaczyna dowodzenie następującymi zdaniami: »Gdyby Jan Śniadecki był mniej zwracał uwagi na podrzędne rzeczy i poziome, gdyby zostawił był do rozstrzygnięcia kwestyę o j profesorom lub uczniom, mielibyśmy szacowne dzieła w literaturze polskiej. Jestże tu najmniejszy związek z mechaniką niebieską? a jednak takie *quid pro quo* podług p. Sapalskiego, dostatecznie zbija teorie Kopernika, Keplera, Newtona, Arago i Śniadeckiego. Przywiodłszy p. Sapalski, jakieśmy wiernie wypisali, owe zdania, z radością wykrzykuje *koniec* (str. 190), i zdaje mu się że mówi z Horacyuszem: »*Exegi monumentum aere perennius.*» Ale my wolelibyśmy przytoczyć tu wiersze, już przez samego p. Sapalskiego (str. 140) użyte:

Po staremu, ogniem, mieczem
Wytaniem, spalem i ucieczem.

Pan Sapalski będąc wydawcą fizyki Józefa Żochowskiego, raz stawia go (45) obok *Gay Lussaca* i fizykę jego nazywa *najporządniejszym i systematycznym rezerwuarem prac gienialnych umyśłów*, drugi raz mówi: że *zminął się z prawdą* (171), że *nie pojął ducha filozofii XVIII wieku*, że *pisze* (172) *bez loiki a nawet prawdopodobieństwa*; ale te przeciwności ztąd pochodzą, że p. Sapalski, powtórzmy tu jego wyrazy (81), wszystkich matematyków i fizyków, nie wyjmując Kopernika, Keplera, Newtona ani Laplasa, uważa za *uprzywilejowanych do decyzji*, a sam tylko daje zdanie na *doświadczeniu oparte*. Z takiegogo doświadczenia wylęła się książka o kometach, której treść podaliśmy dla odwrócenia; niebiegłych w matematyce i fizyce, od zasad przeciwnych wszelkiej prawdzie i wszelkiej nauce.

W.....



KRONIKA ZAGRANICZNA

Lukrecya, tragiedya Ponsarda, i stan teatru we Francyi.

Niesłychane powodzenie, jakiego doznała tragiedya Ponsarda *Lukrecya* na scenie Paryskiej, jest faktem. Przeczytawszy jednak to nader słabe dzieło, niepodobna pomyśleć aby przyczyną takowego powodzenia była rzetelna jego wartość i wyższość nad znanymi światu arcydziełami romantycznej szkoły Fracuzkiej. Przeczytaliśmy *Lukrecyę* uważnie, i powzięliśmy mocne przekonanie, że utwór ten nietylko nie może się żadną miarą sadowić w dziedzinie sztuki obok *gieniałnych*, acz niekiedy *potwornych* dramatów Wiktora Hugo, ale nawet estetycznie niższym jest od wielu *efektowych*, choć pozbawionych wyższego gieniuszu, sztuk Aleks. Dumas. A jednakże niezmierne powodzenie *Lukrecyi*, jest faktem! Trzeba więc tego faktu indziej szukać przyczyny, nie w wewnętrznej wartości dzieła, które w pewnych ustępach szczególnych błyszczy wprawdzie niepospolitemi zaletami, ale w całości nie wytrzyma estetycznej krytyki. Kiedyśmy się tą myślą zaprzętałi, wpadł nam w ręce gruntowny rozbiór tej sztuki, przez krytyka Francuzkiego *Karola Magnin*, który i rzetelną wartość tej sztuki sprawiedliwie ocenia, i prawdziwą przyczynę jej powodzenia dokładnie oznacza. Ponieważ sąd tego krytyka jest zgodny z naszym, nadto gdy krytyka ziomka jest najwłaściwszym sądem, a wreszcie gdy ciekawą i zajmującą jest rzeczą wiedzieć co też sami Francuzi światli myślą o tym literackim fenomenie, o stanie swojej literatury dramatycznej, chcąc zapoznać bliżej czytelników naszych w tym przedmiocie, poszliśmy głównie za osnową krytyka Francuzkiego.

Rzecz *Lukrecyi*, żony *Kollatyna*, wzięta z początkowych dziejów starożytnego Rzymu, jest, lub przynajmniej być powinna każdemu znaną; przeto jej nie powtarzamy.

W wykonaniu artystycznem dramatycznego zadania Lu-
krecyi, rozważać będziemy:

1. Charakter ogólny artystycznego utworu.
2. Charaktery szczególne i wynalezienie sytuacji dra-
matycznych.
3. Odbicie artystyczne miejscowych i czasowych zary-
sów starożytnego Rzymu.
4. Styl i język.

Co do pierwszego. Czy *Lukrecya* jest dramatem klasy-
cznym, czy romantycznym?—ściśle rzecz biorąc ani jednym,
ani drugim. Autor nie zachował nietylko jedności miejsca
i czasu, ale nawet istotniejszej jeszcze jedności obyczajów i
stylu. Wpływ Szekspira i An. Chenier jest widoczny: pier-
wszego w poufalości wielu scen domowych, drugiego w atty-
cyzmie wersyfikacyi i języka. Zresztą, w jednym swoim
pismie krytycznem, Ponsard sam wyraźnie oświadczył się ze
zdaniem iż tragedją Francuzką, taką jaka była za czasów
cesarstwa, uważa za umarłą na wieki wieków „*tué à tout
jamais.*“ Tak więc przy swoim wielkiem pokrewieństwie
z nazwy, z osnowy i wykonania z klasyczną tragedją Kor-
nela i Rasyna, *Lukrecya* na każdym miejscu brata się z dra-
matem romantycznym Szekspira i nowej szkoły Francuzkiej.
Może więc *Lukrecyą* uważać należy za wielki krok do poje-
dnania z sobą obu szkół? Jeżeli tak jest, to pomysł autora
nie był ani pierwszy, ani szczęśliwy. Już o takowy estety-
czny kompromis kusili się N. Lemercier, Soumet, Lebrun,
Ancelet, i Kazimierz Delavigne. W tym systemie wydano
nawet dzieła, pełne niezaprzeconych zalet, np. *Marino Falie-
ro* i *Ludwik XI*, a jednak nie ztąd wielkiego w dziejach sztuki
nie wynikło. A dlaczego?—bo eklektyzm w poezyi, w sztuce,
jest marzydłem umu (imaginacyi) miernego, nie zaś pra-
wdziwie twórczego gieniuszu. Eklektyzm w filozofii nie obraża
rozuemu, bo to jest poszukiwanie i odkrywanie we wszystkich
systemach tego co w nich jest *prawdą*. Eklektyzm w kry-
tyce jestto owa bezstronność smaku która widzi i uwielbia *pię-
kność* w jakiegokolwiek ona jawi się formie. Jakoż w istocie
Arystofan i Molier, Sofokles i Szekspir, Homer i Aryost, Ko-
chanowski i Malczewski, Krasicki i autor Wallenroda, maja

swoje względne, acz niezmiernie różne. piękności. i godzi się bez obrażenia prawego smaku, uwielbiać w każdym z nich to, co nas prawdziwie zachwyca. Ale takowe prawo krytyka nie służy bynajmniej artyście. Prawdziwego artystę stanowi jego oryginalność, a oryginalność, to jedność. Prawdziwa wielkość i poezya wszystkich znakomitych pomników sztuki, wypływa właśnie z jedności dzieła, z osobliwej fizynomii utworu będącego wiernem wcieleniem się *umującej jaźni* dzieł mistrza. Eklektyzm więc w poezyi, w sztuce, jestto dzika chęć zlepiania różnorodnych i nie rymujących z sobą elementów, które się wzajemnie znoszą i zobojętniają. Tak więc owo estetyczne *juste-milieu* które niektórzy widzą w *Lukrecyi*, nie jest ani rzeczą nową i wyłączną własnością Ponsarda, ani też może być dostatecznym powodem powodzenia tej sztuki. Słuchajmy więc rozwiązania tej zagadki gdzie indziej.

Co do drugiego. Charaktery i sytuacje utworu i wynalazku Ponsarda nie przemawiają bynajmniej za podniesieniem wartości dramatu. Ze autor *Lukrecyi* niewiele w tej mierze przydał do znanej całemu światu, krótkiej i prostej opowieści *Liwiusza*, tego mu za złe nie mamy. Jestto albowiem rzecz niezawodna że wszystkie legiendy poetyczne które nam zostawiła starożytność, będące już skończonym i w pamięci wszystkich narodów żyjącym ideałem, będące mówię, doskonałą poezją, a jeszcze poezją ludu, nie dadzą się bez wszelkiego dla artysty niebezpieczeństwa przerabiać, rozciągać i rozprawiać; tak, że właśnie to samo stanowi ich powab, wielkość moralną i piękność poetyczną, czyni je nader trudną i niewdzięczną treścią do dramatów. Ponsard nie uniknął tej skali, i to co dla dopełnienia zwykłej miary pięciu aktów, przydał z własnego wynalazku do starowiecznej Rzymskiej surowej płaskorzeźby, wydało wcale niepomysłny skutek. Wspomnimy tu tylko o dwóch charakterach.

Autor, snać dla kontrastu, obok *Lukrecyi*, niewiasty pracowitej i wstydliwiej starożytnego Rzymu, wyprowadza na scenę *Tullią*, kobietę oddaną miękkości i nierządom. *Sextus* porzuca zwiedzioną niegdyś przez siebie *Tullią* a skłania swoje żądze do *Lukrecyi*, i tym sposobem zrzędza śmierć obydwoh. Dotąd, mówi i krytyk Francuz-

ki, pomysł jest piękny i kontrast uderzający. Ale my i na to zgodzić się nie możemy; że między kobiłą cnota a nierządem jest kontrast, ani słowa. Ale dramat nie jest zlepkiem różnorodnych charakterów dla pokazania każdego z nich próbki, ale organiczną całością gdzie każda osoba, a przynajmniej gówniejsza, widocznie wpływać ma na zawiązek, postęp, wikłanie się, rozwijanie i rozrzućnięcie rzeczy gówniej, będącej treścią sztuki. Cała zaś rola *Tullii*, zdaniem naszym, jest romansiem w romansie; każda scena z Tullią jest epizodem; miłość Sextusa dla Tullii tak już wygasła, że go nie zastanawia ani na jedną chwilę w nowych za rozkoszą gonitwach, nie wywołuje w nim żadnej moralnej walki, nie jest więc wcale dramatyczną machiną, bo się nie wiąże ani z losem którejkolwiek gówniej osoby, ani z artystycznym rozkładem scen; Tullia zatem potrzebna tu tylko była dla powiększenia dzieła. Lecznie dość na tém; Tullia jest wiarofozną, występna, niegodna małżonką Juniusa Brutusa! Oto wielki szkopał Ponsarda! Chcąc dla rozszerzenia prostego podania Rzymskiego, dodać osobę całkiem dla nas obcą, zeszecił i poniżył w oczach naszych ów surowy i szczytny ideał Brutusa, który od dwóch tysięcy lat w wyobraźni ludów żyje. W cóż się tym sposobem obróci owa druga, równie szczytna, tragiedya; będąca koroną i koniecznym dopełnieniem zgonu *Lukrecyi*, śmierć synów konsula? P. Ponsard ani pomyślał o tém. A charakter samego Brutusa, jakże pojęty i wykonany? Sprzeczność pomiędzy udanym obłąkaniem, a rzeczywistym rozumem jest i słabą i niezręczną. Występujący co chwila z moralnemi bajeczkami Brutus; podobny jest raczej do przydwornego Ezopa, aniżeli do nieszczęśliwego obłąkańca, za jakiego chciał uchodzić. We wszystkim co mówi, zdrowy, rozum tak widoczny, że w istocie raczej Sextus musiałby być zupełnie ograniczony, żeby się na tém nie poznał. Wreszcie, w wielkiej scenie rozwiązania, kiedy Brutus ze wzniesionym nożem poprzysięga nad trupem *Lukrecyi* pomstę i zagładę sprawcom nieszczęść i zbrodni, to nagłe przeistoczenie się Brutusa waryata w Brutusa bohatera

jest słabe i niewidoczne, bo nie znać żadnej prawie różnicy między Brutusem aktu piątego, a Brutusem czterech pierwszych aktów. Gdzież jest owo przejście nagłe a niespodziewane od nędznej głupoty do najszczytniejszej myśli, owo zmartwychwstanie dzielnego ducha, ten cud który uderzył podziwem i zapalił do walki lud Rzymski? Nie ma go tutaj.

Co do trzeciego. Niektórzy krytycy utrzymywali jakoby główną zasługą Ponsarda był pomysł odmalowania starożytnego Rzymu prawdziwie Rzymskimi kolorami, i talent, z jakim ten pomysł uskutečnił. *Lukrecya* ze względu na prostotę swojego planu, surowość stylu, oszczędność artystycznych środków, ma wprawdzie dosyć wyraźne piętno starożytności; wszakże wyjąwszy tylko zarys ogólny, w szczegółach *Lukrecya* okazuje widocznie słaby zmysł historyczny. A najprzód, sam pomysł artystyczny wskrzeszenia starożytnego społeczeństwa i życia domowego, tak jak Walter - Scott wskrzesił wicki średnie, nie jest bynajmniej własnością Ponsarda. Już Rasyn w *Brytanniku* i Kornel w *Horacyuszach* pokazali się niepospolitemi malarzami Rzymskiego świata; przed kilką zaś laty Alex. Dumas, w swojej dramie *Kaligula* próbował wskrzesić Rzym z czasów cesarstwa. Tyle co do pierwszeństwa. Co zaś do wykonania, *Lukrecya* i w tym względzie ma nie małe błędy. Czujemy się tutaj wprawdzie w atmosferze Łacińskiej, ale bynajmniej nie w pierwszych wiekach starowiecznego Lacyum i Rzymu. Widzimy tutaj takie obyczaje, domyślamy się bytu takich kunsztów, jakie tylko mogły mieć miejsce za cywilizacji o czterysta lat późniejszej. Kobiety mówią i działają, jak za czasów Metella lub Sylli. Czytając wiele miejsc, zdaje ci się że słyszysz echo Katulla, Owidyusza i Propercyusza, nie zaś rozmowy, które toczyli między sobą Rzymianie na trzysta lat przed Enniuszem. Wykwintne rozkosze, o jakich prawią do siebie Tullia i Sextus, przywodzą na pamięć obyczaje Rzymu zepsutego zniewieścią Azyatycką. Charakter Sextusa, młodego rozkosznika, rzekłbym prawie *dandego* Rzymskiego, jest jota w jotę przerysem Gallusa,

Juliusza Cezara, Marka Antoniusza. Taki charakter jest anachronizmem tym trudniejszym do przebaczenia, im mniej zgadzać się może z dzikiem brutalstwem katastrofy. Nakoniec dodajemy jeszcze i to, że cała osnowa charakteru Sextusa jest widocznie przeszczepiona z Dumasowego *Sabinusa*; z tą tylko różnicą, że w *Kaliguli* Sabinus jest człowiekiem swojego wieku, a sybaryta Sextus w swoim wieku jest dziwowiskiem. Widzimy tedy, że prawdziwość barwy historycznej, nie mogła zjednać Lukrecyi przychylnego zdania oświeconych sędziów.

Co do czwartego. Styl, język i wersyfikacya Ponsarda zaleca się w ogólności pewną jędrnością, dobitnością i umiarkowaniem; sąto zaiste niemałe zalety; ale je szpecą dwa wielkie błędy, to jest: brak jedności i wielka niepoprawność. Styl i język Lukrecyi, jest widocznym zlepkiem i naśladowaniem stylu Kornela i A. Chénier. Naśladowanie to przypomina wprawdzie dość szczęśliwie swoje wzory, ale pomiędzy temi dwoma całkiem od siebie różnemi stylami, naprózno byśmy szukali stylu Ponsarda. Co zaś do niepoprawności, to w przywiedzionych przez krytyka Francuzkiego przeszło stu wierszach, widzimy jasno, tak grube błędy przeciw gramatyce, smakowi i logice, że nie chcąc już zarzucać autorowi nieznajomości prawideł swojego języka, możemy go słusznie obwinąć lub o zbyt wielkie zaniedbanie, lub też o brak talentu władania własnym językiem.

Tak tedy ani budowa artystyczna dramatu, ani malowanie charakterów, ani prawda historyczna, ani wreszcie styl i poezya *Lukrecyi*, nie nadają jej prawa do niezwykłych hołdów myślącej publiczności, a jednakże niezwykle powodzenie *Lukrecyi* jest faktem. Gdzież więc rozwiązania tej zagadki szukać należy? Oto w usposobieniu Francuzkiej publiczności. W tém zdarzeniu publiczność wyraziła się z energią dlatego tylko, że znalazła w przedmiocie, w duchu ogólnym i w wykonaniu tragiedyi *Lukrecya*, niespodziewany kontrast z wadami rażącemi ją w większej części dramatów nowoczesnej szkoły. Jestto reakcyja nie przeciwko swobodzie, ani przeciw formie, ale przeciw duchowi i dążności moralnej nowoczesnego dramatu.

W rzeczy samej, stara legiendaria o Lukrecyi, która w innym czasie i okolicznościach byłaby zbyt szczupłą; zużyta treścią do tragedyi, podała Ponsardowi tę nieocenioną korzyść, że stanowi najzupełniejszy kontrast z namiętnościami i sytuacjami ciężącymi od lat dziesięciu na scenie Francuzkiej, a które nakoniec przesyliły i zmordowały publiczność. W *Lukrecyi* Ponsarda działanie, obyczaje, charaktery, wszystko jest proste, regularne, naturalne; widz wychodzi z widowiska pod wpływem wrażeń uczciwych i wzniosłych; patrzył on na katastrofę rodzinną straszną, ale pokrzepiającą duszę i przykładną; wypływająca z niej nauka jest jasna i bez cienia dwuznaczności. To zaś wszystko jest na nieszczęście, wręcz przeciwne wrażeniom, obudzonym w ogólności przez konwulsje nowoczesnej dramy.

Niepodobna aby nie widzieć i nie uwielbiać siły i śmiałości, któremi się odznaczają cenniejsze utwory mistrzów nowej szkoły; ale też razem żalować przychodzi, iż tak znakomite talenta poświęciły się niejako wyłącznie malowaniu obyczajów, namiętności i charakterów wyjątkowych. Wszyscy wielcy dramatyści wszystkich narodów i wieków, Sofokles, Szekspir, Plaut, Szyller, malowali życie ludzkie w swoim rozwoju prostym i regularnym, malowali człowieka takim jakim go nam pokazuje świat i historia; przeciwnie, nowocześni dramatyści Francuzcy upodobali sobie nadewszystko wyjątkowość, osobliwość, potworność; tych zboczeń natury ludzkiej wszędzie wyszukują, za niemi zapamiętałe gonią, i cierpkością i goryczą, ulaknioną scenicznych wrażeń, karmią publiczność. U nich scena, pełna jest zawsze samych tylko aniołów, czartów, olbrzymów; ale naszych braci, ale ludzi nam podobnych nigdy tu nie spotkamy. A jednakże nowoczesnej dramie, panującej samowładnie już przeszło od lat dziesięciu na scenie, nie brakło ani na czasie, ani na swobodzie, ani na przychylności publicznej, aby obaczywszy się nakoniec w błędzie i pojednawszy z odwieczną naturą człowieczeństwa, wyszła z ciasnych manowców potworności i wróciła na rozległy gościniec rzeczywistej ludzkości i sztuki.

Weźmy tu tylko pod uwagę np. misterstwo największego dramatyisty i reprezentanta Francuzkiego romantyzmu, Wi-

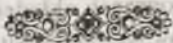
ktora Hugo. Ten poeta utworzył sobie teorią i system zależący na tem, aby w jednej i tej samej osobie łączyć dwa pierwiastki przeciwne, mające się niby wzajemnie wyświecać, a które niestety! zbyt często wzajemnie się zaciemniają i znoszą. I tak w dramie *Marion de Lorme* poeta chciał nam pokazać, że miłość jest uczuciem tak silnie władnącem i szczytném, iż może nawet nierządnicę oczyścić i powrócić cnoście. Jestto hyperbola poruszająca i wspaniała, ale razem jestto przypadek, nawet w dziejach gorących namiętności, tak osobliwy i niesłychany; jestto sytuacja tak wyjątkowa i tajemnicza, że jej nie możemy uwierzyć i mieć dla niej społeczeństwu, chyba tylko na wiarę wybujałej imaginacji, lub na słowo poety. A tak autor z wielkim talentem i sztuką tego dokazał, że jeżeli nie sprofanował zupełnie miłości, otwierając jej wstęp do serca *Marion de Lorme*, to przydał tylko jeden wstydlivy kwiatek do wieńca zdobiącego skronie nierządnicy. Później Wiktor Hugo doprowadził ten system dramatyczny do swoich ostatecznych kresów, w tragediach *Le roi s'amuse*, *Lukrecya Borgia*, *Ruy Blas*. *Triboulet*, wyrzutek społeczeństwa, istota potworna i upodlona, ma być zarazem ideałem miłości ojcowskiej. Takie zespolenie ohydy i szczytności sprawiło, że pomimo nadzwyczajnych wysileni prawdziwej, wymownej, tkliwej i namiętnej poezji w malowaniu uczucia ojcowskiego, istota nikczemna nie została wielką, istota szpetna nie została piękną, *Triboulet* nie został szczytnym. Szkarada blazna ujęła piękności ojcu. Podobnież miłość macierzyńska, bezecnej duszy *Lukrecyi Borgia*, tak łatwo trującej ludzi, utraciła wiele na swojej świętej piękności. Ani *Triboulet*, ani *Lukrecya Borgia* nie staną nigdy w równym rzędzie z owemi ideałami miłości rodzicielskiej, żyjącemi w imaginacji ludów od lat i wieków tyłu, między *Edyptem* i *Antygoną*, *Kordelią* i królem *Learem*. W *Ruy-Blasie*, autor mieszcząc lokaja u kolan królowej, nie uszlachetnił lokaja, a bardzo poniżył kobietę i królowę.

Nie żądamy bynajmniej w dramacie jedności typu zupełnie i bezwarunkowej, bo to byłoby powrotem do czystych abstrakcyj klasycyzmu. Ale między jednością cieniowaną, a rozdzierającemi ducha antytezami, jest otchłań! Czyliż wiel-

kie artystyczne ideały piękności, których dzieje sztuki wiecznie przechowują pamięć, nie były pojęte wedle systemu jedności? Czyliż Xymena, Paulina, Fedra, Ofelia, Desdemona, Julia, Małgorzata, Hamlet, Rodryg, Romeo, wszystkie te nieśmiertelne ideały dramatyczne, nie dla swojej jedności tak łatwo opanowały imaginacyą i wyryły się na wieki w pamięci wszystkich dusz tkliwych i myślących? Widzimy w naturze, i chętnie dajemy miejsce w sztuce szpetności obok piękności, chętnie widzimy obok siebie śmieszność i szczytność, *Aryela* przy *Kalibanie*; ale umysł nasz cierpi widząc te dwie przeciwności stopniowe w jednej osobie. Aryel i Kaliban w jedni, to zaiste nie ludzka istota: W niezliczonem mnóstwie typów utworzonych przez Walter-Skota, są niektóre co wynikły z kombinacyi kontrastów; ale ten arcymistrz z wielkiem umiarkowaniem chwytą się tego rodzaju kreacyi, i podobnych figur nie umieszcza na pierwszym planie swoich obrazów. Takie są grzechy nowoczesnego dramatu Francuzkiego, i oneto są prawdziwą przyczyną tego, co się dzieje w teatrze na przedstawieniu *Lukrecyi* Ponsarda. Patrząc na ten starożytny obraz z rysunkiem zimnym i surowym; na tę akcyą którą każdy umie napamięć od dzieciństwa, słuchając tych dyalogów długich, spokojnych, ale naturalnych i rozsądnych; znajdując się na tej dramie bez zawikłań i tajemnic, słowem patrząc na to sceniczne dzieło bez wielkiego życia i sztuki, publiczność jednak porusza się, bo jej się zdaje, że odetchnęła powietrzem zdrowem, że widzi przed sobą myślące i działające istoty podobne sobie, że wyszedłszy z manowców, i głogów gienialnego szaleństwa, wstąpiła na szeroki i wielki acz bardzo jeszcze skromny, gościniec prawdy.

Takie są rzeczywiste okoliczności i powody tłumaczące nadzwyczajne powodzenie tragedyi Ponsarda, inaczej bowiem tego rozumieć nie można.

Włkt. Zieliński.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

1843. WARSZAWA.

229. Do jaśnie wielmożnego Tomasza Chmielewskiego biskupa suffragana i administratora archidiecezyi Warszawskiej kawalera orderu ś. Stanisława, przez X. Anzelma Załęskiego (w drukarni księży Pijarów) in folio, arkusz druku.

KRAKÓW.

230. Pastoralki i kolędy z melodyami, czyli piosnki wesole ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane a przez X. M. M. M. (Ioduszewskiego zebrane). *Uwaga.* Piosnki te w kościele śpiewane być nie powinny. Kraków w drukarni Słanysława Gieszkowskiego 1843. 8. str. 221, w drukowanej okładce. Na ostatniej stronnicy jest zezwolenie Cenzury Rządowej w Warszawie. Cena na papierze ordynaryjnym złp. 5, na welinie klejowym złp. 6 g. 20. Noty do melodyj, wśród tekstu piosnek są pomieszczone.

LESZNO I GNIEZNO.

231. Niedzielne wieczory starego stolarza. Powieści dla rzemieślników przez autorkę Odwiedzin babuni. Leszno i Gniezno. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera 1843, 8. str. 105, w drukowanej okładce.

TORUŃ.

232. Starzec z gór, powieść dla dzieci, z Niemieckiego, w Toruniu u Ernesta Lambeck, 1843. 12. str. 68, w drukowanej okładce.

233. Kaplica w lesie i gołąbek, dwie powieści moralne dla dzieci i ich przyjaciół, przez autora Jajek wielkanocnych, z Niemieckiego. W Toruniu u Ernesta Lambeck. 1843, w 12. str. 76, w drukowanej okładce.

234. Medalik cudowny, 1832 roku, w Paryżu wybity, również *historia*, opis i cuda jego, jako też dziewięciodzienne

nabożeństwo do Matki Boskiej, z Niemieckiego za dozwole-
niem świeckiej i duchownej zwierzchności. W Toruniu 1843.
Nakładem Ernesta Lambecka. w 12. str. 46, w drukowa-
nej okładce.

1844.

WARSZAWA.

30. Mikołaja Kopernika założyciela dzisiejszej astronomii
w 300 lat od jego skonu i objawienia jego układu, spomnie-
nie jubileuszowe; w Warszawie, w drukarni J. Ungiera 1844,
przez Adryana Krzyżanowskiego doktora filozofii, profesora
byłego królewskiego Warszawskiego uniwersytetu. 8. str. 32.
W drukowanej okładce z drzeworytem W. Smokowskiego,
wyobrażającym Mikołaja Kopernika według pomnika wystawio-
nego mu w Warszawie dnia 11 maja 1830 r. Cena złp. 1. g. 15.

31. Kalendarzyk polityczny na rok 1844, wydany przez
Fr. Radziszewskiego. Rok dwunasty. W Warszawie, w drukar-
ni przy ulicy Bednarskiej, w 16. w drukowanej okładce str.
504 i 44; ozdobiony dwiema rycinami litografowanymi wy-
obrażającymi *Belweder* w Warszawie i *Zamek* w *Oporowie*
wraz z opisem historycznym przez W. G. Gawareckiego. Ce-
na złp. 6 g. 20.

32. Ogrody północne przez Józefa Strumiłę, radcę ho-
norowego cesarskich towarzystw wiejskiego gospodarstwa,
tudzież miłośników ogrodnictwa: rzeczywistego członka i ka-
walera. Wydanie czwarte poprawne, z dziesięciu tablicami
litografowanymi, zawierającymi 70 figur, plan i widok ogro-
du Angielskiego. Wilno, nakładem Rubena Rafałowicza księ-
garza Wileńskiego, w drukarni M. Zymelowicza typografa
1844, tomów trzy w drukowanych okładkach, in 8. tom 1.
str. 323, tom 2. str. 368, tom 3. str. 404. Cena złp. 40.

33. Rocznik ogrodniczy, przez autora Ogrodów półno-
cnych. Wilno, nakładem Rubena Rafałowicza księgarza Wi-
leńskiego, w drukarni M. Zymelowicza typografa 1844. 8, w dru-
kowanej okładce. Cena złp. 4.

34. Kalendarzyk damski na rok 1844. Rok pierwszy.
Warszawa, w drukarni J. Ungiera, nakładem tegoż w 16. str. 12
samego kalendarza, str. 8 dni galowych i świąt żydowskich.

str. 40. zawiera rozprawę p. Hipolita Skimborowicza pod napisem: „*Umysłowość kobiet w Polsce.*” Cena złp. 2, g. 10.

35. Sztuartowie, powieść w 3 tomach z Francuzkiego Aleksandra *Dumas*. Warszawa, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietrich 1844, tom 1. str. tom 2. str. 189, tom 3. str. 162, w drukowanej okładce, w 16. Cena złp. 8.

36. Kazania adwentowe i mowy pogrzebowe, przez X. Andrzeja Kielczewskiego, w Warszawie, w drukarni XX. Pijarów 1844, 8. w klejowej okładce.

37. Roczniki gospodarstwa krajowego tom IV. N. 1. Warszawa, drukiem S. Strąbskiego 1844. 8. str. 190, w drukowanej okładce, wydanie ozdobne. Pismo to wychodzące kwartalnie, za roczną prenumeratą złp. 20, zawiera w pierwszym na r. b. zeszytcie: „O rolnictwie w Anglii, wyjątek z dzieła: Supplement to the Encyclopedia Britannica“ przez A. hr. Z. O cukrownictwie z buraków na skalę gospodarską, wraz z opisem prób i doświadczeń w tym kierunku w Chrzęstowie wykonanych przez T. P. Próby praktyczne ułatwiając włościanom występowanie z dzisiejszej nędzy, i zapewniając im byt samoistny przez St. Hr. Kr. O utrzymaniu i irygacyi łąk. O uprawie łąk p. F. Villeroy rolnika z Rittershoff w Bawaryi. Odpowiedź na recenzją p. Miączyńskiego o rocznikach gospodarskich. Niektóre uwagi dotyczące sprowadzania koni Angielskich do kraju naszego, niemniej chowu koni w Anglii, przez Filipa Eberhard. Respiracya liści roślinnych, przez K. G. Cukier z kukurydzy p. K. G. Katalog dzieł Polskich dotyczących włościan, stosunków ich z dziedzicami, i nawzajem, p. K. G. Jak pojmował *Karozy* możność podniesienia klasy włościańskiej w Polsce? Żyto flancowane przez St. Kr. Ogłoszenie nagrody za najlepszą rozprawę o sposobach najskuteczniejszych i najtańszych podnoszenia wody, celem polewania łąk. Rzut oka na stan handlu w upłynionym kwartale.

38. Poradnik domowy, obejmujący sekreta gospodarskie, czyli zbiór przeszło 300 doświadczeń i sposobów w rozmaitych potrzebach gospodarskich, użyciu kuchenném, lekarskiem, tudzież w fabrykacyi i handlu, przez L. F. Szczyńskiego. wydanie drugie pomnożone. Cena kopijek sr. 50, złp. 3 g. 10

Warszawa, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego 1844. 8. str. 257, w drukowanej okładce.

39. Leon Leoni, powieść Jerzego Sand (Dudevant) tłómaczył z Francuzkiego Antoni F. Warszawa, nakładem Franciszka Szeibok, 1844. w 12. Tomów dwa. tom 1, str. 126, tom 2. str. 144; w drukowanej okładce.

LWÓW.

40. Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa syna Bożego, przez p. Silberta, przekład Ks. M. K. Lwów, nakładem Franciszka Pillera i Spółki 1844. 8. Prócz przemowy str. 113, w drukowanej okładce.

LIPSK.

41. Dzieła dramatyczne Fryderyka Szyllera, przekład M. B. tom 1. z portretem autora. Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk nakładem księgarni zagranicznej (Librairie étrangère) 1844 12, w drukowanej okładce, str. 394. Zawiera: 1. Życie Szyllera. 2. Oblubienica z Messyny, przekład wierszem rymowym. 3. Intryga i miłość. *Wł.*

Doniesienia literackie.

Nakładem księgarza S. Orgielbranda, który tyle ważnych dzieł dla literatury naszej wydał: wyjdzie wkrótce Szkic obyczajowy w 2 tomach, Słanislawa Bogusławskiego. Znanyto jest pisarz kilku komedyj z zadowoleniem przyjętych.

Przegląd Naukowy, pod redakcją Hipolita Skimborowicza, na rok bieżący wychodzić będzie.

Nakładem księgarza Merzbacha, wkrótce opuści prasę drukarską, powieść w 3ch tomach pod napisem: „*Wajdelotka, czyli Dolina Alexoty*,” przez (pannę) J. O.

Drzeworyty upowszechniają się w wydawanych w Warszawie dziełach. Znakomity nasz artysta Wincenty Smokowski. pierwsze ich próby okazał przy dziele: „*Starożytna Bi-*

blioteka pisarzy Polskich.“ Następnie do opisu, „*Starożytnéj Polski*“, wydawanej przez pp. Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, herby wykończył: oba te dzieła wydaje księgarz S. Orgielbrand. Dzieło zaś: „*Starożytne Obrazy*“, nakładem G. Sennewalda, illustrował XII drzeworytami. Do drugiego wydania *Witoloraudy* Kraszewskiego, przesłał 50 drzeworytów. W *Niezapominajkach* noworoczniku K. Korwella wykonane wedle oryginału, widzimy równie jak i w *Snopku*, własnego układu drzeworyty tegoż artysty. Drukarnia p. S. Strąbskiego odznaczająca się między wszystkimi, pięknym drukiem i ozdobnemi wydaniem, posiada maszynę, na której odbicia drzeworytów, przez umyślnie na ten cel wprowadzonego z Berlina presera, nie zostawiają do życzenia, i śmiało się z zagranicznymi o pierwszeństwo ubiegać mogą.

Pani Eleonora Szyrmer, znana autorka kilku wysoko cenionych powieści, napisała nową powieść: „*Czarne oczy*“ i przesłała ją do Tygodnika Petersburskiego. „Możemy zapewnić (pisze szanowny wydawca tego pisma), że w świeżości pomysłu, doskonałości obrobienia i w pałającym interesie, ten nowy plód pierwszorzędnego talentu, w niczem nie ustępuje dawniej znanym.“ Drukowanie „*Czarnych oczu*“, rozpocznie się w pierwszych numerach tygodnika na rok 1844.

Wydawca *Rocznika literackiego* p. Romuald Podbereski ogłosił prenumeratę, na *Rocznik Literacki* na rok 1844. Dzieło to składać się będzie z artykułów pp. Kraszewskiego, M. Grabowskiego, X. Hołowińskiego, X. Ant. Moszyńskiego, Żegoty, O. Nacewicza, K. Bujnickiego, Mich. h. Borchy, Alex. Grozy, I. Ł. Zablockiego, Ł. Janiszewskiego, Wł. Strzelniczego i innych. Ozdobiony będzie drzeworytami rżniętymi w *Paryżu*, litografiami, a nadto portretami przez Karola i Rudolfa Żukowskich, i muzyką p. Proszyńskiego do „*Mazurek nad-Newskich*.“

P. Norbert Eygird z Krzemieńca wykończył dzieło w 3ch tomach „*Metoda języka Angielskiego wypracowana dla Polaków*.“ Tom I. zawiera zbiór wyrazów najpotrzebniejszych,

(każdy wyraz Angielski z wymawianiem po polsku, lub oznaczony numerami dla pewnego wymówienia) i rozmowy potoczne w różnych odcieniach konwersacji. Tom II. Teoretyczno-praktyczna grammatyka z ćwiczeniami do tłumaczenia na Angielskie; przy końcu grammatyki słowniczek Polsko-Angielski. Tom 3ci wypisy Angielskie: różne wyciągi z autorów najlepszych Angielskich do tłumaczenia na Polskie: przy końcu wypisów, słowniczek Angielsko-Polski.

Z listu ze Lwowa.

„Dziennik mój pod redakcją p. Kulczyckiego, jest jedynym u nas pismem, które ma jakąś wartość literacką. Powszechnie tu żałują zmarłego Józefa Dunin Borkowskiego; śmierć jego osierociła bardzo przysze grono literatów tułtejszych, a strata jego nie łatwie może być wynagrodzoną. Ogłoszone przez ś. p. Józefa Borkowskiego *Album*, wydał brat jego Alexander. Jest tam żywot zmarłego pięknie skreślony przez Aug. Bielowskiego; w tem *Album* są powieści Józefa Dzieszковского: jestto niezaprzeczenie bardzo utalentowany pisarz, który teraz w piśmiennictwie zajmie niepospolite miejsce. Ma niemało gotowych powieści, z których każda wyrówna śmiało powieściom Kraszewskiego. O prawdzie tego zdania, *Album* czytającą publiczność przekona. Obdarzony żywą wyobraźnią, silnem czuciem, zna powab, łatwość i siłę rodzinnego języka, i umie nim należyście władać. Na pomienione *Album* składało się całe grono naszych pisarzy: *J. N. Kamiński, Alexander Fredro, Walenty Chłędowski, Wincenty Pol, Dominik Magnuszewski, August Bielowski, Józef Dzieszkowski, Adam Gorczyński, Alexander Dunin Borkowski, Stanisław Przyłęcki i K. Podolecki.*

Z dzieł świeżych muszę tu wspomnieć pisma L. Kropińskiego, znanego autora *Ludgardy*, i romansu w swoim czasie głośnego „*Julia i Adolf.*“

Znany wam nasz ziomek Zawadzki badacz natury. *Baron Dejean* w dziele swoim w Paryżu wydanem, opisał chrząszcza przez profesora Zawadzkiego w górach Karpackich odkrytego, przyłączył rysunek, i dał mu nazwę: *Abax Zawadzki.* Na ostatniem posiedzeniu badaczy natury i lekarzy,

w Gracu w miesiącu wrześnie r. z. odbytem, na którym się professor zaproszony znajdował: Dr. Frydwaldzky, kustosz przy Muzeum narodowem w Peszcie, okazywał nowo odkrytego chrząszcza z gór Balkańskich, którego, w nagrodę zaślug naszego ziomka, nazwał „*Saperda Zawadzki*.”

Z Krakowa otrzymujemy właśnie wiadomość, że w drukarni uniwersyteckiej wyszła: „*Grammatyka praktyczna języka Polskiego*” przez Józefa Muczkowskiego: oddział 1; z drukarni zaś Stanisława Gieszkowskiego: *Dzwon i Rezygnacya* dwie pieśni Fryderyka Szyllera przekład A. G. Niezawadzi tu dodać że tłómaczenie to niczém zalecone być nie może. „*Przeszłość i terażniejszość*.” prolog wierszem na otwarcie teatru Krakowskiego, przez autora komedyi *Rej z Nagłowic* (Konstant. Majeranowskiego).

n. —

Księgarnia Stanisława Gieszkowskiego zajmuje się wydaniem *Dykeyonarza biblijnego* w 4 tomach, przełożonego jeszcze r. 1810 przez X. Tadeusza prowincyała kapucynów, na język Polski z oryginału Włoskiego X. Prospera de Aquila.

Wydawca tygodnika Petersburskiego: p. Józef Przeclawski nadesłał księgarzowi Glücksbergowi do druku rękopism wysokiej wartości, treści filozoficznej pod napisem „*Śmierć i odrodzenie*.” Tenże księgarz wydaje powieść „*Bigos hultajski*” przez Blepońskiego. Wyborny wyjątek z dzieła tego czytaliśmy w *Ateneum* J. Kraszewskiego:

W Moskwie, Zborzewski nie przestaje pracować nad odkryciami paleontologicznemi. Ostatnia jego praca umieszczona w *Rocznikach naturalistów Moskiewskich* (*Bulletin de la Société Impériale des naturalistes de Moscou* tom XVI, 1843) ma za przedmiot opisanie nowego rodzaju drobnych muszelek, który autor *Dactylina* nazwał. Znajome są naturalistom Niemieckim i Francuzkim, i nieraz wspomniane przez nich, dawniejsze tego naturalisty odkrycia, tyczące się historyi naturalnej Podola i Wołynia. Czytamy zaszczytne odwoływania się do nich w *Zoologia specialis* Eichwalda (1), w *Skizze*

(1) Wydana w Wilnie w trzech tomach 1830 r. (ap. w części II. na str. 35).

von Lithauen, Volhynien und Podolien tegoż, (2), w *Lethaea geognostica* Dra Bronn (3), i t. d. ale całość tych uczonych prac Zborzewskiego obejmują pamiętniki i buletyny Tow. naturalistów Moskiewskiego. (4) Ich przedmiotem są mianowicie różne drobne skamieniałe muszki i t. p. na Podolu i na Wołyniu przez niego odkryte, które dla uczczenia pamięci innych naturalistów, ponazywał od ich nazwisk, jakoto: *Ceriolina Jarockii*, *Cellulina Besseri*, *Cellulina Puschiei*, *Phyllocrina Krynickii*, *Actinina Jarockii*, *A. Andrzejowskii* i t. d. gdy znowu Eichwald, gatunek jeden (*Raphanulina Zborzewskii*) jego nazwiskiem oznaczył. (5)

Redaktor *Roczników Gospodarstwa Krajowego* w Tomie 4 Nr. 1, ogłosił nagrody złp. 1000 za najlepszą rozprawę o sposobach najskuteczniejszych i najtańszych podnoszenia wody celem polewania łąk (Irrigacyi). Termin ostateczny do złożenia żądanej rozprawy w księgarni Spiessa i spółki w Warszawie, naznacza się na dzień 10 czerwca r. b. Do ocenienia rozpraw nadsyłanych celem przyznania przeznaczonej na-

(2) Wydane w Wilnie w r. 1840 in 4to.

(3) Wydawana w Sztutgardzie (zob. tom 2 z 1838, na str. 1149, 1150)

(4) Obejmują one między innymi: *Observations microscopiques sur quelques fossiles rares de Podolie et de Volhynie*, par A. Zborzewski, rzecz napisana w Krzemieńcu r. 1832.

(5) W liście pisanym do nas z Moskwy w październiku r. z. wyraża pewien z korespondentów naszych: „Dziwne losów igrzysko zapędziło do tutejszej stolicy p. Wojciecha Zborzewskiego, niegdys nauczyciela liceum firzemienieckiego, a teraz emeryta... Mamy wielkie poważanie dla tego szanownego męża. Dość wejść do jego małego gabinetu, aby przejąć się głęboką czcią dla nauki... Stolik, a na nim notaty naukowe, mikroskop, i puszki z rozmaitemi drobnymi ciałami... Przy ścianie drugi stół, a na nim rozłożone kamienie i dzieło Goldfusa w ogromnym in folio formacie, wartujące 200 r. s. Obok stołu dwa kantorki: z mnóstwem rękopisów i z dziełami najnowszy z nauk przyrodzonych. Mnóstwo dzieł na podłodze, i kamienie rozłożone pod stolami... Dwanaście szaf i 24 pak mineralów w Puławie, 3 szafy w Lucku, składają kolekcją jego wartującą kilkadziesiąt tysięcy złotych... Może wysłany będzie kosztem tutejszego towarzystwa naturalistów, dla podróżowania w celu naukowym, a to żywił jego.“ P. Zborzewski prace swoje ogłasza zwykle językiem Francuzkim; jedyny, pisany po polsku, artykuł jest w *Tygodniku Petersburskim* (Nr. 67 z r. 1841) pod tyt: *Postrzeżenia nad spadającymi gwiazdami od 29 lipca do 2 sierpnia w Puławie.*
P. R.

grody, użyte będą osoby których nauka do wydania sądu w tym przedmiocie kwalifikuje. Opinia sędziów, protokolarnie spisana, doręczoną będzie każdemu z autorów z rozprawami zgłaszających się. Kwota złp. 1000. przyznana zostanie autorowi rozprawy, za odpowiednią i wyczerpującą zadanie uznanej. Wypłata nastąpi najpóźniej w dniu 31 października 1844 w biurze Redakcyi, bez oddzielnego wezwania.

SPROSTOWANIA.

(zob. str. 260)

str.	w.	zamiast:	czytać:
VII	— 6	dalej	dalecy
	7	od chępliwości	chępliwości
60	— 17	Rozstrzygnął zwady, dzięki od pani odbierał	Rozstrzygnął bi- twę, dzięki od kró- la odbierał
64	— 5	MATKA	OJCIEC
228	— 3	...lenia	...lenia
	5	od dotu le	le
256	— ostatni	Leonar...	Leaar...

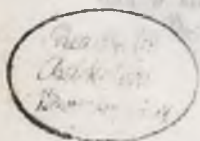
W spisie na okładce poszytu styczniowego:

20		zakłady peryodyczne	zakłady dobroczyn- ne
302	— 2	...tpadki	...padki
	4	omach	tomach
312	— 22	trymurei	trymurty
322	— 2	Wilhem	W ilhelm
341	— 15	drama turg ipod...	dramaturgi i pod...
350	— 6	od dotu Hołomiński	Hołowiński
424	— 12	Kochatyńskiego	Rohatyńskiego
432	— 8	kształci	kształcić
461	— 23	Bonar	Boner

W tonie IV. 1843 r.

410	— 2	od Paryża liczoną	od Paryża na wschód liczoną
	11	22° 20' 22'', 2	17° 39' 37'', 8
415	— 18	wschód i zachód słońca	przekreślić
713	ostatni w ni- których exem.	Oxenhausena	Oyenusena.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DROGI ZELAZNE W EUROPIE

wydawnictwo
Wilhelm Holtberg

— Drogi dawniejsze — Drogi w budowie — Drogi projektowane



Wzrost

Drogi żelaznych w Europie w latach 1825-1912

Region	1825	1912
Anglia	222	222
Włochy	127	127
Francja	124	124
Prusy	112	112
Belgia	108	108
Hiszpania	104	104
Portugalia	100	100
Węgry	96	96
Włochy	92	92
Hiszpania	88	88
Portugalia	84	84
Węgry	80	80
Włochy	76	76
Hiszpania	72	72
Portugalia	68	68
Węgry	64	64
Włochy	60	60
Hiszpania	56	56
Portugalia	52	52
Węgry	48	48
Włochy	44	44
Hiszpania	40	40
Portugalia	36	36
Węgry	32	32
Włochy	28	28
Hiszpania	24	24
Portugalia	20	20
Węgry	16	16
Włochy	12	12
Hiszpania	8	8
Portugalia	4	4
Węgry	0	0

Źródło: dane własne autora

TERMOMETR
Barometru
DOSTRZEŻENIA

METEOBIOLOGICZNE

w Obserwatorjum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

GRUDZIEŃ — 1843

	mm.	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	753,966	27	10,231
Najwyżej barometr dochodził			
d. 26 o 10 g. r.	764,07	28	2,709
Najniżej			
d. 9 o 10 r.	733,56	27	1,185
Srednia zmiana dzienna barometru	4,16		1,84
Najw. zmiana dzien. d. 9 — 10 o g. 10	16,39		7,27
Srednia wysokość barometru jest wyższa o	2,441		1,083
od stanu normal. z 17 lat poprzedz.	(751,525	27	9,148)
Srednia temperatura Grudnia jest	+ 2°22 C.	+	1,78 R
i ta jest wyższa o.	4,75		3,80 „
od stanu normalnego z 17 lat poprz.	(-2,520	„ -	2,023.) „
Najwię. ciep. doch. d. 15 o 4 g. w.	+ 6,0	+	4,8 „
Najmniejsze d. 11 o 6 g. r.	- 3,1	„ -	2,5 „

(Termometrograf wskazał

Max. + 6°3 R. d. 8, min—4°4 R. d. 11)

Srednia zmiana dzienna temperatury	1,77	„	1,42	„
Największa zmiana dzienna d. 15—16	9,0	„	72	„

Srednia wilgotność powietrza wynosi 93,7, którą 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, albo 5,80 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Srednia temperatura miesięczna źródła
za pałacem Kaźmirowskim + 6°9 R.

Dni pogodnych wcale nie było; na pół pogodnych 7 pochmur. 24.
— deszczu 18 (d. 1, 4, 6, 8, 9, 12, 13, 14, 19, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29).
— śniegu 4: (d. 2, 9, 10, 12).
— krup 1, (d. 16)

Wody z deszczu spadło milim. 18,60 czyli 8,24 lin. z śniegu 4,80 millm. czyli 2,13 lin., razem 23,40 lin. 10,37 lin.

Grudzień r. b. był nadzwyczajnie ciepły, niepogodny, wietrzny, śniegu spadło niewiele, zato deszcze były częste lecz nie obfite.

Wiatr panujący Z.

Wichrów i wiatrów mocnych 7, t. j. Z. 4; PnZ. 3.

Koło białe wielkie otaczało księżyc d. 5 i 7.

Takież koło około słońca d. 11.

ZORZA

dziennik młodemu wiekowi poświęcony.



Redakcja Zorzy zachęcona miłym przyjęciem prac swoich, pomimo różnych przeszkód i trudności na drugi rok dziennik swój wydawać będzie, a niezrażając się przeciwnościami doskonalic go dalej pragnie, i równie zyskać sobie nagrodę w przychylnych sercach młodych czytelników swoich.

Zorza mieścić będzie artykuły w tym samym duchu jak roku poprzedniego, oparte na religii chrześcijańskiej, moralność głoszące, i przykładami cnoty zachęcające do jej pełnienia. Znajdą w nich czytelnicy młodzi obok rozrywki i naukę pożyteczną, i wiadomość historyczną niejedną, zastosowaną do pojęć młodocianych, bo również jak w roku zeszłym dziennik ten poświęca redakcja rodzinom, to jest dzieciom i dorastającej młodzieży.

Pragnąc zaś jak najprzystępnijszém uczynić pismo swoje, redakcja postanowiła zmniejszyć jego cenę, a dla usunięcia niektórych niedogodności ze zbytniego rozdrobnienia pochodzące, które często i w doborze artykułów przeszkodą bywają, wydawać będzie Zorzę na rok 1844 po jednym poszycie z końcem każdego miesiąca, dokładając wszelkich starań, by na tej zmianie czytelnicy bynajmniej nie tracili.

Każdą pomoc stosowną z dążnościami Zorzy i jej zakresem, redakcja z wdzięcznością przyjmuje, i prosi o nią [poświęcających się temu rodzajowi piśmiennictwa.

Przedpłata na Zorzę przyjmuje się tylko rocznie, wynosi w Warszawie i na wszystkich Urzędach i Stacyach Pocztowych w królestwie: Rubli sr. 2 kop. 70 (Złp. 18).

Skład główny wspomnionego dziennika tak jak dotąd w Księgarni G. Sennewalda przy Ulicy Miodowej, gdzie wszystkie listy i pisma nadsyłane *franco* pod adresem *Redakcji Zorzy* przyjmowane będą.

w Warszawie d. 18 (30) grudnia 1843 r.

Redaktorki:

Paulina z Radziejowskich Kraków

Walentyńska Trojanowska.



O zewnętrznych działaniach bezprawnych

w ogółności,

przez

Franciszka Maciejowskiego.

Ostatecznem nauki prawa karnego zadaniem jest: wskazać zasady sprawiedliwej karygodności; odpowiedzieć z wszelką ścisłością na to ważne pytanie:

co, jak, i w jakiej ilości ma być karaniem?

Ścisłości w tym względzie wymaga i bezwzględna sprawiedliwość, i *polityka karna*. (1) Doświadczenie bowiem naucza, że najdzielniejszym prawnym środkiem

(1) Jako zbiór uwag z doświadczenia i historyi wyczerpniętych, podług których prawa karne ze względu na szczególne okoliczności wpływ na prawodawstwo wywierające, w sposób najskuteczniejszy zgodnie z interesem państwa, mają być układane i stanowione.

niweczącym przestępstwo, jest sprawiedliwa, przestępstwu odpowiednia kara. Ona tylko zdolną jest wzbudzić przeświadczenie winy, za którem idzie poprawa moralna. Przeciwnie, kara zbyt mała, sprawia lekceważenie praw, zbyt ostra rodzi oburzenie i zemstę; dwa najprzeciwniejsze poprawie moralnej żywioły. Wiele już o tém z różnym rozprawiano pożytkiem, tak, że dowodzenie byłoby tu zbytecznem, zwłaszcza w szczupłym tej rozprawki zakresie. Dostyć odczytać co w tym względzie przytacza o Anglii, Antoni Zygmunt Helcel w swoim zarysie postępow prawodawstwa karnego, na stronnicy 23 i 25, Kraków 1837 r.

Środek przeto w tej mierze jest najwłaściwszym. Ale wynaleść go, uchwycić i stósować z skutkiem pożądanym, niełatwo; owszem połączonem to jest z wielu nader trudnościami. (2)

Dlatego też nauka prawa karnego, uprzątając owe trudności, przedewszystkiem takie po szczególe rozwija pojęcia i tworzy z nich zasady, jakie uznaje za potrzebne do osiągnięcia tego ostatecznego celu. Zbiór więc tych pojęć i zasad, ma być tylko przysposobionym, potrzebnym materiałem do utworzenia sprawiedliwej kary.

Podaje przeto nauka pojęcie przestępstwa w ogólności, wskazując konieczne wewnętrzne i zewnętrzne warunki, jakie niezbędnie w skład każdego szczegółowego przestępstwa wchodzić muszą; rozwija pojęcie woli działania bezprawnego, winy w ogólném znaczeniu, złego zamiaru, winy w ściślejszem znaczeniu (*culpa in*

(2) Hepp, Commentar über das neue württembergische Straf-Gesetzbuch, w Tybindze, 1839 r. Tom I. Cz. I. str. 19 i następne do 39.

sensu stricto), trafu, tudzież różnej barwy jaka z połączenia się z sobą tych zewnętrznych zjawisk wynika, a mianowicie z przyłączenia się winy ścisłej (*culpa in sensu stricto*) do złego zamiaru i nawzajem; skreśla przedmiot przestępstwa, wskazując różnicę praw, które przestępstwo nadwerężyć może; podmiot (*subiectum*) przestępstwa i różne rodzaje winowajców, tudzież siły które się jednoczą do bezprawnego działania (*conkursus*); wskazuje sposoby i środki za pomocą których objawia się przestępstwo, dalej stopnie działania i różne rodzaje kar, nakoniec zasady stosowania onych do czynów; bo to wszystko potrzebnem jest do wyznaczenia sprawiedliwej karygodności.

Zpośród tych szczegółowych przedmiotów nauki, działanie zewnętrzne, jako objawiające przestępstwo w myśli poczęte, nader jest ważnem. Ono bowiem stanowi chwilę życia przestępstwa, którego naturą jest wraz dawać się w znaki, nadwerężać lub niweczyć prawa osobiste, rzeczowe; różne zaś kształty onego stanowią różnicę winowajców, nadając im stosowne charaktery, do których karygodność odnosić się winna.

Nad niem też bliżej zastanowić się zamierzaliśmy.

Jak nie masz przestępstwa bez woli działania bezprawnego, tak nie może być przestępstwa bez rzeczywistego zewnętrznego działania bezprawnego, to jest takiego, z którego nadwerężenie praw wyniknąć przynajmniej może. Działanie przeto zewnętrzne, jest koniecznym warunkiem do istoty przestępstwa. Ale takie działanie bezprawne zależy od woli bezprawnej; najściślej też między nimi zachodzi powinowactwo. Połączenie bowiem żądź złych z wolą stosownego

działania, daje działaniu bezprawnemu poczucie. Wola one w swém łonie poczyną i objawia, wydając na świat społeczny za pomocą posłusznój sobie siły wykonawczej, jaką człowiek jest obdarzony. Przystępujący zatem do poznania zewnętrznych działań bezprawnych, powinien już mieć należyte pojęcie woli bezprawnej. (3)

Działania bezprawne objawiają się w rozmaitych kształtach od woli zawistych.

Skręślić takowe pokrótce w ogólności, o ile to użytecznem się okazuje, dla ustanowienia sprawiedliwej karygodności, będzie naszą usilnością.

Winniśmy przedewszystkiem nadmienić, że skutkiem działania bezprawnego, ma być nadwergężenie praw, chociaż może niekiedy wyniknąć w miejsce zamierzonego lub łatwo przewidzieć się dającego nadwergężenia, dobry, prawu nieprzeciwny skutek, tak, jak nawzajem może się wydarzyć nadwergężenie, chociaż działanie będzie prawne. Ale przyczyną takich wypadków, jest obojętny w prawie traf, który ani korzyści winowajcy w ogólności nie przynosi, ani też może być zasadą kary. Gdzie zatem nadwergężenia przepuścić nie można, tam znika bezprawność działania. Zasadą zaś do uznania czy nadwergężenie ma miejsce, jest wola osób, przeciw której działanie zostało skierowanem. Im przeciwniejsza wola, tym większa pewność nadwergężenia, i odwrotnie, zgodność woli osoby téj z wolą działającego, niweczy pojęcie nad-

(3) Zobacz w tym względzie ogólne zasady nauki prawa karne-go przez Romualda Hube, w Warszawie, w roku 1830 wydanego str. 251 do 303, tudzież Mayera *Von Thatbestand und der Thä-terschaft*, 1836 r.

werężenia a tém samém i przestępstwa, byleby ta wola tyczyła się praw, któremi rozporządzać można, i wychodziła od osoby zdolnej prawami swemi rozrządzać. (4)

Przystępując do skręślenia różnych kształtów działania bezprawnego, zaczynamy od ogólniejszych. Są bowiem ogólne działania główne i pomocnicze, są któremi pewne tylko przestępstwa spełnić się dają; są działania siłami połączonemi przedsiębrane, są rozpoczęte bez wydania skutków należytych, wreszcie są środki do działania potrzebne.

Najogólniejszemi działaniami są:

1) Bezpośrednie i pośrednie. Pierwsze są takie, bez których przestępstwo spełnić się nie może; drugie są tylko spomagające działania bezpośrednie. Tamte same sobie wystarczając, są dostateczne do spełnienia przestępstwa, te bez pierwszych żadnego prawnego znaczenia nie mają, i tak dalece zależą od nich, że o tyle tylko nabierają ważności karygodnej, o ile bezpośrednio rozwijając się, nadwerężają prawa. Ztąd podżegacz, (5) współnik i uczestnik, chociażby z swej strony wszystko co do nich należało uczynili, nie ściągają na siebie żadnej kary, jeżeli sprawca główny nie przedsięwziął przynajmniej i nie rozpoczął bezpośredniego działania, i tylko w miarę postępu działania sprawcy, zlewa się karygodność na łącznie działających współników. (6)

(4) Chauveau et Hellie, théorie du Code-pénal. Vol. V. 233.

(5) Chybaby prawo, już samo podżeganie, jako knowanie uważając, bez względu czy było skutecznem lub nie, w ważnych zbrodniach, np. w zbrodniach stanu, karygodnem uznało.

(6) Chauveau et Hellie théorie du Code-pénal II. p. 31. 117.

Stosunek między temi działaniami, zależy od ważności działania pośredniego. Ztąd następująca zasada:

Działania, chociaż z natury swój pośrednie, równają się bezpośredniemu, jeżeli bez nich działanie bezpośrednie byłoby niedostatecznem. Im zaś mniej były potrzebnemi, tym moc i ważność ich słabsza, okazać się może wkońcu bez znaczenia prawnego. (7)

Na takim ogólnym różnicy wskazaniu, poprzestać należy; oznaczenie bowiem stopni zbliżających ku sobie moc tych działań, jako zależące od rozmaitych okoliczności działaniom towarzyszących, jest niepodobnym. Pozostawić to raczej należy światłu i roztropności sędziego, który wedle ważności zbliżającej działania pośrednie do bezpośredniego, wielkość kary w stopniu zastósuje. Na trzy wszakże stanowiska szczególniej zwracaćby tu można uwagę: na bliskie, środkowe i odległe. Pierwsze ma miejsce gdy się schodzą i ściśle łączą pośrednie działania z bezpośredniemi; drugie gdy pośrednie mniej okazują się potrzebnemi, ale są jednak przydatne; trzecie gdy są zbyteczne, np. kto zmównie przytrzymuje broniącemu się ręce, kiedy morderca sztyletem uderza, chociaż przytrzymanie takowe nie jest bezpośredniem działaniem śmierć zrządzającym, przecież jako niezbędne do zadania ciosu śmiertelnego, będzie równe bezpośredniemu. Lecz kto stoi wtedy zmównie na straży, działanie jego jest tylko pomocą pośrednią, bo chociaż się przydała, jednak i bez niej morderstwo spełnionem być mogło. Kto wreszcie jest tylko przytomnym tego morderstwa, mógł a nie przeszkodził, lub o spełnieniu nie doniósł a donosić o zbrodniach prawo nakazuje, działanie je-

(7) Prawo Bawarskie art. 45.

go prawie przestaje być nawet pośredniem i będzie tylko odleglejszem daniem pomocy, wyjąwszy, gdy w tym względzie zachodzi zmowa, bo wtedy nieprzeszkodzenie zbliża się do stanowiska drugiego. Zobacz niżej pod nieczynieniem.

Powyższe działania mogą być:

2. Słowne i uczynkowe. Obrazić bowiem prawa można słowem lub uczynkiem, nigdy myślą (8), chociaż zła myśl pod względem moralnym i religijnym grzechem jest.

Słowo i symbola mowy, jakoto pismo, druk, ryciny, malowidła a nawet migi, za pomocą których objawia się myśl nasza, są nader ważnem pod względem przestępstwa działaniem, ale różnią się znakomicie od działań uczynkowych, tak dalece że zasadzając się na zachodzącej między nimi różnicy, możnaby uczynić podział przestępstw na słowne i uczynkowe, gdyby w tym względzie nie zachodziły pewne trudności.

Słowo uważać można, albo jako działanie bezpośrednie, albo pośrednie tylko.

Bezpośrednio obraża:

a) słowo poniżające godność człowieka; takim jest słowo obelżywe, łajzące, szydercze, złośliwe zarzuty ogłaszające:

b) słowo moralność nadwerężające:

c) słowo groźne, złem zagrażające i przezto wzniecające obawę względem bezpieczeństwa praw. Tu należą, groźby stanowiące przestępstwo oznajmione, zmowy, spiski.

(8) *Nec consilium habuisse noceat, nisi et factum fuerit*, l. 533 225. D. de Verb. Sign. 50, 16.

Pośrednio działa:

Słowo podżegające, za pomocą którego objawia się powzięta myśl przestępna, aby jako nasienie złego wszczepiła się w myśl i wolę działania uczynkowego drugiej osoby.

Rzucone tym sposobem nasienie złego, jeżeli padnie na rolę odpowiednią, przyjmie się łatwo. Ztąd zawiązek przestępstwa, które nanowo poczęte, rozwijając się stopniowo dojrzeje, a doszedłszy właściwej swej mocy, objawia się siłą wykonawczą, i staje się uczynkiem właściwe sobie skutki wywierającym.

Dwie przeto schodzą się tu osoby: podmiot (subjectum) i przedmiot (obiectum) podżegania, a stosunek tych dwóch osób zależy od siły słowa podżegającego i od osobistych zdolności do poczytania winy potrzebnych. (9)

Podmiotem czyli subjektem podżegania, jest podżegacz, którego ze względu że pierwszy w sobie zawiera myśl przestępną, nazwać można umysłowym twórcą przestępstwa (*intellectualis auctor delicti*). Ale że zła myśl, dopóki nie zostanie przynajmniej słowem wyrażona, nie ma prawnego znaczenia, objawiona zaś jeżeli ma być wykonaną, musi się wprzód przyjąć, począć i dojrzeć w umyśle i w woli działania osoby podżeganej, przeto lepsza i odpowiedniejsza pod względem prawnym nazwa sprawcy intelektualnego, jest podżegacz (10), zwłaszcza że i sprawca fizyczny musi być zarazem umysłowym, czyto bezpośrednio myśl

(9) Szczególniej zwracać trzeba uwagę czy nie zachodzi brak świadomości siebie.

(10) Zobacz w tym względzie rozprawkę A. W. Kalinki: O podżegaczach i wykonawcach, str. 10, w Krakowie 1839 r.

własną przestępną, czyli też pośrednio z powodu podżegania, w sobie zawierującym: inaczej bowiem siła jego wykonawcza, nie będzie mu posłuszną. Ta prawda jest tak ogólną, że nawet żadnych wyjątków nie przyjmuje. Przecież przymuszone działanie bezprawne, uważają zwykle za bezwłasnowolne. (11)

Przedmiotem podżegania, jest osoba na której wolę słowo podżegacza wpływa. Tak podżeganego, ze względu, że bez przedsięwzięcia działania rzeczywistego nie ma znaczenia prawnego *samo podżeganie* (12), nazywają rzeczywistym sprawcą (*physicus auctor delicti*).

Stosunek słowa podżegającego do wykonania onego uczynkiem, zależy z jednej strony od mocy podżegania, z drugiej od siły woli przyjmującej w łono swoje słowem zaszczerpione nasienie złego, tudzież od postanowienia działania. Im słowo podżegające silniejsze, im mocniej naciera, lub z większą łatwością przy sposobności działać może, tym trudniejszy odpór przeważa winę przestępstwa na podżegacza; i przeciwnie, im słabsze słowo podżegania, im z większymi trudnościami połączone, tym łatwiejszy i sposobniejszy odpór, przechyla winę przestępstwa na przyjmującego słowa rzeczywistego sprawcę.

Najsilniejszym słowem podżegającym, jest rzeczywicie groźne; najslabszym, obojętnie wyrzeczone. Między nimi różne mogą zachodzić stopniowania, przechylając winę to na podżegacza, to na rzeczywistego sprawcę. Ale równowagę w tej mierze stanowi umowa najmu, obowiązująca z jednej strony do działania

(11) Rossi, traité de droit pénal, 1829. II. 212. Hellie théorie, II. 263.

(12) Wyjąwszy w przypadku powyżej wskazanym, gdzie mowa jest o bezpośrednim i pośrednim działaniu, na wstępie.

bez prawnego, z drugiej do zapłaty za podjętą przysługę.

Zobopólny ztąd interes, tak silnie połącza dwie strony podżegacza najmującego ze sprawcą najemnikiem, że ich zupełnie co do winy równa, zwłaszcza jeżeli podżegacz zawarł umowę z najemnikiem, którego zwykłym zatrudnieniem jest przestępstwo, do którego najętym został.

Słowo rzeczywistém złem zagrażające, czyniąc sprawcę rzeczywistego prostym tylko wykonawcą, jakoby narzędziem podżegacza, maże w sprawcy winę uczynku i zupełnie przenosi ją na podżegacza, który przez to staje się sam tylko rzeczywistym sprawcą.

Słowo zaś obojętnie podżegające, jeżeli sprawca takowe chciwie pochwytił i myśl przestępną w sobie ztąd zawiązawszy, stósowny czyn przedsięwziął, uwalniając zupełnie podżegacza od winy (13), przenosi ją na rzeczywistego uczynkowego sprawcę, który z tego powodu, za wyłącznie działającego uważanym być musi.

Zbliżoném do słowa groźnego, jest słowo rozkazujące, zwłaszcza gdy wychodzi od osób przeważających powagą. Zás do słowa obojętnego zbliża się najwięcej próśba, rada, pochwała. Ale ocenienie ważności tych i tym podobnych słów, należy światku sędziego pozostawić.

Co się tyczy osobistych zdolności, potrzeba zwracać uwagę na przyczyny wymawiające od poczytania winy. Im przyczyny te silniejsze, tym znaczenie podżegania słabsze, i wina względem podżegacza mniej-

(13) Wyjawszy gdyby prawo, za takie nawet podżeganie, w ważnych przestępstwach, kara zagrażało.

sza, przechyla się na winę podżeganego sprawcy. I odwrotnie, jeżeli wina działającemu z podżegania, poczytaną być nie może, wtedy spływa na podżegacza. Równość zaś tych przyczyn, z dwóch stron znosi znaczenie przestępstwa.

I tak, brak świadomości siebie z niedojrzałości lub z osłabienia umysłu wynikający, o ile w podżegającym winę maże, o tyle takową przeważa na podżeganego w stanie zupełnej świadomości siebie zostającego, a zatem i do poczytania mu winy zdolnego, który chętnie słowo podżegania przyjmuje i wykonywa.

I odwrotnie, wina która dla braku świadomości siebie poczytaną być nie może sprawcy podżeganemu, spływa w zupełności na podżegającego, do poczytania mu winy zdolnego.

Toż samo i do przymusu stosować należy. Im silniejszy przymus względem przymuszonego spełnić czyn nadwerekający, tym mniejsza wina przymuszonego, przechyla się w miarę przymusu na przymuszającego. Ztąd zasada zachowania miary względem uwolnienia od winy i kary napadniętego, który w własnej obronie przymuszonym zostaje do czynu nadwerekającego, któryby kiedyindziej był przestępstwem.

Współdziałanie połączone z słowem podżegającym do spełnienia przestępstwa, które podżegacz sam w umyśle swoim począł, tworzy herszta podżegacza.

Słowo podżegające przyjęte od podżeganego, lecz niespełnione, ale dalej przez niego w trzeciej osobie z skutkiem zaszczerpione, tworzy współpodżegacza.

Słowo zachęcające do działania bezprawnego, już przez sprawców z własnych pobudek lub z poprze-

dniego podżegania przedsięwziętego, tworzy współnika podżegacza.

Słowne wreszcie odwołanie podżegania, jeżeli miało miejsce przed wszystkim, niweczy podżeganie i sprawa że uczynek, sprawcy jedynie przypisanym być winien. (14) Atoli z polityki karniej wychodząc, wymagają jeszcze niektóre prawodawstwa żeby podżegacz mającym się z podżegania jego spełnić przestępstwie, wcześniej i skutecznie zwierzchność zawiadomił. (15) Nieodwołanie z niedbalstwa tylko, niweczy wprawdzie zły zamiar, ale winę ścisłą pozostawia. Nieodwołanie zaś z powodu nieważności z rzeczywistych przeszkód wynikającej, maże nawet i winę, chyba by prawo w ważnych zbrodniach i wtedy karę rozciągało. Wreszcie, jak uczynek szkodliwiej dokonany niż zlecono podżeganiem, nie może być podżegaczowi przypisywany, wyjąwszy gdy przewidywał lub mógł być przewidzieć gorszy skutek, tak to co mniej od zlecenia uczyniono, idzie mu zawsze na korzyść. Ztąd jeżeli podżegany czynu nie przedsięwziął, podżeganie samo nie może mieć prawnego znaczenia. (16)

Co się tyczy działań uczynkowych, należy mieć wzgląd na działania ludzkie i naturalne takie, które bez wpływu ludzkiego, zagrażają i nadwerężają. Pierwsze tylko wprawdzie tworzą przestępstwo, a rozmaite ich kształty, chociaż w jednym przedsięwzięte celu, nadają przestępstwu odróżniające cechy;

(14) Hellié, théorie II. str. 77. Zachariae, vom Versuch II. str. 266

(15) Zobacz prawo Wirtemberskie, art. 77. i naszego art. 73.

(16) Hellié, théorie II. str. 51. 78. 117. Wyjąwszy w ważnych zbrodniach, jak się wyżej rzekło.

zład też różne nazwy przestępstw jednegoż celu: np. kradzież, rabunek.

Działania naturalne szkodliwe, nie mogą być przestępstwem, bo nie masz przestępstwa bez winowajcy, ale mogą być powodem do przypisania złych skutków osobie, która takowym nie zapobiegła. Powodem tego jest:

3) Nieczynienie, które nazwać można działaniem ujemném (*factum negativum*). Zależy na dozwoleniu czyli nieprzeszkodzeniu działaniom szkodliwym, ludzkim czy naturalnym, którym można było i należało zapobiedz. Jest przeto pośrednią przyczyną złego, bo o tyle tylko ważnem się staje, o ile działanie nieprzeszkodzone jest nadweryżającym.

Nieczynienie odpowiada uczynkowi, zamilczenie zaś słowu. I zamilczenie może być pośrednim powodem nadweryżenia z działań ludzkich lub naturalnych wynikającego, gdy można było ostrzedz, a przecieź zamileza się o tém, czego bez obawy o swoje prawa, zamilczać nie należało. Celem zamilczenia jest zatajenie prawdy albo w złym zamiarze, albo bez złego wprawdzie zamiaru, ale z winy, z niedbalstwa wypływające. Zatajenie o grożącym niebezpieczeństwie szczególnej osobie lub ogółowi społeczeństwa, np. o ukrywających się winowajcach, może pochodzić ze złego zamiaru lub z winy; lecz zatajenie prawdy w celu utrzymania w błędzie, w jakim kto zostaje dla nadweryżenia praw jego, zawsze jest połączone ze złym zamiarem, i tworzy oszustwo.

Jak dalece nieczynienie i zamilczenie mogą być karygodne, zależy od tego, czy zachodził prawem

przewidziany w szczególności lub w ogólności obowiązek działania i niezamilczania lub przestrzegania, i gdy można było działać lub przestrzegać bez narażenia swych własnych praw na niebezpieczeństwo. Jednakże zobowiązujący się do nieczynienia lub milczenia, winien być zawsze, bez względu czy prawo działaniom przeszkadzać nakazało, lub nie, uważany za współnika przestępstwa spełnionego. (17)

Wszystkie wyżej wskazane działania, mogą być:

4. Wstępne i podstępne.

Wstępnym bojem można wkraczać w obręb praw cudzych z gotowością odparcia obrony.

Wstępne przeto działania połączone są z gwałtem, którego istota zależy od możliwości i woli odporu z drugiej strony.

Dwie przeto siły należy tu mieć na względzie; działania wstępnego, i odpornego.

Ważność bowiem działania wstępnego, jak z jednej strony zależy od siły wstępnej, tak z drugiej od siły odpierającej. Jeżeli była wola odporu lub takowej domniemywać się z położenia rzeczy należało, lecz zachodziła niemożność, albo gdy ani o woli ani o ważności obrony z powodu braku świadomości siebie, mowy być nie może, wtedy gwałt okazuje się w właściwej sile. Gdy zaś była możliwość odporu lecz nie było woli, wtedy gwałt traci swoją naturę; zachodzi bowiem zgodność woli dwóch stron, a taka zgodność, wyjąwszy gdy idzie o nadwężenie praw któremi człowiek rozrządzać nie może, niweczy znaczenie

(17) Hellie, théorie II, 82. Ludera vom Versuche, s. 471.

przestępstwa. Tę zasadę szczególnie należy mieć na względzie w ocenieniu zgwałcenia, gdzie najmniejsze zaniedbanie odporu, przybiera charakter skłonienia się woli, właśnie niweczącej znaczenie przestępstwa. Toż samo i w gwałtach publicznych.

Działania podstępne odbywają się za pośrednictwem obrazy prawdy, którą obrażamy kłamstwem uczynkowym lub słowem, usuwając okoliczności, po których jak po ogniwach dochodzimy prawdy, lub nasuwając zaciemniające takową, wprowadzając w błąd, lub w błędzie utrzymując.

Prawda, którą się tym sposobem obraża, ma być względna do prawnego celu społeczeństwa; bo takiej tylko prawdy obraza wchodzić może w zakres zakazu o tyle, o ile nadweręża prawa. Obraza prawdy bezwzględnej, jest tylko przeciwną moralności. Działanie podstępne, wypływa jedynie ze złego zamiaru; wina ścisła (*culpa in sensu stricto*), żadnego związku z takim działaniem mieć nie może. Jak zaś z jednej strony zamiar nadwerężenia koniecznym jest, tak z drugiej nie powinno być zezwolenia. Ztąd szukanie korzyści z praw trzeciego, i zabiegi w tym względzie czynione, chociażby połączone były z obrazą prawdy, o ile nie mogą być uważane za przeciwnie woli osoby, z której praw zamierzono korzystać, o tyle nie będą działaniem podstępnem. Wola przeto tej osoby jest tu stanowcza; ale stałe oznaczenie granicy jak dalece wola ta była przeciwną, lub przychylną, nader jest trudne. (18)

(18) I. D. H. Temme. Die Lehre vom strafbaren Betrüge. Berlin, 1841. str. 1—56.

Na trzy wszakże stanowiska troistym przyczynom jednegoż skutku odpowiadające, zwracać tu uwagę należy, Z trzech bowiem wewnętrznych przyczyn, jakoto z zamiaru, z winy, i z błędu traf stanowiącego, może wyniknąć jednakowe działanie i jedenże skutek, np. śmierć, a przecież wielka w ocenieniu karygodności zachodzi różnica.

Tak też i tu uszczuplenie praw może zależeć albo od woli odpowiedniej zamiarowi osoby przeciw której prawom zabiegi są skierowane, albo wynika z jej własnej winy i błędu, gdy łatwo złe przewidzieć mogła; albo nakoniec wydarza się bez żadnego wpływu woli, podobnie jak z zupełnego błędu z którego traf wynika.

I tak: jeżeli przeciwko działaniom zabiegliwym ku pewnej osobie skierowanym, chociaż kłamliwym, taż osoba mogła lecz nie chciała żadnego stawić oporu, wtedy osiągnięcie z jej praw korzyści, jako zgodne z jej wolą, nie będzie nadwężeniem, a działanie samo podstępem. Jeżeli zaś zabiegi połączone są wprawdzie z działaniem kłamliwym, ale to nie jest tak dalece sztuczne, bo nie usuwa takich okoliczności ani nasuwa tak émiących, iżby nie można łatwo przewidzieć prawdy, którą każdy inny przewidziećby mógł, wtedy działania takiego jeszcze za podstępne uważać nie należy, a osoba przeciw której prawom działano, skoro mogła ale z niedbalstwa i z lekceważenia praw swoich stósownej obrony nie stawiła, za przychylną swą wolę do woli działającego jako sama sobie uszczerbek zrzędzająca uważana, zostaje w stanowisku własnej winy.

Jeżeli nakoniec zabiegi połączone są z zupełnie dojrzałym sztucznym kłamstwem, tak dalece prawdę zaciemniającem, że osoba, przeciwko której działanie przedsięwzięto, wcale a przynajmniej z łatwością prawdy dojrzeć nie mogła, i dlatego stósownej obrony stawić nie zdołała, wtedy rzeczywiste nadwężenie powstaje, zabiegi podobne, w całym znaczeniu są podstępne, a przychylenie się woli z zupełnego błędu wynikające, będzie bezwłasnowolne, podobne temu, którego skutkiem traf.

Te trzy stanowiska nader są ważne, szczególnież w ocenieniu oszustwa. Nigdy oszustwo miejsca mieć nie może, gdy zachodzi wina osoby z której praw korzystano. (19) Taż sama zasada stósuje się i do przestępstw innego rodzaju, które nietylko wstępem ale i podstępem działaniem spełnić się dają, a szczególnież też w zgwałceniu, gdzie zachodzi delikatny stosunek woli zobopólnej. Ztąd też prawa, jedynie podstępne upojenie w tym celu przedsięwzięte, za karygodny podstęp, wszelkie zaś inne, choć kłamliwe przedstawienia, za niemogące być prawnie wzbronione uważają; wyjąwszy uwodzące przyrzeczeniem małżeństwa, które wszakże jedynie za karygodną niemoralność poczytują. (20)

Są przestępstwa, które tylko działaniem wstępem spełnić się dają, np. rabunek; są które wstępem działaniem podług wyboru popełnić można, np. gwałty publiczne; jest nakoniec jedno tylko oszustwo, które

(19) Chybaby zostawała w takim stanie, że jej winy poczytać nie można; albo że prawnie rozrządzać prawami swemi nie jest mocną. Zobacz wyżej przypisek (6)

(20) Zobacz prawa naszego art. 109, 454.

jedynie samym podstępem dokonać można, chociaż i potwarz z pozornego oskarżenia, a zatém z kłamstwa wynika. Nie każde jednak podstępem działaniem spełnione przestępstwo, pod oszustwo podciągać należy, ale trzymać się w tym względzie potrzeba zdania Ulpiana, l. 3 § 1. D. *Stellionatus* 47, 20:

„Stellionatum autem obijci posse his, qui dolo quid fecerunt, sciendum est: scilicet si aliud nomen non sit, quod obijciatur. Quod enim in privatis judiciis est de dolo actio, hoc in criminibus stellionatus persecutio. Ubi cumque igitur titulus criminis deficit, illic stellionatus obijciemus. Et ut generaliter dixerim, deficiente titulo criminis, hoc crimen locum habet: nec est opus species enumerari.

A zatém wtenczas tylko przestępstwo podstępem spełnione, można pod oszustwo podciągnąć, gdy takowe nie ma oddzielnego oznaczenia i nazwiska w prawie. Skarga bowiem o oszustwo pod względem karnym, tak jak skarga cywilna *de dolo*, jest tylko subsydjarną. (21)

Nieczynienie przez nieprzeszkodzenie działaniom prawa nadwierzającym, nie należy do działań podstępnych; niemożna bowiem nieczynieniem obrażać prawdy, bo niepodobna usuwać okoliczności potrzebnych do jej poznania, ani nasuwać zaciemniających ją; niemożna przeto w błąd wprowadzać, ani w błędzie trzymać. Ale zamilczenie prawdy w zamiarze nadwężenia praw, obok zewnętrznych okoliczności łatwo w błąd wprowadzających, będzie podstępem,

(21) Temme str. 11, 12.

w błędzie utwierdzającym, jeżeli z powodu tych okoliczności, zachodzi obowiązek przestrzegania. Złotnik, który wywiesił szyld wyrażający sprzedaż naczyń srebrnych, jeżeli między niemi utrzymuje naczynia pośrebrzane, obowiązany jest kupującego przestrzedz; inaczey może się stać odpowiedzialnym za podstęp. Toż samo rozumie się o sprzedającym rzeczy z wadami ukrytymi. Zachodzi tylko pytanie, jak dalece zamilczenie podobne może być karygodnem, i czyliby nie należało raczey poprzestać na zobowiązaniu do wynadgrózenia w drodze cywilnej? Odpowiedź w tym względie zależy od wagi okoliczności zamilczeniu towarzyszących. Im te silniej ukrywają prawdę, tym mniejsza wątpliwość względem karygodności. Pierwszy, wyżey przytoczony przypadek, niewątpliwie będzie karygodnym, bo szyld zapewniający i cena odpowiednia srebrnemu naczyniu, są okoliczności łatwo w błąd wprowadzające; zamilczenie zatem ukrywające prawdę i utwierdzające w błędie, staje się tu oszustwem. Drugi odesłać należy do drogi cywilnej.

5) Działania dotąd skreślone, mogą być przedsięwzięte przez jedną lub przez wiele łącznie osób. (22) Połączone siły wielu, tworzą albo jedną całość siły do działania potrzebnej, albo nie stanowią całości.

W pierwszym razie, każdy z połączonych odpowiada wprawdzie w szczególności za całość przestępstwa, atoli ze względu na ścisłą sprawiedliwość a nawet i politykę karną, należy mieć na uwadze każdego szcze-

(22) Stübel, über Theilnahme mehrerer Personen an einem Verbrechen. Dresden, 1828.

gólnego winowajcy, jego tylko własne ale zawsze w zastosowaniu do całości, działanie.

O tyle więc tylko ciężać ma na nim całość przestępstwa, o ile się w stosunku całości, do niego swem własnym działaniem przyczynił. Albowiem w miarę woli przyłożenia się do spełnienia przestępstwa, każdy odpowiadać winien; inaczej w miejsce działań mniej niebezpiecznych, jakoto pośrednich, przeważałyby same działania bezpośrednie, a społeczność zamiast pożądanego z kar skutek otrzymać, na większe niebezpieczeństwo byłaby narażoną.

Wola jakimkolwiek sposobem, lekkiem nawet skiniem, w którym bądź czasie i miejscu do łącznego działania objawiona, jest w tym względzie stanowczą. Ona tworzy spółkę przestępną, (*societas criminis*) którą zwykle ale mniej potrzebnie ze względu na czas i miejsce połączenia się, dzielą na związek umowny lub nagły (*concursum pacticum, repentinum*).

Łączne działanie bez woli połączenia się przedsięwzięte, nie tworzy całości, i dlatego też w takim zdarzeniu, całość przestępstwa i ogół nadwężonego prawa, nie ciąży każdego w szczególności (*solidarnie*), lecz przeciwnie, każdy działający odpowiada wtedy za siebie tylko (*pro rato*), w miarę zrządzonego przez siebie nadwężenia. Ztąd połączone działania bezpośrednie, czynią każdego w szczególności współsprawcą winnym *solidarnie* całości przestępstwa. Przyłączone zaś pośrednie działanie, czyni współnika winnym *wprawdzie* całości przestępstwa, ale tylko *stosunkowo* do swego pośredniego działania.

Wspólnik przeto nie może być uważany, jako pełniący oddzielne, w miarę swego pośredniego

działania przestępstwo, owszem spełnia on toż samo co sprawca przestępstwo, ale odpowiada tylko w miarę winy przyłożenia się, w miarę pośredniego własnego działania. W łącznym zaś, ale bez woli połączenia się działaniu, każdy staje się sprawcą oddzielnego przestępstwa, chociażby wszyscy w jednym czasie i miejscu względem jednego przedmiotu przestępstwa, bezprawnie działali. Gdyby np. przypadkiem zjechało się kilka osób do jednego lasu, i bez woli łącznego działania w jednym czasie i miejscu kradzież drzewa spełnili, ale każdy wyłącznie dla swojej korzyści, wtedy nie będzie towarzystwa kradzieży; nie odpowiada też każdy w szczególności za ogół przestępstwa, i za ogół zrzędzonej szkody, ale odpowiada tylko za swój własny oddzielny czyn kradzieży: za wyłączone, w miarę przez siebie zrzędzonej szkody, przestępstwo.

Przyłączenie się już po dokonaniu przestępstwa, tym mniej może ściągać winę całości przestępstwa, i dlatego też zasada Rzymska:

„ratihabitio criminis alieni, mandato comparatur.“ (23)

wówczas tylko da się usprawiedliwić, gdy w ciągu działania bezprawnego przyłącza się trzeci, i współdziałaniem swoim przestępstwo dokończa. Wtedy bowiem działanie poprzednie i do niego tak stosować należy, jakby je zlecił i wykonane potwierdził. W miarę więc dalszego przyłożenia się do czynu, będzie całości sprawcą lub współnikiem. Działający, po odstąpieniu przez pierwszych od dokonania, zaczyna względem siebie przestępstwo nowe; np. gdy kto przy-

(23) L. 152, §. 2 D. de reg. juris. 50, 17, l. 1, §. 14. D. de vi 43, 15.

stąpiwszy do ciężko przez rabusiów poranionego i porzuconego, zadaje mu cios śmiertelny, albo widząc przez złodziei wystawione okno, włazi niem i kradzież popełnia; pierwszy jest mordercą ale nie rabusiem, drugiemu nie będzie przypisana gwałtowna, ale prosta kradzież. (24)

Przyłączenie się wreszcie po uczynku do winowajców, nadaje przyłączającemu się zupełnie oddzielny charakter; jest on tylko dającym pomoc.

Któż bowiem zrówna z mordercą lub ze współnikiem morderstwa tego, kto już po uczynku, nadchodzi, pochwała, potwierdza czyn, wyjawia że miał ten sam zamiar ale zapóźno nadszedł, uderza nawet ciało martwe, i łącznie z mordercą obdarłszy zamordowanego, ciało jego grzebie? (25) Kto uzna rabusiem tego, który w zamiarze spełnienia rabunku idzie do lasu, słyszy zdala skrzyp wozu, pośpiesza, ale przychodzi już za późno, bo podróżny napadnięty od innych rabusiów, oddał co miał przy sobie i uchodzi z życiem? Chociażby potwierdził dawniej jeszcze z temi sprawcami ułożony ten czyn i łącznie z nimi rzeczy porzucone zabrał, nie będzie rabusiem, ale najwięcej uczestnikiem rabunku. (26)

Tyle o działaniu łącznymi siłami; obszerniejszy bowiem wywód tego przedmiotu, należy do rozdziału traktującego o zbiegu przestępców do spełnienia przestępstwa (*concursum ad delictum*).

(24) Zobacz Feuerbacha Lehrbuch przez Mittermejera wydany. Giessen 1840 §. 46 i Mittermejera notę VIII, na str. 81. Zobacz także Heflera Lehrbuch, Halle 1840. str. 72, §. 78 przypisek 2.

(25) Będzie jednak dającym pomoc.

(26) Hellie, théorie II, p. 89, 101.

Działanie bezprawne może być zresztą:

6) usiłowane tylko, albo zupełnie dokonane. Pierwsze zowie się usiłowaniem (conatus), które będąc ściśle połączone z zamiarem, tyczy się jedynie przestępstw ze złego zamiaru wypływających, tak dalece, że nawet niemożna pojąć i dopuścić usiłowania spełnienia przestępstw z winy. Występki (27) przeto z winy wypływające, to jest te, które dotyczą życia, zdrowia i nadwreżeń ciała ludzkiego, (bo inne wszystkie bez wyjątku, (28) oprócz z nieostrożności ognia pochodzące, są zawsze skutkiem tylko złego zamiaru), nie mogą być usiłowane. Zład też ilość nadwreżenia, stanowi tu już zupełną całość występku; nie więc to, coby mogło wynikać gdyby działanie wstrzymanem nie zostało, ale ten tylko skutek jaki wypadł, zupełnym już staje się występkiem (delictum consumatum), tak dalece, że początek występku z winy (delictum inchoatum) oznaczyć, jest niepodobieństwem. Jeżeli nie wynika żadne złe lecz wypaśćby mogło, wtedy działanie stanowi oddzielne przestępstwo, przewinieniem policyjnym właściwie zwane.

Usiłowanie pod dwojakim względem uważać należy: pod względem ilości działania, i przeszkód w dokonaniu.

Pod względem ilości jest przygotowawcze, i zależy:

(27) W znaczeniu, w jakim je nasz kodex w księdze II uważa.

(28) Nadwreżenia z winy nie dotyczące życia, zdrowia, ciała i pogrzelci, nie mogą być występkami, i pociągają tylko wedle swęj natury wynadgrodenie cywilne. Mylne zaś zdanie jest tych, którzy utrzymują że występki, do którego istoty potrzebnym jest zły zamiar, zamienia się na występki z winy, w braku złego zamiaru; bo innego wcale rodzaju są występki ze złego zamiaru, a innego z winy. W tym też duchu, należy tłómaczyć art. 211 prawa naszego.

a) na staraniu się o środki do spełnienia przestępstwa potrzebne, lub na przysposobieniu onych (*delictum praeparatum, attentatum*). Ale takie usiłowanie odległe (*conatus remotus*) leżąc bliżej myśli niż działania, nie może stanowić przestępstwa, wyjąwszy: gdyby zachodziło połączenie sił (*concursum ad delictum*), zmowa, spisek celem spełnienia przestępstwa. Wtenczas bowiem, wychodząc z polityki karniej, można już takie przygotowanie jako niebezpieczniejsze, uznać za usiłowanie bliskie, jak jest w naszym prawie w art. 279. (29)

b) Przedsięwzięte, czyli bliskie (*conatus proximus*), które jeżeli było nader bliskiem dokonania, nazywają niewłaściwie *delictum perfectum*. Lepiej zowią je Francuzcy autorowie: *délit manqué*, przestępstwo chybione. Przedsięwzięte tylko działania stanowią karygodne usiłowanie, bo z niego wynika już nadwerężenie. Wola nadwerężenia zapóźno objawiona, nie stanowi usiłowania; np. gdyby kto w zamiarze zamordowania uderzył trupa, sądząc że osobą jest żyjącą. (30)

Pod względem przeszkód w dokonaniu, zasługują szczególnie na uwagę własne pobudki moralne lub prawne, dla których działanie w złym zamiarze przedsięwzięte, przerywamy. Tu pierwiastkowy zły zamiar albo ustaje zupełnie, albo się zmienia na zamiar mniejszego uszkodzenia, a przeto w miarę takiej zmiany należy stosować karygodność. Żąda tego sprawiedliwość i polityka karna. Gdyby bowiem na podobne

(29) Zachariae, vom Versuch 1, 59.

(30) Zobacz Mittermeijera rozprawę w Archiwum prawa kryminalnego (*Archiv des Criminalrechts*) 166, 171, 169.

zmiany zamiaru, prawo nie miało względu, i usiłowanie tym sposobem przerwane, tak jak samo dokonanie uważało, nie byłoby prawniej pobudki wstrzymania się od zupełnego dokonania. Bo, pomyśli zło- czynca, mam być tak karany za usiłowanie z własnych moich pobudek przerwane, jak za dokonanie, wolę raczej czyn spełnić.

Co się tyczy niemocy fizycznej lub obcych przeszkód dla których działanie bezprawne ukończonem być nie mogło, na takowe można nie mieć względu. Zły zamiar trwa, a niemoc fizyczna i obce przeszkody stanowią względem winowajcy przypadek, traf który mu korzyści przynosić nie może. Jedynie więc przez wyjątek, z zasady: że kara jest złem koniecznem a zatem nie powinna pomnażać ludzkiej niedoli, można tu umiarkować karygodność do ilości nadwergżenia.

Jak wstrzymaniem przerywa się działanie, tak działaniem nieczynienie. Jeżeli zatem niemożna pojąć usiłowania nieczynienia, może jednak mieć miejsce brak usilności, czyli nieusilowanie czynienia tego co prawo czynić nakazuje. W miarę bowiem wczesnego stawiania stosownym uczynkiem przeszkód obcym szkodliwym działaniom ludzkim tczy naturalnym prawa nadwergżającym, zmniejsza się lub powiększa wina w ogólnem znaczeniu tego, kto zostaje w obowiązku przeszkadzania. (20)

(20) Z innego stanowiska Luden: über den Versuch der Verbrechen Gott 1838. s. 469 i Zachariae die Lehre vom Versuche der Verbrechen, dopuszczają mylnie przez nich zwane usiłowanie nieczynienia. W dzieciobójstwie szczególnie przez opuszczenie potrzebnej pomocy, podobne nieusilowanie może mieć swoje znaczenie.

Obszerniejszy wywód tego przedmiotu należy do oddzielnego rozdziału nauki prawa karnego, o usiłowaniu. (21)

Nakoniec do działania potrzebne są środki. Te muszą być stósowne, inaczéj skutek zamierzony nie zostanie osiągniętym.

I tu należy zwracać uwagę, co było powodem użycia niestósownych środków.

Jeżeli własna wola, wtedy z domniemywania zmiany pierwiastkowego złego zamiaru, stósunkowo do nadwreżenia, karygodność oznaczyć należy. Jeżeli zaś powodem tego była tylko wina, przypadek, lub obca siła, wówczas zły zamiar trwa, a przeto i karę w stósunku do niego stanowić wypada.

Kto w zamiarze otrucia, obiera z własnych pobudek proszek nieszkodliwy, działanie jego jest raczéj śmiesznością, a tego przecieź za źródło przestępstwa uważać nie można. Lecz gdy to czyni z błędu, w mniemaniu, że ten proszek będzie dostatecznym do otrucia, lub gdy w miejsce trującego przypadek albo obca przezorność nasunęła nieszkodliwy, usiłowanie morderstwa będzie niewątpliwe, chociażby z zażycia nietylko żadne złe, ale owszem dobry skutek wyniknął. (22)

Bezprawne działanie dokonane, stanowi zupełne przestępstwo (*delictum consumatum*), a jeżeli z takiego

(21) Oprócz powyższych autorów, zobacz Rossi, *traité de droit pénal*, Vol. II.

(22) Zobacz jednak różne w tym względzie zdania, przytoczone p. Mittermejera w nocie VII do 42 Feuerbacha *Lehrbuch* z r. 1840.

działania wynikają inne od zamierzonego skutki mniejsze lub większe, tego powodem mogą być albo przyczyny dopiero pod usiłowaniem wskazane, albo też przyłączenie się do złego zamiaru winy a nawet i trafu. Jeżeli zaś z winy większy niżli był powinien, wyniknął skutek, tego przyczyną bywa zwykle rozmyślne nieprzeszkodzenie szerzeniu się złego, a zatem przyłączenie się złego zamiaru do winy, (23) np. skoro się z mojej winy zapaliło, chociaż mógłbym obronić, nie będę, niech się już lepiej spali.

Takie są różne kształty działania bezprawnego, na które przy stanowieniu kary, wzgląd mieć potrzeba.

Jaką zaś karę i ilości onej należy stosować do działań pośrednich względem bezpośrednich, słownych lub uczynkowych, do nieczynienia i zamilczenia, do działań wstępnych i podstępnych przez jednego lub w połączeniu sił wielu winowajców przedsięwziętych, do usiłowanych dalszych i bliskich, tudzież stosownemi lub niestosownemi środkami wykonywanych, nauka o karygodności bliżej wyjaśnia. Tam więc czytelnika odsyłamy, gdyż nawet wykład o karygodności w tym względzie przechodziłby zakres niniejszej rozprawki, zwłaszcza, że wymaga obszernego wywodu. Albowiem, oprócz ogólnej zasady względem karygodności w artykule 56 prawa naszego przyjętej, a do wielkości niebezpieczeństwa odnoszącej się, (24) zasady

(23) Zobacz noty Mittermejera, do 59 i 60 Feuerbacha Lehrbuch 1840 r.

(24) Zobacz §. 104 Feuerbacha Lehrbuch z r. 1840 i Heftera Lehrbuch des Criminalrechts, Halle 1840, §. 89, i następne.

stosowania kar w szczególności pod względem różnych kształtów działania, nie są dotąd stanowczo oznaczone. Dosyć odczytać co w tym względzie przytacza Kalinka o podżegaczach na str. 38 do 63, tudzież noty Mittermejera do Feuerbacha Lehrbuch, stronnica 68 do 107.

Prawo nasze, chociaż w ogólnych zasadach nie oznacza wszystkich różnic wyżej wskazanych, przecież je zna, i przy szczegółach przestępstwa wskazuje. I tak:

W artykule 21, skreślając działania pośrednie, tem samem daje poznać co są bezpośrednie. Podaje słowne, bezpośrednie w art. 439, 459, i następnych, tudzież 279.

Zna słowo podżegające, podżegacza właściwego stanowiące art. 57, 83, 86, tudzież podżegacza współnika art. 21 i herszta 24, którego z podżegaczem w równi kładzie: 54, 83, 86. Uważa w art. 2, że i z nieczynienia powstaje przestępstwo. Nieprzeszkodzenie przestępstwu, skreśla w art. 292. Nieprzeszkodzenie naturalnym działaniom, podaje w art. 112 co do dzieciobójstwa, tudzież w artykule 354 i następnych. Zamilczenie wskazuje w art. 73.

Skreślając działania podstępne pod oszustwem w art. 182, tem samem wskazuje wstępne.

Zna działanie łączne, skreślając w art. 21, 22, 23, współnictwo, ucześnieństwo, i danie pomocy; a związki i spiski uważa za usiłowanie karygodne w art. 279.

Skreśla w art. 25, usiłowanie bliskie, i czyni w szczególnych przestępstwach różnice w ukaraniu usiłowania, przez odstąpienie z własnych pobudek od

usiłowania przeszkodzonego, np. w morderstwie art. 117 i następ. do 121.

Skutki z działania większe od zamierzonych, uważa jakby zamierzone były, jeżeli do złego zamiaru przyłącza się wina art. 16.

Wreszcie rozwinięcie swoich w tym względzie przepisów, tak jak przystoi, (25) pozostawia nauce prawa karnego i roztropności sędziów.

(25) Zobacz Mittermeijera: Ueber den neuesten Zustand der Strafgesetzgebung. Heildelb. 1823 r.



ZDOBYCIE TARRAGONY

ROKU 1811,

przez

Ad. Am. Kosińskiego.



Było to dnia 20 czerwca 1811 roku, daty nie zapomnę nigdy; wieczorem, otoczony oficerami półtku którym dowodziłem, spoczywałem w małym domku wioski Xantejo, o pół mili od Tarragony odległej. Koledzy moi w dobrych byli humorach, szczęście im bowiem sprzyjało; od dwóch miesięcy oblężenia Tarragony, pomimo krwawych i bezustannych walk, trzech tylko poległo, a prawie wszyscy od gienerała *Sucheta* publiczne zyskali pochwały, kilku nawet do legii podanemi było. Rozmowa nasza skakała z przedmiotu na przedmiot, naturalnie zajmując się najwięcej terazniejszą wyprawą.

— „Jutro, lub pojutrze będziemy w fortecy“, wyrzekł major półtku, Francuz nad-Sekwański, żwawy, ruchliwy człowiek, „mój stryj gienerał, zapewniał mnie o tem dziś rano; Hiszpanie stracili wreszcie nadzieję Angielskiej pomocy, głód też im dokucza, niezawodnie poddadzą się.“

— „Tak, i mnie się zdaje toż samo, rzekł podpółkownik; żywności nic a nic nie mają. Jeńcy których przed trzema dniami zdobyliśmy, jednomyślnie o tem mówili; zresztą dość było spojrzeć na ich blade, wynędzniałe twarze, aby się o prawdzie przekonać; rad

jestem że już się oblężenie kończy, kosztuje ono, jeżeli nie nasz półk, to armią niemało.

— Tarragona piękne i zamożne miasto, wtrącił inny z oficerów; wynagrodzi nasze trudy, odpoczniemy w niem zapewne czas jakiś.

— A kobiety jakie piękne, śmiejąc się major wykrzyknął; wszakże znacie tutejsze przysłowie: trzy cuda znajdziesz w Hiszpanii, Alhambrę Grenadzką, Prado Madryckie i Tarragońskie kobiety.

— Ależ sztylety, majorze, sztylety w zanadrzu i u podwiązek, to strach, rzekł podpółkownik. Katalońskie kobiety zręcznie niemi władają; uścisk krwią zapłacić, niebardzo przyjemnie.

— Lecz któż im zostawi sztylety, kolego? Czy nie wiesz że mieszkańcy zdobytego miasta rozbrajani bywają? Gienerał Suchet zapewne nie zapomni o tém, choćby też dla bezpieczeństwa własnego.

Żarcik majora pobudził nas do śmiechu; posypnęło tysiące żarcików i uwag, gdy drzwi otworzyły się szeroko, i wszedł mój brat młodszy, adjutant gienerała Hugo, do którego brygady mój półk należał.

— Cóż nowego? Kiedyż w Tarragonie będziemy? wykrzyknęli chórem przytomni.

— Nie wiem, odparł lakonicznie zagadniony, podając mi rozkaz dowódcy; przeczytałem go pośpiesznie. Gienerał Suchet zawiadamiał, że gdy układy z powstańcami Hiszpańskimi zerwane zostały, gdy owszem wieść go doszła że junta miejscowa kilkudziesięciu jeńców naszych, wbrew wszystkim prawom wojennym rozstrzelać kazała, cała armia do szturm gieneralnego uderzy; mój półk szczególnie miał być gotowym, gdyż, jeden z pierwszych, do walki był na-

znaczony. Przy końcu rozkazu, Suchet własnoręcznie następne wyrazy dopisał:

„Nadewszystko żadnej litości dla zuchwalców; każdy z bronią w rękę ujęty, ma być rozstrzelanym; podobnej karze ulegają wszyscy, znajdujący się w domu który jakikolwiek opór stawiać będzie; przykładu potrzeba; półśrodki nie zdadzą się na nic; ni wiek, ni płęć, ni stan, niechaj zasłoną nie będą; nadto dla zachęty żołnierzy i ukarania mieszkańców, zdobyte miasto wyjmuje się z pod opieki prawa; cały dzień pozwalam w nim rabunku. Rozkaz ten przez półkowników, ma być całej armii ogłoszonym.“

Jakkolwiek zapowiedziane środki nie trafiały do mego przekonania i z charakterem nie zgadzały się, iść przecie wbrew rozkazowi dowódcy nie mogłem, wołę jego ogłosiłem przytomnym, przyjęli ją z radością i zwykłym wykrzykiem: „*vive Napoléon!*“ Kilko nastoletnia wojna bowiem, stępiła w ich sercach wszystkie uczucia ludzkości, nadto, walka na półwyspie, tyle była wszystkim przykra, tyle dotykała nietylko ogół, lecz i indywiduala, Hiszpanie, jak to wie każdy z historyi, wiedli ją z tak bezprzykładną zaciętością, pogardą wszelkich przyjętych praw i okrucieństwem, że nawet najlitościwszemu, najszlachetniejszemu, srogość gie neręła, tylko słuszną pomstą doznanych krzywd się zdawała.

— A więc, panowie, znacie waszą powinność, wyrzekłem do oficerów; ogłoszcie żołnierzom rozkaz, zachęćcie do boju, opatrzcie broń i ładunki, a jutro skoro świt, niech wszystko będzie gotowe; spodziewać się bowiem należy że głów nodowodzący nie

cofnie się w słowie, a nie chcę by mój półk, w tak stanowczym razie, na jego wyrzuty zastrzyż.

Koledzy rozeszli się z pośpiechem; znałem ich waleczność, męstwu ufałem, a więc spokojny byłem o wypadek walki jutrzejszej, owszem rad jej byłem. Dwudziestoosmio-letniego, pełnego pięknych marzeń, laurów, zaszczytów i chwały, miałaż ona straszyć? A jeśli rozsądek poszepnął coś o kuli, o ranie, o śmierci, byłyto bagatele, któremi myśl nie chciała się na chwilę zajmować. Gwiazda szczęścia, czemuż jak Napoleonowi, tak i jego podkomendnym pięknie błyszczec nie miała? Jemu przyniosła tron, czyż mnie dać nie mogła szlif gieneralskich, wysokiego tytułu a może marszałkowskiej buławy? Szalone były te marzenia; uśmiecham się dzisiaj sam, gdy je myśl na pamięć przywodzi, ale wówczas, ach to marzenia tak podobne do prawdy, tak blizkie nawet pełnemu życia młodzieńcowi były!

Zająwszy się wydaniem drobniejszych poleceń i urządzeniem półku do jutrzejszej walki, zapomniałem całkiem o bytności brata w mej kwaterze; dopiero w pół godziny później, gdy już ułatwiłem ważniejsze czynności, zwróciłem na niego uwagę. Był bladej, widocznie cierpiący, marszczki na czole, w oku jakiś smutek niezwykły.

— Dla Boga! Leonie, co ci jest? Jestżeś słaby? Tak źle wyglądasz!

— Nie, nic mi; zdrów jestem zupełnie.

— Lecz to nie sposób, coś ci jest; widocznie cierpisz.

— To nic, to przejdzie.

— Zmiłujże się; w wilią szturmu, ty zawsze wesół, ochoczy? Otrząś się; po jutrze możesz chorować.

— Pojutrze? jęknął cicho i wzdrygnął się cały, pojutrze kto wie czy ja żyć będę!

— Co znowu? co mówisz? odpartem zdziwiony; dalipan, nie pojmuję cię wcale.

Uniósł się z sofy, oparł na przyległym stole i mówił.

— Tak, masz słuszność; ja nie ten co zawsze, co wczoraj jeszcze; sam nie pojmuję, nie rozumiem siebie; tęskno mi, smutno mi, (tu wzdrygnął się silnie i czoło przetarł ręką) i ja boję się...

— Boisz się ty, Leonie?

— Tak, boję się; (mówił dalej posepny, lecz gwałtowną walkę uczuć znamionującym głosem) bo jestem pewny, przekonany, że jutrzejszy szturm, śmierć mi przyniesie.

Nie wiedziałem co odrzec, wyznam nawet, pusty śmiech mię napadł; słyszeć podobne wyznanie z ust dwudziestoletniego młodzieńca, który w ciągu trzyletniej służby, w kilkunastu bitwach odznaczył się zaszczytnie, względy dowódców pozyskał, którego pierś zdobita gwiazda honorowej legii, a ramiona szlify kapitana, czyż nie było istotnie rzeczą nadzwyczajną i dziwną?

— O nie śmieć się, nie śmieć, wyrzekł mi głosem ponurym; nie wiesz co się ze mną dzieje: przecucie rzadko myli, a ja mam pewność prawie. Czy przypominasz sobie ostatnie słowa matki, gdym się do wojska pomimo jej odrad i łez oddał, jest temu pół-trzecia roku: pamiętaszże co mi mówiła? Nie chodź,

bo nie ujrysz mnie więcej, umrę daleko od ciebie, nie chodź, bo zginiesz. Ona umarła, i ja zginąć muszę!...

Chęć śmiechu odeszła mnie na ten wspominek; odpartem jednakże.

— Wyrzuć z serca dziwaczną obawę. Bóg dobry przez trzy lata wojny chronił cię. Wszakże pomimo tylu walek w których udział wzięłeś, nawet ranionym nie byłeś; czemuż jutro masz się lękać? Jestto, wierzaj mi, przestach dziecinny; sam mu ulegałem kiedyś. Rozstrojenie naszych władz duszy, tęsknota dziwna i straszna, najdzielniejszych niekiedy napada żołnierzy; lecz to przejdzie, i jak ja się śmiałem przed chwilą, tak ty jutro śmiać się będziesz sam z siebie, gdy wieczorem zejdzem się w jakim pałacu lub klasztorze zdobytej Tarragony.

— Tak, to być może, Bógby dał, odpart, jednak mnie tak duszno w piersi, tak smutno, jak nigdy, jak wówczas może onego dnia, gdy ona, kochana matka, daleko, kilkaset mil od nas, Bogu oddawała ducha!

Oko walecznego młodzieńca zrosiła łza, potem błysnęło ono dziwnie przenikliwie, że prawie zadrżałem gdy się skierowało ku mnie, gdy powstawszy ujął moją rękę i mówił:

— Czy uwierzysz, Stanisławie, jam ją widział dziś, uiedawno temu widziałem!

— Kogo? dla Boga, Leonie!

— Ją, naszą matkę. Lecz zmituj się, nie drwij, nie śmieję się ze mnie. Opowiem ci rzecz całą. Wczoraj, jak wiesz, było wieczorne zgromadzenie u generała; ty oddaliłeś się wcześniej, lecz ja z innymi oficerami zostałem. Grałszy w karty do rana, nie szczę-

dziliśmy burgunda, byłem więc utrudzony i gnieciony snem, w południe dopiero mogłem mu się oddać, bo całe rano strawiłem na służbie; otóż zaledwie usnąłem, zobaczyłem ją; była piękna jak zawsze, jak zawsze miła, przycisnęła mię do piersi; wierzaj! wyraźnie czułem ten uścisk; potem jej łza skropiła me czoło; mówiła coś, lecz co? nie pomnę. Ostatnie tylko wyrazy utkwily w pamięci; rzekła: bądź zdrow, zobaczymy się jutro, jutro, i znikła! A w tej chwili nadbiegł posyłka i zbudził abym stawił się do gienerała. Właśnie powrócił z głównej kwatery; doniósł o zerwaniu układów z Hiszpanami, o mordzie naszych jeńców w Tarragonie, i o szturmie jutrzejszym. Ach! nie próżny byłto sen, nie daremne widziadło; naznaczyła mi ostatnią życia godzinę; przyjdzie ona, czuję, wiem to niezawodnie! a przecież, ach, to boleśnie, przykro żegnać się z swoim bytem ziemskim, umrzeć tak młodo! Oparł znów blade czoło na stole, i jęczał głucho, boleśnie.

Cóż miałem czynić? Tak zdawał się być przejęty, przerażony czczem zapewne marzydłem, tyle bolał, że pojąłem iż napróżno będę z nim walczył; zimnemi słowami rozsądku rzekłem więc:

— Lecz cóż cię skłania do wzięcia udziału w walce jutrzejszej? Jesteś słaby, to będzie dostateczną wymówką; żadne porozumienie ubliżające honorowi twemu nikomu na myśl nie przyjdzie; i gienerał i twoi kole-dzy, znają twe męstwo; wszakżeś je w tylu okazyach chlubnie pokazał, będą wierzyć że nie dla braku jego uchylasz się od szurmu; radzę ci szczerze, pozostań w obozie, za chorego podaj się; tyle innych czeka

nas bitew, że opuszczenie jednej, małą stratą winno być dla ciebie.

Młodzian szybko łzę otarł, dumnie głowę podniósł i mówił: Tyżto, Stanisławie, taką dajesz mi radę, ty, brat mój starszy, mój przewodnik i opiekun; nie, to być nie powinno; oszukam być może mniemaną słabością generała i kolegów, ależ siebie, własne sumienie i honor, czyliż oszukam? Nie; powtarzam ci, to być nie może. Los mój padł; pójść do walki muszę, zginę, wiem to, lecz zginę z nieskazitelnem imieniem, z odwagą, jak na twojego brata przystoi.

Uściskałem dłonie szlachetnego młodzieńca, nie śmiejąc żadnych uwag więcej czynić; ujął on nawzajem mą rękę i smutnym, przenikliwym głosem, tak mówił:

— Jedną przecież prośbę poniosę ci, Stanisławie; nie odrzucaj jej, pozwól niech ja jutro walczę przy tobie. Generał, gdy się za mną wstawisz, uwolni mnie niezawodnie na ten jeden dzień, od obowiązków adjutanta; kto inny chętnie moje miejsce zastąpi, lecz ja koniecznie pragnę, chcę być przy tobie; to mi będzie pociechą; doda sił i odwagi; inaczej nie ufam sobie.

Z radością przystałem na ten projekt brata, i tego samego jeszcze wieczora, odwiedziłem generała. Dobry i waleczny starzec, chętnie przychylił się do mego żądania, lubo żał mu było, jak mówił, pozbawić się oficera, na którego pilność i gorliwość w służbie wiele rachował, zwłaszcza w dniu tak ważnym, jak miał być jutrzejszy.

W tym dniu, skoro świt, cały półk stanął gotowy do walki. Serce moje pałało radością, którą każdy pojmie, kto był, lub wyobrazi się na mojem

miejscu. Dowodzić dwutysięcznym orszakiem wojowników, przewodniczyć ludziom, których ramiona silne, oręż doświadczony, męztwo nieposzlakowane, to zaszczyt i rozkosz zarazem. Ach! w owej chwili pojmowałem Napoleona; nie dziwiłem się owej dumie pragnącej świat cały pod swe władanie zagarnąć, owej nienasyconej chęci nowych coraz podbojów i wojen; ja tylko drobną garstką, dwoma tysiącami takich rycerzy dowodziłem, jakich on krocie miał na swoje rozkazy, a przecież ile nadziei, ile marzeń przebiegło w mej głowie! Wszyscy oficerowie tym samym zapalem przejęci być się zdawali co ja; każdy z niecierpliwością czekał hasła bitwy, każdy łakomie wzrok swój pogrążał w najeżonych działami Tarragony okopach, jakby tam było jego życie i szczęście. Niebezpieczeństwo nie zrażało nikogo; stopnie, dostojenstwa, a co nadewszystko, ozdoba legii honorowej, były wśród murów nieprzyjacielskiego miasta. Trzeba znać Napoleona wojowników, aby zrozumieć jak należy, co za powab miała dla nich gwiazdka ósmiokończasta, na kawałku czerwonej zawieszona wstążeczki: dla niej nie jeden śmiało uderzał w nieprzeliczone wrogów zastępy, łamał je lub ginął, lecz ginął bez skargi, bez utysku!

Artylerya rozpoczęła grę swoją; odpowiadały jej armaty fortecy; my staliśmy jeszcze na miejscu, dalszych oczekując rozkazów, gdy na śpionym rumaku, swiłą swoją otoczony, przybiegł przed front półku głównodowodzący armii generał Suchet, baczno okiem zmierzył linie nasze; wyraźne zadowolenie poznać było w niem można; zwrócił się ku mi i wyrzekł:

— Brawo! półkowniku, pośpieszcie; czysto i dzielnie, to lubię; ufam że nie ostatni będziesz na Tarragony okopach; czas tych przeklętych Hiszpanów rozumu nauczyć; czytałeś mój rozkaz, wiernie zastosuj się do niego.

Odjechał po tych słowach na kilkanaście kroków; wstrzymał się przecie, lunetę skierował na okrąg, coś z cicha do otaczających oficerów powiedział, wrócił przed front mego półku, i rzekł mi:

— O ważnej przepomniałem rzeczy: jeden tylko półk naznaczyłem do obozu, to mało. Gierylasy włóczący się po okolicach, mogliby z zaniedbania korzystać; wreszcie na ostrożności nikt nie traci; większą załogę wypada zostawić; cały półk; z waszej brygady być on musi; wybieraj zatem panie S* chcesz pójść do szturm lub tu pozostać?

Machinalnie spojrzałem po żołnierzach i oficerach moich batalionów; w każdym oku chęć boju, zapal rycerski; już chciałem wyrzec prośbę o atak, gdy wzrok mój upadł na brata. Stał on o kilka kroków odemnie na koniu, mógł być zatem postyszeć generała wyrazy. Jakaś niespokojność, obawa, trwożna niepewność w bladym jego się wywijały oku; spojrzenie które na mnie rzucił, było tak błagające, osłabienie ducha tak widoczne, że chęć walki odeszła; dzikie przecucie i w mojem sercu rozwiło; niby głos jakiś tajemniczy wołał do ucha, do duszy: nie idź, zabijesz go. zamordujesz, i przyjąłem pozostanie.

Zawsze mię się pan na baczności, wyrzekł generał; być może iż twę pomocy w ciągu dnia potrzebować będę. Wydał jeszcze kilka rozkazów do oko-

liczności stósownych, wspiął ostrogą rumaka i odbiegł aby dać hasło do boju.

Oficerowie, postyszawszy niespodziewany rozkaz pozostania na miejscu, szemrać z niezadowolnieniem zaczęli, toż samo żołnierze. Chodźmy, chodźmy, to żarty! kilka głosów wśród szeregów zabrzmiało, mój brat zbliżył się do mnie.

— Stanisławie! rzekł, nie chciałeś pójść do szturm? Na ten jeden raz, mój bracie, i bez nas miasta dobędą.

Głos mój był smętny, ofiara widocznie bolesną; poznał to młodzian, wdrygnął się, uścisnął mą rękę i rzekł:

— „Pojmuję cię, lecz zmiłuj się nie dawaj na mnie baczania; wszystko co wczoraj mówiłem, to był żart, przywidzenie tylko. Proś generała; jeszcze czas; chętnie rozkaz zmieni.

Spojrzałem na młodziana, wyrazy jego nie były w zgodzie ni z dźwiękiem głosu, ni z wyrazem lic; odpartem więc:

— Nie znasz mnie; postanowienia nigdy nie zmieniam; czyżto ostatnia nam bitwa? czyż tylko pod murami Tarragony sława nam uśmiecha?

W tej chwili z szeregów półku, wystąpił stary wiarus, grenadyer; twarz jego w różnych kierunkach nakieroszowana szramami, śniada słońcem Włoch, Egiptu i Hiszpanii; przyłożył do bermycy rękę, i mówił:

— Panie półkowniku! cała armia śpieszy do szturm; czyż my tylko sami przestaniem bezczynni? To źle byłoby; czterdziesty półk nigdy nie został w odwodzie, nie pilnował bagażów; co o nas powiedzą koledzy, co cesarz! Doprawdy, półkowniku, daj ha-

sto, a my jak zawsze, pójdziem za tobą i tego Hiszpańskiego gniazda pierwsi dostaniem!

Krew uderzyła do mych lic; przemowa starego żołnierza duszą i sercem wstrząsnęła; pozostać bezczynnym, pilnować bagaży, kiedy bitwa wrzała, istotną było hańbą dla Napoleona żołnierzy, odpowiedziałem jednakże:

— Głównodowodzący taki dał rozkaz; wypełnić go winienem; znasz subordynacją; nie może być inaczej.

— Ej, co tam subordynacja! Gdy wdrzem się na fortecę, zdobędziem; o niepostuszeństwie wszyscy zapomną; owszem cesarz pochwali, krzyż jeden i drugi przyśle, w rozkazie dziennym umieści. Dalipan, panie półkownika, posłuchaj mój rady!

Armaty silniej zabuczały w tej chwili. Dano haśto boju; kilka półków rzuciło się do szturmu; rumak mój rżał, rył ziemię kopytem, niby niecierpliwie oczekując walki.

— Chodźmy, chodźmy, wyprzedzą nas, szeptał wiarus. Wahałem się co czynić; oficerowie okrążyli mnie wiankiem. Każdy z nich prosił, błagał, dawne przypominał walki; byłato chwila okropna dla mnie: cierpienia, rozpaczy; brat pojął od razu co się w głębinie mojej piersi działo, bo za rękę uchwycił i ponuro szepnął:

— Stanisławie! gdy ich nie posłuchasz, nie zechcesz pójść, to ja sam pójdę. Zawrócił konia ku stronie Tarragony, gotów uskutecznić co wyrzekł.

— Stój, stój! zawołałem wtedy gwałtownie, walka uczuć bowiem miotających mą duszą, rozstrzygniętą była w tej chwili. Jesteś pod mojem dowództwem,

pełnić zatém me rozkazy winienes. Panowie zaś, do-
dałem zwracając się do oficerów i żołnierza, na swe
miejsca wszyscy; znacie służbę; poćnić rozkazy, ja-
kie są one, bez szemrania winniście.

Z zwieszonemi głowami, smutnie, rozeszli się
wszyscy na swe stanowisko; ja kilka chwil jeszcze
pozostałem na miejscu; w piersi méj było duszno, ser-
ce krwawiło się, w oku łza połysnęła; ach! po raz
pierwszy w życiu beczynnym widzem musiałem być
walki, po raz pierwszy i z własnej woli.

Cały dzień prawie trwała uporczywa walka; zna-
ną ona zapewne wam z dziejów; kilkakrotnie półki
Francuzkie odparli Hiszpanie, kilkakrotnie zwątpienie
i bezład armią wstrząsnęły; lecz nią Suchet dowo-
dził, waleczny między walecznemi, prędko do ładu
przywodził szeregi; gwiazda Napoleona nie zagasta
jeszcze, i Tarragona zdobytą została.

Zdobyte przecież były tylko mury fortecy, jój oko-
py, i szauce; w mieście wrzała walka zacięta. Każdy
dom w cytadellę zmienił się, każdy mieszkaniec broń
ujął; walki téj nie mogliśmy dojrzeć, lecz skutki były
dla nas widoczne; co chwila bowiem przybywały do
obozu znaczne rannych orszaki, a koło trzeciej z po-
łudnia, nadbiegł gienerała adjutant z rozkazem, abym
półkiem moim zastąpił znużonych, i dodał:

— Dosyc wam jeszcze do czynienia zostało, pa-
nowie; cała jedna strona miasta, część jego przymor-
ska broni się zacięcie, lecz to już tylko igraszka przy
walce którą dzień cały musieliśmy toczyć. Co naj-
waleczniejsi z naszych żołnierzy polegli, Hiszpanów
zaś tyle, że jak wkrótce ujrzycie, ich trupami nie-

tylko okopy fortecy, lecz całe miasto pokryte. Lat dziesięć służyłem w wojsku, kilka kampanij odbyłem, lecz podobnej rzezi nie widziałem nigdy.

Istotnie straszny to był widok, jaki przed oczyma mieliśmy, przebiegając Tarragony ulice na lewo i prawo; gdzieś tylko okiem zasięgnął, wszędzie rudera, zniszczenie. Z rozpaczającym męstwem bronili się Hiszpanie, żądzą zwycięstwa i chęcią pomsty ległych towarzyszy wiedzeni; walczyli Francuzi; ni jeden dom prywatny, świątynia, gmach publiczny ocalonym nie został wojennej pożodze. Mury były rozłupane od kul karabinowych i armatnych, dachy zerwane, okna rozłupane, a gdyś spojrział przez które, to w wnętrzu budowli dojrzałeś niezawodnie stós trupów, okropne krwawej wojny ślady, zniszczenie barbarzyńskie, okrutne. Jęk, przekleństwa, lub ponure konających wykrzyki rozlegały się dokoła; lecz któż na nie zważał, kto z pomocą cierpiącym pośpieszył? Tłumy maruderów Francuzkich, całe kompanie nawet zawładnęły zdobytą częścią miasta, rabowały ją, do ostatka niszczyły; nieraz się trzeba było z bronią w ręku przez te niesforne tłumy przedzierać, nieraz stąpaliśmy po stósach ległych, co więcej, deptaliśmy bez litości rannych passujących się z zgonem, kierując pochód nasz ku tej stronie, z kąd dobiegające wystrzały armatne i karabinowe, brzęk oręża, straszliwe walczących wykrzyki, zwiastowały że tam jeszcze w całej okropności wrzała bitwa, że los jej jeszcze rozstrzygniętym nie był.

Brat mój był przy mnie, świeży ślad boju, huk armat, dym prochu, otrzeźwiły go całkiem; w oku błyszczała chęć walki, lica płomienisty się rzeźwym rumien-

cem; było znów żołnierz, żołnierz jak dawniej, żołnierz dzielny, waleczny, dla którego niebezpieczeństwo bodźcem do rycerskich czynów, wojna żywiołem; błyszczał nagą szablą i wołał:

— Dalipan bracie, prawdę mówię, że to próżne mawy, czy przestraszyć wczorajsze i dzisiejsze moje przecucie; istotnie wstydzę się muszę, wstydzę tym więcej, że nie tylko ja sam, lecz i ty przemnie straciłeś piękną porę odznaczenia się, zyskania pochwał naczelników i cesarza. Ależ nie wszystko jeszcze stracone; jeszcze i dla nas robota znajdzie się; miarkuję to po gęstych tam się rozlegających wystrzałach; dalej, żwawo, naprzód! każ śpieszyć bracie!

Na głównym rynku Tarragony wśród trupów i rannych, na dzielnym swoim rumaku stał generał Suchet; w jego rękę szabla błyszczała, a że nie tylko dla ozdoby służyła, pokazywały to świeże ślady krwi i szczyrby na niej. Skoro ujrzał nadbiegający półk mój, zbliżył się przed front i żwawo, jak to miał we zwyczaju, przemówił:

— Bywajże, mój półkowniku! W sam czas przychodzisz; świeży twój lud dopomoże nam wiele; z tymi przekłętymi Hiszpanami przyjść do końca trudno; rozdziel półk na trzy części, każdy batalion niech inną weźmie ulicę; artylerya was wesprze; spodziewam się, że co zaczęliśmy, to dokończysz; resztę miasta zdobędziesz.

Rozkaz głównodowodzącego w jednej chwili skutecznym, a krótką przemową zachęciwszy żołnierzy do boju, pośpieszyłem do szturm.

Cała ulica, którą wypadało nam zdobyć, zapelniona była zbrojnym ludem; łącno pomiędzy nimi na-

wet dojrzałeś kobietę lub dziecię; przewodniczyli zaś księża, w jednej ręku dzierżąc krzyż, w drugiej szablę lub broń palną. Dachy pokryte były walczącymi; z okien domów błyszczały ich rusznice, ich obryzgane krwią twarze, ich oczy, w których jasno dziką rozpacz i zemstę czytałeś. Toczącym bój na otwartej ulicy, potrzaskane meble, sprzęty domowe, stósy kamieni i cegieł, a niekiedy trupy ległych towarzyszy, za barykady służyły. Nasze armaty w krzyż rozstawione, bezustanku dawały ognia; nie mogły przecież rozproszyć ani zastraszyć powstańców, zwłaszcza że ulica zygzakująca się w różnych kierunkach, strzały na małą tylko odległość skutecznymi czyniła. Francuzi tu walczący, niezwykłą obroną zrażeni, kilkogodzinnym słabieni bojem, widocznie upadli na duchu; ich ataki były słabe i mało decydujące; ja sam nawet wahałem się puścić naprzód, zetrzeć się twarz w twarz z groźnym rozpaczą wrogiem, i już miałem dać rozkaz kolejnego szturm domów, gdy mój brat wykrzyknął:

— Tym sposobem, końca nigdy nie będzie, a przynajmniej Bóg wie kiedy; mojem zdaniem karabiny do ręki i śmiało na bagnety, uprzątnąwszy z czerni ulice; domy same zdać się muszą na łaskę.

Rada choć niebezpieczna i dosyć zuchwała, dobrą była jednakże; poskoczyłem z konia, ująłem karabin jednego z żołnierzy, i krzyknąłem:

— Hej bracia! któryż za mną pójdzie, Hiszpanom oko w oko spojrzysz? Kto chce zwyciężyć lub zginąć?

Żołnierze wahali się widocznie co czynić, poglądali to po sobie to w tłumy Hiszpanów zapełniające wnętrza ulicy, aż stary wiarus Egipski śmiało naprzód

wystąpił i wyrzekł: Dalipan kiedy nie ma innego sposobu, to naprzód! Bagnetem zdobywało się przecież ważniejsze od tój fortece. *Allons!*

Allons! jednozgodnie cały batalion wykrzyknął, huk rozległ się jedynego i jednego wystrzału, bagnety na karabinach błysnęły; poskoczyliśmy w tłumy Hiszpanów: kwadrans przeszło trwała nasza walka; nie znam więcej nad nią morderczej. Zewsząd, z boków, z góry i przed nami bój, śmierć; z szczytu dachów rzucono massy gruzów, kamieni i cegieł; tysiące strzałów świstało oknami i drzwiami domów; napastowani na ulicy powstańcy bronili się zacięcie. Było to okropnie; wrzawa, chaos; my postępowaliśmy, walczyliśmy prawie na oślep, bo gęsty tuman prochu i kurzu, wązką ulicę zapełnił, a co chwila nowa zawada: to stósy kamieni, sprzętów domowych, powozów i belek, to świeży zastęp Hiszpanów; cofać się przecież sposobu nie było; chociaż więc co chwila który z żołnierzy poległ, inny ciężko raniony potoczył się na zbrzyżaną krwią ziemię; szliśmy ciągle naprzód! Co do mnie, kule świszczwały nad głową, nieraz krew opryskała obok poległego; cudem prawie stało się że raniony nie byłem; toż samo waleczny mój brat.

Przykładem i słowem zachęcał on żołnierzy; pierwszy dał się w nieprzyjaciół szeregi, pierwszy niósł im śmierć i zniszczenie; wątpię przecież czybyśmy zwycięzko z nierówniej zdołali wyjść walki, gdyby w trop nasz, zachęceni przykładem, nie pobiegli Francuzi; oddział artyleryi nawet, z szczęściu czy ośmiu dział złożony, pośpieszył oczyszczoną ulicą; strzały jej powiększały okropność bitwy; dalej rumot padających domów łamanych, bram, jęki ranionych tchną-

ce rozpaczą i zemstą, wykrzyki Hiszpanów. Batalion mój do połowy zmniejszył się; wszyscy oficerowie polegli lub ciężko ranieni, zwrócili się nazad; ja tylko z bratem zostałem, a przed nami występując swojemi murami na ulicę, dumnie piętrował się jakiś klasztor. Obwarowany on był jak żaden inny w mieście; prócz tego, w załamkach filarów, w oknach tysiące widać było powstańców; krzyżowały się ich strzały, okropnie brzmiały wykrzyki; najdzielniejsi żołnierze wstrzymali się w pochodzie.

— Kto wie, czy nie lepiej będzie cofnąć się, lub odpocząć nieco, wyrzekłem do brata.

— A to czemu? mnie się zdaje że już nam mało drogi zostaje; ten klasztor naróżnym być musi; wyraźnie czuję powiewające morskie powietrze.

— Tak, ma pan kapitan słuszność, wyrzekł jeden z żołnierzy obok stojących; znam Tarragonę, stałem w niej kwaterą przed trzema laty; ta ulica wiedzie do portu: za klasztorem jej koniec; dwa tylko lub trzy domy i pałac jakiegoś hrabiego zostają.

— A więc naprzód! brzęknąwszy karabinem, donośnym zawołałem głosem; jeszcze chwilka walki i wszystko będzie skończone; zwycięstwo z naszej strony. Naprzód bracia!

Morderczy bój znowu się zawziął; moi żołnierze z rozpaczem wysileniem rzucili się do niego; nagły atak pomieszał nieprzyjaciół i o strach ich przyprawił; rzadko który, choćby na chwilę, chciał opór stawić; sta ich ginęły w ucieczce; wąską ulicą, w całym znaczeniu tego wyrazu, po stósach trupów stąpać musieliśmy. Za klasztorem, jak żołnierz wyrzekł, istotnie

kończyła się ona; dalej był obszerny plac i port; tłumy nieszczęsnych Hiszpanów, to ku niemu, to w różne rozbiegały się strony. Mój brat wykrzyknął radośnie:

— Otóż koniec już boju! Tarragona w naszym ręku; ulica którą zdobyliśmy, najważniejszą jest nieomylnie w tej stronie miasta; odpocznijmy nieco, artylerya i Francuzi dokończą reszty; domy zdobędą.

Stanęliśmy wówczas na obszernym placu portowym; przed nami okiem niezmiernie morze, obok dopiero co z takim trudem przebyta ulica, szczególnie dwa domy przy klasztorze i obszerny pałac. Jakiś czas spokojnie, głucho w nim było, lecz nagle w oknach zaczęły pokazywać się dzikie twarze Hiszpanów; jedna i druga rusznica zabłyśła.

— Bah! wyrzekł śmiejąc się mój brat, niebardzo i tu spokojni będziemy; Hiszpanie szukają zaczepki; gradem kul, ręczę, powitają nas wkrótce.

— Trzeba ich uprzedzić, odparłem i już chciałem dać rozkaz szturmowi i zajęcia pałacu, gdy wstrzymał mnie brat, i rzekł:

— Daj pokój, i tak już dosyć krwi było; poprobuje łagodności, może się dobrowolnie poddadzą.

— Lecz któż pojedzie do nich, zanieś propozycyę? Jak im zaufać?

— Ja pójdę, rzekł; umiem nieco po hiszpańsku, zresztą na życie parlamentarza godzić nie będą. Wydobył białą chustkę z kieszeni, przywiązał ją do bagnetu, i tak wystąpił z szeregu.

— Dla Boga! wyrzekłem, zatrzymaj się; czyż ty koniecznie iść musisz? zastąpi cię sierżant, lub który z żołnierzy.

— Dlaczegoż niepotrzebnie ich trudzić? zawołał, i nim zdołałem wstrzymać go, już był pod bramą pałacu.

Jedno z okien pierwszego piętra, głucho zabrzękło; dwie twarze pokazały się w niem: twarze dzikie, groźne, czysto Hiszpańskie; jedna osłonią była rogatym oficerskim kapeluszem, druga burym mnisim kapturem. Dreszcz mię przejął gdy spojrzał na nie; było w nich coś tak przykrego, odrażającego, coś szatańskiego istotnie; a znałem je; przypomniałem sobie, lecz gdzie, jak i kiedy widziałem; tego pamięcią nie mogłem zasięgnąć. Były mi one jak owe senne mary straszne i przykre, których pojąć nie zdołasz, a przecież w ich byt wierzysz, o rzeczywistości nie wątpisz.

— Poddajcie się! wołał im młodzian; całe miasto zdobyte, wasz opór, na chwilę tylko morderczy bój może przedłużyć; poddajcie się! jeśli dbacie o własne życie, o los waszych krewnych i ziomków!

Szyderyczy śmiech jednomyślnie obiegnął ponure lica Hiszpanów. Mnich wyrzekł:

— A gdy się poddamy, co nas czeka, młody rycerzu?

— Od śmierci uwolnieni będziecie, to zapewnić mogę; półkownik weźmie was pod swoją opiekę.

— Nie ujdzie nas przecie niewola, sromota, więzienie, przypuściwszy że twój dowódzca wiernie słowa dotrzyma, śmierci naszej nie zapragnie. Nie, nie; raczej zginąć! Idź do swoich, my się bronić będziemy!

— Lecz reszta mieszkańców pałacu co myśli? czyż wy za wszystkich odpowiadać chcecie? Miejcież litość nad niemi, gdy jej nie macie nad sobą! Kwadrans

zaledwo kosztowało naszdobycie całej ulicy; czyż ten dom długo attack wytrzyma?

— Ach tak! zdobyliście całą ulicę, mrucał mnich rozpacznie; najdzielniejsi nasi bohaterowie polegli, najpiękniejsze serca, najsilniejsze ramiona Katalońskie, tchnienie zgonu owiało; lecz jeszcze dość ich, aby wam stawić opór, zlać waszą krwią tę ziemię; dość ich aby zginąć bez sromu, zginąć, pomściwszy choć w części siebie i nieszczęsnych współbraci! Niech się dzieje Najwyższego wola; ja i mój kolega gotowiśmy umrzeć jak żyliśmy; idź więc do swoich; powiedz coś słyszał, niech przyjdą; krew, której tak łakną, znajdą tu!

W oknach obszernej budowy tymczasem coraz więcej pokazywało się twarzy. Były pomiędzy nimi i dziecinne i kobiece, a na każdej przestkach, zwątpienie, z boleśną nadzieją zmieszane; uważałem nawet, że w głębi komnaty, przez której okno z mym bratem ponury mnich rozmawiał, utworzyła się grupa nieszczęsnych. Widocznie słowa młodzieńca wpływ swój wywarły; obrona dalsza nieszczęsnym niepodobną zdała się; przystąpili ku dwom rozmawiającym, i coś żwawo przekładać im zaczęli; może to była prośba o poddanie się, o układy z nami; brat mój dojrzał także ów ruch; może nawet jakie słowa, bliżej stojąc, uchem zachwycił, bo wołał:

— Zapewniam wam bezpieczeństwo i życie, lecz śpieszcie się; półkownik niecierpliwi się, albowiem tylko kilka minut wam do namysłu pozostawił.

Nikt nie odpowiedział na to wezwanie. Oficer wsparłszy się na oknie, milczał ponuro; mnich z towarzyszami rozmawiał ciągle; giesta jego coraz sta-

wały się żwawszemi, namiętniejszemi, głos silniejszym; nagle zwrócił się do okna; na jego twarzy malował się widocznie wściekły gniew, rozpacz, zemsta. Chce zginąć, musicie także zginąć odstępcy, wykrzyknął niby w odpowiedzi na przedstawienia i prośby tłumu. W ręku jego pistolet zabłysnął; skierował go na ulicę; w oku była krew; dotknął cyngla, huk rozszedł się. I było to dziełem jednej strasznej chwili; brat mój zachwiał się, pobladł i upadł: kula przeszła pierś jego.

W całym szeregu moich żołnierzy rozległ się wykrzyk sromu, żalu; bez rozkazu nawet z mojej strony, nabito broń, skierowano w okna pałacu; huk rozległ się ponuro, zabrzękły szyby, lecz jaki był skutek wystrzału, nie widziałem, nie patrzyłem, byłem przy nieszczęsnym mym bracie: oko w kole, na licach bladość śmiertelna, silnie uściśnął dłoń moją, przycisnął do piersi i jęczał.

— Ach! przeczucie więc próżnem nie było! umieram! Bądź zdrów, Stanisławie; zimno mi, duszno! Matko, kochano matko! Stanisławie pomścij mnie, to strasznie, okropnie, ach pierś!..

Umarł!

Co się działo w mem sercu, w mój głowie, tego nie sposób wyrazić. Zemsta krwawa, okropna po raz pierwszy w życiu, wszystką krew zburzyła, zawładnęła chęciami, rozumem; pomścić lub zginąć było jedynem mojem życzeniem, jedyną wolą. Śmierć zdrajcom! krzyczałem do żołnierzy; koledzy!.. pomścijcie mnie, pomścijcie jego! wskazałem na trupa. Nie trzeba było zachęty; cały batalion w mgnieniu oka mimo gradu kul Hiszpanów, pobiegł do ataku. W kilka minut bra-

ma pałacu, silnemi ramionami podparta, z hukiem wypadła; daremna była obrona zuchwalców, daremne błaganie o litość. Są chwile w życiu człowieka, w których niesposób podać jej ucha; wszędzie byłem na czele, wszędzie niósłem śmierć, przelewałem krew bez litości, łaknąłem jej; to tylko choć w części, pozwalało mi zapomnieć świeżą a dotkliwą stratę.

Wiedziony rozpaczą i zemstą, ciągle na przodzie, nie zważałem czy żołnierze postępują za mną; rozbiegli się po obszernych salach pałacu; przy mnie dwóch pozostało tylko: stary wiarus Egipski i młody rodak znad Wisły. Na końcu korytarza, na drugim piętrze, zamknięte drzwi ściągnęły naszą uwagę; wyłamać je było dziełem jednej chwili. Serce moje zadrżało radością; chęć zemsty sowicie zaspokoić miałem, o kilka kroków przedemną stało dwóch brata morderców: oficer Hiszpański i mnich. Poskoczyłem ku nim, lecz wyprzedził mię młody rodak; to mi ocaliło życie, lecz zgubiło młodziana; dwie kule z pistoletów Hiszpanów wybiegłe, przeszły pierś jego; chwilę passując się z zgonem, padł na mnie. Wiarus wtedy poskoczył; jednem cięciem pałasza głowę mnichowi roztrzaskał; ja cofającego się oficera dobiegłem; jego szpada wążła i drobna, nie wytrzymała ciosu silnego ciężkiej mej szabli; rozprysła się w kawałki. Giń zbrodniarzu! krzyknąłem, podnosząc mą szablę; już ona spaść miała, gdy nagle ręka moja zatrzymaną była; w czarnej mantylli, z rozpuszczonym włosom, blada drżąca, lecz piękna dziewczica, cios morderczy wstrzymała.

— Stój, stój! on niewinny; on twój obrońca; wstrzymaj się, zmiłuj się!

Spojrzałem na dziewczęcę, dreszcz obiegł ciało; mimo bladości lic, obłąkania w oku, mimo trzech lat rozłąki, poznałem ją od razu. Była to moja zbawicielka z Salto di Lobos, donna Fabianna, a Hiszpan stojący przedemną, Hidalgo don Juan, jój stryj.

Cóż dalej mam ci mówić?

Cały wieczór, noc prawie całą strawiłem w owej komnacie; nie obchodziła mię wojna, półk mój, obowiązki służby; zapomniałem, zabaczyłem o wszystkim ujrzawszy Fabiannę.

Nie śmieję się, nie drwij ze mnie, ja ją kochałem. Ona była moją zbawczynią w Salto di Lobos; nigdy nie wątpiłem o tém; teraz przekonałem się dowodnie z jój słów; na jój tylko prosby upojonego opium, Hidalgo od pewnej śmierci ocalił.

Ale mniejsza wdzięczność; nie ona tylko łączyła mnie z Fabianną. Może przypominasz sobie, jakąś książkę, cośmy kiedyś w dniach naszej młodości czytali pospołu; jój tytułu nie pamiętam wcale, ale treść dobrze pomnę. Była to historia różnych, często dziwnych marzeń, rozumu ludzkiego; jeden wstęp szczególnie zajął uwagę naszą, a to mniemanie jakiegoś Indyjskiego ludu, że bóstwo w niebie stwarza mężczyznę i kobietę jedną osobą. W przelocie dopiero na ziemię, te dwie płci rozdzielają się, ale pomimo dziwactwa losu, co je daleko w różne strony i stany rozdziela, serce jednej tęskni za drugą połową; istotne ich szczęście jest wtedy tylko, gdy się mogą złączyć, skojarzyć. Otóż ową moją połową, duszą marzeń i chęci była Fabianna! czułem to, wiedziałem. Lat

trzy rozłąki, po jednej krótkiej chwili ujrzenia w Salto di Lobos, nie wytarło jej obrazu z serca, z pamięci; wszystkie moje marzenia były za nią, chęć, dusza, nadzieja; różnie los miotał, z walk w walki przerzucał; nie jedna piękność Hiszpańska zaszła drogę, nie jedna miłostka mą chwilę zajęła, ależ to na chwilę tylko; najnędzniejsze oko, najwabniejszy uśmiech, najwięcej miłosne oświadczenia, były mi czeze, nudne; braknęło im życia, ducha; jeżeli kiedy kochałem, to tylko Fabiany wspominkiem. A nadto wspomnij sobie, że byłem młody, ognisty; że słońce Hiszpanii wrzące, płomienne, burzyło krew, upajało zmysły! Byłem szalony; wiem to, lecz szaleństwo moje nie byłoż szczęściem? Ach! ja byłem szczęśliwy! I ona kochała mię! Wyznała to; wyznała zaś z całym zaufaniem dziecińcy; wyznała nie jako grzech, występki, ale że miłość była w jej duszy, w jej sercu; zataić ją owszem, wydałoby się dla nieszczęsnej świętokradztwem, obelgą.

Mówiła mi: ach! ty nie wiesz, nie pojmujesz, mój drogi; od pierwszej chwili naszego widzenia się, czy ty pamiętasz tam, w Salto di Lobos, tyś mi odkrył niebo, tyś stał się wszystkiem dla serca; być twoją lub zginąć, to był cel mojego życia. Biedna matka gniewała się, stryj się gniewał; lecz co mnie były te gniewy; twoja miłość tylko dodawała mi sił znieść cierpienia; nadzieja bowiem mówiła do duszy, że cię ujrzę, że będę twoją; a ty nie pojmujesz nawet ile ja przez te trzy lata wycierpieć musiałam; ile nędzy, tułactwa, ile krwi popłynęło przed mem okiem! To okropnie! Straszna to wojna, co wy z nami toczycie; biedna moja matka zginęła, cały ród zginął, rodzinna

wioska zniszczona do gruntu; trzeba było mieć serce żelazne, wolę żelazną, aby nie upaść pod brzemieniem nieszczęść, pod ogromem tylu trosk.

To znowu: ach, drogi mój! ty mnie kochasz, ty mnie miłość przysięgłeś; jeszcze jedno przysiędz musisz; opuścim tę ziemię, kraj ten, to kraj krwi, potępienia; będziemy żyć daleko w twojej ojczyźnie; tam niebo chłodne, słońce zimne, lecz co mi to! twoja miłość stanie za niebo, za słońce. O! ja cię Kocham!....

Lecz dosyć na tém! aby pojąć Hiszpankę; nie drwij z jej oświadczeń; trzeba ją znać, kochać i być od niej kochanym. Dosyć już tych słów, znudziłem może ciebie niemi; kiedyż bowiem tajniki uczuć naszych, nasze świętości, to co krwawi lub wabi serce, znajdzie w cudzém odbicie, pojęcie, litość?

Godziny za godzinami upływały pośpiesznie; północ nadeszła; przeszła wreszcie. Już pierwszy brzask ranka, purpurą światła ozłacał śniade ściany komnaty, gdy ciężki sztuk, niby kilku uzbrojonych osób, na korytarzu rozległ się i przerwał nasze rozmowy, marzenia. Pośpiesznie wybiegłem. Na korytarzu napotkałem jednego z adjutantów generała Hugo; mówił mi, jakiś papier oddając:

— Szukam pana już od godziny; głównodowodzący nadesłał mu rozkaz; chciój się zastósować do niego. Czytałem:

„Półkownik S* ma zebrać wszystkich jeńców Hiszpańskich, w wczorajszej bitwie ujętych, i pod dobrą strażą do mej kwatery odesłać; szczególniejszą zaś bacznąć dawać powinien i zająć się odkryciem następnych członków junty tutejszej:“ tu następowała

lista, a na jej czele był zakonnik don Ambrosio, i Hidalgo don Juan di Ribeira y Nieves. Gdy wrócił do komnaty, bladeść lic i chmura czoła nie uszły baczego oka Fabianny; ukrywać jej prawdy nie mogłem, pobladała, zadrżała, ujęła mą dłoń i głucho szepnęła:

— Ty mnie kochasz, Stanisławie, ty go ocalisz! nie prawda że go ocalisz? Ja go kocham także; on mi przez te trzy lata był jedynym opiekunem, dobrodziejem, ojcem; jego śmierć, to moja śmierć; po tobie kocham go pierwszego.

Zwróciłem się do Hiszpana, obudzić go chciałem, zapomniałem bowiem powiedzieć ci, że Hidalgo już w pierwszej godzinie zajęcia przezemnie komnaty, czyto wysiłony całodziennym bojem, czy zwalczony aż do zwierzęcości nieszczęściem, z obojętnością do niewierzenia, z lekceważeniem na los swój, na życie, nie badając mię nawet jak go zechcę uważać; czy podam na zgubę, czy go zechcę ocalić; rozwinął płaszcz swój na świeżo zbroszoną posadzkę, rzucił się na niego i spał, a to był sen czysto zwierzęcy, martwy, bezwładny, sen w którym dusza i ciało śpią pospołu, a spał choć go budziłem: tylko kiedy niekiedy, z ust jakieś przerywane wydobyły się dźwięki, pojedyncze słowa, w których nadaremnie szukałbyś myśli, rozumu; jękał:

— Dajcie pokój!.. jeszcze czas... broń ją... ratuj... mój los... śmierć... Fabiano... półkowniku... o jeszcze czas...

Nieszczęsny, marzył oczywiście i wrażenia tych marzeń machinalnie wybijał językiem; kto wie, może i on miał bliskiego zgonu przecucie.

Mój plan był gotów, przestałem budzić uspiętego

i umyśliłem pójść do Sucheta; rozkaz jego bowiem, naturalnie, skutecznić musiałem, a znając pośpiech naszych sądów wojennych, bałem się aby utaskawienie, jak się to często zdarzało, nie wyszło dopiero po wykonaniu wyroku.

Gdym wychodził, Fabianna uchwyciła mą rękę; oko jej dziwnie się iskrzyło, głos drżał gdy mówiła, wskazując na Hidalga: Stanisławie, jestem twój, należę do ciebie; nie zechcesz mię nazwać żoną, to jak ci mój honor, los, i szczęście oddałam, tak ci będę niewolnicą, ostatnią z sług; lecz go musisz ocalić, musisz! On jest ostatnim z mojego rodu, on mi ojcem! Stanisławie! ty nie wiesz co się ze mną dzieje, moja głowa w zburzeniu, mój rozum! Tyle strat zniosłam, tyle krwi widziałam, ale ta strata, czuję iż nad me siły byłaby. Głucho jęczała.

Uspokajałem ją jak mogłem, i aby ci wyznać prawdę, miałem nadzieję. Suchet mię lubił, pierwszą dopiero prośbę niósł mu, jakżeby miał ją odrzucić? Srogość jego była znaną; postrachem była nie tylko Hiszpanów, lecz i podkomendnych. Ależ przecie towarzyszy broni będzie go błagał, człowiek, który do laurów wieńczących skroni jego, niejednym listkiem dołożył; który krwią własną okupował mu blask, znaczenie, nieśmiertelność; mógłbym wątpić, nie-szczęśny!

W obszerniej sali ratusza, wczoraj jeszcze głównym miejscu obrad Katalońskiej junty, napotkałem generała. Żelazny człowiek, pomimo całodzienniej walki, jej trudów i niebezpieczeństw, od których wcale nie stronił, ani pomyślał o spoczynku; był bowiem w tym samym mundurze, w którym widziałem go wczoraj,

na nim jeszcze pył zaciętego boju; jedna szlifa oderwana, może ją karabinowa kula uniosła; palone bity obryzgane krwią. Siedział przy małym, okrągłym stoliku, w rękę trzymał zwój papierów i odczytywał je pilnie, a w trop tego zatrudnienia, oko ponuro błyszczało. Na szerokiem czole rozleciały się marszczki gniewu, oburzenia; ściągnęły się gęste, czarne brwi, rozchmurzył je przecież gdy mnie ujrzał, i pośpiesznie przemówił:

— Jak się masz półkowniku? wiem o twojej stracie, smuci mnie ona; lecz zgon brata pomścisz. Zresztą, zginął on śmiercią walecznych, na polu sławy. W raporcie do cesarza, nie przepomnę jego nazwiska, równie jak i twojej dzielności; przyłożyłeś się niemało do całkowitego uśmierzenia miasta; lecz co mi powiesz?

— W walce dzisiejszej, między innemi dwóch jeńców zdobyłem; ich los obchodzi mnie mocno; o ich życie błagam cię, generale.

— Dwóch, to wiele; przeklęty naród, nie utrzyma go tylko postrachem; lecz mniejsza o to. Panie adjutancie, wydaj półkownikowi karty bezpieczeństwa dla jeńców. Ale jakież ich nazwiska?

— Jestto Hidalgo don Juan di Ribeira z siostrzenicą.

— Hidalgo don Ribeira, naczelnik ajuntamentotego miasta! najzaciętszy z naszych wrogów, przewodca bezprawi i mordów w tej krainie, rzezi w Salto di Lobos, człowiek, na którego sam cesarz najsurowszą kazał zwrócić bacność, od którego śmierci, całej Katalonii bezpieczeństwo zależy? Nie; nigdy! on musi zginąć!

Zadrzałem na te słowa, przecież odpartem:

— Winienem mu życie, gienerale; przed trzema laty od pewnej ocalił mnie śmierci.

Gienerał powstał z krzesła gwałtownie, ujął zwój papierów, uderzył po nich ręką i mówił:

— Patrz pan! czytaj! przekonasz się łatwo, czy kto w całej Hiszpanii, nie wyłączać Minów, Costanosa, La Romana, i innych, winniejszy od twego Hidalgo. Przynajmniej stu naszych, lecz co mówię, to mało! tysiąca śmierć ciąży na nim; najkrwawszym wyrokom, najwyszukańszym męczarniom on przewodniczył. On jeden, z mnichem, przyjacielem swoim, zerwał przedwczoraj układy poddania się miasta, on winien że krew nasza potokiem płynęła, że brat twój poległ. Półkowniku, gdybyś zażądał ocalenia wszystkich mieszkańców Tarragony, zachowania ich przy wolności i majątkach, łacniejbym dozwolił, niżli na przebaczenie temu mordercy. Śmierć mu! śmierć!

Drżał gniewem; oko jego błyszczało strasznie, groźnie; było tygrys strzałą Araba rażony; błagać go wtedy o litość, to było błagać zimny głąz o strumień wody. Ze wszystkich dowódców Francuzkich w Hiszpanii, Suchet był najsurowszy, i kto wie czy pomimo licznych zwycięstw, mimo doświadczonej odwagi i niezaprzeczonych talentów wojskowych, on nie był jedną z najważniejszych przyczyn przedłużenia krwawej i morderczej na półwyspie wojny. Napoleon posyłając go tam, równy błąd popełnił, jak wtedy, gdy uważając Hiszpanów za lud niedołęzny i słaby, odebrał mu prawego monarchę i wiarę, chciał dworować ich przesądom i wrodzonej dumie. Pomimo

tego gniewu jednak, którego lękali się najzaufańsi przyjaciele i ulubieńcy generała, nie straciłem odwagi, i nie ustępowałem w méj prośbie. Odpowiedź rozjątrzonego, wreszcie stała się cierpką, rażącą nawet moję miłość własną, i stopień: młody, tysiącem uczuć miotany, hamować nie umiałem gniewu wzruszenia. Wyrazy, które generałowi poniósłem, rozburzyły więcéj jeszcze gniew jego; z ścisnionemi w kłębek dłońmi, z okiem gorejącém zwrócił się do przytomnych w komnacie oficerów, i wołał:

— Słyszeliście, panowie! i cesarz dziwi się i gniewa że Hiszpanów pokonać nie mogę! Jak to ma być, gdy władza głównodowodzących, w lekceważeniu u podwładnych; gdy subordynacya wojskowa, czczem tylko nazwiskiem. Lecz potrafię wszystko zwrócić do dawnego stanu; potrafię, na piekło i niebo. Pan półkownik aresztowanym będzie; jutro przed sądem wojennym zda rachunek ze swoich wyrazów. Hidalgo, natychmiast do więzienia zamknąć, dziś jeszcze rozstrzelanym być musi.

Co się działo w mém sercu, jak mnie schodził czas w więzieniu, tego ci nie mam powodu odkreślać; są cierpienia na których wyrażenie słowby nie stało, które można pojąć, lecz wymówić niesposób. Wreszcie koło południa, wszedł ulubiony generała adjutant, i mówił: „jesteś pan wolnym, niebaczných jego słów, dowódzca nie chce pamiętać; masz się udać natychmiast do półku, którym teraz major dowodzi.

Powtórzył kilka zaleceń Sucheta.

Lecz co mi one znaczyły! Nie słuchałem, nie pa-

miętałem ich nawet; myśl, dusza była za Fabianną, za Hidalgą. Pytałem gwałtownie:

— Dla Boga! co się stało z don Juanem, z jego siostrzenicą? Zmiłuj się pan, mów mi.

— Słyszałeś postanowienie Sucheta; nie zmienił go; nieszczęsny rozstrzelanym będzie razem z innymi jeńcami; sąd wojenny ich los przed godziną rozstrzygnął.

— Lecz donna Fabianna, jego siostrzenica?

Nie była na strasznej liście potępionych; uwolnioną zatem została, lecz jaki jej los?—Bóg to wie.

Ach! ją przynajmniej ocalić myśl sercem wstrząsnęła; opuściłem więzienie; pobiegłem do pałacu Hidalgi; szybko przebiegłem jego komnaty; wszędzie w nich zniszczenie, krew; miasto na dzień cały oddane było samowolności żołnierzy; któż nie wie jak oni umieli z tego korzystać! Roztrzaskano meble, odarto ściany z obić, gdzieniegdzie nawet trup się tarzał, gdzieniegdzie jaki ranny Hiszpan lub mój żołnierz dokonywał życia w cierpieniach, bez pomocy lekarza, bez słów pociechy kapłana. Gdym dobiegł komnaty, w której wczoraj napotkałem Hidalgę z Fabianną, lekki szmer doszedł moich uszu; szept jakiś głuchy, ponury; nadzieja w zbolełe serce wstąpiła, ach! może wiarus Egipski, któremu straż nieszczęśliwych śpiesząc do Sucheta powierzył, wiernie dopełnił mojego zlecenia, i jeśli Hidalgi nie mógł ocalić przed okrutnym losem, to przynajmniej Fabiannę strzeże. Może też ona sama tu czeka na mój powrót, na moją pomoc; wszakże na całej ziemi nieszczęśliwej, jam tylko jeden pozostał!

Wszedłem—lecz jakiż widok!

Na środku komnaty, złożone na karabinach, czarnym całunem pokryte, spoczywały czyjeś zwłoki; obok nich jeszcze świece gorzały w srebrnych świecznikach, zdobyczy zapewne z poblizkiego klasztoru; naga szpada i gwiazda honorowej legii o swą krwawą wstążeczkę, spoczywały na całunie; kilku żołnierzy z mojego półku, a między nimi wiarus Egipski, wsparci na karabinach, otaczali mary.

— Coto jest? coto znaczy? wykrzyknąłem zdziwiony; zamiast odpowiedzi, wiarus uchylił nieco całunu: zadrżałem; zwłoki pod nim spoczywające, byłyto zwłoki mego brata.

O jego zgonie, tylu i innymi uczuciami miotany, zabaczyłem do szczętu!

Żołnierz szeptał:

— Zrobiliśmy co można było, półkowniku; trup walecznego oficera przecież bez wojskowych honorów, nibyto trup Hiszpańskiego gierylasa pogrzebanym być nie mógł.

Miłość starta przywiązanie braterskie; chwilę jedną zaledwie poświęciwszy modlitwie za duszę zmarłego, odciągnąłem pocziwego żołnierza na stronę, i pytałem gwałtownie:

— Lecz gdzie ona Hiszpanka?

Wiarus zdziwionem okiem spojrzął w moje.

— Alboż ja mogę wiedzieć? odparł; zabrano ją dziś rano z starym dowódcą gierylasów; przecież pan półkownik wiedzieć musi o tem.

— Czemuż ich nie bronił, człowieku, nie bronił do ostatniej kropli krwi twojej? wszakże ich straż ci powierzyłem!

— Musiałem przecież adjutantowi ustąpić; dziś

znowu miałem gonić za niemi? dowiadywać się o ich losie, gdy trup kapitana leżał bez pogrzebu, wśród innych na ulicy?

Chciałem wybiedz z komnaty; zatrzymał mnie:

— A z ciałem, panie półkownika, z trupem cóż mamy robić?

— Pogrzebicie! Cóż mnie to obchodzi?

— A pan półkownik nie będzie?

— Nie; daj mi pokój; nie mogę!

Żołnierz lekko skinął głową, rzucił mi spojrzenie; w niem tyle było wyrzutu, podziwu, sromu nawet, że mimowolnie wzdrygnąłem się, uścisnąłem dłoń jego i rzekłem:

— Ach! przebacz mi; on przebaczy także; ty nie wiesz, nie pojmujesz, ile nieszczęśliwy jestem! tę Hiszpankę!..

— Ach! teraz rozumiem; pan półkownik ją kochał; czemuż wprzód nie wiedziałem o tém; adjutant nie byłby ich dostał.

— Ona żyje, żyje jeszcze, krzyknąłem, lecz jakież jej los! Koniecznie muszę iść, szukać, ocalić ją.

— Żołnierz chwilę milczał, nareszcie karabin na plecy zarzucił.—Ja pójdę z panem półkownikiem, wyrzekł; koledzy! strzeżcie ciała kapitana! za kilka chwil powrócimy.

Wybiegliśmy z pałacu; na ulicach pusto i głucho, tylko w różnych kierunkach przechodzą Francuzcy żołnierze, tylko stósy trupów, wczorajszej morderczej bitwy pamiątka; nie uprzątnione jeszcze, tarzają się wszędzie.

Lecz gdzie szukać! jak ją znaleźć! zawołałem w rozpacz.—O ja wiem, odparł wiarus, co można było ująć Hiszpanów, co ich pozostało tylko, spędzo-

no na główny rynek miasta, *campo grande*, jak tu zwą, aby przyjrzeli się rozstrzelaniu swoich dawnych wodzów. Hiszpanka musi być tam także!

Na rynku istotnie, jak to wiarus przewidział, kilka tysięcy nieszczęsnych miasta mieszkańców, kobiety, dzieci, starce, rzadko gdzie jaki w sile wieku młodzian, bo w wczorajszej bitwie każdy życie położył; okropny jęk, płacz, wykrzyki rozpaczy, sromu rozlegały się wkoło; nieszczęśliwi, na zgon braci, ojców, przyjaciół, wszakże musieli poglądać! Straszny byłto widok, tym straszniejszy, że wszystko z wyrachowanem barbarzyństwem czyniono, że gwałtem ostremi bagnietami żołnierzy, napędzano nieszczęśliwych do przyglądania się okropnej kaźni rodaków; że owszem tąż samą kaźnią im grożono. Na środku rynku, cały jeden batalion w potrójne rozwinął się szeregi, okrążył wiankiem ośmdziesięciu potępionych na śmierć; ci jednak, chociaż ich życiem była już jedna chwila tylko, chociaż ku ich piersi morderczą broń wróg kierował; oddali się okropnemu losowi z całą obojętnością, dumą nawet, wspólną wszystkim południowym ludziom, szczególnież też Hiszpanom; ani z jednej piersi nie wywinął się jęk bólu, sromu, a tym mniej prosby; wielu z nich klęczało, kilku kapłanów bowiem znajdujących się między skazanemi, niósło im słowa pociechy, wiary, nadziei w Niebo, zbawienie. Z trudem tylko przez tłum mogłem się przedrzeć; przerwać szpaleru żołnierzy niesposób; w moich żyłach przecież krew ścinała się lodem; w uchu był szum dziwny, straszliwy: chciałem koniecznie widzieć Hidalgę, wywiedzieć się od niego o losie Fabianny, i jeśli nie ocalić nieszczęśliwego, to przynajmniej ponieść mu

słowa pociechy, nadziei. Już byłem bliskiego celu, już przez trzeci szpaler żołnierzy przedrzeć się miałem, gdy nagle oficer okropnemu przewodniczący mordowi, dał znak fatalny: grzmot kilkuset wystrzałów rozległ się w straszném zjednoczeniu; dwa wykrzyki zarazem zabrzmiały: jeden pochodził z tłumu widzów, drugi z gromady potępionych!

Za kilka chwil byłem na miejscu exekucyi. Ośmdziesiąt nieszczęśliwych Hiszpańskich jeńców, leżało na bruku pokotem; żaden nie uszedł strzału, lecz że to było ogólne nie pojedyncze rozstrzelanie, połowa zaledwie śmiertelnie ugodzoną była; druga pokaleczona, okropnie dogorywała w mękach strasznych! Do téj liczby należał don Juan: jedna kula przeszła jego ramie, druga roztrzaskała nogę, pierś nawet świeżym postrzałem dotknięta, bluzgała krwią; życie wyraźnie zwątlone opuszczało ciało.

Poznał mnie przecież, i gdym się schylił ku niemu, silnie za rękę uchwycił; oko jego błyszczało, głos drżał.

— Półkowniku, czy ty ją kochasz?

Domyśliłem się o kim mówił, uścisnąłem ziębnącą już dłoń nieszczęśliwego; przycisnąłem do piersi; w jego źrenicy radość błyszczała; jęczał.

— I ona cię kocha! obroniła ci życie, bądźże więc jej zbawcą, opiekunem, kochaj ją; ona godna tego! przysięgnij!

Czy nie miałem przysiąc?

— Mogę więc umrzeć. Boże zmiłuj się nad mą duszą!

Ciężko westchnął, śmiertelny dreszcz obiegł jego ciało; raz jeszcze przecież uchwycił mą dłoń, raz

jeszcze rzucił mi spojrzenie. Ach, pomnę go dotąd; ustami szamotał, czy to w modlitwie, czy chcąc mi ponieść słowa podziękki, zaleceń, i skonał.

W tej chwili żołnierze złamali swoje szeregi; część ich na rozkaz oficera, zbliżyła się ku nieszczęsnym, aby tym którzy dawali jeszcze znak życia, ponieść bagnetem cios ostateczny; za nimi lud się potoczył, rozpaczny tłum odsunął mnie na chwilę od trupa Hiszpana, a gdym mógł znowu przybliżyć się do niego, to zimne świeżą krwią zbroczone zwłoki dzierżyła, okryła swém pięknem ciałem Fabianna. Dreszcz przeszedł me ciało, przetarłem oczy, wierzyć im nie chciałem; ach! zaledwie poznać ją mogłem.

Czarna mantyla nieszczęśnej poszarpaną była w szmaty, jedwabny włos spadał w nieładzie na obnażone ramiona; na twarzy zwykle bladej, teraz dziwny jakiś, dziki rumieniec, nie płakała przecież.

— Fabianno, droga Fabianno, szeptałem.

— Nie słyszała?

Ująłem jej dłoń: była rozpaloną, drżącą; oderwałem ją silnie, rozpacznie od martwych zwłok; wtedy musiała zwrócić i zwróciła na mnie spojrzenie.

Wyobraź sobie jej piękne, jej oczy Hiszpanki: dziecka południa, słońca; żywe, namiętne, ogniste, teraz iskrzyły się one, ale to nie życiem, nie myślą, nie duszą; było w nich coś straszliwego, coś okropnego. Fabianno! Fabianno! w rozpaczcy wołałem.

— Roześmiała się, a to tym śmiechem piersiowym, dzikim obłąkania, jaki tylko z piersi szaleńców wyjść może.

— Co ci jest? dla Boga! czy mnie nie znasz? nie-poznajesz? wołałem dalej; ja twój Stanisław, twój

maż, kochanek; pomnij dzisiejsze przysięgi, ty mnie kochasz? nieprawdaż?

Na chwilę przecież rozum i pamięć, zdało się, że ją ożywiły; oczy zwróciła na mnie pełne dawnego blasku, silnie dłoń swoją wyrwała z rąk moich, odepchnęła gwałtownie i krzyknęła:

— O pójdz precz! precz! tyś go zabił, ja cię nie kocham, nie kocham zbrodniarzu! Krew na twym ręku, precz, precz odemnie; złamałeś twoje przysięgi, twoje przyrzeczenia; nie wierzę ci, gardzę tobą.

Przycisnęła śnieżną dłoń do czoła; niby myśli zbierała, ale to było ostatnie wysilenie człowieczeństwa, walki z zwierzęcością, obłąkaniem; obłąkanie przemogło; uknęła znowu przed trupem Hidalgi, złożyła martwą jego głowę na kolano, niby dziecię piastunka; bawiła się skością dłońią, i dziko się śmiała!

Tego samego dnia wieczorem, dobry mój przyjaciel, lekarz dywizyjny baron G. mówił mi:

— Ona obłąkana!

Wiedziałem o tem, nie rzekłem więc nic. Co się działo w głębi mej duszy, w głębi serca, Bóg to jeden wie!

Lekarz mówił dalej:

— Czy przyjdzie do zdrowia czy nie, powiedzić ci także nie mogę; choroby duszy bowiem, daleko mniej są nam znane niż choroby ciała; widzimy ich tylko symptomata i podług nich leczymy; zajrzeć, że się tak wyrażę w głąb, w istotę choroby, niepodobniestwem jest dla nas. Łatwo więc pojąć możesz, że kiedy sztuka tajników nie przenika natury, staje się czezą i ślepą, a przynajmniej bardzo mało korzystną.

— Pozwoliłem mu mówić, nie przerywałem; więc prawit.

— Są przecież pewne kryzys, nie mówię moralnego lecz fizycznego stanu tej okropnej choroby; znamy je, i wtedy jaką taką radę przynieść możemy: zawsze ma się rozumieć, ciału nie duszy. Dla duszy bowiem nie ma lekarstwa; a gdybym miał je dać, chorobie, czysto moralnej, moralne podawałbym środki: nie jestem bowiem przyjacielem tych, jakie są powszechnie używane w zakładach publicznych: np. zlewania głowy zimną wodą, zamykania w klatce odosobnienia i t. p. jestto prawie to samo, jak gdyby kto chciał leczyć febrę lub ospę ćwiczeniami moralnymi, kazaniem, muzyką!

Otóż co do ciała. Gdy dowiedzioną jest rzeczą, że duch, dusza, to co nas ożywia, co nami włada przeważny na nie wpływ wywiera, gdy przesilenie jednego lub drugiego stanu, złe skutki na zdrowie mieć może, owszem niszczy je i rujnuje, starannie baczny lekarz względ na wspomniane kryzys dawać powinien, i gdy nie może duszy, ciało przynajmniej ratować musi!

— Jako? rzekłem! obłąkanie zabić więc może? Nie sposób! widziałem po rozmaitych zakładach Europejskich, tyle nieszczęśliwych cieszących się zdrowiem tak dobrem, jakiegoby człowiek o najsilniejszym rozumie pożądał.

— Medyk wstrząsnął głową, i odparł.

Tak jest, dobrem cieszą się zdrowiem ci, co ósmy dzień tej okropnej choroby przecierpieli szczęśliwie.

— Ósmy dzień mówisz?

— Jestto kryzys.

— W milczeniu, wydobyłem z szkatułki pistolet. opatrzyłem starannie, i świeżo nabiłem.

— Dla Boga, co to znaczy mój półkownik? zawołał zdziwiony i przerażony lekarz.

— Nie lekarstwo na kryzys, dla mnie ma się rozumieć.

Doktor zadrżał, chwilę bacznie popatrzył w me oko; potem ujął za rękę, i pytał:

— A więc ją kochasz jeszcze, pomimo...

— Pomimo obłąkania, tak jest, odparłem.

— Musi więc żyć, albo wyrzeknę się na zawsze mego zawodu. Tak więc umarlibyśmy obydwaj; ty moralnie, ja fizycznie, czyli podług twojego poprzedniego rozumowania, dwóch nas tworzyłoby obłąkanego jednego; mnie się zdaje pozostaw nas losowi jaki Bóg naznaczy.

Śmiałem się. I w drugiej izbie śmiech rozszedł się także, śmiech okropny, dziki; wszedł tam żwawo doktor, ja towarzyszyłem mu.

Ona, Fabianna, siedziała na posadzce; bawiła się wrywaniem wełny z dywana, układała ją w małe zwitki, potem dmuchała, a gdy dech rozniósł lekkie płatki, śmiała się.

A była piękną! ach piękną!

Doktor ujął jej puls.

— I cóż mój kochany? spytałem po chwili.

— Nic; jak zazwyczaj.

— A gdyby kryzys przeszła, gdybym ja żył i ona, jestże, może być jaka nadzieja?

— Bóg ją nam dał, tu ona w nim jednym, lecz.....

— Cóż lecz?

— Czas, zajęcie się pilne nieszczęśliwą, baczne śledzenie każdego symptoma, rozumu, przypadek narzecie!

— A więc mam dwie drogi, po ósmiu dniach.

— Jakaż druga?

— Wezmę dymissyą.

I po ósmiu dniach istotnie do dymissyi podałem się; Suchet sprzeciwiał się temu, między innymi mówił:

— Tracisz pan piękną sposobność zrobienia kariery; cesarz w ostatnich depeuszach wspomina, że wszystkim oficerom sztabowym w Hiszpanii służącym, szczególnież też w moim korpusie, chce nadać tytuły i majoraty.

— Cesarz bardzo łaskaw; pomimo tego przecież nie mogę w służbie pozostać.

— Jest więc jakiś powód, który cię ciągnie do domu. Czy chcesz żenić się?

Wzdrygnąłem się. — Nie; nigdy!

— Może masz obszerny majątek, sam go pragniesz osobiście doglądać?

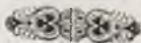
— Nie, moim majątkiem była dotąd i jest szabla i względy cesarza; gdy zaś otrzymam dymissyą, mam prawo do pensyi retretowej; z nią przy tysiącu franków dochodu i szczupłej mojej posiadłości ojczystej, żyć będę spokojny.

— A więc razem, na całą resztę życia, liczysz na dochód dwóch tysięcy franków?

— Tak jest, gienerale.

— *Morbleu!* półkowniku, przebac. Tyś szalony.

— Nie, gienerale; tylko szalonej opiekunem będę.



UWAGI NAD DZIEŁEM LUDWIKA GIESEBRECHT,

POD TYTUŁEM:

HISTORIE WENDYJSKIE

Z LAT 780 — 1182. (*)

przez

Wacława Aleksandra Maciejowskiego.



Rocznica obchodu pamięci Ottona świętego, Pomorskich krajów apostoła, odnowiona w r. 1824, natchnęła Pomorzan myślą zapuszczenia się głębiej jak dotąd było, w źródła swych dziejów, i wybadania tego jaki téż jest początek ich narodu, jakie były jego losy, w jakim stanie znajdowała się oświata, przed wstąpieniem na tę ziemię świętego męża. Między innymi, professor *Ludwik Giesebrecht* wziął przedsię tę pracę. Skreślił w trzech tomach tutejszych Słowian, czyli od Niemców tak nazywanych Wendów, dzieje. Dzieło swe stawiał, są jego słowa, jakoby pochodnią, którą, wdzięcznością powodowana ręka zapaliła na grobie świętego męża z odwagą i łagodnością zasadzającego niegdyś krzyż Zbawiciela na brzegach Bałtyckiego morza. Praca jego, przedstawiająca dzieje ludu, który się do tak zwanego szczepu Lechickiego liczył, jest ważną i dla historyi Polskiego narodu. Zwracając na nią uwagę ziomków, biorę sobie za po-

(*) *Wendische Geschichten aus den Jahren 780 — 1182*, von *Ludwig Giesebrecht*, Berlin, 1843, trzy tomy.

wiuność pokrótce odpowiedzieć życzeniom znakomitego badacza (w przedmowie na stronnicy 8) w tych słowach objawionym: „ażeby, gdy innych sądził, i jego samego osądzono, a wet za wet tym sposobem oddawszy mu, uczyniono przez to największą jaką ją spotkać może, przysługę pracy jego.“ Sąd mój w kilku zamknę słowach, uważając że praca pana Giesebrechta tém się głównie różni od podobnychże naukowych trudów, przez inszych badaczy Niemieckich przedsięwziętych, że on, o ile rzecz mógł ze źródeł pojąć, przedstawił ją bez uprzedzenia, i że jedynie brak znajomości Słowiańskich narzeczy sprawił to (mówimy jego słowy), iż praca jego nie została tém, czemby być była mogła, to jest dziełem trwalszem nad spiżę, ziarnem któreby ręką rolnika rzucone w ziemię, weszło, i wydało nie leciuchny kłosek, idący na paszę dla dobytku, lecz pełny kłos wybor nego zboża, z któregoby mąki i opłatek święty i chleb powszedni upiec się dało. O pracy więc jego, toż samo co o dziełach przez również jak on uczonych, to jest języka i narodowości Słowiańskiej nie znających, a przecież a Słowianach piszących, wyrzec należy z wieszczem:

Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!

Jak wilk, lub jak astronom patrzą na niebo.

Nie znając oni języka Słowiańskich ludów, i dlatego nie pojmując ducha naszej narodowości, szkiełkiem którym wzrok swój opatrzyli, spoglądają na nasze dzieje, z kąd pochodzi, że ani czytać nam w duszy nie umieją, ani, o co głównie w dziejach idzie, są zdolni odgadnąć przyczyny zdziałanych i światu objawionych czynów. Sąto malarze którzy nałożyć kolorem

obraz i obrobić go potrafią, ale wycieniować go tak, ażebyś się w nim wizerunku serca dopatrzył, nie umieją; sąto rolnicy, którzy nie wiedzą kiedy, jak i w jaką ziemię wrzucić należy ziarno, ażeby zeszło i pożądany owoc wydało.

Narody Słowiańskie niegdys jedną rzeszę z Niemcami nad Łabą (Elbą) składające, i dlatego od Tacyta i Ptolomeusza spólnem nazwiskiem Giermanów nazywane, ujarzmione i wynarodowione zostały później, przez spólników politycznego życia swego. Dziś gdzieniegdzie jeszcze dyszą dawnym tchem, przemawiają językiem przodków, ale zmalawszy na umyśle i siłach, żyją poniżone, w poczet gminu policzonemi będąc. Dzieje ich trojako pan Giesebrecht przechodzi, zastanawiając się nad źródłami tychże dziejów, które na samym rozebrał końcu; nad dziejami wewnętrznemi, a mianowicie politycznym stanem ziemi, przemysłem, prawami i obyczajami, religią pogańską i obrzędami jej, którą to rozprawę, dzieło swe nią rozpoczynając, na czele pierwszego umieścił tomu; nad dziejami zewnętrznemi, którym cały drugi tom i większą część pierwszego i trzeciego poświęcił. Pod trojakim też względem i my pracę jego uważać będziemy, prostując w niej zrobione usterki.

Czy współ z Niemcami, bądź jako im równi, bądź jako podwładni im, mieszkali w Giermanii Słowianie za Tacytowych i Ptolomeuszowych czasów, temu pan Giesebrecht ani nie zaprzecza, ani też nie potwierdza tego, uważając (1) że z opowiadań rzeczonych pisarzy, nie da się to na jaśnie wywieść żadną miarą.

(1) I str. 4.

Dopiero źródła dziejów wieku VI wyraźnie zaświadcza-
ją (mówi dalej pan Giesebrecht) pobyt Słowian nad
brzegami Bałtyckiego morza. Teofilakt pisarz bi-
zancki, na początku VII wieku po Chrystusie żyjący,
szeroce opowiada o Słowiańskich gęślarzach za cza-
sów Maurycego cesarza (r. 590) wysłanych w posel-
stwie do bana Awarckiego za Karpaty, i toćto jest (2)
co czyni początek wątku dziejów tutejszych Słowian.
Źródło i ducha tych dziejów, tak opisuje Giesebrecht
(III, str. 277): „Skupiona w sobie i z sił własnych roz-
wijająca się swobodnie narodowość, z czynem poda-
nia godnym wywodzi na jaw opowiadanie tego co za-
szło, czyli opowiada historią. Ani w podaniach któ-
reby historyczności nosiły na sobie cechę, ani w pie-
śniach historycznych jakie już za Tacytowych czasów
mieli Germanowie, nie przekazali Słowianie potomno-
ści swych czynów!

Wszakże miał ten naród własne pismo, i nie był
bez oświaty. Staczał sławne boje, i odnosił zwycię-
stwa, ale mu zbywało na bohaterze narodowym, któ-
regoby czyny mogły dostarczyć wątku dla pieśni i
klechdy. Naród ten rozdwojony z sobą pod wszela-
kim względem, bo się pomieszał z obcemi, chwiał się
w wierze przodków, miał prawa z narodowemi oby-
czajami niezgodne; naród ten chylił się do upadku
już wtedy, kiedy się zetknął z Frankami. A tak mógł
u niego niejedyn wielki czyn doprowadzić do skut-
ku pojedynczy człowiek, ród, gieniusz; ale czyn do
któregoby spełnienia powszechnej narodu potrzeba
było zgody, wykonać się nie dał. Ponieważ zaś nie

(2) Słowa są Gies. III, str. 277 i następujące.

cały lud, lecz pojedynczy ludzie działali u tych Słowian, więc też o nich nie umieją coś takiego opowiedzieć dzieje, coby się ogółu dotyczyło, a przeto lud ten nie ma historyi narodu, lecz historye ludzi, i dziś takie tylko opowiedzieć im jest w stanie badacz dziejów. Gdy czasem ludy Słowiańskie, dawszy wąż swą narodowość na pastwę Wielkiemu Karolowi, poszły jako jeńce [za jego tryumfalnym wozem, zyskały na tem przynajmniej to, że ci którzy zwycięstwa Wielkiego opisywali Karola, raczyli coś wspomnieć o nadłabańskich Słowianach, stawiawszy przez to w możności dziejów pisarza, opowiedzieć im historiją.“ To wyrzekłszy, wylicza pan Giesebr. wspomnienia (znamy je z kronik Persowych), uwagi godne czyni nad niemi spostrzeżenia, a następnie (1) przechodzi do źródeł dziejów Polskich, których dlatego dotyka, że się one z historiją Słowian nadłabańskich, a mianowicie Pomorzan wiążą. Drobnostkę jedną, w której (2) autora uwag nad Mateuszem herbu Cholewa prostuje, wyjąwszy, nic on nowego nie powiedział w tej mierze, bo wszystko wypisał, bądź z dzieła Ossolińskiego o Kadłubku (wytłómaczonego po niemiecku przez S. B. Linde), bądź z pism rzeczzonego autora uwag nad Mateuszem, bądź z utworów innych pisarzy, których przekład tamże podał wspomniony Kadłubka tłumacz. Wykładu dziejów Polskich po czesku i po polsku zrobionego, a w zakres dziejów Słowian nadłabańskich wchodzącego, dla nieznamości języka, nie czytawszy, nie wie w jakim są stanie najnowsze w tej mierze

(1) Od str. 325 tomu III.

(2) III. str. 326.

przedsięwzięte badania; ztąd poszło, że lubo w zeszłym roku zostało dzieło p. Giesebrecht ogłoszone drukiem, przecież stare tylko są w niem o Polskich dziejach rzeczy, a nowego lub wcale nic nie masz, lub jest tak mało, iż to za ledwie zasługuje na wspomnienie. Biorąc najprzód na uwagę pomysł p. Giesebr. o źródłach i duchu dziejów nadłabańskich Słowian, prostujemy go w ten sposób, że mylnie ma on za lud jednego szczepu mieszkające tu narodki, gdyż rzeczywiście były one dwoistego, Słowiańskiego i Litewskiego pochodzenia; że nieśluszenie wyrzuca im oziębłość o własną narodowość, gdyż ówczesne wieki nie miały o tém pojęcia żadnego, o co dzisiejsze czasy troszczą się tyle. Składając bowiem za Tacytowych i Ptolomeuszowych czasów jedną rzeszę z Germanami, Słowianie i Litwini, ani pomyśleć o tém że są inszej od nich narodowości ludźmi, nie mieli żadnej przyczyny, ani nie było czasu zastanawiać się nad tém, gdyż to żadnego wtedy nie miało znaczenia.

Jedna ogólnopogańska panowała wtedy, oparta na ceremoniach w religijnym, a na swobodzie i wolności w cywilnym względzie. Nie narażać się na gniew bogów, a strzedz ciała i majątku od napaści wroga, było hasłem rzeszy, którą składały różnojęzyczne, a więc i różnoplemienne ludy Tacytowej Germanii; nie dbające o to jakim który z nich żyje obyczajem, byle do jednej należał rzeszy. A tak gdy jeden drugiemu nie narzucał się pod żadnym względem, była pomiędzy temi ludami jedna, na ludzkości oparta, narodowość, silna politycznym związkiem różnojęzycznych tych plemion, ale słaba przez to, że będąc skupiona w sobie, nie rozwijała się na zewnątrz, nie wy-

robiła swej cechy, i nie wyróżniła się o tyle, ażeby gdy czasem był swój zagrożony mieć będzie, mogła się oprzeć zewnętrznej sile. I tak się też stało. Nastąpiły bowiem nowe czasy, z chrześcijaństwem nowy życia zakon wciskał się między Germanów, a kto go przyjął, stawał się tym samym obcym, a nawet wrogiem dawnemu, przy pogaństwie pozostałemu druhowi. Reszty dokonywała polityka, która się wnet przejęła tą myślą, że przy mocy nowowierców, można będzie starowierców czyli pogan wojować, i tak swoje rozszerzać panowanie. To najprzód Słowian i Litwę, między sobą (Bodryców, Wiltów) a następnie Germanów z niemi pokłóciło, a odtąd nie godziło się pierwszym myśleć o swobodnym rozwijaniu swęj narodowości, a drugim spodziewać się tego, że dopóki rzeczy pozostaną w tym stanie, wrócą z pierwszemi do dawnęj zażyłości. Snadno już było przewidzieć, że Niemcowi zjednoczonemu przez cesarstwo w politycznym, a przez chrześcijaństwo w religijnym względzie, ulegnie Słowianin i Litwin, na dwa przez politykę podzielony stronnictwa, która narzucała mu teraz obcą narodowość a ciągnęła gwałtem do jedności, własną ręką zerwanej postępowaniem swém niepolitycznym. Wszakże Słowianin i Litwin mógł być tylko zewnątrznie wynarodowiony; wewnątrz był silny i nie dał żadnym sposobem ruszyć z miejsca narodowości swojej.

Nawykły do Giermańskiego języka już w czasie istnienia rzeszy, nic dziwnego iż nim często mówiąc, własnego zapomniał następnie. Lecz jak dzisiejszy żyd, choć przestał mówić po hebrajsku, żydem jest przecież, tak i w północnej Germanii usadowiony

a zniemczony Słowianin i Litwin nie został Niemcem o tyle, ażeby dziś, nawet na sam rzut oka, nie można było rozpoznać snadnie, czem był pierwotnie i jest nim jeszcze.

Miał on pogańską swą wiarę, miał sposób życia odrębny od Niemca; tém od niego, tém znowu między sobą odróżniał się. Giesebrecht nie zważając na to, że dwoistego, Słowiańskiego i Litewskiego szczepu, mieszkający nad Łabą ludy, i obadwa za jednorodne biorąc, wyrzekł mylnie, że się Słowianie chwiel w wierze. Nie chwiali się bowiem, lecz różnili, jako odrębne mający wyobrażenia, a różnili się nietylko w tym względzie, ale i w polityce, z naturalnej przyczyny. Niegdyś uczestnicy Giermańskiej rzeszy i dlatego pomieszani z obcemi, następnie nietylko z Niemcami, ale i z sobą rozdwojeni, mogliż wielkich dokazać czynów na drodze polityki? Aleć i Giermanowie nic wielkiego w téj mierze nie uczynili. Bo najważniejszy polityczny czyn, na jaki się ówczesny i późniejszy ich wiek mógł zdobyć, któż wykonał? Czy rodowity Niemiec spoił w jedno rozdrobnioną na cząstki Giermanią i utworzył ztąd Zachodnie cesarstwo? czyż nie uczynił tego wynarodowiony przez Gallów Karól Wielki? Czyż nie Słowiański Jan Huss zrobił następnie reformę kościoła i położył węgielny kamień do odrodzenia się Europy na drodze wiedzy? Gdy podług Helmolda (l. 16) jeszcze w XII wieku starcy u nadłabańskich Słowian powtarzali z pamięci narodowe dzieje, możnaż o tém wątpić że historycznych wspomnień nie było u nich? Że ich nie powierzyli piśmu, dziwić się temu nie można, gdyż runiczne nie służyło do powszechnego użytku u Giermanów i Sło-

wian, a łacińskie jako pogaństwu wrogie, nie mogło wejść w użycie. Czemuż i Giermanowie bardów pienia nie powierzyli runom, i od zagłady nie uratowali ich przez to? Kiedy wcześniejszych od Słowian w oświacie Giermanów pierwotne dzieje przez obcych spisane są (pojedynczy ludzie a nie cały Giermański lud odznacza się w nich), a mimo to historya a nie historye jego dadzą się zład nakreślić, nie wiem dla czegoby i Słowianie, w témże znajdujący się położeniu, historyi uzyskać nie mieli. Nie widzę także dla czegoby to cień na ich sławę rzucać miało, że dopiero kronikarze tryumfy Karola Wielkiego opisujący, raczyli coś o nich wspomnieć: gdyż i Giermanowie przez to jedynie u Rzymian na wspomnienie zasłużyli, że tryumfalne ich wozów otaczały wozy, i tym tylko sposobem dowiedzieli się o przodkach swoich dzisiaj ich potomkowie. Lecz mniejsza o nazwę; wszakże najznakomitszy Niemiecki dziejopisarz *Jan Müller* pisząc rodaków swych dzieje, historyami a nie historyą nazwał je (*Geschichten der Schweizerischen Eidgenossenschaften*): mniejsza o zakres jaki nadać im spodobało się piszącemu je: ale ważną jest rzeczą spytać się o to, azali w nich jest wyraz, charakter, rysy, jednem słowem oblicze przeszłości; azali jest w nich obraz życia ludu dziś zniemczonego, a więc umarłego dla swych braci, i czy spojrzawszy nań, powiedziec dziś możemy o Słowianach nadłabańskich: to krew nasza, to kość z kości, i ciało utworzone z naszego ciała?

Dzieło p. Giesebrecht nie przedstawia nam takiego obrazu. Napećkał go kolorytem którego mu obcy, słowianizmu nie znający, dostarczyli malarze,

i takowy wystawił zgromadzonej na obchód S^o Ottona rzeszy, ażeby się przypatrzyła swym przodkom, przekonała o tém że z własnej winy schylili się oni do upadku, i że dopiero po zniszczeniu ich życia politycznego, postępując w oświacie bezpiecznym krokiem, doszli do celu który im opatrność przeczyczyła, doprowadziwszy ich do tego że się złączyli z Niemcami w jedno ciało, a następnie przeszli współ z nimi na łono Rzymsko-katolickiego kościoła. (3) Tak mówi p. Giesebr. uważając nadłabańskich Sławian za lud zepsuty i chylący się do upadku, już przy zetknięciu się z Frankami. Lecz ja, bacząc na kolory które zebrał na swój obraz, i na sztukmistrza który go niemi malował, ośmielam się fałsz zadać wizerunkowi, i oświadczam, że mi małą część tego co malarz utworzył, odtworzyć należy, a to na zasadzie tychże samych źródeł których on używał. Gdyż, tak z pomników obszerniej treści, jako i z urywków, wzmianek, napomknien, półstówek bliskich im wiekiem pamiętek, możemy wykazać, że pan Giesebrecht przesądem uwiedziony był, gdy pił ze źródła dziejów nadłabańskich Sławian. Zostając w omamieniu, tem samem nie był w stanie poznać rzeczy należycie, i dokładnego ich przedstawić obrazu. Boć trudno pojąć dlaczego by li tylko Słowian, gdy się zetknęli z Frankami, godziło się nazwać zepsutym narodem, a Saksionów nie; którzy najprzód wspólnie z niemi odpięrali napaść Karola Wielkiego, a następnie, porozumiewszy się ze swym spółplemiennikiem, na dawnych swych sprzymierzeńców i od tyłu wieków współobywateli

oręż podnieśli, nie złożyli go dopóki ich nie ujarzмили, a nawet podboje swe aż po Wartę posuwali, godząc na Lachów, nadłabańskich Słowian plemienników. Chyba dlatego Sasi mniej byli zepsuci, że ich przebiegom politycznym i zwyciężkiemu orężowi pobłogosta-wiło niebo, gdy przeciwnie Słowianie za przebiegi swe a słabość oręża srodze, bo polityczną przypłacili śmiercią, i zupełnie wynarodowić się musieli. Rzeczy tej dotykałem nieraz w pismach czasowych: z nich czytelnik tymczasową niech o tym wypadku poweźmie wiadomość. Później będzie miał całe zdarzenie obszernie wyłożonem, w pierwotnych dziejach Polski które niezabawem drukiem ogłosić zamysłam.

Zwracam uwagę na tę część obrazu, która dzieje wewnętrzne przedstawia. Pyta Giesebrecht kto walczył za ojczyznę, i jak u Słowian obrona kraju urządzoną była? Odpowiada na to, że bronić ojczyzny było udziałem wolnego stanu ludzi, których liczba, podług rachuby, jaką podał (8), miała być nader mała, dlatego też szczupłe miały być i narodowe siły, i że w czasie nagłej potrzeby widywał się być zmuszonym rządzący naród, to jest Słowianie, wzywać pod broń poddanych swych Germańskiego plemienia ludzi, których wdartszy się w ich kraje, zawojował. (9) Jestto wierutny fałsz, gdyż nie człowieka wolnego stanu, lecz właściciela ziemskiego i miejskiego, było udziałem rycersko służyć: wielka zaś być musiała liczba właścicieli, gdy i wojenne siły wielkie były. Gród każdy z okolicznemi siołami

(8) Tom I. str. 15.

(9) Tom I. str. 20, 37.

składał obwód i z niego wyprowadzał do boju rycerzy w wielkiej liczbie. Bo podług kronikarza *Korwejskiego* (10), jeden obwód dawał sto jeźdźców. Grodów takich, jak mówi *Geograf Bawarski*, leżało między *Łabą* a *Odrą* przeszło dwieście, a więc same te kraje wystawiały do boju przeszło dwadzieścia tysięcy jazdy. Piechoty wystawiały zapewne daleko więcej, gdyż i grody Polskie w wieku X po kilka tysięcy wystawiały jej (11), jazdy w to nie licząc. Od Sarmatów niegdyś swych władców, którzy głównie konnicą wojowali, jazdę przejęli ci Słowianie, bynajmniej zaś od Sasów, jak utrzymuje Giesebrecht (I str. 17): piechotę mieli już dawniej, gdyż, podług Prokopiusza, piechotnem rycerstwem wojowały pierwotnie wszystkie Słowiańskie ludy. W jednem i drugim wojsku służyli obywatele: w tamtem zamożniejsi, w tém ubożsi. Gdy w sąsiedniej Polsce (podług Galla), tak była urządzoną zbrojna siła w X wieku, czyż nie mogła być w tymże samym wieku podobnie urządzona nad *Łabą*? Nie masz na to żadnego dowodu, że się w te kraje Słowianie wdarli, i mieszkających tu Germanów w poddaństwo obrócili.

Sam pan Giesebr. zaświadczył, że z opowiadania Tacyty i Ptolomeusza nie da się zaprzeczyć temu, ażeby w pierwszym już i drugim po Chrystusie wieku wspólnie z Germanami nie mieszkali Słowianie; a gdy tak jest, jakieżem prawem można twierdzić, że tu nie była pierwotna ich ziemia, lecz zdobyta? Kiedy? przez kogo? i z jakichże okoliczności była zajęta? Tego do-

(10) II Pertz. V. str. 8.

(11) Gallus, str. 51, 52 wydania J. W. Bandtkiego.

wieść powinien, kto twierdzić chce, bo inaczej skończy się rzecz na bezdowodnej gadaninie.

Od politycznego przechodząc p. Gies. do prywatnego prawa, stawia te zasady: że gdy Słowianie prowadzili handel niewolnikami, przeto nie uważali każdego człowieka za osobę (12), że wielożeństwo było u nich zwyczajem narodowo powszechnym, a jednożeństwo obyczajem obcym (13), że praw pisanych nie mieli, i samym tylko rządzili się zwyczajem. Tak mówi, lecz mówi źle. Dowodzić mu w tej mierze fałszu nie mam potrzeby, gdy w dziełach własnych (w *Historji prawodawstw Słowiańskich*, i w *Pamiętnikach o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian*) wykazałem, że inaczej było. Kończy obraz wewnętrznych dziejów rysem pogańsko-Słowiańskiego bogostawia. Po dwakroć rzecz tę wypracował: w rozprawie swęj którą umieścił w badaniach bałtyckich, (14) w ustępie o religii i obrządku Wenedów, który w tem tu czytamy dziele. (15) Badałem i ja religią Słowian nadłabańskich, i przekonałem się o tem, że różnica jęj i niejednostajność ztąd pochodzi, iż była wyznaniem dwóch, różnego szczepu ludów: Słowian i Litwinów; że mając różne zasady, wyznania te pomieszały się zczasem, i że przez to zagmatwało się tuteczne Słowiańskie i Litewskie bogostawie, które ten tylko odgmatwać może, kto wykazać potrafi co w niem Słowiańsko-Litewsko czystem, a co mieszanem jest, co nakoniec Giermańskiemu bogostawiu

(12) Tom I, str. 35.

(13) Tom I, str. 39.

(14) *Baltische Studien* r. 1839, poszyt I, str. 128 i następn.

(15) Tom I, str. 57 i następn.

właściwem jest, z którego tu nie jedno weszło, i nawzajem z tego tu bogostawia przeszło do niego. Myśl w tej mierze moję objawiłem poprzednio, dzieło p. *Hanusza* rozbiierając (Orędownik z r. 1843). Za jej przewodnictwem można będzie, jak sobie pochlebiam, znaleźć pewny ład w bogostawiu Wenedów, w którym pan Giesebr. niczego prócz nieładu i zamętu nie dostrzega, i utrzymuje, że miasta ich inszą, a wsie inszą wyznawały wiarę (16).

Podług mego zdania były najprzód wszystkie ludy, a więc i Słowianie, Litwini i Giermanowie, czcicielami przyrodzenia, ubóstwiając zwierzęta, drzewa, zioła, i t. d., a ubóstwiając je według własnego pomysłu, w czem właśnie różniło się jedno wyznanie od drugiego. Czcił Słowianin wespół z Litwinem wół, i podług Prokopiusza czynił z niego bóstwu całopalenie, rogu jego, wyłociwszy, używał za puhar (17) i t. p. Znalazł w tém naśladowcę w Niemcu, gdy czasem i ten wziął się do rolnictwa. Wespół też z Litwinem czcił konia (Balt. Stud. str. 139), którego cześć przejął od Sarmaty. Czcił też wespół z nim drzewo i kamień, przysięgę nań składając. (18) Lecz sam tylko Litwin ubóstwiał wieprza, przepowiadacza klęsk krajowych (Balt. Stud. str. 145—146).

Wzniósłszy się wyżej myślą, ubóstwiał żywioły, ciała niebieskie i t. p. Czcił Słowianin wespół z Litwinem wodę, pogodę, (19) słońce, podług którego

(16) Balt. Stud. str. 132—153.

(17) Balt. Stud. str. 138.

(18) Balt. Stud. str. 142.

(19) Wyraz ten przekręcili Niemcy na *Podaga*.

biegu, rachubę czasu oznaczał. (20) W czci tych przedmiotów największa zachodzi zgoda w mniemaniu religijnem wszystkich ludów, a więc i Słowian, Litwinów i Germanów.

Wszakże gdy najwyżej sięgnął myślą, i powziął wyobrażenie o bóstwie wszech rzeczy, a więc i przedmiotów dopiero co wymienionych stwórcy, wpadł w zamęt pojęć, i zagmatwał myśli, objawiając przez to, że mało rozwinięty miał jeszcze umysł, gdy nie mógł z pomroki nocy wywieść swęj wiedzy na jasność dziennego światła. Do tęg gmatwaniny wielce się przyczyniło bogostawie Germanńskie, które z własnem Słowianem i Litwini połączyli. Raz utrzymuje p. Gies. (21) że Słowianie nie mieli żadnych pojęć o kosmogonii, że wcale nie obchodziła ich ta myśl, z kąd też świat powstał, i w co się obróci? i że tylko ubolewali nad tęg, iż wszystko znikome jest, żałosc po sobie w sercu zostawując człowieka. Drugi raz (22), że religia wszystkich północnych ludów schodziła się w jednę myśl, zwracając się zawsze ku czci przyrodzenia, i że sama tylko techniczność religijna (nazwy bóstw, ceremonie?) różnicę w tęg jednocie stanowiła, będąc tak rozliczną, jak rozmaite były języki wyznawających ją ludów. Lecz właśnie myśl o czci, najprzód błałych a następnie ważniejszych przedmiotów, która się aż do nieba wzbiła, okazuje, że ludy Słowiańskie wierzyły w to iż z ziemi powstało wszystko i powróci do ziemi, i że ze krwi jednego boga, grzmotów władzcy, wyszły roje bogów, ażeby podrzędnie

(20) Balt. Stud. str. 140. Wendische Gesch. t. I, str. 85.

(21) Balt. Stu. str. 155.

(22) Wendische Gesch. t. I, str. 59.

władać owemi przyrodzenia przedmiotami. Duchowo czyli wewnątrznie pojmowali wielkiego tego boga tutejsi Słowianie i Litwini po giermańsku, mając go za wojownika, pogromcę i pana wszech rzeczy, i raz Wodanem z niemiecka, a Witem czyli Witezem, to jest zwycięzcą, zowiąc go ze słowiańska; drugi raz dodając do nazwy moc oznaczającej, nazwisko przedmiotu w którym sobie szczególniej podobał, (23) Ruginem, Swatowidem, czyli wiosny, borów, i t. d. zwycięzcą, niby że przemógłszy zimę, wywalczył dla ludzi wiosnę czyli lato i t. p.) to znowu zamiast nazwy Wita, rajem czyli panem zowiąc go z litewska, i to nazwisko kładąc obok nazwy przedmiotu ulubionego mu, lub obok nazwy Niemieckiej która oznaczała boga (*Lwarasici*, (24) *Gudrac* (bóg pan) czyli Pan Bóg *Gudrano*, *Godrac* od *Gud*, *God* bóg, *rac* pan). Niekiedy od najważniejszego przymiotu który w moralnym przyznawano mu względnie, *Prowem*, to jest prawem nazywając go (od sprawiedliwości którą się opiekował, i wymierzał ją ludzkiemu rodzajowi). Zewnątrznie wyobrażali go sobie już to po narodowemu; pojmując go w postaci dziada czyli starca, (25) gdyż starcy sprawowali pierwotnie u Słowian najwyższe kraju rządy: już też wyobrażali go sobie po litewsku z kilku głowami i twarzami naksztalt Rzymskiego Janusa, z przodu i z tyłu umieszczonemi, i wystawiali w posągu postaci olbrzymiej, wielorakim uzbrojonego orężem, kilka głów i twarzy w parzystej lub nieparzystej dając mu liczbie.

(23) Mianując go Jarowitem, Gerowit, Gorowit, Boruwitem, Porowit.

(24) Pan silny jak lew.

(25) Saturnem nazywają go Niemieccy kronikarze.

Jest rzeczą zastanowienia godną, że gdy boga z trzema wystawiano głowami, wtedy żadnego innego nazwiska nie nadawano mu, Trzygłowem zowią go tylko. Przyczyna tego, jak sądzę była ta, że najwyższy bóg, trzy w sobie niejako zawierał bóstwa; gdyż z nim łączyły się węzłem ścisłym dwa insze bóstwa, jedne żeńskiej drugie męskiej płci; to jest Siwa czyli Żywie (Łado) twórczą czyli płodną siłę najwyższego Boga wyobrażająca, zapełniając świat niezliczoną liczbą żyjątek; tudzież Radugast, pomiędzy pierwszym a drugim pośredniczący bóstwem, mający tysiące a tysiące do wypełnienia funkcyj. Kto pilnie rozważy mitologią Litewską przez p. Narbutta przedstawioną, a porówna ją z mitologią Słowiańską której kronikarze i pomniki języka okruchy, a tak zwana literatura ludu nieprzebrane zachowała nam skarby, przyzna że wyobrażenie o pogaństwie jakie nadtabuńscy mieli Słowianie, nie było czysto narodowe, lecz z Litewskiem pomieszane. Że giermanizm wielce wpłynął na te wyobrażenia, dowodem jest ów Wodan, którego tutejsi tylko Słowianie, a wszyscy insi nie znali wcale, dowodem jest i to, że jeden Słowiański narodek, który kraj Lutyków zamieszkiwał, Giermańską tylko nazwą mianował głównych swych bogów, i obok Wodana, czcił Thora i Frygge, (26) w miejsce Radugasta i Żywie, jak ja sądzę. Mniema Giesebr, że narodek ten, gdy Giermańskie czcił bóstwa, Giermańskiego musiał być pochodzenia, i że to był lud jedyny, który nie dał się Słowianom rugować z miejsca i nie wynarodowił się, ręką opatrzości zachowany będąc na to, ażeby w obli-

(26) Wend. Gesch. I. str. 57.

czu dziejów dał kiedyś świadectwo o pierwotnem dzierżeniu tutejszych krajów przez Giermańskie ludy, a zajęciu ich następnie od Słowian. Lecz gdy powinowactwo wielkie zachodziło między Celtyckiem, Giermańskiem i Słowiańskiem bogostawiem, gdy nad Łabą zamieszkały lud Słowiański nazywał najwyższego ze swych bogów po giermańsku, nie mógłże Giermańskiej nazwy nadać i drugim bogom? Gdy Radagast i Żywie w takimże stósunku: mieli się do Peruna, w jakim Thor i Frygga do Wodana, mógł Słowianin łatwo zamianę nazw co do ich zrobić istoty, tymbardziej gdy nazwę Peruna swego, zamienił na nazwisko Giermańskiego Wodana. Moznaby jeszcze dalej poprowadzić ten wywód, i wykazać, jak i w pojęciach o prorokiniach i duchach mieszał się litwinizm z germanizmem, a wpływając na słowianizm, kłał go i gmatwał: jak przez to Słowiańskie rusałki wyszły na Giermańskie wróżki, a duchy na dwa oddziały, na białe i czarne, czyli na złe i dobre podzieliły się. P. Giesebrecht nie bacząc na to, że przyczyny rozdzielenia tych pojęć szukać należy w dwoistej narodowości nad Łabą mieszkających ludów, wyrzekł mylnie, że nie mogło być jedności w Słowiańskiem bogostawiu gdy jej nie było i w narodowości, która pokaleczoną i na części porozrywaną pokazuje się, upadku mając w sobie zaród od samego początku (27). Jak gdyby to z porządku rzeczy wynikać musiało, ażeby we wszystkim co Słowiańsko narodowem jest, zgody nie było nigdy.

Nie uczyniwszy poprzednich badań o wewnętrznych

(27) Ein polytheistisches Heidenthum aber in zweifacher nationaler, Auffassung. Wendisch. Gesch. I. str. 57.

dziejach Słowian, przystąpił p. Giesebrecht do dzieła i chciał tajemnicę rzeczy odgadnąć, na której pojęcie nie wziął od nauk święcenia. Dlatego też nic nie zrobił, i wewnętrznych dziejów o krok nawet nie posunął dalej. Ale natomiast zewnętrzne, do poznania i wyświecenia których niczego nad pilność i pracę nie potrzeba, wykonał dokładnie, w miarę jak w znanych mu językach napisane źródła stanęły otworem. Pracowitą ręką i odważnem sercem rzuciwszy się na ogrom źródeł historyi Giermańskich ludów, bez wyjątku wszystkich jakie tylko w zakres pracy jego przywieść się dały, ciekawie opowiedział: o wyprawach morskich przez Skandynawskich i Słowiańskich przedsiębranych korsarzy (28), o usiłowaniu kościoła Rzymsko-katolickiego, ażeby na swoje łono przywieść północne ludy, o popieraniu tych usiłowań przez Giermańskie rycerstwo, które dwojaki w tym cel, religijny i polityczny mając (bo mu szło i o podboje), wiodło krzyżowe wojny, zgiermanizowanych Słowian i Litwinów prowadząc na spółbraci, za narodowość na pogaństwie opartej walczących, (29) nakoniec o bojach toczonych w tymże samym celu przez Giermanów i Słowian. Gdy w walkach tych mieli udział wielki Polacy, więc i dzieje ich opowiedział pan Giesebrecht o ile mógł je wyczytać w Łacińskich kronikach i Skandynawskich sagach. Lecz ta praca mało się mu udała, mało też więc powiedział czegobyśmy dotąd nie wiedzieli. Nie mając oka duszy (jest niem język i narodowość), nie

(28) *Wikinger des Wendenlandes*, I. str. 203 i nast.

(29) *Koenig Konrad der Hohenstaufe und die Kreuzfahrer in Wendenlanden*, III str. I i następ.

był w stanie zajrzeć nam do duszy, i wykazać, o co nam szło gdyśmy krwawe z Giermańską potęgą staczali boje, nie chcąc dać się wyprzeć z posiadłości nad Łabą? cośmy na myśli mieli, gdyśmy się zbliżyli do Giermanów, i chcieli mieć udział w ich rzeszy? Obawa Niemieckiego oręża i blask cesarskiego majestatu, miały przywieść Mieczysława I do poddania się dobrowolnie Giermanom, (30) zniewolić do takiegoż kroku Bolesława Chrobrego, (31) a chęć zdobyć zapalić następnie tegoż do uporczywej wojny z cesarzem i wydania mu całej nadłabańskiej Słowiańszczyzny, z wyjątkiem kraju Lutyków, Bodryców (Obodriten) i Wagryów, (32) bo nader szczupłe po ojcu miał odziedziczyć państwo. Pomorza nawet nie posiadał, którem władał jakiś książę Dagon, i takowe przyłączył do darowizny uczynionej papieżowi Janowi XV, przez Odę macochę Bolesława i synów jej wypędzonych przez pasierba. (33) Tak mówi p. Giesebrecht, i dzieje narodu Polskiego urywkowo wiąże z Niemieckimi, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy dopiéro za Mieczysława I zetknęli się z sobą Giermanowie i Polacy, lub czy dawniej już w stosunkach wzajemnych zostawali. Króciuchno dopełnię więc jego opowiadania, i na tém spostrzeżenia moje nad dziełem p. Giesebrecht zakończę, zachowując sobie w osobnych artykułach do pism czasowych nie zabawem podać się mających, szerzej rzecz tę wyłożyć.

(30) I. str. 188.

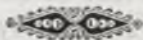
(31) I. str. 231.

(32) II. str. 5, i następ.

(33) I. str. 231, i następ. Lelewel w Tygodniku Wileńskim r. 1816 w rozprawie o zaborach Bolesława Wielkiego, ma owszem owego Dagona za Mieczysława I, z czém się zgadzam.

Z Giermanami i Litwinami żyli pomieszani Słowianie już w czasach przedhistorycznych, czego ślad zachowali nam w pismach swych Tacyt i Ptolomeusz. Jedną niejako tworzących rzeszę, rozerwał na części Karol Wielki, a części te do zachodniego przyłączywszy cesarstwa, usiłował różno plemienne Giermanii ludy przywieść na łono jednej wiary, i poddać je pod jedne formy rządu. Myśl jego o wielkości imperyum pojęli Giermanowie, w niej po śmierci Karola pracowali, i usiłowali usuwających się od niej Słowian mocą przywieść do nowego rzeczy porządku. Opór stawiało głównie rycerstwo Słowiańskie Lachami zwane; Saksonowie więc, do których po Karolu i Karlowingach przeszła cesarska korona, uciśkali ich. Po długich bojach przystąpili do imperyum z Litwinami zachodni Słowianie (Bodrycowie i Lutykowie); główną między nimi rolę odgrywali i giermanizowali się: ale Polanie i Chrobotowie, walcząc pod przewodnictwem Lechów, nie dali się pokonać; owszem złączyli się w potężne państwo, którem jeden Lech, jak podanie niesie, to jest jeden, nie już wojewoda czasowo władający, lecz król dziedziczny, rządził. Ostałi zczasem Lachowie, i niełatwo było im powstać, nawet po zmianie dynastyi, i wstąpieniu na tron Piastów. Co ztąd widać że (przed r. 891) Ruś zajęła ich posiadłości nad Sanem, Świętopetk Morawski Chrobacą dzierżał (przed r. 894) a Mieczysław I płacił (przed r. 972) cesarstwu haracz z krajów aż po Wartę posiadanych. Tak więc zetknęła się znowu z imperyum Lacka rzesza, lecz była słabą, a nawet co do nazwy przeistoczoną. Bitnych Lachów słabe potomstwo, to jest szlachta, stosować się teraz musiało

do rządu Polan, bo im już nie dawało, jak to było niegdyś, lecz od nich miało obronę. Zetknięcie to aczkolwiek upokarzające, otwierało na przyszłość piękne widoki: o czém wiedział przebiegły Bolesław Chrobry i uległ cesarstwu, aby blisko stojąc Niemców, rozpoznawał ich siły; gdy czas nadejdzie, napadł na słabych, a zrzuciwszy z siebie ohydłą uległość, upomniał się o kraje nadłabańskie, którym niegdyś przewodniczyli Lachowie.



ŚMIERĆ ŻONY HASSAN-AGI (a)

(Z Serbskiego).



Zielone wzgórze czem tak bieleje?
Możeto śniegu tam napadało?
Może łabędzi tam nasiadało?
Śniegby już stopniał, a nie topnieje,
Łabędzie dawnoby się zerwały,
Kto widział by tak długo siedziały!
Oj! to nie śniegu tam napadało,
Oj! nie łabędzi tam nasiadało,

(a) Śpiew o śmierci żony Hassan Agi, był jednym z najpiękniejszych utworów poetycznych Słowiańskich, znanych całej Europie. Książdz Fortis spisał go dosłownie po Francuzku, a Goethe przełożył na język Niemiecki.



Jestto pieśń Turecko-Słowiańska. Słowianie wyznający i slamicznicy nie opuścili swojej rodowej mowy i śpiewają po Słowiańsku. Poezyja ta wyjęta jest ze zbioru Wuka Stefanowicza Karadzicza, i o ile nam wiadomo, nie było jęj w tłumaczeniu Polskiem.

Ale namioty Agi Hassana.
W jednym on leży, a wielka rana
Krwią mu pierś broczy,
Matka i siostry jego zjechały,
Gorzkiemi łzami zalały oczy.
Siedzą noc całą, siedzą dzień cały,
I tylko żona doma została,
Ze tak daleko jechać się bała.
Hassan niedługo z ran się wygoił
Matkę i siostry w żalu ukoił,
Do żony gońca z pismem wysyła.
„Nie czekaj na mnie, o żono miła,
Bo biada tobie w twém życiu całym,
Gdybym cię w moim pałacu białym
Przy moich dzieciach zastał, gdy wrócę.“
Taką nowinę jak przeczytała,
Z wielkiego żalu aż osłupiała.
Wtém tentent koni smutek przerywa,
Strach ją zdjął wielki; więc się porywa
I jak ptak leci, bo uciec chciała,
Choć nie wiedziała, gdzie uciekała.
Z krużganku biegnie skoczyć na wały,
Wtém dzieci wpadły i zawołały:
„Twój brat przyjechał, mamó kochana,
Nasz wuj, od ojca Agi Hassana.“
Więc żona Agi z ganku wracała,
Gorzkiemi łzami głośno płakała,
Chwyta rękami brata za szyję,
Płacze jak dziecko, jak wąż się wije.
„Ach! wstyd mi, bracie, być tak wygnaną:
Wiesz, odebrałam pismo dziś rano,
Uchnę, jak uschnie zerwany kwiatek,
Ja, biedna matka pięciorga dziełek.“
Brat milczy, tylko słucha ponuro,
A czasem głową na bok pokiwa
I nie nie dojrzec pod czola chmurą;
Sięgnął w zanadrze, pismo dobywa.
W tём piśmie stoi, że siostra jego
Do starej matki może powrócić,
I za wąż może iść za innego,
I swoje dzieci może porzucić.
Oddał jej pismo to rozwodowe,

Mówiąc: „do drogi wszystko gotowe.“
Dostojna pani dzieci całuje:
Dwóch synków w czoło pocałowała,
Musi odjechać; dzieci żałuje,
Nad córeczkami się rozplakała,
I obie w usta pocałowała.
Znów do kolebki poszła stroskana,
Kędy najmłodszy synek uspioony.
Ach! biedna żono Agi Hassana,
Jak ty odjedziesz w dalekie strony
Od tej kolebki! Brat ją porywa,
Sadzi na konia, a pędząc cwałem,
Po łzach poznaje że jeszcze żywa.
Aż przed swym dworem wstrzymał się białym.
Niewiele razy miesiąc i słońce
Ziemię minęły, tydzień nie minął,
A już ze czterech świata stron gońce
Z swatami do niej, bo ród jej słynął.
Sam wielki kady o rękę błaga;
Jemu odmówić wielka zniewaga.
Dostojna pani wszystkich odprawia,
Zaklina brata: „zostaw mnie w domu,
Za mąż nie wydaj.“ Gdy brat namawia
Zeby przyrzekła swą rękę komu,
To ona mówi: „Gdybym oddała,
Gdybym rozkazu twego słuchała,
A potem kiedy dzieci ujrzała,
Te biedne małe sieroty moje,
Toby mi serce pękło na dwoje.“
Ale brat nawet długo nie czeka,
Każdemu siostrę swoją przyrzeka.
Ona papieru bierze białego,
I sama pisze tak do każdego:
„Narzeczona cię pozdrawia,
I najpiękniejszą prośbę zanosি,
Ażebyś jadąc, jak to wieść głosi,
Z weselem jakie kady wyprawia
Przywiózł jęj w darze taką zasłonę,
Zeby się cała pod nią schowała,
I nie widziała, ani słyszała
Choćby ją która z sierot wołała,

Gdy będzie mijać pałac Hassana,
Dawnego swęgo męża i pana.“
Jak tylko kady dostał list biały,
Gromadzi razem zaraz dwór cały,
I przyjacioły wzywa do drogi,
I tak w swęj przyszłej zajeżdża progi.
Ale wracając, gdy przejeżdżali
Około dworu Agi Hassana,
Ciekawi drogę im zabiegali
By widzieć orszak takiego pana.
W oknie dwie małe stoją dziewczki,
Ona przypadkiem w stronę spojrziała;
Boże, co widzę! moje córeczki.
One spojrzwały, matkę poznały.
Wtém znów dwa synki na dół zbiegają
Do nas, kochana mamó, wołają;
Choćby raz tylko z nami pospołu
Usiądź, kochana mamó, do stołu.
Na miłość Boga, pani wołała,
Niech się zatrzyma družyna cała;
A więc stanęli. Ona ścisnęła
Dziatki, i dary piękne rozdała.
Widzi to Hassana i gniewem zdjęty,
Woła na dzieci: „do domu wróćcie,
A tój kobiecie stokroć przeklętej,
Podarki zaraz pod nogi rzućcie.“
Gdy doleciały do nięj te słowa.
Błada na piersi obwisła głowa
„Zegnam was, woła, sieroty moje,
Padła, serce jęj pękło na dwoje.“


Ludwik Norwid.


URYWEK



Czem jesteś biedny człeku? i po co przychodzisz?
Czemu umierasz? czemu do świata się rodzisz?

Jestli tobie samemu jaki cel odkryty?
Jeśli jest, to i czemuż, jak okręt rozbity,
Śród fal wypadków płyniesz do nieznanej ziemi?
Jeżeli jest cel jaki, czemuż się o ciebie,
Jak o granit wypadki życia nie rozpadną?
Znać napisano twemu istnieniu na Niebie.
Staczać walkę, wygraną nie ciesząc się żadną,
Widzieć złe, i skowane nie móż podnieść rękę,
Konać przez całe życie, i zakończyć w męce;
Widzieć hydrę stugłową i miecz do jej ścięcia,
Mieć siłę ducha Bogów a rękę dziecięcia.
Czuć ogień, co ci piersi płomieniem rozpala,
A nie gasić pragnienia, to męki Tantara,
Czy może po to jestem abym sprzeczność tworzył,
Cierpiał póki sił starczy i w grób się położył?
Był tonem dla harmonii, światłem dla koloru,
Dobrem dla równowagi; był wielkim z pozoru,
A w rzeczy samej niczem: bo nie istniał sobą
Bez sił własnych, i tylko konieczną ozdobą
Dziwaczego obrazu, całkiem wymyślonym
Dla igraszki w naturze był niczem wcielonym?
Gdyby to życie przeszło bez cierpień, bez wrażeń.
Mniejsza byłoby smutnych oczekiwać zdarzeń.
Ale kiedy męczarnią mamy tworzyć sprzeczność,
I widzieć to koniecznym na zawsze, na wieczność,
Dla igraszki w stworzeniu na ten świat przychodzić,
O! stokroć lepiej nie żyć, niżeli się rodzić.

T. Lenartowicz.



PANTAZYA



Nad kwiatami swawolne motyle latają,
I szepcą w ucho kwiatom miłości wyznanie;
Nad kwiatami skowronki piosenki śpiewają,
I radosne spływają w błękitne otchłanie.

Cała przyroda, niby hoża dziewa, płąsa,
I wszystko w tak cudownej harmonji się nurzy,
Ze dusza rozręskniona smuci się i dąsa,
Czemu myśl jej obrazom tym zgodnie nie wtórzy.
Czemu?.. spytaj leśnego słowika, co znaczy
Dziki krzyk chciwych kruków i nocnych puhaczy,
On ci powie, że nie wie, że go nie rozumie,
Bo słowik tylko piękne pieśni śpiewać umie.
Tak i myśl moja, nie ma skrzydeł białej jętki,
Ni wabnego motyla co całuje kwiecie.
Jój lot dzielny, ognisty, i jako grom prędki
Chciałby życiem feniksa zawiekować w świecie.
Bo myśl ma rdzeń sośniny, co rośnie na piasku
Wzniosta, opromieniona w złotym słońca blasku;
Na kolczatę koronie błogie sny ciemnieją,
A piersi gorzkiej prawdy sok żywiczny leją.

Szczytem wyniosłej myśli do nieba się wkradłem;
Tam choć na nią tysiące zradnych strzał wypuszczają;
Ona zawsze lśnić będzie nad zdumioną tłuszczą,
Brzmiąc lutnią archanioła, nie tłum brzękadłem!

Michał Morzkowski.



Praktyczny rozbiór pisma p. Józefa Kremera

pod napisem: LISTY Z KRAKOWA.

przez

A. Tyszyńskiego.

(Dokończenie).

Tęm się kończy treść X^o i zarazem ostatniego listu p. Kremera. Taka treść nie potrzebuje zapewne długich, bliższych wskazówek. Wzmieniliśmy już jak znakomitem jest samo jej zadanie na polu racyi; szczegóły treści pisma jaśniej to wykazały. Co do wykonania wewnątrznie tego zadania, jedną tu tylko dodamy uwagę praktyczną. Treść *listów z Krakowa* p. Kremera nietylko nie wykazuje nam cech niższości w porównaniu z pismami przedmiotowi swojemu (t. j. teoryi sztuk pięknych) w jakiejbądź mowie poprzednio poświęconemi, ale owszem mieści *postępne*. Cechy te widzimy:

- 1) W *tle* stanowiska, i
- 2) w objawianiu się bliższem, śród treści, ludzkiej *całości*.

Autor swe spostrzeżenia o sztuce, jak widzieliśmy, wprowadza nie z *przygodnych* wrażeń, *przygodnych* uczuć, lecz z ogólnych zasad myślenia, a zasady te czerpie z punktu rozwicia ich społecznego. W swem spoglądaniu na rzeczy (przedmioty ducha), autor nie

jest w kierunku ku dociekaniom, ku prostowaniom lub wynajdowaniom dróg nowych dla wybadania natury ducha, lecz wychodzi ze stanowiska *zbadania*. Autor nie mówi wprawdzie w swem piśmie o biegu i o tych szczeblach jakie przebyte zostały przez grunt uwag i myśli mogących się czynić, *racyą*; hołd jednak oddaje i racyi i tym przebytem szczeblom samą praktyką. Ludzka *całość* widna jest nam w ogólnym przewodzie pisma. Mimo sferę teoryi, nie staje tu przed nami, jak powszechnie w różnych traktatach: naga abstrakcja. W treści pisma nie wyłącznie staje przed nami *myśl* albo *serce*, ale i myśl i serce. Myśl i serce nietylko są w oderwaniu, lecz z otoczeniem. Podmiot, przedmiot, pojęcie, uczucie, racya, te szczegóły całości człowieka, rozdzielane i rozsadzane przez racjonalną szkolność, jakoby na oddzielnych krzewach tkwiące rośliny, tu są częściej w swęj jedności przed nami. Widzimy tu wśród treści naprzemian i lot myśli, i zimę rozprawy, i fantazyą, i świat zewnętrzny (przyrodę), i towarzyskość. Śród treści, autor nieraz okazuje nam zwroty do serca towarzyskiego, nieraz nawet dar rozśmieszania, bawienia i t. p. Nadewszystko zaś główne przymioty myśli i serca, uważane za względne: *rozum* i *wiara*, zawsze tu w zlanu.

II.

Forma.

Treść taka byłaby jednak żadną, gdyby z nią nie zapoznawał nas *wykład*.

Wykład zewnętrzny (forma) pisma p. Kremera, zdaniem naszym równie jak część wewnętrzna, przedstawia cechy *postępne*. Za te mamy:

1) Formę wykładu ogólną t. j. *listy*, i

2) formę szczególną: *styl*.

Forma *listów* zachowała autora od konieczności oddziałów, podziałów, określeń, tych więzów zatrzymujących w jednem, poprzedniem, stanowisku myśl ludzką, i forma ta jest wyrażeniem odnoszenia ogółów i szczegółów rzeczy i myśli w *jedność* (do siebie) i udzielanie ich ogółowi z punktu jedności.

Cechą *stylu* p. Kremera jest *jasność*, oraz *ozdobność* czyli *sila*. Wykład wszelki o tyle jest przydatny, o ile jest w swym wpływie skuteczny, t. j. o ile rozleglejsze koło za przedmiot tego wpływu zjednać mogący; miarą tej skuteczności środka jest właśnie *jasność* (czyli zdolność udzielania się najrozleglejszego) i *sila* stylu. Są też to prawie jedyne prawdy które nam pozostały po szkole *materyalnej* krytycznej; tu je widzimy w postępie, t. j. w połączeniu z rozwiciem treści.

III.

Znaczenie.

Równie więc duch jak ciało, treść jak szata piśma p. Kremera, przedstawiają nam cechy postępane; zdaniem naszym nie moglibyśmy tego powtórzyć z równą rozciągłością, o *duży*. Znaczenie czyli punkt związku z nieskończonością przedstawionych nam przez p. Kremera teoryj prócz postępných, mieści też i niejakie wsteczne kierunki. Kierunki te znajdujemy owsem w piśmie śród strony głównej. Odnosimy tu bowiem te które mają związek z pojowaniem przez autora strony praktycznej swego przedmiotu, związku jego z ludzkością, i jej rozwiciem.

P. Kremer w swojej teorii, jak to widzieliśmy, zaprzecza wprost sztukom pięknym praktycznego wpływu na ludzkość, związku z jej rozwijaniem się dalszém, celu. O twierdzeniach tych nie czynilibyśmy nawet wzmianki, gdyby się znalazły tylko *przygodnie* pod piórem autora; unikamy i unikać staramy się zawsze wskazówek na zdania przygodnie. Ale twierdzenia te stały się źródłem mnogich szczególnych części, i owszem są jedną z głównych zasad całego pisma; twierdzenia te wyznawane są dziś u nas nawet przez pióra nowy okres dla piśmienności wróżyć mogące, twierdzenia te o znaczeniu i celu sztuk pięknych, są stanowcze właśnie dla samego znaczenia i celu pism im poświęcanych; twierdzenia te zwłaszcza dotyczą głównych zasad sądu o sztuce, pragniemy tu więc bliżej poznać i wskazać *istotę, przyczynę, jak wreszcie zasadność* podobnych twierdzeń.

Istotę twierdzenia autora o praktycznym znaczeniu sztuk pięknych, poznaliśmy w *treści*. P. Kremer uważa sztuki piękne jako wyptywające z nieskończoności ducha czyli prawdy i będące jej objawieniem, a przeto za cel nic innego mieć nie mogące jak siebie, t. j. to objawienie. W liście 2^{im} w ogólnym widoku na sztukę, mówi: „Sztuka ma cel swój sama w sobie, sobie samej jest celem i końcem do którego zmierza;“ str. 20, i dalej: „Sztuki piękne jako płynące z nieskończoności, muszą być celem siebie samych i prócz siebie nie mają celu.“ W liście VI w oznaczeniu stósunku sztuki do uczuć, autor mówi o uczuciach religijum i moralności, a schodząc do swego przedmiotu t. j. sztuk pięknych, wskazuje na ich bezzwiązek z temi uczuciami. „Zgodziliśmy się już (?) na to, mówi,

że sztuki p. nikomu nie służą i nie mają obcych celów i same sobie są celem; nie służą tedy i moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach p. jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często, iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans, nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czczy. Ludzie, którym brakuje podniety wewnętrznej do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki p. ale na wychowanie jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknej wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady poczciwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszerzeniu moralności w świecie; to do nich wcale nie należy. Powieść malująca ohydłą barwę zbrodni w celu jedynie, by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swęj drogi, bo jej cel jest *jedynie* artystyczny.

W innych miejscach *Listów* p. Kremera, znajdujemy nader odmienne o istocie sztuk p. wzmianki. Na str. up. 24 mówi: „Sztuka piękna łącząc świat cielesny z wiekuistym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajska dziedzinę, a przyodziawszy na się zieloność śmiertelną, dzieli z nami znikomość i biedy nasze, by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami i *przytulić* do siebie niby dziecię płaczące“ i dalej: „Sztuki piękne, te postannice nieba, niby dziewice Westalki, *strzegą* świętego ognia uczuć, by ród ludzki nie wpadł w zapomnienie o sobie.“ Na str. 63. „Nikt nie przeczy iż sztuka p. była *nauczycielką* ludów i karmicielką wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych“ i dalej: „Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było

doskonałe, i na wartość wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny, i zagrzeje miłością tego co jest moralnym, wielkim, prawem i świętem.“

Jakoż więc stać się to mogło, iż autor, który nieraz podobne o sztuce sądy objawia, który uważa ją i jako *piastunkę* męża i jako *strażniczkę* cnoty, i za warunek jej doskonałości kładzie jej wpływ *potężny*, zarazem jednak wyznaje iż ta nie ma i nie może mieć celu prócz siebie? wyznanie to za tło swego pisma przyjmuje? z tej owszem przeczącej strony wszystkie bliższe wnioski śród pisma dla przedmiotu swego wyprowadza?

Przyczyną tego pojmowania, a przynajmniej tego wykładu pojęcia przez autora, natury sztuk pięknych, zdaniem naszym jest:

- 1) *Brak uczucia* sztuk pięknych; i
- 2) *Wiara w systemat.*

Autor, który za treść i obszerną swych rozpraw, *dobrowolnie* obrał kraj sztuki, który uwielbieniu jej tyle myśli, uniesień, śród szczegółów tych rozpraw poświęcił, wniesćby można, iż jest rzetelnym uczuciem przedmiotu swego przejętym; tak jednak nie jest. Gruntem silnym autora śród pisma jest: sfera oderwanej teoryi; autor słabnie, ilekroć do zastosowań się zbliża; jest żadnym, kiedy nam daje przykłady. Sztuka to żywa trzystronność (jako na inne skale jej twórca): ma swą *myśl*, *szatę* i swe *znaczenie*. Autor *List. z Kr.* zamiłowanym jest nie w *całości*, nie we wszystkich stronach sztuk pięknych, lecz tylko w jednej. P. Kremer zamiłowanym jest tylko w pierwiastku, t. j. owej stronie pierwszej sztuk pięknych; wzgardza zaś zwy-

kle drugą i przeczy trzeciej. Tento właśnie stopień uczucia sprawił: iż autor nie zachwiał się, lecz owszem z całą ścisłością przejął szkołę krytyki za najlepszą przez siebie uznaną, i *wiarę w systemat*.

Cóż jest? i kiedy jest winą wiara w systemat?

System, jestto jeden z zabytków, który nam z cywilizacji Greckiej pozostał. System, w jego znaczeniu ogólném, jestto harmonijny układ pojęcia, i system taki jest owszem pierwszym warunkiem myśli każdego pisarza. Lecz system w jego znaczeniu zwykłym, wśród pola nauk i w takim bierzemy go tu, to dziecko szkoły. W znaczeniu tém, jestto dostrzeżenie jakowéjs prawdy szczególnej pośród ogólnej i *naciąganie* wszelkich praw innych do téj części. Potrzeba utrzymywania niegdyś szkół oddzielnych w Grecyi, jak dzisiaj katedr, potrzeba zmuszająca do urzędzeń, podzielen, rozciągani wykładów rocznych, do przywabiania nowością, była i jest dotąd matką powstawania i ukazywania się tego rodzaju systematów, mianowicie w przedmiocie ogólnych zasad myślenia (filozofii). System z natury swój musi być dzieckiem, widzimy, myśli żywszej i śmielszej, razem jednak i samolubnej; musi się stawać przeto źródłem massy myśli prawdziwych i massy fałszów; autor, który ma za powinność trzymać się jakowego systematu poprzedniego, jeśli zkądinąd otrzymał w udziale zdolność, będzie rozwijał postępnie jedne i drugie.

Autor *Listów z Krakowa* znanym już jest w literaturze naszej jako autor *Rysu fenomenologii ducha* i innych traktatów według systematu Hegla; system ten jest właśnie przewodnikiem autora i w jego rozumowaniach o sztuce. System Hegla wśród sfery tak zwa-

nych filozoficznych (spekulacyjnych) nauk, jest zapewne najznakomitszym z zjawionych; przyniósł bowiem zaród zguby swej formie: *miłość* (objęcie ogółu systematów), i był kwiatem najsubtelniejszego z przebytych dotąd okresów przez racją. Okres ten, było jednak czas badań strony wewnętrznej świata, teoryi, idealności, i system ten jakkolwiek przybierający miano systematu *bezwzględnego* czyli absolutnego stanowiska, stał się kwiatem wyłącznie *idealności*.

Naturalnem następstwem myśli są czyny, teoryi praktyka; wartość i uwagę badań spekulacyjnych i ich systematów, głównie sprawdza punkt ich stósowań. Stósowanie dociekań racyi do rozwić przyrody, jak społeczności, sztuki i t. p. jest próbą ich, lubo przyciężką ale właśnie główną. Wypłył żywszej fantazyi, a żywa trzystronność: sztuka, była zawsze przedmiotem męki i kamieniem obrazy dla spekulacyi. Jój krytyka, jestto zdrada sądzona. Dotknięcia dotąd przez racją krytyki sztuki, jeśli kiedy powiodły do jakowych przestróg, poparcia, tedy właśnie nietylko sztuki jak raczej samejże racyi; dosyć jest rzucić okiem na bieg dziejów krytyki téj, by ujrzeć iż te lub nie wchodziły dotąd w obręb właściwój rozwagi (rozwagi jako nauki), lub wynikały z niój tylko jako fałsze. Rzut ten oka wskaże też nam przyczyny i źródło owych twierdzeń autora, o których mówimy.

Sąd o sztuce w ogóle i nawet w szczególe o jój utworach mowy (jak o poezyi), nietylko długo nie wchodził w obręb dociekań, lecz nawet niedostrzeżanym był w swój bytności. Sąd ten, którego zadaniem zapewne jest postawienie najznakomitszego kroku śród rozwinięcia, odpowiednio też musiał przebyć

przeciąg swego zarodu. Jakieś unoszące się pośród ludów uczucie i *zdanie*, które kazało powtarzać zrazu wydania rękopiśmienne, głośniejsze potem ale objawiane chwilowo wśród wzrostu swobodności i sztuki (igrzyska i poetyczne *certamina* Greckie, cyrk dramatyczny i t.p.) rozumowania przygodnie o sztuce w dziełach samych sztukmistrzów (*Arystofan* w komedyi: *Żaby*, *Ptaki* (1) i t. p. na wschodzie w eposie *Valmiki* i t. p.) to są jedyne doszłe nas wyobrażenia ze sfery krytyki sztuki z dalekiej starożytności.

Po upadku i przeniesieniu nauk z Grecyi do Alexandryi stworzona i tak nazwana tem słowem, *krytyka*, była raczej krytyką wierszy i słów, nie sztuki. Od *Zenodotu z Efezu*, który w dziejach literatury pierwszy ukazuje się nam z nazwiskiem *krytyka*, cały szereg jego następców wśród szkoły do czasów istnienia jej (w liczbie których jako dwa typy odwrotnych *dążeń* ale bez oznaczenia *zasad*, przekazali nam główne swe nazwiska: *Zoil* z Amphipolis i *Aristarchus*) zajmował się, ile wiemy, wyłącznie rozbiorem miar, słów i głosek znakomitszych poematów w kraju. W obręb właściwych dociekań racyi (systematów filozoficznych) wchodziła prawie wyłącznie przyroda zewnętrzna i wkrótce metodologia. Jeśli myśli polotów istotnie wyższych, patrząc wkoło na przedmioty uwielbień, dotknęły niekiedy i sztuk, było to tylko chwilowe. Parę dialogów Platona, jako o *piękności*, o *poetycznym szale* i t. p. w których autor ten sztukę poezyi za skutek: „niższego stopnia szafu od szafu obłąkanych“ (*dial. Jo.*) uważał, i oceniał ją w ten sposób jedynie ze względu

(1) *Arystofanes* (komik) jest rzeczywiście pierwszym piśmiennym krytykiem obyczajów, społeczności, *sztuki* i t. p.

pierwiastku; i *poetyka* Arystotelesa, w której znakomity ten przyrodoznawca pragnął dzieła sztuk pięknych do form innych istot żyjących mieć zastosowane (*poet.* 6), i oceniał je jedynie pod względem *formy*; te dwa różne spojrzenia krytyczne, wypływ dwóch odmiennych kierunków zasad myślenia (*Eleatów* i szkoły *Italskiej*) i źródła dwóch wielkich faz nam współczesnych; jestto skądinąd wszystko co nam dawna a wyższa racja z pola rozwagi sztuki przekazała. Platona i Arystotelesa następcy do swych filozoficznych traktatów nie wciągali, nawet części o sztuce.

W wiekach średnich, czyli tak zwaną słusznie *szkolności* w racjonalnem rozwiciu, nauka zawarta w *trywiach*, nauka o akcentach, syllabach, metrach, była jedyną krytyką sztuki. Warunkiem w tém przeciągłym rozwiciu, było *powtarzanie się*, a więc *stanność*. Wzruszona przy końcu okresu, z powodu wzrostu sztuki, krytyka Włoska (jak rozbiory poematu Danta przez syna poety, krytyczne rozprawy Tassa i t. p.) nie przerosła swego przedmiotu; miarą jej sądów i celem było dościganie dawnego.

Objawienie się i wzrost *empiryzmu*, stworzyły w swój głównej ojczyźnie, w dalszym wypadku, zbyt znakomych praktyków (jak *Szekspir*, już za dni naszych *Walter Skott* i t. p.), ale nie teoretyków sztuki.

Wieki wszakże ostatnie przed nami, wieki wielkich rozwić moralnych i zbliżeń gałęzi, zrazu jużto z tradycyi, już z braku miłości nie spoglądające bliżej myślą na sztukę, okazały wreszcie to zbliżenie. Umysły artystyczne w tym czasie, podzieliły wrażenia odbić spekulacyjnych i rozprawiając o sztuce, wniosły ją na odwrót do spekulacyi. Dwie wielkie a treściwą

odwrotne filozoficzne fazy w tym czasie, stały się też źródłem dwóch wielkich a odpowiednich sobie szkół krytyki sztuki: *materyjalnej i idealnej*. Obie te szkoły mówią wprawdzie co chwila w teoryach, tak o *idei* jak *formie*; pierwsza jednak w każdym szczególe sztuki widzi jedynie *formę*, druga *ideę*. Szkoły te w rozprawianiu o sztuce, miały pod względem wypadków, dobitny punkt *podobieństwa* oraz *różnicy*; główny punkt podobieństwa ten jest: iż obie mniemając prowadzić do uwielbienia sztuki, wiodły do *wzgardy*; różnica, iż *drogą odmienną*.

Cel i znaczenie sztuk pięknych, wyprowadzane tu były z rodzaju zasad.

Szkoła krytyki *materyjalnej*, ta szkoła tak jeszcze niedawno rozlegle czynna, zwana klasyczną (teoretycy znakomitsi *Batteux, Blair, Burke*. i t. d.) wychodząc ze stanowiska wiary w najwyższość zmysłów, zewnętrznej natury, a pragnąc uwielbić sztukę, rzekła: iż ta jest naśladowaniem natury, istotą i celem sztuk, lubo nie prawda (natura), jest jednak *podobieństwo do prawdy*. (1) Sztuki piękne uznane tu więc zostały w swem źródle za *niższość* od reszty przyrody, ich istota i cel za *kłamstwo*.

Odwrotna jest ostateczność szkoły wprost *idealnej*, a mogącej się nazwać Giermańską. Teoretycy jej zwrócili się wprost ku pierwiastkom, a widząc w źródle sztuk pięknych *nieskończoność i ducha*, przymioty boskie, utwory ich jakoby do rodzaju szczególnych bóstw zaliczyli. Bóg niezależnym jest sobą od re-

(1) „La matière de beaux arts n'est point le vrai, mais seulement le vraisemblable.“ *Batteux*.

sztę stworzenia, sam sobie celem, tak też i sztuki piękne za niezależne od reszty stworzenia, i będące jedynie dla siebie, uznane zostały. Główny twórca zasad myślenia w fazie Giermańskiej, odznaczył też i charakter jej sądu. Teorya *piękności* Kanta, jak *Krytyka czystego rozumu*, wzruszana, napastowana, zmieniana, stała się jednak źródłem, i odkreśliła charakter Giermańskiego sądu o sztuce. W teoryi tej za jeden z warunków *pięknego*, uznanem było podobanie się czegoś *przez się* bez wszelkiego ubocznego zajęcia. (2) Sztuki zwane pięknymi, są właśnie formą pięknego; warunkiem więc ich, znaczeniem i celem, musiało być podobanie się przez się, nie zaś jakowy inny cel uboczny. Szczegół ten teoryi sztuk pięknych, radośnie powtórzyły umysły nie mające uczucia sztuki, radośnie też i niektóre z mających uczucie, bo teorya ta usuwała ze sztuki możność strony szkodliwej. Teoretycy i w ogóle estetycy, wprost rozumujący o sztuce, a odbijający pierwotną transcendentność, umieli zasady jej doprowadzić, że tak rzecz można, do teoretycznej praktyki, w swęj gałęzi. „Sztuka piękna, wyrażali się w pewien sposób, w istocie swęj i pierwiastku wyższą jest nad *pojęcie* i *uczucie*, a gdy niezdolną jest złączyć tych władz, jako nie mogących się (według wiary tych teoretyków) złączyć, *znosi* je, to jest unosi w *bezoznaczonosc*; co unosi w nieoznaczoność, niszczy poddanność ziemską, i wyobrażenie wszelkich związków ziemskich czyni próżnym.“ Następcy przychodzący śród fazy po naucza-

(2) „Schön ist: was ohne alles Interesse und ohne Begriff allgemeinen Wohlgefallt, dessen Form in sofern sie ohne Vorstellung eines Zweckes an ihm sich wahrnehmen lässt“ etc. Kant.

niu t \acute{e} m: Szelling i szkoła, zwani filozofami natury, sztuki piękne odnieśli nie do *natury* lecz do przedmiotów absolut w *idei* objawiających, i ogłosili w ten sposób praktyczną bezcelność sztuki. Czasy szkoły t \acute{e} j, były to właśnie złote dla estetycznych teoryj. Świat określ \acute{e} n, oddzi \acute{a} ł \acute{o} w, poddzi \acute{a} ł \acute{o} w, rozwin \acute{a} ł się tu w całym (lubo skądin \acute{a} d drobnym swym) blasku. Estetycy i pisarze jak *Sulzer*, *Buterwek*, *Bachman*, *Richtl*, *Solger*, *Ast* i t. p. ju \acute{z} wierzący w *dualizm* ju \acute{z} *trynizm* (oderwany) rzeczy szczeg $\acute{o$ lnych, różni na poz \acute{o} r, niekiedy w poj \acute{m} owaniu sztuk pięknych byli zgodni w patrzeniu wył \acute{a} cznie na ich stron \acute{e} wewn \acute{e} trzną, nawet śr \acute{o} d twierdzeń o zewn \acute{e} trznosci, i uznawali bezcelność sztuki. Autor, który wreszcie zjednoczył i wcielił różnorodne na poz \acute{o} r d \acute{a} żenia sw \acute{e} j fazy: *J. Hegel*, napisał t \acute{e} ż sam oddzielny traktat o sztukach pięknych. *Przymus* (3) i *jednostronność* (widniejsza w dotk \acute{n} ieniu sztuki), sprawiły i \acute{z} traktat ten przez gł \acute{o} wnych wielbicieli autora za najsz \acute{e} bszy z jego utwor \acute{o} w jest mianym; ta jednak myśl idealna, która zdołała wydać *Fenomenologię ducha*, widna tu w odbiciu swych blask \acute{o} w. Ulubiony od szkoły temat o celu a racz \acute{e} j o bezcelności sztuk pięknych, rozebrany tu został we wst \acute{e} p \acute{e} . Autor po odpowiedzi tym, którzy sztuce te albo inne cele praktyczne przyznają, przyst \acute{e} puje do uwag własnych, i mówi mi \acute{e} dzy innemi. „Sztuka łączy się dla spełnienia los \acute{o} w ludzkości, lecz jedynie jako śr \acute{o} dek; sprawia skutek, ale jest obc \acute{a} temu sa-

(3) Niezam \acute{i} łowanie przez autora przedmiotu i traktatu który mu poświęcił, tem się najlepiej wyjaśnia: i \acute{z} go *nie ogłaszał*. Kurs estetyki Hegla wydanym został, jak wiadomo, dopiero przed kilku laty, przez jednego z przyjaci \acute{o} ł autora. (*Hotho*).

ma z siebie, bo nie ten skutek ma za cel. Sztuka ma za cel manifestacją prawdy przez formę zewnętrznego przedstawienia; wszelki cel inny nie wchodzi do *idei* sztuki.“ Słowa te odkreślają nam właśnie najlepiej stanowisko zapatrywania się szkoły na sztukę. Szkoła tu ilekroć mówi o *celu* sztuk pięknych, mówi raczej o ich *pierwiastku*; mniema patrzeć na *całość*, w istocie zaś patrzy tylko na *ideę* sztuk pięknych.

Tento ostatni traktat, jest bezpośrednim wzorem i źródłem tych twierdzeń o celu sztuki, jakie niektórzy pisarze obecnie do literatury naszej przynoszą. Twierdzenia te u nas, zdają się być owszem w fałszu postępane. Twierdzenia szkoły Giermańskiej, mogły być prawdą w sobie, i stawały się tylko fałszem przez wykład; tu już go znajdujemy nietylko w formie wykładu. Autor kursu, np. jako widzeliśmy, mówiąc o celu sztuki a myśląc o jej istocie, rzekł: „iż sztuka *sprawia skutek* ale jest obcą temu sama z siebie; jej zadaniem jest manifestacja prawdy.“ Manifestacja prawdy, która sprawia skutek, nie może zaiste sprawiać innego jak pożądanego. U nas twierdzą: iż sztuka wszelkiego celu jest próżną, iż dostrzeganie lub wyglądanie w niej celu, to płytkość; iż owszem sztuka, która sprawia cel dobry, nie jest już sztuką. (1)

Poznaliśmy więc w ten sposób *istotę*, *źródło*; chcemy teraz spojrzeć na *zasadność* samej teorii.

(1) „Sztuka nie dla siebie, lecz dla pożytku będąca, jest niedorzecznością.“ K. Libelt. P. Libelt jest także z pisarzy, którzy przez wzgląd na systemat i szkołę, usiłują niekiedy więzić myśl własną. Samo to wyrażenie: „Sztuka dla pożytku będąca“ wydaje, iż myśl autora przypuszcza i warunek celu wśród sztuki. P. Lib. zapytuje: „co za cel może mieć sztuka w pustyni?“ Jednym z celów słońca tej ziemi, jest wyprowadzanie żywota z roślin; cel ten nie ginie przez to, iż słońce nie wyprowadza go z piasków. *Kilka twierdzeń z rozdzia-*

Najlepszem według nas (bo najpraktyczniejszém) zaprzeczeniem twierdzeniu, iż sztuki piękne bez celu są dla ludzkości, iż istną jedynie dla siebie, jest: zaprzęta- nie się tem twierdzeniem. Nie pojmujemy jako myślenie nasze możemy jakowymś przedmiotem zająć, poświęcać mu całe księgi, pół życia, i twierdzić iż przedmiot ten jest bez związku z naszym myśleniem. Nie pojmujemy zwłaszcza jak można wierzyć w wagę uczynków, w *miłość* ludzkości; zaprzęta- ć te uczynki przedmiotem, który jest bez wszelkiego celu dla ludzkości.

Zaprzeczenie sztukom pięknym celu, nawet praktycznego, pośród stworzenia, jest zaprzeczeniem harmonii. Autor Listów z Krakowa wyznaje nieraz w teoryjach, iż wierzy w *jedność* stworzenia, *szuk* rzeczy, *mądrość* rządzącą; traci jednak tę wiarę, widzimy, wśród zastosowań. Jeśli zaiste istnieje ów rząd, szuk, wprzód- wiedzenie; ów, jak wyraża się Pismo, „od początku czas zgotowany,“ jeśli, jak to sama dociekała racya, każdy wiek pewien szczegółów tej wiekuistej myśli wyrabia, (ideę), a wielki, harmonijny bieg ogółów, jest składem szczegółów; jeśli słowem każdy szczegół, punkt, mgnienie, jest koniecznem ogniwem w przejściach, znaczeniem równem; jakożby tylko kraj rozległy i wielki sztuk pięknych mógł uniknąć przed pomyśleniem? Cel sztuki może nie wchodzić w zamiar jej twórcy, może pozostać zewnątrz rozważki krytyka; mimo to jednak nie zniknie, i jeśli mówimy o celu, nie możemy twierdzić o bezcelności.

lu o celu sztuki, we Wstępie do filozofii sztuk pięknych p. Libelta, jest według nas, wartości odwrotnej, z resztą tego znakomitego pi- sma.

Samo istotne znaczenie sztuk pięknych, wskazuje ich cel.

Sztuka nie jestto wcale *naśladowanie natury*, jak twierdziła krytyka materyalna; nie może to być naśladowaniem natury, co jęj jest częstką; sztuka sama jest częstką natury, jęj *rozwinieniem*.

Określenie krytyki idealnej, iż sztuka „jest produkowaniem się ducha nieskończonego w formie piękności“ jest określeniem *źródła* przedmiotu, lecz nie przedmiotu. Uważaliśmy w treści pisma jak autor (w liście 2) podziwiając naturę zmysłową, dodaje: iż szlachetniejszą jest jeszcze sztuka jako z nieskończoności płynąca a przeto ze względu pierwiastku. Dzieła sztuki, brać mogą źródło w nieskończoności; wszelki jednak inny przedmiot stworzony, jeśli nie z doskonałego jest ducha, nie jest także zapewne dziełem przypadku. Szata np. lilii, jak mówi Pismo, jest owsem nad wszelkie dzieła człowieka. Dzieła sztuki doskonalsze być mogą przez to, iż przedmioty które nam dają, zastosowane są do skali pojęcia naszego, lecz nie ze względu pierwiastku.

W określeniu istoty dzieł sztuki, utworu *człowieka*, nie powinniśmy i nie możemy stawiać jęj ani zbyt niżej, ani zbyt wyżej od istoty samego człowieka. Sztuka w jęj znaczeniu prostem, praktycznem, jestto *język*, stopień wyższy mowy człowieka. Pierwszym środkiem *łączenia się* wzajemnego ludzkości, jęj kierunku ku duchowej jedności z zmysłowej różności, jest *mowa*. Ale mowa *głosu* jest nikłą, w locie zbyt bliską i liczbą słów określoną. Sztuka *silniej* źródłem przemawia, lotem treści *ziemię* przebiega, *odrywa się* od nas i pozostaje aby *przemawiać* wieki. Głos we-

wewnętrzny zastępuje w niej *forma* zewnętrzna; *siła* przemawiania téj formy jest właśnie miarą tego co pięknem zwiemy.

Głos wszelotny, silny i wieczny, jestto głos zaisze *wszemożny*. Jakoż, jeśli wspomnimy a rozważymy szczegóły które w nas nasz wewnętrzny utwór złożyły lub złożyć mogły, znajdziemy: iż te ledwie nie wszystkie w tém co zwiemy sztuką i odcieniami jój, spoczywają. Wiara, cnota, nauka, wpajane słowami głosu, mogą zostać śród *wiedzy* dziecka człowieka, lecz iżby się zamieniły w żywot, krew życia, innych *sił* trzeba. Jedną z sił tych, udzielonych twardości serc naszych, jest właśnie sztuka. Siła ta jest towarzyszką naszą przez żywot. Nasz żywot składa się z uczuć, uczucia są skutkiem wrażeń; główne źródło tych wrażeń od lat naszych dziecinnych, od godzin porannych do nocnych, leży głównie w odcieniach wyptywu sztuk pięknych. Jako w naszych latach dziecięcych: piosnki, obrazki, powiastki ukształcą i pokierują jak zechcą serce, wiadomość, kroki, tak znakomitsze dzieła z siły pędzla, harmonii, poezyi, równie kształcić, a przynajmniej strzedz i kierować muszą myśl męzką. Wychowanie udzielone przez sztuki, budzi i odrywa myśl ludzką od żywota materyi a skłania ku prawdzie. Sztuka kształci nas i okresy.

Ta siła i przemawianie sztuk pięknych, pojmowane i wskazywane było we wszystkich wiekach i krajach, jeśli nie zawsze przez ogół, tedy przez szczegóły, jeśli nie przez dawców teoryi dla kraju, tedy praw. Dość jest zajrzeć na chwilę choćby do najodleglejszej starożytności czasów, i do krajów najodmienniejszj w pierwiastku swoim, kultury.

W obrzędowych, obyczajowych oraz pierwotnodziejowych księgach Chin starożytnych tego kraju moralnej z przecucia praktyki, znajdujemy bez przerwy prawie wzmianki o uwielbieniu dla sztuki oraz jej *wpływów*. Muzyka uważaną tu była za *mowę duchów*, za punkt związku ludzi z duchami, i za szczególnie skuteczny środek do przemawiania, podobnie miara *wierszowa* (1). Prawodawcy nauczający w Chinach o potrzebie doskonalenia siebie, jako jeden z środków do tego zalecali wyraźnie muzykę (2). Filozofowie Chińscy tłumaczyli nawet wyraźnie wpływ jej na czyny (3). W Indyi prawodawcy pierwotni wierzyli przeciwnie w szkodliwy wpływ sztuki na obyczaje, (4) zawsze więc *wpływ*.

W świętych księgach biblijnych, znajdujemy świadectwa żywe części dla śpiewu, poezyi, muzyki; nawet świadectwa praktycznych wpływów tej ostat-

(1) Czytamy np. w *Szukung* (księdze z wieku XX przed erą chrz.): „Cesarz rzekł: Rucei, mianuję cię przełożonym nad muzyką; chcę iżbyś jej nauczał dzieci książąt i panów; uczyną to iżby się stały szczere, pobłażające, łagodne, poważne i słodkie: swe myśli wykładaj *wierszem*, i zastósuj je do odgłosu muzyki. Jeśli *ośm* modulacyj zostaną zachowanemi, duchy i ludzie w jedność zlewac się *będą*“ II. 24.

(2) „Konfucyusz rzekł: wznosmy nasz umysł przez odczytywanie księgi Y (wiary), ustalajmy nasze zasady według księgi *obrzędów* doskonalmy się przez *muzykę*. *Lun-ju* VIII. 8.

(3) „Kto lubi muzykę, lubi melodyę i jedność. Kiedy się lubi te uczucia, one się tworzą. Kiedy się uczucia te w nas tworzą, tworzy się i wydanie tych uczuć.“ *Meng-tsen* I. 27.

(4) „Niechaj Brachman nie szuka zebrania bogactw, przez pośrednictwo sztuk, które *zwodzą* jako śpiew, muzykę“..., Rodziny które oddają się sztukom (i t. p.) a przytém zaniedbują księgi święte, gasną rychło.“ *Institutes of Hindu Law etc. by Wil. Jones.* IV. 15 i III 64, 65.

kich do uczynków jako uważaliśmy, doprowadza. Wszystko spółdążnem jest w drodze, a biegnąca różność gałęzi, jednoczy się dopiero w punktach swój prawdy.

Jakoż, jako moralny probierz *uczuc* ludzkości, ukazuje się nam w epoce każdej, jakowys płód artystyczny, jej wyptyw oraz *przyczyna*. Dzieło sztuki, zwłaszcza poezyi (jako łączącej przymioty innych bez stron przeciwnych), to wielki *język przewodni* pośród okresu. Tak, stara epoka Grecka ukształcić, utrwalić miała osobistą godność człowieka i zjawiło się dzieło sztuki, przedmiot ogólnej cześci, poszukiwania, przyłgnięcia, uświęcające tę godność. Dzieło to wynoszące dzikość, rozpustę, gniew, mordy, uczyło zemsty za *siebie*, poświęcania jej bogów, kraju, swych nieprzyjaciół; poświęcania jej owszem samych przyjaciół (księgi Iliady). Myśli te rozprysnęły się w różny kształt pieśni, a powstał i przeciągnął się wielki szereg praktyków czyli wykonawców tych myśli. Poświęcenie siebie za siebie czyli dla miłości związanej zbyt ściśle z własną (osoby swych uczuc), było cechą poematów wieków średnich; okres ten miał przeminać, i otrzymał powodzenie główne: ironiczny *rycerz* (Cervantesa) z *la Mancha*, bo miał zakończyć ten okres. Nasz wreszcie, w żądaniu śród sztuki, sami czujemy to, po inne sięga pierwiastki, i inne kształcić go mają. Już tu nie owe Danajskie poświęcenie wszystkich dla siebie, nie siebie dla siebie, ale raczej poświęcenie się owe, którego krzyż jest wyrazem (siebie dla wszystkich), musi stawać *tlem* w dziele sztuki. Bohaterska, wysoka postać chociażby jeszcze bohaterską być miała, jeżeli okresową ma zostać, nader różny od owych dawnych musi dziś grunt rysów zespolić. Nie Bryzeidy już to będzie kochanek, raczej Aldony.

tniej. (5) Znana jest, udzielona niektórym sztukom opieka przez prawodawców Greckich, lecz tu sztuka nietylko już przez pojedyncze głosy prawodawców o wpływie swym przemówiła. Nie liczona do kasty, nie wiązana przepisem, klasa śpiewaków rozpowszechniła tu sztukę, i ukazała jej wpływ dotykającym. Różność pieśni, walki poetów, widowiska, igrzyska, odbijały i przelewały tu dojścia racji w potok myśli *ogólnej*, i myśl tę nad inne ziemskie strony do rychlejszego przyjęcia prawdy usposobiły. Massy ludu postyszały tu o *cnotach i zbrodniach, nagrodach i karach o Bogu, nieśmiertelności* i t. p. Wpływ ten, wśród przemian i rozwiń, przeciąga się do dui naszych, i wśród skutków jego żyjemy. Autor Listów z Krakowa wyraził, jako widzieliśmy: iż nie nie pomogą tam dzieła sztuki dla moralności, gdzie brak wiary i zasad pocziwych. Jedneż zasady wiary i jedneż obyczajowości przepisy, mogą być zarówno opowiadane przez długie wieki; w obliczu jednak tych wieków, tak pod względem samej moralności jak wiary, z kąd będzie różność? Przyczyną nie jest tu racja; różność bowiem nie na szczegółach widzimy, ale okresach.

Jako niegdyś sztuka piękna bez wiary, miała treść fałszów, tak wiara bez pomocy tych mownych środków które nazwaliśmy sztuką, rzadko ogół serc ludz-

(5) Podanie o arfie Dawida zawieszającej obłąkanie Saula, świeżo sprawdzonem zostało. Dziennik Paryzki *France musicale* w art. *Influence de la musique sur les alienées de la Salpêtrière (Janv. 1842)* donosi: iż obłąkane w zakładzie tym zostające wracają do przytomności, ilekroć są pod wpływem harmonii muzycznej, same nawet przytomnie śpiew mszy do końca wykonywają. *Głos* nasz zdolny jest zbudzić myśl śpiącą i ciasną; sztuka, widzimy, budzi nawet zbląkaną.

Idealna krytyka sztuki, wiemy, iż nie przypuszcza, lubo rzecz może byłoby lepiej: nie zwraca uwagi na te okresowe zmiany dzieł sztuki, różność ich wpływów. Idealna krytyka sztuki nie przypuszcza nawet żadnej wyższości w dziełach sztuki epok nam bliższych. Jestto owszem dosyć powszechną wiarą śród szkoły tej: iż ród ludzki śród Grecyi obchodził czas swój młodości; sztuka więc, która jest objawieniem się ducha w formie *piękności*, tu być musiała w swym szczycie. Warunki szczęśliwości społecznej pośród ludzkości, dziś więc są rozwinięte; jestto więc właśnie nowy dowód na stronę szkoły: bez związku sztuk z społeczeństwem, ich *bezcelności*.

Twierdzenie to zdaje się nam być tylko dowodem, iż ilekroć mówimy o sztuce, nie możemy oddzielać od niej i wyobrażenia jej społeczeństwa. Sztuka w Grecyi podrostszy, jawniej wykazała swe wpływy; było jednak dla piękności i sztuki wiek raczej ich pierwotnej *żywości*, nie szczytu. Piękność w sztuce o tyle *pięknością jest dla nas*, o ile *przemawia*, o ile więc jest w harmonii z rozwiciem pojęć. Wzrost żywiołów moralnych śród Grecyi, jak uważaliśmy, odbił cechy uczutej godności oraz miłości własnej, lecz tylko własnej; błysnął w *pierwiastkach*. Kraj ten uwierzył w niebo, lecz z ludzi, w siłę racyi, lecz w niej w *systemat*, w mównicę i obok w *ilotyzm*. Sztuka w Grecyi tenże właśnie stopień odbiła. Sztuka nauczyła tu nazwisk cnót, zbrodni i t. p. lecz tylko *nazwiska*. Pęzel i dłото wydały tu tylko *proporceye*. A poezya, jeśli bezstronniej i bliżej wejrzymy w ogół jej treści głównej, poezya w swym majestacie, nie wzniosła się: jak do sławie-

nia zbrodni bogów i Hieronów. Sztukato właśnie Grecka i jój istota, sprawiły to pasmo oporu surowszych myśli, przeciw oddawaniu się dziełom jój, przez czas tak długi. Nie poetów, lecz oszczerców niebios i ziemi, z swój rzeczypospolitej wyganiał Plato (6); boski ten lubomędrzec czuł sztukę, a patrząc na jój dzieła w około, pojmował wpływy.

Tak więc równie teoretyczne, to jest odniesione do wewnętrznej istoty sztuk pięknych, jak stosowane czyli praktyczne względy, okazują nam fałsz twierdzenia: iż sztuka jest bez praktycznego związku z ludzkością; lecz twierdzenie to winniśmy jeszcze rozważyć z ostatecznego a stanowczego dla istoty każdego twierdzenia względu: ze strony następstw.

Zapatrywanie się na dzieła sztuk pięknych ze strony ich wyłącznie *idei*, t. j. ze stanowiska *jednostronności a przeto fałszu*, w rozwiciu swem *wieść musi do fałszów nowych, jawniejszych.*

Oglądanie doskonałości ducha w pierwiastku sztuki i widzenie w niej tylko pierwiastku, wiedzie, jako widzieliśmy, do wynoszenia dzieł jój nad inne twory, do zaliczania ich w jakowys rząd istot powstających jedynie z siebie, byt mających tylko dla siebie, przeto do bóstw szczególnych. Patrzenie wprost idealne na sztukę, wiedzie nas, widzimy, do nowego, niematerialnego Olimpu. Boskość wszakże, to nieskończoność, duchowość, niepokalaność, sztuka

(6) W ks. X o Rzptój, Plato sam to wyjaśnia, iż tylko poetę naśladowcę (epików Greckich), nie zaś poezją w ogóle, z miast wyganiał... „*equidem cogitanti mihi inquam ego de hac re quam nuper verbis condidimus civitatem, ne videlicet nulla poesis pars quae in imitatione consistit recipiatur.*“

piękna to wyraz ziemski; jednym z jej warunków: materya, jej trwanie, trwanie materyi. Szkoła przeto co chwila spotyka sprzeczność, pragnie wytrwać, i połowę istoty sztuki ze sfery téj istoty wynosi.

Śród teoryi wiedzie nas, widzimy, do błuźnierstw, śród stósowań do wzgardy sztuk pięknych.

Nie będziemy tu wyliczać i ściągnać wskazówek długich; trzymamy się zadania głównego, i przytoczymy kilka przykładów podobnych następstw z pisma właśnie o którym mówimy; rozważymy w ten sposób i kilka bliższych szczegółów tego pisma.

Nie naznaczamy żadnych stopniowań celom utworów naszych w ogóle i w szczególności utworom sztuki pod względem formy; jeślibyśmy jednak mieli oznaczać jakowe stopnie w stósunku do naszych pojęć, najznakomitsze zapewne przyznaćbyśmy powinni miejsce sztukom o *tłum* uderzającym. Sztuki te okazują tu właśnie dobitnie cel swój i misyą, bo przychodzą do punktu, który był ostatecznym celem ich poczęcia. Prosta idealność w patrzeniu, inaczej to widzi. Autor Listów z Krakowa, idąc za szkołą i widząc sztukę tylko w jej pierwiastku, cały oddział sztuki praktycznej za jakowąś owszem niższość, i jakoby podłość uważa. W liście np. IX, który jest poświęconym oznaczeniu ideału, autor po rozważeniu znaczenia i wewnętrznego zadania jego, dodaje: lecz sztuka ta ma jeszcze inne *poniższe* szczebłę, bo nawiedza poziomą (?) sferę życia codziennego i prywatnego... poezya *téj* sfery, staje przed nami w kształcie *romansu, powieści, komedyi* i t. p.

Znakomite zrodzenie moralne z wieków ostatnich, główny kanał przeprowadzenia dociekań racyi do sfery praktyki, gałąź sztuki mieszcząca praktyczną *krytykę* społecznosci, ta gałąź która stósownie do naznaczenia swego, najogólniej pociągające otrzymała nazwisko (*romans*), przez autora tu więc jako *nikezemna* jest oznaczoną. Nie możemy oprócz wskazania, nie wymówić autorowi Listów, tych zastosowań. Lub się autor nie wciela w sfery, położenia, potrzeby, szczyble towarzyskości, lub jest próżnym uczucia sztuki. Nietylko romans i powieść, wszelka inna gałąź poezyi, jak np. ballada, sielanka i t. p. równej są bez zaprzeczenia wartość. Los pasterza wiejskiego, jak bohatera, równie znaczącym jest w sobie. Nie te działy, lecz siła wydania, jest miarą wartości utworu. Autor schodząc do zastosowań, okazuje, widzimy, wżgardę dla sztuki.

Autor przyjmuje za pewnik iż: „prawda i nieskończoność jest jedno; co skończone, nie może być prawdą.“ Jestto, widzimy, założenie i pewnik krytyki idealnej. Autor schodzi do wniosków pod względem sztuki i mówi: „wszelkie boleści rozdzierające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce, bo nie są nieskończonością“... „Ludzie źli i ladaco, nie mogą być *nawet* w komedyą wprowadzeni.“ Autor, widzimy, tym jednym wnioskiem, prawie całość sztuk p. potępia. W gałęzi np. poetycznej, dramat lub romans mogą być tylko według autora obrazem wesel, cnót, szczęśliwości. Dramat, epepeja lub romans, jeśli zamierzą przedstawić

jakąś *większość* z losów społecznych, serce z uczuciem *żywszém*, jakąś *walkę* pierwiastków ziemskich, przestają już być sztuką według autora. Nie pojmujemy istotnie jak autor, tak swobodnie myśl unoszący w teorii, może wiązać ją, ilekroć do zastosowań przechodzi? czemu widząc nieograniczoność w pierwiastku sztuki, chce ją widzieć w zastosowaniach tak ciasną? Fałsz teoryj szczególnych. Łączy się dla wydania nowego. Wady, utłomności, boleści, nie mogą mieć miejsca w sztuce, „bo ideał może mieć tylko miejsce w nieskończoności i prawdzie“ mówi autor. Ideał który ma źródło w prawdzie, musi właśnie mieć je w *całości*. Ideał ziemski, który jest z prawdy, winien nie tylko mieścić oderwanosć, czyny, szeregi, lecz też punkt ich związków, stósunków, całą owszem poddanność ziemską w swój treści. Natura pojmowaną jest przez nas zewnętrznie, nie zaś wewnętrznie t. j. ze strony myśli Twórcy; ztąd widzimy w niej wiele szpetności w porządku fizycznym, jako gady, owady i t. p. (uważa to i sam autor w Listach, gdy mówi o ideale). Miarą przybliżania się naszego w pojęciach do jedności i prawdy, jest właśnie miara przybliżania się do owój myśli. Dlatego też i same szpetności w porządku moralnym, mogą, i owszem powinny być przedmiotami ideałów t. j. stawać przed nami śród sztuki ze względem swym do owój myśli wewnętrznej.

Mówiąc autor o *pathos*, twierdzi iż patetyczność nie może wypływać z uczuć do których pewnego przygotowania, moralnego ukształcenia potrzeba, lecz mu-

si iść z prawdy, która jest w sercach wszystkich. Jakieżto są cechy nieskończoności (prawdy) znajdujące się w sercach wszystkich, a zewnątrz których nie działa już patetyczność? Wszakże sama *miłość* (jak uważa to w Listach autor), jest już skutkiem nie dzikiego umysłu. Pieśń gminna, rzeczywiście powszechniej jest wzruszającą; nie możemy przecież zaprzeczyć, iżby nas nie wzruszała i poezya, np. śpiewaka Giaura. Zdaje się iż tu autor chciał tylko ostrzedz o fałszywości wzruszeń przez figury allegoryczne w poezyi, i zadał fałsz całej poezyi. Jest też to dla nas jednym z dowodów rozdwojenia autora w uczuciu praktyki i teorii.

* * *

W ciągu pisma autora, mamy owszem liczne dowody równych rozdwojeń. Autor np. *rzeczywistość i formę*, za nic ma w sztuce; pośród dzieł poetycznych jednak, według autora, najwyżej stoi *tragiedya*, a wśród tragików *Szekspir* (którego tytułem genialności, właśnie jest *rzeczywistość*) i *Sofokles* (przerabiacz Eschila, którego rzeczywistym tytułem wyższości, jest jedynie *forma*).

* * *

Po określeniu stanowiska sztuki do religii i filozofii, autor (w liście IX) określa jej stanowisko do *rzeczywistości*. Sztuka więc sama przez się, nie jest rzeczywistością; nieskończoność nie jest rzeczywistością, prawda nie prawdą; te i tym podobne, na pozór logiczne, podziały w wykładzie autora, widzą się nam jeszcze jako zabytki obyczaju systematów, próżnych teoryjności, szkolnictwa i t. p.

* * *

Widzimy więc jakie są w ich naturze najbliższe

skutki pośród samej teorii wieszania w *bezcelność sztuk* i spoglądania na nie ze stanowiska czysto idealnego. Jakież być mogą dalsze? Od domysłu jakieby być mogły dalsze następstwa i skutki z wiary w bezcelność i w ogóle czysto idealnych pojęć o sztuce, możemy już być wolni. Te teorye które są przenoszone dziś do nas, nie są nowością. Ów okres który je wydał, jest już w swój pełni. Następstwo tych teoryj i twierdzeń idealnej Giermańskiej szkoły, najbliżej dostrzegane i najlepiej ocenione być mogło wśród samejże szkoły. Po rozdziałach, rozbiorach, drobnieniu, po przeprowadzeniu przez fazy każdego szczegółu z tych teoryj, tej drogi spoglądania na sztukę, myśl nie znajdując rzec można oporu, bo rozprawiając o celu, a w cel nie wierząc, strudziła się w końcu, i utraciła wiarę już nietylko w cel sztuki, lecz drogi. Jeden z dowcipnych pisarzy Giermańskich, sam lubujący skądinąd w teoryach idealistów, obliczywszy korzyści otrzymane z tych teoryj dla sztuki, nazwisko *idealistów* zmienił na *nihilistów* (1). Twierdzenie to było jednak jeszcze grzecznością. Teorye o bezcelności stworzyły praktyków, i tryumf prawdy, przez pozbawienie podpór talentu na drodze sztuki, oddaliły; same te owszem talenta o rychłą śmierć przypawiły. Artysta wydający sztukę dla sztuki bez celów dalszych, jestto twór równie zapewne ohydny jak jego dzieło. Zaród w nim żywotności moralnej (miłości), nie wynosi się dalej nad siebie; wpływ jego zewnątrz (nie przypuszczamy bowiem czynu bez wpływu) *ujemny*. Jakoż widok podobnych następstw a strat, powiódł teorety-

(5) *Vorschule der Aesthetik*, v. J. P. Richter 1813.

ków szkoły do zmiany i szukania nowych kierunków. W ostatnich lat dwudzięciatkach w miejscu czystospekulacyjnych, o których wzmienialiśmy, powstałi wśród samyżje szkoły estetycy barwy nowy. Jedni z nich owym skutkiem teoryj spekulacyjnych zrażeni, a drogą dość właściwą Giermańskiej myśli wiedzeni, nadużycie formy wzięli za fałsz pierwiastku, i odrzucili całkiem (przynajmniej co do tytułu) wzgląd filozoficzny od krytyki sztuki, stosując tylko społeczny (1); inni wreszcie (ile tu znamy) najnowsi, połączyli oba te względy, spoglądając na dzieła sztuki tak ze strony ich nieskończoności w pierwiastku, jako też ich związku z *czynami i społecznością*. (2) Głos wszakże estetyków tych, nie wejdzie już zapewne w żywot swyż szkoły. Idealność i szczyt jej, w skutek pierwotnego raz nadanego kierunku, stały się już rodzimem dziedzictwem ludów Giermańskich. Nietylko najznakomitsze talenta stały się tu zwolennikami, praktyką tych teoryj, lecz ci nawet którzy nie są zwolennikami, praktyką, muiemają wierzyć w teoryę. (3) Wszelki okres

(1) *Menzel, Seidel* i t. p.

(2) Jako *Wendt, Rosenkranz*, (mianowicie w *Handbuch einer allgemeinen Geschichte der Poesie*) i t. p.

(3) Znany jest np. wiersz *Justyna Körnera* przeciw *platystom* (tak nazywanym w Niemczech *utylitarystom*). Wiersz ten dowcipny, jest wszakże raczej przeciw nadużyciom w upatrywaniu *środków* użyteczności, nie zaś przeciw niej samey w sztuce. Körner sam poeta z niektórych względów użyteczności, zdał się właśnie zwracać przeciwko tym, którzy widzą we wszystkim użyteczność tylko nie w sztuce, którzy kładąc stopnie użytecznościom, przenoszą np. *abcadnik* nad utwór *dlóta* lub *pędzla*, dzieło o ekonomice nad utwór z sfery poezyi i t. p. Körner w wierszu tym, taką nam daje rozmowę:

po wydaniu już kwiatu sypie ziarno, ale ziarno to ma wejść w żywot już na polu innego okresu.

Z równych przyczyn, równe się rodzą skutki; następstwa takie, czyliż więc się mają wznowić pomiędzy nami? Z równych przyczyn, równe się rodzą skutki; wśród rozwić jednak, przyczyny mogą być tylko *podobne* ale nie *równe*. Stanność albo cofanie się, jest moralną niemożnością wśród rozwić. Wznowienie twierdzenia fałszu, który już przebył fazę, jeśli przynosi nanowo zaród ujemności moralnej (śmierci), przynosi go tylko dla siebie. Twierdzenia o bezcelności sztuk pięknych, chociażby najznakomitszymi pióry wspierane, nie zdołają już wydać roślin; pozostać zaś tylko muszą jak echa, jako ostatnie ślady kończące należne koła swoich idei. Względ na twierdzenia o bezcelności sztuk pięknych do tychże nas, widzimy, dowiódł wypadków, co względ na źródło. Widzieliśmy spożywanie fałszu w źródle tych twierdzeń i fałsz w następstwach; zbieramy więc i przedstawiamy w skróce-

1szy *Krytyk*. Każda melodia bez celu, jest mi wstrętem. Gdyby wreszcie piosnka pasterska obróciła jedno koło młynowe.

2gi *Krytyk*. Przekleństwo igraniom wichru który wewnątrz organów wzrusza, jeśli nie ściera w powiewie przynajmniej jednego ziarna.

3ci *Krytyk*. Przekleństwo dzwonom wieczornym, jeśli nie rozpędzają chmur co grożą dolinom.

4ty *Krytyk*. Przekleństwo postaciom z marmuru, jeśli otwarte ich usta nie sączą mi wody, jeśli ramiona ich nie służą wsparciem budowie.

5ty *Krytyk*. Przekleństwo zwłaszcza niech będzie blaskom księżycy i gwiazd, których bezwładne promienie niezdolne są wyprowadzić najmniejszego kłosa z rośliny.

Dzwony, gwiazdy, księżyc it. p. mają rzeczywiście, jak sztuka, związek z ludzkością, lubo skrytszy przed sądem zmysłów.

niu nasze wypadki. Ta sztuka, która z tyłą odcieniami swych środków, z tyłą gałęzmi postaci, stanęła pomiędzy nami, która materyalnym swym skutkiem ku jedności nas wiedzie, pierwiastkiem swym z nieskończonością nas łączy, ku niej nas zwraca; która słowem przekształca ludzkość, formuje nas i okresy, nie może pośród myśli swojej całości, ukazywać się nam jako przedmiot bezcelny. Jeślibyśmy kiedy rzecz mogli, iż sztuki piękne wszelkiego celu są próżne, to tylko gdybyśmy się usiłowali równie ścieśnić w spoglądaniu na całość ich, jako niekiedy sam sztukmistrz, patrząc na *chwilę*. Teoretyk winien tu stawać się obszerniejszy myślą niż praktyk, którego tytułem żywotności będzie sam czyn. Cel użytku może niewchodzić do ideału; to niewejście, jak już raz uważaliśmy, nie pozbawi go jednak bytu. Nie myślto mistrza ziemskiego patrzy przez dzieło sztuki, lecz wiekuista. Cel i wpływ dzieła sztuki, tak niezależnemi być mogą od myśli poprzedniej ich twórcy, jak np. następstwa wielkich czynów wojennych od myśli poprzedniej wodza. Twórca sztuki, jak wszelki inny na ziemi, może znać tylko cel *bodźców*. Dzieło sztuki, wśród swęj idei co do punktu związku ze światem, jest jak ów kwiat na roślinie. Celem kwiatu zdają się nam być jego warunki szczególne, jako: barwy, woni, wdzięczności i t. p. lecz rzeczywistym celem jego wśród swęj rośliny, jest wydać owoc. Albo powiemy iż nic nie ma celu w naturze, lub ma go wszystko. Mówiący dziś o celu sztuk pięknych, pośród teoryi winienby, zdaniem naszym, czynić już tylko pytanie: w jaki sposób osiąga go sztuka? i jaki ma mieć? nie zaś wprowadzać pomysł jego bytu al-

bo niebytu, i nagromadzać siły na jego wyparcie.

Celem naszych rozwić moralnych, jest bieg ku prawdzie, bieg przez drogi dodatnie oraz ujemne. Celem sztuki, jest główna czynność w tych drogach. Celem krytyki jest skłanianie jej ku dodatniej. Jeśli zatem teorye p. Kremera o sztuce, nie założyły sobie tego celu, tego znaczenia; znaczenie to ich nie może się więc nazwać dodatniem. Nie zaprzeczamy tu iżby sama dusza pisma p. Kremera dodatnich szczegółów nie mieściła; znajdujemy je owszem mnogie, ale przygodnie; sam zaś grunt spoglądania autora na znaczenie sztuk p. nie jest dodatnim. Przyczyna dla której autor, mimo uwielbianie przygodnie istoty i znaczenia sztuk pięknych, zaprzecza im tego znaczenia, jest, widzimy, trzymanie się w krytyce szkoły wprost idealnej. Przyczyna zaś, iż autor mimo zamiłowanie przedmiotu, trzyma się tej, antymiłosnej dla sztuk pięknych, krytyki, jest brak uczucia dzieł sztuki. Autor myli się jeśli sądzi, że z upodobania w dziełach sztuk pięknych zasady ich filozofii rozwijał. Autor zamiłowanym jest w pierwiastku wszech rzeczy, widzi ich harmonią, wszechwiązek, wagę sfery sztuki w tym związku, i dlatego swe upodobanie i myśli o całości natury, wyłożył w formie listów o sztuce. Cel autora, mogliśmy właśnie przyrównać do tego celu sztuk p. o którym mówiliśmy. Przyczyna istotna, dla której autor napisał swą książkę, uczynił to co uczynił, była zewnątrz praktycznej woli autora.

Po tych kilku, lubo zapewne krótkich (bo krótkość za jeden z głównych warunków sądu czyli krytyki

wszelkiej poczytujemy) ale bliższych uwagach co do każdej z trzech stron pisma p. Kremera, zdaje się nam iż mamy już przed sobą wyobrażenie jasne o tém piśmie.

Listy z Krakowa p. Kremera, przyszły do nas z cechami istotnego postępu, tak w swęj stronie duchowej jak i zewnętrznej. Listy te w źródle swoim są wypływem z ostatniej, śród moralnych rozwić myślenia, fazy, i mimo nieoderwanie się (przynajmniej wyznaniem) od tój fazy, w wielu szczegółach epokę przejścia odznaczyły; przygodne rzuty myśli o znaczeniu sztuk pięknych, każą nam zapominać tu nieraz łodmienność zasad autora; a owe, błąkające się jeszcze lub silnie władające w okresie owym: i wiara w *bezszyk* i *szkolność*, i *cześć chwili* i *próżnomowność*, tu już w rzetelnem gaśnieniu ich postrzegamy. Listy z Krakowa są i pozostaną zapewne w literaturze naszej jako naczelne w przedmiocie sztuki, a w sferze jój oderwanej teoryi. Nie znamy dziś owszem nad jedną lub dwie literatur, któreby się równem piórem jak jest autora Listów z Krakowa, pochłubić mogły.

Tomy następne *Listów*, według przyrzeczenia autora, mają objąć szczególne gałęzie i stósowania. Pragnęlibyśmy jak najrychlej ujrzeć uskutecznienie tych obietnic. Myśl autora schodząc na grunt stósowania w bliższem obcowaniu z przedmiotem, przejmie się też bliżej zapewne uczuciem sztuki: przejmie się, chcieliśmy rzec, nietylko uczuciem sztuki, lecz też i jój dzieł w ich odcieniach.



ROZMAITOŚCI.

Zabytki starożytności na ziemi naszej.

Biblioteka Warszawska w numerze czerwcowym r. b. zamieściła zdanie sprawy z dziełka hr. Eustachego Tyszkiewicza: „Rzut oka na źródła (sic) archeologii krajowej, czyli opisanie zabytków niektórych starożytności, odkrytych w zachodnich guberniach cesarstwa Rossyjskiego... Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego 1842 w 4ce“. Celem pracy tej jest zalecenie prawie dotąd nietkniętych dochodzeń, o najdawniejszych mieszkańcach części kuli ziemskiej przez nas obecnie zasiedlonej, z dochowanych na niej lub w jej łonie zabytków, po owych w pomroce już tylko wieków okazujących się starożytnych pokoleniach. Jakkolwiek, w tak zajmującym przedmiocie, żałować należy zbytnią pisarza w wykładzie rzeczy treściwość, nie można rozprawy tej zaprzeczyć istotnej wartości: już że objaśnia, jakieto w kraju naszym natrafiać się jeszcze dają zabytki, po jego pierwotnych mieszkańcach; jużto że podaje odrisy i opis wielu ciekawych szczegółów najodleglejszej przeszłości, światłą troskliwością pisarza w jeden zbiór zgromadzonych. Wreszcie ucząc pomniki podobne rozpoznawać, przyczynić się może do onych ochrony i oddania naukowemu użytkowi, gdzieby się dotąd w poniewierce przez niewiadomość znajdowały; jak niemniej do rozważnego z nimi obejścia się, gdzieby trafunek do nowego odkrycia naprowadził.

Nagromadzenie jak największe wiadomości, o znajdujących się dotąd zabytkach na tej części ziemi, po jej pierwsiastkowych mieszkańcach; zbliżenie i porównanie większej ilości odkrywanych po nich rozmaitych pamiątek i sprzętów, doprowadzić mogą jedynie do pewniejszego tak dalekiej przeszłości zbadania. Życzyć przeto należy dla nauki, ażeby rzeczy podobne pilniej śledzone, a wiadomości o nich ogłaszane były. W tymto właśnie zamiarze, hr. Tyszkiewicz wywa posiadaczy jakichkolwiek pamiątek owej odległej staro-

żytności krajowej, ażeby one czy jemu wprost, czy za pośrednictwem pism czasowych, w wiernych przerysach i opisach udzielać chcieli. Czyniąc zadosyć tej odezwie, przesyłam szanownej Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, z własnego zbiorku, rysunek trzech ciekawych podobnych najdalszej przeszłości na ziemi naszej znalezionych pamiątek, w mniemaniu że przykład ten do ważniejszych udzielen innych posiadaczy nakłoni.

Trzy rzeczono sprzęty znalezione zostały w roku jeszcze 1820, we wsi Czartowcu w gub. Lubelskiej, pow. Tomaszowski, niedaleko miasteczka Łaszczowa leżącej, w grozbie starożytnym bez wątpienia przedchrześcijańskim czyli tak zwanym kurhanie, osoby jak się zdaje niewieściej. Sąto bowiem ozdoby do stroju kobiecego należące: dwie niby zausznice i pierścien.



Obie zausznice kształtem i wielkością zupełnie sobie równe, są ze srebra podlego próby piątej; galki tylko środkowe, pięknie wyrobione, są ze srebra czystego. Ozdoby te przypominają szczególnie co do roboty i kształtu, zamieszczoną przez hr. Tyszkiewicza na tablicy Vtej, niemniej wyobrażone na tab. II, pod liczbami 32, 33, 37, lubo te mają być brązowe. Pierścień ma srebro próby dziesiątej; mieści w sobie dość duży turkus, nieszlifowany, działaniem czasu z koloru swego w zielony grynspanowy przemieniony i w części nadpróchniały. Wszystkie trzy te ozdoby są wiekiem zczerniałe, jakby pokostem pociągnięte; zausznice zaś w niektórych miejscach zieloną zaśniedziałością pokryte. O miejscu samem gdzieby te starożytności odgrzebane zostały, nie mogłem powziąć dokładnej wiadomości. Byłto grób, czyli jak się zdaje, pogański osoby żeńskiej kurhan. Miejscowi ludzie przypisywali go, nie już jak gdzieindziej Szwedom, lecz Aryanom. Czyli tam więcej podobnych grobów było i jakiego kształtu, i czyli więcej zabytków w nich znalaziono; czyli były tam szczątki jakie samego zmarłego, dowiedzieć się nie mogłem. Rysunek dołączony zdjęty jest w wielkości naturalnej, i ze ścisłą dokładnością, co przy podobnych opisach nigdy dosyć zalecone być nie może.

Ed. hr. Rastawiecki.

Mości Redaktorze!

Kiedy *wielki krytyk*, pan Michał, listy swoje drukiem ogłosić raczył, i kiedy czyniący nakład umiarkowaną cenę 22 złp. za dwa toniki oznaczyć i nam te książeczki do Warszawy przysłać był łaskaw, posłyszałem u nas wiele złośliwej o tém mowy, a byli i tacy którzy w przepelnionej niesprawiedliwości ogłaszania *własnych* listów, mieszczących *dorywkowe widzi mi się*, zarozumiałością nazwali. Co do mnie, który w tych listach, obok wyraźnej dla Thiersa niełaski,

obok surowej a nielitościwej dla wielu autorów nagany, dla siebie miłą pochwałą znalazłem, przyznaj, panie, że nietylko zdań literatów Warszawskich podzielać nie mogę, ale przeciwnie *zmuszony* jestem *wielkiego krytyka* uwielbiać, bo onto moję wartość od razu poznał, ocenił i do nieśmiertelności przekazał. Otóż w uczuciu literackiej wdzięczności, zamierzyłem drukowanie listów o ile będzie można upowszechnić: jakoż, daj Boże doczekać, na jesień wszystkie moje listy zebrawszy, odeślę je pod prasę. Tymczasem dla zrobienia początku, przesyłam ci, panie, do rozmaitości Biblioteki Warszawskiej na miesiąc marzec jeden z listów moich pisanych z Noskowa 1837 r. w czem tę chwilową znajduję dogodność, że obecnie kończąc dawno rozpoczęte dzieło pod tytułem: „Jak szlacheckie dzieci chować należy, ażeby się stały źródłem umartwień dla swoich rodziców, ciężarem dla społeczeństwa a pociechą dla lucypera, czasu do pisania pomniejszych ramotek, rzeczywiście nie mam. Przy tem wszystkim, uprzejmym waszej miłości rozkazom pragnę być zawsze powolnym,

Warszawa 1844 r.

Au. Wi.

LIST PANA AU. WI.

PISANY Z NOSKOWA I KWIETNIA 1837 R.

Nosków 1 kwietnia 1837.

Kochany Władziu!

W ostatnim liście doniosłem ci że J. W. prezesowa z Kozery, na imieninach u hrabiego w Dymnicach publiczny z majorem Ostrolęskim uczyniła zakład, że każdego człowieka, bez wyjątku, pozna z postaci i z rysów twarzy, jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. Wielu z obecnych i ja z nimi, natychmiasteśmy wygranej majorowi winszowali; ale znaleźli się i stronnicy prezesowej. Ostatnim przodkował filozof od ciemnej gwiazdy, sławny odszczepieniec XIX stu-

lecia, baron Barłoguski, ten sam który pracuje nad dziełem „O użyciu wywarów na karm dla ludzi roboczych“ a nawet pan baron oświadczył że do połowy zakładu należy. Po skończonej stypie, major i kilku z młodzieży na noc do mnie pojechali. Długośmy radzili, kogoby obrać z plebejuszów, któryby naszym przeciwnikom nieznany, rolę patrycyusza trafnie odegrał. Aliści szczęśliwie przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniej przeto wytworny światowiec Szczepan***** syn trębacza od fary Poznańskiej, a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy; Szczepanek, z którym do gimnazyum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy zgodzili się na to ażeby pana Szczepana, cichaczem jak najrychlej sprowadzić, Tęże samej nocy odesłałem list na pocztę do Wielko-polski. Przyrzekliśmy sobie milczenie, i nazajutrz każdy do swojej wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nie omieszka. Upłynęło dni dziesięć, a ani Szczepanka ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku mej prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziecińcu, i w tęże chwili wtoczył się do pokoju, szopami okryty, zaśnieżony, atletycznej postawy wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka, z małym tłómaczkiem. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpisałem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli; nie czekając na obiad rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przedewszystkiem oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecny przesąd upokorzyć. O szczegółach naszej wielkiej ostatecznej rady, dowiesz się z czynów które skreślę poniżej; tutaj przytoczę część mojej dodatkowej z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolność nie obawiał.

— Pamiętaj tylko, Szczepanku, gdy przyjedziemy pomiędzy te wrony Egipskie, że winienesz, mówiąc po polsku, używać często składni Francuzkiej, i wyrazy Polskie przeplatać o ile można najwięcej cudzoziemskimi; takie papuzie majacznie różnemi językami, za najwyborniejszą posłuży ci maskę; i nie szczędź tą razą drogiej mowy naszej: kalecz, morduj każdy okres, każde słowo; skalaj każde ust roztwarcie.

Szczepan. To się samo przez się rozumie. Czyli mnie masz za nowicyusza w salonach?

— Nie, nie, ale widzisz, ja wiem o ile ty lubisz mowę rodzimą, o ile nią czarująco władasz.

Szczepan. Jako syn ludu, za prawdę nie wmieszam obcego do Polskiej rozmowy wyrazu, ale gdy będę hrabią Ademarem, oh! *oh! je vous assure que je ne saurai exprimer* moich uczuć inaczéj jak po salonowemu. Alboż ty myślisz że i u nas w Wielko-polsce, tego rodzaju paplotanie, do dziś dnia wtak nazwanej wyższej koteryi najmodniejszem być przestało?... Niestety! francuzczyzna, jak dawniej tak i obecnie, jest u nich jedyną świątynią umysłowości, a dzieła i pisma czasowe wjęzyku Polskim dla średniejszej szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne że szczęśliwie wybrał Szczepanka, i istotnie serce jego dobrze uczuło i pojęło o co nam idzie.

W kilka dni potém, chyża wieść z wioski do wioski, z dworca do dworca, zaziąjanym telegrafem biegła, że do mnie wprost z Madrytu przyjechał Ademar hrabia Firlej; że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod puginałami Włoskich bandytów; że matka Ademara jest księżniczką Hiszpańską, de los Manos Espinada; że Ademar dlatego Madryt opuścił, ponieważ się w nim pokochała królowa, a na związek takowy Kortezy nateraz zezwolić nie chcieli, i t. d. i t. d.

Pani Palecka, dziedziczka Milczącej Wólki, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone, lękając się aby się ktokolwiek z ust innych o tém nie dowiedział, *z pościelą*, na objazd powiatowy wyjechała, i podobno że najlepszą ochwaciła fernalkę, ale też za to przed ostatnim wtorkiem stanęła u prezesowej, do której na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem, przez siostrzeńca pani prezesowej zaproszony byłem.

O godzinie 4tej z południa, w największej paradzie, zajęliśmy przed pałac w Kozerach. Wszystkie dolne szyby a nawet niektóre z górnych, mozajkowane były różnorodnemi twarzyczkami damskimi, w pośród których tu i owdzie najeżone mężczyzn wąsy, komiczną stanowiły sprzeczność. Pod

kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowej, hrabia Szumillo, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozerach i niezmordowany Angielskiej gitary zwolennik, a Francuzkich aryetek zapalony miłośnik.

„Grzeczność łaskawego sąsiada, miłą zawsze dla nas będzie powinnością“ wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszowi (F.....) tak się bardzo nisko uklonił, że o mało równowagi nie stracił.

Prezesowa, spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu, i przyspieszonym kołysaniem starała się piérwój od nas do środka salonu dobieżyć; jakoż, w samym środku miałem zaszczyt wygłosić:

„*Madame! j'ai l'honneur de vous présenter M. le comte F.*“

Wyrazy „*le comte F.*“ wymówilem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując, o zgrozo! i dam! z lekka powstało. Pani prezesowa usunąwszy się półkrocza wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia F. nie ruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzemmem uszanowaniem okolił usta i pięknem narzeczem salonów Paryzkich wyrzekł w języku Francuzkim, głosem umiarkowanym i słodkim.

— Pani! zaszczyt być przedstawionym pani prezesowej, zwiększa się dla mnie familijném uczuciem, bo nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne przodków moich drzewo. Prezesowa słysząc te wyrazy, wymówione w obec *całego* sąsiedztwa, ogłaszające że z F. jest spokrewnioną, łzami radości maleńkie zwilżyła oczy a przymrużając je rozkosznie, drżące zaimprovizowała westchnienie.

— Ach! ileżto razy moi rodzice wspominali..... Co do mnie, ubogą jestem w wyrazy, aby moją radość wysłowić że tak godnego poznaję kuzynka.

— Pani! zaprawdę, ten dzień szczęścia mojego do najtkliwszych pamiątek policzę.

— Jak się miewa mama hrabiego, o której wysokich przymiotach tak wiele słyszałam, którą mieć szczęście poznania dawno jest mojem najgorętszem życzeniem?

— *Merci, mon maman* jest zdrową, zostawiłem ją w *Madrid*.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i Włoskie i Angielskie mieszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechałeś z Madrytu?

— *Quelques jours après* rok nowy.

Całem towarzystwem otoczeni, w małej processyi zbliżyliśmy się do kanapy; Ademara usadzono na wielkim fotelu; panie cisnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabim F, niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słówka. Natomiast Paplecka z Milczącej Wólki, chwytając mnie grzecznie za rękę, odwiodła na stronę i spytała skwapliwie, jak długo hrabia F. w Polsce zabawi? — Zależć to będzie od listów z Madrytu. — Czy matka hrabiego istotnie księżniczka? — Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona. — I pan znasz hrabiego? — Od lat 26ciu małym jeszcze dziećciem. — I pan hrabia znajomi się z panem? — Zaszczyca mnie swoją przyjaźnią; podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— W których krajach? — We wszystkich częściach świata; od Chin do Lizbony, zwiedziliśmy wszystkie miasta i miasteczka, niemal każdy zakątek na którym historia świata swą czarującą położyła pieczęć. — Ja nie wiedziałam że pan tyle podróżowałeś: bardzo przepraszam.

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdym się na Ademara obrócił, spostrzegłem że wszyscy, jak w cudowną tęczę, weń oczy wlepione mieli. Nawiasowo a najgrzeczniej właśnie go ekzaminowała prezesowa co do jego stósunków majątkowych. Hrabia odpowiedział że podróż jego do Polski ten tylko ma cel, aby ośpadek ojczysty rozpocząć proces; co zaś do macierzystego majątku, dodał niedbale, „należy do *les plus brillants en Espagne*.

Półgłos 1szy: *Il est* czarujący! 2gi: Jakie ułożenie! 3ci: Co za edukacya! 4ty: Żałuję że nie przyjechał Ostrołęski. przekonalybyśmy go jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie. 5ty: *Vous avez raison ma petite*; nieco głośniej odpowiedziała prezesowa: mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z F. Półgłos 6ty: Ale on przez matkę daleko wyżej stanął. 7my *Papleska*: Tak, krew Burbonów w nim płynie, Czy on się też ożeni? 8my: O! z pewnością; ale z kim?

— Rozumiem że nie w Polsce. 4. *Naterellement, si riche!* może sobie i za granicą poszukać księżniczki. 5. Kto wie, może jego matka nie bez przyczyny bawi w Madrycie. 6. O jakbyto było chlubnie dla naszego narodu!, gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanii. 7. *Paplecka*. Żeby mu to napomknąć, co też on na to powie?..

— 1. *Mon ange*, niewypada; należy szanować tajemnice polityczne.

Następnie Paplecka zapominając że już roczek czterdziesty jej życia przeminął, ze spuszczeniem na dół oczyma, nieśmiało hrabiemu uczyniła zapytanie, jak znalazł swoje rodaczki; czyli się zgadza z głosem całej Europy że Polki produkują plci pięknej całego świata.

— Mając szczęście konwersować do pani, *je ne blesserai la verité*, kiedy oświadczę, że tych uczuciów z całą Europą zawsze podzielę.

1. Co za grzeczność!... 2. Jakie słodkie wyrażenie! 3. Jaka odpowiedź à propos! 4. Co za usta! 5. Jakie zęby! 6. Co za nos! 7. Co za oczy! 8. Co za włosy!

Barloguski. Cała postać zachwyca i zniewala razem. On jest istnym Apollina Polskiego obrazem. Ale bo też to wszystko pochodzi z wysokiego urodzenia.

Zrazu na ucho wyrzeczone pochwały, niezadługo zamieniły się w głośne uwielbiania, których hrabia F. słuchał bez zarumienienia; niekiedy tylko lekki ukłon świadczył, że był łaskaw przyjmować należną mu cześć.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów tych wszystkich holdów, jakimi z ubliżeniem własnej godności, wszyscy obsypali unniemanego Firleja. Barloguski odzywał się do naszego Szczepana z taką uniżonością, że zdawało się jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podległego się starał. Prezesowa o mało że całego słownika dla wyrazu „*mon cher* kuzynku“ nie zapomniała, a syn trębacza widząc ile ją swoim kuzynostwem uszczęśliwił, co chwila także *mu respectable cousine* powtarzał. Wystaw sobie do jakiego stopnia pomieszało się w głowie Barloguskiemu, że ile razy F. do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał i mimo grzecznych prośb siedzącego, dopóty usiąść nie chciał, dopóki F. wszczętej z nim rozmowy nie ukończył.

Podczas wieczerzy przyjechał Ostrołęski. Prezesowa, przy przyjęciu pocałowania swój rączki, szepnęła mu z cicha. Majorze, *connaissez vous le comte F?* Otóżto z pierwszego wejścia poznasz wysokie urodzenie. *Savez vous*, on jest moim kuzynem, rodzi go Hiszpańska księżniczka de los Manos Espinada.

Major odpowiedział głośno: „pomówimy o tém potem“ Prezesowa się zmieszala, i zwykłą kobiecie przenikliwością z tych kilku wyrazów majora domyślając się reszty, pełnym rozpaczem wzrokiem na mnie rzuciła. Mimo wszelkiej usilności, śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa zbladła, zsiadła, i nagle z zadziwieniem całego towarzystwa, udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął. Papplecka bezzwłocznie wracając od prezesowej, prosiła mnie abym za nią pośpieszył. Wyznaję ci, mój Władziu, że mnie trochę zimno przeszło; wypilem więc dla lepszej odwagi całą szklanekę czerwonego wina, utarłem serwetą usta i udałem się do prezesowej. Prezesowa siedząc na kozetce, mając przed sobą trzy wielkie *flakony* z trzeźwiącemi kordyałami, głosem drżącym i słabym prosiła, abym się do niej przybliżył, i po cichu do ucha spytała: „Panie Auguste, powiedz mi *pod słowem honoru* coto jest za F? czyli mnie tylko zabardzo nie skompromitowałeś?“ To jest, również cicho do ucha odpowiedziałem, Szczepan* syn trębacza od fary Poznańskiej. Prezesowa wrzasła i *na doprawdy* zemdlala. Ile tylko było białogłów, wszystkie wbiegły na krzyk Pappleckiej, mężczyźni powstali od obiadu, zrobiło się wielkie zamieszanie. Korzystając ze szczęśliwej chwili, już się z F. na dziedziniec wymykam, ale mnie w sieni Papplecka za poły schwyciła, prosząc błagalnie: Panie Auguste! przez litość, powiedz mi coś ty szepnął prezesowej?

— Zmiluj się pani, puszczaj mnie; nie mogę; zdradziłbym... tajemnicę stanu.

Ciekawość Pappleckiej nie znalazła granic; klęka i woła: w imię Boga! wyjaw mi ten sekret, bo w twojem ręku zemdleję!

Lękając się nowego wypadku, nachylałam się do ucha Pappleckiej. Pani możesz mnie zgubić! Gdyby moja matka

z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem. Mniemany F. którego pani poznałaś, jest Lucyan Bonaparte. Papelecka skamieniała, ja z F. skoczyliśmy do pojazdu. Wczoraj słyszałem że Barloguski i szambelan, za mniemaną obrazę prezesowej, pojedynkiem się odgrażają. Co się dalej stanie, doniosę; obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski obiadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki i bratnie uściski. Szczerze cię kochający *Au. Wi.*

O wpływie księżycy na atmosferę ziemską.

Powszechnie znany jest wpływ księżycy na ocean ziemski, okazujący się widocznie w peryodycznym podnoszeniu się i opadaniu wód morskich; skutek ten, tak jest zawisłym od położenia i biegu naszego satellita, iż za pomocą rachunku, opartego na teorii biegu księżycy, naprzód oznaczyć można epokę i wielkość podniesienia wód morskich. Jeżeli takie działanie wywiera księżyc na ciała płynne, wątpliwości niema, iż podobnym sposobem, lubo mniej widocznym, wpływa na stałą masę ziemi, na rośliny, krążenie soków w drzewach, wzrost nasion i t. p. co wiadomem jest z doświadczenia naszym gospodarzom i ogrodnikom. Szczególnego rodzaju wpływ wywiera także księżyc na zwierzęta, na stan zdrowia i bieg chorób ludzkich; osoby w pewnych słabościach czują wyraźnie wpływ takowy. Ważną byłoby rzeczą, ażeby naturaliści zebrali wszystkie wypadki doświadczeń, wykazujące wpływ księżycy na królestwo roślinne i zwierzęce, oraz wskazali epoki i położenia naszego satellita względem ziemi. Wypadki takowe mogłyby zczasem naprowadzić na wiele użytecznych wniosków, i wskazać, kiedy te położenia są najkorzystniejsze tak dla wegetacyi roślin, jako też i dla stanu zdrowia ludzi i zwierząt. Że księżyc działa na ocean powietrzny ziemię otaczający, to obserwacye rzeczywiście potwierdzają; jakim jednak prawom podlegają odmiany dostrzegane w atmosferze, tego przy dzisiejszym stanie meteorologii jeszcze oznaczyć nie możemy. Nie wiemy także epoki, w której

można będzie zmiany powietrza naprzód tak przepowiadać, jak zjawiska niebieskie; nie jest jednak rzeczą niepodobną, iżby z wielkiej liczby obserwacyj ścisłych, równocześnie na całej ziemi przez wiele lat robionych, nie można przyjsć do pewnych praw i związków między zmianami atmosfery a działaniem słońca i księżyca na ziemię zachodzących, tym bardziej iż na oceanie i w krajach międzyzwrotnikowych, zmiany powietrza zachowują stałe i wyraźne prawo. Na dowód tego, iż księżyc wpływa na naszą atmosferę, przytoczymy tu niektóre wypadki, które Mädler z dostrzeżeń meteorologicznych otrzymał. W dochodzeniach swoich, wziął on pod uwagę dwa tylko położenia księżyca względem ziemi, to jest największe i najmniejsze jego oddalenie od tej ostatniej, czyli dwa punkta najważniejsze jego drogi, to jest: punkt *przyziemny* (perigeum) i *odziemny* (apogeum), i doszedł: iż księżyc, lubo niewiele, jednak wyraźnie wpływa na temperaturę powietrza. Wpływ ten nie pochodzi od działania bezpośredniego promieni światła księżycowego, ale od przyczyn nam nieznanych. Z dostrzeżeń przez dwadzieścia lat w Gdańsku i przez dziewiętnaście w Berlinie robionych, wypada: iż w epoce gdy księżyc jest najdalej od ziemi, czyli w punkcie odziemnym, temperatura powietrza jest wyższa o trzy dziesiąte stopnia z dostrzeżeń pierwszych, a o pół stopnia z dostrzeżeń drugich, od tej, jaka jest gdy księżyc najbliżej ziemi się znajduje, z czego możnaby zrobić ten wniosek, iż księżyc im bliżej jest ziemi, tym bardziej ją ziębi. Z dostrzeżeń barometrycznych, w kilku miejscach przez wiele lat robionych, wypada: iż barometr wyżej stoi im bardziej księżyc od ziemi jest oddalony. Różnica czyli przewyżka średnia w wysokości barometrycznej, wynosi jedną czwartą linii Paryzkiej względem wysokości odpowiadającej w epoce, gdy księżyc jest najbliżej ziemi.

Co do stanu pogody, także zachodzą różnice. Im bliżej księżyc znajduje się ziemi, tym częściej deszcze i śniegi padają; liczła dni słotnych i śnieżnych w epoce gdy księżyc jest najbliżej ziemi, zawsze przewyższa liczbę takichże dni w epoce, gdy księżyc jest najdalej; tak iż na 114 dniach sło-

tych w pierwszym położeniu księżycā, jest tylko 100 dni słotnych w położeniu drugim.

Położenie księżycy względem równika niebieskiego, jest także w związku ze zmianami atmosfery; uważano bowiem, iż przy jednostajnym stanie powietrza, w epoce w której księżyc przechodzi przez równik, następuje zmiana co do kierunku wiatru, za którą idzie i zmiana stanu nieba: osobliwie też gdy księżyc jest najbliżej ziemi i razem gdy się zbliża do linii łącznej czyli do nowiu (1). Również widoczny wpływ księżycy objawia się w zjawiskach magnetycznych. Doświadczenia z igłą magnesową w kilku miejscach robione, okazują: iż księżyc ma wpływ na igłę magnesową, i to nietylko na jej położenie, ale i na natężenie siły magnetycznej ziemi. *Hansteen* w Chrystyanii, po wielu doświadczeniach doszedł: iż natężenie siły magnetycznej podlega zmianie peryodycznej, zależącej od położenia węzła drogi księżycowej na ekliptyce, czyli, że zachodzi pewny związek między długością węzła wstępującego księżycy a zjawiskami magnetycznymi. *Kupfer* w Petersburgu, z porównania obserwacyj tamże robionych, postrzegł: że w trwaniu oscylacyj igły, zachodzą różnice odpowiadające największej i najmniejszej odległości księżycy od ziemi. Nakoniec *Kreil*, z licznych doświadczeń najprzód w Medyolanie a później w Pradze robionych, doszedł: że księżyc ma wpływ podwójny na igłę magnesową, a ten wpływ zależy od lunacyi i od odległości księżycy od ziemi. Największe natężenie siły magnetycznej w kierunku poziomym, przypada w nowiu i ostatniej kwadrze, najmniejsze w czasie pełni księżycy.

Rozbiór obserwacyj wykonanych w Pradze, doprowadził go nadto do następujących wypadków:

(1) Że księżyc wpływa na atmosferę ziemską, okazali to: *Schüller* w piśmie: *Untersuchungen über den Einfluss des Mondes auf die Veränderungen unserer Atmosphaere. Leipzig 1830*, i *Mädler* w dziele: *der Moond nach seinen kosmischen und individuellen Verhältnissen Berlin 1837* str. 154 — 168 i w roczniku *Schumachera* na r. 1840: *Untersuchungen über den Einfluss des Mondes auf die Witterung*, str. 252 — 261.

- a. Zboczenie igły magnesowej, czyli kąt jaki czyni jej kierunek z linią południową, jest większe, gdy księżyc znajduje się na wschód względem południka.
- b. Gdy księżyc jest blisko przejścia dolnego przez południk, zboczenie igły jest większe niż blisko przejścia górnego; największe zaś w chwili, gdy księżyc przechodzi przez południk pod poziomem.
- c. Zboczenie igły powiększa się, gdy księżyc przechodzi przez południk górny; daleko jednak mniej niż przy dolnym przejściu.

Co do natężenia siły magnetycznej, dostrzegł on różnic następujących:

- a. Natężenie siły magnetycznej większe jest od stanu średniego, gdy księżyc znajduje się na zachód względem południka magnetycznego.
- b. Gdy księżyc jest blisko dolnego południka, natężenie bywa nierównie mocniejszym, niż gdy jest blisko górnego przejścia.

Z czego wypada iż księżyc najmocniej działa na igłę magnesową wtenczas, gdy przechodzi przez południk pod poziomem.

J. Baranowski.

Jarmark w miasteczku.

Dzień ś. Idziego, ważnym był dla mieszkańców miasteczka W^a i jego okolic. Tegoto dnia albowiem odbywał się jarmark, na który ze wszech stron nadciągnęły ładowne wozy, bryczki; z różnych miejsc spędzono konie, wozy, i tłumy różnobarwne wypełniały dość obszerny rynek.

Miasteczko W^a znacznie od innych miast oddalone, w korzystnym znajduje się położeniu co do prowadzenia wewnętrznego handlu; dlatego, chociaż dwanaście razy na rok powtarzają się jarmarki, zawsze bywają bardzo liczne i ożywione. Jako bliski sąsiad, pośpieszyłem i na nadchodzący. Wprawdzie, nie pojechałem tam w celu handlarskim dla zakupienia wstążek lub płócienek, bo żony ani dzieci nie mam; nie miałem na myśli ani produkcji, ani konsumpcyi; udałem się

tam jedynie przez prostą ciekawość, czyli, jak się wyrażał mój sąsiad Kierejsza, aby łowić gapie. Jarmarki po małych miastach, mają dla nas wieśniaków szczególniejszy powab. Dla jednych są źródłem korzyści materialnych, i liczba tych bywa największa; dla drugich, do których ja roszcę sobie prawo należyć, są żywotnym obrazem, na którym jaskrawymi farbami oddany jest jeden z krajobrazów życia naszego ludu. Nieraz patrząc na te zgromadzenia, mimowolnie nawsunęła mi się myśl o jakim Hogarcie, któryby śmiałym pędzlem oddał jaką z tych scen rzetelnie zajmujących; zresztą naco nam Hogartów; dość, niech się znajdzie jaki Stachowicz; ale oprócz talentu, niech ma i serce tak samo lud milujące. Boleję nieraz że nie mam usposobienia do malarstwa, bo czuję że z rozkoszą wstąpiłbym w ślady Krakowskiego malarza. Od młodości życie wiejskie naszego ludu, zajmowało mnie szczególnie. Pamiętam, jak będąc jeszcze bardzo młody (a bawilem wtenczas w domu ś. p. babki mojej) wykradłem się wieczorem ze dworu i biegłem pod okna karczmy, przypatrywać się rzeńskim płasom i słuchać wesółych piosneczek.

Nieraz pan guwerner zabronił za to jeść obiadu, a ciotki lajały po francuzku, mówiąc: „z tego chłopca nigdy nie będzie *salonowy człowiek* (!). I tak minęło kilka lat, dziecię podrosło; ale czem skorupka za młodu nasiąkła, tem i na starość trąci; dlatego wolę i dziś pogadać z chłopkiem niż z woniejącą damą, wolę jechać na dożynki, niż na bal, bo choć mi czasem tęsknota ściśnie serce patrzącemu na upokorzenie najliczniejszej klasy społeczeństwa; przecież miłsza mi ta tęsknota, niż nudy wyższego faktycznego świata.

W takimto filantropijno-abstrakcyjnym usposobieniu, znalazłem się i na owym jarmarku. Z założonemi w tył rękoma przechadzałem się śród gwaru, krzyku, i rozlicznych głosów ludzi i zwierząt. Napróżno w tym chaosie chciałem uchwycić jaką pojedynczą scenę, jaki epizod; naraz, spostrzegam siwą czapę Mazura; dalejże za nim: przepycham się, tłoczę, chcę widzieć jak *ślepy* Mazur po sprzedaniu mysiatego, trafi prosto na litkup do gospody. Ale gdzie tam, rudy Judejczyk zagradza mi drogę i zarzuca tysiącem coraz gwałtowniejszych pytań, potem drugi, trzeci koniec końców, niżeli zdołałem

odegnać uprzykrzoną chałastę, siwa czapa i Mazur znikły, a ja zostałem sam, z rozpaczą i przekleństwem w duszy. Minął kwadrans, a ja przecież szczęśliwym trafem znalazłem moję zgubę. Przed drzwiami głównej miasteczka gospody, stał mój Mazur, ale na twarzy nie było już widać tej zwykłej dumy i dziarskości; jakieś piętno osłupienia, połączone jednak z dobrocią, wyryła litkupowa gorzalka: pani Janowa, żona, ciągnęła za rękę, przed chwilą zuchwałego, mężulka, teraz powolnego jak baranek.

Westchnąłem mimowolnie, i pomyślałem: otóż nowy żywioł niszczący zdrowie i byt materialny naszego ludu, oj! panowie pseudo-filantropy, mniej szermujcie i rozpisujcie się po gazetach, a więcej działajcie dla dobra ogółu, mniej czeź gadaniny lecz więcej czynu, a nie będziecie się uskarżać na demoralizacyą i pijaństwo ludu!

Odwrociłem się za moim Mazurem, i widziałem jak pani Janowa odbierała resztę pieniędzy mężowi, i skrzyła ku tansom, zapewne dla zakupu jakiego perkaliku na świąteczne szaty. Znowu pomyślałem: „mysiaty się rozejdzie; część przepił pan Jan na litkupie, resztę wydrą żonie szachraje żydzi, i nie będzie ani konia, ani pieniędzy.“

Dumanie moje, przerwało przyjacielskie uderzenie po ramieniu, i głos dobrze mi znajomy zawołał:

— Co? i ty tu Michale?

Odwrociłem się i zobaczyłem pana Seweryna, sąsiada i i jednego z moich dobrych znajomych.

— Cóż tu porabiasz?... nie spodziewałem się zastać cię na jarmarku, ty filozofie! Czy masz jaki sprawunek?...

Nie, mój drogi, odrzekłem; przybyłem jedynie przez ciekawość, dla rozerwania jednostajnego życia.

— No, kiedy tak, to pójdz ze mną, mam interes na końskim targu, chciałbym dobrać czwartego szpaka do fornalki.

— A więc służę Ci.

— Idźmy.

To mówiąc, zwróciliśmy kroki w dalszą stronę miasta. Na końcu długiej ulicy, prowadzącej do rynku, znajdował się plac dość obszerny, błotnisty; na nimto zbierali się zwykle wszyscy, mający chęć sprzedawać lub kupować konie.

— Patrzaj Michale, rzekł do mnie Seweryn; czy widzisz tego chłopca w burej sukmanie, co tak czwaja na tym siwku? Dalibóg, szkapa choć mała ale zwięzła; muszę ją zatargować.

Mój towarzysz odszedł w stronę gdzie czwajał kurp w burym sukmanie; a ja zbliżyłem się ku środkowi placu. Przy chudym chłopaku stała grupa złożona z trzech osób: dwóch kumów w siwych kapotach, i rudy żydek, konieczny przypisek przy każdym artykule kupna i sprzedaży. Interes już miał się rozstrzygnąć; szło tylko o parę złotych: uparty jednak nabywca w żaden sposób dołożyć ich nie chciał. Po kilkakroć, szorstkie dłonie uderzały o siebie z góry, na znak zatwierdzenia, i znowu jakieś trudności przerywały ugodę. Kumowie aż się spocili powtarzając w kółko toż samo, a żydek, z oczyma szakala, niecierpliwie oczekiwał końca; miał albowiem przyobiecane faktorne. Onto nareszcie, niemożąc dłużej wytrzymać, wniósł głos pojednawczy:

— Ny! o co tu chodzi? o trzy złote: niech każdy ustąpi połowy i będzie zgoda.

Czy kumom trafiły te słowa do przekonania, nie wiem; jednakże uważałem, że oba na chwilę zamilkli, i na twarzach widać było oznakę przyzwolenia; ale starszy kum Bartłomiej, obrażony do żywego, że dwugodzinne swary zakończył jednem słowem żyd łapserdak, poprawił siwej czapy, wsadził raki (1) za pas, splunął i wykrzyknął w ucho żydowi:

— *Sluchaj ty, zydzie, pana Boga wsechmogącego kocham z całej dusy, z całego serca, Jezusa Chrystusa i Najświętszą Matkę Boską także, a djabła się boję, o okrucenie boję, ale wies co, poganinie, ze wolę mieć jednak z djabłem do cynienia, jak z tobą, pejsaku, psiawiaro, a więc rusaj zkądeś psy-sed, bo ci gnaty połamę.*

Żyd przestraszony groźbą, straciwszy nadzieję faktornego, znikł jak kamfora, a kumowie dobili sami targu i poszli na litkup. W tejże chwili powrócił Seweryn; wsiedliśmy na bryczkę i uśmiewszy się uczciwie z owego targu, wesolo zdążyliśmy ku domowi.t znalazł Buga.

(1) ręce.

O nadużyciach drukarzy, i wadach druku.

Dziwić się należy, że prawie w tym czasie, kiedy liczba piszących u nas nie tak wielka, znacznie się pomnożyła, a czytających zwykłą koleją rzeczy powiększać się zaczęła, kiedy wzrosła fabrykacja książek i handel księgarski się rozszerzył, w tym czasie wkradły się w przedsięwzięcia księgarskie nierzetelność, niedbalstwo i inne nadużycia postrzegać się dające tak w cześnem i śpiesznem dostarczaniu żądającym książek w odległe miejsca, jako też przy samem sporządzaniu książek i przygotowaniu ich do przeznaczonego użycia.

Te usterki handlu księgarskiego, po części były już wytknięte w jednym z pism naszych czasowych, wykazane szkodliwe skutki, jakie dla kształcenia nauk i umiejętności dla społeczności ztąd wypływają. Dodać mi tylko należy, że księgarze prowadzący handel swój takim sposobem, nie pojmują wcale swojego pięknego stanowiska, że się znajdują w bliskiej styczności i jakby w sąsiedztwie z oświeceniem i uobyczajaniem ludzkości, że nie powinni się ograniczać jedynie widokami zysku, lub prostego zarobku, ale powinni swój zawód uszlachetniać rzetelnością, pilnością i poświęceniem się chociażby i z jaką ujmą chwilowego zysku. Księgarz bowiem, prowadzący tylko handel kommissowy czyli spedycyjny, nie posiadający zapasu dzieł prawdziwie pożytecznych, ale ograniczający się na najnowszych dziełach zabawki w wolnych chwilach, na romansach i tuzinkowych wydaniach dzieł pięknej literatury, niewłaściwie nazywa się księgarzem, a swój sklep magazynem, ale raczej siebie kommissantem drugiego księgarza, a swój sklep kantorem nazwałby powinien. Niedbale i nieporządnie prowadzący handel księgarski, równie szkodliwym się pokazuje dla czytelników jak dla samego handlu księgarskiego. Najprzód, dostajemy dzieło w kwartał lub półroku po jego wyjściu później; to dzieło może byłoby w ciągu tego czasu wywołało drugie lepsze od siebie, albo przynajmniej zospokoilo żądanie, ciekawość, lub potrzebę czytających; lecz więcej tu sobie szkodzi, niedbale swój handel prowadzący księgarz. gdyż odstręcza

od siebie znajomych swoich u niego kupujących, nie zachęca publiczności do czytania dzieł nowych, która się dopiero w późnym czasie, z pism peryodycznych w wyciągach o ich treści, dowiadywać musi. Moim zamiarem głównie jest mówić o nadużyciach, jakie się wkradły przy samem sporządzaniu książek, jako środka upowszechniającego wiadomości, nauki i sztuki. Od kilkunastu lat, w którym przeciągu czasu wszystkie sztuki zrobiły znakomite w udoskonaleniu swoim postępy, sztuka drukarska pod wielu względami, wyjąwszy piękniejszy kształt głosek (liter), w tył się cofnęła lub przynajmniej rzadko kiedy wszelkim względom udoskonalenia, do jakiego jest sposobna, zupełnie odpowiada: i to nie przez nieumiejętność lub niewiedzę, ale przez zbyteczną chciwość zysku, przez wszystko szaleńcem swoim ogarniający liczbowy przemysł i fałszywą spekulacją. Rzadko też teraz zobaczyć porządnie wydrukowaną książkę, ażeby posiadała wszystkie zalety, jakich wymagają jej cel, dogodność i korzyść czytających. Wady książek nowo wydawanych, na pozór ozdobnych, od pierwszego rzutu oka dostrzedz można; lecz czytający okropne niedogodności z nich wypływające czując, zapewne lepiej je widzi. Książka mija się z głównym celem i podlega najważniejszej wadzie, jeżeli ma być szkodliwą dla tego zmysłu, przez który jest dostępną duszy naszej; książka bowiem ze zbyt drobnym, ścisłym drukiem, na papierze kolorowym, bibulastym, dla wzroku staje się morderczą i ten najsłabszy zmysł psująca. Zbyteczne nateżanie nerwów ocznych do przeczytania nieczytelnej książki, zmysł ten koniecznie osłabiać musi. Także nateżona uwaga do przeczytania rozdziela się i przeszkadza do zrozumienia rzeczy. Najprzód sądząc drukarze, że to do ich zysku nieodbicie należy, aby druk był jak najściślejszym, składający się z najdrobniejszych głosek, bez interlinij, przy ogłaszaniu dzieła, dla zwiedzenia kupujących, zwykli dodawać: druk ścisły, jednakże czytelny; wiedzą oni bowiem dobrze, że ta druga własność dla kupujących i czytających jest potrzebną, chociaż potem obietnicy rzadko dotrzymują. Format najmilszy dla nich in 12°, 16° lub 32°; ten format użyty początkowo do dzieł powieściowych, przeznaczonych dla zabawy lu-

dzi od zatrudnień wolnych, którzyby te dzieła mogli z sobą brać do kieszeni, udając się na przechadzkę w miejsce odosobnione, góry, lasy, tak zadumane i milczące, jak są oni sami; lecz tymczasem przypadło drukarzom na myśl najważniejsze dzieła, dla ludzi siedzących i pracujących nad stolikiem, którym się o romansach i nie śni, którzy dzieł czytanych nie przebiegają okiem dla rozrywki ale je kilkakrotnie odczytują z uwagą dla nauki, w podobnym kształcie drukować. Nie dosyć na tem, aby pozbawić książkę przez wyrzucenie interlinij, jej istotnego celu: czytelności; potrzeba jeszcze było pozbawić ją i białych brzegów, aby czytający żadnej nie mógł do tego co czyta, zrobić uwagi, chociaż książka ma zastępować rozmawiającego pisarza z czytelnikiem, którzyby tym sposobem mogli do siebie przemówić. Z wielu formatów znaczniejsze są in folio czyli w cały arkusz, in 4to (w ćwiartkę), in 8vo maj. (w ósemce większej), in 8vo min. (w ósemce mniejszej), in 12mo maj. et min. (w dwunastce większej i mniejszej) in 16mo (w szesnastce). Z tych pośredni najdogodniejszy i najpowszechniejszy, będzie in 8vo majori (w ósemce większej) dla dzieł poważnych, naukowych, łączący w sobie dogodności większych i unikający niedogodności mniejszych formatów; wyjątki mogą być tylko w pewnych wypadkach, szczególną własnością dzieła wskazane. Już teraz nie widzimy na szafach owęj równości i kształtności w towarzystwie autorskiem, ale zamiast dorosłych i pełnoletnich w oktawie, widzimy owych karłów in 12mo, 16mo i 32mo. Dziwnie wygląda ta rzesza autorów, podobnie jak w karykaturze nowych pisarzy Francuzkich, jedni zbyt wysocy a cienicy i wysmukli, drudzy zbyt niski, pękaci, tak że trudno z nich zrobić porządną zbiór książkowy.

Trudno dobrać wydania pisarzy w podobnej materji mówiących, a nawet znaleźć wydania w jednakowym kształcie wszystkich dzieł tego samego pisarza. Że drukarze bardzo dobrze wiedzą o dogodności dużego formatu ósemkowego i o jego poszukiwaniu, ztąd się pokazuje że starają się nadawać książkom pozornie większy format, a to udając się do niejakiemu wybiegu w tej mierze. Skutkiem tego, chociaż kupisz dzieło w ósemce dużej, lub w dwunastce, będziesz miał

dawszy oprawić, ósemkę mniejszą lub szesnastkę. Mógłbyś sądzić że oprawiacz zanadto oberznął brzegi i popsuł dzieło; bynajmniej; ci ostatni usługownicy oświaty, zostali jeszcze najrzetelniejszymi w swjej pracy. Winni tu drukarze i wydawcy; ci bowiem chcą udawać książki drukowane w dużym formacie; żeby je łatwiej w świat wyprawić, nadają im napozór większy format, niżeli go właściwie mają; do tego używają tego sposobu że arkusze nierówno składają; to powtórzywszy w ósemce trzy razy, będziesz miał pierwszą kartę dużej formy, drugie albo krótsze, albo węższe; lecz gdy je oprawiacz dla przyprowadzenia do równości oberźnie, zostanie się z ósemki dwunastka, z dwunastki robi się piętnastka. Oboje to złe, tak ścisłego druku, jako też używania niedogodnego lub niewłaściwego formatu, nie u nas się wylęгло, ale przeszło donas, od zachwalonych z rzetelności Niemców, naszych sąsiadów, co wiele piszą i książki po kieszeniach noszą; daczego i nazwa: książka kieszonkowa (Taschenbuch) nowszego jest pochodzenia. U nich też stósunkowo mało dzieł drukowanych, którychby wydania dłuższą mogły sobie obiecywać chwałę, jaką sobie zjednały niegdyś wydania klasyków w Biponce lub Lugdunie Belgickim. Nawet ów sławny *Kotta* w Sztutgardzie, ten zasłużony, i dla pięknych głosek i rzetelności, chwalony księgarz, wydaje teraz dzieła najslawniejszych pisarzy, które pod względem wykonania ustępują dawniejszym u niego wydaniom. Tak Szyller w 12 tomach ze stalowemi rycinami, nie ma tych wszystkich zalet, które miał tenże wydany w 18 tomach w roku 1817. Wydanie niesmiertelnego Gietego, nie odpowiada ani godności takiego męża, ani dogodności czytającej go publiczności; wydanie w 57 lub więcej tomach, i rozwlekle dla swej liczby i nieozdobne; wydanie ozdobne w dwóch tomach może służyć jako pomnik sztuki drukarskiej, gdyby tylko te pomniki były rzadkie, nie zaś dla użytku czytających, daczego też te wydania ozdobne, jednotomowe wkrótce przeszły do antykwarzy. W nowszych czasach zrobił wyjątek od tego, księgarz Berliński w wydaniu filozofii nowej, nie zostawiający pod względem obszerności i poprawności druku, właściwości formatu i piękności papieru, nic do życzenia. Ale każde dzieło (mówię tu o ma-

teryjalnej jego wartości), zaleca się nie tylko swoją pięknnością, użytkiem i ozdobą, ale nadto i swoją trwałością, gdyż i to istotnie do warunków każdej wartości należy. Widzę niektórych drukarzy, którzy się starają o pozór dobrego papieru a nie o jego trwałość, jak to np. Barta w Lipsku, który w późniejszym wydaniu dzieła: *Novum testamentum graece et latine a...* nie tylko użył najściślejszego druku, ale pomimo białości tak słabego papieru, że przy rozcięciu kart papier się rozrywa; zresztą to dzieło inaczey ułożone i na dobrym papierze wydrukowane, przy tych samych środkach i z mało co większym nakładem, mogłoby być trwale, piękne i prawdziwie użyteczne. Z polskich książek, zasługują na szczególną pochwałę po największej części dzieła drukowane w Wilnie u Zawadzkiego, jakoto dzieła Słowackiego, Jana Śniadeckiego; w nowszych czasach niektóre pisma Kraszewskiego: *Historya Wilna, Studya, Ateneum, słownik Bobrowskiego*, wychodzący tam *Obraz literatury Polskiej i t. d.* W Warszawie: *Zbiór pisarzy Polskich* wydania Mostowskiego; książki drukowane u Glügsberga i syna Emanuela, jakoto dzieła *Bogusławskiego, Dziewica z Ahidos*, stary i nowy testament tłumaczenia Brodzińskiego; *Życie Napoleona i marszałków jego, Obraz świata i t. d.* Pod względem artystycznego wykonania, pisma czasowe się poprawiły. W Krakowie *Historya literatury Polskiej*, niektóre książki prawne, a teraz wydanie dzieł Hugona Kollątaja, w Wrocławiu u Korna teraz wydanie dzieł Felińskiego, dawniej tłumaczenie pieśni Horacego z tekstem Lacińskim. Nie mogę tu tego pominąć, że nieodbyt wielu dzieł i niepowodzenie drukarskich przedsięwzięć, często pochodzi z nieczytelności druku i niewłaściwego formatu książki, jaki to los spotkał dzieła klasyczne dwukolumnowe pod tytułem *Panteon*, które u antykwaryuszów na szafach oczekują kupujących. Jak dalece wczesne chronienie wzroku jest ważną rzeczą dla człowieka, jak nieuwaga pod tym względem szkodliwą dla niego, nauczyło szczególniej doświadczenie w Bawaryi, gdzie nauki kończący młodzieńcy wychodzili ze szkół ze zbyt osłabionemi oczami; dlatego nastąpiło rozporządzenie o dobro młodzieży troskliwego króla, aby po szkołach nie stawiać tablicy naprzeciw światła, używać czar-

nego atramentu, białego i dobrego papieru, wyraźnie drukowanych ksiązek. Nakoniec, jeszcze muszę pomówić o jednym nadużyciu, które się w ostatnim zjawilo czasie, aby w miarę powtarzania wydania jakiego dzieła, każde nowsze wydanie pogorszać. Księgarze powinni się z wyższego uważać stanowiska, a nie jak prości rzemieślnicy lub rękodzielnicy, którzy nowe materye starają się w najlepszym wyrabiać gatunku; jako będące w modzie i pokupniejsze, później taniej dostarczają tegoż samego towaru, ale w podlejszym gatunku; sądzą bowiem że tymże sposobem podlejszy towar sprzedając taniej, też same osiągną korzyści, co sprzedając dobry drożej, a nie zważają na to, że dobry towar służący do zaspokojenia prawdziwych potrzeb, zawsze poszukiwany i że dlatego wychodzi z mody, że go w poślednim wyrabiają gatunku, gdy przeciwnie każdy wyrób powinien się doskonalić i przez to samo w użyciu się upowszechniać i utrzymywać. Takie postępowanie jest to samo, co robić fałszywą spekulacją; książki bowiem nie są przedmioty tego rodzaju, aby przez użycie podlegały zupełnemu zniszczeniu; owszem, każdy kupujący, chce jak dobry gospodarz, aby obok użycia, pozostała mu wartość rzeczy kupionej. Płody drukarskie, nie mające wewnętrznej wartości, tak co do zawartych w nich wiadomości, jako też co do materyalnego sporządzenia, nie mogą nigdy na długi pokup i utrzymanie się rachować.

Ferd. Kar. Rutowski.

Osmanida, poemat epiczny Jana Gundulicza, z Illiryyjskiego języka na Włoski metrycznie przetłómaczony przez Marka Antoniego, Widowicza w Dubrowniku (Raguzie) 1838 r. (1)

Wiadomość o Janie Gunduliczu, znakomitym poecie Illiryyjskim wieku XVII, i o poemacie jego *Osmanida*, udzielił

(1) Mając sobie udzielone to tłómaczenie Włoskie *Osmanidy* z bogatej biblioteki hr. Stanisława Grabowskiego generalnego Kontrolera Królestwa, sądziłem że uwag kilka nad poematem, znanym dotychczas tylko z treści podanej przez p. Dubrowskiego, nie będzie bez interesu dla czytelników Biblioteki Warszawskiej.

już czytelnikom Biblioteki Warszawskiej, p. Dubrowski w poszycie listopadowym 1841 r. Tam, obok treści pojedynczych pieśni poematu, i wyjątku z pieśni XI, tłumaczonego na Polski język przez hrabiego Leona Potockiego, przytoczone są oraz zdania krytyków, z których jeden nawet Gundulicza Homerem Illiryjskim nazywa.

Cokolwiek bądź, epopeja Gundulicza spoczywała w rękopiśmie lat ze dwieście, bo do 1826 roku, gdy według powszechnego mniemania, ukończoną została roku 1621. P. Dubrowski, ze względu na śmierć Osmana, która jest zakończeniem poematu, a miała miejsce 24 maja 1622 r. o rok jeden cofa ukończenie Osmanidy. Nam zdaje się koniecznem cofnąć je jeszcze o lat piętnaście, to jest do roku 1637 (na rok przed śmiercią poety), a to z następującej przyczyny.

W pierwszej pieśni Osmanidy jest przypisanie poematu *królowi*, nie książęciu, *Władysławowi* Polskiemu, a ten wstąpił na tron, jak wiadomo, 1632 r. Pieśń ósma zaczyna się od wykrzykników nad pięknnością córki Cesarzów, którą sobie Władysław zaślubił; a tą jest Cecylia Renata, zaręczona w 1637 roku.

Wprawdzie nie unikniemy tu anachronizmu, ponieważ według poety, sam Osman zazdrości Władysławowi takiej małżonki, i ustępuje mu jak w boju tak w miłości (pieśń VIII, strofa 4ta); a Osman piętnaście lat przed zaręczynami Władysława, zginął. Ale to właśnie daje nam powód do zwrócenia uwagi na część historyczną poematu, całkiem dowolnie obrobioną, i nastrzępioną anachronizmami.

Itak, główną rolę grają w Osmanidzie, historyczny więzień książę Korecki, i urojona żona jego Krunostawa bohaterka Wirgiliuszowska, a potem na dworze Zygmunta, jakiś *Borecki*, o którym znajdujemy w przypiskach do pieśni Xtej, że był *hrabią z Górki*, i wojewodą Poznańskim. Potem w wyliczeniu sławniejszych wodzów Polskich w bitwie Chocimskiej, zamiast *Lubomirskiego*, *Sieniawskiego*, *Żórawińskiego*, *Sobieskiego*, *Czartoryskiego*, *Zawiszy*, pod dowództwem hetmana Chodkiewicza, o których w spomina Krasicki w *Wojnie Chocimskiej*; u Gundulicza mamy pod Karolem *Kodjecich*, *Despota di Vilna*, hrabiego *Rodowilschki* (zapewne Radziwilla), *Ste-*

fana Paca, Zienowicza, Wielkiego Zamajskiego (który umarł lat kilkanaście przedtém), nakoniec jakiegoś walecznego *Michala da Segno* (może Sieniawskiego), który pierwszy był zwycięstwa początkiem.

W innym miejscu poematu (w pieśni Xtej) jest opisanie sali zamkowej w Warszawie, ozdobionej portretami królów Polskich, których poeta, od Lecha począwszy, według Długoszowskich i Kromerowskich podań wylicza, opuszczając jednak niektórych wspomnienia godnych, jako Bolesława Szczędrego czyli Śmiałego, i Władysława Łokietka. Kończy na Stefanie Batorym, którego pod niebiosa wynosić można było, przemawiając do Władysława IV. Zygmunt IV bowiem nie radby tę strofę czytał:

Di brando armata la man destra, e fiero
Nell' aspetto tuttor, e minacciante
Di Stefana Battôr in atto altiero
Si mostra il simulacro alto, gigante;
Dei simulacri ei sol chiude il sentiero
Quasi dir voglia; in van guardo piu inante
Mesto cercar in altro Re vorrebbe
Che Stefano Battôr in sè non ebbe.

(Canto decimo.)

„Darmo wzrok przenikliwy chciałby w innym królu takiej cnoty szukać, którejby Batory nie miał!”

Ponieważ wspomnieliśmy o *Wojnie Chocimskiej* Krasickiego, musimy jeszcze dodać i tę uwagę, że mało bardzo styczności ma ten poemat z *Osmanidą*. *Osmanida*, która pod względem sztuki daleko wyżej stoi, jako utwór społeczny, mogłaby mieć dla nas wielką wagę, gdyby szczegóły o Polsce i o bitwie Chocimskiej (epizodzie poematu którego treścią są wypadki życia Osmana), były z podań wiarogodnych czerpane. Osman jednak, dumny, popędliwy, zabobonny, równie dobrze w poemacie Gundulicza, jak na wstępie poematu Krasickiego oddany. W obudwu poematach złe duchy i moc czarnoksiężka w obozie Tureckim, wielką rolę grają.

Zawsze więc zjawienie się tak długo ukrytej w rękopiśmie epepei pobratymczego z nami narodu, powinno obudzić w nas ciekawość i zamilowanie, a może i chęć przela-

nia na język Polski licznych piękności, które wywołały przed lat kilka tlómaezenie Włoskie Osmanidy.

Alexander Przedziecki.

Kassa wiejska.

W chwili kiedy tak wiele piszą o różnych sposobach oczynszowania włościan, nie od rzeczy będzie tu przytoczyć co jeden z donataryuszów w dobrach przez rząd mu nadanych, dla włościan swych uczynił. Jest w nich gospodarzy przeszło 300.

Posiadacz dóbr tych, mocą zeznania przed notataryuszem w formie przez prawo przepisanej, darował gminie swęj w gotowiznie po złp. 60 na gospodarza, z zastrzeżeniem, ażeby kapitał ten, zostający pod kluczem soltysów i radnych, oraz pod nadzorem władzy miejscowej, dopóty między włościan wypożyczanym był, dopóki się na każdego gospodarza po zł. 1800 nie zbierze, co w ciągu lat kilkudziesięciu nastąpi przez składane procenta.

Wtedy dopiero każdy gospodarz opłaci pieniędzmi na niego przypadającemi, grunt posiadany przez niego, i zostanie jego właścicielem.

Od lat blisko 7, jak dar ten nastąpił, kapitał ten był ciągle wypożyczany między włościan tej gminy, częścią w gotowiznie, częścią w zbożu, które na zasobowy magazyn zakupiono. Zwrot kapitału wypożyczonego i procentów, regularnie uiszczal się w dzień imienin właściciela dóbr, i z 18,000 kilkuset zł. już się zł. 30,000 uzbierało.

Włościanie pożyczkami wspierani, przyszli do dobrego stanu tak dalece, że już zboża z magazynu zasobowego nie potrzebują i takowy spieniężywszy, kapitałem gotowym czynią pożyczki włościanom, li tylko rzeczonęj gminy.

Ostatecznie, gdy donator zwiedził swe dobra, włościanie jego przybyli wszyscy ze złożeniem swych dzięków a razem po zasięgnięciu zdania jego, czyli nie byłoby dobrze w razie, jak się już im tyle pieniędzy nabiera, że wszystkich w gminie rozpożyczyć nie będzie można, ażeby oni za nierozdane, listy zastawne kupowali, i w ten sposób procentu nie tracili?

Ta uwaga dowodzi, jak byt polepszony włościan nastęcza im myśli, które bez niego aniby im były przyszły do głowy.

Jestto piękny do naśladowania przykład dla właścicieli dóbr zamożnych. Ale i mniej zamożni mogliby niemało uczynić dla przyszłości swych włościan, jeżeli nie darem w gotowiznie, to przynajmniej zaprowadzeniem w gminach ich kass oszczędności i małych składek rocznych, z których dochód byłby na składane procenta umieszczany i na cel taki zczasem był przeznaczony, jak w dobrach owego donataryusza. Przy dobrych chęciach i wytrwałości, każdy z właścicieli dóbr wieleby mógł uczynić dla swych włościan, ale z boleścią serca wyznać potrzeba, że od lat wielu pisano mnóstwo o sposobie polepszenia ich losu, a mało kto w tym celu co uczynił. Tracić jednak nadziei nie można, że tak zawsze nie pozostanie.

Konst. Wol...

Ślady języka Polskiego w mowie pospółstwa gub.

Archangielskiej w Rossyi.

W Pamiętnikach ojczystych (Oteczestw. Zapiski) piśmie wydawanem w Petersburgu (Nr. 11 z r. 1843 w Rozmaitościach str. 15), zebrano w kształcie słowniczka wyrazy używane przez lud Archangielskiej gubernii, z określeniem ich znaczenia, lub objaśnieniem przez obok położone przykłady. Rzeczą jest szczególną, że niektóre z tych wyrazów są widocznie Polskimi, jak np:

dorodny: rosły, mężny w sobie.

jedna: np. żebyś mi *jeden* przynajmniej dał pieniądz.

toński, przeszloroczny.

loni, w przeszłym roku.

robić, np. terazniejszego roku dosyć *zarobilem*. Przyjąłbym go do służby, ale czy on może to *robić*?

Śledzącemu i porównywającemu, przykładem Pamiętników ojczystych, prowincjonalizmy różnych okolic kraju, czyby nie odkrywały się zachowane w mowie ludu pewne skazówki, godne dziejopisa uwagi, że ten lub ów pierwotny naród do tej lub owej strony ziemi, związki lub wpływy swoje rozciągał? w tej lub owej stronie zatrzymywał się kiedyś?



KRONIKA LITERACKA.

Przygotowania do wiedzy mowy Polskiej, przez Feliksa Jezierskiego. Warszawa 1843.

Niedawno donieśliśmy jeszcze o ukazaniu się pisma w mowie Niemieckiej poświęconego rozbirowi naszej; tom 2, tej zajmującej i znakomitej pracy (*Wortforschungslchre der polnischen Sprache*) już się ukazał; tymczasem i bliżej siebie otrzymujemy podobnej treści badanie. Nie omyliliśmy się sądząc: że obfity skład mowy naszej, skład przybliżający się do utworu rzeźby, i przeto wyraźniej nad inne do dzieł sztuki, dalej też niż gdzieindziej zaprowadzić nas może. Już sama mnogość umysłów poświęconych materyalnym badaniom języka tego i ich wypadków, stanęły nam w części za dowód; raz dotknięte badanie wewnętrzne śpieszniej jeszcze i żywniej, sądzymy, nas poprowadzi. Nauki, jak na to wzmieniamy zawsze, to rozdrobnione kroki człowieka w badaniu tajni natury, swych losów; na drodze tej mowoznawstwo szczególną żywotność zaręcza. Wszelka mowa to nie surowy, to już z cechą pewnej pracowitości ducha, materyał. Jeśli *myśl* ledwo wszczęta, jest w nas jeszcze błędnym zarodem, *przedmiot* oderwaniem zmysłowem, *wyraz* mowy jest już skutkiem pojęcia i wydaniem tego pojęcia. Okoliczność iż różność pokoleń, jedność myśli w różny zewnętrzny sposób wydaje, jest istotną. Okoliczność iż jedność środków, różność pojęć oznacza śród różnych pokoleń (*cir, wir*), jest w sobie istotną. Okoliczność iż ludzkość tych w jednym celu różnych używająca środków w swych pokoleniach, jest jednak jedną i tą samą ludzkością, jest w sobie istotną. Szczegóły te wskazują nam na zamożność wypadków śród drogi, lubo zarazem na *długość*. Jeśli dziś w objawieniach mów ludzkich dostrzegają nasze badania *sprzeczność*, sprzeczność ta być musi

w naturze, nie rzeczy, lecz naszych badań. *Nie ma reguły bez wyjątku*; zdanie to zamienione w przysłowie, jest najlepszą krytyką naszych reguł.

Stan niedawny zasad myślenia, objawiający się pośród nauk przeważnie, stan myślenia oparty na materji i zmysłach, objawiał i w części językoznawczej swą dobę. Kilka praw dojrzanych śród mowy w zewnętrznej jej (materyalnej) stronie, miane były za całość języka, grammatyka za jego zna-
nie. U nas ktoś dobrze rzekł: że raczej słownik i przewodnik domowy niż grammatyka, nazywałby się powinny nauką języka. Grammatyka nie jest, rzeczywiście, przykładem, nawet całej materyalności języka, tym więcej nie wkraczała do sfery przyczyn. Przyczyny to jednak stanowczość śród badań. Rzeczywiste poznanie czyli wiedza języka wszelkiego, musi objąć nietylko całość strony jego zewnętrznej, lecz też całość strony jego wewnętrznej, oraz ich związek. Żaden lud dotąd nie osiągnął rzeczywistej wiedzy swjej mowy. Żywoczność oraz dobitność zjawisk zewnętrznych śród naszej, zaręczają nam może skorsze owoce, liczne jednak prace i dociekania wstępne, muszą je poprzedzić.

Przygotowania do wiedzy języka Polskiego przez p. Feliksa Jezierskiego, które mamy przed sobą, wzięły właśnie za cel jedno z tych zadań w rzeczy języka, badanie jego strony wewnętrznej. W piśmie tém usiłowaniem autora jest: patrzeć i docieczenia swe czynić ze stanowiska *bezwzględnego* myślenia. Autor zamierzył w niem rozważać i wskazać rozumną budowę mowy, którą rozbiera w pierwiastkach, w fenomenologii jej głosów, formach, czasach, rodzajach, liczbach i wszelkich w ogóle głównych szczegółach językowych. Oto jest ogólna treść pisma.

Człowiek odróżnia się swoją wewnętrzną naturą od reszty przyrody, której zadaniem jest mechanicznie tylko jedno doby *przeżywać*; otrzymał on możność silniejszą i aby objawić ją, *tworzy*; „a kiedy, uważa autor, pojęcia nasze o naturze ani zburzyć mogą ani odmienić panującego w niej porządku, potrzeba ją przenieść w posiadłość, *jąć* się jej, a *po* ujęciu *pojąć*, za pomocą zmysłu *widzieć* ją, a przez wzmocnienie widzenia *wiedzieć*, a *po* wiedzeniu *powiedzieć* ją, dalej

przywołać, przyzwać i *nazwać*.“ Mowa jest czynem *twórczości* człowieka; udziela się nam przez środek materji, jest jednak czynem człowieka a nie materji, „jak muzyka nie jest dziełem narzędzia lecz mistrza;“ słowa mowy są wyrażeniem naszego pojęcia, są powtórzeniem świata lecz już z cechą uznania; mowa *reprodukuje* naturę, nie *naśladuje* ją, powtarza ją, lubo oderwanie, bezładnie. Z kilku dźwięków płynie cały świat; i w tym układzie żyje jak naród przez wieki. Języki *samorodne* (przez przymiotnik ten, autor chciał zapewne wyrażać: *bliższe źródła*) t. j. których ziarna same od siebie (?) pochodzą, zasługują tu na główną uwagę; dla tych, rozlew organiczny nie ma ujścia ani granicy. Każdy język przez długoczesny nałóg wyrobił dla siebie pewny a nie inny sposób wygłaszania, i cudzoziemiec nie zdoła przejąć tonu obcego mimo wszelką staranność; autor wyraża tu (słuszne zdziwienie: iż gdy organizacja języka naszego jest silniej wyrobioną i trudniej da się przejąć, są między nami którzy uganiają się za obcą; „za prawdę, nie upatrzynmy w tém, mówi, czcziej i dziecięcej chętki do błahych nowostek, jak raczej nazwijmy to nieuctwem tępych głów, zbyt szczupłych ramion do udźwignienia godności rodowej.“ (1) Autor czyni dalej poró-

(1) Dodać tu można: iż owe dawanie u nas pierwszeństwa (o którym autor wzmienia) mowom obcym pośród krajowej, nietylko z powodów swój lingwistycznej bezzasadności jest raną. Różność dźwięków używanych przez ludzkość dla tłómaczenia jednych i tychże pojęć, może być materiałem dla badań, lecz powtarzanie ich nie jest wyobrażeniem *postępu*. Umiejętność tłómaczenia swych pojęć dźwiękami słów obcych, jest tylko objawieniem *pamięci*, nie rzetelną wyższością moralną. Staranność o dościganie wyższości której podstawą jest czczość, musi dawać przewagę *czczości* wśród ogółu towarzystwa krajowego. Nieużywanie przeciwnie w towarzystwach krajowych innej mowy prócz własnej, otrzymuje w skutku staranność o inne przewagi moralne, i jednató właśnie z przyczyn iż kraje które zachowują ten zwyczaj (jak Francja i Anglia), pierwiej też postąpiły w rzetelnym rozwiciu wewnętrznym. Ta powszechna chęć *odróżniania się* której, źródło spoczywa w uczuciu ułomności naszych i obcych, upowszechniła w krajach stawiających krok pierwszy na drodze cywilizacyi, używanie języków nowych,

wnanie myśli języka i myśli narodu, i przechodzi do pojedynczych szczegółów, do określenia przewodów myśli przy objawieniu się dźwięków i słów. W uwagach o ogólnym składzie wyrazów, wzmieniłem winniśmy, iż autor niejednokrotnie występuje tu przeciw najnowszemu mowoznawcom. Autor np. zakończenie, za przybyt organiczny uważa. Pierwiastek (głoski pierwiastku) przedstawia nam wyobrażenie pojęcia podmiotu rzeczy, zakończenie przenosi to pojęcie ogólne w szczególne, czyli, jest uprzedmiotowaniem w drugim stopniu. Jeżeli sam pierwiastek (mowa) jest *pojęciem podmiotu*, tedy zakończenie (forma) jest *pojęciem przedmiotu*.

W oddziałach: *fenomenologia* i *wiedza głosów*, autor idąc za śladami współczesnych i umiając żywotną korzyść z języka o którym pisze, wyciągać, starał się zbadać i wskazać *wewnętrzne znaczenie* każdego głosu, *przyczynę* i t. p. „Słowiańszczyzna, robi tu między innymi uwagę, a przede wszystkim mowa nasza, stanowi świat zupełnie odmiennych materiałów; jej roślinność i wzrost, są całkiem nowe i nieznanne dla Europy północnej, a przyszłość ich tak rozumnie przewidziana w naturze dobranych żywiołów, że samo rozwijanie się mechaniczne, wydzielenie wszystkich cząstek na oddzielne pokarmy, stworzyć mogą pochod wiekuisty.“ Zasadą utworu brzmień, według autora są *samogłoski*. Pierwogłosem, najwyższą podmiotowością jest *A*; to *A* mieści w sobie i w rozłamaniu nam daje *E*, wchodzi w ruch dalszy przez *I*, *Y* i zamyka się w *Ō*; dnem utrzymującym tę czynność jest *U*. *E* i *O*, mają nadto swe pobocznicze w *Ē* i *Ō*:

jako *najłatwiejszy* ze środków. Osłabnienie i wreszcie zniknięcie środka, jest i byłoby najlepszą wskazówką i miarą rzetelnego wewnętrznego postępu. Przemiana, jaka w tym względzie wśród znakomitszej nawet sfery naszych towarzystw coraz się ogólniej objawia, nader miłą jest dla nas wskazówką i wróżbą. Jeden, przypominamy, salon z wieku zeszłego, w którym przyjęta była mowa ogólna, więcej wpłynął na przyszłość krajową, aniżeli sto innych wśród których brzmiały dźwięki chwytnane ze świata całego. Krok jednak, dodać tu winniśmy, winien być stanowczy: do celów mogą wieść tylko środki, a nie półśrodki.

jako światła nie podobna ująć bez mroku, tak *e* dopiero poza *e* przedowiała czem jest w istocie. A że język nasz przedewszystkiemi narzeczami ryje sobie coraz rozleglejsze koryto dla podobnego rodzaju organizacyi, więc jestto język niespracowanego rozwoju.“ Przejściem samogłosek do spółgłosek są spółgłoski nosowe. Autor oznacza po szczególe pokolenia spółgłosek i przeniesienie się z gienerycyi do drugiej, uważa za postęp żywotności; za objawienie się najwyższego postępu dziejowego; zmianę postępną samogłosek i spółgłosek (*włokę wlecze*). W porównaniu organizacyi dyalektów słowiańskich *Rossyjskiego* i *Polskiego*, autor uważa iż w pierwszym zasadą odmian jest: zmiana samogłosek (więc stałe odcienianie *podmiotu*), w drugim spółgłosek (więc wyrażenie *rozwoju*).

Po rozważeniu znaczenia szczególnych głosów, autor przystępuje do wewnętrznego rozbioru *składów* czyli *wyrazów*. *Imiona* są podmiotem, *czasowniki* przedmiotem. Imię jestto człowiek wcielony ze społeczeństwa i ogółu jego rozwicia; słowo jest już społecznością! (działaniem). Połączenie jest *wskładni*. Objawianie się wiekuistej idei przez przedrodzenie się w mowie, wydaje (według autora) najjawniej jej troistość, (*trzy liczby, trzy czasy, trzy rodzaje, trzy stopnie* i t. p.). „Trzecia osoba, nie jest postacią pierworodną, ale pochodzi od pierwszej i drugiej.“ Zarodem rzeczy, jest *konteczność*, objawieniem się jej, *rzeczywistość*, czynnikiem przyrodnym jest *mus*. Istota, czynnik, zjawisko (myśl, mus, czyn) są w języku jak i gdzieindziej, trzy strony rzeczy. Wyobrażeniem zasady twórczej, jest *je* (autor dowodził tego w *wiedzy głosów*); w pierwiastku tym są nasiona *pojęć, czasu, liczby; je, jem, e, e, m*, jest we wszystkich czasownikach i formach ich. Język nasz w czasie terażniejszym, osadza formę zachowawczą (*je*), w przeszłym twórczą (*l*); czas przyszły który jest wprowadzeniem nas w rzeczywistość, wieczność, oznacza się przez alluzją powrotu do naszego imienia (*przymek*). W ciągu uwag tych, autor zwracając badanie ku tak upowszechnionemu w składzie języka naszego *ś* (*któs, coś, kiedyś, się, też* i t. p.) które musiało mieć kiedyś znaczenie późnij zatracone, mówi: »to *ś* odszukane w języku, dowiedzie

tylkoć powtarzanej jego własności: że na dnie swoim przechowal starannie żywyli przedwieczne.“

Pismo swe kończy autor rozwąą liczb i rodzajów. Wszelkie wyobrażenie *szczególne* nie jest pierwiastkiem, lecz oderwaniem się już od jedności. Wyobrażenie liczby pojedynczej i mnogiej, jest „wcieleniem idei w drugim i trzecim stopniu.“ Oznaczenie rodzajów w języku naszym, najlepiej (według autora) odcienia filozoficzną drogę tego języka. W rodzajach naszych jest *jedność, rozkład* czyli dwoistość, i *powrót* do jedności. Pojęcie rodzaju zjawione w naturze, powtórzyć się musiało i w jej odbiciu, języku. Stworzony pierwotny człowiek, jednością był »ale skoro ta jedność popchnięta koniecznością rozwoju, wpadła na kolej zaprzeczenia siebie, całość odznaczyła się w połowy (*pół, płęć*).« Jako zaś pierworodzaj (niemiec: Urgeschlecht) krył w sobie spoczynkowo nasiona płciowe, nosząc możność objawienia się na tę lub ową stronę, tak rodzaj nijaki chowa napowrót t. j. skrywa w siebie po ruchu wykończone samodziaily rodzajowe. Rodzaj nijaki ma się do pierwotnego, jak *uznanie* do *przeczcucia*. Autor przeciwko zdaniom innych (jak *Beckera* w *Organism der Sprache*) mniema: »iż przyczyna rodzajów w imionach nieżywotnych, jest nie *przygodnią* (t. j. z powodu natury zakończeń) ale wewnętrzną. Rodzaj żeński, jest dalszym rozwojem; duch przeto w swem objawieniu mównym, wyobrażenia pochodne oznaczał rodzajem następnym. Autor okazuje to przykładami w języku naszym, i uważa: iż równy proceder myśli odpowiada procederowi w rozważanem rozwiciu się glosów. Spółgłoska twarda, jest oznaczeniem stałem rodzaju męskiego, miękka żeńskiego, *o, e, ę*, rodzaju nijakiego czyli powrotu i uwieńczenia. Wyjątki z biegiem czasu powstały.“

Zapatrywanie się p. Jezierskiego na język, jest więc, widzimy istotnie stósowaniem do swego zadania: systematu zwanego *bezwzględnym*. Zapatrywanie się to, jak widzimy, jest jednak (jako właśnie sam system) z nazwiska tylko bezwzględnem. Jestto dociekanie językoznawcze, co chwila o bezwarunkowości mówiące, w istocie zaś na przedmiocie, czyli myśli *wewnętrznej*, zatrzymane. Że autor Przygotowań do

wiedzy języka, tak przez całość języka jak wiedzy, część ich tylko wewnętrzną rozumie, sam to niejednokrotnie wyjaśnia. Określając rzeczywiste znaczenie mowy czyli języka, w samym zaczęciu pisma autor mówi: „Mowa w ścisłym rozumieniu *nie ma strony zewnętrznej*, albowiem rozwija się w ludach i myślach« i dalej: »badania nasze *nic nie mają spólnego* z celami stósowanemi, nie zmierzają do ujęcia istniejących nawet materyałów w całości, albo opasania ich myślą jedności grammatycznej.« W pojęciach tych, zdaniem naszym, leży właśnie strona ujemna pisma autora. Dlaczego autor tak sądzi, iż badania, które zamierzył czynić i czyni, *mogą* nic nie mieć spólnego z celami stósowanemi? Autor mówi iż mowa nie ma strony zewnętrznej, bo rozwija się w ludach i myślach; to co rozwija się w ludach i myślach a nie ma strony zewnętrznej, nie jest właśnie mową; zewnętrzność mowy jest przeciwnie poręką i źródłem nadziei wypadków w drodze dociekań.

Badania materyalne języka, nie wystarczającemi są bezwątienia, nawet dla jego potrzeb zewnętrznych. Badania jedynie zewnętrzne, nie doprowadzą nas np. w swęj czystęj drodze, ani do ostatecznego rozstrzygnięcia dźwiękowych wahań się, ani do potworzenia słów nowych pojęciom, do ustalenia form (2) i t. p.

(2) Za dowód stanąć może to mnóstwo *wyrazów i form* logicznie nawet tworzonych i wprowadzanych przez mowoznawców materyalnych, które przecież *nie utrzymują się*. Postawimy tu pierwszy przykład który się nam przypomina. *Adelung, Mendelson, Kant* upowszechnili w języku Niemieckim zakończenie przymiotne *bar*. Na wzór tego, jeden z pisarzy naszych (*Przybylski*) chciał upowszechnić u nas zakończenie *bny*. Łacińskie *laudabilis*, u nas *chwalebny*; jeśli tedy, ten wzgląd który Rzymianin oznaczał przez *ilis* oznaczamy przez *bny*, wszelkie przymiotniki Łacińskie na *bilis* powinniśmy tłómaczyć przez *bny-admissibilis*, mówi ten autor, wino być *przypuszczalny*, *calculabilis obrachubny*, *comparabilis porównalny* i t. p. Tenże autor w tejże rozprawie swęj o pisowni (we wstępie do przekładu Homera i Kwinta Kialabra czyli *klucza staroświatniczego*), usiłował téż wiele innych wprowadzić nowości, żadna z nich próżną nie jest zapewne zasady materyalnej, brak jednak wewnętrznej, staje się tu właśnie źródłem jakowegoś uczucia

Wszakże i badania wprost i wyłącznie wewnętrzne, nie dadzą nam tej korzyści. Za dowód tego moglibyśmy powtórzyć własne słowa autora. Pan Jezierski chcąc wskazać przykładem, iż poznanie wewnętrzne języka wpływa i na wykład jego zewnętrzny, na str. 121 mówi: »Wpływ filozofii (?) na praktyczne ulepszenie języka, nie podlega nawet wątpliwości. I tak, jeżeli np. w pisowni postrzegać się dają pewne miejsca nierozstrzygnione (np. *hyć*, i *hydź*, *iść* i *iśdź*), filozofia rozstrzyga je natychmiast zasadą: iż w języku równoważy się pojęcie z głosem, a zatem oba sposoby mają za sobą: *pojęciowy* (*iśdź*) i *głosowy* (*iść*).« Jakież więc otrzymał wniosek, zapytujący?

Wywód swój w piśmie autor nieraz przenosi (musi przenosić) do sfery praktycznej; część tę jednak uważa za zbytnią, za rodzaj fałszu; całe to przejęcie zatem bywa tylko zale-

sprzeczności. Autor np. chciał iżbyśmy pisali *murarz* zamiast *mułarz*, bo *mułarz* jest ten który mury prowadzi, *grola* nie *rola* bo od *grać*, *sinogarlica* nie zaś *synogarlica* (*sine* gardło). *Idolom bażwan*, a zatem (uczy) wyrazy pochodne będą *bażwić*, *bażwi*, *bażwiciel*, *bażwiżna*, rzecz *ubażwiżna*. *Obojętność* brzmi przeciwnie swemu znaczeniu, t. j. iż *obu* stron się *ima*, i winna się *przezwać* *beźróżniżna*. *Data* ma być *odczasie*, a termin *doczasie*, „pożyczył ktoś od kogoś pieniędzy od pewnego *odczasia* czyli daty, a miał wypłacić na pewnym *doczasie* czyli terminie, uchybił *doczasia*, w *po-czasie* będzie miał pozew od wierzyciela który nie żądał być zaspokojonym w *przedczasie*. Ztąd płyną zrozumiebne wysłowiny. np. *przeczasieć* dług, *przedczasieć* lub *wywezasić* robotę, *poczasić* nadgrode, prawa człowieka są *nieprzezasiebne*, *nieprzedawniebne*.“ Podania te nie były, mówimy, bez zasad; żadne przecież, ile wiemy, nie zostało poparte. Dodajmy z okoliczności, iż niektóre z dowodów tejsze pracowitej skądinąd i obżerniej rozprawy, przypominają nam źródło nie tylko szkoły, lecz w ogóle rozumowań ludzkich ułomności. Autor np. każe pisać *Polszcze* nie *Polsce* „bo mówi, lubię powtarzać moje rymowane przysłowie: *ustużę Polszcze jeśli zamolszczę*“ (uczynię podobną do *Molskich*). Autor dla sławy utworzenia przez siebie jednego przysłowia, pragnął powstrzymać zwyczaj narodowy. To tworzenie zdań i systematów, dla utrzymania jednej jakowejś raz wyrzeczonej swój myśli, jest nam *kluczem* do kraju naukowego nie tylko *staroświatniczego*.

dwo tknięte. Myśl i rozwijanie tej myśli, iż zasady wyrabiania się głosów są *filozoficzne i dziejowe* (czy autor dzieje za filozoficzność uważa? filozofią za nieprzemienność w czasie?) wydają nam, powiadamy, szkołę autora i tłómaczą charakter pisma. Autor, jak jeszcze wielu, spekulacyjne myślenie za filozoficzną całość uważa, i z tych zasad ukształcił swój utwór. Większa część ustaw które nam jako wydobyte z języka przedstawił, są hipotezą (3), przykłady empiryzmem odrębnym.

Mówiąc to, nie zamierzamy wcale uwłaczać zasłudze autora. P. Jezierski pierwszy, rzec można, w języku naszym obszerniej i silniej myśl ku dociekaniom wewnętrznej strony jego skierował; dociekania i pojęcia społeczne o zadaniu i naturze głosów, w piśmie swem odbił; owszem nie jednym je postrzeżeniem nowem i żywotnem wzbogacił. Dociekania autora oparte są na poprzednim wyrobieniu myśli, rozważeniu przedmiotu tak w sobie, jak odniesieniu, na znajomości ostatecznych rozwić w zadaniach. Mowoznastwo w ogóle, a w szczególności nasze, może sobie rzeczywiste wróżyć postępy z prac p. Jezierskiego, i obecne *przygotowania jego do wiedzy mory Polskiej*, liczyć! możemy do głównie celnych przygotowań.

A. T.

(3) Wskażemy chociaż na przykład, jedną. Tematem całości badań autora jest, iż zasadą dźwięków są samogłoski, a źródłem tych ostatnich jest *A*. Ponieważ autor te dociekania wewnętrznych przyczyn i stopniowanie z tych względów, głosów, do mowy naszej przenosi, wyznajmy, iż dotąd widzimy w tém tylko *wskazanie drogi*. *A* jest pierwogłosem, bo przez *a*, mówi autor, objawia się najprzód płacz dziecka. Płacz dziecka, ile słyszeliśmy, objawia się najprzód przez *e*. W jednym starym poemacie Indyjskim objawiający się bohaterowi poematu: *Kryma* (Bóg), nazywa siebie tem wszystkim co jest najprzedniejszego w swoim rodzaju, i mówi między innemi: „pomiędzy samogłoskami ja jestem *A*.“ To wyobrażenie Indyjskie, przeszło przez sam mechanizm do wszystkich abecadeł pochodnych; wszystkie abecadła Europejskie zaczynają od *a*, przynajmniej od postaci (litery) jeżeli nie brzmienia; abecadło np. angielskie zaczyna się rzeczywiście od *e*. Okoliczność ta jednak, wpłynęła głównie zapewne do poczytywania *a* za pierwogłos.



Mapa dróg żelaznych w Europie, skreślona przez Wilhelma Kolberga.

W trzech zeszytach Biblioteki Warszawskiej 1843 r. (za styczeń, luty i marzec) i w zeszytcie z lutego r. b. umieszczony jest ciąg artykułów p. Wilhelma Kolberga, pod tytułem: *drogi żelazne w Europie*. Do tych artykułów dodana w zeszytcie z lutego r. b. skreślona przez tegoż p. Kolberga, mapa dróg żelaznych w Europie. Cała ta praca szanownego autora, szczegółowo zapoznająca czytelnika z tak ważnym przedmiotem, jakim są koleje żelazne, zasługuje na prawdziwą wdzięczność. Lecz w mapie znaleźliśmy niektóre niedokładności i pomyłki; a że przedmiot uważamy za nadto ważny, więc nie możemy ich zamilczeć. Przystąpmy do rzeczy.

1) W wykazie zamieszczonym na mapie, wymienione są między innymi, koleje żelazne od Wrocławia do Ohlau (24 w.), od Głognitz do Neudorf (112 w.), od Kolonii do Bonn (32 w.), od Florencyi do Liworno (85 w.), lecz na samej mapie, Ohlau, Neudorf, Bonn, Liworno nie są oznaczone. Dla większej jasności, położenie tych miast na mapie wypadałoby wskazać.

2) Nie są oznaczone na mapie koleje żelazne od Brukselli do Namur (157 w.) i od Amsterdamu do Haarlem (19 w.) chociaż w Wykazie, o tych kolejach jest wzmianka.

3) Opuszczona jest na mapie, i w Wykazie, odnoga kolei żelaznej od Tweru do Rybińska (w Rosyi), o której jest mowa w artykule autora (luty, 1844), str. 325. 326.

4) Opuszczone są w Wykazie skończone koleje żelazne (oznaczone na mapie). od Wrocławia do Opola, od Medyolanu do Padwy, od Montepplier do Cetto, od Paryża do St. Germain, od Malines (Mecheln), przez Bruksellę, do Mons (1). A więc liczba wiorst kolei żelaznych w Europie, oznaczona w Wykazie (8073), jest mylną.

(1) Koleje angielskie, z mniejszą jeszcze ścisłością są wymienione w Wykazie.—Opuszczona też w Wykazie kolój od Neapolu do Castelamare (ob: luty, 1843, str. 299.)

5) W Wykazie prawie wszystkie koleje *w budowie*, są wymienione i obliczone; zaś koleje *projektowane* opuszczone. Jednakże z liczby kolei w budowie, nie są przytoczone w Wykazie następujące: od Augsburga do Donauwörth, od Karlsruhe do Kehl, od Mons do Valenciennes. Przeciwnie z liczby kolei projektowanych, wspomniane są w Wykazie: od Plauen do Hof (Altenburg, Hof — 68 w.), od Montpellier do Nismes i od Londynu do Dover. Nie ma w tem potrzebnej jednostajności.

6. Niektóre miasta, na mappie nazwane są w jednym języku, w Wykazie zaś w innym. Np. na mappie czytamy Ołomuniec, Norymberga; Padua, Bazylea, Paryż, Bruksella, Antwerpia, Gent; Londyn; w wykazie zaś: Olmütz, Nürnberg, Padwa, Basel, Paris, Bruxelles, Anvers, Gand, London. Niema i w tém jednostajności.

7. Prócz tego, bardzo wiele miast na mappie i w Wykazie, napisane są niejednakowe. Np. Tyrnau i Tirnau, Glognitz i Gloggnitz, Stokerau i Stockerau, Brünn i Brün, Köthen i Koethen, Carlsruh i Karlsruhe, Wenecja i Wenecya, Mediolan i Medyolan, Montpellier i Montpelier, Liverpool i Liverpool. To wypada sprostować, również jak omyłki w niektórych nazwaniach miast: Leibach zamiast Laybach, Donauwerth zam. Donauwörth, Schewerin zm. Schwerin. (2)

Oto nasze krótkie uwagi! Unikamy wszelkiej polemiki i życzymy jedynie, ażeby tak ważny przedmiot jak koleje żelazne, był należycie objaśniony. Z takiego punktu widzenia raczy i p. Kolberg przyjąć nasze spostrzeżenia. Bardzo

(2) O mniej ważnych niedokładnościach krótko wspomnimy. Np. w Wykazie stoi: Brunswik, Hamburg 38 w. (w kierunku?); London, Cambridge 44 w. lecz jeden rzut oka na odległość tych miast pokazuje, że tu musi być pomyłka lub niejasność. W Wykazie także powiedziano Maryport etc: 188 w. Jednakże ani mappa ani Wykaz nie objaśniają co zawierają w sobie te etc. powtórzone jeszcze w kilku miejscach w Wykazie. Droga od Carskiego siola dwa razy obliczona w Wykazie (Petersburg, Moskwa 560 w). Przy powtórznem przejrzaniu [mappy, sam] autor spostrzeże te mniej znaczące uchybienia.

dobrze wiemy, ile trudów wymaga każda pierwsza praca; dlatego prosimy szanownego autora, aby nie poprzestał na teraźniejszym wydaniu swojej mapy dróg żelaznych w Europie, lecz aby skreślił ją na nowo, sprostowawszy podług tych naszych spostrzeżeń, które uzna za słuszne. Przy nowem wydaniu możnaby mieć na względzie jeszcze następane uwagi:

1) Niektóre koleje wskazane na mappie p. Kolberga jako w budowie, dziś już są ukończone. Np. koleje od Paryża do Rouen.

2) Na francuzkich i niemieckich mappach kolei żelaznych w Europie, są wskazane w projektach, a nawet w budowie takie koleje (a jest ich wiele: we Francyi, w Niderlandach, Holsztynie, Meklemburgu i t. d.), które na mappie p. Kolberga wcale nie są oznaczone. To potrzebuje rozpatrzenia.

3) Dodanie *Wykazu* na mappie p. K, wskazującego przy kolejach także liczbę wiorst, jest trafnym pomysłem. Ale życzylibyśmy jeszcze, ażeby p. Kolberg znalazł na téjże mappie trochę miejsca, na którymby przedstawił maleńką (na cali 2 lub 3) mappę kolei żelaznych, oznaczając tylko *najglówniejsze* miasta. Z takiego obrazku, za jednym rzutem oka możnaby obejrzeć całą *sieć* kolei żelaznych w Europie i widzieć najłatwiej, że np. Warszawa łączy się z Tryestem, Hamburg i Berlin z warszawsko-wiedeńską drogą; Ostenda, na brzegu północnego morza, przez Cassel, Drezno, z tą samą drogą; morze Północne lub Bałtyckie z morzem Śródziemnem i t. d. Jednym słowem, taki mały obrazek, niewiele wymagający pracy, byłby bardzo stósownym do *Wykazu*.

Zakończymy, że mappa p. Kolberga, przejrzana i na nowo wydana, mogłaby się stać bardzo pożytecznem dziełkiem zwłaszcza przy teraźniejszych okolicznościach, kiedy żelazne koleje powinny zajmować każdego ukstańconego człowieka.

T. Jewiecki.



*Gołąb pożaru, pismo zbiorowe wydane we Lwowie r.
1843, z godłem:*

Rozległ się pożar, spłonęły dymniki,
Stado gołębi wkoło ognia leci,
Włot nieustanny rwie ich popłoch dziki;
Sąto rodzice, ogień wziął im dzieci.

Gdyby nie cel dobroczynny udzielania pomocy pogorzecom, w jakim wydane zostało, mielibyśmy prawo użalać się na wydawców za zawód. Napróżno bowiem czytelnik szukać w niem będzie jakowego duchowego pokarmu; prócz znanych pieśni Jana Nepomucena Kamińskiego i Maurycego Gosławskiego, czczość niesłychana powiewa na wszystkich kartach. Wydawcy zajmując się zebraniem pieniędzy, odpowiedzieli godnie uczuciom ludzkości, ale z drugiej strony nie uczynili zadość koniecznym warunkom pisma, które w każdym razie tyle tylko ma rzeczywistej wartości, ile wpływa na ukształcenie towarzystwa bądź pod względem estetycznym, bądź czysto naukowym; jeżeli pismo nie odpowiada temu, żadnej nie przynosi korzyści, powiększa jedynie liczbę książek na wieczną niepamięć skazanych.

Po szczególe przebiegając cały ten zbiorek, zobaczymy najprzód, jaka jest treść pierwszej wierszowanej powieści pod tytułem Poeta Waryat: szkoda że waryat, bo widać w ciągu powieści, że to pocziwy człowiek i wcale nieszkodliwy, tylko tę ma wadę: że zwykle jak wszyscy waryaci, opowiadając dzieje własne, wpada zbyt często w absurda i wtedy chcąc być poważnym, zupełnie jest śmiesznym. Otóżto pojęcie charakteru przez autora złudzenie zupełne, zdaje się że waryat mówi. Tak naprzykład, opowiadając o swojej nie szczęśliwej miłości, śpiewa:

Że u nóg kobiety zachwiał się jak listek,
Jakby się opił jej twarzy lubystek,
I padł bez duszy na ziemię omdlony.

W innem miejscu coś podobnego:

Bo książę młody miał pojąć hrabiankę,
Wszystko wypadek zrządził na żętycy,
Chociaż przed rokiem piękną Paryżankę,
Na Palais Royal zaślubił ulicy.

Mógłżeby kto jak waryat w taki sposób opowiadać smutne swego życia wypadki? Oto treść powieści:

Nad brzegiem Dniestru *wisi* ustronie; w tém ustroniu siedzi kobieta, pani Aniela, i mężczyzna, pan Maurycy. Pani Aniela przez dwie karty dziękuje mężowi że ją z suchot wyleczył. W tém miejscu, jako dziwnie piękne, przytaczam 4ry wiersze. Aniela mówi do męża:

Tyś mnie nie słyszał, tyś u stołu końca
Siedział w pochmurze; zebrałam me siły,
I na *raczkach* przypelzłam do ciebie, mój miły,
A łzy się nasze społem połączyły. i t. d.

Pan Maurycy krótko odpowiada: że wyleczenie żony było jego obowiązkiem, i prosi aby mu nie wspominała więcej chwil przesytu *rozpaczy*, że ją ratować musiał, gdyż bez niej byłby nieszczęśliwym uczuć potępieniem, dając jej za przykład młodzieńca, co właśnie z urwiska skały kijem się podpierając schodził. Ten młodzieniec to poeta waryat, co ukochał krasawicę, ale go nie zrozumiała. Z tych wierszy okazuje się, że układa piosneczki.

Ja złota nie mam, ja mam li piosenki,
Piosenki wyśmiane od kochanki, braci.

Jakieżto musiały być piosenki, kiedy je nawet kochanka wyśmiała. Poeta przypomina sobie jedną taką:

Mile pomnę, mile,
Najszcześniejsze chwile.
Kiedy dzieckiem byłem
I w niebo patrzyłem,
Albo za motylem,
Bez celu gonilem.
A ten psotnik pusty
Uczył mnie rozpusty,
Bo z kwiatka na kwiatek
Ulatał niestatek.
W gronie rowienników,
Uczuć powierników i t. d.

Kiedy tak śpiewa swoje nieszczęścia, wtem chmury, błyskawice, burza wzdyma balwany; nareszcie z tych chmur, z tej burzy wypada piorun, pali chatkę Maurycyego i Anieli.

Poeta Waryat ucieka. Tymczasem ową kochankę poety zaślubia jakiś książę; na weselu znajdują się Maurycy z Anielą i nasz poczciwy waryat. Malownicze opisanie zabawy godne jest powtórzenia.

Starsi spełniają starych matron zdrowie;

Pieni się szampan i tokaj strumieniem,

Złociste zdroje przelewa do szklanek;

A żwawa młodzież przy boku kochanek,

Chwacko zawodzi biesiadniczem pieniem.

Poeta wyrzeka, że za marny laur tak wiele cierpieć musi. Ledwie skończył lament, aż wpada waryatka, zdradzona kochanka księcia. Poeta Waryat rzuca się, przyciska ją konwulsyjnie do łona, a poznawszy całą wielkość duszy nieszcześliwej kochanki, unosi ją z sobą na pustynie; książę wydaje rozkazy do chwytania zbiegów. Dniestr szumić poczyna; już blisko pogoń, nie ma ratunku; waryat z waryatką giną w otchłaniach straszliwego żywiołu: zniknęli, Dniestr nad niemi sapi i skowronek wieczorem śpiewa.

Otożto treść pierwszej powieści; niemożna jej posądzać o złe dążności, ale gdyby autor zostawił w całej swojej chwale i nie rozciągał na torturach nierozwagi tak pięknych idei, więcejby im chwały przypadło. Brak spojrzenia w siebie i obliczenia się z własnymi siłami, wystawia na śmieszność dobre nawet chęci.

Z porządku następują dwa urywki z pism Gosławskiego; dlatego zapewne zamieszczone, aby widząc tak nędzne jak powyższe ramoty, tym boleśniej czuć stratę wielkiego wieścza. Wdzięczni jesteśmy za ten przypominek; szkoda że wydawcy samych pieśni gienialnego Kamińskiego i tych odłamków z prac Gosławskiego, bez dołączania niegodnych ramot nie wydali.

Dwaj Zaporozcy, powieść nierymowym wierszem przez Franciszka hrabię Wiesiołowskiego, Michajło Czorba i Jan Konowalski. W tej powieści niebrak na przysięgach, uniesieniach miłosnych kozaka Konowalskiego; jest i zdrada i trucizna. Przy końcu dwanaście ofiar nieszczęśliwej miłości przez truciznę w napoju umiera, a w końcu i księżna, co

ją zadała, także umiera. Wieczne odpoczywanie nieszczęśliwym ofiarom i samej powieści.

Teraz następuje rzadkie zjawisko w literaturze naszej, rzecz wymagająca całej potęgi talentu i głębokiego zbadania serc ludzkich, tragiedya o 4ch aktach pod tytułem Stasio, przez Jmć pana Karola Szajmochę.

W owej tragiedyi, jakiś Stasio kocha się w córce chciwego na pieniądze pólkownika; o skrytej miłości ojciec nie wie, i dopiero na początku sztuki przypadkiem chwytą Stasia co do córki jego przez płot przelazil. Stasio oświadcza się o rękę Klary, i wylicza summy od wujaszka w spadku mu przypadłe; ulagodzony pólkownik, zezwala na wszystko i zostawia kochanków sam na sam. Wychowanica pana pólkownika Łucya, kocha Edmunda straszego intryganta; pan Edmund zostawszy sam na sam ze Stasiem, zakłada się że Klara w przeciągu roku zapomni o Stasiu; przez ten czas Stasio ma odbyć wjazd do Paryża, Berlina i t. d. Zakład staje; Stasio oddała się aby wypróbować nadobną Klarę. W przeciągu roku, Edmund zatarł w rzeczy samej pamięć biednego kochanka. Stasio wraca, a znalazłszy Edmunda mężem Klary, przysięga zemstę. Łucya za zdradzoną miłość także przysięga zemstę. Edmund z żoną i dziećmi, przed tak okrutnymi prześladowcami ucieka w góry Karpackie, ale go wytropili. Zjawia się najprzód Łucya i wyznaje Klarze: że jej przez zemstę dzieci odmieniła, kiedy jeszcze były małe. Po tem wyznaniu, zażywa truciznę i kona w okropnych męczarniach, a Edmund stojąc nad nią, potężnie kiwa głową. Następnie przychodzi Stasio w podartych sukniach i bez bótów. Stasio ma prawo zabić Edmunda, jednakże przez miłość dla Klary przebacz mu i ucieka. Edmund goni za nim, chcąc się dowiedzieć o dzieciach swoich; Stasio powraca, wyzywa na pojedynkę Edmunda. Losem pistolet przypada dla Stasia; strzela; zabija Edmunda; Klara z rozpaczy umiera, a konając wyznaje że tylko Stasia kochała, i poleca mu w opiekę nieszczęśliwe niemowlęta.

Taką jest tragiedya pana Szajmochy. Nie godzi się wdawać w jakikolwiek rozbiór, w powiązanie wypadków, prawdę charakterów, w myśl jaka przewodniczyła autorowi, bo tu

ani prawdy, ani myśli, ani związku, nie ma. Gdyby się przyszło zapytać autora czego chciał? nie wiem czyliby mógł na to odpowiedzieć. Tragedya Szajmochy, jest jednym z utworów w przystępie gorączki poronionych. Gdyby autor jaką inną drogę sobie obrał, możeby talent jego prędzej uznanym został.

Zbiór niektórych poezyj Jana Nepomucena Kamińskiego zajmuje resztę kart pisma; prawie wszystkie znane z dawniejszych czasopismów. Poezye Kamińskiego, tak dokładnie w Przeglądzie naukowym Warszawskim ocenione zostały, że chcąc mówić o nich, musielibyśmy zdanie Przeglądu powtórzyć Gienialny Kamiński unosi serce, głębokością myśli wzbogaca ducha, forma u niego niekiedy zaniedbana, niekiedy brak w obrobieniu, ale zapominamy o tém, widząc prawdziwe skarby ducha poety.

W ogóle więc, zebrawszy rzecz w mianem przed sobą piśmie, odjawszy znane Gosławskiego i Kamińskiego poezye, wszystko co rzeczywiście stanowi pismo pod nazwą Gołąb pożaru, czcze i bez spojrzenia w siebie na świat, Bóg wie poco, wybiegło; z wydanego pisma żadna korzyść duchowa nie wypłynie, i chociaż życzliwi jesteśmy tułaczom, biedny gołąb ktoremu czarna noc zaświeciła, żadnego w sercach naszych ochronienia nie znajdzie.

T. L.



Deutsche Bergbohrer-Schule, oraz Bohrhäuser der Saline Ciechocinek in Polen, von G. H. August Rost.

Pod tym podwojnym napisem, wyszła o wierceniu górniczem, przez Rosta w Toruniu książka u Drechslera w r. 1843, w 8cc, stronnice VIII i 192 zawierająca, z ośmiu tablicami litografowanemi, z których dwie przedstawiają urządzenie wieży nadświdrowej, inne pięć, części świdra i rozmaite jego rodzaje i narzędzia, a wreszcie ósma idealne przecięcie pokładów solonośnych w Polsce, z naznaczeniem głębokości dotąd wykonanych w Królestwie Polskiem otworów świdro-

wych, dla wskazania jak dalece te, według wyobrażeń Rosta, do zamierzonego zbliżają się celu.

Wiadomo iż po wieloletnich poszukiwaniach soli przez Nadradcę górniczego Bekera, w południowej części Królestwa, w dolinie Nidy i Wisły, towarzystwo akcyjne, przez M. Mosera w r. 1835 zawiązane, podobne roboty poruczyło kierunkowi Augusta Rosta. Z tych ostatnich prac, bezskutecznie, jak się w końcu okazało, prowadzonych i dlatego zaniechanych, jedynie ta korzyść dla nauki ziemioznawstwa wypłynęła, iż w tej stronie kraju lepiej następstwo pokładów ziemi rozpoznano, z kąd i właściwy wiek formacyi da się ustanowić.

Następnie miał tenże Rost sposobność, w czasie zawiadywania warzelnią solną Ciechocińską, nad Wisłą niedaleko Torunia, uskutecznienia tamże otworów świdrowych rozpoczętych celem wynalezienia bogatszej solanki jak zwykła, która w przecięciu $3\frac{1}{2}$ procent trzymała. Przedsięwzięcie to pomyślnie się udało, gdyż w r. 1841 w głębokości 480 stóp, otrzymano solankę 4 do $4\frac{1}{2}$ procentową, w r. 1842 w głębi 600 stóp uzyskano ją nawet $5\frac{1}{2}$ trzymającą, otworem zaś doszedł blisko do 1000 stóp głębokości.

Wiedziony własnymi wyobrażeniami o formacyi solnej w Polsce, i naznaczając soli znajdowanie się w utworze białego jura pod pokładem marglu, utrzymywał Rost, iż jedynie zapuszczanie świdra do wielkiej głębokości do pożądanego doprowadzi celu, i że po 2,000 lub 3,000 stopach, sól kamienną natrafić będzie można.

Tym sposobem zadanie Rosta co do szukania soli, zmienia się na wskazanie środków głębokiego wiercenia; ten był zapewne powód napisania przez niego książki o której wiadomość dajemy.

Wyjawiwszy w rozdziale I szym (od str. 5) dążenie swe do prowadzenia jak najgłębiej robót świdrowych, i przytoczywszy dziennik wierceń w Ciehocinku w r. 1841 i 1842 uskuteczionych, opisuje w rozdziale 2 gim (od str. 18) zwyczajne budowy przygotowawcze do tychże robót; głównie tu zastanawia się nad silnem zbudowaniem i podnoszeniem wia-

zania wieży nadświdrowej. W rozdziale 3cim (od str. 27), przechodzi urządzenie do rozpoczęcia wiercenia, opisuje dźwignię do tego służącą, oraz ułatwiające robotę koło zwrotowe i liny potrzebne, niemniej bicie szybu początkowe. W rozdziale 4tym (od str. 66) opisuje właściwy świder górniczy, to jest początnik czyli wierzchni drążek z uchem, przedłużnice, czyli drążki pośrednie, sposoby ich łączenia z sobą, oraz z świdrami, i rodzaje tych ostatnich rozmaite stosownie do potrzeby. Tu wymienia przeto służące do spuszczenia otworu, a odmienne według gruntu i kamieni które przejść należy, dłota, kruszaki, nożyce, widły, świdry rozmaite półokrągłe, stożkowe, okrągłe, dwubierne, zębate; następnie narzędzia do czyszczenia i rozszerzania przewierconego otworu; łyżki, skrobaczki, puszki do czyszczenia boków otworu; dalej narzędzia do obracania świdra potrzebne, to jest: drążki czyli kryki i klucze do rozkręcania, przy wyciąganiu świdra z otworu, przedłużnic i świdrow do wiercenia z sobą spojonych lub zeszlubowanych; wreszcie zastanawia się nad rozmaitemi załamkami lin przy świdrowaniu używanych, zwłaszcza używając sposobu obracania świdra za pomocą lin od Chińczyków przejętego. W rozdziale 5tym (od str. 125) opisuje narzędzia w miejsce świdra zakładające się, a które, w razie wypadku, służą do chwytania i wyciągania w otworze pozostałych odłamanych części świdra, jakimi są: pochwyty, nożyce pochwytnie, widelki, grajcar, hak, mutrownik, wreszcie sposoby kruszenia i rozwiercania złamanej części. Po takim opisaniu części świdra, w rozdziale 6tym (od str. 141) przechodzi do sposobów wzmacniania ścian otworu przewierconego rurami świdrowymi z blachy żelaznej, i sposobów zapuszczania ich oraz ich spajania. W rozdziale 7mym (od str. 160) zastanawia się nad prowadzeniem samychże robót świdrowych, głównie zaś nad usposobieniem robotników i właściwem ich, użyciem, oraz nad rozmaitemi materiałami do robót tych potrzebnymi, ich dobozem i wyrobieniem, celem zepewnienia wytrzymałości żądanej; zakończy zaś przestrogi dla prowadzącego roboty, podając prawidła, jakie zachować należy ostrożności i jak postępować dla skutecznego dojścia do zamierzonego celu. W ostatnim rozdziale 8mym (od str.

189 do 192), w którym w krótkości mówi o przyszłości robót świdrowych, wraca znów do swego zadania, zalecając ile możności jak najgłębsze przy poszukiwaniach wiercenie.

Przemilczani o wyobrażeniach ziemioznawczych, które znów Rost i tu upornie objawia: książka ta uważana jedynie jako dzieło praktyczne o wierceniu górniczym, wykazuje iż Rost!dobrze z tą częścią prac jest obeznany, i dlatego wielkiej ona dla górnika może być użyteczności. Styl tej książki, jak we wszystkich pismach Rosta, jest rozwlekły i zaniedbany; zbywa mu na dydaktycznej jędrności; zbliżony do rozpowiadania w potocznej rzemieślniczej mowie, jest dla górnika zrozumiały. Z powodu praktycznego rzeczyprzedstawienia i wielu użytecznych uwag i spostrzeżeń, życzychy należało, aby książka ta w ręku każdego górnika roboty świdrowe wykonywującego, znajdowała się.

H. Łabęcki.



KRONIKA ZAGRANICZNA

Literatura Serbska.

(Z listu (*))

„Nim zacznę mój przegląd literatury Serbskiej, muszę uprzedzić, że pod jej imieniem rozumiem tu literaturę Serbów Illiryskich (dla odróżnienia od Łużyckich).

U nas Serbów, bardzo mało dzieł wychodzi, zasługujących na szczególną uwagę. Dlaczego nasza literatura postępuje tak powolnym krokiem, pytanie to, ile możliwości rozstrzygnę, wyłożywszy najprzód przyczyny jej niepomysłnego stanu.

1) Wielu z naszych uczonych, tak w Austrii, jak w Serbii, ludzie z pięknym talentem i wysokim kształceniem, po większej części porzucili zawód literacki i poświęcili się służbie cywilnej. Rząd korzysta z ich zdolności, lecz literatura wiele cierpi na tém.

2) Dzisiejsi Serbscy literaci, poświęcają literaturze, tylko czas wolny. Dla tej przyczyny mało dzieł wychodzi. Nie mamy historyków, geografów, naturalistów, leksykonografów i t. d. Wszystkie te rodzaje literatury wymagają ciągłej pracy, ciągłego pokoju, doświadczenia i niczem nie skrupowanego życia. Dla każdego z naszych literatów, piśmiennictwo jest zatrudnieniem ubocznem. Dlatego już nie mówię o dziełach uczonych, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu; nie mamy jeszcze najpotrzebniejszych naukowych, mających szczególny wpływ na kształcenie ludu. Zaczniemy od dzieł dla początkowej nauki. My, szczególniejsz mieszkający w Austrii, nie mamy jeszcze ani elementarza w języku narodowym, ani ka-

(*) Umieszczonego w Serbo-Dylirskim peryodycznym piśmie, p. t. *Koło*, wydawanem przez p. Wrażę w Zagrzebiu. D.

techizmu; nie mamy dzieł moralnych nietylko dla ludu, lecz i dla małych dzieci; nie mamy dzieł dla kobiet, zdolnych je sposobić na dobre matki, małżonki i gospodynie, jeżeli tylko przyznamy, że kobiety na nasze ukształcenie wpływają.

3) Główna przyczyna niepomysłnego stanu literatury Serbskiej jest także ta, że nie mamy języka piśmiennego, a więc zasady prawdziwej oświaty. Lud nigdy nie może ukształcić się bez języka dla niego zrozumiałego, ani doprowadzić do doskonałości własną literaturę. Najwięcej piszemy w narzeczu *Serjenskiem (Syrmijskiem)*, lecz robimy to bez zastanowienia. *Syrmia* jest najmniejszym krajem naszego ludu. Dlaczegoż wszyscy muszą się poddawać mniejszej liczbie? Mamy piękny narodowy język w pieśniach ludu, mamy gruntowną grammatykę *Wuka Stefanowicza*, którą ugruntował w duchu języka ludu. Lecz między naszymi literatami panuje jeszcze przedpotopowe zdanie, że nietrzeba się oddalać od języka kościelno-Słowiańskiego. Już tysiąc lat, jak Serbowie żyją w historii jako naród, a w swojej literaturze nie mają języka piśmiennego! Ale co mówię? nie mają! Owszem mając mieć nie chcą. Jedni pragną, aby pisano w języku starosłowiańskim, inni znowu pomieszanych. Dotąd bardzo mało ukazało się takich, którzy umieją podług prawideł pisać po starosłowiańsku. Większa ich część pisze językiem pomieszanych, a najmniej jest piszących czysto po Serbsku. Inni znowu, którzy nie znają, ani Słowiańskiego, ani Serbskiego języka, a chcieliby coś napisać, używają języka, jakiego nie ma na świecie, nazywając go Słowiano-Serbskim, a więc, podług ich grammatyki *oczyszczonym*. Piszący tak, utrzymują, że oni oczyszczają i poprawiają język, ale to raczej oni go psują i kaleczą. Dlatego też, podług mnie, wypada ich nazywać Serbskimi *Purytanami*.

4) Niemniej ważna przeszkoda dla wzrostu Serbskiej literatury, jest ta, że my jeszcze siedząc na szkolnych ławkach, jak tylko spostrzeżemy w sobie cząstkę wrodzonego talentu, już uważamy się za zdolnych do literatury, a potem bardzo mało troszczymy się o to, aby kształcić wrodzone zdolności. Takim sposobem co dzień przybywa nam nowych

literatów, i to najwięcej wierszopisów. Młodość i bez tego jest poetyczna, a więc nie dziwnego, że my tak ochoczo *śpiewamy*, chociaż śpiew jest takiego rodzaju, iż gdyby jaki zmarły zmartwychwstał, zapewne usłyszawszy go, znowu chciałby wrócić do grobu. Nie znam więc nad dwóch, którzyby zasługiwali na nazwisko poetów. Prawda, wierszopisów mamy aż nadto, lecz śpiewających *sine enthusiasmo, sine omni inventione*.

5) *Pisma peryodyczne*. (*) Prawie cała Serbska literatura składa się teraz z pism peryodycznych. Lecz można zrobić pytanie: czy to przynosi nam korzyść? Odpowiedziałbym, że nie. Zbyt wiele pism, wymaga wiele przedmiotów a więc i wiele współpracowników. Literatów mamy bardzo mało, i to takich, dla których literatura jest rzeczą uboczną. Lecz gdy i oni, ten krótki czas, który im pozostaje dla literatury, poświęcają gazetom i pismom mającym tylko czasowe znaczenie, podług Goethego: „*was glänzt, ist für den Augenblick geboren*“, któż się zajmie taką pracą, któraby zawsze miała wartość?

Lecz może kto pomyśli, iż ja utrzymuję że pisma peryodyczne niepotrzebne są w Serbii. I owszem, są potrzebne, lecz nie korzystne. Potrzebne mówię, dlatego, że są organem ludu, jak język konwersacyjny, organem człowieka; one otwierają drogę, która najłatwiej doprowadza lud do szczęścia. Są niekorzystne, albowiem, jak powiedziałem wyżej, niezgodne są z duchem ludu, t. j. nie zależą od literatury, ani literatura nie zależy od nich. Byłyby korzystne, gdyby się znajdowały w rękach ludzi godnych, i szczególnie znanych w literaturze, którzy już okazali przed światem owoce swej uczoności, i gdyby ci ludzie rozszerzali w języku narodowym pożyteczne wiadomości, ażeby każdy nawet popolity czytelnik, mógł je pojąć i zrozumieć. Inaczej, daremne są i prace i koszta! Dlatego, dopóki będziemy wydawać

(*) Właściwie nie ma ich więcej, jak cztery: *Narodne Nowine*, *Serbski List*, *Serbskie Nowine i Dodatki* do nich; bo liczna reszta, są same gazety.

tylko świstki i gazety, to jest jeżeli cała nasza literatura będzie się składać tylko z nędznego dziennikarstwa, dopóty nie powinniśmy się spodziewać, ażeby nasz naród kiedykolwiek dostąpił oświaty i pomyślności. *Quid verbis opus est? spectemur agendo!*

6) Literaturze Serbskiej zagraża jeszcze krytyka. Zapewne jest pożyteczną ona i potrzebną, ażeby literatura kwitła i postępowała, ponieważ wstrzymuje i ochrania rozum ludzki od błędów i niebezpiecznych ścieżek. Jest ona środkiem do udoskonalenia nauk. Lecz najlepszy środek, mówi *Magaraszewicz*, użyty na złe, bywa niebezpiecznym i szkodliwym. Często pod pozorem zamilowania prawdy, ukrywa się stronnictwo, często ze złości, z zawiści, poniżają zalety człowieka i jego utwory; często same dzieło przeglądają powierzchownie, osobistość zaś autora wystawiają na pośmiewisko przed czytelnikiem: powiększają małe i nieznaczne wady, a coby zasługiwało na pochwałę, o tem zamilezają zupełnie. Tacy są po większej części krytycy Serbscy. Bez wątpienia, krytyk powinien być surowym i bezwzględnym, lecz razem łagodnym i nie zbyt wymagającym, trzymając się prawidła: *parcere personis, dicere de vitiis*. Lecz my się wcale o to nie staramy. Nasza krytyka podobna do burzy: chce wyrwać dopiero wschodzące nasiona.

7) Nakoniec postęp Serbskiej literatury, bardzo wstrzymuje się przez *handel księgarski*. Nie znamy jeszcze ludzi, którzyby się trudnili sprzedażą książek. Prawda, brak ten po części wynagradza nasze ojczyście towarzystwo: *Serbska matka*, którego główny cel stanowi zbogacenie literatury Serbskiej. Lecz towarzystwo to, tak jest słabe, że zaledwie może wydać na rok dwa poszyty pisma: *Latopis*; o dziełach zaś osobno wydanych, nie ma co mówić. I cóż ma robić autor nieposiadający majątku, któregooby mógł użyć na wydanie swoich dzieł?— nic więcej, jak mówi p. Wraz, tylko usunąwszy na bok wstyd, pójść od chaty do chaty i błagać „czyby się nie znalazła jaka dusza, któraby się zlitowała przez wzgląd na Boga,“ t. j. któraby zapłaciła kilka groszy na prenumeratę nowo-wychodzącego dzieła. I któż mu dopomoże? kto mu zapłaci prenumeratę? Ci, którzy nie należą do rzędu ludzi uczonych i

którzy nie mają powołania, aby się trudnili czytaniem książek. Uczeni, dla których po większej części wydają się dzieła, najmniej ich kupują. O tém świadczy każda Serbska książka, w której, w liście prenumeratorów, zaledwie można znaleźć jednego lub dwóch obywateli czyli szlachciców, od 5 do 10 księży i sędziów, adwokatów i professorów; reszta są kupcy lub rzemieślnicy. Takto wspierają literaturę Serbską! Wielu wezwanych a mało wybranych.

Z tego wszystkiego cośmy powiedzieli, pokazuje się dlaczego literatura Serbska znajduje się na tak niskim stopniu i dlaczego tak mało dobrych dzieł wychodzi. Wprawdzie powinniśmy płakać... Lecz kto winien temu?—Po części my sami autorowie i czytelnicy, po części nie od nas zależące przeznaczenie, które odebrało nam środki, tak, że i ci, którzyby chcieli działać na ukształcenie ludu, nie mogą.“

D.



Rzut oka na stan społeczny Hiszpanii, napisał w Paryżu
d. 28 września 1840 r. *Ramon de La Sagra. (*)*

Każdy Hiszpan, który w tej chwili wstąpi na ziemię Francuzką, wystawiony jest na ciągłe udręczenie, którego trudno nie uniknąć, nawet kiedy nie mówi i nie daje wyjaśnień o swojej ojczyźnie. „Ach! biedny kraj... nieszczęśliwy kraj!... Ach! jakże godna politowania Hiszpania!“ Takie jest jednogłośne przyjęcie, jakiego doznają moi spółrodacy, skoro przestąpią granicę Pirenejską. Wszelako zupełna spokojność, z jaką my Hiszpanie słuchamy wszystkich tych

(*) Ten i nauką i rodem znakomity Hiszpan, przebywa od lat kilka w Paryżu, czyniąc tam wszystko cokolwiek, przy spokojnem działaniu, dla sławy ojczyzny swojej uczynić można. P. Ramon de la Sagra ze szczególnem zamiłowaniem poświęca się historii naturalnej; znamy wspaniałe dzieło jego o ptakach Rubi w podróży na tę wyspę przez niego samego zebranych (*Album de aves Cubanas*) wydane w Paryżu r. 1842, fol. przypisane królowej Izabelli II.

lamentacyj na które mniej zważamy jak nasi litościwi sąsiedzi, i opowiadania podróżnych, powinnyby cudzoziemców przywieść na tę myśl że złe nie jest tak wielkie jak je sobie wyobrażają, i że ono nie dolega tak bardzo mieszkańców Półwyspu, jak powszechnie myślą.

Gruntowne roztrząśnienie tych przypuszczeń, mogłoby być treścią obszernego i nader ważnego pod względem politycznym pisma, którego w tej chwili przedsiębrać nie chcę i nie mogę; ograniczę się tutaj tylko na rzuceniu kilku myśli, na podaniu kilku wyjaśnień ekonomicznych, z pomiędzy tych, jakie mi przychodzą na myśl, kiedy słyszę mówiących o mojej ojczyźnie.

Najpierwszym warunkiem dobrego mienia każdego ludu, są środki wyżywienia. Owoż, Hiszpania posiada je w ilości przewyższającej miarę własnych potrzeb: obfite zbiory zboża są rzeczywistym nieszczęściem dla rolników Kastylijskich, którzy potrzebują mnóstwa najemników do zbierania produktu niemającego odbytu: połowa zeszłorocznego zbioru win w prowincjach środkowych, poświęcona bywa na zakupienie beczek potrzebnych na zbiór z roku bieżącego, a druga połowa bywa umyślnie obracana na ocet. Oliwa również dzisiaj jest ciężarem dla właścicieli Andaluzyjskich, a owoce i warzywa, z powodu swojej tanności, dostępne są najniższym klasom społeczeństwa, których pożywienie jest skromne jedynie z nawyknięcia, nie zaś z konieczności. Rolnicy i rzemieślnicy po prowincjach żywiący się mniej wyłącznie pokarmami roślinnymi, jedzą często wołowinę i baraninę, tudzież wyborne ryby poławiane na uprzywilejowanych brzegach. Chleb powszedni trzech czwartych części ludności Hiszpańskiej, znalazłby sobie równy zaledwie na stołach bogatych klas krajów Europejskich. Zresztą, umiarkowanie w żądach czyni dostatecznymi zasoby znajdujące się w kraju, a ponieważ nie ma zbytku, przeto wydatki odpowiednie są zarobkowi wyrobnika i dochodom właściciela. Taki jest ogólny stan Hiszpanii, z małymi bardzo wyjątkami. Wziąwszy pod rozwagę jej położenie geograficzne i topograficzne, łatwo jest połączyć zjednoczenie wszystkich tych korzyści, kiedy pomarań-

cze dojrzewają pod gołym niebem nawet na północy Półwyspu, a indygo, koszenila, palmy, banany i trzcina cukrowa, tak dobrze udają się w prowincjach południowych.

Pośród tych wszystkich warunków dobrego mienia, lud Hiszpański, udarowany szczęśliwym klimatem i silną budową, cierpiał i cierpi jeszcze wszystkie nieszczęsne skutki społeczne przeszłego samowładztwa i wolności dzisiejszej; kontrybucye, kontyngiens wojskowy, wszelkiego rodzaju zdzierstwa, przeszkody w rozwijaniu swojego przemysłu, utrudnienia handlu wewnętrznego, niesprawiedliwości administracyi cywilnej i sądowej, ciągłe zmiany rządzących, nie zaznawszy nigdy mądrego rządu, nakoniec wojnę i anarchią.

Ten obraz nie jest bynajmniej narysowany kolorami zbyt ciemnymi; owszem, najwierniejsza prawda użyłaby daleko czarniejszych; albowiem trudno jest, że nie powiem niepodobna, należeć choć jedemu kraj, któryby w ciągu dziesięciu lat, doznał klęsk większych. „A więc, ktoś może powie, Hiszpanie są bardzo nieszczęśliwi, a kraj w ogólności godny politowania.“ *Bardzo nieszczęśliwi, nie; godni politowania, tak.* Tłómaczę się: nieszczęście, jak wszystkie rzeczy tego świata, jest względne, a zatem miarą jego wielkości, powinna być raczej sprawiona przezeń boleść, nie zaś głębokość rany. Od wielu lat lud Hiszpański przedstawia zewnętrzny widok nędzy, który na szczęście nie jest w równym stosunku z jego rzeczywistym cierpieniem niedostatku. Jego odzież, pomieszkanie i w ogólności obyczaje, ani się ulepszyły ani upięknify z postępami nowoczesnego przemysłu, którego plody z trudnością dostają się do kraju obwarowanego linią nieprzystępnych komór celnych, a który zestarzał się w nawyknięciach starożytnych, a tęp samém trudnych do zmienienia. Pod tym względem, Hiszpan z klasz niższych, może zapewnić że dla niego nie jest żadnem cierpieniem być pozbawionym uciech których nie znał, a których pożądanie nie obudza w nim ani próżność, ani przykład. Gdyby zapytano mieszkańca wiosek Galicyi, Estremadury, Katalonii i Walencyi, czy doznaje ztąd by najmniejszego cierpienia, że się ubiera jak jego naddziady, i

nosi przez dziesięć lub dwanaście lat swoją ślubną suknię, odpowiedziałby zapewne że nie; owszem, on tę suknię podartą i dziurawą nosi z pewną dumą narodową, i zdaje się szydzić ze strojów przyjmowanych przez klasy średnie, więcej naśladowcze jak poważne.

We względzie boleści fizycznej i moralnej, charakter Hiszpański w ogólności, a niektórych prowincyj w szczególności, ma siłę i dzielność trudną do wypowiedzenia. Ten charakter, będący godną uwagi mieszaniną ciemnoty i niebacznosci, siły i rezygnacyi, umiarkowania i dumy, fatalizmu i religii, nie zachwieje się nigdy przed nieszczęściem, którego krés ostateczny *śmierć*, nie ustrasza żadnego Hisz, pana. Badając tro skliwie rozliczne własności tego charakteru oryginalnego i typowego; trudno go sprowadzić do jednej przyczyny, jakkolwiek moglibyśmy wyobrażać ją sobie potężną i wielką, jakąby naprzykład była religia albo nawet fatalizm, któremu posłuszne są ludy muzułmańskie; albowiem jeśli przekonanie religijne górowało w Hiszpanii, i chociaż to uczucie zwykłe i potrzebne zachowało się w obyczajach narodu, potrzeba wyznać że znacznie osłabło w niektórych klassach społeczeństwa.

Zmiana uczucia religijnego w Hiszpanii od kilku lat jest tak wyraźna, że już tam nie słybać o żadnym czynie fanatyzmu, a bardzo mało znajdziesz zabobonów. Pod tym względem, nie masz może wświecie wierzącego ludu, któryby okazywał mniej obłąkania w swoich mniemaniach religijnych. Ta okoliczność może pochodzi z innego uczucia, szerzącego się w klassach społecznych, to jest z *obojętności*. Jednakże zrobia tutaj uwagę, że ta obojętność nie powstała z roztrząsania, ale z zaniedbania i z braku przykładów. Lud w Hiszpanii jest chrześcijański i katolicki, a jednakże okazał się obojętnym i nieczułym patrząc na przesładowanie duchowieństwa i burzenie świątyń; ale ten okres rewolucyi poprzedzony był daleko piérwój okolicznościami różnej natury, które przyczyniły się do zmniejszenia uroczystości czci publicznej, godności duchowieństwa i czci ludu dla wewnętrznego życia religii. Dusza nie przestaje być wierzącą pozbawiając się czci zewnętrznej, jako do-

datkowej, z tą samą rezygnacją, która jęj czyni znośnym niedostatek rzeczy piérwszėj potrzeby do szczęśliwości materialnej.

Duch prowincjonalny, *el provincialismo*, jest drugą cechą społeczności Hiszpańskiej, i wywierá potężny wpływ na bieg życia narodu, rządu i administracyi. To uczucie, pochodzące nietylko z różnaitości topograficznej i klimatologicznej, ale jeszcze z początku i poprzednictw dziejowych ludności, to jest z różnicy plemion, było umocnione w ciągu wielu wieków przez prawodawstwo miejscowe zastosowane do charakteru, i szczególnych względów mieszkańców, a temi ostatnimi czasy przez próbę administracyjnej centralizacyi, którą rząd, nie przewidując następności, chciał uskutecznić na korzyść prowincyj. W tychto wspomnieniach rzeczywistości i w tych bezowocnych doświadczeniach, wzięło początek owo powszechne uczucie emancypacyi prowincjonalnej, wybuchające w Hiszpanii przy każdym wstrząśnieniu, a które zdaje się być wyrażeniem potrzeby racjonalnej, instynktu urodzonego z obyczajów starożytnych. Ta dążność do emancypacyi prowincjonalnej, otrzymała temi ostatnimi laty silne poparcie w uświęceniu pewnych teoryj tymczasowie przyjętych za podstawę społecznej budowy, a mianowicie w teoryi obradowych większości (*majorités*).

Szczególne okoliczności w jakich znajduje się lud Hiszpański, każą się dorozumiewać, że on wszedł lub zaczyna wchodzić, na drogę społecznego postępu którego celu koniec nie są jeszcze wiadome; i to jest co może jeszcze wytłómaczyć obojętność z jaką patrzy na następujące po sobie zmiany, cierpliwość z jaką znosi wszelkiego rodzaju uciski i wzgarda z jaką wykonywa prawa zaręczone sobie przez ustawę. Owoż, ponieważ tylko lud w najwyższym stopniu ciemny, mógłby być rzeczywiście obojętnym na będącą w projekcie reorganizacyą, oczywista że jeśli się nią nie zajmuje troskliwie i dzielnie, to bez wątpienia dlatego, że nie zna jęj dążności i nie przewiduje jęj wypadków.

Ci którzy podróżowali w Hiszpanii, a nawet ci którzy tylko zostawali w stósunkach z niższemi klassami je-

dnęj którejkolwiek prowincyi, musieli postrzegać, że w narodowym charakterze Hiszpańskim znajduje się pewna powaga i ostrożność, które nie są wspólne wszystkim narodom. Za czem idzie że Hiszpan ocenia w jednej chwili korzyści jakieby mu przyniosła społeczna organizacya, lepsza od dawniej jego naddziadów, a pojmuje ich ważność jeszcze lepiej kiedy te korzyści sprowadzają się do faktów materialnych wychowania, robót publicznych, swobód rolniczych i rękodzielnych, gospodarstwa, sprawiedliwości i opieki prawa. Lecz, nie widząc nigdy, aby cokolwiek z tego wszystkiego było wynikiem formy politycznej, lud Hiszpański gardzi jej praktyką i nie ufaj jej dążnościom. W tém lud hiszpański jest logiczny i nie ubliża w niczem sławie swojej ostrożności i powagi. Ztąd możnaby sądzić że lud Hiszpański nie jest jednomyslny w wyrażeniu swojej dążności, albo raczej swojej chęci postępu. Nic wszakże nie jest prawdziwszem, i w tém nie mógł on uchybić istotnemu warunkowi bytu, który równie jest postępowy w indywidualach, jak i w całej ludzkości.

Tę dążność do postępu widzieć można w Hiszpanii w tysiącznych okolicznościach; wyrwała się ona niezatartem piętnem we wszystkich czynach przymuszonych i dobrowolnych, które lud wykonywa. Czynami przymuszonymi są: powolność z jaką poddaje się trudnej usłudze wymaganej od niego pod pozorem dobra publicznego, akuracność w płaceniu podatków i najuciążliwszych kontrybucyj, regularność w dostawianiu kontyngiensus wojskowego, słowem posłuszeństwo wszystkiemu, czego od niego żądają lub co mu nakazują. Wspomnę powtórę o czynach dobrowolnych, dowodzących powszechny pociąg Hiszpańskiego ludu do postępu, pociąg który się wyraża przez zawierające się towarzystwa, zawierane przedsięwzięcia, powstające zakłady i wydawane patenta przemysłowe. Od czasu ukończenia wojny domowej przez układ w Bergara, przemysł rękodzielny szerzy się po wszystkich prowincjach, przemysł metalurgiczny odbywa się z pewnym rodzajem gorączkowego zapału, który znajduje swoje usprawiedliwienie w nadzwyczajnem bogactwie srebra niektórych żył

kopalnych. Rolnictwo nie idzie z takim samym popędem. Przyjdzie i na tę gałąź przemysłu kolej wtedy, kiedy kapitaliści, w których posiadanie przeszły własności kościelne, będą mogli przeznaczyć na użytek rolny dobra, które poświęcają dzisiaj spekulacyom więcej szybkim jak zyskownym.

Na nieszczęście ten wielki ruch wewnętrzny za przemysłem, dowodzący obfitości sił produkcyjnych i koniecznej potrzeby ich użycia, pozbawiony jest kierunku. Niedostatek ten jest wielkiej wagi, tym ważniejszy jeszcze jeśli nań zapatrywać się będziemy z wysokiego stanowiska moralności publicznej, której kierunek nie jest poruczony żadnej władzy konstytucyjnej w rządach konstytucyjnych.

Z tego niedostatku władzy wyższej, któraby kierowała interesami prywatnemi na korzyść interesu publicznego; rodzą się przedsięwzięcia krótkotrwałe i awanturnicze, porody czysto miejscowe, zagrożane zabójczą konkurencją wprowadzanie przymuszone przemysłów cudzoziemskich do kraju przyjmującego je ze wstrętem, wytepia zarody wielkich spekulacyj, których korzyści zakryte są przed umysłem spekulantów, nie posiadających tych sposobów ocenienia, jakie tylko sam rząd mieć może. Mało jest gałęzi przemysłowych, któreby dzisiaj można było zalecać jakimukolwiek narodowi Europejskiemu, bez poprzedniego zgłębienia stanu produkcyi we wszystkich krajach, ważności czynnych targowisk, liczby i zasobów spożywców.

Otóż dlaczego powiedzieliśmy że *lud Hiszpański jest godny politowania*; bo posiada szczególne warunki pomyślności i postępu z których nie można przyzwoicie korzystać; bo dzielność zasobów walczy z przeszkodami złej organizacyi społecznej, której poprawa, teraz przynajmniej, niepodobna.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

1843. WARSZAWA.

235. Opis wierszem świetnej uroczystości i wspaniałego obchodu w Łazienkach Królewskich w czasie bytności Najjaśniejszego Mikołaja I cesarza wszech Rosyji króla Polskiego, z powodu urodzin wnuka jego wielkiego księcia Mikołaja Aleksandrowicza w dniu 11 września 1843 nastąpionych przez Jana Kolakowskiego, in 4to, w drukarni pod firmą J. Kazanowskiego, str. 10.

WILNO.

236. Pan jasnotki, powieść Litewska z podań ludu, przez Januarego Filipowicza. Wilno, drukiem Teofila Glücksberga 1843. 8. str. 96. w drukowanej okładce. Powieść cała wierszem. Prolog. I. Straszna gościa. II. Duchy. III. Dar widma. IV. Wędrowka. V. Rozkosz i przesycenie. VI. Miłość. VII. Pokój i szczęście. Epilog. Objasnienia.

GRUDZIĄDZ I BRODNICA.

237. Jajka wielkanocne, powieść na podarek dla dzieci na wielkanoc. W Grudziądzu i Brodnicy u C. G. Röhe str. 58 w 16ce, cena złp. 2.

(Przy końcu księgarz Röhe umieszcza spis dzieł Polskich treści pobożnej, jakich w jego księgarni w Strasburgu (w Brodnicy) dostać można).

238. Święta droga krzyżowa Jezusa Chrystusa, podzielona na 14 stacyj aż do grobu świętego, z 14 rycinami tych stacyj. Lwów, nakładem F. Pillera i spółki 1843, w 16ce w drukowanej okładce, drukiem i drzeworytem Blazyusza Höfel w Wiedniu.

1844. WARSZAWA.

42. Snopek nadwiślański z płodów piśmiennictwa krajowego, zebrali Marcin Ossoryja (Ciepliński) i Karól B(aliński)

z Jarosławia, z muzyką J. Elsnera i J. F. Dobrzyńskiego: drzeworytami Wincentego Smokowskiego. Warszawa, nakładem wydawców, czcionkami Stanisława Strąbskiego 1844. 12. w drukowanej okładce str. 260. Wydanie ozdobne. Cena na prenumeratę złp. 8, w handlu księgarskim złp. 12.

Pismo to zbiorowe obejmuje prozą powieści: Życie za uśmiech K. Balińskiego. Córka rotmistrza, obraz z pierwszej połowy XVII wieku Fr. Gawareckiego. Wyjątek z niewydanej powieści, Pauliny Kraków. Odwiedziny lekarza, Walentyny Trojanowskiej. Zbylitowscy, wyjątek z historii literatury Polskiej przygotowanej do druku W. A. Maciejowskiego. O pieśniach historycznych. Niewiasty Polskie (wyjątek z dzieła o niewiastach Polskich) K. Wl. Wójcickiego.

Z poezyj podali tu: Karól Baliński, Brzowski Karól, D. Leopold, Dołęga Karól, Głowacki Antoni, Gumowski Juliusz, Jachowicz Stanisław, Kollupajło Wincenty, Malczewski Kornel, Mor Stanisław, Ossoryja Marcin, Paszkowski Józef, Prusiecka Józefa, Soloński Józef, Zieliński Gustaw, Zdżarski Augustyn. Pięć drzeworytów i trzy melodye, zdobią to dzieło.

43. Anegdoty z życia Napoleona, z Niemieckiego A. Robertyna, na język Polski przełożone przez Ernesta Piechaczek z ryciną. Warszawa, w drukarni T. Wyszomierskiego dawniej Piotra Baryckiego 1844. 8. str. 431. w drukowanej okładce. (Jestto drugie wydanie lubo nie wyrażono tego na tytule).

44. Łatwy sposób urządzenia życia Chrześcijańskiego, przez codzienne rozpamiętywanie krótkich przestroż zebranych z dzieł S. Franciszka Salezego i rozdzielonych na wszystkie dni roku. W Warszawie, w drukarni XX Pijarów: 1844 w 16ce str. 155 w klejonej okładce.

45. Biblioteka starożytna pisarzy Polskich, wydał K. Wl. Wójcicki, tom IV. Nakładem S. Orgielbranda księgarza 8. str. 271, w drukowanej okładce.

1. Kronika albo krótkie z kronik rozmaitych zebranie spraw potocznych ziemię zdawna sławnę Pruskiej, przez X. Marcina Muryniusa, z wydania 1582.

2. Wołoskie dzieje niektóre z relacyi pewnych osób 1621. (z współczesnego rękopismu).

3. Prawo bartne bartnikom należące, którzy według niego sprawować się i sądzić mają, jako się niżej opisze, do starostwa Przasnyskiego przez Wielmożnego Jmci pana Krzysztofa Niszczyckiego Przasnyskiego, Ciechanowskiego starostę etc. pana miłościwego postanowione in anno domini 1559. (Sąto przepisy prawne wedle dawnych zwyczajów, dla kurpi Mazowieckich zebrane, których najważniejszą część majątku barcie pszczoł stanowiły).

46. Dwie mowy miane przy uroczystém otwarciu Głównej Kassy Oszczędności w Warszawie dnia 21 grudnia 1843 (2 stycznia 1844) r. poprzedzone krótkim opisem tej uroczystości. Zysk ze sprzedaży niniejszego pisma, przeznaczony jest na składkę w głównej Kassie Oszczędności, na korzyść tego ze służących, jednej lub drugiej płci, z miasta Warszawy, który wykaże, iż najdłużej u jednych państwa wiernie służył. Warszawa, w drukarni Stanisława Strąbskiego 1844. 8. w drukowanej okładce str. 20. Cena złp. 1.

47. Polowanie na kochanków, romans Karola Bernard; tomów dwa. Warszawa, nakładem S. Orgielbranda księgarza 1844. w 12ce, tom 1. str. 124. tom 2. str. 112. w drukowanej okładce.

48. Hewa, romans w dwóch tomach z Francuzkiego Mery. Antonina, powieść z Francuzkiego W. Tenint. tom 1. str. 191, tom 2 str. 259. w 12ce, w drukowanej okładce. Warszawa 1844. nakładem wydawcy.

49. Bolesna męka Zbawiciela świata, wedle rozmyślań A. K. Emmerich. Przekład z Francuzkiego, przez X. T. B. Zgr. Miss. Z godłem:

„Połóż mię jako znamie na sercu twojem, jako znamie na ramieniu twojem.“ (Pie. Sal. VIII. 6.)

Warszawa. Druk XX Missyonarzy u Ś Krzyża, 1844, 8ka, kart napisowych, przedmowy Ułonacza i żywotu Anny Katarzyny Emmerich, str. XCV. Samej książki str. 272, spisu rzeczy i sprostowania pomyłek str. 4. W drukowanej okładce.

50. Człowiek religijny, przedruk z Pamiętnika Religijno-Moralnego tomu VI, zeszyt I, w Warszawie, w drukarni J. Glücksberga 1844, w 12ce, w drukowanej okładce str. 21.

51. Rozalia i Anusia, czyli przeniesienie obowiązku nad miłość, powieść ze zdarzenia prawdziwego, oryginalnie napisana przez Teklę z K. B. Przeznaczone na dochód sal ochrony i szkółki dobroczynności. Warszawa, druk Chmielewskiego, 1844, 12ka, str. 312 i omyłek drukowych kartka I, w drukowanej okładce.

52. Małe tajemnice Warszawy, zeszyty obyczajowe oryginalne, przez K. B. Rusieckiego. Warszawa, Kaczanowskiego druk, 1844, 12ka. Dotąd wyszło tomów dwa: tom I. str. 242; tom II, str. 211. Oba w drukowanych okładkach. W każdym spisu rzeczy str. I.

WILNO.

53. Teka rozmaiłości, wydał X. Hołowiński. Wilno nakład i druk Teofila Glücksberga 1844, z wizerunkiem Dominiki Hołowińskiej (matki autora) 8. str. 411. w drukowanej okładce.

54. Podróż do Prus, Saksonii i Czech, odbyta w roku 1838 — 1839 przez Juliana Moszyńskiego, doktora medycyny, członka cesarskiego Towarzystwa Lekarskiego i Dobroczynności w Wilnie. Nakładem Rubena Rafałowicza księgarza Wileńskiego. Wilno w drukarni M. Romma. 1844. Tom I. str. 290. Tom II. str. 290, 8ka w drukowanej okładce. Cena złp. 13, gr 10.

55. Przewodnik do nieba, wyborniejsze zawierający zdania Ojców Świętych, kościoła i filozofów dawnych, ułożony przez kardynała Jana Bona, tłómaczony z języka Łacińskiego, przez K. S. S. D. Wilno w drukarni M. Zymelowicza typografa 1844. Tom I. str. 155. Tom. II. str. 135 oprócz spisu. W 16ce, w drukowanej okładce. Cena złp. 6 gr. 20.

BOCHNIA.

56. Farmazon, przez autora powieści Jadama. Lwów nakładem Kajetana Jabłońskiego. Drukiem W(awrzyńca) Pizsa w Bochni 1844. Tom I. str. 111. Tom II. str. 112. in 12mo w drukowanej okładce.

WIEDEN.

57. Album na korzyść pogorzalców, wydane przez Józefa Dunin Borkowskiego. Lwów 1844, in 8vo str. 361 (drukowane u J. P. Sollingiera w Wiedniu) w drukowanej okładce. Cena zlp. 16. Zdobi je popiersie zmarłego wydawcy, ryte na stali. Zawiera:

Prozą. Rzeszów i jego okolice, A. Bielowskiego. Osiół, rys historyczno-psychologiczny, W. Chłędowskiego. *Gdyby; Postuszni*, L. D. Borkowskiego. Bale na wsi. Leśniczy. Jutro. Trzy powieści J. Dzierzkowskiego. Pamiętniki Zenona Adama Gorczyńskiego. Zamek Odrzykoński, Z. Paulego. Opisy znakomitszych miejsc w obwodzie Tarnopolskim w Galicyi, St. Przyłęckiego. Słowo o księztwach Oświęcimskim i Zatorskiem, A. Tomkowicza.

Poezye. Szkoła życia W. Chłędowskiego. Kobieta. Prośba. Gdy moje oko światłem nie błysnie, J. D. Borkowskiego. Sonety, L. D. Borkowskiego. Złamanie wiary, ballada Al. Fredry. Sen ksieni dobroczynności, A. Gorczyńskiego. Dwoje piastunek. Dramat w naturze w trzech obrazach. Do siostr moich, Dominika Magnuszewskiego. J. K. Podoleckiego, Piast legiendy. Pomnik w Chodowie tegoż Jadwiga. Krystyn Szykowski tegoż. W końcu sprawozdanie L. D. Borkowskiego. Żywot wydawcy Album J. D. Borkowskiego, przez A. Bielowskiego, i wiersz L. D. B. „Jego cieniem.“

LIPSK.

58. Biała kniehini, powieść historyczna z czasów Bolesława Wielkiego, przez W. B. wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk, nakładem księgarni zagranicznej (Librairie étrangère) 1844, w 12ce. Tom I. str. 245. Tom II str. 239, w drukowanej okładce. Cena zlp. 11. Wl.

Doniesienia literackie.

Niedługo drukiem ogłoszone zostanie ważne dzieło historyczne, pod tyt: *Czasy Bolesławowskie, pierwsza epoka ściśle historyczna dziejów Polskich od 962 do 1139 r. przez Alexandra Przezdzieckiego*. O ile wywiedzieć się mogliśmy, będzie to oddzielna całość, jedną z najświetniejszych epok naszych ogarniająca. W tej też bezwątpienia epoce, znajdujemy zarody przyszłego życia narodowego, jakby w wawrzynami pokrytej kolebce. Celem autora tej pracy, jest wprowadzić do niej czytelników o blasku społecznego światła Witychinda, Dytnara, klasztornych annalistów Niemieckich (1) i naszego Marcina Galla. Odgadnienie i uzupełnienie lat nieobjętych kronikarzami, zostawia autor innym; sam to tylko czytelnikowi podaje, co współcześni widzieli lub od naocznych świadków słyszeli, a czego nie myślano dotąd w jeden ciąg opowiadania zebrać. Jakożkolwiek bądź, wiele z p. Przezdzieckiego pracy dla historycznej części literatury naszej przybędzie. Miłeto pomyślenie, że codzień nowe odkrycia wyjaśniają ciemne dotąd źródła dziejów Polskich. Jakto daleko już postąpiliśmy od czasu, w którym uczony Naruszewicz krytycznie rozbiierał mnichostwo Kazimierza I, i inne bajki w szacownych przypiskach do historii, a nie śmiał jeszcze tego rodzaju badań umieszczać w textcie! Już Czacki, Osoliński, a szczególnie sławny autor *Badani nad historią starożytną*, otworzyli nowe widoki w nauce historycznej, usuwając powagę Długosza, dla dobrania się do ukrytych za nią źródeł społecznych. Niemaló światła rzuciły na dzieje nasze pracowite badania uczonego słowianofila W. A. Maciejowskiego. Lecz mimo nawet pragmatycznej historii Roppa w Niemieckim języku pisanej i szacownej pracy Jędrzeja Moraczewskiego, kronika taka, o jakiej wspomniano wyżej, pozostaje jeszcze do zrobienia, a część jej właśnie pod tyt: *Czasy Bolesławowskie*, wychodzi.

(1) Z szacownego zbioru Pertza.

P. Adam Idźkowski ogłosił prospekt na dzieło pod tytułem: *Plany budowli: obejmujące rozmaite rodzaje domów, mieszkań wiejskich różnej wielkości, kościołów, gmachów publicznych, mostów, ogrodów, monumentów i t. p. szczegółów, w rozmaitych stylach architektury.* Całe dzieło składać się będzie z 20 poszytów i 120 tablic in folio maiori, wykonać się mających w konturze, pięknym sztychem na miedzi i stali przez najznakomitszych artystów w Paryżu, na pięknym papierze Angielskim. Do rysunków, w każdym poszycie będą dołączone objaśnienia tablic i szczegółów, drukowane w języku Rossyjskim, Polskim i Francuzkim. Każdy poszyt z sześcią tablicami na przedpłatę, w Warszawie wynosi złp. 25.

Redaktor Przeglądu Naukowego P. H. Skimborowicz, ogłosił w ostatnich numerach swego pisma, własną tragedią pod napisem: „Konaszewicz w Białogrodzie.“

Znany i ulubiony poeta Tomasz Padurra, drukuje sam w Warszawie, zbiór swoich poezyj, które niedługo opuszczą prasę drukarską.

P. J. Kraszewski, dalszy ciąg Latarni Czarnoksiężkiej w 4 także tomach, nadesłał księgarzowi w Warszawie i wydawcy pierwszego oddziału p. S. Orgielbrand. Niezmordowany ten pisarz, trzeci poemat po Witoloraudzie i Mindowsie, *Witolda*, ostatecznie przerabia i poprawia, przygotowując do druku.

Wiadomo że w r. 1843 dla poratowania zdrowia, odbył przejażdżkę nad brzegi morza Czarnego: to dało sposobność p. J. Kraszewskiemu do napisania nowego dzieła objętości trzech tomów, w którym obszerniejsze ustępy obejmują wiadomości ważne i ciekawe o Kozaczyźnie, o Tatarach, o historii kraju, o handlu morza Czarnego. Wkrótce jako próbę, nadesłał do Biblioteki Warszawskiej wyjątek z tomu 2go. pod napisem *Akierman i Dniestr.*

Teraz zamyśla pisać dzieje Litwy, do czego oddawna potrzebne sposobił materyały.

W Wilnie u Teofila Glücksberga jeszcze w roku 1842 wyszło dwa pierwsze tomy *pism Kazimierza Brodzińskiego*, z portretem tego znakomitego pisarza. Całe wydanie ma się składać wedle dawniejszego prospektu, z dziesięciu tomów.

Zapowiedziana dawniej w Wilnie „Powieść składana,” już wyszła z druku. Rozdziały II, IV i VI napisał J. Kraszewski, resztę John of Dycalp.

Autor *Kontraktów* Karol Drzewiecki, pisze dramat historyczny, którego główną figurą, jest wspaniała postać Jeremiego Wiśniowieckiego.

Pamiętek *Soplicy* nowe wydanie, wyszło w Wilnie.

Autor *Literatury i krytyki* nie wydał; wydawca poprzednich dzieł jego p. T. Glücksberg wielce ubolewa nad tak zgubną (jak wyraża) klęską dla literatury.

A. E. Odyniec ogłosił Tom V i VI tłumaczeń swoich; między temi jest przekład „*Dziewicy Orleańskiej*.”

Znany tak chlubnie w literaturze naszej Karol Libelt, we dwóch tomach napisał *matematykę*, i obecnie ją drukuje.

R. Berwiński w Poznaniu, a P. W. Thullie we Lwowie tłumaczą tragedią Ponsarda p. n. *Lukrecya*, która po wystawieniu w Paryżu 22 kwietnia 1844 r. tyle narobiła wrzawy w świecie naukowym.

Księgarnia Poznańska N. Kamińskiego i spółki, ogłasza następujące wezwanie do księgarzy i nakładników dzieł Polskich: „Ponieważ brak wiadomości o wyszłych dziełach Polskich, wywiera niezmiernie szkodliwy wpływ równie na rozwijanie się literatury, jak na handel księgarski: przeto wzywamy wszystkich księgarzy aby nam donieśli, co każdy wydał, lub od autorów wziął w debit w ciągu roku 1843, i aby później donosili częściej, wyrażając zawsze liczbę arkuszy, cenę dzieł i nakładcę, iżbyśmy mogli raz po raz ogłaszać zupełny spis książek nowych. Rozumie się, że tylko dzieła, które przeszły cenzurę właściwych rządów, podawane być mogą.

We Lwowie L. Mehoffer wydaje: »*Topograficzno-etnograficzno-statystyczny opis Galicyi.*» poszytami w wielkiej ćwiartce. Każdy zeszyt zawierać będzie opis jednego cyrkulu z jego mapą i pięć chromolitografii według rysunków oryginalnych wykonanych w Wiedniu u Müllera. Obwód *Sandecki* i *Wadowicki* już wyszedł na widok publiczny. Sam napis tej publikacji wskazuje, że wszystko co jakkolwiek z ziemią Galicyi styczność mieć może, ma być w tem dziele objęte. Autor, pragnąc oddać publiczności swoją pracę wykończoną, wzywa wszystkich, aby mu nadsyłać raczyli cokolwiek do uzupełnienia obrazu Galicyi przydać się może.

Jużemy donieśli o wydanem *Album*, które rozpoczął ś. p. Józef Borkowski, a brat po jego śmierci wydał i dochód stosownie do myśli pierwszego na korzyść pogorzalców Galicyjskich obrócił. Ze sprawozdania które ogłosił Leszek Dunin Borkowski, widzimy, że całkowita prenumerata wynosiła złp. 7036. Z tych, po strąceniu kosztów wydania, oprawy i t. p. na korzyść pogorzalców przypadło do 3800 złp. Jestto w Galicyi osobliwe zjawisko aby tylu zebrano prenumeratorów; a co godne jeszcze uwagi że *sam obwód Wadowicki* zapelniał prawie czwartą część całkowitej prenumeraty na *Album*. Znany księgarz p. Jan Milikowski wraz z p. J. Jeleniem księgarzem, niemalo się ze swej strony przyłożyli do rozszerzenia prenumeraty.

Z listów ze Lwowa. Styczeń, 1844.

Dziwimy się wielce że nie zwrócił waszój, jak przynależy, uwagi Józef Korzeniowski, poeta w całym znaczeniu tego wyrazu. Nie masz w naszej literaturze nikogo, któryby, lubo był z równie potężnym talentem jak Korzeniowski, potrafił tak od razu stać się wielkim malarzem obrazów żywotnych narodu naszego. Ten któremu, może i słusznie, zarzucano dotąd, że dramata swoje stawiał w dziwnych ramach bez czasu i kraju: nagle występuje jako mistrz *obecności* naszej. Gdyby nic więcej nie wydał jak *Górali* i *Żydów*, jużby miał prawo do naszego poklasku i uwielbienia. Teraz, w teatrze Skarbka, u nas mają wystawić komedię tego pisarza *Fabrykant*; o dawniejszej już wiadomo zapewne p. t. *Stary mąż*. Doszła nas wiadomość, że przesłał komedię także *Panna męzatka*. Te dzieła zapewnią Korzeniowskiemu wdzięczną pamięć w późne lata, i przetrwają dłużej nad takie, które teraz *koteryjne* zyskują tylko pochwały. Bawi to nas szczerze, gdy czytamy owe szumne *recenzje*, wykazujące blade piękności, w nędznych ramotach. Nieświadomi dziwią się, że tylu *wielkich* i *uczonych* mamy literatów! Ale dajmy im używać do czasu sztucznej sławy; wszakże wszystko to niedługo przebrzmi bez pamięci: a tacy literaci przeżyją sławę swoją!

Zakład naukowy imienia Ossolińskich we Lwowie, pod dyrekcją światłego i czynnego dyrektora A. Klodzińskiego. na nowo zakwitać zaczyna, i nie masz wątpienia, że spełni szlachetne myśli swego założyciela.

Nie oglądając się na dary dzieł obecnie wydawanych. corocznie zakupuje własnym kosztem, wszystko co tylko jest znakomitszego i ważniejszego w literaturze bieżącej. Wielkie były krzyki na bezczynność i zmartwiałość tego zakładu. miano po części i słuszność: ale nie każdy zblizka patrzył, nie każdy ocenił dostatecznie zawady, z ktoremi lamać się musiał. Teraz, gdy dyrektorem został p. Adam Klodziński, mąż równie światły jak energiczny, nie wątpimy ani chwili, że zrozumie i pojmie wzniosłe swoje powołanie. zrozumie

czego po nim wymaga i obowiązek włożony przez szlachetnego założyciela, i narodowa oświata. Biblioteka zakładu Ossolińskich, którą zaczął wydawać, jest pismem o wiele lepszem od Czasopisma dawniej po śmierci Fr. Siarczyńskiego wydawanego; potrzeba tylko troskliwej pilności, ażeby upowszechnić więcej to pismo. Jak mamy wiadomość, w Warszawie jest tylko jeden czy dwa exemplarze. Brak taki stosunków, potrzebuje zmiany, i nie dziwić się o rozgłosie bezczynności zakładu, gdy nikt tej *Biblioteki* poza obrębem Galicyi nie ma i nie czyta. Do uwag o użyteczności *zakładu*, należy, na co szczególną bacność winien zwrócić szanowny dyrektor, ażeby wyłącznie, i przede wszystkim zajął się wydawaniem pamiętników historycznych z pomników tak w rękopiśmie jak w rzadkich drukach, a w które obfituje Biblioteka Ossolińskich. Potrzeba je upowszechnić jak najprędzej, bo nie na to były zgromadzone, aby pleśniały na półkach, i dziwiły rzadkością swoją bibliomanów zazdrośnych, albo bibliografów chciwych na opisywanie okładek, kart tytułowych, floresów i grubości *fenixów* literackich: ale aby z niemi poznał się naród. Trudno też wymagać aby literaci rozrzućeni po całym obszarze starożytnej Polski, przedsiębrali podróże umyślnie dla poznania ukrytych skarbów w bibliotece Ossolińskiego. Niekażdy ma sposobność, niekażdy możność, choć zawsze znajdzie mającego więcej zdolności niż zamożności. Nakład na takie ogłaszanie pamiętników nie jest tak wielki aby przechodził zamożność Instytutu Ossolińskich, a prócz tego, pamiętniki podobne, nie będą pleśniały na półkach, bo znajdą pokup, choć powolny, i zwrócą koszt. Tak pojmujemy stanowisko obecne zakładu Lwowskiego, i sądzim, że znajdzie wagę i współczucie, w szanownym dyrektorzem, i osobach należących do składu i opieki nad biblioteką Ossolińskiego.

Teraz wykończa się gmach, kosztem tego zakładu, aby w nim umieścić: *Wydział stanowy i Galicyjskie Towarzystwo Kredytowe*, co powiększy dochody roczne do 50000 złp. Kapitał tak znaczny, pewny i coroczny, użyty pożytecznie, wielkie może zapowiedzieć korzyści dla literatury. Oczekiwania też nasze zawiedzionemi nie zostaną, byle działający, pojęli

swoje powołanie i znaczenie. Tego wyglądamy z miłą nadzieją, z opinią publiczną, która umie nagradzać szlachetne dążności, jak karcieć krzywe, niedoleżne, bez pojęcia potrzeby czasu i postępu, karlikowate usiłowania. L.

Redaktora Tygodnika Rolniczego we Lwowie T. Kochańskiego Cesarsko królewskie Towarzystwo agronomiczne dolnej Austrii mianowało członkiem swoim na głównem posiedzeniu w Wiedniu dnia 3 stycznia r. b. P. Kochański ciągle wydaje swój Tygodnik; ostatni Nr. 52, między innymi zawiera wiadomość z Biblioteki Warszawskiej: »O trutce na wyłupienie zwierząt drapieżnych za pomocą wroniego oka, przez *Augusta Budzyńskiego*.«

W Krakowie X. I. Penka professor teologii dogmatycznej i moralnej, kanonik katedralny Krakowski, ogłosił prospekt na dzieło w języku Łacińskim:

Institutionum theologiae dogmaticae exaratarum ab Ignatio Penka S. S. theologiae doctore, professore p. o. theologiae dogmaticae et moralis in universitate Jagellonica, ac canonico cathedrali Cracoviensi, typis Stanislai Gieszkowski vulgandarum Cracoviae 1844.

Dzieło powyższe będzie obejmowało: 1. Introductio, 2. Liber syntheticus, 3. Liber analyticus.



SPROSTOWANIA.

(zob. str. 260, i 488)

str.	w.	zamiast:	czytać:
	6 prz.	<i>desimu</i>	<i>dedimus</i>
383	— 1	dogmatycznym	dogmatycznym
	4	Użalenie się	Użalenie się
384	— 6	związku	związku,
385	— 5	biegi	bieg i
	25	rozrodziły się i dalej.	i rozrodziły się.
386	— 1	(Giermańskiej)	(Giermański)
	16	estetycznym	ostatecznym
390	— 6	od dołu	„Słuchaj
406	— 15	przecinek po namiętności	przenieść po epoki,
436	— 2	1819	1619
461	— 4	trybu	szybu
485	— 13	przyszłe	szczupłe -
504	— 4	wszystkiem	uczynkiem
514	— 3	od dołu	Heftera
517	— 4	od dołu	Gött. (Göttingen)
586	— 11	od dołu	Kademu
623	— 10	grozbie	grobie
626	— 20	dziecińcu	dziezińcu
630	— 1	Naterrellement	Naturellement



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA

METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

STYCZEN — 1844

STYCZEN 1844. — DOSTRZEŻENIA W OBSERWATORYUM
wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza
1^h 14^m 47^s 0, czyli w łuku 18°41'45", na

ASTRONOMICZNEM WARSZAWSKIEM. — Miejsce dostrzeżeń
jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie
wschód względem południka Paryzkiego.

Data	BAROMETR w Millimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotności na 100 cz. średnia dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	go. rano	go. rano	go. wie.	go. wie.	go. rano	go. rano	go. wie.	go. wie.	
1	750,80	750,95	748,55	747,05	- 0°6	+ 0°2	+ 0°5	+ 0°4	90,5
2	743,53	743,02	742,25	743,16	- 1,0	- 1,0	+ 0,9	+ 0,1	91,7
3	742,18	744,01	745,77	748,13	- 0,6	- 0,1	- 1,7	- 0,8	95,0
4	749,32	749,60	746,17	745,65	- 5,1	- 4,6	- 3,7	- 4,6	96,5
5	746,04	748,21	749,84	749,57	- 2,7	- 1,8	- 0,8	- 2,7	93,5
6	743,43	742,26	740,66	739,32	- 1,7	+ 0,8	+ 3,0	+ 2,4	97,2
7	735,94	735,99	735,83	736,99	+ 1,3	+ 2,0	+ 3,3	- 0,6	99,2
8	741,07	744,54	750,28	755,05	- 7,4	- 8,3	- 11,6	- 12,6	87,7
9	757,55	759,27	759,90	761,77	- 11,4	- 0,2	- 7,5	- 9,4	85,5
10	763,85	765,73	767,07	767,38	- 9,3	- 8,3	- 7,9	- 10,2	91,7
11	767,04	767,70	766,56	766,53	- 11,8	- 12,0	- 10,2	- 10,4	87,2
12	765,72	766,28	764,82	764,32	- 12,8	- 13,0	- 9,6	- 11,3	100,0
13	762,40	762,32	760,31	758,93	- 15,7	- 15,6	- 7,6	- 5,8	100,0
14	758,94	759,78	759,91	761,60	- 4,6	- 3,9	- 4,3	- 5,3	88,7
15	762,80	763,18	762,12	761,05	- 5,9	- 4,2	- 6,0	- 9,8	92,2
16	755,79	754,42	748,71	745,64	- 8,3	- 6,4	- 5,2	- 3,7	97,0
17	744,12	744,84	742,50	737,65	- 2,6	1,4	- 1,5	- 2,1	94,2
18	735,34	738,66	743,18	743,08	- 0,4	- 0,8	- 1,4	- 6,0	94,0
19	734,48	732,05	728,56	725,03	+ 1,7	+ 1,6	+ 1,3	- 1,8	94,0
20	726,00	727,15	729,12	730,54	- 3,2	- 2,7	- 4,2	- 5,6	87,5
21	731,74	733,12	733,43	734,75	- 5,1	- 4,2	- 3,9	- 4,8	90,5
22	736,22	737,36	736,45	734,48	- 5,5	- 4,9	- 3,5	- 5,5	96,5
23	737,17	739,99	744,99	745,59	- 6,8	- 7,1	- 8,1	- 4,5	88,5
24	748,32	748,74	746,24	745,22	- 4,7	- 4,5	- 3,9	- 3,5	89,0
25	746,32	748,41	749,13	749,96	- 0,2	+ 0,3	- 1,2	- 7,2	94,7
26	749,46	747,52	743,46	739,90	- 11,4	- 8,1	- 3,9	- 0,4	100,0
27	740,99	743,35	745,60	747,91	+ 0,2	+ 0,8	+ 1,3	- 1,9	94,7
28	748,36	748,60	746,40	744,88	- 4,9	- 2,0	- 0,8	- 3,1	100,0
29	742,94	744,10	745,96	746,97	- 4,9	- 3,6	- 2,4	- 3,1	95,0
30	745,63	743,04	736,67	734,10	- 2,1	+ 0,4	+ 0,8	+ 0,6	94,2
31	734,16	735,36	737,47	738,53	+ 0,2	+ 2,0	+ 0,8	- 2,1	88,2
Sre:	746,698	747,405	747,038	746,797	- 4,78	- 3,86	- 3,19	- 4,37	93,7

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w millim z	
6	10	4	10	6	10	4	10	de-	śnie-
godz. rano	godz. rano	godz. wie.	godz. wie.	go. r.	go. r.	go. w.	go. w.	szczu	gu
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	PdZ.	Z.	Z.		0,72
pogodny	praw. pogo	pogodny	smugi	—	Z.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
śnieg	pochmurny	deszcz b dr.	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.		1,80
deszcz drob	deszcz dro.	pochmurny	śnieg	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pn.	7,52	
śnieg drob.	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	Pd.	Pn.	Pn.		3,04
pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pn.		
pochmurny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	—	—		
mgła	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	PnW.	PdW.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	PnW.	—		
pochmurny	pochmurny	na pół pog.	pochmurny	—	PnW.	Z.	—		
pochmurny	pochmurny	pra. pochm.	pochmurny	PdZ.	Z.	PdZ.	Z.		
pochmurny	deszcz	smugi lek	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	śnieg gesty	pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Z.		
deszcz drob.	deszcz drob	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0,50
pochmurny	pochmurny	pra. pochm	pra. pogod.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	na pół pog.	pra. pochm	pochmurny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	pogodny	śnieg	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		1,50
śnieg drob.	pra. pochm	pogodny	śnieg drob.	Pn.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	śnieg	śnieg	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pd.	Pn.	PnW.		3,38
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	mgła	mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		2,00
pochmurny	pochmurny	pochmurny	na pół pog.	Z.	—	PdZ.	Pd.		
pochmurny	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		2,88
Sre:								7,52	15,82

	mm.	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	746,985	27	7,135
Najwyżej barometr dochodził			
d. 11 o 10 g. r.	767,70	18	4,318
Najniżej			
d. 19 o 10 r.	725,03	26	9,403
Srednia zmiana dzienna barometru	5,43		2,41
Najw. zmiana dzien. d. 7—8 o g. 10	18,06		8,01
Srednia wysokość barometru jest niższa o	4,203		1,862
od stanu normal. z 18 lat poprzedz.	(751,188	27	8,997)

Srednia temperatura Stycznia jest	— 4°05 C.	—	3°24 R
i ta jest wyższa o.	1,52		1,22 „
od stanu normalnego z 18 lat poprz.	(—5,573 „	—	4,458.) „
Najwię. ciep. doch. d. 7 o 4 g. w.	+ 3,3		+ 2,6 „
Najmniejsze d. 13 o 6 g. r.	— 15,7	„	— 12,6 „

(Termometrograf wskazał

Max. + 3°5]R. d. 7, min— 13°9]R d. 13)

Srednia zmiana dzienna temperatury	3,14 „		2,51 „
Największa zmiana dzienna d. 7—8 o 4 w.	14,9 „		11,9 „

Srednia wilgotność wynosi 93,4, biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, albo 2,94 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Srednia temperatura miesięczna źródła

za pałacem Kaźmirowskim + 6°6 R.

Dni pogodnych było 3; na pół pogodnych 5; pochmur. 23.

— deszczu 5 (d. 6, 7, 8, 17, 19).

— śniegu 16: (d. 2, 3, 6, 7, 8, 11, 16, 18, 19, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 30).

— mgły 1 (d. 27).

Wody z deszczu spadło millim. 7,52 czyli 3,35 lin. z śniegu 15,82 millim. czyli 7,01 lin., razem 23,34 mill. 10,35 lin.

W ogólności Styczeń r. b. był nieco mniej pogodny, jak lat poprzednich, śnieg padał często, ale nie obficie w drugiej połowie miesiąca wichry gwałtowne szczególnie zachodnie panowały.

Wiatr panujący Z.

Wichrów było 12; Pn. 3; Pd. 1; PdZ. 1; Z. 5. PnZ. 2.

Koło białe otaczało księżyc d. 4.

Zorza północna słaba w postaci łuny białej d. 7.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM.

R. 1844.

Z DZIEJÓW.

Stronnica.

W Tacytowej Giermanii są pierwsze pewność w sobie mające, ślady dziejów Polski i Litwy, [przez <i>W. A. Maciejowski</i>]	1
Dawne obrzędy pogrzebowe wodzów polskich, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	208

BIOGRAFIE.

Wspomnienie o Tomaszu Świąckim, p. <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	420
Wiadomość o życiu i pismach Jana Ostroroga, wojewody Poznańskiego, p. <i>X. A. Załuckiego</i>	423

Z LITERATURY PIĘKNEJ, JĘZYKA I SZTUK.

O związku zachodzącym między historią polityczną a historią literatury, p. <i>Fr. Henryka Lcwestama</i>	306
---	-----

POEZYE.

	Stronica.
Wyjątki z poematu oryginalnego Bogdan, przez <i>Józefa Pa- szkowskiego</i>	55
Wspomnienie, <i>T. Lenartowicza</i>	370
Urywek, <i>tegoż</i>	387
Gwiazdy, <i>Michała Morzkowskiego</i>	370
Fantazyja, <i>tegoż</i>	388
Pieśni Ukraińskie, <i>Marcina Ossoryi</i>	371
Śmierć żony Hassan-Agi (z Serbskiego, przekład <i>Ludwika Norwida</i>	587
Hemsjukan, ze Szwedzkiego, przekład <i>Ig. Kułakowskiego</i> .	378

POWIEŚCI.

Zemsta pana Bolesława, powieść <i>Józefa Dzierzkowskiego</i> .	76
Zdobycie Tarragony roku 1811, przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> .	522

HUMORYSTYKA.

Sceny w różnych miejscach p. <i>Ambrożego Ambrożkiewicza</i> , (scena 1 w ogrodzie Saskim)	339
List Pana <i>Au. Wi.</i>	625

Z NAUK I UMIEJĘTNOŚCI.

NAUKA PRAWA.

Czy <i>socius unius rei</i> także tylko <i>in id quod facere potest</i> skazany być może przez <i>Dra K. Bachman</i>	198
O uznaniu dzieci naturalnych ze strony ojca, przez <i>Jana Chry- zostoma Sławianowskiego</i>	403
O zewnętrznych działaniach bezprawnych w ogólności przez <i>Fr. Maciejowskiego</i>	493

NAUKI PRZYRODZONE.

O Świetle, mowa <i>L. Mosera</i> miana 1843 p. u.	23
Odkrycia profes. <i>Matteucci</i> w Pizie, przez <i>L. P.</i>	213
Rzecz o magnetyzmie ziemi, podług <i>Bessla</i> , przez <i>J. Bara- nowskiego</i>	261
Chemiczny rozbiór herbaty	437

O własnościach przypisywanych tłuszczom rozlanym na wzburzoną powierzchnią wody, p. <i>J. Przysańskiego</i> . . .	441
O wpływie księżycy na atmosferę ziemską <i>J. Baranowskiego</i> .	632

Z PRZEMYSŁU.

Drogi żelazne w Europie, opisał <i>Wilhelm Kolberg</i> (Polska i Rossya)	322
--	-----

KRYTYKA.

Praktyczny rozbiór pisma Józefa Kremera „ <i>Listy z Krakowa</i> “ przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	381—590
Uwagi nad dziełem Ludwika Giesebrecht pod tytułem. „ <i>Historye Wendyjskie z lat 780—1182</i> “ przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	583

KRONIKA LITERACJA.

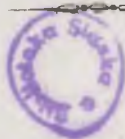
Nauka chowu pszczół, P. E. Leśniewskiego 1843. przez <i>A. W.</i> str.	222
Słów kilka o recenzji <i>Źródeł do dziejów Polskich</i> umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na grudzień 1842 r. przez <i>Alex. Przeddzieckiego</i>	225
Rocznik literacki, wydany przez Romualda Podbereskiego w Petersburgu 1843. przez <i>Wł.</i>	229
Rubon pismo zbiorowe, wydawane przez Kazimierza Bujnickiego, t. III, p. <i>M. B.</i>	449
Opowiadania Johna of Dycalp, Wilno, 1843, p. <i>Wł.</i>	455
Odpowiedź na recenzją p. Łabęckiego, Opisu Wieliczki, przez <i>L. Zejsznera</i>	459
Treść książeczki o kometach, i teoryi biegu ciał przez Józefa Sapalskiego, 1843, p. <i>W.</i>	466
Przygotowania do wiedzy mowy Polskiej, przez Feliksa Jezierskiego. Warszawa 1843 r. przez <i>A. F.</i>	649
Mappa dróg żelaznych w Europie skreślona przez Wilhelma Kolberga: przez <i>T. Jewieckiego</i>	658
Gołąb pożaru, pismo zbiorowe wydane we Lwowie r. 1843 przez <i>T. L.</i>	661
<i>Deutsche Bergbohrer Schule</i> , oraz <i>Borghäuser der Saline Ciechocinek in Polen</i> von <i>G. H. August Rost</i> przez <i>H. Łabęckiego</i>	665



Przedchrześcijańskie na ziemi naszej pomniki dla bóstw Lelum Polelum i Świstum Poświstum p. J. K. Łazowskiego . . .	211
Zakłady naukowe, pisma peryodyczne w Galicyi, przez Wł. Zglińskiego	220
Ciekawy minerał w kraju naszym, p. R.	448
Zabytki starożytności na ziemi naszej (z drzeworytami) przez Ed. bar. Rastawieckiego	622
Jarmark w miasteczku p. ł. z nad Buga	635
O nadużyciach drukarzy i wadach druku Ferd. Kar. Rutowskiego	639
Osmanida, poemat epiczny Illiryjski Jana Gundulicza, przez Alex. Przedzieckiego.	644
Kassa miejska przez Konst. Wol.	647
Ślady języka Polskiego w mowie pospólstwa gub. Archangielskiej w Rosyji	648

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Historya narodowych zgromadzeń Francuzkich	232
Statystyka Francyi przez p. Moreau de Jonnès	232
Wiadomości i pamiętniki historyczne p. Mignet	233
Literatura Angielska. Podróż Farnhama do Ameryki północno-zachodniej	234
Podróż Morrissa przez Turcyą, Grecyą, Egipt i Arabią kamienistą do Ziemi świętej	240
Wspomnienia o Syrii półkownika Napiera	241
Doniesienia Hernando Corteza	247
Nowy romans Fenimora Coopera	248
Literatura pomocnicza dla szkół wyższych duchownych X. J. O.	248
Lukrecya, tragiedya Ponsarda, przez Wik. Zielińskiego	471
Literatura Serbska z listu Wraza, przez D.	669
Rzut oka na stan społeczny Hiszpanii przez Ramona de la Sagra	673
Kronika bibliograficzna	251—480—680
Doniesienia literackie	257—483—685
Dostrzeżenia meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiem za Listopad 1843	261
„ „ „ za Grudzień t. r.	489
„ „ „ za Styczeń 1844	693
Sprostowania	260—488—692



PROSPEKT.

Nakładem *Redakcji Gazety Warszawskiej* wyjdzie z dniem pierwszym **Kwietnia** r. b. **RYS HISTORJI NOWOŻYTNEJ** przez *Micheleta*, tłumaczony z francuzkiego przez *Oskara Stanisławskiego*. Nie tylko sama osnowa dzieła, którego wziętość i popularność we Francji już ustalona, ale i niedostatek, brak dzieł historycznych w języku polskim, skłonił Redakcję do tej publikacji. W Paryżu wyszło już siedem edycji tego dzieła i to powodzenie, w stolicy i ognisku cywilizacji stanowi rękojmienie jego wielkiej wartości. *Michelet* professor historii w Kollegjum Francuzkiém, jest jednym z błyszczących mężów terażniejszej epoki. Na niwie historii imię jego kwitnie przy wielkich imionach *Thiersa*, *Guzota* i *Villemaina*. Wspólnie z nimi podniósł on historję do tej wysokości, do tego stanowiska filozoficznego, na którym oparta staje się najbardziej postępową nauką. Otrząsnął z niej pył pedantyzmu i drobiazgowego szperania i wlał w nią ogień i energję. Na każdej karcie jego dzieła, przy erudycie

znajdziesz człowieka życia. Przeszłość ożywia się pod jego piórem; patrzysz na nią, czujesz ją—tak jaskrawy koloryt tego zwięzłego, Tacytowskiego stylu—i tak dzielna, tak wybitna myśl w tych krótkich perjodach. *Michelet* wierzy w postęp, wierzy w niego z całym przekonaniem szlachetnego umysłu i serca. Tłumaczac, rozumując, roz-bierając przeszłość, wskazuje we wszystkich jej przej-sciach, we wszystkich faktach, we wszystkich przeobraże-niach ciągłą dążność cywilizacyjną.

Druk i papier jak na niniejszym Prospekcie.—Całe dzieło składać się będzie z 24 arkuszy druku i stanowić będzie jeden tom.—W Warszawie, prenumerować można w Kantorze Głównym przy ulicy Sto-Jerskiej Nr. 17 9 i we wszystkich Kantorach Gazety Warszawskiej. Na pro-wincji na wszystkich Stacjach Pocztowych.

C e n a , e x e m p l a r z i a :

W Warszawie rub. sr. 1 kop. 35. (zł. 9).

Na Stacjach Pocztowych — — 1 — 50. (— 10).



